

EMIL ZERADŁOWIEZ

EGZYSTENCJE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

CIĘŚĆ PIERWSZA:

WIELOBOKI

50 1 z.  
b. kur  
no parus  
no 4 man

Lecz widzę, zagadkowaniem się. Dodam tylko  
 prośbę, że te "ręcznie" i fotografie, które  
 stały się w barach mojej matki - zakupił  
 radca sądu wydoszowicki, p. dr. Szajder, który  
 lubował się w zbieraniu pamiątek staro-  
 żytności jako to obrzęd, Książek i tem  
 podobnych wytworów artystycznych.  
 Wracam do głównego tematu - chociaż, gdy  
 by się miło kto zastąpił, co jest w moim  
 wyobrażeniu głównym tematem moich  
 notatek, byłbym nieco zadowolony, nie-  
 co, bo w głębi ducha wiem do czego zmie-  
 ram, bez tego przecież wiedzenia nie by-  
 łyby sensu aby porciak-emużył przez  
 papier, atrament, pióra i wysiwiecał  
 napi, wra normalny kontyngent; - w  
 tej chwili tematem jest osobliwe przyda-  
 nienie brata mojej babki Benedykta.  
 Otoż zwiędając, jak neksem, podziemia ka-

Książki z dam. w.

fragment rękopisu powieści "Egzystencje"  
fragment odcinka 10 drukowanego

3

Przechodzącem mimo tych strachopudów i  
malkontentów z pobłażliwością.  
Ciepło skłonięta do optywizmu udała się  
za wskazówką Rudolfa w głąb ulicy Cias-  
nej, przed dom znanego adwokata wgdo-  
łowskiego Dr. Optułowicza, gdzie nad brama  
tego właśnie domu umieszczona była mar-  
murowa tablica, na której złotymi lite-  
rami, jak na nagrobkach, wypisane  
było, że w tym domu od 20go lipca do  
14go sierpnia 1916go roku mieszkał  
dedykowany bohater wraz z żoną swoją  
dedykowaną żytą. W tej tablicy rozlito;  
było w nią kamieniami z daleka; Tani-  
ki solnie taki śpas zrobiły, śpas z usta-  
nowieniem rekordów, kto celniej i ile ra-  
zy.

W dniu tym i z gwałtem gimnazyum spadł

Fragment odcinka 29 powieści "Egzystencje"

4 105

Po odspiewaniu pierwszej pieśni — wyskoczył na trzeci szczebel drabiny mężczyzna niezmiernie chudy z brodką w klin, bardzo czarną, przez co szczerła twarz tym bledszą się wydawała, poznałem go od razu, był to urzędnik ruchu, znany socjalista Wnęk — wysokim, cienkim głosem zaczął coś wykrzykiwać, co do mnie poprzez dogasający śpiew i harmider dolatywało tyło w podartych strzępach, notuję to co usłyszałem:

...rzysze ...koniec ...alistyczny i nigdy więcej ...lud  
...tńczy ...py ...olska ...partia ...styczna ...niech żyje!  
...olska ...dowa ...olska ...tnicza ...arnicy ...opjce  
...nigdy ...kler ...pędzić! ...ebrać ...obra ...storskie  
...erwony ..tandar...

Zakończenie podziało jak wezwanie, wszczął się na nowo krzyk:

niech żyje! — niech żyje!

I zaraz wszyscy, z dobrej zacząwszy tonacji, intonowali:

— nasz sztandar płynie ponad trony —

W kącinie rynku między magistratem a plebanią stała grupka poważnych mężczyzn; jeden z nich za czerwieniony i najeżony rzekł:

— lepiejby rotę śpiewali —

Na to któryś odpowiedział:

— radcuniu, przyjdzie i na to czas —

Dalej nie słyszałem, bo tu już:

— sędziami wówczas będziem my —

Tak oto śpiewano prosto w twarz starostwu i plebanii. W obu domach tych publicznych poza lśnjącymi szybami stała jakby pionowa wyczekująca cisza; z powodu załamania się światła skosnego, okna w starostwie były koloru żółto-czerwonego, a w plebanii żółto-białego; mianownik: żółty, jak by rzekł mój były profesor matematyki.

Dziwiło mnie nieco, że ani starosta, ani proboszcz nie ukazał się chociaż w oknie; ja na ich miejscu byłbym otworzył okno i razem z ludem śpiewał; podkreśliło by to harmonię i zgodność zapatrywań. No ale cóż tam ja! — nie znam się na formach wyższych sfer — dzisiaj się nie znam, a cóż dopiero wtedy! Smarkaty poczciarz! — chciałoby się to mieszać do polityki diecezjalnej i polityczno-administracyjnej! — Tupet, wytłumaczalny jedynie niedojrzałością (miałem wtedy zaledwie dwadzieścia siedem lat) i wychowaniem na Kopyniówce; a tu przecież Wądołów! — Zapomniałem.

Tymczasem Rudolf już był zszedł z balkonu i począł zstępować — frontem do rynku —

Fragment odcinka 28 powieści „Egzystencje”

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

(A. T. D. P.). Jak już czytelnicy nasi z telegramów i ze sprawozdań wiedzą, zaszedł w sprawie „Zydel, Stefania i towarzysze“ incydent (przypominamy tylko) tego rodzaju:

— podczas onegdajszej rozprawy sądowej wstał Przewodniczący ławy Przysięgłych i wprowadził słabym, lecz jednak dosłyszalnym głosem postawił wniosek o odczytanie załączonego do akt „pamiętnika“ Jana Zydla, który wraz z Stefanią Chrzanowską i towarzyszami zasiadł na ławie oskarżonych.

Przewodniczący motywował swój „daleko idący“ wniosek koniecznością WSPÓLNEGO wysłuchania tego najautentyczniejszego corpus delicti, który musi nam (mówił) zastąpić wizję lokalną, ponieważ... (tu głos mu się tak załamał, że kilku słów absolutnie usłyszeć nie można było); — szczególnie każdy z Sędziów Przysięgłych przeczytał odpis „pamiętników“ Zydla („tak mniemam“ dodał Przewodniczący), lecz idzie, proszę Wysokiego Sądu, o, powtarzam, wspólne, że tak powiem, wspólne i równoczesne zdanie sobie sprawy z całokształtu zagadnienia zawilego i obfitującego w szczegóły niejasne. Rzecz jest tym większej dla nas wagi, że oskarżony pisał ten swój pamiętnik w trakcie całego nieszczęsnego okresu, a nawet nawraca i nawiązuje do przeszłości — pisze go (tu Przewodniczący natężył głos) aż do tak zwanej „ostatniej chwili“, to jest do momentu aresztowania go.

Sąd udał się na naradę.

Narada trwała jednaście minut i trzydzieści osiem sekund.

Sąd wniosek Przewodniczącego Ławy Przysięgłych, uznając motywy, zatwierdził; wśród Przysięgłych zauważono radosne poruszenie.

Tak więc rozpoczęło się mozolne i nużące czytanie; słuchanie natomiast, jak mogliśmy stwierdzić rzutem oka po sali, obfitowało w momenty emocjonujące; nic dziwnego! — przecież... lecz nie uprzedzajmy wypadków.

Pamiętnik, zawarty w trzech zeszytach (podajemy dla ścisłości, choć to nie ma żadnego znaczenia, kolory okładek tych zeszytów, czy, jak gdzie indziej mówią, brulionów: pierwszy jest zielony, drugi czarny, trzeci czerwony; typ zeszytów często spotykany, wyrób krajowy, na co n. b. obrona szczególnie kładła nacisk; pismo w nich kaligraficzne, zrównoważone, chciało by się rzec, urzędni-



54

cze) przedrukujemy bez komentarzy. Wychodzimy z założenia, że komentowanie należy do Sądu, i że nie ma potrzeby bezcelowo kłaść zdrową głowę pod ewangelię.

Czytelnicy „Dziennika Popularnego“ sami się łatwą domyślą, jakie to okrzyki oburzenia i konsternacji, ile „preczów“ rozległo się, oraz w jakich właśnie miejscach dawano folgę uczuciom praworządnym, zadraśniętym tak dotkliwie.

Istotnie stwierdzić musimy, że „Trzy zeszyty“ roją się od momentów bardzo przykrych i niestosownych.

Dziś, gdy się już, na szczęście!, stosunki wewnętrzne i zewnętrzne unormowały należycie, gdy wszyscy jak jeden mąż stanęliśmy frontem do Miecza i Krzyża, co przecież tak dobitnie i nieodwołalnie stwierdził ogólny, międzyklasowy plebiscyt (przypominamy: dwadzieścia pięć milionów głosów „za“, półtora miliona „przeciw“ — więc nawet nie wszyscy Żydzi głosowali przeciw — charakterystyczne!) zdania i myśli „Księgi żydowskiej“ (jak się to już utarło nazywać te zeszytiki nieszczęsne) muszą razić, oburzać, irytować, a nawet wywoływać — słuszne czy nie, nie nasza sprawa sądzić — wrażenie, że oskarżony Jan Zydel ma, używając wyrażenia elity, „świerka“ (po tej zresztą linii idą wywody obrony oskarżonego).

P. S. — Niektóre, dość liczne, fragmenty odczytywanych „autentycznych „corpus delicti““ zostały zarządzeniem Sądu odczytane przy drzwiach zamkniętych; były już zupełnie niemożliwe. Oczywiście nie ma ich też w stenogramie oficjalnym, z którego wyłącznie tu korzystamy. W ten prosty i niezawodny sposób uzyskaliśmy pewnego rodzaju nowe zjawisko prasowe: cenzurę profilaktyczną.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jestem człowiekiem bez jakiegokolwiek znaczenia, takie szare nic; cóż — emerytem jestem i to, jak na współczesne wymagania, nie młodym; lat mam czterdzieści pięć; wstyd po prostu. Właściwie to te czterdzieści pięć już skończyłem — przed dwoma tygodniami; same się, prawdę mówiąc, skończyły; trudno sobie dać radę z czasem, myślę, że to nawet niemożliwe; nie mówię tu, oczywiście, o mej osobie, bo ja z niczym nie umiem sobie dać rady.

Więc rozpocząłem czterdziesty rok życia — i...

— znowu ta wiariatka wrzeszczy, już słuchać tego nie można.

Tymi słowami przeszkodziła mi matka (wsuwając głowę przez uchylone drzwi), w zamiarze pisania, i to zaraz na początku; czy by to była wskazówka, żebym tę myśl wraz z zeszytem rzucił w to ciemne miejsce, gdzie już tyłem moich myśli i zamierzeń spoczywa w kształcie nieforemnych poczwarek, jakie czusem przydarza się nam widzieć w wypróchnia-

6  
łych pniach wierzb i gdzie indziej, na ścianach na przykład?

Lecz w istocie matka ma rację; istotnie raz po raz ten przerażający krzyk przeszywa powietrze.

Doprawdy, okropne rzeczy przeżywamy z tą obłąkaną, którą kiedyś w jej młodości chciał ojciec zmusić do wyjścia za mąż za starego, bogatego chłopca. Ona nie chciała. Kochała kogo innego. Ojciec prał, prał, gdzie popadło; przez kilka lat tak prał, aż jej się od tego bicia, a właściwie od wyrżnięcia ją kryką przez ciemność — przewróciło w głowie. „Zgłupiała” jak tu mówią. W rzeczywistości popadła w nieuleczalne obłąkanie. Od tego czasu żyje na gromadzkim chlebie — ojciec jej dawno umarł, przepiwszy całą habendę. Chodzi więc wariatka od domu do domu — je i nocuje — można się od niej wykupić kwotą dwunastu złotych rocznie, z czego korzystają najbiedniejsi — oszczędzają, ile tylko mogą; wariatka jest niewymagająca, skargi jej byłyby tak czy tak bezskuteczne. — Co jakiś czas krzyk jej napełnia całe nasze przedmieście, jak drżenie podziemne. W chwilach ataku rwie na sobie szaty i bieliznę.

O! — znów ten krzyk!

Matka ma rację — słuchać tego nie można.

Swoją drogą, bardzo mi jest niemiło, że to akurat dzisiaj! — akurat dzisiaj, gdy postanowiłem, a lubię dotrzymywać przyrzeczenia, zwłaszcza sobie, napisać tu pierwszą stronę tego zeszytu, kupionego u Melchiora Zataja, to stara firma! za czterdzieści pięć groszy — w tym celu, aby wreszcie, to co od dawna — jej, jej — znów ten niełudzki wrzask! Wprost zwierzęcy! — zraniony, bolesny, przejmujący do szpiku kości.

Zamknę okno.

To staje się niemożliwe! Słowa nie zdołam napisać. Każde rozpryskuje się na litery, a te drżą konwulsyjnie, jak w tańcu świętego Wita; nie wiem co to za święty, ale tak się mówi; ktoś przecież kiedyś musiał wiedzieć; użył porównania; przyjęło się.

Znów!!

Zamknę okno, zamknę okno — tym bardziej, że wiatr, widać zmienił kierunek i nawiewa od fabryki superfosfatów okropny smród.

Tak.

Właściwie mógłbym to wszystko, co tu napisałem, przekreślić, lecz nie zrobię tego, tak, by nieporządnie od początku wyglądało; mógłbym wyrwać, ale wtedy trzeba by i z tyłu zeszytu wyjąć odpowiednie kartki, a tego mi szkoda.

No nic. Głupstwo. Zacznę po prostu.

(D. c. n.).

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

### ROZDZIAŁ DRUGI.

Jestem człowiekiem bez jakiegokolwiek znaczenia, takie "szare nic; z zawodu, do usług, pocziarz; na emeryturze; pocziarz na emeryturze, to nie jest los, prawda, ale nie narzekam; cóż by mi zresztą pomogło?

Ciekaw jestem wciąż świata, którego, prawdę mówiąc, nie zobaczyłem jeszcze dokładnie, i zapewne wogóle nie zobaczyłem — bo i skądże? — dwadzieścia pięć lat pracy na jednym miejscu, w miasteczku, owszem, ładnym, ale małym — za małym na „świat” — osiem tysięcy mieszkańców — tyle, że powiatowym, ze starostwem, sądem, koszarami, i szpital jest i kościół, gimnazjum, a jakże też jest; i areszty, bo sąd. — I jeszcze by to nic nie było takie skromnociche bytowanie na prowincji — ale, wracam do tego zobaczenia świata, jakże miałem go zobaczyć przez, proszę was, takie okienko niewielkie, przy którym dwadzieścia pięć lat przesiedziałem: znaczki pocztowe, segregowanie listów do skrytek, listy polecane czyli rekomendowane, ekspresowe, poste restante, paczki takie, owakie, i tak dalej: — ludzi widzi się właściwie tylko do połowy i to nawet nie — głowy i kawałek piersi, a głowy znów przeważnie gubią się poza górnym obramowaniem, chyba, że dzieci, wtedy tak; — natomiast ręce! no bo podają, odbierają — to te ręce wciąż widać od ósmej rano do dwunastej w południe, od trzeciej po południu do szóstej wieczorem, dziś się mówi od piętnastej do osiemnastej.

7

Najlepiej też ze wszystkiego znam ludzkie ręce, ręce przeważnie duże i grube, niepielegnowane ręce — tych jest najwięcej! — trzęsące się, zdenerwowane; czasem zdarzyła się ładna kobieca ręka, wąska, wymanikirowana, pachnąca — przeważnie taka po poste restante pod „słoneczko”, „amor” lub też inaczej; wtedy mi zawsze coś wypadło, ołówek, list, z tych moich rąk, no bo i ja mam ręce!

Jakiś mądry, uczony człowiek, taki, jakich po wielkich miastach nazywają Dr. prof. psycholog — dużo by mógł wyczytać z tych tysięcy, co mówię, dziesiątków, setek tysięcy rąk, wyczytać i wykombinować.

Nie, nie myślę się; zrobiłem sobie taki mały obrachunek, na boku, na osobnym papierze, na podszewce starej koperty: otóż licząc średnio sto rąk dziennie, to rocznie jest z grubsza trzydzieści tysięcy, a przez dwadzieścia pięć lat siedemset pięćdziesiąt tysięcy rąk, no niektóre się powtarzają, ale zawsze jest to liczba pokaźna.

Sam nie potrafiłbym wiele wyczytać z rąk przesuwających się przez prostokąt mojego okienka, aby zniknąć poza jego ramami — chyba to, że brudne i spracowane są ręce ludzkie.

Niby to zajęcie, wypełniające mi ćwierć wieku życia, nie było trudne — a jednak wymęczało bardzo. Człowiek z takiego okienka robi się ogłupiały i apatyczny; nic mu się już nie chce, nic go nie interesuje, nic nie cieszy, pragnienia zagubiły się pod stertami obcych listów.

Ja, który mam ciekawość do różnych rzeczy, jeszcze sobie tam czasem przeczytałem jakąś książeczkę, albo gazetę — ale koledzy moi, to nawet do tego gustu nie mieli; przez długie lata nie mieli; i nie wiem się; wiem, znam! — jedno słowo: udręka.

Porobiłem w poprzednich zdaniach kilka przekreśleń i poprawek; niestety, musiałem; tak na przykład napisałem tu i ówdzie „nie jest”, musiałem zmienić na „nie było” — boć przecie od kwartału nie jestem już urzędnikiem, lecz emerytem.

Czasu mam dość; aż nadto!

Mogę jeszcze pożyć sporo lat — takie ot życie dogorywające emeryta. Po prawdzie straszne życie! — i to jest ta pierwsza wolna myśl, która mnie dręczy. To życie takie właśnie. No bo tak: urodzisz się w świecie zabijam deskami, nie wiele większym przez całe twe istnienie od kołyski, ukończysz w posępnej jednostajności szkołę — niższe, wyższe — na jakie stać twych rodziców i twoje uzdolnienia — osiadasz na jakimś urzędzie — ożenisz się lub nie — masz dzieci lub nie — spotykasz tych samych wciąż ludzi, i, co gorsze takich samych jak ty ludzi, zdegowanych, skwaszonych, pokrzywionych, otepiałych, ten ma niedokwasotę, tamten nadkwasotę, ów hemoroidy, inny przepuklinę, astmę, anemię, gruźlicę, kamienie żółciowe, kamienie w nerkach, w pęcherzu — spacerki od rynku do mostu — od mostu do rynku — handelki, śniadanka, wiadomości ze świata z wymianek Kurierka — no to ta jedna przezroczyta monopolowa wódka, która chrzci twą pospolitą chwilową wesołością. — Ktoś mi mówił, że ile razy otwiera pełną flaszkę wódki, to się w niej coś zaśmieje; nie doświadczyłem; nie piję. — Oczywiście: „kościół” — msza o dziewiątej, albo suma z kazaniem — kościół rozumie się w Wądołowie, bo u nas... ale o tem jeszcze będzie; po porządku; nie mam wprawdzie ambicji, aby pisać wedle recepty starego łacinnika profesora Koszałka, który nam przez cały rok w drugiej klasie recytował. — Jeszcze go widzę jak zsuwa okulary na sam czubek czerwonego nosa — quis, quid, qui, quibus auxiliis, cur, quomodo, quando — i że według tych zasad należy układać dyspozycje zadań, a nawet, powiada, wszelkie życiowe ważne pociągnięcia, na przykład, i przede wszystkim, mówił, ożenek, ale co wam durniom o tem mówić — tu zawsze siąkał i czerwoną chustką wycierał siwe obwisłe wąsy — szeptał do tej chustki gniewnie: durniel — a my powtarzaliśmy: cur, quomodo, quando; nie, takich ambicji nie mam; spokojnie, pomalutku i porządnie; nic więcej. (D. c. n.).

**EGZYSTENCJE**

Powieść współczesna

Część pierwsza:

**WIELOBOKI**

Nawiązując do poprzedniego muszę jeszcze dodać, że tu wszystko tak, że tuż za miastem na rozległym, siodlastym wzgórzu rozłożony smętarz czeka cierpliwie; na ciebie, na mnie, na wszystkich; i doczeka się zawsze. Żyjemy też tu tak, jak rozbite planety — są takie, wiem — obracające się dookoła smętarza — on ciągnie — my coraz mniejsze, węższe zataczamy koło, coraz bliższe — aż w nagłym obrocie szybkim i raptownym wpadamy w to miejsce, które jest nam przeznaczone od zarania dni.

Takie jest nasze, planet, czarne słońce.

Nie wiem, jak jest gdzieindziej. — Ale tu takie jest życie. Ktośby mógł rzec, że nie wesołe, ale ja tego powiedzieć nie mogę, za mało znam się na tym.

Wzmianka o profesorze Koszałku nastęrcza mi dogodną sposobność powiedzenia, że stosunkowo krótko chodziłem do szkoły. Na ogół okropne to były dla mnie czasy. W szkole powszechnej bito, w gimnazjum bito, krzyczano, lżono; wyniosłem takie przekonanie, i dotychczasowa obserwacja nie zburzyła mi go, że pedagogia polega na nienawiści nauczycieli do uczniów i uczniów do nauczycieli. Nauczyciele odkuwają się na czeredzie jołopów za swe ponure zajęcie, za mizerne wynagrodzenie, za „złamane życie”, za niepowodzenia, niesnaski, złe przekonanie i wkuwali nam w łby zakute, że kogo bogowie chcą ukarać, to go robią pedagogiem.

87

Wobec takich założeń nienawiść uczniów jest tylko samoobroną i ułamkiem instynktu samozachowawczego. W takich warunkach elementem wychowawczym jest strach: ksiądz nas straszył piekłem, nauczyciel dwóją i karczerem, dyrektor wyrzuceniem z gimnazjum, wizytator straszył nauczycieli i dyrektora przeniesieniem i dyscyplinarką, zawsze nabuduczony, że ciało pedagogiczne za mało zwraca uwagi na prawomyślność i państwowe wychowanie, że za mało radosnej twórczości maluje się na twarzach i grona nauczycielskiego i rzesz młodzieży. Nad tą społecznością gniewną, ześpieszoną, zdenewrowaną, zaszczutą — daleką, horyzontalną Radą Szkolną (to co dziś kuratoria) — a ponad nią zenitalne ministerstwo; ale to już tak wysoko, że stąd trudno nawet dojrzeć.

Nadmienić tu zaraz na początku muszę, że te moje adnotacje i myśli, które tu — z wpojonym mi i wrodzonym mi strachem — spisuję — w niczym nigdy i nigdzie nie wpływały na moje, jakby to powiedzieć, ustosunkowanie się życiowe; byłem wzorowym urzędnikiem, dobrym członkiem gminy, przykładnym, coniedzielnym synem kościoła, skrupulatnym płatnikiem podatkowym czyli pełnowartościowym obywatelem państwa, które za tak przecież skromną sumę (płacę wszystkiego 41 zł. 82 gr. rocznie) obdarzyło mnie dowodem osobistym oraz książeczką wojskową — bez czego całe istnienie moje byłoby nie tylko utrudnione, ale wprost wątpliwe; czyż można w jakiś inny sposób udowodnić swe istnienie?

Sumując poprzednie wywody, widzę wyraźnie, że myślenie moje idzie swoją drogą, a poczucie obywatelstwa swoją drogą; tak to przynajmniej zaobserwowałem od czasu przejścia ze stanu czynnego w stan emerytalny. Wydaje mi się, że my wszyscy tak żyjemy — inaczej w sobie, a inaczej na zewnątrz.

Również widzę, po przeczytaniu wzwyż napisa-

nych zdań, że znów napisałem tu i ówdzie „byłem”, a powinno być „jestem”; nigdy sobie z czasami nie umiałem radzić — imperfectum, futurum, to mnie wyгнаło ze szkół; i w ogóle; z pisaniem też sobie rady dać nie mogę. Mam jednak nadzieję, że się z czasem poduczę i wprawię.

Lecz dość na dzisiaj.

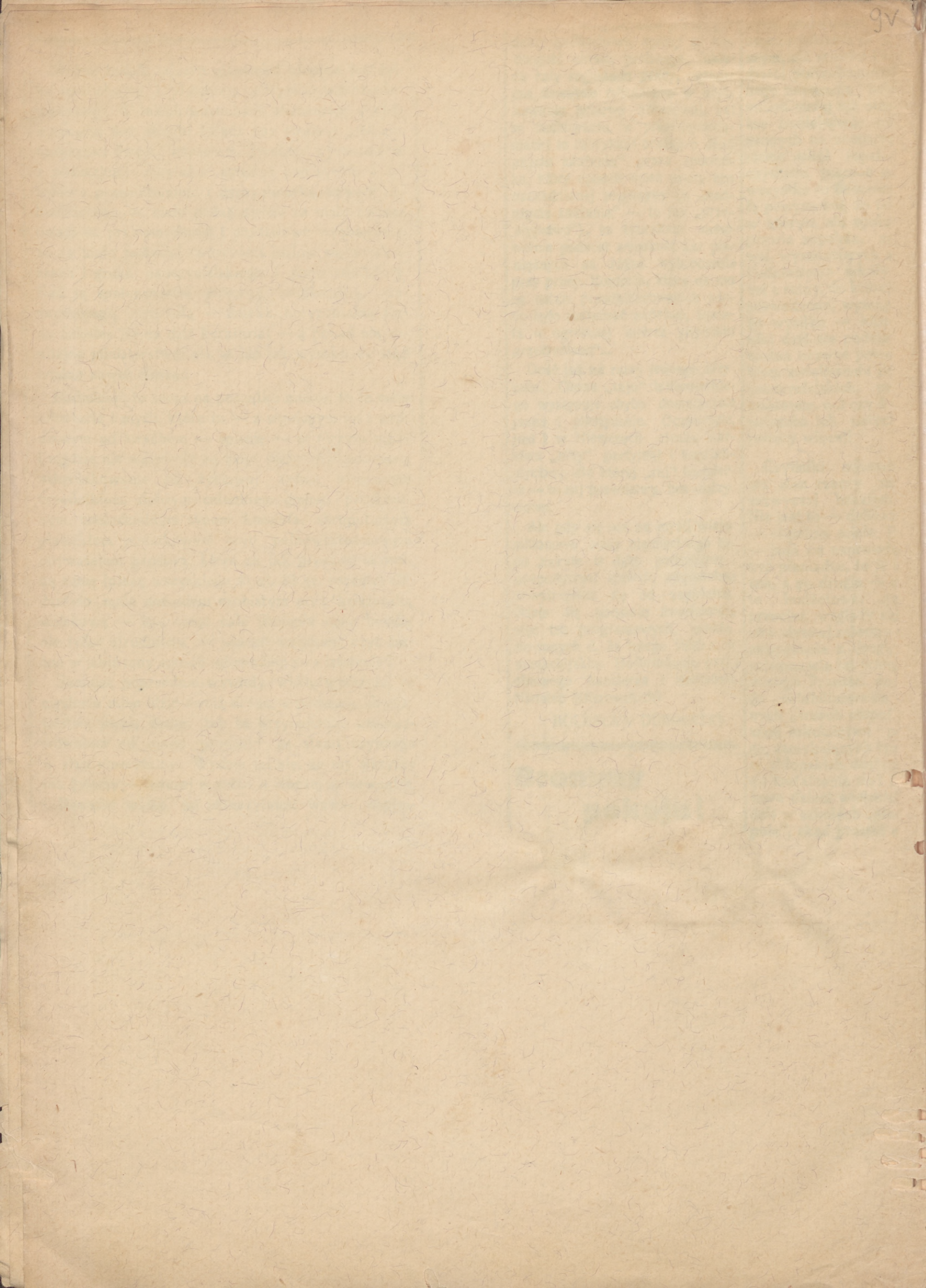
### ROZDZIAŁ TRZECI.

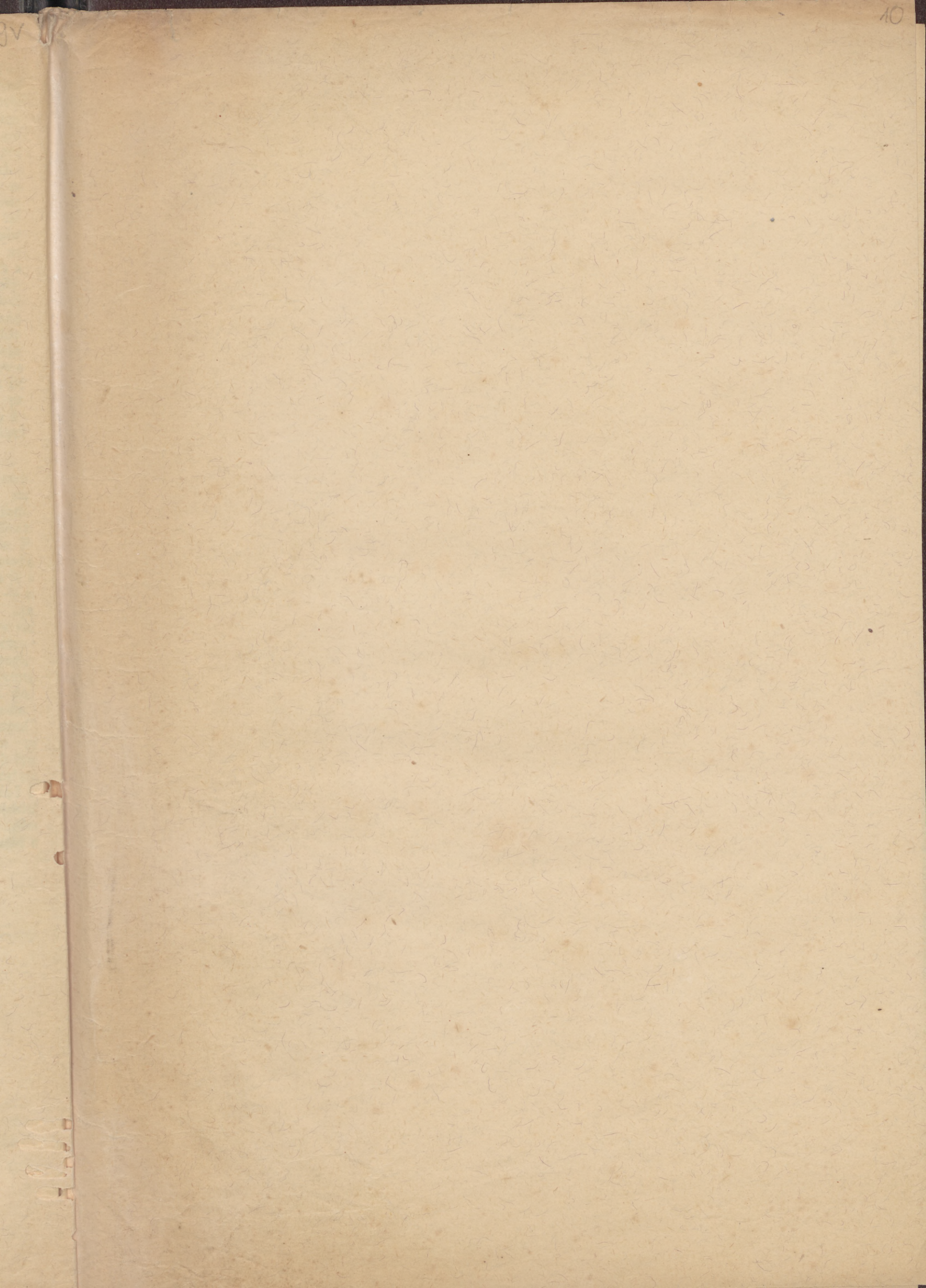
Rozpocząłem to pisanie raz dlatego, że mam dużo wolnego czasu, z którym nie wiem, co robić, a po drugie — z takiego jakiegoś wewnętrznego nakazu; trochę to podobne do przecucia, które tak chętnie nawiedza ludzi na prowincji; tu się ciągle czeka, że coś, że skądś, że ktoś — nagle i niespodziewanie! List, telegram — to są zdarzenia niepokojące! — Takie to nakazy gna mnie, każe, zmusza. Nie mogę się w żaden sposób oprzeć. Właściwie to nawet nie dobrze wiem, czego chcę. Tak ot.

Lecz jedno: czasy są ciekawe. Teraz dopiero mam możliwość trochę się im przyjrzeć; tym czasom. Pogadać to nie bardzo mam z kim. Zawsze byłem (je stem) nieśmiały i samotniczy. Z kolegami ograniczałem się w rozmowach do najkonieczniejszej wymiany myśli. Zresztą cała ta nasza rozmowa dotyczyła jedynie awansów, poborów, przesunięć, obniżek pensji; no, bo to jest dla urzędnika najważniejsze; przebudowa budżetu domowego — oto na czym mu życie upływa; w miarę zmniejszania się tej bilansowej budowy, muszą się i potrzeby i zachcianki kurczyć — tak, aby mogły się w tej budowie pomieścić. W wyobraźni, która mi się sama narzuca, widzę cały kraj zasiany malutymi jak pudełka gilz „Feliks” budyneczkami, w których mieszkają krasnoludki referendarze, krasnoludki radcowie, krasnoludki sędziowie, krasnoludki nauczyciele, krasnoludki starostowie, krasnoludki prokuratorzy; niedorzeczną mię wam, jak widać, grę wyobraźni.

(D. c. n.).









108

M

















**Emil Zegadłowicz**

4)

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Teraz dopiero, ściśle mówiąc, od kwartału zaczynam pojmować, że przecież wokół naszej poczty, i wokół naszego miasteczka z przedmieściami, wsiami i przysiółkami — dzieją się jakieś przemiany, jakieś zmagania, jakies, jak się to mówi, wielkie rzeczy.

Co?

Nie wiem.

Ale kto wie, czy z tego nie będzie wojny.

Jedną już przeżyłem.

Jaka będzie druga?

Z pozycji zakutej, zagubionej, nikomu niepotrzebnej i nikogo nie interesującej, zabitej potrójnym parkanem, prowincji — a pomiędzy tymi parkanami są głębokie rowy z gnijącą, cuchnącą wodą — z tej pozycji patrząc, z pozycji umierania na dzienne raty — to po tej pierwszej wojnie nic się właściwie nie zmieniło, zwłaszcza w człowieku i wokół niego. No, nic jak nic, ale nie wiele; nie

zmieniły się znaczki pocztowe tak samo ząbkowane i tak samo się je nalepia śliną lub gąbką, obrazki na nich są inne niż przedtem, to prawda; a treść listów, na które się je nalepia? zapewne te same smutki, miłości, wynurzenia i tragedie. Zmieniły się na pieniądzach herby i twarze, lecz przecież ich przyrodzona natura, każąca im się gromadzić w pewnych miejscach, a innych unikać pozostała niezmienną. I na powierzchni banknotów są pewne różnice; to też prawda; lecz są one minimalne. Natomiast geograficznie konfiguracja kraju uległa zmianie, powiedziałbym zasadniczej; ciężenie jest inne, np. stolica przesunęła się bardziej na północ; również i przepisy, dotyczące kroju oficjalnych szat na codzień i od święta są różne w wielu drobnych szczegółach. Cóż jeszcze? — no więc zasadnicza rzecz: emblematy i kolory, którymi wyrażamy naszą radość i nastrój uroczysty, wywieszając je z dymników domów naszych! Tak, to jest całkiem inne! — Poza tym jednak nie zmieniło się poza rzeczonymi parkanami wiele. Mówiąc szczerze: nic się nie zmieniło. Bieda, uganiaczka, otepa jest ta sama. Ludzie się tylko postarzelili. Cała moja generacja jest już na tym bliższym kole wokół smętarza.

Przyznam się, sobie się przyznam, gdy tak tu wcale zacisznie w tym małym pokoiku przy naftowej lampie piszę (w mieście jest elektryczność, ale tylko od wieczora, zresztą kilowat tak wyśrubowali

w cenie, że mnie to na nic, nikt też tu na przedmieściu biednym nie ma elektryczności, prócz fabryk, ale te mają przeważnie swoje motorki), że kiedyś przed laty przypuszczałem, że ta wielka wojna gruntownie wszystko zmieni, że się coś takiego stanie, że będzie jakaś wolność człowieka, jaka, tego nie umiałem powiedzieć ani nazwać, ale ja to czułem i dotąd czuję i zawsze czuć będę, a może i wiedzieć będę? — Medytowałem, że skończy się nie tyle bieda i udręka, ile puszenie się i wywyższanie człowieka nad człowiekiem, nieufność wzajemna ludzi, warstw i klas, że trochę radości w serca ludzkie wejdzie, że się sruba, korba czy koło przekręci na stronę tych, którzy wciąż tylko harują i pracują, z pracy ich wszyscy żyją i zyski ciągną, a sami pracownicy w nędzy tylko i poniewierce bytują; i jeszcze do tej odrobiny radości wracam, to mi się wydało ważne i wprost konieczne, przecież nic tak nie demoralizuje, jak brak radości i uśmiechu. My tu o tym wiemy najlepiej.

Tak sobie wtedy, któregoś dnia późnego lata, przeskakując z kamienia na kamień, aby się nie uciarać w błocie, myślałem, i, pamiętam, przyjemnie mi było z tymi myślami. Wtedy też takie przymusy w mózgu odczuwałem i też takie przecucia, jak dziś; ale wtedy wydały mi się całkiem uzasadnione.

(D. c. n.)

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

5) Ale gdy zaraz w listopadzie przed osiemnastu laty zobaczyłem (a przyszedłem rano do biura w jak najlepszej myśli, jakby w nowym przyjemnym ubraniu, i wyspany byłem, i z żołądkiem wszystko w porządku, a to w naszym siedzącym zawodzie bardzo jest ważne) w okienku — z jakimże biciem serca podnosiłem je punktualnie o godzinie ósmej—zobaczyłem te same ręce, te same, spracowane, brudne, stwardniałe, okaleczone, trzęsące się, zestrachane ręce — ohol wiedziałem już wszystko; a gdy nazajutrz i za tydzień i za miesiąc — tak samo i to samo — powiedziałem sobie: no to nie na wiele zdała się ta wojna, jeśli tak. Odrazu też wiedziałem, że zaraz zaczną się nowe zbrojenia, które znów pochłoną wszystkie siły i wszystkie pieniądze, że znów się to zacznie, to hasłowanie, że wszystko dla państwa, że nieprzyjaciel, że wróg, że siły rozkładowe, że idą czasy wielkiej — dla pracujących i biednych — surowości i abnegacji, wyścigów wszelakich, że znów myśli uśmiechnięte przewidywaniem zostaną stłamszone i żelazną maską okute jako przynoszące szkodę obronnym postawom narodów; tak to wtedy nagle na mnie i wyraziście przyszło, że ani nie wiem. Zaraz też poniosłem karę za tę moją mimowolną płochość myślenia przy okienku—pomyliłem się w wydawaniu o trzy korony dwadzieścia dwa halerze, oczywiście na moją szkodę. Nie była to wielka strata;

ale dla urzędnika każdy grosz ma znaczenie; tyle jest wydatkowych dziur, że miesiąc podobny jest do saka, rozpiętego na widelkach od pierwszego do pierwszego. Żyje się w ciągłym obliczaniu; w takich warunkach trzy korony dwadzieścia i dwa halerze mają swoje niebylejakie znaczenie; pomściło się! Krasnoludek pocziarz, zamieszkujący pudełeczko gilz „Feniks“ krótkie, drugi numer — dostał po paluszkach.

Nie mam jednak żadnej wprawy w pisaniu (— taki na przykład Kraszewski, jak jemu to sprawnie szło i co to popisał! — chciałbym tak umieć, choć nigdy nie marzyłem o tym, aby zostać literatem, lecz teraz by mi się przydała jaka - taka umiejętność pisarska), nie mam wprawy, wszystko mi się tłoczy pod pióro, naraz się tłoczy, jak podczas paniki, gdy się np. teatr lub kino pali. Ale bo też jest we mnie coś z takiej paniki: dziś rano, zaraz po obudzeniu się, tak pomyślałem: cała Europa — a może cały świat? — pali się, a dwoma bramami — bo tylko dwie bramy są — tłoczy się przerażona ludzkość. — Tak mnie ta myśl zaskoczyła i przejęła, że machinalnie wstałem i zacząłem się ubierać, a miałem jeszcze zamiar położyć trochę. Spozstrzegłem się dopiero, gdy zauważyłem, że stoję w oknie ze spodniami w rękę i drżę z zimna.

Czasem mi się zdaje, że ja nie mam dobrze w głowie. Choćby i z tą paniką! Europa! Świat! — Ale to daleko, bardzo daleko! — Tu nic podobnego dzieć by się nie mogło — bo tu się nic nie dzieje, tu wypełnia się zaganiane, obojętne, nic nie znaczące dni pomiędzy urodzeniem a śmiercią: sypie się piasek, dopóki się wór nie wypróżni; a wszyscy w tym piasku grzeźniemy.

Zrobiło mi się bardzo smutno; dość już na dzisiaj tego pisania.

Tylko to jeszcze (dla pamięci i skrupulatności):

16  
rozpocząłem to pisanie... pamiętnika?, historii zdarzeń? — czy ja wiem! zapewne wysypuje i ja mój wór piasku — w zeszyte o pięknej zielonej okładzinie, odcień tej zieleni jest bardzo przyjemny; papier wewnątrz miły w dotyku, gładki; linijki — liniowany jest papier — blade niebieskie; różowa bibuła wsysa atrament dobrze, co jest pewną rzadkością, te bibuły dodawne do zeszytów są zazwyczaj do niczego. Kupiłem go w rynku, ten brulion, w składzie papieru Melchiora Załaja — to stara firma, to już trzecie pokolenie Załajów, i na jednym miejscu! — za 45 groszy (razem z tą różową, dobrą bibułą; nawet nie drogo!). Kupiłem go więc u starego z dziada pradziada Wądołowiczana z urodzenia i, jeśli tak można powiedzieć, z przyzwyczajenia, zdaje mi się, że to się nazywa: cechy etniczne; lecz nie wiem na pewno.

Bo to przecież i ja jestem Wądołowiczaniem z urodzenia, przekonania, przynależności i, czasem tylko zachwianej, lecz głębokiej wiary w rozwój rodzinnego miasta, które ma wszystkie dane istnienia jeszcze kilka tysięcy lat co najmniej; najgorzej jest ustalić się miastu, potem to już idzie. Wądołów był wiele setek lat wsią, zanim wywalczył sobie przywileje miasta, należał raz do Księstwa Mściławskiego, to znów do Przetockiego (też księstwo), aż wreszcie ustalił swoją niezależność; przechodzili przez niego Szwedzi może i Tatarzy; w każdym razie historyczne miasto — to znaczy: ma swoją historię; i w każdym razie teraz może istnieć spokojnie kilka tysięcy lat a może i więcej; ileż w takim razie możliwości, ile czarownych zdarzeń? ile głębokich przemian czeka nas i potomstwo nasze (ja go nie mam, ale inni)? — to piękna myśl; i nie czuć w niej paniki.

(D. c. n.).

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Mówię o tym bezstronnie i bezinteresownie, boć przecież od dzieciństwa mieszkam na przedmieściu, a nie w śródmieściu Wądołowa! — miałbym więc uzasadnione powody do niezadowolenia, a nawet rozżalenia, a przecież nie żalę się; wcale się nie żalę; przeciwnie, mam miłość (do mego rodzinnego miasta), wiarę (w jego rozwój cywilizacyjny i kulturalny) nadzieję (że w przemienieniu się kiedyś na Wądołów Wielki — jak to pięknie brzmi: Wądołów Wielki — nawet miło popatrzeć na to szymbrowe połączenie: Wądołów Wielki — czuję, jak niejeden, z młodych Wądołowiczów powiedziałby: „fason nie?” — mam więc tę nadzieję, że w przemienieniu się kiedyś na Wądołów Wielki — oderwać się nie mogę od tych słów! — i przedmieście Kopyniówka zostanie wciągnięta w ściślejszy obręb miasta tak, jak swego czasu Podgórze do Krakowa, albo Praga do Warszawy, o czym nas historia poucza); mając — widziałem kiedyś taki brelok weneckiej roboty, to się nazywa mozaika, przedstawiający serce, kotwicę i krzyż, to była bardzo ładna robota — mając więc miłość, wiarę, nadzieję — posiadam to wszystko, czego potrzeba szaremu człowiekowi poza, oczywiście, emeryturą, aby żyć życiem wyższym, idealniejszym, życiem na miarę człowieka, któremu naczelnik poczty lub jego zastępca zaszko-

może. Emerytury chyba już nie obetną; jest mała, krągła i gładka — żadnych już chropowatości niebezpiecznych nie wykazuje, jest już dokładnie ogolona, jak ów agrest, który udaje winogrono.

O, gdybym umiał pisać (jak np. Kraszewski) powiedziałbym coś teraz, taką aluzję dowcipną bym zrobił o kwaśnych winogronach; tak samo, gdy mówiłem o szarym człowieku, koniecznie chciałem zahaczyć o szarą maść. Nie zrobiłem tego, bo nie potrafię. Musi mi wystarczyć suche zanotowanie.

### ROZDZIAŁ CZWARTY.

Coś tu trzeba, najwyższy czas, o sobie powiedzieć, czyli skreślić tak zwaną genealogię, to jest historię rodu. Nie przypuszczam, aby się ktokolwiek i kiedykolwiek zainteresował tymi gryzmołami — mam na myśli styl nie kaligrafię, pismo bowiem mam równe, nawet ładne, lubuję się w równym stawianiu liter, — ale na wypadek gdyby, nie chce uchodzić za anonima, jak owi przepisywacze rękopisów w średniowieczu.

Nazywam się Zydel, Jan w Oleju Zydel, kawaler; mówią: przystojny; szatyn, twarz proporcjonalna, wzrost 169 (sto sześćdziesiąt dziewięć) centymetrów; waga, (bez ubrania) 71 (siedemdziesiąt jeden) kilogramów; kości jestem grubej, więc, chociaż jestem raczej chudy, wagę stosunkowo dość dużo.

Z rodziny pochodzę długowiecznej; tak na przykład dziadek mój świętej pamięci Antoni Jan w Oleju Zydel, żył 96 (dziewięćdziesiąt sześć) lat, świętej pamięci ojciec Jan (Chrzciel) Kazimierz, który umarł sześć lat temu, przypadkowo zresztą, wpadł do otwartej piwnicy, tego typu, co to zazwyczaj w sieni, otwierane z góry, ciemno było, nie spo-

strzegł się, wpadł i zabił się, niezadowolnie byłby jeszcze pożył, miał lat 88 (osiemdziesiąt osiem); babka po stronie matki dożyła 101 (sto jeden) lat, a matka moja już ósmy krzyżyk na karku i wcale krzepko się trzyma; widzi doskonale, nawet przy czytaniu psalmów, co prawda w jej książce do nabożeństwa litery są duże i tłuste, okularów nie używa; umie te psalmy na pamięć, to też prawda, ale zawsze.

Jak z tych kilku powyższych dat widać, rodzice pobrali się w wieku późniejszym, niż to zwykło się dziać; na co tak długo czekali niewiadomym mi jest (to jakiś sztuczny zwrot, lepiejby było napisać: nie wiem; tak mi się zdaje), jak bowiem niejednokrotnie słyszałem, kochali się od młodości prawie. Coś im widać przeszkadzało, albo poprostu, zwyczajem tubylczym czekali na coś (odziedziczenie, dorobek własny, meble i t. d.); matki nie ma się co pytać, gdy tę sprawę, interesującą mnie, kiedyś poruszyłem, powiedziała mi: — idź że idź, cymbale, głupstwa się ciebie tylko trzymają.

Zaprastałem więc pytać.

Zapomniałem dodać, że jestem jedynakiem; miałem ponoć siostrę, która jednak urodziła się i umarła przed moim przyjściem na świat.

Ojciec mój, zanim się dorobił tego domku, w którym mieszkam, na przedmieściu, które raczej jest wsią, tyle, że ma kilka krzyżujących się dróg, zwanych ulicami, — domku i sadu sporego, bo przeszło półtoramorgowej powierzchni, z którego umiał wcale pokaźne ciągnąć zyski — był przez dziesiątki lat szewcem, takim flikerskim od lat i przyszczypków, gdy się to, dajmy na to, podeszwa rozkleja, czyli „rozdziawia”, język oberwie, obcasy zetną po jednej stronie, lub dziury pokażą koło kapek, co jest wypadkiem częstym i pospolitym.

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Ojciec mój mieszkał bliżej, o znacznie, znacznie bliżej śródmieścia, niż ja; wtedy gdy oddawał się swej wziętej i poszukiwanej specjalności -- mieszkał przy jednej z głównych ulic, zwanej wtedy (i dziś) Kozią; to znaczy nie całkiem przy niej, lecz w boczniccy, którą tworzyły cztery domki; za czwartym był płot, a za płotem już pola, a że te pola szły pod strome zbocze, więc zaraz, tuż, niejako na wyciągu ręki była ta linia, na której łączy się ziemia z niebem. W takim kącie właśnie, doprawdy na końcu świata mieszkał mój ojciec w małej, odnajętej też od szewskiej rodziny Kozłów, izdebce.

Po wielu latach, z których każdy rok jest jak olbrzymi but czasu wyłatany solidnie przyszczypkami, okapowany, z wyrównanym obcasem -- kupił mój ojciec od spadkobierców ostatniego Kozła ten domek, pomieszkałszy w nim jakiś czas, znów go potem sprzedał, a wreszcie przeniósł się na Kopyniówkę -- tak zwie się nasze przedmieście; sądzę, że pociągnął ojca w te strony sad; bo cóżby innego? -- ojciec lubił drzewa owocowe, cieszył się nimi, w ich cieniu, siedząc na trójmożnym, wklęsłym jak niecka szewskim zydlu (tu pewno rodowód na-

szego nazwiska) umacniał kołeczkami podeszwy, białymi, zgrabnymi kołeczkami, które kupował wprost w kołeczarni, czyli w fabryce kołków, jednej z czterech fabryk naszego osiedla. Wiosną brzęczały nad jego łysą, dookoła promieniami włosów okoloną, głową, pszczoły, a różowe i białe płatki jabłoni -- pod starą, rozległą papierówką najchętniej siadał -- opadały mu na ciemię, ramiona i ręce poczerńnięte smołą i dratwą zgrubiałe; czasem wpadały do wnętrza trzewików, butów, kamaszy i sandałów, otaczających go jak młode przywarowane pieski. Najładniej jednak było wtedy, gdy wiew nastręcał tych kwiatowych płatków dużo na wieniec rozwianych włosów ojcowych; wydawał się wtedy mój stary, jakiś weselszy, odmieniony. Takim pozostał w przyjemnej pamięci.

Tam w tym zaułku bezimiennym, boczniccy ulicy Koziej mieszkali prócz nas -- w dół licząc -- zacni Dziwlikowie, zasobni Sternalowie i gniewni Filowie; a ten właśnie czwarty, ostatni na świecie tym domek, to był ten dawniej Kozła, a później Jana (Chrzyciela) Kazimierza Zydla, świętej pamięci rodziciela mego.

Ojciec mój pochodził z rodziny „łaciarzy”, tak zwie się tu ogólnie stan małomieszczanski, bez względu na zajęcie, jakiemu się kto oddaje; niemniej wolno przypuszczać, że nazwa ta łączy się z zajęciem szewskim, które, widać, było tu, jak to się mówi, nagminne. Z takiej to rodziny od wieków w Wądołowie zasiedziały wywodzimy się.

Archiwariusz naszego miasta, dawno już emerytowany sekretarz magistratu, Konstanty Werk, wykazał na podstawie, z trudem odcyfrowanych dokumentów (część ich była uszkodzona dawnymi pożarami

18  
i zaciekami), że już w szesnastym wieku zajmowali się Zydłowie szewstwem. Bardzo się tym odkryciem ucieszyłem. Gdy się o tym dowiedziałem, przyszła mi zaraz taka ogólna myśl do głowy, że przecież wszyscy ludzie na świecie musieli mieć przodków w szesnastym wieku, a nawet dawniej -- choć nie wszyscy musieli mieszkać w Wądołowie; i to nas różni. Przy dobrej woli wszyscy ludzie mogliby się z sobą dogadać; tak przynajmniej myślę. I ci z Wądołowa i ci z Kądinąd. Bogaczów jedynie należałoby z takiego porozumienia wykluczyć, to są ludzie źli i na nic nie czekający, a nawet lękający się wyczekiwania istniejącego u innych; i tego właśnie nie lubię; ja wciąż na coś czekam.

Ród Zydłów jest, a raczej był, bo prócz mojej matki i mnie nie ma już nikogo tego nazwiska, tylko nagrobki zostały ozdobione tym autorstwem, jak książki, którym zostały tylko okładki, a kartki z wewnątrz wydarto -- otóż ród Zydłów był rodem w całym słowa tego znaczeniu zacnym i pobożnym, wszyscy zawsze należeli do bractwa różańcowego lub bractwa od nagłej i niespodziewanej śmierci. To szło z ojca na syna; i dopiero na mnie utknęło. Mnie się to zawsze wydawało za smutne i za ponure. I tak życie jest ciężkie.

Z również szlachetnego gniazda wywodzi się matka moja Agnieszka z Sternalów Zydłowa. Sternalowie byli naszymi najbliższymi sąsiadami; z dziada pradziada zajmowali się powroźnictwem. Ładny to fach i przyjemny; te szpagaty, sznury, powrozy, liny -- to bardzo wszystkie miłe, pożyteczne i takie jakby długie zajęcia; długowieczne; a ja to lubię; to mam we krwi.

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Sternalowie byli spowinowaceni z Łomzikami. — stąd, przez to małżeństwo szczęśliwe moich rodziców spokrewniliśmy się ze sławną zegarmistrzowską rodziną Wądołowa.

Mnie jako byłemu urzędnikowi pocztowemu to pokrewieństwo wyszło tylko na dobre; tak zegarek kieszonkowy jakoteż i budzik szły u mnie na włos, w specjalnie dokładne wyregulowanie moich czasomierzy wkładała firma Łomzik i Syn poprostu duszę całą; mawiali: to dla naszego krewniaka urzędnika pocztowego, to musi być tip-top. Tak też zawsze było. Dzisiaj już nie dbam o to. Spóźnianie zegara mnie irytuje, a jeśli sobie śpieszy, niech się śpieszy. Chętnie też posuwam na moich zegarach — tym kieszonkowym i budziku — wskazówki, w ten sposób mam czas wcześniejszy niż wszyscy.

Pradziadowie moi, bo i to należy wspomnieć, byli ludźmi wcale zamożnymi. W połowie osiemnastego wieku, jak tego dowiódł, wzwyż wzmiankowany nasz archiwariusz Konstanty Werk na podstawie zapisów tabuli i katastrów, Wincenty

Zydel, ożeniony z Zenobią z Kudasów primo voto Grudniewiczową — skupił w swoim zabiegliwym ręku prawie wszystkie parcele, oraz kilka domów i zagród ulicy Koziej; była to wtedy, co prawda to prawda, ulica nie tak rozbudowana jak obecnie; dziś stoi tu dom przy domie, piękne, spore, partetrowe domy z cegły, tynkowane gładko rajbetką, względnie szorstko „od kielni”; rzadko już który z drzewa; a wszystko kryte papą, solidnie, elegancko.

Rozbudowało się miasto; z tego też powodu druga fabryka naszego osiedla, fabryka papy — prosperuje dobrze.

Niegdyś, jak wiem z opowiadań mojej babki — stało przy ulicy Koziej jakieś osiem, dziewięć domów, przeważnie drewnianych, gontami krytych; istotnie „przeważnie” — bo tylko jeden był murywany i to z kamienia; w takich domach jest zimno, kamienie, tego zwłaszcza gatunku, jaki się u nas przydarza, t. j. zlepieniec gruboziarnisty, „pocą się” i przemarzają, jak się to mówi, na durch. Marzył też w nim jego niegdysiejszy właściciel, hycel wądołowski, Kacper Tuk. Po rozbudowie ulicy, musiał się rakarz miejski przenieść gdzie indziej; wycie psów mierziło ludzi. Syn jego zamieszkał również na Kopyniówce, w zarosłach wiklinowych, tuż nad brzegiem rzeki. Rozpaczliwe wycie nieszczęśliwych psów oto, że tak powiem akompaniament naszych marzeń sennych. W nocy bowiem tego wycia najwięcej. Rzadko się też zdarzy jakiś miły sen na Kopyniówce. Nic w tym dziwnego.

Dzięki babce mojej, wychowałem się, wolno mi

tak to określić, w atmosferze poezji. Umiała i lubiła opowiadać. Zasób jej bajek i gawęd był olbrzymi. Może je kiedyś spiszę, mam je dość świeżo w pamięci. Byłby to więc jakiś np. „Bajarz Wądołowski” lub coś w tym rodzaju; — a że u nas istnieje wcale pokaźna drukarnia tego właśnie, wspomnianego przezemnie z okazji kupna zeszytu niniejszego, właściciela księgarni Melchiora Załaja, będąca własnością — możnaby ten zbiór baśni, klechd i opowiadań wydrukować i ładnie i tanio w serii druków straganowych, którymi załajowska drukarnia specjalnie się szczyli, bijąc ilością ich i jakością na łeb i szyję Fajcingerów, Mołędów, Himmelblauów, Jeleni i Kurdysów, tych parycjuszy wydawnictw i odpustowego kolportażu druków straganowych. Ale załajowe są lepsze i ładniejsze. — Spisawszy baśnie, wyszedłbym na dzielnego literata, a to dzięki babce mojej oraz tej, już polityczno - państwowej okoliczności, że jako emeryt mam masę wolnego czasu, z którym doprawdy nie bardzo wiem co począć, a zachwalane przez jednych, ganione przez drugich zabijanie czasu wydaje mi się nie tylko takim samym zabójstwem, jak każde inne, ale wprost samobójstwem — zabijając czas, zabijamy siebie samych zanurzonych w nim jak węgorce w mulnej wodzie; czas nie wiele sobie robi z zabijania go; sądzę, że z równym skutkiem możnaby orać i bronować jezioro lub morze.

Tutaj tylko wspomnę, i to tak mimochodem, o tych osobliwościach, które dotyczą naszej dawnej ulicy; owych lat, gdy byłem obywatelem bliskim śródmieścia.



## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Otóż opowiadała babka, często opowiadała, że w obszernej piwnicy naszego domu mieszkał olbrzymi wąż, który w oznaczonych porach zjawiał się w izbie warszackiej na ciepłe mleko; miał swoją miseczkę blisko progu, i tam mu to mleko dawano; jak kotowi. Razu pewnego zaszła babka do piwnicy po denko od stągwi i zobaczyła jakąś migotliwą światłość — przeżegnała się nabożnie i bystro w tę stronę, skąd się ta światłość wyjaśniała, spojrzała — a tu na płycie kamiennej — nikt nigdy na tę płytę nie zwracał uwagi — leży zwinięty w kłęb ten wąż, głowę ma wyprostowaną, a na niej śliczną małańką, świecącą, jak gwiazda, koronę. Gdy się babka do niego zbliżyła — nie odczuła, jak mówiła, strachu zupełnie — rozbłysnął silniej, przygasnął i znikł; nigdy się już więcej nie pokazał u nas. Szukano zaraz pod tą płytą, lecz nie znaleziono spodziewanego skarbu; roje stonóg były pod nią; co też jest dobrze, bo stonogi, jak zwykle się u nas ogólnie wierzyć, sprowadzają dobrobyt; są też niezbitym dowodem, że w domu, w którym chętnie przebywają jest wilgoć; stonogi suchych miejsc unikają.

Innym razem w ogrodzie Sternalów zaczęły się nocami pokazywać ogniki żółte i niebieskawe, raz tylko żółte, innym razem tylko niebieskawe, to wre-

szcie oba razem; z początku rzadko, później coraz częściej; wszystkich to zastanowiło i zaniepokoiło. Stary powroźnik Sternal przekopał całą łączkę pod orzechem włoskim — tam bowiem pojawiały się te płomyki najczęściej w obu kolorach — lecz nic nie znalazł; nazajutrz po tym przekopaniu znaleziono pod orzechem włoskim kilka miedzianych pieniążków z czasów Marii Teresy. Sąsiedzi radzili kopać dalej; istotnie zabrano się do tego z energią; nie odkryto jednak niczego prócz kilku czerepów glinianych naczyń, wśród których babka moja rozpoznała szczątki dzbanu z zębioną polewą, który przez długie lata służył w domu jako naczynie, do którego łapano deszczówkę. Odnoszę wrażenie, że w tej całej historii zanosilo się na coś, lecz nic z tego nie wyszło; to pasuje do Wądołowa. Na Kopyniówce nawet się nie zanosilo na nic.

Osobliwsze jednak od tych dwu przytoczonych zdarzeń wydaje mi się następujące:

brat babki Benedykt zwiedzał, jako żołnierz stacjonowany w Fluchtburgu, starożytnym mieście jednej z południowych prowincji Austrii Dolnej podziemia tamtejszego kościoła parafialnego, sławnej gotyckiej katedry.

Nawiasem dodam, że przywiózł z tamtąd sporo obrazków, mówił, że to się nazywa „sztychy” i że to ma dużą wartość, również i fotografie lśniące, różowego koloru, bardzo ostre i nieprzyjemnie lśniące, takich fotografii już się dziś nie spotyka, jedynie stary Dyp, odwieczny fotograf wądołowski robi jeszcze takie, ale nikt się też chętnie u niego nie daje „zdejmować”, chyba z nagłego musu, przy zmianie legitymacji urzędniczej, czasem „młodzi państwo” z odleglejszych wsi; otóż tych „sztychów” i fotografii nie pokazywano mi przez długi czas; na

20  
moje nalegania odpowiadano mi, że mam jeszcze „daleko pod nosem” i t. p. Dopiero, gdy już byłem na posadzie dostały się w moje ręce; istotnie nie dziwię się, że je przede mną ukrywano; były to ry sunki („sztychy”) i zdjęcia fragmentów rzeźb, którymi ozdobiony był portal i wieża katedry w Fluchtburgu; były one tak wyuzdane i nieprzyzwoite, że aż dziw bierze, skąd ludziom takie pomysły do głowy przychodzą. Najbardziej jednak zdumiewał mnie taki fakt — o rzetelności „sztychów” można by wątpić, zawsze to „sztuka” i można zostać nabranym, ale fotografia jest fotografią, soczewka oddaje to co widzi, jakże różnie np. od ludzkiego oka!, że te wszystkie bezceństwa zdobiły dom boży! Taka dajmy nam to scena szatana z zakonnica, albo wyobrażenia grzechów głównych, płaskorzeźba, wyobrażająca przeobrażenia szóstego przykazania — to były tak strasznie podniecające wyobrażenia wizerunki, że... nie! nawet się nie silę na oddanie tych wszystkich myśli, uczuć i podburzeń, jakie one we mnie wzbudziły. To jedno wiem na pewno, że gdyby takie ohydy znajdowały się — co zresztą uznać należy za zupełnie niemożliwe — na kościele parafialnym w Wądołowie — kazałby je nasz proboszcz niewątpliwie zedrzyć ze ścian i potłuc tak, jak się tłucze kamienie na wysypywanie gościńców. U nas nie wolno kobietom, a nawet dziewczynom wchodzić do kościoła bez długich po dlonie rękawów. Ileż to razy widziałem u naszej krawcowej p. Jadzi, jak do bluzek o krótkich rękawach przyszywano zatraski, do których przymocowywano długie rękawy na czas pójścia do kościoła, potem odpina się je i chowa do torebki, gdy się np. idzie na spacer lub gdzie indziej.

(D. c. n.).

## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Tak, tak — nas: proboszcz, którego ogólnie — folgując wyśmiewności ułomnej natury ludzkiej — nazywają tutaj „białym szcurem”, jako że jest nalanym i ma mączastą cerę, a z poza złotych okularów patrzą z tej pulchnej twarzy oczka prędkie i chytre — o, tak — onby nie zniósł takich bezceństw rzeźbiorskich — wierzyć się po prostu nie chce — w epokę najbujniejszego rozkwitu żarliwości religijnej. Jakies inne były czary, inni ludzie, no i nie działo się to w Wądołowie!

Lecz widzę, zagalopowałem się. Dodam tylko prędko, że te „sztychy” i fotografie, które stały się własnością mojej matki — zakupił radca sądu wądołowskiego p. dr. Szajder, który lubował się w zbieraniu przeróżnych starożytności, jako to: obrazów, książek i tym podobnych wytworów artystycznych.

Wracam do głównego tematu — chociaż, gdyby się mnie kto zapytał, co jest w moim wyobrażeniu głównym tematem moich notatek, byłbym nieco zakłopotany, nieco, bo w głębi ducha wiem, do czego zmierzam, bez tego przecież wiedzenia nie byłoby sensu, aby poczciarz-emeryt psuł papier, atrament, pióra i wyświecał naftę, poza normalny kontyngent; w tej chwili tematem jest osobliwe przydarzenie

brata mojej babki Benedykta. Otów zwiedzając, jak rzekłem, podziemia katedry, dotarł był do jakiejś, na uboczu znajdującej się, rozległej groty, w której znajdowało się dużo kościotrupów porozsypywanych i zgarniętych na kupę; nie przynależące do siebie piszczele, czaszki, żebra, golenie, wały się pospołu z rumowiskiem i pyłem; bardzo to było nieprzyjemne, mawiał „zimny dziadek” Benedykt; i ja tak samo myślę; poza tym nie lubię nieporządku. Pośród tych rumowisk, czy jak to nazwać, znajdował się jeden kościotrup — wąskiej budowy — rec by można szczupły; stał oparty o ścianę w tej pozycji, jak to w prowincjonalnych miasteczkach spotkać można w skwarne letnie południe, gdy to różni włóczędzy, rataje, pomocnicy rzeźniccy wspierają plecami mury propinacji, wysunawszy nogi aż na środek trotuaru, tak, że mijając ich, trzeba iść samym krajuśkiem, przy czym często stonę ześlizgnięcie się z krawężnika i wpada do rynsztoku — wtedy brudna woda opryskująca nam skarpetki i nogawice, wywoływać zwykła gniew oraz rozdrażnienie, czasem nawet myśli pesymistyczne. Otóż w takiej to mniej więcej pozycji oparty był ów wąty, samotny kościotrup, gdy gefrejter Benedykt, gefrejterem już wtedy był, przechodząca mimo, sięgnął — jak mówił — mimowoli do szczęki tego kościaka, a przekonawszy się, że zęby — śliczne i równe — tkwią w niejako uśmiechniętej paszczęce luźno — nie wiele myśląc, wyjął jeden i zabrał go z sobą na pamiątkę.

No i nic; nawet zapomniał o tem zdarzeniu; wreszcie przy przenoszeniu się do innej miejscowości, zagubił gdzieś ten ząb, w czym nie ma nic dziwnego, jest to bowiem przedmiot nieduży.

Minęło kilka miesięcy — aż tu zaczynają Bene-

dykta nachodzi i trapić sny osobliwe, uparte i jednostajne. Oto zjawiała się mu w widzeniu sennym śliczna kobieta — zbliżająca się do niego jakby z błękitnawej mgły — nachylała się nad nim — patrzyła na niego groźnie i żałośnie; z początku nie mówiła nic — później coraz częściej i stanowczej zaczęła przemawiać, i zawsze tylko to jedno krótkie zdanie: oddaj mi ząb! oddaj mi ząb! — przy czym ręką zasłaniała usta.

Benedykt, który już w międzyczasie awansował na zugsfirera, to był jeden ze zdolniejszych ludzi w naszej rodzinie, obrotny, wygadany, obyty, zaczęły te sny niepokoić i denerwować; doszło do tego, że bał się nocy i z trudem zasypiał, on, który zawsze cieszył się dobrym snem, a jego chrapanie było nawet sławne na całej ulicy Koziej i w ogóle w Wądołowie; sławę tę, tak mniemam poniósł z sobą do wielu miast, w których podczas swej szybkiej kariery wojskowej wypadło mu przebywać; dziadek Benedykt nie zwykł światła kryć pod korcem, — Lecz teraz naszły nań ciężkie czasy złych snów, których ani od siebie odgonić nie umiał, ani się do nich przyzwyczaić. — Z pewną łatwością domyślił się, że ta zjawia, to jest właścicielka tego kościotrupa, któremu w podziemiach katedry w Fluchthurgu zabrał nieoględnie ząb. Począł go znów gorączkowo szukać; przetrząsnął cały kufer, przetrzępywał chusteczki do nosa, onuce, ubrania; wywracał wszystkie kieszenie, lecz prócz „kumetów”, czyli pokurczonych koniuszków kręconych papierosów, przechowywanych, po zagaszaniu poślinionymi palcami, na „czarnej godzinie” niczego nie znalazł. Zęba nie było; kamień a woda.

(D. c. n.)

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Tymczasem sny stawały się coraz natarczywsze; aż też dnia któregoś zjawiała się śniona kobieta — mówię dnia, bo zmęczony zugsfirer Benedykt zasnął był w godzinach popołudniowych w ubraniu — zjawiała się groźniejsza i tragiczniejsza, niejako bardziej wymagająca niż zazwyczaj: oddaj mi, żołnierzu, ząb! krzyknęła; przyczem po raz pierwszy odsłoniła w faworze usta — w pięknym uzębieniu brak było w górnej szczęce jednego zęba; to był ząb przedni — dodawał zawsze dziadek Benedykt, opowiadając to zdarzenie — i to, mawiał, tłumaczy wiele; może nie byłoby się stało to, co się stało, gdyby to był ząb trzonowy, niewidoczny; kobiety żywe i umarłe są jednakie, dodawał sentencjonalnie; — tak więc zaniepokoiła popołudniowy sen tym krzykiem: oddaj mi, żołnierzu, ząb! — a gdy c. k. zugsfirer właśnie otworzył usta, by wytłumaczyć się, przeprosić za swój nieopatrzny i nieoględny czyn, powiedzieć, że go, niestety, zgubił i że za to też przeprasza — to strzyga weredna sięgnęła gwałtownie drapiezną ręką w jego rozwarte usta i uchwyciwszy jeden z zębów silnie za koronę, szarpnęła nim, aż w szczęce chrupnęło, i wyrwała mu go.

Benedykt zbudził się pełen bólu i przerażenia. Zęba istotnie w szczęce nie było; została po nim szczer-

ba jak w płocie, gdy wyrwiemy zeń jedną sztachetę. Gdy sobie odtwarzał w pamięci wszystkie okoliczności z tym bądź co bądź dziwnym zdarzeniem związane — przekonał się, że akuratnie w rocznicę swego w owych podziemiach czynu lekkomyślnego, w rocznicę i godzinę tęż samą — to się również popołudniu działo — przyszła ta kobieta z zamiarami rewidykacyjnymi, które też w pełni wprowadziła w życie.

I ząb był ten sam, t. zn. przedni tuż przed siekaczem. „Tylko mi to dziwno — kończył zazwyczaj swe opowiadanie Benedykt — co ona z nim zrobiła, przecież to był znacznie większy ząb“ — sentencjonalnie, za co go zawsze podziwiałem, niejako machnął słowem: „już tam ona sobie dała radę, spryt kobiet jest nieograniczony“.

Niestety w całej tej osobliwej sprawie musiałem zdać się w zupełności na wywody dziadka Benedykta; wśród pięknego i równego grenadierskiego rzędu zębów brak było istotnie jednego; lecz przecież przyczyny utraty zęba bywają rozmaite; — z drugiej jednak strony trudno nie wierzyć człowiekowi starszemu, ze wszech miar godnemu i tak wybitnemu członkowi rodziny, jakim był niezawodnie dziad Benedykt c. k. feldfebel — do takiej bowiem doszedł godności dzięki wiernej służbie dla państwa, które było dla niego zawsze suprema lex, w czym stawiano go nam za wzór, podkreślając sutą emeryturę, jakiej się dosłużył.

Takimi i to i tempodobnymi zdarzeniami karmiła się moja młodość.

Gdyby ktoś powiedział, że te opowiadania, to znaczy treść ich — a było ich tyle, żeby tego na wólowej skórze nie spisał — są nieprawdą — odrzekłbym mu: — może są nieprawdą, lecz napewno nie

są kłamstwem; są po prostu snami na jawie, czyli: czymś, za czym tęsknię wciąż.

Życie moje nie obfituje w ciekawe zdarzenia, właściwie to nie ma w nim żadnych zdarzeń; jakież-bowiem można mieć zdarzenia, siedząc przez dwadzieścia pięć lat za okienkiem pocztowym; za okienkiem podnoszonym do góry? za okienkiem przez które widać brudny, ciemny kurytarz rojący się rękami, które swe głowy wtlaczają niecierpliwie w prostokątny otwór w ścianie, żadne wieści, pieniędzy i paczek żywnościowych; czasem potwierdzenia miłości. A czy w tym wszystkim niema kłamstw więcej niż w najbardziej niewiarygodnej baśni?

Tym bardziej też żyłem i żyję wyobrażaniem sobie — jakby to powiedzieć? — drugiej strony najpospolitszej powszedniości; tak samo również patrzę na ludzi; z kimkolwiek się spotykam, z kimkolwiek mówię — zawsze dopatruję się po za jego zwyczajnym obliczem drugiego, odmiennego, wprost kontrastującego, za każdym powiedzeniem węższą inną, odmienną, jakoby dalszą i właściwszą treść. Przez lata mego monotonnego życia nauczyłem się traktować ludzi jako jestestwa niewłaściwe i ich powiedzenia również za niewłaściwe uważam. Sądząc po sobie — dopatruję się w myślach ludzkich zarzewia nurtującej nas bez przerwy buntowniczości; w myślach, oczywiście, utajonych.

Może to wszystko, cały ten galimatias, z którym nie umiem sobie dać rady, skłonił mnie do zapisywania kart tego zeszytu, kupionego u Melchiora Załaja? — możliwe. I to pytanie: czy pióro moje ślizgające się gładko po lśniącej powierzchni papieru — nie ślizga się równocześnie po powierzchni kłamstwa?

(D. c. n.).

**EGZYSTENCJE**

Powieść współczesna

Część pierwsza:

**WIELOBOKI**

Jedno dla mnie jest jasne. najsilniejszym bodźcem — to nie ulega wątpliwości — właściwą, i jak dotychczas jedyną wartością mego życia, to znacząca dla której warto było żyć i, co ważniejsze, która daje mi poczucie potrzeby życia — to spotkanie na mojej drodze, odśrodkowej w pragnieniu a dośrodkowej w praktyce, człowieka, ziszczającego i skupiającego, w moim przynajmniej przeświadczeniu wszystko: piękno, niefrasobliwość, poezję, czar osobowości i osobliwości, baśniowość realną, nowość wszelką, oraz to czego nie ośmieliłbym się nikomu powiedzieć: radykalizm, prometeizm, kontrowersję, buntowniczość, a przede wszystkim, przede wszystkim: fantazję, fantazję, fantazję!

Gdyby mnie nic w życiu nie spotkało, prócz tego, że danem mi było znać i przyjaźnić się z tym człowiekiem — to już byłoby dosyć; aż nadto!

W tej chwili widzę to jasno i najwyraźniej, że właściwie całe życie moje jest poświęcone admiracji i adoracji mojego przyjaciela (bo jakimże innym

słowem mam określić mój stosunek do tego wspaniałego człowieka). Od lat patrzę jego oczami i dostrzegam nimi więcej niż własnymi; tak też i przez jego w moich uszach słuch przesiewają się dźwięki wzbogacone tym podwójnym odbiorem; kieruje się jego zmysłami, myślę jego myślami, czuję jego uczuciami. A myśli jego są bujne i rozrośnięte, sięgają daleko poza Wądołów, poza powiat, poza województwo; są jak rozłożyste drzewo, którego zasięgu owocujących gałęzi nie krępują płoty. Uczucia jego są gorące, życzliwe wszelkiej odmianie; niezwykajny człowiek. Gdyby chciał mógłby z łatwością zostać naczelnikiem poczty, większej niż wądołowska, mógłby też i dyrektorem gimnazjum zostać czemu nie, albo starostą, czy czymś takim; wszystkim! — Nie chciał! — wolał być bezpańskim wisuśm i niepanoszącym się lekkomyślnikiem.

Takj inny! taki nie z tego wądołowskiego świata! — Ileż razy, gdy mi nazbyt życie dopiekło jak za ciasny trzewik, gdy mnie już tak ścisnęło, że mi łzy z oczu płynęły — ratowałem się myślą: patrz, Jasiu, przecież i on jest wądołowiczanie! — To mnie uspakajało! dodawało otuchy! ośmielało i przekonywało, że przecież nie wszystko stracone! Że może i dla mnie....

Równe dziesięć lat mija jak go nie wiazałem. Ścisłe: dziesięć lat i miesiąc; bo to było w kwietniu owego roku tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego, a teraz mamy maj trzydziestego szóstego.

Szmata czasul

23  
Dochodziły mnie wieści o nim rozmaite, to, że przez jakiś okres prowadził teatr objazdowy — cóż to musiał być za teatr! on — taki artysta, taki we wszystkim artysta! — a jak ja lubię teatr! — u nas nawet amatorskiego niema! — to znów, że jakąś akcję odczytową zorganizował, lecz nie mogłem się dowiedzieć jaką; nigdy nie chciał być nr widoku na oczach wszystkich; był dyskretny; lubił żyć w cieniu, w swoim cieniu, bo w czymże by — nie ma cienia na jego miarę. — Umiał też wspaniale dawać nura w przestrzeń i w czas — długo wytrzymał pod wodą i wypływał, gdzie się go najmniej spodziewano.

Pisać nie lubił; nie lubił pisać listów; przeto też cokolwiek wiem, wiem tylko ze słuchu, z plotek i z domniemania.

Ale to może i lepiej.

Przez tych dziesięć lat i jeden miesiąc urósł w mojej świadomości do rozmiarów sędziego i sprawdzianu.

Setki razy w epoce tej rozstania — ba! codziennie — przy każdej wątpliwości, a ileż ich życie nastęcza! masę! — przy każdej śmielszej myśli pytam się: co on by na to powiedział? jakby się zachował? jakby zareagował? — I zaraz znachodzę najtrafniejszą odpowiedź, najlepsze wyjście z sytuacji, najkonkretniejszy sposób postępowania.

Nie ma go — lecz jest!

Po prostu zawdzięczam mu wszystko!

Jemu: Rudolfowi Istinkowski

(D. c. n.).

## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Kopyniówka — tak zwie się przedmieście Wądołowa, położone na południe od miasta — jest osadą złożoną z kilkudziesięciu nieregularnie rozrzuconych domów, przeważnie drewnianych, niskich, potulnych, po prostu chłopskich.

Tu mieszkam wraz z matką.

Domek nasz, podobny do innych — jak i system życia tutejszego podobny jest jeden do drugiego, jak nawet i twarze, ruchy, sposoby wyrażania się — jest nieco czystszy i ochędźniejszy dzięki opiece, pamiętliwości i pracowitości matki mojej, która go od wielkanocnych tygodni począwszy co jakiś czas czyści, szoruje, bieli, a od dołu na jakiś metr pociąga wapnem z sadzami, co tworzy ciemno popielaty pas przez co reszta ścian tym bielsza się wydaje.

Struktura domku jest zwyczajna; więc najpierw to, że jest z drzewa na podmurówce, która właśnie jest tym ciemnym pasem od dołu; na niej spoczywają obciosane tramy, nie wiele ich jest i grube też nie są, przez co domek jest niski; ojciec zawsze myślał o tym, żeby go deskami obić — ze sto razy rocznie powta-

rzał: „trzeba by go oszalować“; jakoś nie doszło do tego; ja już tych marzeń nie mam; koszt duży i po-prawdzie mówiąc, nie mam zainteresowań w tym względzie. Przychodzi mi na myśl, czy też całe moje pokolenie nie jest obojętniejsze na te sprawy, które-by można nazwać dbałością o swój dom, troską o za-gospodarowanie się, poczucie trwałości dobytku it.d. — wojna, choćby daleka, bardzo swoiście odnosi się do prawa własności i do pojęcia trwałości dóbr ziem-skich; to tak jakby się poddany jakiegokolwiek pań-stwa chciał w bitwie kierować przykazaniem „nie zabijaj“; całe szczęście, że księża są zwolnieni ze służby wojskowej; jakżeby się strasznie męczyli na wojnie w ciągłej będąc sprzeczności ze sumieniem i głoszonymi zasadami; boć przecie zasadą i cnotą i przykazaniem na wojnie jest „zabijaj“; kto pierw-ej i więcej zabije tych, których plakaty i obwieszczenia ogłosiły „wrogami“, ten zwycięża. Dekalog i inne dogmaty zostały stworzone na czasy pokojowe, któ-rych przecie jest znacznie mniej, niż czasów wojen-nych; z tego wynikałoby, że... czuję, iż możnaby tu jakąś mądrą myśl wysnuć, ale na to trzebaby mieć większe wykształcenie, niż ja mam.

Wracam więc do domu. Na przestrzał przez całą jego szerokość biegnie sień, w niej znajduje się ma-giel, stągiew na wodę, beczka z kiszoną kapustą, ła-wa i różne sprzęty domowego użytku; z tej sieni pro-wadzą strome schody obite deskami pomalowanymi brązową farbą na strych, obok magła są podnoszo-ne drzwi do piwnicy; to miejsce stało się katastrofą dla mojego ojca.

Na prawo od drzwi wchodowych jest duża izba, taka świetlica niby; na lewo dwie pomniejsze stan-

cyjki i kuchenka. W pierwszej z tych stanczyjek mieszkam ja, w drugiej matka. One mają wspólny piec kamyczkowy, co jest oszczędne ze względu na opał; wprawdzie węgle kupujemy od tych nędzarzy, którzy z biedaszybów jadą dziesiątkami kilometrów ze swym towarem — ale i tak jest opał bardzo drogi; co mnie nawet dziwi, bo ponoć złóż węglowych ma-my dosyć; pisma mocarstwowe pouczają mnie w tym względzie, że musimy się fest trzymać w eksporcie, bo to prestige; możnaby odpowiedzieć: co mi tam prestige, gdy ludzie marzną; możnaby tak odpowie-dzieć, ale lepiej nie; bowiem lepiej wewnątrz być głodnym i zmarzniętym, a za to na zewnątrz, od święta przynajmniej, wystrojonym wspaniale, prze-cież nawet przysłowie mówi: jak cię widzą, tak cię piszą. Dlatego też obcokrajowcom pokazuje się, gdy do jakiegoś państwa zajadą, mało, ale zato dużych rzeczy: gmachy państwowe, rewie, opery, poza tym wypełnia się im czas jadem i napojem. Gdy czasem czytam, że np. Anglicy przyjechali do nas — myślę sobie, żeby tak na Kopyniówce zamieszkali ze trzy dni! — lecz zaraz odpędzam od siebie to niedorzecz-ne pomyślenie.

Co zaś do tej ciepłoty w naszym domu, to trzeba powiedzieć, że i od paleniska, które matka chętnie utrzymuje cały dzień, tam bowiem najchętniej prze-bywa — to znaczy w kuchni — rozgrzewa się środ-kowa ściana, tak, że na ogół jest u nas w porach chłódów, a te trwają około sześciu miesięcy, wcale ciepło i przyjemnie.

(D. c. n.).

## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Izba po prawej stoi pustka. Są tam w niej takie odświętniejsze meble — stół jesionowy nakryty czeratą, krzesła z rzeźbionymi poręczami, dwie szafy politurowane, jedna obok drugiej, i obfite łóżka wysoko ustertowane pierzyną i licznymi poduszkami. Matka tak lubi. Nad łóżkiem jest dywanik — tak go od dzieciństwa pamiętam — jeździec na siwym, jabłkowatym koniu, z pięknie zaplataną wstążkami grzywą, trzyma na wyciągniętej, przybranej długa po łokieć, rozszerzającą się rękawicą, rękę — sokoła; dywanik ten był niegdyś bardzo kolorowy — czerwony, zielony, żółty, niebieski; sokół to wyglądał wprost jak papuga. Z czasem spelzły barwy, papuga (sokół) wypłowiła, mole też się do tkaniny dostały, dobrały się od spodu zwłaszcza; matka go obniżyła, żeby tych miejsc, z których tylko kanwa została, nie było widać; teraz koń dotyka brzuchem pierzyny — tak jakby przepływał bród kanału, w którym płynie leniwie barszcz zabieleny.

Tu i tam jeszcze po ścianach obrazeczków kilka: fotografia ślubna rodziców, lśniąca, z atelie Dyp, zaświadczenie moje z pierwszej komunii, drugie mniejsze z odbytego bierzmowania, na dywaniku okrągły wizerunek klasztoru kalwaryjskiego z unoszącą się ponad nim Matką boską, ramki przy tym

obrazku są ułożone bardzo zgrabnie z muszelek małych ślimaków; obok okna wisi lustro tak przez środek na sznurze zawieszone, że widać w nim całą postać, gdy się w nim przeglądać, w takim jakos skrócie, że zaraz ponad kolanami wyrasta wypukła pierś, na której wspiera się bez szyi głowa; bardzo to jest zabawne, niestety, sama piątka lustrzana odbija postać trochę nieregularnie, tak, że cały opisany tu przezemnie skrót pływa jakby w ruchliwym strumieniu. Mnie, gdy się dłużej wpatruję, robi się nie dobrze i zaczyna mnie mglić w dołku.

Gdy, jeszcze w owych szczęśliwych czasach — gdzie one! — Rudolf przychodził do mnie — nocował w tym pokoju, który przez to wspomnienie nabrał dla mnie pewnej świąteczności. Matka bardzo tych nocowań nie lubiła, poprostu nie znosiła. Istnisko, to prawda, nie należał do najczystszych ludzi; nie dbał o zewnętrzną; skóra i ubranie były mu równo obojętne; jego lotny umysł nie chętnie zajmował się drobiazgami, myśl jego żywa, ruchliwa, a nawet, powiedziałbym, niespokojna, nie zatrzymywała się w sferze codziennych i powszednich spraw.

W każdym razie nie zatrzymywała się chętnie, a już nigdy, przenigdy dłużej niż tego wymagała absolutna konieczność.

O ile matka żliła się i pomrukiwała pełna niechęci w takich wypadkach nocowania, o tyle ojcu było to mniej więcej wszystko jedno; uważał poprostu Rudolfa za baciara i już. Osądzał go prymitywnie i jakże, moim zdaniem, krzywdząco! — Uważał jednak, że należy mu przyładzić, jak tu mówią, „nocnik”, ponieważ każdy człowiek chce spać, potrzebuje snu, i, bez względu na jego zewnętrzne i wewnętrzne właściwości, należy mu w tem dopomóc, gdy się taka okazja zdarza. Prymitywizm ojca, jak

widzimy, miał podkład uczuciowy i bardzo ludzki.

Lecz wogóle ojciec był raczej surowy; nie to, żeby mnie na ten przykład bił więcej niż inni ojcowie; nie; raczej mniej, lecz w całym wzięciu jego, w powadze ruchów, w wyrazie twarzy, a zwłaszcza w spojrzeniu badawczym i jakby na zapas karzącym — miał coś takiego, co wzbudzało szacunek bardzo podobny do strachu. Bardzo się też bałem ojca, chociaż widzę to wyraźnie, że nie było czego. Lecz te rzeczy są od nas niezależne; strach jest nam wrodzony i wszyscy żyjemy w ciągłym strachu; i to jest uzasadnione, przecież w każdej minucie może nas spotkać wszystko najgorsze.

Naogół był mój ojciec bardzo zrównoważony, precyzyjny, skrupulatny jak zegarek z dobrej firmy szwajcarskiej; a są takie precyzyjne zegarki, nazywają się „Omega” (jest to o ile pamiętam ostatnia litera w alfabecie greckim); alfa, beta, gama, delta... mi, ni, ro, sigma, tau — a na końcu omega — tyle pamiętam, chociaż przesiedziałem masę godzin w kozie za ten alfabet i po karku też zbierałem od profesora tego — w żaden sposób nie chciało mi to wleźć do głowy, kładłem książkę pod poduszkę — nic nie pomagało — wreszcie jakoś to wkutem do łba; od tego czasu po dziś dzień ani razu mi ten alfabet nie był potrzebny, a dziś znów widzę, że go nie lat temul — Lecz swoją drogą, słowo daję, że do umiem dokładnie; no ale nie dziwota — trzydzieści dziś czuję rozgoryczenie — tyle mnie tem namordowano — i na co? po co? — co mi z tego przyszło? i komu? — Szkoły to są poprostu uprzywilejowane i usankcjonowane instytucje sadystyczne; nie mówię tego na podstawie tego głupiego alfabetu, lecz mam na to tysiąc innych dowodów.

(D. c. n.).

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Więc: ojciec mój był jak ten zegarek z dobrej firmy szwajcarskiej; precyzyjny we wszelkich zjawiskach życia: jako głowa rodziny, jako rzemieślnik, jako obywatel. Pozatem bogobożny i religijny; — od rana śpiewał pieśni nabożne; dom nasz rozbrzmiewał jak klatka, zamieszkała przez muzykalnego kosa. Życie doczesne było dla ojca gałązką, na której przysiadł, chwając pieśnią stwórcę, wypełniając pieśnią czas między przylotem a odlotem. Codziennie, mimo podeszłego wieku chodził do kościoła, gdzie w jednej i tej samej ławie, na lewo, z kraja, przed ołtarzem św. Józefa z liliami i dzieciątkiem, do którego to świętego osobliwe żywił nabożeństwo, siadał i modlił się żarliwie; specjalnie lubował się w roratach, gdy to cały kościół pełen pełgających stoczków stwarza obraz smętarza w dzień zaduszny. Jako człowiek godny i zacny przyjaźnił się na równych prawach z organistą i kościelnym; często też ci poważni i poważani ludzie przychodzili do nas

wieczorami na herbatę z arakiem; ojciec bardzo lubił ten barwny i wonny napój, mawiał, że go utrzymuje w czerstwości; namawiał też życzliwie lecz stanowczo swoich gości do wypijania kilku szklanek tej miłej mieszaniny gorącej wody, wywaru liści róż herbacianych i alkoholu destylowanego z trzciny cukrowej, oraz właśnie cukru; proporcję lubił ojciec harmonijną i prostą: pół na pół, to znaczy pół szklanki araku a reszta pozostałych ingrediencji. Mnie czasem, w przystępie dobrego humoru, pozwalał siorpnąć ze swej szklanki; czyniłem to chętnie, jakkolwiek sama para, unosząca się nad szklanką nabawiała mnie krztuszenia i kichania. To rozweselało poważnych obywateli, którzy poza tym incydentem prowadzili rozmowy polityczne, dotyczące przeważnie wyższych sfer naszego mięsa. Ojciec słuchał ich rad czerpiąc w ten przyjemny i nieprzymuszony sposób wiedzę o życiu w zakresie szerszym niż go wykreślał sad półtoramorgowy, szerszym niż cała Kopyniówka; zakres ten przekraczał niejednokrotnie śmiało i bez wahania granice powiatu. — Również i matka otrzymywała z rąk ojca szklankę ciemnozłotego napoju; piła go powolnymi łykami, siedząc blisko pieca i przysłuchiwała się rozmowom. Dla niej przyrządzał ojciec lżejszy „grog“ — (organista nazywał to z uporem „pies morski“, co mnie bardzo śmieszyło) — a podając jej mówił: „kobieta powinna mieć własną gorącość, temu ci lżejsze daję“; — nie wiem co miał na myśli mówiąc tak; — matka parowała ten żart uśmiechem dodając: „widzicie go,

zberzeźnika“.

Co do Istinksa miał ojciec swój zdecydowany pogląd na niego, który ujmował w często używanym do mnie zwrocie: „ej Jasiu, ty się jeszcze dowojujesz z tym swoim przyjacielem, ja ci mówię, Rudolf to baciarz, kupa lumpa nic więcej, a tobie się uśmiechają te jego tju-bździu“.

Bardzo mnie ten sąd ojca zawsze bolał, uważałem go za niesłuszny i przesadzony; nie oponowałem, bo ojciec; ale potem, gdy się moje urzędowanie zaczęło, mniej miałem styczności z ojcem, mniej też byłem narażony na tego rodzaju przykrości; byłem zresztą coraz starszy i poważniejszy i samodzielniejszy. Zresztą Rudolf zeszedł nam z oczu, jak gwiazda za widnokrąg, mniej też było okazji do wypowiadania zdań o nim zarówno uwłaczających jak i napewno niesprawiedliwych.

Z mojego okna — ten pierwszy pokój na lewo — jedyne zresztą w tej ścianie, drugie jest po drugiej stronie drzwi wchodowych — widać sporą część Kopyniówki, że tak powiem plac główny przed miescią, to jest zbieg trzech dróg błotnistych, krzywych i pełnych wybojów; na końcu tego „rynku“, a naprzeciw mego okna, rosną dwie stare lipy, pośród których biel się kapliczka murowana, wcale wysooka z świętym Florianem, gaszącym ze skopca pożar kościoła, dorastającego mu wraz z wieżami do kolan, oraz innymi świętymi, mieszkającymi w niżach dookoła kaplicy.

(D. c. n.).

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBUKI

Do tego placyku nie większego zresztą od sporej izby przylega szereg domków już to frontem jak nasz, już to bokiem, a poniektóre tyłem do drogi zwrócone, to jest okienkami stajennymi, przez które wychybuje się nawóz. Niektórzy tu zamożniejsi obywatele posiadają już to krowę już to kozę. — Nadmiar ściekającej gnojówki stale zalewa drogę główną i przelewa się do dwóch bocznych, tak, że przejście przez nie jest nie tak łatwe; wprawdzie celem udogodnienia mieszkańcom, no i przybyszom rzadkim, są porozmieszczane w pewnych odstępach spore kamienie — lecz są one stale śliskie i tak zdeptane, że raczej domyślić się można ich istnienia, niż je widzieć; trzeba mieć trochę wprawy i dużo szczęścia, żeby suchą nogą przejść już to na drugą stronę „ulicy”, już to wogóle dobrać do jakiegoś wyznaczonego sobie lub przypadkowego celu. Przeciwności tu dużo; przede wszystkim ulewy, deszcze, kapusniaki, trzydniówki (te są tu bardzo częste), roztopy — wszystko to zwiększa zasoby błota, które z łatwością zalewa takie nic nie znaczące, wystające kamienie — sądzę, że z równą łatwością zdołałoby zalać całą Kopyniówkę, gdyby ta leżała w zamkniętej kotlinie, wtedy utworzyłoby się błotne jezioro,

pewnego więc rodzaju fenomen przyrodniczy, na którego dnie spoczywałoby sobie zakonserwowane w błotnistej bryli osiedle jak ongi sławne miejscowości Pompeja i Herkulanum lub, niedawno odkryte, sławne już wykopalisko prehistoryczne w Biskupinie powiatu żnińskiego, o którym opowiadała mi pewna pani, którą spotkałem u sąsiadki naszej Mańkowskiej, że to jest wprost coś cudnego, tak cudnego, że sobie nawet trudno wyobrazić, te belki stare, mówiła, te paleniska, no wogóle wszyscy ciuteńko i, że tam zorganizowano noclegi i obiady wcale nie drogie, tak, że tanim kosztem można opędzić całą wycieczkę i — dodała na końcu: — błoto, błoto, wszyscy mówią błoto, a tu błoto, proszę państwa, konserwuje i jak jeszcze! — Pomyślałem sobie wtedy, słuchając tej zajmującej relacji, że takby po wielu wiekach mówiono o Kopyniówce; zapragnąłem gorąco aby i ją błoto dobrotliwe zalało i zakonserwowało dla przyszłych pokoleń; moje przywiązanie do mej ojcowizny sprawia, że życzę jej aby trwała wiecznie. Przyszli uczeni na podstawie wykopalisk (— trzebaby Kopyniówkę tak osuszyć, jak to uczynił Mussolini z jeziorem, nie pamiętam jak się nazywa, także przecież błotnym, na którego dnie znajdowały się szkielety sławnych galer jednego z cesarzy rzymskich mianowicie Kaliguli —) zdołaliby odtworzyć życie nasze, więc życie Europejczyków z pierwszej połowy dwudziestego wieku, nie ma bowiem wątpliwości, że jesteśmy geograficznie rzecz biorąc Europejczykami.

Takie to myśli wzbudziło we mnie rodzime błoto.

Jeszcze jedna przeciwność czyha na te kamienie, od których nieco odbiegłem, oto przejeżdżające tędy furmanki, dość liczne z tego powodu, że sporo tu

zagród chłopskich biednych wprawdzie i bezkonnych lecz wynajmujących sprężaj w czasie orki, żniw i zwózki ziemniaków, oraz z tego, że ta droga wiodąca przez Kopyniówkę skraca przestrzeń, jest bowiem przekątnią łukiem odgiętego gościńca głównego — otóż furmanki te pracowite i naładowane wgniatają kanienie ustawione w krokowych odległościach w miękkie, względnie rozmokłe podłoże drogi, lub też przesuwały je niebacznie, lecz niechcący tak, że już zgoła śladu jakiegoś rozumnego i praktycznego przelazu nie mogły stanowić — stawały się już tylko kamieniami błędnymi, posiadającym: może jakąś ukrytą celowość, lecz z punktu widzenia przechodnia bezużyteczną.

Nasz domek stoi na małym wzgóreczku, raczej wzniesienie to jest jednak dostateczne, aby mieć scu śmieci, rumowisko, nieużytków wszelkich — wzniesienie to jest jednak dostateczne aby mieć szerszy widok na świat, w każdym razie szerszy niżby to miało miejsce, gdyby zamiast na wzgórcu dom stał we wklęśnięciu.

Z wąskiego ogródka przed domem zarosłego rundbekiami, ślazem, floksami i jakimiś takimi kwiatami różowymi na olbrzymich łodygach, które matka nazywa „chabaziami”, — zwłaszcza jeśli się stanie na przyźbie (— trzeba uważać, żeby się głową nie huknąć w okap dachu! —) widać ten cały opisany przeze mnie placyk, a za nim jeszcze jedną bardzo starą lipę, spiętą w pośrodku zaśrubowanym obramieniem z drzewa, soi ona już na terytorium dworskim właściciela wielkich kompleksów pól uprawnych oraz okolicznych lasów p. Goślińskiego a raczej — bo on się przyzenił — żony jego Rozalii ze Śmigelskich Goślińskiej.

(D. c. n.)



## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Z tej przyżby widać na lewo główną szosę, łączącą Wądołów ze stolicą; ma ta szosa kilkaset kilometrów długości; nawet kilka i kilkanaście tysięcy; a właściwie to ona nie kończy się nigdzie. Pamiętam, gdy nas na lekcji geografii uczono o kulistości ziemi, mówił nauczyciel, że, gdyby się szło i szło i szło w jednym, proszę, kierunku, ale to wciąż, to by się po latach iluś tam okrążyło glob czyli kulę ziemską i wróciło na to samo miejsce, z którego się wyszło — od czasu tej lekcji — zawsze sobie właśnie ten gościniec wyobrażałem. Raz nawet — ech! dawno to już temu! — próbowałem tak, było nie było, iść przed siebie, lecz nie uszedłem daleko, kilka kilometrów zaledwie, dokładnie przeszedłem sześć kilometrów kuli ziemskiej; to bardzo mało; brakło mi wytrwałości. Nie znaczy to, że bym nigdy w życiu nie uszedł więcej jak sześć kilometrów w jednym kierunku, nie, przecież swego czasu z Rudolfem... chcę tylko powiedzieć, że raz miałem zamiar iść przed siebie. Gdy się dzisiaj nad tym zastanowię, to właściwie nie żałuję, że przerwałem mój zamiar i zawróciłem z drogi — ostatecznie wróciłbym na to samo miejsce; ta myśl moja ma jakiś podkład żałościwości — iść tyle czasu, tyle podeszew zdeptać i nie zająć nigdzie! przecież to bardzo przykre! — Gdy się nad tym zadumam i przerzucę się z tej zadumy ku tłoczącej się na szarego człowie

ka zewsząd polityce i dyplomacji — zdaje mi się, że jestem na tropie tej zdumiewającej kołowacizny i kręćka; polityka wraz z kulą ziemską goni w piętkę. Jeśli widzę jakies w tych dwu pędach różnicę, to te, że politycy starają się przegonić szybkość ziemi aby sobie zagwarantować miejsce w przyszłości — i tam w tej przyszłości zakładają gniazda kręćków jak mole jajka w tkaninie. Gdyby nami zarządzili ludzie a nie politycy może byłoby lepiej; bo z tych gniazd kręćków wylęgają się tylko gazy trujące, zawsze bowiem zbyt odleżałe jaja muszą się zaśmierdzać; o tym wie każda gospodyni w Kopyniówce; tylko dyplomaci o tym nie wiedzą; dlaczego? — bo dyplomaci nie myślą tylko knują.

Zdaje mi się, że zaplątałem się tu dość dokumentnie i przestawiłem kulistość naszego globu ziemskiego z jego ruchem obrotowym i okrążającym. Nie szkodzi. Myśl o kręćku jest dobra, to znaczy: podobna mi się (— z tego-by wynikało, że i z błędu może zrodzić się dobre pomysłenie! — nie? —).

Od owego czasu — a to już, jak rzekłem, dawno, dawno temu — gdy zawróciłem z rozpoczętego okrążania kuli ziemskiej, ślad moich, obutych w nieco pokrzywione trzewiki, stóp zakreśla nieregularny trójkąt pomiędzy Kopyniówką, pocztą (znaczy się: gmachem pocztowym), rynkiem Wądołowskim i znów Kopyniówką. Ten kawałek ziemi zamknięty w trójkącie stębnowanym tropem mego chodu znam wcale dobrze. Nie wielka to zresztą przestrzeń.

Napisałem: zakreśla! — powinienem jednak użyć czasu przeszłego — imperfectum — bo od czasu przejścia w stan spoczynku wzmogłem niejako ruchliwość i zmieniłem ów trójkąt na nieregularną wieloboki — i one są dziś wykresem graficznym — przypomina mi się geometria wykreslna, której nigdy zresztą nie umiałem pojąć — mojej, powiedzmy, swobody.

Chodzę gdzie chcę i kiedy chcę; ot i wszystko.

Jak i moje życie, które jest tylko — i niczym więcej! — przedłużeniem stadium mojego przyjścia na świat — tak i ten rozdział jest przedłużeniem poprzedniego; kończę rozdział gdy mnie ręka od pisanania zaboli. Słyszałem, owszem, coś nie coś o tak zwanej kompozycji literackiej, słyszałem, lecz nie wiem na czym ona polega; dlaczego jednak nie mogłyby być elementami kompozycyjnymi: napływ słońca i ich odpływ? — przecież mogłyby być! — a jeśli nie, to pal diabli, co mnie to obchodzi!

Obok tej szosy głównej nizającej na swą wstążkę wsie jak zdrowaśki a miasta jak ojczenaszki w różańcu — wobec czego wierzęwboğa byłyby stolica — widać z naszej przyżby rozległy mur smętarny, a za nim na dużej płaszczyźnie falistej, zarosły gąszczem pomników i krzyży oraz grobowców sam smętarz wądołowski; można też stąd zobaczyć wszystkimi drogami zjeżdżające się codziennie konduktury pogrzebowe — wygląda to jakby miasto wraz z przyległościami zwoziło tu odpadkiienne i śmieci — doprawdy system przymiejskich pól smętarnych wydaje mi się jakąś potworną kloaką, w które życie miast ciepłe swoje wstrętne odchody. To się też chyba musi kiedyś zmienić. Smętarze i dzwony nasycają nas od młodości taką posępną ponurością, że ino się wieszają! — Nie cierpię smętarzy, nie cierpię bicia dzwonów. Może trzeba całe życie mieszkać na Kopyniówce, aby nabrać wstrętu do wrzucania trupów do grząskich, wodnistych dołów, oraz do rozdygotanego ponurymi dźwiękami dzwonów powietrza, które każdą szparą przedostaje się do naszych domów przynajmniej trzy razy dziennie — tak, że ściany i meble trzęsą się w jakimś śmiertelnym charkocie: bom! bom! bom! — Okropne rzeczy!

(D. c. n.).

## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBUKI

Samo miasto widać stąd jak na dłoni: kilka większych bloków: koszary, sąd z aresztami, szpital, gimnazjum i kościół o bardzo brzydkiej wieży przypominające, brudną rzodkiew — w ogóle forma do niczego i kolor jakiś jakby barszczu nieświeżego zalatującego kiséem i pleśnią. Nie znam się na stylach, ale tyle przecież wiem, że takiego stylu nie ma na świecie chyba, że istnieje jakiś specjalny styl wądolowski, całkiem bez sensu.

Poza tym widać kilkadziesiąt większych kamienic dwu, a nawet trzy piętrowych, największa z nich, to izba skarbowa, gdzie się wpłaca podatki; posterunek policji państwowej mieści się w niskim, jedno piętrowym domu, więc go stąd nie widać, tak samo starostwa; kto zna dokładnie tubylczą topografię ten się łatwo domyśla, gdzie jedno i drugie jest; nietybylec może tylko przeczuwać.

Tam, koło tego kościoła, regularnie ustawione do my otaczają przestrzeń pustą: to rynek główny, główny teren spacerów mieszkanek i mieszkańców Wądolowa: chodzi się dookoła, dookoła — po kilku okrążeniach można rozpocząć w odwrotnym kierunku i odrobić poprzednią pętlę; ale w zasadzie to na jedno wychodzi, czy się w tę, czy w tę stronę idzie;; faktem jest, że zawsze wraca się na

to samo miejsce i to prędko! — Na tym rynku odbywają się co wtorek targi: biedne, nędzne stragany żydowskie z perkalikami i znoszonym ubraniem, sprzęty drewniane: putnie, konewki, szafliki, trochę uprząży, sporo szewskich wyrobów, powroźniczych jeszcze więcej. Od jakiegoś czasu włączają się jacyś bezrobotni agitatorzy i namawiają ludność do demolowania straganów żydowskich — że to powinno być w polskich rękach — te perkaliki i te ubrania znoszone. Na szczęście nikt tych głuptaków tutaj nie słucha, chlopi się z nich śmieją — no, bo i rzeczywiście co to za takie draństwo, żeby biednemu Żydowi żyć i handlować nie było wolno. Tutaj, najbiedniejsza warstwa ludzi, to Żydzi; bieda z nędzą! a gdzie jest bieda tam nie ma rasy, a gdzie jest nędza tam nie ma narodowości. Tego mnie nauczyła Kopyniówka — tu nikt nie myśli o tym, żeby być Polakiem, tylko, żeby mieć na sól do ziemniaków, albo na zapalki, których zresztą używa się tu bardzo mało; wyrobił się taki zwyczaj, że pod polepą utrzymuje się w popiele, w takim waiku z popiołem ogienek, a właściwie żarzenie nikle, od którego się zapala, co potrzeba, większy ogień, lampę, świecę i t. d. Gdy komus zgaśnie, to biegnie do sąsiada po czerwony ruchelek węgla — w ręce go niesie, przetrzuca z dłoni do dłoni, dmucha — i z niego sobie własny ogień nanowo roznieca. Ja mam zapalniczkę — jeden chłop je tu wyrabia, bardzo prymitywne, ale bardzo trwałe — ale ponieważ jest, oczywiście, niestęplowana, więc się z nią kryję. Dlatego też unikam palenia papierosów poza pokojem. A już co do zapalek, to są one bardzo drogie, gdzież to czterdzieści sztuk za dziesięć groszy — cztery za grosz — ktoś to sobie może na to pozwolić.

Dalej już za tymi zabudowaniami, które opisa-

łem kończy się Wądolów. Dalej to już tylko pola, małe pagórki, rzadkie karczmy — i rozległy krajobraz przecięty już to błotnistą, już to pyłem stumanioną drogą. Do niej, jak do rzeki, wpływają inne pomniejsze, powiatowe, gminne, gromadzkie, te znów są zasilane ścieżkami, miedzami i wydepcinami; wszędzie te drogi! Aż się smutno robi!

Po drugiej stronie, z podwórka, tu nie ma przyżby, lecz można stanąć na odwróconym szafliku, wystarczy, — widać pomiędzy starą papiernią, dworem Goślińskich, kołczarnią i krańcami naszego przedmieścia wcale rozległe błonia, które tu także chętnie „ispą“ nazywają; na tej to przestrzeni skąpo porośłą trawą od wieków wojsko odbywa swe ćwiczenia, niegdyś polskie, później austriackie, teraz znów polskie. „Ispa“ oczywiście nie odczuwa tych ważnych, możnaby powiedzieć, zasadniczych, przemian dziejowych, dotyczą one bowiem współżycia człowieka z człowiekiem, dodajmy: złego, wrogiego współżycia. Przyroda jest dla nas obojętna podobnie jak matka w świecie zwierzęcym, które wydawszy swe potomstwo na świat i odchowawszy je do pewnego okresu, porzucają swe dzieci, a nawet odpędzają je szczerząc zęby i pokazując pazury, od siebie; przychodzi mi na myśl, że podanie o raju mogłoby oznaczać ten niemowlęcy okres ludzkości, gdy byliśmy przy cycyku matki przyrody; gdy się okres ssania skończył, matka nas przepędziła, i odtąd zaczęła ludzkość tworzyć swą własną historię krwawą i ponurą, której zasadniczym elementem jest ludożerstwo; szczepy t. zw. niecywilizowane zjadają się istotnie, zaś cywilizowane zadowolają się samym zabijaniem; ta różnica nazywa się postępem.

(D. c. n.).

## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Te błonia, na które, myśląc sobie przy tym niedorzecznie, patrzałem przed chwilą przez okno ku chenne, podczas gdy matka rozdmuchiwała pod blachą ogień z zuchelka zaoszczędzonego przezornie od wczoraj żaru, — przedstawiają się, jak plastyczna mapa pobojuwiska po sprzątnięciu zabitych i rannych. Wzdłuż jednego ich krańca biegnie niespokojna linia rowów strzeleckich, po całej przestrzeni rozsiane jakieś spagórzonia, doły, wklęsnięcia, leje, wały i t. p., środek wydeptany na żółte klepisko, jednym słowem wrażenie spłoszenia i niepokoju; gdy od rzeki zaciąga pasmami mgła, cała przestrzeń jest jakby zagazowana; to nie przyjemne; niechętnie też patrzę w tę stronę.

O ile błonia są wytworem, poza zmianami i narastwieniami, zdaje mi się, geologicznymi, w swej zewnętrznej strukturze, instynktu zaczepno-odpornego — o tyle rzeka, za nimi płynąca wśród gęstych wiklin, poza niezdecydowanym łóżyskiem koryta, jest w swej istocie niezmienna: płynie z gór dalekich ku dolinom, od źródeł swych ku ujściu — bez przerwy; natomiast systematycznie i często, bo prawie co roku, mimo, że nie jest cicha, rwie brzegi i niszczy tamy, ładajako zresztą budowane; nawet dość sprytnie budowane jakoby lida kamienna ujęte w sieć drucianą, zaledwie poczują na sobie wodę, ożywiają,

rzucają się, jak ryby czujące swój żywioł, przezywają kłępujące je sieci i pozwalają się toczyć wodzie dokąd się jej podoba. Wtedy fale zalewają błonia i pola nadbrzeżne; wylew.

Rzeka nasza wiele szkód wyrządza w czasie powodzi.

W takich wypadkach woda podchodzi aż pod samą Kopyniówkę; wtedy jest źle, ale jeszcze nie najgorzej; szkody w samych obejsiach nie bywają katastrofalne; jakoś wychodzimy obronną ręką.

Gdzieindziej ta nasza kochana rzeka zalewa domy z kretezem, domy, stajnie, stodoły; wlewa się do piwnic z rżeniem i cmokaniem nieprzyjemnym, często też ledwo udaje się ludziom uciec z bytłem, dobytkiem i życiem przed przeważającą nawałą rozszalałych żywiołów.

Ot, los!

Takie na przykład Sławiny, — też przedmieście Wądołowa, ale po drugiej, północnej stronie miasta —, które leży nisko, na dnie kilku wyschniętych stawów, więc w tak zwanej, naukowo, depresji — no, to tam już rozpacz prawdziwa; mam tam kilku kolegów i, rzecz dziwna!, wszyscy obdarzeni tymi właściwościami umysłu i charakteru, które zwykliśmy zwać sumarycznie naturą artystyczną, dawno już straciłem z nimi kontakt, gdzież tam pocztowiec ma czas na co! — lecz jeszcze z czasów, gdy ich odwiedzałem, pamiętam, że nawet bez powodzi, w czasie zwyczajnej trzydniówki, nie mówiąc o trwalszych i ostrzej zacinających ulewach — podłogi w sławin-skich domach uginają się, takie tam są podmyte, a za każdym cięższym krokiem chlupie woda ze szpar pomiędzy deskami, oraz z tych miejsc, w które są wbite gwoździe spajające deski z tragarzykami.

Dzieci tamtejszych obywateli, sławinian, osobiwą wymyśliły sobie z tych właściwości terenowych za-

bawę. Podczas ulewnych okresów skaczą po deskach, lub z krzesel na podłogę w takich miejscach, o których wiedzą, że są wodą podszyte — i dopiero komu wyżej fontanna siknie, ten wygrywa. Są takie zwinne i sprawne dryblasy, że aż pod powalę umieją wyrzucić umiejętnym wyskokiem strugę wody. To są łepaki! Starzy nie lubią tej zabawy, słusznie, wtedy bowiem jest woda pod spodem i na wierzchu, więc wilgoć jeszcze większa. Klną więc starzy i żlą się — a przychodzi im to bez trudu, jako że z tego podłoża malarycznego każda Sławinianka i każdy Sławinianin ma od urodzenia powiększoną śledzionę i wątrobę. W szkole tośmy bez pytania się zaraz wiedzieli, który kolega jest ze Sławin — jak tylko przyszło do biegania, czy do wyścigów, to taki z tamtąd pochodzący chłopiec chwycił się po kilkudziesięciu krokach za śledzionę i mówił: ni mogę dala, bo mię kłuje"; — tośmy już wiedzieli: oho! ten jest ze Sławin; i zgadzało się.

No, tak — Sławinianom gorzej, niż nam tutaj na Kopyniówce.

Co zaś do tych powodzi — to ostatnia wielka powódź była przed dwoma laty. To była powódź! — Woda chlustała bez przerwy dniami i nocami — cała okolica: pola, drogi, wsie, miasteczka — jedno wielkie jezioro wzbierające jakby ogromne płuca rozdymające się ciągłym nabieraniem tchu — a środkiem tego jeziora, rwący, skotłowany, wzburzony gościniec głównego nurtu rzeki — jakiś, tak sobie go wyobrażam, strom — którym płynęły sprzęty, wozy, trupy krów i koni, a nawet ludzi, całe chałupy, dachy i strzechy, na których nie rzadko okrakiem się działał gospodarz, wyciągał ręce i ratunku wołał i zmiłowania boskiego; a tu z nikąd nic.

## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBUKI

Oczy całej prasy ojczystej były wtedy skierowane na Wądołów; w pismach ilustrowanych pełno było fotografii z naszych okolic! Cóż to była za zadyma! Wądołów wyglądał na zdjęciach jak mała Wenecja. Kilka dni trwała ta sława. Fotograf Dyp chodził, a raczej jeździł tratwą i łodzią jak struty, on nie był od widoków, on był tylko od wojskowych poniżej sierżanta i od nowożeńców z dalekich, zapadłych wsi; on nawet gardził widokami, — co to to jest — mawiał — drzewa zdejmować czy coś w tym guście! — głupstwo to jest — upierał się — zabawka dla durnych amatorów, nie fach żaden, człowieka zdjąć, ustawić, albo grupę ludzi, o, to to jest fach! — Teraz omal włosy z głowy darł — bo widział jak mu wielkie pieniądze uciekają z rąk; bo przecież wszyscy chcieli mieć zdjęcia na pamiątkę z tego wydarzenia, o którym gazety pisały — i Dypa się przepytywano gęsto, a on, fajtlapa, guzik! Zacołanie i jednostronność wraz z uporem nikogo nie wzbogacą; taka stąd nauka.

Otóż to był okres, w którym Wądołów był na ustach wszystkich.

Lecz po powodzi nikt się nie interesował więcej naszym miastem, prócz tych, którzy dostawali: słomę, ziemniaki, mąkę, kapustę i ubrania dla po-

wodzian, oraz materiał budowlany dla odbudowy wodą zmytych osiedli. — Pomyślałem sobie wtedy, że dni chwały są niebezpieczne i krótkie, pozostaje po nich muł, szuter, usypiska, pleśń, zaduch i pośrednicy.

Rzeka nasza nazywa się Żnica.

Piękna to jest bezsprzecznie rzeka; szeroka, bystra i melodyjnie szumiąca.

Niedaleko Kopyniówki jest na Żnicy prąd żwa wy — poniżej zwięza się koryto i tam jest wcale głęboko, na jakie dwa metry, albo i więcej.

Od tego prądu ruchliwego jak żywe srebro, gwarne i bełkotliwego, gdy fale uderzają o wystające głazy — mam w pokoju ciągły, ruchliwy brzęk.

I w tej chwili, gdy przestaję pisać — bo pióro moje skrzypi bardzo na śliskim papierze tego zeszytu kupionego u Załaja za... ale już chyba mowilem ile ten zeszyt kosztował... słyszę ten daleki, a przecież bliski, przyjazny szum — napęlnia moją izdebkę i mnie radosnym poczuciem życia, które wprawdzie wartko przepływa koło mnie, lecz słyszę, przynajmniej słyszę jego ruch, jego nieustający gwar, ruch wodnych skrzydeł, gwar jego grającej na przelocie gardzieli — — przepływa koło Kopyniówki, mija Wądołów, mknie dalej —

Ale go słyszę!

Dobre i to.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Piękny dzisiaj wieczór; właściwie noc; tutaj noc zaczyna się wiosenną porą o dziewiątej; wcześniej.

Odsunąłem przed chwilą firanki — kupiłem je kiedyś na takiej wyprzedaży resztek i ausszusów w pewnym bławatnym sklepie w Wądołowie, nawet pamiętam firmę, choć to już kilkanaście lat

temu: Offner Samuel, to był bardzo dobry sklep, taki nobliwy; kupiłem wtedy jedną tylko stronę firanki, jakoś tak została „nie wiadomo nawet jak” — objaśnił mi kupiec; więc tanio mi się przydarzyło. a że okienko u nas małe, no to i matka przecięła tę sztukę na rzy części i sarczyło, proszę, są dwa boki, obejmujące całe okno, dołem kończą się takimi rozetami, które przyczepione do gwóźdka bardzo elegancko wyglądają, jest i górą lambrekinęk sfałdowany, no, komplet; niezwykle to przyjemniło pokoić; zrobił się zaciszny.

Dookoła już wszędzie po domach ciemne są okna; pokładli się ludziska spracowani i chętnie szukający w śnie zapomnienia.

Ach — tak!

Jedynie we dworze Goslińskich błyszczy światło w dużych oknach; widać pobrzask bardzo wyraźnie przez gałęzie i liście; co też tam robią o tej porze? — pewnie gości mają, Goliński lubi popić i w karty zagrać. Raz się go ktoś zapytał, czy gra na fortepianie — odpowiedział, że unika, bo się karty bardzo ślizgają; znaczy się: zapalony gracz i myśli jego krąży koło kart.

Lecz przecież ja nie to.

Otworzyłem okno. Cicho — żeby matki nie zbudzić. Matka nie lubi, jak się okna otwiera, bo zaraz ten superfosfat czuć w mieszkaniu.

Jest połowa maja.

Bzy kwitną.

Z wiklin zarastających obficie brzegi Żnicy dolatu je tęskny śpiew słowików, słiczny śpiew. Tur-rli-rli-rli — — bardzo pięknie. Trudno naśladować.

Na gościńcu terkotają zapóźnione wozy.

Rok tysiąc dziewięćset trzydziesty szósty.

(D. c. n.)

## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Mam już czterdzieści pięć lat!

W takiej chwili jak obecna czuję straszliwą pustkę i nicość tych lat; tak; poprostu nicość!

Cóż ja zrobiłem w moim głupim życiu? nic! absolutnie nic!

No i to też: tak przecież chciałbym komuś móc coś powiedzieć, tak strasznie chciałbym... co mi serce rozpiera i olśniewa myśli... czasem to tak się dziwnie czuję, jakbym miał księżyc w głowie i dopiero mi się to światło wylewa przez oczy, uszy, nos, usta... ot głupstwa.

Słowiki: tur—rli—rli—rli—

Nie kochałem się nigdy.

Swatano mnie parę razy. Ale nic z tego nie wyszło; raz zdawało się już już — ale też nie.

To i lepiej.

Zamknę okno bo strasznie zalatuje superfosfatem.

I na psychówce rozwyły się szkaradne psy. Ten Tuk to zdolny rakarz, zawsze kupę tych psów ma pochwytyanych.

Jak te cholery wyją.

Już nawet słowików nie słyszał.

Sam sobie chyba pofjukam: tur—rli—rli—rli—

E, co tam sam będę!

Ciągłe sam.

Superfosfat.

Zamykam okno. Szlus z majową nocą.

Dziesięć lat temu wyjechał z Wądołowa Rudolf; z początkiem kwietnia; nagle wyjechał; bez pożegnania; to był jego zwyczaj; był zawsze jak wiatr; zjawiał się, mierzwił spokój łąk i lasów; znikał — i już tylko po dalekim kołysie drzew na widnokrzgu można było przypuszczać, że jest — tam. Lotność!

Tak to było w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym.

Codziennie o godzinie ósmej i trzeciej (piętnastej) podnosiłem okienko w mojej kabine zawodowej — a o godzinie dwunastej i szóstej (osiemnastej) zapuszczałem je i zamykałem na małą mosiężną kłódeczkę. Ręka moja, wykonująca te jednostajne czynności była smutniejsza niż kiedykolwiek, lecz ręce rojące się w okieniku nie mogły tego zauważyć; miały swoje troski, smutki i zmartwienia.

A potem przyszedł maj i te dni. Dni to nic! ale te dwie noce! — Naczelnik poczty wrzeszczał: rewolucja w Warszawie! Zamykać telefony! Otwierać telefony! Z starostwem nie łączyć. Łączyć z Województwem! Najświeższe wiadomości natychmiast na maszynę i przybić na bramie! Nie wolno na bramie przybijać wiadomości.

Wreszcie ochrypłszy od tych sprzeczności zorientował się, że jego misją najświętszą więc i najnarodowszą jest nie dopuścić do tego, aby się rewolucja przerzuciła z Warszawy na Wądołów; określił to nawet bardzo pięknie: wstrzymać żagiew buntu w locie; i dodawał: choćby na własnej piersi! Poczem poszedł zaferowany do wytwornego handlika śniadankowego, który znajdował się na zbiegu ulicy Koziej i Teodora Rosoła (zasłużonego przed laty burmistrza wądołowskiego) pod firmą Kryka Alfons (junior); w knajpie tej schodzili się nasi dygnitarze: adwokaci, lekarze, właściciele dóbr,

oraz rozmaici prezesowie, którzy w tak licznym ośrodku jak nasze — miasto już wtedy miało ponad siedem tysięcy mieszkańców — było oczywiście kilkudziesięciu. Wróciwszy stamtąd pan naczelnik rumiany, zalatujący śledziem i imbirówką, bardzo energicznie zapowiedział, że wara satrapię rosyjskiemu od Wądołowa. Ja to zdanie usłyszałem z daleka, bo z trzeciego pokoju, więc do dziś-dnia nie wiem czy nie przesłyszałem się, zresztą jak wtedy tak i dziś nie bardzo dla mnie jasne kogo miał na myśli, wypowiadając to bezsprzecznie silne przekonanie. Czy on sam wiedział? — nie dowiemy się tego nigdy, bowiem już nie żyje.

Na drugi dzień, gdyśmy się zebrali pełni niepewności i konsternacji, rzekł nam pan naczelnik. „—panowie, będzie lepiej!” — A gdyśmy się zapytali „ale co?” — rozłożył ręce i odpowiedział: „tego nikt nie wie, tylko jeden pan Bóg!” — Wszyscy zadowolili się tą odpowiedzią. Ja prócz zadowolenia solidarnego odczułem jeszcze osobistą radość, że przecież ktoś wie i że to jest niewątpliwe, skoro kontrasygnowała to najwyższa moja władza; tyle taktu posiadałem zawsze; to w naszym rodzie dziedziczne. Matka moja po dziś dzień powtarza: wy sobie ta mówcie, co chcecie, a ja wiem swoje, a-le! — cysarz sie ta ino śmieje i powiada se: dobra, dobra, bawcie sie, ojej, czemu nie! — patrzy na nas jak na dzieci, które krzyczą i hałasują, ale jak mu tego będzie za dużo, powie: dość tego, a pódziecie wy do domu! jak na te, nie przymierzając, konie wrzańcie: curyk! — i będzie fertik z waszą zabawą, głuptoki! — Nie podzielam oczywiście przewidywań matki, zwłaszcza, że nie wiem, ktoby miał być tym cesarzem, wolającym: curyk! — przecież dziś Austria i Polska kierowane są i rządzone jedną i tą samą myślą moralną, wyznawaną przez międzynarodowy komitet „Przedmurza”. I gdyby nie krnąbrne burzymurki...

## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Wreszcie pan naczelnik poczty zdecydował: no, jak tak, powiada, to nie ma co, tylko dalej swoje robić, diabła nam do tego, że się tam na górze tłuką, ich rzecz, od tego są, a my tylko spokojnie patrzmy co z tego wyniknie, wszystko, panowie, jest walką o posady — i my nie możemy na tym tracić — więc — ostrożnie! panowie, ostrożnie! — Tą przestrogą stanął mój przelozony niezawodnie na wysokości zadania: ratował sytuację, ratując ją, gwarantował nam pobory. Tak też, gdy po tych dniach zmieniali się ludzie na posadach, jak pogoda w kwietniu — naczelnik nasz przetrwał, a my z nim.

Nieprzyjemne to były jednak dni, nieustające dyżury, sprzeczne wiadomości, strzały, krew, to, tamto, owo; niespokojnie.

W mieście naszym ruch się zrobił, jak gdy kto nagle zaświeci światło w kuchni zaludnionej karakonami, znacie, ten szelest, pośpiech, krycie się po kątach, szurgot, nieomal zdyszenie; otóż tak było u nas. I to całe porównanie jest nawet zupełnie trafne poza chyba tym światłem, ktoby tam nagle w Wądołowie zaświecał! też!

Ale ruch był, narobiło wiatru! — Rynek i ulice główne, jako to Kozia, Rosoła, Krakowska, Wyjka — były przeciw, jak to mówiono, puczowi, zaś przed

mieścia i wsie dookoła przeważnie ze zmianą; bo to tak zawsze, ci, którym się dobrze powodzi, nie lubią zmian, ci zaś, których los gnębi, wyczekują ich, wiedzą bowiem, że nic gorszego ich spotkać nie może, a mogłoby się zdarzyć, że będzie lepiej. Ta nadzieja okazuje się przeważnie złudną, ale na nią już nie ma rady; no i ciężko byłoby żyć bez nadziei i bez tej wiary, że przecież skończy się niesprawiedliwość. Tak myślę; i wolno mi tak myśleć; bo zakazu myślenia nie ma; śnić też wolno; a gwizdać?

Przez całe te dwie pierwsze śródmajowe (przymiotnik ten sam sobie wymyśliłem, jako śródkowy człon słowny pomiędzy: przedmajowy a pomajowy) noce świeciło się we wszystkich osiedlach wzdłuż gościńca i po wzgórzach — jak okiem sięgnąć pełno nikłych, lecz gęstych światełek, jakby jakie zaduszki czy co — a to ludzie nie spali, lecz czuwali, a nuż — wzmogło się to wiecznie przyczajone czekanie, — copochwila słychać było to dalsze, to bliższe śpiewy już to pojedyncze, już to chóralne. Czerwony sztandar, o cześć wam, panowie, pierwsza bygdała splatały się razem, jak warkocz młodej pani do ślubu.

Ludzie byli nieobjaśnieni, wszystko im się pomieszało i porozsypywało, stracili poczucie rzeczywistości, pomylili melodie i całkiem w tej nagłości zapomnieli, że pieśni są też, jak to się mówi, symbolami, i że nie można śpiewać rzeczy sprzecznych ze sobą. Ale cóż dziwnego? — dochodziły przecież wiadomości, że robotnicy popierają ruch, że walczą, bo to ich sprawa, ich i chłopów bez lub małorolnych. Tak się też tam naród durzył i śpiewał, jak w gorączce. A wszystko z tego czekania, z którym jest taka sama sprawa, jak z głodem — głodnyś, dorwiesz się jedzenia, a potem z tego wymioty i s.....a. Trzeba ostrożnie. Chyba, że się coś samemu robi. I tak też

33  
być powinno. Wuj Benedykt wśród licznych wypowiedzianych przez siebie sentencji mawiał: tę: co możesz sam zrobić, rób sam, a nie zdawaj się z tem na innych. Święta racja;

Sam osobiście byłem tym wszystkim bardzo zaskoczony; ostatecznie sprawa nie dotyczyła Kopyniówki ani mnie jako człowieka bez znaczenia, człotka dwudziesto kilko milionowej rzeszy szarych egzystencji, złożonej z rekrutów, rezerwistów i podatników, za które to obowiązki, co prawda, to prawda, doczekał się kilku niezłych frontów, jak np. „frontem do wsi” (t. zn. do proboszczo, sołtysa i nauczyciela), „frontem do szarego człowieka” (t. zn. do mnie, do mojej matki, do Zataja, Dypa, Tuka i wielu innych, o których tu jeszcze będzie mowa; frontem do mnie! bagatela!), „frontem do straganów” (to już jest grubszy kusz) i t. d.

Kto ma stać tym frontem, kiedy i jak długo to nie jest jasne; państwo? więc rząd? — ależ rząd najbardziej nawet przyzwyczajony do stania frontem nie wytrzyma w tej nużącej pozycji zbyt długo; jedno-by się zgadzało, mianowicie to, że stojąc frontem, wiadomo, ręką, nogą, głową, wogóle niczym ruszyć nie wolno; to poniekąd tłumaczy beczynny idealizm „frontem do”. Tak sobie staram wytłumaczyć treść tych niezawodnie szlachetnych haseł — ale moja głowa widać za słaba na te sprawy, poddyktowane tajemniczą „racją stanu”, to nie jest na rozum człowieka dziewiątej ani ósmej kategorii; te rzeczy rozumie się, zapewne, dopiero od czwartej w dół; im dalej, tym lepiej. Takie sobie wyrobiłem zdanie na podstawie obserwacji i własnych doświadczeń.

(D. c. n.)

**EGZYSTENCJE**

Powieść współczesna

Część pierwsza:

**WIELOBOKI**

Ostatecznie byłem tą całą historią z przed dziesięciu laty zaskoczony, bo, jakkolwiek — powtarzam — nie dotyczyła ona ani mnie ani Kopyniówki, posiadam jakieś nieuzasadnione poczucie jakoby wspólności czy, inaczej mówiąc, obywatelskości. Jest to nie tylko nieuzasadnione, lecz i nierozsądne i nierealne; z kimże ja mogę mieć jakąś wspólność? jako z półinteligentem nie chcą ze mną rozmawiać inteligenci, t. j. ludzie z maturą — nie mówiąc o ludziach z uniwersyteckim wykształceniem, jako urzędnika niskiej kategorii nie dopuszczają mnie do towarzystwa swego urzędnicy wyżsi, jako obywatelem Kopyniówki, gardzą mną obywatele Wądołowa, chociaż miałbym niejakię prawo zaliczać się do ich grona, chłopci odnoszą się do mnie nieufnie, bo ja już jestem dla nich „pon“, robotnicy nie mogą mnie uznać za swego, w wojsku nie służyłem, bo mam rupięcę (jej skuteczność w tym względzie dorównuje moim przekonaniom antymilitarystycznym, lecz to w rachubę nie wchodzi, nigdy bowiem moich przekonań nie wypowiadałem; nie stać mnie na to i nikogo to nie interesuje, co sobie takie indywidualium, jak ja, myśli), żadnych więc korzyści z bo-

haterskości lub ofiarnej służby dla ojczyzny ciągnąć nie mogę — sumując powyższe jasnym się staje, że, należąc do wielomilionowej rzeszy szarych egzystencji ograniczyć muszę z konieczności moje poczucie wspólnoty do ciasnego kręgu obywateli kopyniowskich. Taki jest, proszę, układ społeczny. Równość, owszem, lecz ograniczona. Wszystko zresztą ma swoje granice, skarżyć się więc byłoby dowodem małoduszności. Narody i państwa mają swoje granice, kraje i części świata; wszystko, bo i życie ludzkie; jedynie cierpliwość ucisnionych jest dotychczas bez granic; sądzę jednak, że i to się zmieni i upodobni do reszty zjawisk.

A że wtedy byłem zaskoczony?

Nic w tem dziwnego.

W takim zabitym deskami ośrodku prowincjonalnym jest się zawsze wszystkim zaskoczonym; wszystko bowiem dzieje się poza nami — to tak jak ta szumiąca falami rzeka, które przepływa obok.

Takie jest nasze życie tu nad brzegami pięknej Żnicy. Życie? nie! — bytowanie; tak, chyba tylko bytowanie.

Ach, gdyby był wtedy Rudolf nie wyjechał!

Ten byłby mi to wszystko na swój lotny i doskonały sposób wytłumaczył i oświetlił; byłby mnie uspokoił; bowiem niepokój wielki wkraść się do mego serca; w połączeniu z niewyspaniem samopoczucie moje spadło poniżej zera.

Jakżeż inaczej było — a emocjonalne zjawiska były zbliżone, choć przecież de facto inne — lat temu osiemnaście!

Inaczej — bo Rudolf!

Szósty to był albo siódmy -listopada; dnia do-

kładnie nie pamiętam.

Po nabożeństwie wysypał się tłum pobożny z kościoła wądołowskiego. Ale nie odchodził jak zazwyczaj, nie odpływał grupkami w ulice; przeciwnie trwał tak jakoś nieruchomo i wyczekująco, zatarasował ujścia i zawałił sobą cały rynek.

Jakieś wieści dalekie, jakieś pomruki chodziły po ludziach.

Stałem oparty o mosiężną rurę, chroniącą okno wystawowe Melchjora Załaja; przed chwilą przejrzałem sobie wystawę wcale gustownie urządzoną; pośrodku na arkuszu złotego wyciskanego papieru stał globus, zwrócony do widza żółtą Afryką wśród zielonych mórz; wyżej nad nią, tak trochę wskosku północnemu wschodowi wyszczerbione, jakieś takie nieprzyjemnie wygrzyzione brzegi Europy; miejsca, w którym znajduje się nasza ojczyzna nawet dopatrzeć się nie można było; cóż — na takim małym globusie, który reprezentuje całą ziemię taki nikły skrawek ziemi, łączący się płynnie prawie bez naturalnych granic z resztą czarno-żółtego koloru prawie nic nie waży — zwłaszcza, że w ogóle Polski na tym globusie nie było; rudo zaznaczone granice łączyły Rosję z Niemcami i Austrią bezpośrednio. Ciekaw jestem, pomyślałem, ile też taki globus kosztuje i z czego jest zrobiony? — Ujrzałem go w wyobraźni w mojej izdebce na Kopyniówce — zaraz mi się też wydała jakimś pokojem uczonego — chociaż mnie nie o uczość-by szło, lecz o podróż palcem po powierzchni lądów i mórz; podróż dookoła świata; bieguny, równik, zwrotniki, szerokości, długości — ładne rzeczy! bardzo ładne.

## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Kto wie, czy kolor nie jest zależny od patrzącego; ale co mnie to właściwie obchodzi.

Po tej medytacji obejrzałem jeszcze krawki ołówków, kilka kawałków kredy bardzo równo zaostrojonej i owiniętej w kolorowe papiery. Były i książki, lecz jakies nieinteresujące, takie biednutkie książki o chorobach koni, uprawie buraków pastewnych, kilka druków straganowych z niesmiertelną Genowefą i Meluzyną na czele. Poza tym zeszyty i kalendarz już przyszlóroczny na rok 1919-ty — postanowiłem go kupić dla matki, która chętnie wyszukuje sobie różnych świętych, jak to który na jaki dzień wypada.

Przejęty tym zamiarem — odwróciłem się, aby spojrzeć na rynek.

Spojrzałem i ja w kierunku, w którym patrzyli wszyscy.

Celem spojrzenia było starostwo.

Gmach starostwa — dwupiętrowa kamienica — znajdował się w rynku, prawie naprzeciwko sklepu Załaja; zwyczajna kamienica, popielato-zielonkowego koloru, nie odznaczała się niczym osobliwym, gdyby nie to, że właśnie była dwupiętrowa, a wszystkie inne domy na tej linii były jednopiętrowe; stąd znaczna; wyższa kategoria; stąd i pobory wyższe; to nakazuje szacunek oraz wzbudza potrzebny lęk.

Starostą był wtedy niejaki Głodowski; nazwisko na czas wojny wcale trafne; dumny to był i szorstki pan; zastępował godnie cesarza w obrębie powiatu. Nie mam zresztą o nim nic do powiedzenia. Może go w ogóle raz albo dwa razy w życiu widziałem. Raz na procesji Bożego Ciała, na której proboszcz zastępował Boga, a starosta Głodowski monarchę. Stałem z daleka pełen skupienia i podziwu; oto pomyślałem, ziemscy ambasadorowie najwznioślejszych idei: państwa niebiańskiego i państwa ziemskiego wspierają i pomagają sobie wzajemnie; oto wzniosły przykład braterstwa i sojuszu; oto owe viribus unitis w swej najszczytniejszej formie; to jest piękne. Potrzebałem z zachwytem, nie często bowiem danem nam jest spojrzeć na taką harmonijność współzycia wysokiego, jeśli nie najwyższego gatunku.

Stałem na uboczu; mały pocztowy urzędniczyna, na szarym końcu wszelkiej hierarchii. Gdybym był rumiankiem — rączki dziewczynek niewinnych oskubałyby mnie i rzuciły białe moje płatki pod nogi ambasadora niebieskiego i ziemskiego. Nie byłem rumiankiem; byłem niczym.

Dzwony na wieży kościelnej biły posepnie, małe dzwoneczki przed baldachimem turlikały i dzin-dzioliły; zrobiło mi się nagle tak smutno i ciężko na sercu, że nie wiem.

W tej chwili mijają mnie serce procesji — szły szpalerem małe, białe odziane dziewczynki, szły do tyłu, twarzą zwróconą do ambasadorów; sypały kwiaty pod ich stopy; różnokolorowe, żółte, czerwone, niebieskie i białe; były wśród nich i piórka rumianków; nie moje, nie.

Orszak posuwał się powoli, od ołtarza do ołtarza; gdy już zrównał się ze mną, usłyszałem z poza lśniącej, drogiej na pewno, monstrancji słowa ambasadora bożego, monitującego dobrotliwie, zbyt

powoli, bo do tyłu, posuwającą się działwą: „prę-dziej tam, prędzej gówniarze” — przyczym szkła okularów w złotej oprawie zalsniły, jak dwa słoneczka, na licach proboszcza.

Te łagodne, a tak ludzkie słowa rozczuliły mnie głęboko, przypomniały mi matkę, która w latach wczesnej młodości mojej też tym zwrotem posługiwała się chętnie; nie tyle całym zwrotem, ile epitetem, który wedle okoliczności, zaopatrywała w różne słowa.

Tak więc w sposób prosty, niewyszukany i prawie mimowolny, jakby od niechcenia dołączyło się do adoracji przedstawicieli władz państwa niebiańskiego i ziemskiego, jeszcze i uczucie synowskie; komplet.

Z niejaką też przykrością, w tym wzniosłym momencie, skonstatowałem na twarzy, tuż za baldachimem kroczącego, zastępcy najjaśniejszego monarchy, jakby znudzenie i dysgust; szedł z opuszczoną głową, policzki, niby dwa blade koilety, zwiślały i trzęsły się za każdym krokiem, nawet mi się zdawało, że z trudem powstrzymuje ziewanie; w takiej chwili — oto, pomyślałem, jak spoufalenie ze sferą boskości wywołuje zblazowanie, ludźmi jednak wszyscy jesteśmy „równi sobie w odczuciach, różni w poborach.

W tej chwili usłyszałem po za orszakiem procesyjnym, który, jak pięknej jubilerskiej roboty pierścień, otaczał środek rynku — komendę, mnie; więcej tego rodzaju — (nie ręczę za dosłowność, nie posiadam pojętności i pamięci dla wyrażen trudnego rzemiosła żołnierskiego —): feuer — gewer an! — i jeszcze raz, wysoko, piskliwie: — feu-er!

Rrrrym! — Zagruchotał wystrzał, jakby kto garść grochu naraz rzucił na blachę cynkową, tylko głośniej!



# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBUKI

Wzdrygnąłem się od stóp do głów — i zorientowałem się, że stoję oparty o mosiężną przegrodę przed oknem wystawowym firmy Załaj w zupełnie innych warunkach, że to nie procesja (— drugi raz widziałem strostę Głodowskiego tak, ot, przelotnie, nie ma nawet o czym mówić —), nie sojusz, a coś, co raczej przypomina, nieznanne mi bliżej, tak zwane, niezadowolenie mas, które, jak kiedyś czytałem, może się zmienić w tak zwany gniew ludu. W. Wądołowiel — niesłychanel

A przecież właśnie te masy, które popularny organ i wyraziciel najbardziej ponurych właściwości psychiki zbrodniarzy politycznych (— to wyrażenie jest własnością mojego przyjaciela Sączka, o czym później opowiem —) znany podieszczotliwą nazwą „lkacjusza”, nazywa najchętniej „mętami” (t w środku! nie d) właśnie w tej chwili patrzyły jak jeden mąż na gmach starostwa i to patrzyły nie z uszanowaniem, lecz z ciekawością, do której dołączały się, jak motyle nad kwiatną łąką — zdrożne i niestosowne uśmieški.

Bo też istotnie stało się — w obrębie wzroku — coś dziwnego i niecodziennego.

Niewiadomo jak, skąd i poco znachodziła się wsparta jednym końcem o bruk rynku wądołowskiego, a drugim o balkon starostwa wcale pokaza-

na drabina; nie strażacka, zwyczajna, solidna drabina.

Wygląd tego zdarzenia był wprost nieobyczajny i jakiś taki bez szacunku i bez... subordynacji, o, to jest dobre, trafne słowo!

Wtedy ujrzałem ten tłum tarasujący całą przestrzeń.

Zdziwiłem się nieco, znam bowiem tutejsze obyczaje, i wiem, że prócz panien i kawalerów, którzy lubią się jakiś czas szwędzać w nowych ubraniach po rynku, wszyscy inni dość śpiesznie udają się do swoich domostw.

A tu tymczasem nikt się do tego domu nie śpieszy. Ani się nikomu nie śni; wszyscy stoją, czasem przewalają się grupkami, mieszają się ze sobą, tają, ale trwają na tym prynsypanym miejscu.

Stoję sam odwrócony, względnie tyłem zwrócony do kuli ziemskiej, Afryki i Europy — stoję i dziwię się temu co się tu dzieje; wprawdzie domyślałem się przyczyny, owszem, lecz ani na chwilę nie przychodziło mi do głowy, aby Wądołów, aby obywatela Wądołowa.... U nas na Kopyniówce to, co się w tych dniach stać miało — nie interesowało nikogo, nikt na to nie liczył, nikt żadnej istotnej zmiany nie przewidywał, trochę tu i ówdzie zaobserwowałem lęku, czy nie będzie jeszcze gorzej; lecz to „gorzej” nie miało żadnych widoków wzrostu, było dostateczne, na naszą miarę; wnet się też wszyscy uspokoili i robili swoje.

W tym miejscu moich rozważań zauważyłem na rynku jakiś ruch wzmożony — poruszenie raczej — wszystkie głowy zwróciły się, jak na komendę, w jednym kierunku.

Słońce świeciło skośno, lecz ostro — tak, że wszyscy ludzie mieli w tej chwili (po tym odwróceniu) jedną część twarzy żółtą, a drugą ciemną

36  
i jakby fioletową; nawet mnie to zastanowiło skąd takie kolory, kiedy twarz, jak twarz, cielistą i już, a tu nagle inaczej; w tym nagim fackie, było coś istotnie nagiego, gołego, nieprzyzwoitego.

Bo też istotnie! — stawić drabinę pod starostwem! Któż to widział! — o ileby szło o jakąś reperację ścian, balkonu, futryn, czy oszklelenie okien — no rzecz jasna, potrzebna drabina, owszem, nikt nie powie, że nie. Ale to była niedziela, dzień więc wolny od pracy, t. zn. nie-wolno pracować, handlować, zarabiać; jeść wolno, spać wolno, spacerować, kochać wolno, lecz nie robić — żadną więc miarą nie mogła to być naprawa uszkodzeń; zresztą żadnych uszkodzeń nigdzie widać nie było, gmach w porządku otynkowany, tą farbą popielatą - zieloną powleczony, nic podejrzanego — jedynie co widać było to to, że drabina była tak pod blaszanym, dwugłowym (— to były czasy dwugłowe) orłem ustawiona, jakby zapraszała: proszę panie orle, zejdź pan; istotnie, zdawało mi się przez sekundę, że orzeł nieśmiało próbuje nogą, czyby ewentualnie nie, — nawet miałem wrażenie, że lewą, potężnymi szponami zdobną nogę postawił na najwyższym szczeblu; — lecz to musiała być halucynacja, wywołana uporczywym moim wpatrywaniem się, oraz tym, opisanym przeze mnie poprzednio ostrym, skośnym światłem, listopadowego śródpołudnia; napewno!

Więc co? — pytanie to drżało iskierką lśniąca we wszystkich źrenicach; aż powieirze mżyło i drgało od tych płomiennych iskierek. Mniejsze i słabiej błyszczące ogniki widziałem również na rozchylonych wargach u większości patrzących; te iskierki w źrenicach mieli zaś wszyscy.

(D. c. n.).

## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBUKI

Zaraz się wyjaśniło! — już szła odpowiedź.

Oto ktoś zaczął się zrećnie wspinać po drabinie; ruchy jego były szybkie, zwinne i sprawne.

Grupa wyrostków, takich, proszę, łazików, jakich nigdy nie brak w okazjach niepowszednich i, jak ta w tej chwili, niestosownych, — zaczęła wołać gromko: hurra! brawo! hurra! — okrzykami tymi niejako dodając ducha wspinającemu się mężczyźnie.

Hurra! — brzmiało coraz silniej i natarczywiej; za wyrostkami i łazikami ten i ów mniej pohamowany i nie wytrzymały na tłumny entuzjazm -- wydzierał się co siłą; stąd to wrażenie opanowania rynku przez słowo „hurra!” oraz przez „brawo!” — lecz głośniejsze i niejako ważniejsze, bardziej zdobywcze, wyrzające się na front było „hura!”

Spojrzałem na wspinającego się na drabinę mężczyznę, spojrzałem i raz jeszcze spojrzałem i — aż

gębę rozdziawiłem ze zdumienia! — nie! tak! nie! tak! ależ nie! ależ tak! nie! napewno tak! — no tak! tak! ak! — tak! nie! napewno tak! — no tak! tak! tak! — to Rudolf laził po drabinie!

Był bez czapki; włosy bujne rozwiewał mu wiatr, usta miał zacięte, jak to bywa, gdy zaczynamy działać po długim postanowieniu.

Cały wyraz twarzy wyrażał siłę woli, chęć dokonania zamierzenia, upór i nieustępliwość; nawet i postawa jego, to znaczy postać cała mówiła to samo co i twarz, ruchy korpusu, gest kończyn, czyli nóg i rąk.

Mnie się on wydawał wspaniały, chociaż jeszcze nie wiedziałem, czego się chce mieć i co wykonać; odniosłem wrażenie, szybko rzuciwszy okiem dookoła, że wszystkich przejmują to samo uczucie, że na wszystkich wywarł wrażenie, ukryte w tym słowie: wspaniały!

No — naturalnie! Rudolf!

Jakżeby inaczej!

On — zawsze on — jedyny taki!

Musiałem się chyba uśmiechać w owej chwili; oka już teraz z niego nie spuszczałem.

Szczebel po szczebłu wznosił się szybko tak, że to wszystko działo się szybciej niż ja to opowiadam.

W lewej ręce miał jakiś przedmiot żelazny, tak, że obejmując tą ręką grzędę stukał o drzewo -- wznosił się więc przy akompaniamencie rytmicznych ude-

rzeń, którym towarzyszyli zachwyty tłumów; zebrane u spodu drabiny wisusy podchwyciły ten dźwięk i zaczęły skandować: stuk — stuk — stuk — stuk.

Tak on tam wtedy wznosił się ponad współobywateli obojga płci.

Zaintrygowany tym przedmiotem stukającym w lewej ręce Rudolfa — natężyłem wzrok i z kształtu domysliłem się łatwo, a nawet rozpoznałem: to byli obcęg!

Zaczęło mi świtać w głowie!

Obcęg! oczywiście obcęg! — jak skrupulatnie, jak drobiazgowo, pieron (— muszę sobie ulżyć tym rodzimym przykłęciem — ono tyle wyrażał! —, wszystko obmyślił! — Kilkakrotnie powtórzyłem pieronie! i okrasilem tę pieczętę przymiotnikami: o ty pieronie sakramencki, pieronie morowy, pieronie kochany, o ty pieronie wspaniały!

Gdy ktoś z bliżej mnie stojących zauważył: — patrzcie! o obcęgach nie zapomnieli! — o — zgromiłem go wzrokiem za samo przypuszczenie, iż mógł pomyśleć, że mogłoby być inaczej i dodałem z wyniosłością:

— Panie! — Rudolf!!

Zaprobował ze zrozumieniem:

— no ja, też prawda!

Udobruchał mnie tą szybką orientacją.

Wszyscy, patrzą, patrzą!

(D. c. n.)

## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

A Rudolf już wyspinał się zręcznie na balustradę, okroczył ją zgrabnym przerzutem nogi i — nie patrząc wcale w dół, na ten tyśiąc, licząc z grubsza, oczu — cały pogrążony w zamiarze i w szczegółach wykonania — począł obcęgami sprawnie i celowo manipulować przy grzbiecie dwugłowego orła, który od tyłu, tyłu lat, w skwarze i mrozie, w płucie i pogodzie, w ćmie i jasności rozpinał na tej balustradzie blaszane skrzydła, wycięte w kształt tak charakterystycznych dla tego ptaka piór; możnaby powiedzieć bez przesady, że się rozpierał; nic dziwnego, tyle lat to się i orzeł do posady przyzwyczaił i rozpanoszył się; instynkty zwierząt i ludzi są takie same.

Patrzałem pilnie na samotnego człowieka, dokonującego na widoku, na podwyższeniu, na oczach rodaków czynu historycznego.

Pilnie patrzałem, świadom, że danem mi jest obserwować moment przełomu dziejowego; jakoby miała wybić godzina dwunasta na przełomie wieków; przypomniały mi się słowa mojego katechety z przed wielu lat, który życząc nam wesółych świąt w roku tyśiąc dziewięćsetnym rzekł: spolkamy się już w następnym wieku, chłopcy, postanówcie nie grzeszyć w wieku dwudziestym! — słicznie to powiedział, trochę tak jak Napoleon pod piramidami; lecz podobnie jak wielki Korsykanin nie przewidział, że stanie się odstrasającym obrazem krwawego demona, tak i mój katecheta nie przewidział

jak to będzie ów wiek dwudziesty; obaj jednak byli ludźmi omylnymi, choć jeden miał święcenia kapłańskie, a drugi pomazania monarsze; to, widać, nie pomaga; rozsądek więcej wart od ceremonii; oto co pomyślałem w tej chwili.

Równocześnie z tym przelotem myśli wydało mi się — już poraz drugi — że orzeł znów objął szponami najwyższy szczebel, jakby się zdecydował jednak skorzystać z dogodnej sposobności, że ta drabina tak ponętnie pod nim sobie wskos do bruku sięga; rychło jednak zdjął łapę i to z taką — wciąż mi się zdawało — miną, jakby chciał powiedzieć: eł, wszystko jedno, nie warto się fatygować, będzie co będzie; zastygł i znów był całkiem blaszany.

Tymczasem Rudolf, wystawiwszy z wysiłku koniuszek języka, który wyraźnie zakwitł, jak pączek piwonii, na bladej przestrzeni skupionych lic, dokonywał swego dzieła; ręce jego szybko obiegały symboliczną postać orła, jakby go magnetyzowały, lub hipnotyzowały; takie wrażenie.

Ludzie aż zamarli ze wzruszenia, bo było jakoby Rudolf, odprawiając mszę solenną, odwrócił się i przemówił: dominus vobiscum, albo: ite missa est.

I oto w tym momencie rozluźniła się jedna połowa emblematu auto-węgierskiego i przechyliła się na bok żałośnie i zrezygnowanie.

Zupełnie jawne i wyczuwalne drżenie przeszło tłumem, powietrze zawibrowało w skośnym oświetleniu.

Jeszcze się tam poza balustradą pracuje, jeszcze się działa, zwinnie, sprawnie, gorączkowo — ręce i ręce i ręce pomagają sobie wzajemnie.

Pierwszy silny głos, człowiecza mowa! — to Rudolf krzyczy:

— uważać tam! —

I, może za minutę, raz jeszcze:

— u—wa—ga —

Zachwirutał się z rdzawym chrzęstem orzeł, zatrząsał, zatrzepotał, szcęknał blaszanie o balustra-

dę, o koniec drabiny, o pierwszy szczebel i chrymnał, koziołkując rechołtliwie, na kamienny bruk z hukiem i brzękiem.

Wzmógł się, od wnętrzości idący, dreszcz wstrząsnął tłumem.

Najbliżej stojący odskoczyli.

Na pustym obrębie, obrosłym, jak polana leśna sosnami, najgorliwzszymi dnia tego Wołkowiczankami — leżał płaski, przyległy do bruku jak duży, mroczny cień — orzeł. Teraz dopiero, gdy był niżej niż głowy ludzkie, widać było, że wyraz jego obu oblicz był złośliwy i zaczepny; oczy ostre i groźne, język jak u węża — szpony jak kindżały wpijały się nieustępliwie w jabłko i berło — na szyjach miał przewieszony łańcuch złotego runa, którego poszczególne ogniwa stanowiły herby tych krajów, które mogły się szczyścić odezwami, zatytułowanymi: do moich ludów! — więc Austria Dolna i Górna, Styria, Karyntia, Tyrol, Dalmacja, Solnogród, Galicja i Lodomeria i różne inne jeszcze wieńcem otaczały pierś, brzuch i podbrzusze leżącego u stóp Wołkowiczank orła; pomiędzy rozkraczonymi nogami, jak liść figowy, zwisał żałosny baranek. Tak to on tu teraz leżał — stary, bezużyteczny kawał blachy, na szmelc, wartości trzech do czterech groszy; i to nie. Tranzet glorii — czemu innym jest historia? — Westchnąłem.

Ocknął się rynek — najpierw łaziki, a za nimi część publiczności zaczęła wznosić okrzyki. Nieśmiało i niewielogłose, z początku wyraz uczuć, poruszeń i wzburzeń, urosły do potężnego grzmotu: hurra! hurra! hurra!

Zdaje mi się, że i ja dołączyłem się do ogólnego entuzjazmu i rzuciłem moje skromne hurra na szalę ogólnego dobra: wdowi grosz pocztowca dziesiątej (wtedy) kategorii.

Rudolf stał ponad tym miejscem dziwnie w tej chwili opustoszałym, gdzie jeszcze przed chwilą sędziwy królował ptak.

(D. c. n.).

## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Uniósł ręce, z których prawa uzbrojona była historycznymi już obcęgami — i stał tak chwilę natchniony i jeszcze przejęty dokonany dziełem. Przypomnił mi się od razu obraz wielkiego mistrza naszego Jana Matejki p. t. „Kazanie Skargi”. Ręce podniesione nad głową, bystry wzrok, rozwiane włosy — oto co mi nasunęło to porównanie. Zaraz jednak dostrzegłem pewne różnice. Skarga był stary, Rudolf młody, Skarga miał brodę, Rudolf nie, Skarga był księdzem, Rudolf człowiekiem świeckim, Skarga był wrogiem heretyków, Rudolf posiadał szlachetną tolerancję, Skarga był reakcjonistą, Rudolf liberałem, Skarga przemawiał do króla i magnatów, Rudolf do łażaków i rodaków-mieszczan. Poza tym jednak obraz w ogólnych zarysach zgadzał się w zupełności. Najlepszy dowód, że mi się samorzutnie i bezpośrednio, jako porównanie, nawinął.

Tłum podniecany ustawicznie uciechą i buńczucznością wyrostków przeszedł z ogólnikowego „hurra” na zupełnie konkretne hasła; lecz tu na terenie konkretności właśnie zarysowały się natychmiast różnice, pierwotna zgoda prysnęła jak bańka mydlana; — część zaczęła wołać: „niech żyje”, „niech żyje” — inna natomiast grupa krzy-

czała: „precz!”, „precz!” — Już niewiadomo było co się do czego odnosi — tyle tylko wyrozumiałem, że entuzjazm jest, zachwyty też jest, nawet egzaltacja, że namiętności zaczynają grać — a to w takich momentach historycznych rzecz zasadnicza. Tak mniemam.

I oto znów Rudolf!

Jak mistrz prawdziwy, jak ksiądz Pobak, który umiał ześrodkować uwagę zaściankowej szlachty na tabakierze z wizerunkiem Bonapartego (o którym już, używając drugiej nazwy tego sławnego człowieka, mianowicie Napoleon, mówiłem), jak nasz dyrygent chóru Towarzystwa Sokół, świetny sam tenor, pan Apolinary Danobis, który umie trzymać w ryzach naszą młodzież rozwałęsaną i nieposłuszną, tych naszych kochanych, lecz rozpuszczonych urwipołciów „szmaciarzy” — tak też właśnie Rudolf, zgrzany jeszcze i spocony, wsparty w tej chwili oburącz na balustradzie — patrzył na masę głów ludzkich, jakby drugi wyższy bruk tego rynku — w mig zorientował się, że takie „niech żyje” i „precz” nie tylko nic nie znaczy, lecz wprost szkodliwe jest dla sprawy i jedności i solidarności — podniesioną ręką nakazał posłuch, wyczekał chwilę, a gdy się wszystko powoli uciszyło, jak wzburzone fale morza on tam z balkonu ze swego bocianiego gniazda — żeglarz nieustraszony — zawołał:

— rodacy —

Powtórzył:

— kochani rodacy —

I dodał:

— co tu dużo gadać —

Retorycznie zapytał:

— nieprawdaż? — poco? —

Stwierdził:

— lepiej zaśpiewajmy —

I natychmiast zaintonował:

— o cześć wam panowie —

Wtedy ktoś z tłumu wrzasnął:

— od początku — co jest do cholery!

Ktoś inny dorzucił:

— bałagan czy co — jakże tak —

Lecz Rudolf już zaczął śpiewać:

— gdy naród do boju wystąpił z orężem —

W tej chwili obejrzałem się z uczuciem jakiegoś nieuzasadnionego lęku, naglej trwogi — już wtedy poczułem skurcz serca, gdy pomyślałem „wzburzone fale morza” i „ze swego bocianiego gniazda — żeglarz nieustraszony” — tak, a teraz obejrzałem się raptownie... czy w oknie firmy Melchior Załaj jest jeszcze ten globus; nierozsądne! — bo gdzieżby się miał podziać? — oczywiście był; i taki sam: Afryka, wyskubane wybrzeża Europy — te same rude, cienkie jak nitka granice — i słabe jak nitka mignęło mi przez głowę; — nawet mnie nieco rozśmieszyła ta mała kula ziemską, którą od biedy możnaby w futbol zagrać — planeta — ziemia — glob! — ostatecznie z takiego naprzykład Marsa to ona, ta nasza ziemia, jeszcze jest mniejsza, całkiem mała, iskierka; i wszystko się na niej mieści i części świata i morza rozległe i powiat nasz i Wądołów z tłumem ludzi na rynku, z płaskim, blaszanym orłem na bruku i z Rudolfem tam na balkonie,

— za naszą mewolę kajdany —

(D. c. n.).

## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Cały mój wywód niedorzeczny trwał okamgnienie; lęk rozwił się tak szybko jak nagle mnie opadł. Pozostało tylko uczucie niesmaku nieznaney mi treści i niedocieczonego pochodzenia; z powietrza po prostu — tego tu, śpiewem wstrząsane go powierza; chyba.

Bo też drżało powietrze — no! — tłum podchwycił melodię, rzuconą jak piłka z balkonu starostwa i odrzucał ją na mury domów, skąd odbijała się wraz z echem i pogłosem — dudniła i grzmiąca, szumiała i gnała wiatrem po skośnej drodze słonecznego światła — odbita od ziemi, uderzała w niebo lazurowe, czyste i zimne.

Drżało powietrze — dźwięczały szyby.

W drzwiach sklepów wszczął się ruch — kupcy wychodzili z długimi żerdziami, zakończonymi żelaznym hakiem i ściągali z rumorem i churkotem żaluzje karbowane, u dołu, tam gdzie się schodzą uszka zakładali kłódki — poczem szybko zamykali drzwi sklepowe, zakładając deski i antaby. Przez czarne sienie zmykali co tchu.

Wszystkie te czynności były wcale hałaśliwe — tak, że niepokoju, tumultu i wrzawa wzrastały się

z każdą chwilą.

W momencie największego natężenia głosowego rynku, który był jak wnętrze bębna, trzepanego szybko pałką, w momencie więc, gdy ten cały hałas uderzył ludziom na mózg, tak, że dojrzewali do czynów nieopanowanych, odruchowych, nieobliczalnych i groźnych — przemykał się przyczajenie i skurczenie placykiem do zakrystii ku plebanii ksiądz proboszcz Tadeusz Dziecko (już go dawno nie ma w naszej parafii); co dopiero zrzucił był z siebie po nabożeństwie szaty liturgiczne — ktoś mu widać z parafian musiał szepnąć — ludzie tak łatwo szalują słowem „rozruchy”, więc tak mu to ktoś widać, powiedział — bo ksiądz Dziecko był najwidoczniej nastraszony — choć przecież nie miał czego; prawdą jest, że „trzymał” ze starostą, onymże Głodowskim, że w ogóle kumał się z władzą, właścicielami dóbr, fabrykantami, to prawda, lecz to są rzeczy zwyczajne, każdy ciągnie do lepszego, któżby jadł ziemniaki lub kapustę nie omaszczoną, jeśli może zjeść kotlet wieprzowy lub smażoną kiełbasę, takich głupich nie ma, zaś co do władzy, to zważywszy, że wszelka władza od Boga pochodzi — ksiądz obowiązkowo musi trzymać z każdą władzą, jeśli nie chce sprzeciwić się woli bożej i popaść w konflikt z niezbadanymi wyrokami niebios.

Tak te sprawy stały.

Niemniej jednak proboszcz Dziecko bał się w tej chwili — po prostu strach go obleciał — i oto chybkim i chyłkiem skradał się teraz do zacisznej, kądzielnej, kawalerstwu i tłustem jądłem pachnącej plebanii. — Prędko dopadł drzwi, dysząc i fuczając, bo tuszy był niczego sobie, zwyczajnie, proboszcz.

40  
otworzył je raptownie, wtoczył się do sieni i zatrzasnął za sobą bramę.

Najbliżej stojący tego placyku, jak później mówili, słyszeli, jak tam, już za zamkniętymi na klucz i na rygiel drzwiami miał się wyrazić: policji na tych gówniarzy (lubował się widać w tym słowie, bo wtedy co to na tej procesji, to też on był, ksiądz Dziecko, a jakże).

Czy to zdanie wypowiedział — w czym zresztą nie byłoby nic dziwnego, policja ma istotnie bronić mienia ludzkiego i tych, którzy je posiadają, tam gdzie nie ma niczego, niema również czego bronić, stąd by wynikało, że nie posiadający nic, nie wzbudzają ochronnych zainteresowań policji; lecz w tej materii jestem jak tabaka w rogu — tutaj to tylko chcę rzec, że, czy ksiądz proboszcz to zdanie „policji na tych gówniarzy” powiedział — nie wiadomo, czy je kto słyszał? — trudno dociec, czy usłyszawszy podał je dalej? — dowieść nie łatwo — czy jednak zaszło to, tamto, czy owo — dość, że zaraz po zatrzaśnięciu bramy plebanii — tłum śpiewający rozdzielił się na dwie dość równe części — i oto jedni zwrócili się twarzami ku plebanii i dążyli się w niebogłosość: o cześć wam biskupi, prałaci — drudzy zaś zwróceni ku starostwu ryczeli: o cześć wam panowie magnaci — co jednak, przyznać muszę, w śpiewie nakrywało się tak, że nie było żadnej różnicy w tych dwu zdaniach, były po prostu bliźniacze i dobrze z sobą harmonizowały. Całe szczęście! inaczej byłoby całe to śpiewanie fałszywie wypadło, a to byłoby przykre.

(D. c. n.).

## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza!

## WIELOBUKI

Po odśpiewaniu pierwszej pieśni — wyskoczył na trzeci szczebel drabiny mężczyzna niezmiernie chudy z bródką w klin, bardzo czarną, przez co szczupła twarz tym bledszą się wydawała, poznałem go od razu, był to urzędnik ruchu, znany socjalista Wnek — wysokim, cienkim głosem zaczął coś wykrzykiwać, co do mnie poprzez dogasający śpiew i harmider dolatywało tyło w podartych strzępach, notuję to co usłyszałem:

...rzysze ...koniec ...alisticzny i nigdy więcej ...lud  
...tniczny ...py ...olska ...partia ...styczna ...niech żyje!  
...olska ...dowa ...olska ...tnicza ...arnicy ...opjce  
...nigdy ...kler ...pędzić! ...ebrać ...obra ...storskie  
...erwony ..tandar...

Zakończenie podziałało jak wezwanie, wszczął się na nowo krzyk:

niech żyje! — niech żyje!

I zaraz wszyscy, z dobrej zacząwszy tonacji, intonowali:

— nasz sztandar płynie ponad trony —

W kącinie rynku między magistratem a plebanią stała grupka poważnych mężczyzn; jeden z nich za czerwieniony i najeżony rzekł:

— lepiejby rotę śpiewali —

Na to któryś odpowiedział:

— radcuniu, przyjdzie i na to czas —

Dalej nie słyszałem, bo tu już:

— sędziami wówczas będziem my —

Tak oto śpiewano prosto w twarz starostwu i plebanii. W obu domach tych publicznych poza lśniącymi szybami stała jakby pionowa wyczekująca cisza; z powodu załamania się światła skośnego, okna w starostwie były koloru żółto-czerwonego, a w plebani żółto-białego; mianownik: żółty, jak by rzekł mój były profesor matematyki.

Dziwiło mnie nieco, że ani starosta, ani proboszcz nie ukazał się chociaż w oknie; ja na ich miejscu byłbym otworzył okno i razem z ludem śpiewał; podkreśliło by to harmonię i zgodność zapatrywań. No ale cóż tam ja! — nie znam się na formach wyższych sfer — dzisiaj się nie znam, a cóż dopiero wtedy! Smarkaty pocziarzi — chciałoby się to mieszać do polityki diecezjalnej i polityczno-administracyjnej! — Tupet, wytłumaczalny jedynie niedojrzałością (miałem wtedy zaledwie dwadzieścia siedem lat) i wychowaniem na Kopyniówce; a tu przecież Wądołów! — Zapomniałem.

Tymczasem Rudolf już był zszedł z balkonu i począł zstępować — frontem do rynku — z drabiny. cała jego wdzięczna postać wyrażała pogodę, zadowolenie i tryumf.

Jeszcze lotną stopą nie dotknął bruku — a już go momentalnie najbliżej stojący, a więc te kochane łaziki nasze, zawsze do wszystkiego skore i pierwsze, porwali na ręce i niosły wysoko podrzucając od czasu do czasu w górę, tak, że to dawało pozór jakoby jechał galopa na niewidocznym koniu; oto wyraz prędkiej wdzięczności! to napawa otuchą.

Rudolf coś perorował, perswadował, krezczał lecz co, tego dosłyszeć nie mogłem.

Gdy ten nieco dziwny lecz bezsprzecznie tryumfalny orszak przechodził obok mnie — i ja wyciągnąłem rękę na znak uznania i radości — dojrzał mnie nisko stojącego tyłem do globusu ze swej wyżyny Rudolf i krzyknął:

— Zydell! okrztoniu stary, jak się masz! — Na sermater z monarchią — i w ogóle — serwus Jasiul!

Byłby może jeszcze więcej powiedział, lecz niosący go szli szybko. Ale i tak tego wystarczyło. Wszystkich oczy były zwrócone na chwilę na mnie. Pokraśniałem.

Nigdy tego nie zapomnę.

A dodatek jego przemówienia „i w ogóle“ intriguje mnie po dziś dzień! Po osiemnastu latach!

Oto co znaczy siew słowa! To są ważne rzeczy; słowa są jak zdarzenia; może i więcej.

Rynek począł się powoli opróżniać.

Część ludzi rozeszła się do swych domostw; to byli pesymiści. Istotnie, mijając takie grupki domatorów słyszałem takie zdania:

— Co to teraz będzie? —

— Świat się przewraca do góry nogami —

— wszystko teraz podrożeje —

— już nawet na kartki chleba nie dostanie —

— diabli wzięli Austrię — co my teraz zrobimy —

— żeby stary cesarz żył, toby do tego nie doszło —

— młodemu się wszystko w rękach rozlało —

— nie ma porządku, nie było i nie będzie —

— ale jakie pieniądze teraz nastaną — ? —

Inni nie mówili nic, wzdychali tylko i rozglądali się trwożnie dookoła i ukradkiem zerkali na gmach starostwa. Czarno - żółte okna milczały.

(D. c. n.).

## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Przechodziłem mimo tych strachopudów i mal-kontentów z pobłażliwością.

Część skłonniejsza do optymizmu udała się za wskazówką Rudolfa w głąb Ciasnej, przed dom zna-nego adwokata wadołowskiego Dr. Optułowicza, gdzie nad bramą tego właśnie domu umieszczona była marmurowa tablica, na której złotymi litera-mi, jak na nagrobkach, wypisane było, że w tym do-mu od 20-go lipca do 14-go sierpnia 1916-go roku mieszkał arcyksiążę Karol wraz z żoną swoją arcy-księżną Zytą. I tę tablicę rozbito; bito w nią ka-mieniami z daleka; łaziki sobie taki śpas zrobiły, śpas z ustanowieniem rekordów, kto celniej i ile razy.

W dniu tym i z gmachu gimnazjum spadł emble-mat państwowy.

I z apteki rządowej.

I z Izby skarbowej.

I z gmachu poczty.

I ze sklepu kolonialnego, którego właściciel pysznił się przywilejem: „c i k. nadworny dostawca“.

Wszędzie.

Został tylko na koszarach; wojsko bowiem z racji swej funkcji zasadniczej musi bronić wszystkiego

co ustępuje. W tym założeniu biorą swój początek rewolucje.

Wracałem samotny opustoszałym rynkiem.

Serce biło mi w piersiach szybko i głośno; tyle wrażeń! i jakich wrażeń! byłem podniecony i jakby pijany.

Przechodząc obok strąconego ze starostwa orła— zatrzymałem się chwilę przed tą już nic nie znaczą-cą blachą.

— oto — powiedziałem głośno — na co ci to przyszło — dowojowałeś się braciszku, przyszła kryska na Matyska — a ta zwie się Rudolf! — serwus stary — śpij spokojnie — na nic już nie jesteś zdatny —

Tranzet glorii! Rupieciarnia historii!

Takie było moje ostatnie spotkanie się z dwugło-wym orłem.

## ROZDZIAŁ ÓSMY.

Wracałem do domu podniecony i, jeśli to możli-we — rozkochany jeszcze bardziej w Rudolfe.

Oto znów urósł w moich oczach.

Nie zawiodłem się na nim. Byłem świadkiem jego czynu i jego tryumfu — i czegoś jeszcze wię-cej, o, znacznie więcej: — wzburzenia umysłów i roz-plomienienia serc, które on wzburzył i rozplomienił.

Nieraz też sobie od tego czasu myślałem, że gdy-by przyszło do... No tak! odpowiadałem mym my-słom: on byłby pierwszy, on stanąłby na czele, on poprowadziłby do tego jutra, o którym wszyscy wie-my, że przyjść musi, tylko nie wiemy kiedy; — czy też Rudolf wie? — e, chyba wie; napewno wie.

Bo ja to tylko tak, jakby przez sen, trochę jak

42  
w malignie — używam wprawdzie słów, jak i te-raz, takich — o, „jutro“, „że przyjść musi“, „że, gdy-by przyszło do“ — ale co one istotnie znaczą nie zdają sobie jasno sprawy; to, że umiałem tylko napi-sać „do“, a potem dałem kropki świadczy dosta-tecznie o tym, że jestem jak tabaka w rogu.

Czasem potrafię całymi godzinami przeżyć ukryty w wiklinach na łączkach wonnych, jakie się tu i ówdzie w tym gąszczu znajdują — wród ciszy i nagrzanego powietrza — Żnica szumi — czasem przeleci z klekotliwym śmiechem dzieciół — przy-siądzie na pniu dębu — jest tutaj kilka dębów — oprze się na krótkim mocnym ogonie — postuka — okrąży w zwinnych rzutach pień — znów postuka — a potem z furkotem leci dalej — i znów cisza; — w takich chwilach myślę, żując źdźbło trawy, o przy-szłości! nie mojej, ja przecież nie mogę mieć żadnej przyszłości; lecz o przyszłości w ogóle, że przecież takim trybem jak dotychczas ludzkość rządzić się nie może, że nie może być takiej nierówności jak jest, że ludzkość nie może głodować, żyć gorzej niż zgo-nione, zestrachane zwierzę, bo wszystko co tylko gdzie się wyprodukuje, to tylko na zbrojenia, na za-borczości, na śmierć wszystkich sromotną, okrutną, niezawistną — — ja wiem, że to śmieszne myśleć o takich rzeczach w Kopyniówce, choć z drugiej strony Kopyniówka jest jednym z tych miejsc, rzuco-nych poza nawias, po za szlak drogi, rzucona w wil-czy dół! — I żeby tak ktoś tutaj... Bo ja nawet tych moich wyleżanych w wiklinowym gnieździe myśl! nie potrafię skonkretyzować.

(D. c. n.)

## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

I w ogóle — smutno, — źle; — czekam. Na co?

Wczoraj odtwarzając w dosłownym brzmieniu zdarzeń ów piękny dzień Rudolfa — byłem podniecony i czułem jakby napływ energii; i jeszcze dzisiaj rano, lecz już tylko przez małą chwilę; Króciutko. Zaraz bowiem uderzył mnie obuchem zwykły rachunek, że to już tyle lat temu że od dziesięciu lat nie widziałem Rudolfa. A potem przyszły zaraz jeszcze gorsze myśli mniej-więcej takie, że Kopyniówka czeka już wiele setk lat na, na czy ja wiem jak to powiedzieć? może na ucłowieczenie? to znaczy, żeby poczuła w sobie ludzką godność, poczuła, że jest potrzebna, że pracuje w jakimś pospólnym dobrze w dobrobycie wszelkim, że więc i jąda dość i opału i książek i czystego powietrza i — radości tyle chociaż ile jej ma wróbel ćwierkający na gałęzi. Żeby nie tak beznadziejnie ponuro, nicość taka! że gdy dziecko tutejsze stopami ziemi tej błotnej dotknie, to z latami rośnie w górę i równocześnie zapada się w ziemię — tak, że nigdy większego widnokręgu nie ogarnie, jak na tę pierwszą wysokość dziecka — a potem to już coraz mniej, bo coraz więcej zapada się w ziemię — po piersi — po ramiona — po szyję — po oczy, które ostatnim spojrzeniem wyrażają trwogę, rozpacz i nienawiść! Takie jest tutaj życie: zapadające się. Tak!

Przeto też, gdy zdarzy mi się czytać w gazetach, broszurach lub książkach, które tu czasem na chwili-

łą cudem jakimś zabłądzą na Kopyniówkę, aby zniknąć szybko i tajemniczo, gdy więc zdarzy mi się czytać o wznoszącym się życiu, o jakiejś radosnej rzekomo twórczości, o jakimś podciąganiu się wyżej — opanowuje mnie żałość wielka, a potem nagły gniew — rzucam tę broszurę czy gazetę o podłogę — chce mi się płakać i krzyżeć: czemu tak mówicie, czemu tak odurzacie siebie, nieprawdą są wasze słowa, nieprawdą i krzywdą — życie na Kopyniówce zapada się tonie w błocie, w bezrobociu, w nędzy. w bezradości, w obojętności ponurej lub w złości bezpłodnej — a z Kopyniówek składa się dziewięć dziesiątych kraju!

Cóż w takich warunkach znaczą takie słowa, jak niepodległość? mocarstwowość? rząd? polityka? przemiany i ustalenia? — dla Kopyniówek to zdarzenia takie same jak dla wsi, której Kopyniówka jest nędznym przedłużeniem, podchodzącym pod małomiasteczkowość, my wszyscy mówimy tak samo: to są pańskie sprawy. I obojętniejemy do reszty. Błada mara obojętności ma oczy złe i nieprzyjemne; pobłyskują w niej wrogie ogniki; są to jedyne światła naszych posępnych nocy. Gdyby się miały stać gwiazdami przewodnimi..

Muszę moje myśli oderwać od tej lepkiej mazi rzeczywistości.

Przywołam Rudolfa na pomoc.

Drugie z tej serii zdarzenie, z tej politycznej serii. A to było innym razem; czternaście lat temu; właściwie niespełna czternaście, bo to się działo w grudniu owego roku, teraz jest maj — więc trzynaście lat temu i siedem miesięcy.

Dnia tego straszliwie mnie głowa bolała, poprosiłem kolegę, żeby mnie na chwilę zastąpił przy okienku; nie dużo zresztą było tego dnia roboty: ranną pocztę już posegregowałem, część poumieszczałem w przegródkach i skrytkach — sąd, izba skarbowa, posterunek policji i inne instytucje pu-

bliczne odebrały swe pliki korespondencji — potwierdziłem wydanie w wielkich księgach, przybiłem stemple, podcyfrowałem J. Z. — teraz już była lżejsza robota; zresztą prosiłem o zastąpienie mnie na krótką chwilę, tyle, żeby kupić „kogutka“ lub „kowalskinę“.

Z tym więc zamiarem wstąpiłem do składu aptecznego, czyli do tak zwanej droguerii. Nie mogąc się po drodze z poczty do tego sklepu zdecydować na wybór takiego czy takiego środka — (— dla czegoż lekarstwa nazywają także środkami nie wiem —), który by mi najskuteczniej uśmierzył ból głowy — wszedłem do droguerii i poprosiłem o — wedle uznania sprzedającego — coś pewnego przeciw mojej nieznośnej dolegliwości.

Dodać muszę, że wiadomości ostatnich dni życia politycznego były — dla mnie — deprymujące a całkiem ostatnie katastrofalne.

Nie rozmawiałem o tym z nikim, ponieważ mój naczelny szef pan dyrektor względnie naczelnik poczty oświadczył nam, gdy się tylko te zamieszki rozpoczęły:

— panowie, cicho, sza, mordy na guzik, ani pały z ust, ani mru-mru — niech sobie tam na górze łby pourywają — my tu na dole musimy żyć — jak będzie ukaz urzędowy to my tak — urzędnikowi nie wolno mieć żadnych przekonań, prócz wyluszczonej w obwieszczeniach, to sobie zapamiętajcie, ten kto nam płaci, ma prawo wymagać od nas, co sobie żywnie ubrda — tego by tylko brakowało, że byśmy szerzyli zamęt, mało go to na najwyższych szczeblach — tak, panowie, a teraz do okienek.

Odchodząc do swego pokoju urzędowego, odwrócił się jeszcze w naszą stronę i dodał:

— ja sam, panowie — tu machnął ręką; usłyszeliśmy jeszcze: psiakrew, niech szlak wszystko trafi; — trzaśnięcie drzwiami; i koniec; zostaliśmy sami.

(D. c. n.)



# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Potem ten ból głowy; nic tylko migrena, w skroniach łupie, na wymioty zrywa, napewno migrena.

Na ulicy i na rynku wałęsały się i przystawały w żywej rozmowie grupki ludzi — lecz mało mnie to interesowało z powodu tego bólu; byłem oziębiały; wszystko mi się dwoiło w oczach; nie byłem pewny ilu ludzi spotkałem, jakie to były grupki, wszystkie przedmioty, a więc i postacie ludzkie widziałem otoczone mglistą tęczą; cały świat wyglądał jakby uszyty z chmur, zamieszkały przez duchy ubrane w worki z tęczy. Niedobrze mi się robiło.

Tymczasem droguerzysta zachwalał mi jakiś preparat i zapakował go w bibułkę pełną różnych kwadracików, które też pobudzały mdłości.

Oddając mi lekarstwo i inkasując pieniądze — spojrzał na mnie uważnie i rzekł:

— no to już i po balu —

— bardzo mi dolega — pożałowałem się.

— przejdzie — tak jak i to przeszło, aleśmy się pozbyli — co — ? —

Podkreślił sumiastego wąsa i poprawił binokle; nosił takie owalne bez oprawy; o ile je zdjął — miał po obu stronach nasady nosa czerwone wgłębienia.

Nie rozumiałem o co mu chodzi. Zauważył widać

moje zdziwienie, bo zapytał:

— jak to pan jeszcze nie wie — ? —

— nie wiem; — odpowiadam.

— no pozbyliśmy się tego inżyniera wodnego, tego masona — rzekł pogardliwie i jakby z pewnym obrzydzeniem.

— O kim pan mówi — ? —

— no o tym elekcie żydowskim — przecież dziś zastrzelono prezydenta —

— Jezus Maria — jęknąłem — jaktol —

— a no widzi pan, znalazł się taki bohater narodowy, pafl i już! — najwyższy był czas! Tylko wstyd dla narodu — taka zaporą przeciw duchowi narodowemu; naród może mieć tylko rząd narodowy i narodowego prezydenta —

Tak wciąż sadził: naród, narodowy, dla narodu. Był radosny i rozpromieniony.

Oniemiałem i zrobiło mi się nijako; zflaczałem jakbym był balonem, z którego wypuszczono powietrze.

Musiałem się oprzeć o ladę.

Głowa przestała mnie momentalnie boleć. Byłem oszołomiony.

Morderstwo o którym się dowiedziałem pośród szklanych słoików z tynkturami wydało mi się okropną rzeczą; czymś potwornym!

Ból, gniew, nienawiść, nieokreślona chęć mordy, przesywały się, jak szybko przerzucane klisze, przez moją świadomość; zasnuły ją blade obrazy ulic, pędzących koni, wystawy obrazów, panów w cylindrach, zamieszki, słoczone place, ponure masy ludzkie, orszak pogrzebowy, okrzyki rewolucyjne. Wszystko to zjawiało się prędko, beładnie, obraz wrastał w obraz — jak w śnie.

Otarłem drżącą ręką pot z czoła.

A ten tam pomiędzy wagą z mosiężnymi ciężarkami a maszyną do liczenia pieniędzy, miseczkami pełnymi koralików czerwonych do skrupulatniejszego odważania, gumową patarafią najeżoną kolcami — na której wydawał resztę — wsparty prawym ramieniem o lśniącą ladę, a lewą wymachując jakoś tak gimnastycznie — plótl wciąż duby smalcem o tężyznie narodowej, o duchu rycerskim przodków, którzy pod Wiedniem, Cecorą, Chocimem, Zbarażem, Racławicami stawiali czoło przeważającym zastępom wroga, że w zdrowym ciele zdrowy duch — sokołem był ten droguerzysta, oczywiście — że nie zaprzepaścimy puścizny, którą nam Bóg dał, że ten co zastrzelił zaporę i zawadę jest bohaterem narodowym i szkoda, że nasz wieszcz Henryk nie dożył tej chwili, bo to jak Skrzetuski albo Podhipięta, który lży ronił nad nieszczęściem ojczyzny aż i zdzierzeć dłużej nie mógł i powiedział. dla ciebie słodka ojczyzno i dla chwały twojej! — Potem już aktualniej wiódł monolog dalej: — że jak robił — niby s. p. prezydent — regulacje wód w Szwajcarii i ją elektryfikował — to mógł sobie tam zostać w tym kraju chłopów, po co się tu pchał? — my, bogudzięki, mamy ważniejsze rzeczy na głowie jak regulacje strumyków; cóż? Żnicę też regulują i co z tego? — jak wylewała tak wylewa; szkoda czasu i atlasu! Co tam regulacje us... się na nie, najważniejsze duch narodu, byle świętości nie szargać! — I raz jeszcze: po co się tu pchał? — mnie go nawet żal, bo to nie on tyle zawinił co ten wschodni satrapa.

(D. c. n.)

## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Wiedziałem już, kogo miał na myśli, przypuszczam, że domyślałem się tego dość dokładnie.

Już chciałem wyjść. Proszek włożyłem machinalnie do kieszeni marynarki; otworzyłem właśnie usta, aby powiedzieć adje — gdy oto drzwi szklane otwały się — tak mocno i gwałtownie pchnięte — że rozwierając się uderzyły o półki ze słoikami — te zatrzęśły się gwałtownie, kilka obróciło się wokoło swej osi i ustawiło skośnie, kilka nawet spadło na kamienną posadzkę; podziwiać należy trwałość szkła — bo otwały się, szklane korki odskoczyły i potoczyły się daleko, zawartość wysypała się, a same słoje nie rozbiły się.

W tej samej prawie chwili, gdy skrzydło drzwi poczyniło te spustoszenia i nieporządki — wpadł Rudolf — sam — jeden; lecz poza szybą wystawową zobaczyłem sporą gromadę ludzi; to byli ci — czułem to przez skórę — którymi przewodził; posiadał ów tajemniczy zmysł przewodzenia, który mnie zawsze zdumiewał, a który decyduje w ogóle w zetknięciu z większą gromadą ludzi; ja nie posiadałem i nie posiadam go ani za grosz; nigdy. Zresztą na nic mi to nie było potrzebne; na cóż bowiem, proszę, przydałby mi się zmysł przewodzenia w pocztowym okienku; zapewne przeszkadzałby mi tylko; tak przypuszczam, wiedzieć oczywiście

nie mogę. Czy przychodzi się z tym — ciągle o tym zmysle przewodzenia mówię — na świat? czy może on się rozwinąć później pod wpływem dojrzałości, jakichś bodźców zewnętrznych lub wewnętrznych? czy mógłby go np. posiadać teraz, gdy mam tyle wolnego czasu? czy pojęcie emeryta zgadza się z pojęciem przewodzenia? czy nie wyłącza jedno drugiego? — tyle pytań, tyle niepotrzebnych pytań! gdzież tam ja! cóż ja! ot, plotę.

Tym czasem Rudolf wpadł z rozmachem do wnętrza sklepu i wrzasnął:

— zamykać budę! migiem! żałoba narodowa; my wam, dranie, pokazemy, co znaczy mordować prezydentów! — byliście, jesteście i zostaniecie zbrodniarzami!

Tak rzekł wzburzony Rudolf. A rzekł tak przed czterem laty! — jakże go mam nie kochać i nie czcić — tego, nieznanego, lecz wielkiego jasnowidza! — Wczoraj mordowali prezydenta, teraz katuszą Żydów, jutro zechcą wymordować połowę narodu, pojutrze szlakiem Wandalów zechcą ogniem i mieczem wyciąć ludzkość — aby tylko oni, tylko oni — bo oni to bóg, bo oni to naród, bo oni to tradycja — i djabli jeszcze wiedzą co! — A w czym są najgorsi? w czym ich czyny są niewybaczalne, w czym ich hańba jest nie do zmycia i nie do zapomnienia? — Oto w tym potwornym zdeprawowaniu młodzieży, w hodowli zbirów i huliganów, krwiożerczych durniów, bezwstydnym rakarzy, którzy z kościoła robią łotrowską politykę, a ze spokojnych uczelni szlachetnych i miejsce kaźni.

O tym wiemy nawet tu na Kopyniówce.

Może dlatego, że w wyobrażeniu moim uniwersytet jest jakimś, o, już nie jest, był, już tylko był! — świętym miejscem szlachetnej wiedzy, dążenia, oświaty, nauki, mądrości — odczuwam to po-

hańbienie budynku, z którego światłość ma na naród spłynąć — za największą zbrodnię. Pierwej czy później krew niewinnych przelana na posadzkach świątyni wiedzy, obróci się przeciw zbrodniarzom; to będzie krwawa rozprawa, bo krew wymaga krwi, a kto wiatr sieje zbiera burzę.

A może niepotrzebnie się wzburzam, może niepotrzebnie wszystko drży we mnie, gdy o tym piszę? — Teraz, pod koniec roku szkolnego wszystko się uspokoiło; lecz co będzie we wrześniu, co będzie w październiku? — a może nic nie będzie? — może przecież opamiętanie jakies wejdzie w serca i umysły tych opętanych i szalonych ludzi? — Zobaczymy.

Tak tedy rzekł Rudolf.

Właściciel drogerii wyprostował się i zaraz potem skurczył i zmałał — prawie że mu tylko głowę z nad lady widać było.

W tej pozycji będąc nasrożył wąsy, wyszczerzył zęby i zaczął zduszenie krzyczyć:

— żydy — pacholki żydowskie i was powystrzelamy — żydy — pacholki żydowskie — I tak w kółko.

Na to Rudolf pochwyił pierwszy z brzegu słój z jakąś miksturą, ryknął:

— o, ty psiakrew, jedna, hyclu zatracony —

i rzucił zanim drogerzysta się spostrzegł; na szczęście Rudolf nie trafił, słój roztrzaskał się o kant lady, posypały się szczerby po całym lokalu, a gęsta zawartość, podobna nieco do musztardy kremskiej, zalała włosy i twarz, wystającą z po nad blatu, zmiołła z niej binokle, przez co pograżyła właściciela w mgłę i odległym mroku.

Teraz Rudolf spostrzegłszy mnie, stojącego na uboczu, jak i ta Kopyniówka na uboczu wielkiego szlaku życia stoi — zawołał, muszę to powiedzieć z radością w głosie:

((d. c. n.))

# EGZYSTENCJE

Fowieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

— Jesteś? — znów cię widzę? Klawo! — Chodź z nama (zawsze chętnie orawił, gdy był czymś do żywego wzruszony), chodź z nama, powtórzył, będzie miy prać tych sk... endeków — morderców i hańbi-cieli, psiakrew — tego hauptendeka już my nastra-szyli — łba z domu przez tydzień nie wychyli.

Zwinny i cały w ogniach, nie czekał na moją odpo-wiedź, czy przytaknięcie — a może mu się zdało, że już mi narzucił swoją wolę — dość, że wyskoczył ze sklepu, wrzasnął:

— Za mną!

Do tych tam przed oknem wystawowym stłoczonych i rozrastających się nowo przybyłymi w groma-dę wcale już sporą.

— Za mną!

Cała kupa ludzi, może stu, może i więcej, pognąła za nim.

Podeszwy ciężły mi jakby były z ołowiu. Machi-nalnie rozwinąłem w kieszeni jakiś papierek — nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, że to ten pro-szek przeciw bólowi głowy; i tę kopertkę, w którą był zapakowany, rozdarłem również, tak samą cien-ką bibułkę, pod którą już była sama mączka. Grze-bałem dalej. Ponieważ podszewka tej kieszeni — to była lewa kieszeń marynarki — była rozpruta —

proszek, uwolniony z otaczających go powijaków, począł się wysypywać. Spostrzegłem to dopiero przed samą bramą gmachu pocztowego, gdy to, za-ciekawiony, gdzie też to Rudolf ze swoją watachą poszedł, obejrzałem się na przebyłą drogę. Z Rudol-fa ani śladu; dalekie odgłosy i gwary zdawały się świadczyć o tym, że skręcali w jakąś boczną ulicę. Natomiast wzdłuż całej tej przestrzeni, którą oto z droguerii szedłem, bieleł się waziutki jak nitka szlak usypany z tego proszku na ból głowy, który mi tak zachwalał sprzedający.

Pamiętam, że nagle posmutniałem jeszcze bardziej i pomyślałem machinalnie — nic, nic nie pomyśla-łem, tylko jedno słowo powtórzyło mi się kilka razy w mózgu:

— Rozproszkowany — rozproszkowany.

Pokiwałem głową i powtórzyłem:

— Rozproszkowany — rozproszkowany.

Lecz kto? czy ja? czy moje zamysły? czy życie moje? czy ten dzień? czy cały ten świat?

Nie umiałem na to odpowiedzieć; i dziś nie umiem.

Rudolf? — nonsens!!

Rudolf! Rudolf! — on zawsze wiedział! on był je-dnolity, trwały; zdaje mi się, że się również mówi: monolitowy.

Rudolf wiedział, gdzie sprawiedliwość.

Rudolf wiedział, co trzeba robić.

No, tak.

Ale wtedy, w maju, przed dziesięciu laty, już go nie było ani na Kopyniówce, ani w Wądołowie, ani w powiecie nawet — kto wie, może był poza grani-cami województwa? — wszystko możliwe; przestrzeń nie krępowała jego ruchów.

Próbowałem, czemużbym nie miał tego zwierzenia uczynić zeszytowi?, nie raz próbowałem wcielić się,

niejako w niego; upodobnić mój mózg do niego móz-gu, do części jego mózgu, ma go zapewne większy i cięższy, niż ja, jego serce włożyć w moją pierś i szlachetny, śpiewny rytm jego pulsującej krwi prze-lać w moje żyły.

Lecz nic z tego nie wyszło!

Przy najbardziej medialnym natężeniu niczego prócz jego sławnego „nasermater” w głębinach my-sli zasłyszeć od niego nie zdołałem, lub nie potrafi-łem.

Zapewne, gdybym był człowiekiem wyższej mia-ry, gdyby pierś moja nie na miarę krawca lecz Fi-diasza — o, to właśnie! — natenczas miałbym i sil-niejszą wiarę w Rudolfa (tak, jak to mieć powinie-nem), i wcielenie moje byłoby doskonalsze, a przez to wyrazistsze, przede wszystkim zaś od—po—wie-dział—niej—szel — Dodajmy do tego szczyptę orien-tacji osobistej — której mi zawsze brakowało — a byłbym zrozumiał! Byłbym na pewno rozumiał!

„Nasermater”...

Przecież w tym dosadnym wyrażeniu Rudolfa by-ło wszystko! — I pogląd polityczny, i przewidywa-nie, okrelenie sytuacji — jednym słowem pełna i wy-czerpująca odpowiedź na dręczące mnie pytania i niepewności.

Naturalnie! Naturalnie!!

Dawno powinienem to być wiedzieć!

Osiół, osiół ze mnie!

Osiół i cztery litery — lepiej jeszcze: osłowe czte-ry litery.

Tak to sobie snuję wdzięczne marzenia w tę cichą majową noc na Kopyniówce.

(d. c. n.)

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Słowików nie słyszę, okno już dawno zamknąłem; może już śpią; może sobie przez sen marzą, jak ja, chociaż wątpię, czy słowiki interesują się polityką, jak, niestety, ja.

Trli — rli — rli — rli; naprawdę trudno naśladować słowika; trudno bardzo.

A Żnica szumi.

Słysząc przez ściany i szyby.

Płynie sobie — mijają Kopyniówkę — mnie i myśli moje.

Smutno mi i jakoś tęskno zarazem.

Odsunąłem firanki — spojrzałem na gwiazdy... świecą sobie..

Westchnąłem.

Od gwiazd dalekich odwróciłem powoli głowę ku bliskiemu łóżku; małe jest moje łóżko; wąskie. Wolałbym, żeby było szersze; na dwie osoby; i żeby w nim leżała kobieta, moja kobieta, którą bym kochał i która by mnie kochała. Żona. Żeby słuchała moich myśli; żeby czekała na mnie; prześcierałto i kołdra byłyby już ogrzane jej ciałem, gdybym...

Odwracając się potrąciłem niebacznie (w ogóle jestem niezgrabny) niebieski, wyszczerbiony flakonik, w którym kwiała kitka bzu tureckiego, tego gęstego, o dużych liliowych kwiatach, wśród któ-

rych można znaleźć pięciopłatkowe kwiaty, co oznacza szczęście, podobnie jak czterolistna koniczyna; nigdy nie znalazłem; na Kopyniówce takie coś nie rośnie.

Hałas i stuk spadającego flakona odtworzył mi w pamięci żywo ów moment runięcia dwugłowego orła na bruk, oraz trzask rozbitego słoja w droguerni. Równocześnie wykonał i inną mniej pożądaną czynność — zbudził mianowicie matkę, która spała jak mysz na pudle, żyła bowiem w wieczystej trwodze przed złodziejami.

Zaraz też po gwałtownym zetknięciu flakona z podłogą, co właśnie wzwyż przezemnie wzmiankowany hałas i stuk wywołało — weszła do mojego pokoju opatulona w kołdrę, a widząc mnie jeszcze w ubraniu o tak później godzinie, zaczęła z miejsca gderać:

— cóż to jeszcze nie śpisz?

— zaraz się kładę, mam —

— ale żeby mi zaraz —

— tylko złodziei sprowadzisz tym swoim świeceniem — przecież jak tam ciemno, a tu jasno — to wszystko spenetrować mogą —

— coby też tu kradli —

— wszystko, dla złodzieja nic świętego — a pamiętasz, jak to...

Widząc, że się zanosi na opowiadanie, które już umiałem na pamięć, a którego nie rad byłbym słuchać w tej chwili właśnie, powiedziałem łagodnie:

— niech się mama położy, zmarznie mama —

— idę już idę — odrzekła niekontenta, lubiała bowiem wygadać się — ale, żebyś mi zaraz zgasił — szkoda nafty —

to prawda. Nafty szkoda, wszystkiego szkoda!

Matka poszła.

Zdmuchnąłem lampkę.

Długo jeszcze patrzyłem przez dziurki w firankach na dalekie gwiazdy.. świecą sobie, świecą.. gwiazdeczki...

Poniżej stała rudawa łunka nad Wądołowem.

Wądołów — śródmieście — ma swoją elektryczność — wiadomo — stąd ta łuna...

A te gwiazdy... te gwiazdy... te dalekie gwiazdy...

Znów psy na hyclówce wyją.

Dawno już nie słyszałem krzyku wariatki.

Kiedyż znowu...

Żnica szumi... płynie...

Gwiazdy świecą...

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sen jest jak pierzchliwy motyl; zaledwie siądzie i rozłoży barwne skrzydła w przepiękne desenie, w których nie trudno dopatrzeć się ludzkich twarzy, krajobrazów najrozmaitszych często egzotycznych, jakichś scen wielkich, pochodów, to znów zaciszny leśnych, strumyków i źródeł otoczonych pałacami i skrzypem, wśród których wylegują się piękne dziewczęta, bardzo często nieubrane — wpatrujesz się w to wszystko, zaczynasz się rozkoszować zauważeniami i obserwacją, zamierzasz się rzucić w ten sen na łeb, na szyję, pragniesz być już nie tylko widzem, lecz aktorem — aż tu motylek stula nagle skrzydełka i odfruwa w dalekie krainy; czasem wraca jeszcze raz na krótko, aby znów odlecieć i nie zjawiać się do białego rana. Sen pierzchł z oczu i myśli.

(d. c. n.)

## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBUKI

Z takim, chciałoby się rzec, niesfornym motylem częstą mam styczność.

W takie noce, w które specjalnie jest pierzchliwy — naprężno staram się zachować jak najciszej; — najspokojniej — aby niczym nie zrazić, aby go niebaczny ruchem nie spłoszyć; na nic moja ostrożność, na nic uważanie moje! — Ni stąd, ni z owąd, bez przyczyny rozumnej zaledwie rozłożył skrzydełka, już je momentalnie składa i odfruwa; i nie zawsze wraca. — To łajdak nie motyl — mówię od siebie zirytowany niewyspaniem i tym szkaradnym droczeniem się ze mną snu.

Czasem staram się go zwabić — zaciskam powiekami oczy i udaję, że śpię — niejako drzwi zostawiam otwarte, i lampkę przykręconą — bo nawet w takich chwilach pamiętam, aby nie szastać naftą — zostawiam w sieni, aby sobie sen każdej minuty, kiedy mu się zechce, mógł wejść — napróżno! — Jak ptak, wabiony ziarnem, przeczuwa, że się go chce złowić — umyka i wierci się na gałązce i wreszcie odlatuje — tak i ten sen.

Cóż więc? — mam może gwizdać, jak na psa? — może mam wołać, jak na kury i kurczęta: tju-tju, tju-tju, tju-tju, lub: cip-cip, cip-cip? — nie, snu nie przywabisz niczym! — Choćbyś wołał, jak na kaczk-

ki: taś-taś-taś, lub na gęsi: wul, wul, wul, lub na króliki: truś, truś, truś, lub na kozy: kozisia me — sen cię nie usłucha, a ty ośmieszasz się tylko i wychodzisz na dudka.

Tak było, proszę, i tej nocy.

Po dniu wczorajszym żadną miarą usnąć nie mogłem.

Rozwahałem — jeśli tak rzec wypada — od przodu i od tyłu wszystkie sprawy dręczące mnie, sprawy niejednokrotnie związane z postacią Rudolfa.

Starłem się zrobić sobie z niego drogowskaz — lecz nie zawsze się to udawało.

Nie nadawał się po prostu na to. Drogowskaz to jednak, cokolwiek by się innego pod to pojęcie podsuwało, to jednak drogą z sztywną drewnianą ręką zwiniętą w pięść prócz palca wskazującego, który właśnie kierunek wskazuje; są takie drogowskazy o jednej, dwu i trzech rękach; znam nawet taki o czterech, ale to rzadkość; — przyznam się, że taki ociosany czworogranny korpus, posiadający kilka rąk, a ani jednej głowy — zawsze mnie nieco niepokoił; jakiś strach idzie od takiej anormalności; nie umiem się też powstrzymać od wyobrażenia sobie rozmaitych przewodców i, jak się to mówić zwykło w czasach dzisiejszych „firerów”, jako takie właśnie drągi bez głów, władczy ruchem wyciągających rękę zwiniętą w pięść, prócz tego palca wskazującego: tam! „tam”, to znaczy, że tam jest zbawienie ludzkości; taki drogą, jak rzekłem, może mieć kilka rąk, a na każdej inny napis, np. — na jednej ręce: „pokój”, na drugiej: „armaty”, na trzeciej „wielkość”, na czwartej: „wojna” i t. d. Taki wyobrazeniowy drogą, to sobie może fundnąć i więcej rąk, ile tylko żywnie chce, tak się przecież z niczym nie liczy, on tworzy historię, to znaczy powiększa dzieje mordów,

grabieży, aneksów; sięga do przykładów najkrwawszych ludzi i najbrutalniejszych myśli.

Ale ja nie o tym.

Z tych drogowskazów zaszedłem w bezdroża; kto wie, czy to nie jest znamienne.

Bezsenna noc nie była jednak całkiem zdana na przepadłe. Wypełniłem ją mirażami wspomnień dotyczących Rudolfa.

Scena za sceną, zdarzenie za zdarzeniem przesunęły się obrazy przed moimi otwartymi oczyma.

Jakość ich zwiewnej treści pouczyła mnie właśnie o tym, że od drogowskazu martwego i nieruchawego różni Rudolfa lotność, zmienność i niefrasobliwość, pierwiastek raczej fantastyczny i baśniowy. Ze posiadał również i umiejętność czynów wyrosłych na zapale i entuzjazmie, to tylko dobrze o nim świadczy i podbarwia całe zjawisko silnym kolorem.

Mnie zaś osobiście, człowieka cichego, powoli się orientującego, chwiejnego i nieśmiałego — najsilniej przekonywała pewność, rezolucyjność i kategorię sposobu myślenia i odnoszenia się do ludzi i zdarzeń mojego przyjaciela.

Pierwszy raz spotkałem się z Rudolfem, mając lat jedenaście.

Mieszkał on wtedy przez jakiś czas przy tej samej ulicy, co ja, oczywiście nie w tej bezimiennej bocznicicy, lecz przy głównym trakcie ulicy Koziej.

Był ślicznym chłopczykiem o długich, lnianych włosach ściętych w równą grzywkę nad bystrymi, żywymi oczkami.

Matka, wdowa po urzędniku sądowym, kanceliście, miała skromną emeryturkę; przy zabiegliwości i rządności wystarczyło jej jednak w zupełności.

(d. c. n.)

Emil Zegadłowicz

36  
54)

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBUKI

Zawsze schludnie odziana, dbała również o schludność swego jedynaka, który też istotnie przez okres swego dzieciństwa wyglądał jakby co dopiero z pudełka wyjęty — tak był czystutki, zgrabnie ubrany, z wdziękiem i z tą skromną wytwornością, która tak ujmuje nas za serce i wypogadza umysł stale atakowany brzydotą, która jest nieodzowną siostrą nędzy, która znów ze swej strony jest wynikiem wyzysku i ciemnoty tak wygodnej wszystkim, którzy opierają społeczny ład na przemocy i strachu, — dwu jeśli tak można powiedzieć, podstawowych instytucjach ustroju kapitalistycznego, obsługiwanych skrętnie przez kler i fabrykantów broni.

Budowa powyższego zdania wydaje mi się nieco zawiła w strukturze — i, doprawdy, gdzież tak można! — zacząć od ubranka chłopięcego i skończyć na takich niewczesnych wywodach! — oto co znaczy brak doświadczenia i brak rzemiosła. Do druku to iabym pisać nie mógł, o nie!

Inna sprawa, że takie zdanie świadczy o tym, i wymownie świadczy, że umysł mój jest zaniepokojony, że ciągle jest zajęty takimi irytującymi sprawami; coraz to bardziej i lepiej czuję, że ten niepokój wewnętrzny zmusił mnie do pisania niniejszego „pamiętnika” oraz, że to pisanie wyzwala ze mnie my-

śli, których istnienie może i przeczuwałem, lecz nigdy wyraźnie nie formułowałem; po prostu nie ośmieliłbym się; a tak pisać — no to cóż? — papier jest cierpliwy i cierpliwie cierpi moją niecierpliwosć.

Wracając do poprzedniego, to to było tak:

Akurat przypatrywałem się, jak stary majster sztuki powroźniczej Sternal przadł na ulicy sznur.

Przy dużym kołowrocie — jedno duże koło — poruszającym obrotowo prostokątną płytę, zaopatrzoną w cztery żelazne haki, do których przymocowane były konopie — siedział czeladnik i obracał tym całym interesem. Stary Sternal, duży, zwalisty chłop, z rudawą, rozwianą brodą, w wielkim fartuchu, którego rogi były włoczone za pas, tak, że tworzył rodzaj sporego wora pełnego szorstkiej popielato - żółtej wełny, wysmykującej się zewsząd kępami skołtunionych kudeł konopianych — cofał się krok za krokiem — lewą ręką dodawał co chwila przygarść kłaków zwijającemu się obrotnie i skrętnie sznurowi — a prawą ręką, omatuloną w szmatę, żeby szorstka przędza kręcąc się żwawo nie przetarła skóry na dłoni, trzymał wydłużający się załazek liny — cofał się i dorzuczał, dorzuczał tych konopi i wciąż się cofał — a sznur wartko zwijany wydłużał się coraz bardziej.

Patrzę i dziwuję się; taki młody smyk dziwuje się łatwo; zresztą kręcenie powrozów to zajęcie piękne i zajmujące.

Tak więc tam tego dnia pogodnego — to był początek września — splótłem ręce na plecach i przypatrywałem się pilnie, medytując, czyby tak nie wstąpić do terminu i nie obrać sobie powroźniczego fachu; nauki szły mi ciężko — więc możeby tak powroźnictwo? — W rodzinie matki fach ten był

49  
dziedziczny — niechby sobie więc przeszedł ze Sternalów na Zydlów; szewstwo nie pociągało mnie zbyt głównie z powodu siedzącego trybu życia — co innego powroźnictwo! — chodzisz sobie tam i nazad na świeżym powietrzu, bo gdzieżby tam długie sznury prząść można w izbie?! — to się nie da; — jak świat światem kręcono tu te sznury, powrozy i liny na ulicy Koziej; wymarzone miejsce; przestronno, długo; dogodnie jednym słowem.

Osobiście marzenie o objęciu fachu powroźniczego łączyło się w mojej wyobraźni z dalekimi podróżami — oto przecież te grube i najgrubsze liny szły do portów i na wielkie okręty — smagały je wichry i słone fale burzliwych mórz.

Ponieważ tą naszą ulicą przewożono na dworzec z okolicznych lasów olbrzymie, okorowane, nagie, żółte jak płynny miód, pnie sosen i jodeł — ale to takie wielkie, że jeden taki tram mieścił się na wozie, którego przednie koła od tylnich oddalone były na dziesięć metrów i więcej — połączyły się w myślach moich i marzeniach te masztowe drzewa z linami; — wydawało mi się, że ulicą naszą przepływa wielki szlak ku najdalszym, najfantastyczniejszym podróżom.

Dobrze mi było z tymi myślami.

W tym miejscu moich dumań wyszedł ze starego, na żółto pomalowanego domku, należącego do byłego mistrza kominiarskiego Kałuży, chłopczyk ciemno ubrany — trzewiczki, pończoszki, spodenki po kolana, surducik objęty skórzanym paskiem, biała kreza pod szyją — o którym wiedziałem, że mu na imię Rudolf.

(D. e. n.)

**Emil Zegadłowicz**

54)

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Zawsze schludnie odziana, dbała również o schludność swego jedynaka, który też istotnie przez okres swego dzieciństwa wyglądał jakby co dopiero z pudełka wyjęty — tak był czystutki, zgrabnie ubrany, z wdziękiem i z tą skromną wytwornością, która tak ujmuje nas za serce i wypogadza umysł stale atakowany brzydota, która jest nieodzowną siostrą nędzy, która znów ze swej strony jest wynikiem wyzysku i ciemnoty tak wygodnej wszystkim, którzy opierają społeczny ład na przemoc i strachu, — dwu jeśli tak można powiedzieć, podstawowych instytucjach ustroju kapitalistycznego, obsługiwanych skrętnie przez kler i fabrykantów broni.

Budowa powyższego zdania wydaje mi się nieco zawiła w strukturze — i, doprawdy, gdzież tak można! — zacząć od ubranka chłopięcego i skończyć na takich niewczesnych wywodach! — oto co znaczy brak doświadczenia i brak rzemiosła. Do druku to iabym pisać nie mógł, o nie!

Inna sprawa, że takie zdanie świadczy o tym, i wymownie świadczy, że umysł mój jest zaniepokojony, że ciągle jest zajęty takimi irytującymi sprawami; coraz to bardziej i lepiej czuję, że ten niepokój wewnętrzny zmusił mnie do pisania niniejszego „pamiętnika” oraz, że to pisanie wyzwala ze mnie my-

śli, których istnienie może i przeczuwałem, lecz nigdy wyraźnie nie formułowałem; po prostu nie ośmieliłbym się; a tak pisać — no to cóż? — papier jest cierpliwy i cierpliwie cierpi moją niecierpliwosć.

Wracając do poprzedniego, to to było tak:

Akurat przypatrywałem się, jak stary majster sztuki powroźniczej Sternal prządl na ulicy sznur.

Przy dużym kołowrocie — jedno duże koło — poruszającym obrotowo prostokątną płytę, zaopatrzoną w cztery żelazne haki, do których przymocowane były konopie — siedział czeladnik i obracał tym całym interesem. Stary Sternal, duży, zwalisty chłop, z rudawą, rozwianą brodą, w wielkim fartuchu, którego rogi były wtłoczone za pas, tak, że tworzył rodzaj sporego wora pełnego szorstkiej popielato - żółtej wełny, wysmykującej się zewsząd kępami skołtunionych kudeł konopianych — cofał się krok za krokiem — lewą ręką dodawał co chwila przygarść kłaków zwijającemu się obrotnie i skrętnie sznurowi — a prawą ręką, omatuloną w szmatę, żeby szorstka przędza kręcąc się żwawo nie przetała skóry na dłoni, trzymał wydłużający się załazek liny — cofał się i dorzucał, dorzucał, dorzucał tych konopi i wciąż się cofał — a sznur wartko zwijany wydłużał się coraz bardziej.

Patrzę i dziwuję się; taki młody smyk dziwuje się łatwo; zresztą kręcenie powrozów to zajęcie piękne i zajmujące.

Tak więc tam tego dnia pogodnego — to był początek września — splotłem ręce na plecach i przypatrywałem się pilnie, medytując, czyby tak nie wstąpić do terminu i nie obrać sobie powroźniczego fachu; nauki szły mi ciężko — więc możeby tak powroźnictwo? — W rodzinie matki fach ten był

dziedziczny — niechby sobie więc przeszedł ze Sternalów na Zydlów; szewstwo nie pociągało mnie zbyt — co innego powroźnictwo! — chodzisz sobie tam i nazad na świeżym powietrzu, bo gdzieżby tam długie sznury prząć można w izbie?! — to się nie da; — jak świat światem kręcono tu te sznury, powrozy i liny na ulicy Koziej; wymarzone miejsce; przestronno, długo; dogodnie jednym słowem.

Osobiście marzenie o objęciu fachu powroźniczego łączyło się w mojej wyobraźni z dalekimi podróżami — oto przecież te grube i najgrubsze liny szły do portów i na wielkie okręty — smagały je wichry i słone fale burzliwych mórz.

Ponieważ tą naszą ulicą przewożono na dworzec z okolicznych lasów olbrzymie, okorowane, nagie, żółte jak płynny miód, pnie sosen i jodeł — ale to takie wielkie, że jeden taki tram mieścił się na wozie, którego przednie koła od tylnich oddalone były na dziesięć metrów i więcej — połączyły się w myślach moich i marzeniach te masztowe drzewa z linami; — wydawało mi się, że ulicą naszą przepływa wielki szlak ku najdalszym, najfantastyczniejszym podróżom.

Dobrze mi było z tymi myślami.

W tym miejscu moich dumań wyszedł ze starego, na żółto pomalowanego domku, należącego do byłego mistrza kominiarskiego Kałuży, chłopczyk ciemno ubrany — trzewiczki, pończoszki, spodenki po kolana, surducik objęty skórzanym paskiem, biała kreza pod szyją — o którym wiedziałem, że mu na imię Rudolf.

(D. c. n.)

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

WIELOBOKI

Ja byłem ładajako odziany — po powrocie ze szkoły musiałem się przebrać w stare ubranie — i boso.

Przystanął koło mnie; przywitaliśmy się i zaczęliśmy rozmawiać.

Z długiej tej pierwszej rozmowy — a spacerowaliśmy długo po wydeptanej wzdłuż domów ścieżce (dzisiaj nakrywają ją płyty kamienne, tak zwany trotuar), Rudolf miał — podobnie jak ja — ręce założone na plecach, głowę trzymał nisko opuszczoną — ten charakterystyczny sposób trzymania się zachował i później — zapamiętałem dokładnie jedno jego zdanie: — mnie nauka łatwo idzie, umiem więcej niż profesorzy od nas żądają — właściwie to ja już wszystko umiem — będę celującym przez całe gimnazjum — i przez całych osiem lat muszę być pierwszy — i — zamysłony nad swój wiek, dodał — tak będzie zawsze, tak musi być zawsze, bo zawsze jest tak jak ja chcę. —

Takie miał, już wtedy! zamiary i ambicje ten przecież dzieciak jeszcze; był właśnie po egzaminie do pierwszej klasy gimnazjalnej.

Patrzałem na niego z zachwytem i z upodoba-

niem, trochę się go nawet wstydziłem, tak jak bym z dziewczyną mówił; był zresztą bardzo dziewczęcy.

To, co mówił, zaimponowało mi i zdziwiło zarazem; było to zdanie, na nasz wiek, dumne i heroiczne, śmiałe i zdobywcze.

Sam już szedłem do drugiej klasy; pierwszą przelazłem z poprawką; poprawkę zdałem; kułem i niepokoiłem się przez całe wakacje; tak więc smutny i zmęczony — po zdaniu poprawki — rozpocząłem drugi rok studiów.

Nauka w ogóle szła mi opornie; zdumiewał mnie i przerażał i zarazem przytłaczał nadmiar przedmiotów, profesorzy mnie trwożyli; bałem się ich jak ognia. Wyrwany drżałem i z trudem powstrzymywałem się, aby się nie posiu....; gdy na ulicy spotkałem któregoś z profesorów — serce zamierało we mnie; radbym się był zapaść w ziemię. A były to czasy, w których profesorzy wprawdzie krzyczeli, klęli i bili — lecz jeszcze nie byli komendantami plutonu klasowego, jak to dzisiaj bywa w wielu krajach. Dalekie i wysokie ministerstwo oświaty nie marzyło w owych zamierzchłych czasach o przysposobieniu wojskowym smarkaczy, a już wcale nawet nie marzyło o psychicznym dobrojeniu młodzieży; trudno sobie też wyobrazić, aby ówczesna młodzież miała zbiorowe inklinacje do zarzynania kobiet i dzieci abisyńskich lub należenia do rzeźniczych szturmabteilungów, względnie do band, tłukących w kilkoro jednego bezbronnego kolegę laskami, kastetami i żyłtkami. Słabe i bezmyślne owoczesne rządy nie umiały organizować należycie; słusznie też posądzano je o sianie tak

bardzo dla ludzkości niebezpiecznego pacyfizmu. Równocześnie dawne naczelne władze szkolne poczuwały się do jakiejś nonsensownej konsekwencji w poglądach, wypływających z tego, przykrego zresztą, faktu, że oświata ówczesna była bezpośrednio połączona z wyznaniem, które — każde z osobna i wszystkie razem — głosiły nierealne z punktu tężyzny narodowej hasła tego typu: „nie zabijaj”, „błogosławieni pokój czyniący” i t. p. Dzisiaj to już na szczęście minęło. Czy bezpowrotnie? — tego powiedzieć nie umiem.

Jak bym się dzisiaj czuł w szkole? — tego nie wiem; wtedy czułem się bardzo źle.

Rok szkolny był dla mnie rokiem więzienia, kaźni i męczarni; nasycony był, jak powietrze szpitalne karbolem, lękiem i strachem nieustannym.

Po nocach zrywałem się spocony i zgorączkowany: co jutro na pierwszej godzinie? — będzie znów zadanie matematyczne, pewnie ani jednego obliczenia nie zdołam zrobić nawet na dostatecznie — a potem łacina — niemiecki — historia — geometria okropność! okropność! — jedynie geografia trwożyła mnie nieco mniej — ale i tu profesor psuł wszystko, bo bił po łapach linijką, gdy się tylko przy mapie pokręciło co z równoleżnikami.

Nic więc dziwnego, że, jakby się to dziś powiedziało, radosna postawa Rudolfa wobec zagadnień szkoły, zaimponowała mi niezmiernie.

Szło od jego płowej głowy jakieś przewyciężenie i wyzwolenie. Płoszył koszmary. Był światelkiem w nocy.

(D. c. n.)



**Emil Zegadłowicz**

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Uznałem go za wzór najgodniejszy podziwu i pochwały, a zarazem za cel najgorętszej przyjaźni.

Dopóki mieszkał przy tej ulicy naszej spotykałem się z nim codziennie. Były to radosne godziny dnia, w których serce nazbyt bijące uspokajało się, a posiadanie ciała stawało się miłe i celowe.

Biegaliśmy, bawiliśmy się obręczami, które puszczone w ruch zwinnie trzeba patyczkiem uderzać i w ten sposób utrzymywać ich obrót względnie nawet wzmacniać go; graliśmy również w plika, w guziki i w noże; o ile w tej ostatniej grze posiadałem jakąś umiejętność i wprawę, tak, że umiałem rzucić scyzorykiem i umiejętnie wbijać go w deskę bez skucia do tysiąca nawet — o tyle we wszystkich innych grach Rudolf przewyższał mnie sprawnością, szybką orientacją, jednym słowem inteligencją.

A co w tym wszystkim najdziwniejsze to to, że w tym — krótkim zresztą — okresie mojego stowarzyszenia się z Rudolfem, rozmów i zabaw z nim — nauka szła mi o wiele lepiej, jakoś tak równo, bez ubezwładniającego strachu i z pomiernym wysiłkiem. Tak widać psychicznie lecząca była ta

moja piękna, wzniosła, szlachetna przyjaźń.

Wszystko byłbym dla niego zrobił!

Gdy sobie zadawałem w wyobraźni pytanie, czy zdołałbym dla niego znieść cierpienia — zaraz starałem się na to pytanie odpowiedzieć. Raz więc nie jadłem śniadania, innym razem poszedłem spać bez kolacji — uczucie głodu było przykre, mnie jednak sprawiało ono przyjemność jako próba mojej przyjaźni.

Lecz takie drobne umartwienia wydały mi się błahe i nieprzekonywające.

Postanowiłem uczynić coś wyrazistszego, coś takiego, co by bardzo i natychmiast bolało — a przewyciężenie tego bólu miało mi dać miarę, do jakiego stopnia zdolny byłem znosić cierpienie dla Rudolfa, gdyby tego okoliczności wymagały. Takie próby wytrzymałości miały mnie zahartować i niejako udoroslić.

Tak więc dnia któregoś postanowiłem położyć płonąca zapalną na dłoni i nie zrzucić jej, póki sama nie spłonie.

Wtedy nie było takich zapalek, jak dzisiaj, to był artykuł pierwszej potrzeby, a nie luksusu — my ludzie biedni mogliśmy sobie kupić za jednego centa papierowe, owalne pudełeczko zapalek, a było ich za tego centa osiemdziesiąt albo sto sztuk; śmierdziały przy zapaleniu to prawda, były bowiem z siarki i fosforu — stąd też nazywały się siarniczkami, mówiono też na nie „patyczki” — ale co tam taki smród znaczy! — zapaliki i już.

Mówię o tym, aby przed samym sobą udowodnić, że w czynie moim nie było marnotrawstwa ani za grosz, a jeśli już tą miarą je odważać, to owszem było, lecz za setną część grosza; a taką kwo-

52  
tą mogłem ostatecznie rozporządzać co pewien czas bez uszczerbku rodziców.

Matka trzymała siarniczki na przypiecku, łatwo bowiem wilgotniały, a wtedy były do niczego, już chyba tylko zdatne do otrucia się — co też czasem czyniono, rozpuszczając fosforowe główki w letnim mleku; wystarczała ponoć zawartość dwu pudełek, co przemienione na pieniądze oznaczało kwotę dwóch centów; nawet najbiedniejsi mogli sobie na to pozwolić. Dzisiaj ten tani sposób samobójstwa nie istnieje już, minął bezpowrotnie; przyczyny jednak myśli samobójczych pozostały wśród biedoty te same. W tych dwu faktach łatwo dopatrzeć się dysproporcji.

Z pudełeczka blaszanego, stojącego na przypiecku wyjąłem jednego siarniczka i, wyszedłszy na podwórko, za półsążkiem drzewa — zapaliłem go znanym mi sposobem, to znaczy podniosłem prawą nogę i potarłem patyczkiem o napiętą przy tym ruchu na udzie nogawkę. Gdy się tylko zajął i załcił, gdy siarka zaczęła pryskać i smażyć się — położyłem zapalną na lewej dłoni! W pierwszej chwili prawie nic nie bolało — później jednak, gdy się siarka na dobre różtliła poczęło piec bardzo. Mężnie znosiłem ból — miał przecież być próbą wytrzymałości i miernikiem przyjaźni. Przejmujące do szpiku kości cierpienie skłaniało mnie do strącenia z dłoni płonącego drewnianka; nie uczyniłem tego jednak. Nieprzyjemne dreszcze suły mi się po grzbiecie, jak drobne opiłki parzącego lodu, ból stawał się nie do wytrzymania, krew pulsowała w skroniach, spościłem się cały, mimo, że dzień był chłodny, zapach siarki pomieszał się z przykrą wonią palącego się ciała. (D. c. n.)

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Gdy już cały siarniczek spłonął mi na dłoni, zdmuchnąłem nikły, pokurczony węgielek; pod nim zobaczyłem wydrążenie ciemno-czerwone, obwiedzione nieprzyjemną żółcią. Nie mogłem zerwać dłoni bez gwałtownego bólu. Palona rana dokuczala mi przez kilka tygodni tak, że nic lewą ręką robić nie mogłem. Cała ta ogniowa próba przekonała mnie, że potrafiłbym znosić srogie męki w imię Rudolfa.

Próba jednak pozostała próbą.

Życie nie wymagało ode mnie — jak dotychczas — ofiar w stosunku do Rudolfa.

Największym przewyciężeniem w owych czasach — lecz przecież jeszcze nie ofiarą! — było zużycie przeze mnie dziesięciu centów, które wyprosiłem od matki — po dwa centy miesięcznie, więc pięć miesięcy trwała ta zbiórka na F. P. G. (używam oczywiście skrótu wedle mody dzisiejszej — wtedy nieznanne jeszcze były takie sposoby oszczędzania strun głosowych względnie czernidła drukarskiego; jedynie w formie powściągliwych żartów odpowiadało się w Wądołowie na

zaproszenie rodzinom bliskim i zaprzyjaźnionym, które wymagały punktualności, pierwszymi literami zdania: „dziękuję uprzejmie, przyjdę akuratnie”; mniej już stosowany i prawie-że odrażający był używany przez wywrotowców i skrachowane indywidua skrót pięknie wydawanego i bardzo poczytnego „Dziennika Ustaw Państwa austriackiego”,

Jesli tu o tym wspominam, to tylko dlatego, aby, niejako historycznie, stwierdzić pierwsze skróty jakie pojawiły się w Wądołowie, a w kilka lat później również i na Kopyniówce — owo zaś Efpege oznaczało fundusz procy gumowej. Proca była na ówczas moim marzeniem i tęsknotą; lecz kawałek skręconej gumy dość silny, aby wyrzucić kamyk na znaczną odległość, kosztował aż dziecięcę centów. Reszta części składowych nie kosztowała już nic; widełki drewniane można sobie było wyciąć w jednym z pobliskich zagajników, a małe piatek skóry — ten w pośrodku, pomiędzy gumami, w który wkładało się właśnie kamyk-pocisk — zawsze się w warsztacie szewckim znalazło.

Dziesięć centów więc któregoś wieczora, miałem już. Całą noc śniłem o procy, przy czym umiejętnie i skutecznie trafianie z daleka w okna szkolne nawiedzało mnie uparcie aż do świtu.

Zbudziłem się z przeświadczeniem, że mnie dzisiaj coś dobrego spotka, coś przyjemnego; umyślnie udawałem, że nie pamiętam o procy; lecz pamiętałem! Wyskoczyłem szybko z pościeli — spałem na sienniku obok pieca — na dzień siennik kładło się do łóżka rodziców — umyłem i ubrałem się prędko nucąc jakąś wesołą piosenkę — proca!

proca! — gdy wtem, jakby mnie kto obuchem między oczy zdzielił — aż przystanąłem! — jaks! cie się, raduję, procę sobie chcę kupić — a Rudolf — ? —

Takie były moje zmagane myśli, zakończone gwałtownym pytaniem.

Zrozumiałem, że należy majątek mój niepodzielić nie poświęcić sprawie przyjaźni.

Ale co? ale jak?

Namyślałem się kilka dni. Procy nie kupiłem.

Aż trafiłem na to właściwe.

W składzie przyborów piśmiennych Melchiora Załaja zauważyłem przesliczną rączkę czyli obsadkę — była ona metalowa, lśniąca, koloru — jak zorze nad ranem bywają — różowego; z jednej strony było pióro czyli stalówka, z drugiej ołówek; wszystko składane, do wyjmowania i zakładania: przesliczne!

Z biciem serca i z wypiekami na policzkach zapytałem o cenę; kosztowała dziesięć centów; kupiłem.

Pół dnia się nią radowałem; sam; nie pokazałem nikomu, choć mnie kusiło.

Wróciwszy ze szkoły zawiązałem ją w taką ilość papieru, jaką tylko zdobyć mogłem, więc w kartki powyrywane ze starych zeszytów, gazety, w kilka arkuszy papieru do pakowania — tak utworzyła się spora paczka, którą tego dnia w godzinach popołudniowych wręczyłem Rudolfowi.

Natychmiast po wręczeniu — uciekłem.

(D. c. n.)

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

WIELOBOKI

Po odpływie szumnym Rudolfa, bańka zatrzymała się w swym napowietrznym locie, kręciła się przez chwilę w kółko, jakby szukała dogodnej pozycji i miejsca najstosowniejszego do ucieczki — szarzała, kurczyła się, marszczyła, wreszcie pękała bezgłośnie — kilka nędznych, mętnych kropel padało na ziemię i, pochłonięte błotem, zatracaly się w brudnej, lepkiej nicości; żaloszny koniec radości.

A mieszkałem już wtedy, po śmierci ojca, wraz z matką we własnym domku, na Kopyniówce mieszkałem.

Życie ułożyło się normalnie i regularnie: od pierwszego do pierwszego — w tym trójkącie, na którego jednym rogu było błoto, na drugim okienko pocztowe, na trzecim obce i niedosiężne miasto z całym spletem siedmiotysięcznej ludności i jej interesów.

O Rudolfie nie wiele wiedziałem; dochodziły mnie tu i ówdzie słuchy dalekie i przytłumione — plotki, roznoszone po sąsiadach; nic jasnego i nic pewnego; jak list błędnie lub wcale nie zaadresowany; spotykałem się z takimi listami, stwierdzić też mogę, że trudno im trafić do adresatów nie wyszczególnionych na kopercie.

Raz doszła mnie wiadomość, która mnie zelektryzowała, a to z tego powodu, że podłoże czynu Rudolfa było bardzo zbliżone do tego, które mną kierowało przy całej tej historii wycierpienia ogniowej próby dla uczucia przyjaźni.

Z tej też przyczyny zaraz tutaj o tym mówię, prawie bezpośrednio po opowiedzeniu, jak to płonący zapalek trzymałem na dłoni aż do jego wygaśnięcia.

Niedaleko naszego domu, na skraju Kopyniówki był zakład krawiecki i konfekcja damska, prowadzona przez panią Helenę Kotwicz.

Jakkolwiek sama pani Helena była osobą staczną, około czterdziestu lat sobie liczącą, cichą, milczącą i nie plotkarską, to jednak dzięki właściwościom takiego zakładu, przez który codziennie znaczna ilość kobiet się przesuwają — kwitły tutaj wymienne kwiaty plotek i obmów. Poza tym i prawdziwym zdarzeniom poświęcano nieco czasu i uwagi, w znacznie jednak szczuplejszym wymiarze i z zapalem pomniejszonym.

Tutaj właśnie opowiedziano mi pewnego popołudnia zimowego o wielkiej, płomiennej miłości Rudolfa do Romki Łazarskiej, znanej piękności i, jak się to mówi, kokietki Wądołowskiej.

Opowiedziała mi to sama pani Helena, której przyjaznymi względami cieszyłem się; i ja również miałem dla niej szczerą i niefałszowaną sympatię.

Jeszcze tam w domu pani Heleny była panna Sandra — ale o tym później.

To, co mi zwierzyła pani Kotwicz, słyszała bezpośrednio z własnych ust żony kupca, u którego kupowała materiały krawieckie, ta zaś dowiedziała się tego od subiekta, któremu doniosła o ca-

tej sprawie jego narzeczona, koleżanka pięknej i zalotnej Romki.

Wiadomość więc była pewna.

Sprawa była właściwie bardzo podobna do mojej — różnica była w tym, że rozegrała się nie samowolnie, jak u mnie, lecz została sprowokowana.

Sprowokowana przez Romkę.

Ta to pannica (nigdy jej nie lubiłem; chociaż jej nie znałem osobiście; lecz można tak na niemówionego nie lubić) rzekła z sarkastycznym śmiechem do Rudolfa, zaklinającego się na wszystko w świecie, że ją kocha do zła, na zawsze, na śmierć i życie!

— abo by to pan umiał cierpieć dla mnie? fili nie wierzę!

— klnę się na życie moje — umiałbym! — odrzekł Rudolf z wielkim zapalem.

— fi — mówi ta pannica wstrętna — palca by Pan dla mnie nie zranił — hahaha —

— tak pani mówi?! — zobaczymy! — żegnam.

I odszedł pełen zranionej dumy.

Odszedł i zaczął przemyślać, jak tej kokietce, mówiąc pospolicie, „utrzeć nosa”, ale tak, by wiedziała, że stać go na cierpienia i ofiary.

Zawziął się.

Kilka dni medytował; po nocach nie sypiał; wciąż tylko knuł plany; jedne odrzucał, inne opracowywał w szczegółach.

A oto co wymyślił i wedle ułożonego programu w czyn wprowadził.

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Rzekłaś, myśli sobie ponuro i zawzięcie, palcabym nie zranił? — dam ja ci palec, małego jedna! — I że może bólu się boję? — o ty taka owaka! — albo, że widoku krwi się lękam, krwi, mówię, własnej? — o ty...

Zaznaczyć muszę, że słowa „małego” i „taka owaka” są określeniami moimi; nie wiem, czy ich Rudolf użył, nawet wątpię, bo jakkolwiek wyrażenia soczyste, klęcia ojczyste, a nawet wyzwiska nie były mu obce, to jednak w stosunku do t. zw. płci pięknej odnosił się zawsze z delikatnością, dobrze świadczącą o jego umyśle rozróżniającym wcale, sędzę, subtelnie, co można, a czego nie można; moje wyrażenia są pospolite, tak, a sprawę pogarsza jeszcze i to, że użyłem ich świadomie i z wielką przyjemnością, bowiem odnoszenie się Romki do Rudolfa oburzyło i oburza mnie wciąż; ta pannica! — Co zaś do tych kropek po „o ty” — to oznaczają one po prostu moje ubóstwo językowe w ogóle, a w zakresie określeń w stosunku do niegrzecznych panien w szczególności. Nie mam żadnej wprawy pod tym względem. Zdarzyło mi się nie jeden raz w życiu i tu na Kopyniówce, a nawet w Wądołowie usłyszeć słowa wyrażające niezadowolenie kawalera z domniema-

nego, czy też istotnego „prowadzenia się” dziewczyni, którą serce jego obrało za cel tęsknot i marzeń; słowa te były zawsze bardzo grube i wielkiego kalibru; były również tak krańcowe, że wyobraźnia ludzka — moja przynajmniej — poza nie sięgnąć już nie zdolna; wyrażały bowiem naganną częstotliwość tych czynności, jakie zachodzić zwykły pomiędzy mężczyzną i kobietą w odosobnieniu i przy zamkniętych drzwiach, przy czym nasuwały przypuszczenie, że obiekt męski wciąż się zmienia, że za każdym razem jest to kto inny — lecz już co najgorsze, to to, że znów obiekt niewieści pobierał za wzwyż wzmiankowane czynności pewną, zazwyczaj przed tym ustaloną, kwotę; z tym dosadnym określeniem łączyły się zazwyczaj liczne, a zawsze gniewnie słowa, rozwijające niejako myśl główną przez ujemne osądzanie fizycznych właściwości dziewczyni, zwłaszcza w zakresie domniemanych, zawsze jednak przesadzonych, wielkości, czystości i zdrowotności najczęściej używanych, do już dwukrotnie tu przeze mnie przytoczonych czynności, organów. Mnie takie krańcowości nie dogadzają. Dlatego też dałem, proszę, po „o ty” kropki. Wytłumaczyłem.

Jak tam więc Rudolf pomyślał, to pomyślał, dość, że dnia któregoś otrzymała szanowna panna Romka Łazarska przesyłkę pocztową.

Przerwałem w tym miejscu nieco gwałtownie pani Kotwicz, wbrew przepisom towarzyskim, które zawsze szanować i pielęgnować należy, są bowiem najcelowszą formą współżycia z bliźnimi, pozwalającą na obopólne ukrywanie swych myśli i uczuć (gdyby ludzie w stosunkach z sobą mówili, co myślą i czują, ludzkość przestałaby do roku istnieć na globie — no i co wtedy?) tak więc niebyszajnie przerwałem:

— Rany, Julek! — kiedyż to było?

Ano, wtedy, a wtedy, mówi pani Helena. Upewniam się.

A ona: napewno wtedy właśnie.

— Józefie święty — powiadam — toć-że ja jej tę przesyłkę wręczałem.

— tak?

— no, tak!

— ciekawe...

— może nie?

— istotnie — ciekawe — proszę, proszę; i dodaje:

— jakież zbieg okoliczności!

— prawda?

— rzeczywiście...

— powiedz pani!

— dziwne!

— a!

— a?

— nie to, że „a”, a tylko to, że w tej chwili wyrażnie nie przypomniałem sobie jej, to jest tej Romki, ręce wymanikowane — nadawały jakiś list poste restante, list był różowy, do Sokala pod „Amor” — jak dziś pamiętam! — potem, gdy prawa zapłaciła za znaczek z dopłatą, lewa pomogła zebrać resztę drobnymi, włożyć do pugilaresiku i zamknąć w torebce — i już obie zamierzały odejść — przypomniałem sobie, że jest paczuszka polecona, jakby pudełeczko nieduże w kopercie na nazwisko właścicielki tych rąk — wstrzymuję tedy zamierzające oddalić się ręce i mówię im: jest polecony — tak? — odpowiada głos z góry — tak! — stwierdzam; w tej chwili zauważyłem, że niejako w pośrodku tych rąk znajdował się jeszcze inny fragment ciała, tak zwane piersi, były ciasno opięte czerwonym swetrem, tak siasno, że... — ale to nie należy do rzeczy — oczywiście, że nie. —

(D. c. n.)

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

— Naturalnie; nie wspominałbym nawet o tym szczególe, ale widzi pani, Rudolf — on się w nich, to jest w ogóle w niej kochał! — a będąc człowiekiem wołnym, nie poczciarzem, miał szerszy wgląd w sprawę, niż na to pozwalał prostokąt okna, proszę ja pani — nie?

— No i ca? i co? — mów pan, proszę, dalej...

— Dalej to już nic, proszę.

— Ale przecież coś, proszę, jeszcze, nic?

— Ręce podpisały receptis pocztowym ołówkiem, umyślnie miałem dla klienteli ołówek anilinowy, gładki, żółty, przywiązany szpagatem do gwoźdźka wbitego w biurko i zagiętego, o tak, żeby, wie pani, sznurek nie spelzł, sama główka nie jest bowiem zbyt pewna, może odpaść, a tak, jak zagięte, to już nie ma obawy — nie muszę dodawać, że i gwóźdź i sznurek był silny, mocny, sam zaś ołówek naciąłem tak, jak to u cepów bywa, i w tym rowku zacisnąłem sznurek fest, — a jednak, proszę pani, tak się raz zdarzyło, że...

— No, ale co z tamtym? — o tym później pan mi, proszę, opowie.

— A z tym, to znaczy z tamtym? — No to jak już tę rękę podpisały receptis, zabrały sobie ten liścik z paczuszką wewnątrz — zakreśliły się jeszcze raz przy torebce, odwróciły i odpłynęły — więcej sobie nie przypominam — inne ręce, masa innych rąk — a pani, proszę?

Teraz wreszcie doszła pani Kotwicz do finału, tak często przerywanego; wada rozwlekłości i wtrącań pobocznych, drugorzędnych szczegółów jest jej wrodzona; pod tym względem, jakkolwiek nie jest urodzoną Kopyniowianką, przybyła tu przed kilku laty z daleka, bo aż z Dębicy — jednak dostosowała się znakomicie do tej cechy moich współobywateli, o rozwlekłości mówię, która sprawia, że najprostszy fakt, zdarzenie codzienne opowiada się długo i szeroko, wałkuje się, obraca, przyprawia, rozciąga, objaśnia, komentuje, zaopatruje w uwagi i porównania, wyodrębnia się i różniczkuje; a może miała już takie skłonności, zanim tu przybyła? może miała tylko, jak to mówią, dryg do tego, a tutaj, pod wpływem współżycia, rozwinął się tak doskonale? Nie umiem na to odpowiedzieć, musi mi wystarczyć, że otym wiem i że sam unikam rozwlekłości, jak ognia.

To, co mi teraz opowiedziała (p. Helena), było zdumiewająco fantastyczne (wiadomość, jak zaznaczyłem pewna, bo od przyjaciółki Romki, a nie ma na świecie relacji skrupulatniejszych i prawdziwszych nad te, jakie kobiety, bez względu na wiek i położenie geograficzne dają o swych przyjaciółkach; im większa przyjaciółka, tym relacja pełniejsza; a, że małych przyjaciółek nie ma, więc cała sprawa jest poza wszelką dyskusją); to zdanie, które włożyłem w nawias, pochodzi od pani Kotwicz; przytaczam je tutaj ze względu na jego słusność, oraz, żeby udowodnić raz jeszcze, jak ta pani umiała rozciągać opowiadanie każde, narażając ciekawość słuchającego na długie i ciężkie cierpienia, w czym niezawodnie podobna była do choroby śmiertelnej wedle określeń klepsydr, które obok afiszów cyrkowych kształtują właściwie styl mieszkańców prowincji.

Żeby nie popaść w wadę rozwlekłości, którą z taką tu stanowczością piętnuję, a którą, wiem o tym, grozi i mnie — bo, doprawdy samo to życie tu nasze uczy nas wypełnienia rozwlekłego czasu, w którym

nic się nie dzieje, nic nie zdarza, życie nasze jest, jak droga płynąca gęstym błotem — wszystkie więc zjawiska upodobniają się do tej zasadniczej cmokliwej mazi — powiem już krótko, niejako własnymi słowami, co owego dnia usłyszałem od pani Heleny Kotwicz, właścicielki damskiego zakładu krawieckiego na Kopyniówce przedmieścia Wądołowa: — gdy tylko Romka, ta pannica nieczuła na zapały miłosne Rudolfa, przyszła do domu i zrzuciła kapelusz, na tychmiast otworzyła torebkę, wyjęła z niej grzebyk i przyczesła się przed lustrem — przyznać należy, że była to dziewczyna bardzo dbała o porządek, ład i wygląd zewnętrzny — zaraz po tej szlachetnej, choć niewyczerpującej czynności, przybliżyła twarz do lustra, a przyjrawszy się najdokładniej swej pięknej twarzy — a ładną miała buziuchną, to już trzeba powiedzieć — i skonstatowała z przerażeniem, że ma czoło obsypane pryszczkami oraz na lewym policzku poniżej ucha, to znaczy na tej przestrzeni pomiędzy uchem a ustami, różowiejący liszaj — trzeba koniecznie, pomyślała, wazeliną na noc nasmarować, a teraz przypdruję trochę, jakby tak kto przyszedł — przecież wyglądam niemożliwie; takie mniej więcej miała myśli, co własnoustnie stwierdziła potem przed swoją przyjaciółką; obejrzała jeszcze ręce i paznokcie, obróciła się przed lustrem, aby stwierdzić, czy z tyłu wszystko w porządku, obciągnęła sweterek i znów twarzą i biustem zwróciła się w stronę płyty lustrzanej, która obiektywnie, lecz na ogół przychylnie wyrażała się o jej zgrabnej figurce, kształtnej głowie, osadzonej na pięknie tocznej szyi, oraz o wąskich, pięknie spadających ramionach, w sposób naturalny i płci pięknej przyrodzony, dających wymiar węższy od szerszych rozmiarów tego miejsca korpusu ludzkiego, które w anatomii nazywa się pospolicie biodrami.

**Emil Zegadłowicz** 44 63)

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBUKI

Krytyczny i wymagający wzrok panny Romy na kazał myślom pomyśleć: czy też nie utylam? jakieś takie te biodra mam odstające, że hej! — muszę schudnąć, koniecznie muszę! — chociaż... i tu w źrenicach jej, jakby w małych soczewkach zarysowała się postać tego porucznika, bruneta, co to w Sokalu pod „Amor” — westchnęła i przybrała wyraz twarzy sentymentalny, tak uroczy i jakiś taki niewinny, że samej jej się spodobał i pomyślała: muszę sobie zapamiętać, bardzo mi do twarzy z takim wyrazem romantycznego skupienia; — Amor, Amor — powtórzyła kilka razy — zawsze mówił mi, że mam tak śliczną figurę — — może się jednak wstrzymać z tym całym zwariowanym chudnięciem? — linia linia, ale biodra to też nie pies; postanowiła decyzję schudnięcia lub nieschudnięcia odłożyć do pory, w której będzie się kładła na spoczynek wieczorny, słusznie orzekła — wtedy bez tych kiecek zobaczą lepiej jak i co; bo to i te kiecki tak szyte na hura, co to można wiedzieć, czy nie szpecą figury. Ta myśl rozwinęła w niej precudny film marzeń (wszystko to opowiedziała swej przyjaciółce, która ze swej strony stwierdziła, że ani słowa nie dodała, ani nie ujęła), że w dużym mieście — może Tarnów? może Rzeszów? — albo jakiś Białystok lub Kościerzyn? — bo to Bóg raczy wiedzieć, gdzie tych biednych

oficerów przerzucają, doprawdy litości nie mają tam w górzel — z porucznikiem Amorkiem, nie, już kapitanem wtedy będzie, z kapitanem Amorkiem idzie de pache piękna, zgrabna, wytworna — ludzie oglądają się za nią — jedni mówią: co za para! co za prezencja! — on jaki reprezentacyjny! ona jaka śliczna! — i tak idą w szmerze i hołdzie, a na każdym rogu ulicy zwiększa się uwielbienie i ranga — już jest majorową — już podpułkownikową — już pułkownikową — a jak już pułkownikową to i ministrową — mąż rządzi krajem, redaguje wszystkie pisma, jest radosny, twórczy, nie obciążony szmatławą fachowością cywilów, zmienia resorty, wszystko umie, załatwia reformę rolną, kategorycznie skreśla gospodarstwa karłowate i małorolne, odtąd będą istnieć tylko wielkie własności, że też nikt na tę myśl nie wpadł dotąd, genialny Amorek! — załatwia opiekę społeczną systemem koncentracyjnym, w ciągu miesiąca nie ma już bezrobotnych i bezrolnych i ubogich, ostatnie ich szeregi żyć jeszcze będą dożywotnio, ale to już i koniec, załatwia oświatę, wykreślając raz na zawsze i definitywnie dogorywające marnie szkolnictwo nikomu na nic nie potrzebne — na niesławnych gruzach głupich gimnazjów wyrosną gmachy podchorążówek jedyne godne człowieka przybytki wiedzy o życiu i śmierci, a cóż istnieje poza życiem i śmiercią? — nic... Amorek! Amorek! — szepcą pulchne i do całowania stworzone usteczka panny Romci... Gdy potem o tym opowiadała swej przyjaciółce, określiła swój stan jako halucynacje:

— pojęcia nie masz ja kto było! to była halucynacja, natchnienie, jakby wielka łaska niebios spłynęła na mnie, a może to święty Antoni wstąpił we mnie,? — chociaż to od czego innego święty, ale przecież mógł, święty wszystko co zechce może,

od tego jest święty! — ale było, mówię ci! — tak, to było natchnienie, bo ja przecież na codzień, to nawet nie myślę o takich głupstwach, jak jakaś tam reforma rolna, durne szkolnictwo, jakaś idiotyczna opieka społeczna, to dobre dla starych przyków, a jednak, pomyśl, tylko pomyśl! — ach! zapomniałam ci dodać, że już jako żona Amorka na tak wysokich stanowiskach, zorganizowałam wystawę międzynarodową sypialni małżeńskich oraz nakryć podwieczorkowych jak one się, wiesz, przejawiają u wszystkich narodów od Negrów nocząwszy na Lapończykach skończywszy — jednym słowem było cudnie, cudnie, cudnie! — Nagle z trwożą przypomniała sobie, że ona tu marzy i obrazy cudne roi, a liszaj, a pryszczyki na dziewiczym czółku rosną sobie jak te grzybki po deszczu. — Sięgnęła do torebki po puderniczkę, wytworne jej paluszki poczęły szukać znajomego im kształtu pośród chusteczki, portmonetki, klucza, ołówka i tym podobnych drobiazgów — aż natrafiły na coś obcego, coś nieznanego — a cóż to być może? — aha! — przecież mi dziś ten bęcwał na poczcie (— o mnie się tak wyraziła, i ja ją mam lubić? za co?) dał jakiś list polecony od tego durnia, poznaję pismo (— o Rudolfie się tak wyraziła, i ja ją mam lubić? za co?) co też taka idiota może ode mnie chcieć? bardzo ciekawa! — oderwała, wie pan, — tak znów mówiła pani Kotwicz — górny brzeg koperty, jak to się zwykło czynić zazwyczaj, gdy nie ma pod ręką nożyka, przecinacza, nożyczek lub innego zdatnego przedmiotu — wyjęła zawartość, którą było zwyczajne pudełeczko od zapalek; pudełeczko od zapalek?, pudełeczko od zapalek; no nic; a na tym pudełku napis: „otwierać ostrożnie”, czerwona kredką ten napis.

(D. c. n.)

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Otwiera więc panna Romcia to pudełko od za pałek — otwiera ostrożnie wedle przestrogi na wieczku. Szufladka wysuwała się opornie — skrzypiało przytem nieprzyjemnie. Już przy tym skrzypieniu tak mnie, wiesz, tknęło, że aż, opowiadała Romka później przyjaciółce. Gdy już całą szufladkę wypchnęła, zobaczyła na wierzchu kartonik z tymi słowami: —

*— miłość i cierpienie razem się splata,  
już bez palca będę chodził przez wszystkie lata,  
ślę ci ten mój palec, Romciu kochana,  
bardziej mi serce krwawi niżli ta rana.*

Panna er przeczytała tę smętną elegię, a jeszcze nic nie wie, nie orientuje się biedactwo; machinalnie wyjmuje sztywną karteczkę — i ach! ach! ach! — serce zaczęło bić nieregularnie, zbladła, czoło to z tymi pryszczkami, zrosiło się zimnym potem; panna Romcia zemdląca.

Stuk upadającego krzesła, bo ciało obsunęło się dzięki mądrymu instynktowi samozachowawczemu dość delikatnie na podłogę, tak, że ani głowa nie stuknęła o deski, ani noga nie uległa zwichnięciu, ani nic takiego — no i chwalić ten instynkt, szkodaby przecież było tego foremnego ciała, mogę mieć i mam zał do panny Romki, lecz nie chcę tego roz-

ciągać na jej organizm zewnętrzny — więc stuk ten kazał momentalnie wbiec do pokoju niektórym członkom rodziny, jako to matce, siostrze i małemu braciszкови; lament, rwetes, płacz, wołania — a to wody, a to, że umarła, a to, że nieszczęście, a to, że koniec świata; inteligentne zemdlenie dobrze jednak odmierzyło czas, tak, że do zlania głowy wodą nie doszło; zemdlenie miało wzgląd na fryzurę.

Jeszcze powieki trzepotały się na piwnych źrenicach panieńskich, jeszcze oczy nie mogły przyzwyczaić się do jasności dnia — a wargi już wyszeptały:

— weźcie ten palec, weźcie ten palec ode mnie, weźcie ten palec — tak w kółko wielekroć razy.

Z początku nie wiadano o co jej idzie; przypuszczano najgorsze, że postradała zmysły, że jest opętana; siostra, która bywała na seansach spirytystycznych u aptekarza miejscowego, który się takim czymś zajmował, zaczęła krzyczeć, że Romcią ktoś zahipnotyzował, że to jest morderstwo przez sugestię, że słowo palec oznacza rzecz mistyczną, rozkaz, imperatyw, aport, lewitację i tym podobne bardzo już zaawansowane okropności.

Dopiero braciszek mały, siedmioletni Grześ, dojrzał jakiś nieznaną sobie przedmiot leżący w dużej odległości od zemdlonej — wypadł jej widać z rąk i poturlał się aż pod łóżko, gdzie oparł się o niesprzątnięty jeszcze nocniczek (— wszystko to ta przyjaciółka mówiła, nawet pozwalała sobie na niestosowne w obliczu nieszczęścia uwagi, że cały dom ten znany jest z tego, że jest niesprzątnany tylko jak goście mają przyjść, że to brudasy i szlompas aż hej —) — stamtąd podniósł mały Grześ i mówiąc:

o! — pokazał go otoczeniu. Wszyscy spojrzeli ze zdumieniem i aż im dech zaparło.

Na różowej dziecięcej dłoni leżał obcięty palec; był to piąty mały palec — wedle wyrażenia matki Romki, pani Łazarskiej — jak żywy, nawet z paznokciem, za którym był brud; paznokieć ten był po nad zwyczaj duży, co powiększało znacznie grozę sytuacji.

Sądę, że nie muszę ani słowa do tej zwięzłej relacji dorzucać, stwierdzam: Rudolf, aby udowodnić, że umie cierpieć i znosić ból najsroższy dla miłości, obciął sobie palec.

Taki był.

Czym moja nędzna próba ognia? — ograszka.

Czym płonący ogienek siarniczki na dłoni? — zere.

Rudolf stanął, mogę śmiało powiedzieć, na wysokości zadania.

Umiał domysleć do końca — koniec palca przesłany bogdancie jest tego chyba najlepszym dowodem.

I znów muszę zacząć od tego, że minęło sporo lat.

Aż tu razu pewnego zjawił się niespodziewanie u mnie Rudolf, rozczochrany, brudny, obdarty z olbrzymim kosturem w ręce.

Momentalnie mignęło mi pod czaszką: oto prawdziwy pielgrzym ziemi!

Zaraz od progu, po prędkim, pobieżnym przywitaniu się, rzekł:

— jak się masz Jasiu! mogę u ciebie stary okrztu niu pobyc dni kilka? —

A tak to rzekł jakbyśmy się bodaj tydzień temu widzieli; a to już kilka lat minęło od jakiegoś tam spotkania się naszego.

**Emil Zegadłowicz**

65)

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Spojrzałem — znałem już wtedy całą tę historię miłosną wcale dokładnie — ukradkiem spojrzałem na jego lewą rękę — wiedziałem, że lewa chociaż mi tego nikt nie mówił, boć przecież mankudem nie był, więc prawą musiał zadać jednemu z członków swego ciała ów historyczny, śmiertelny cios -- istotnie był kaleką! mały palec u lewej ręki odrąbany był po kolanko; żaloszny, bezużyteczny kikut świadczył oto wymownie o miłosnych przeprawach swego zaciętego i nie liczącego się z niczym właściciela,

Rudolf widać zauważył to moje spojrzenie, choć przecież starałem się tak to zrobić, żeby nie było znać — prędko, błyskawicznie niemal — a-le! tak by nie zauważył! musiałby nie być Rudolfem! — podniósł rękę (lewą) na wysokość oczu, tak, że zasłonił prawe oko (więc rękę miał wierzchem do twarzy, a dłonią ku mnie zwróconą), a lewe wypadło akurat ponad tym kikutkiem — w ułamku sekundy zamajaczył mi jakiś nonsensowny wizerunek, czy raczej wyobrażenie krępego drzewka, którego koronę stanowiło oko, rzęsy były jakby gałązkami, wyrosłymi na powierzchni zwartej masy listowia białego i ciemno-brunatnego; wyobrażenie to zniknęło tak prędko, że nie zdołało mnie nawet zaniepokoić — zwłaszcza, że ta korona drzewa mrugnęła do mnie nie bez pewnej, tak mi się przynajmniej zdawało, figlarności; niezawodnie była w tym geście mrugnięcia utajona wola porozumienia, lecz co do czego mieliśmy się — ja z tym okiem porozumieć, tego nie mogłem dociec; nie było zresztą czasu na to, bo Rudolf opuścił rękę czy raczej machnął nią jakoś tak, jak by przecinał naprężoną nić.

Z wrodzoną sobie lotnością i przytomnością umysłu odwrócił moją uwagę kategorycznie od problemów romantycznych — mówiąc:

— wracam i już; herbaty — oto czego łaknę — skąd wracam? — z wędrowki niedługiej, dwutygodniowej zaledwie, ale obfitej w piękno przygód — ech! gościńce! — no, wal po herbatę!

Słowem „gościńce” i to tak wypowiedzianym, jak to tylko jeden na świecie Rudolf potrafi — lekko, zwiewnie, a pod tym wrze jakaś niepojęta głębia, gejzer, wulkan; jej-jej jak on to umie powiedzieć taką rzecz! — go-ściń-ce — go-ściń-ce! — no, ja tak nie potrafię, ale ja to czuję — któż by znów jak nie ja, który przemierzyłem ongiś sześć kilometrów obwodu kuli ziemskiej na tym to ja si ęznam!

Lecz myśli te utaiłem głęboko, jak kryją skarby ci, co go mają, ukryłem jak sztaby złota w podziemiach banku, zamiast niego wypuściłem oto nędzny papierowy banknot:

— jakto? dwa tygodnie? — a szkoła? — i gdzie w ogóle byłeś?

Bo to on wciąż jeszcze chodził do tego gimnazjum

— idź ty głupi! szkoła, haha! — kosztuje mnie trochę jaskrawego śmiechu! — szkoła to jest dla mnie mniej, niż nic, ot guano afrykańskie, powiadam ci, guano! — znudzony postanowiłem powąłęsać się trochę — wyszedłem więc z jakiejś lekcji — uciałem sobie w lesie grabową łagę — już więcej nie mam nic do powiedzenia w tej materii — — no, a matka?

— matka, matka — mój kochany — matkę to ja przyzwyczajałem długo no i przyzwyczaiłem do tego, że jestem człowiekiem wolnym — i to w całym słowa tego szerokim znaczeniu.

Teraz muszę odrobinę rozszerzyć zdanie, dotycające szkoły, a poruszone przeze mnie przed chwilą. Otóż mówiłem do Rudolfa o szkole i Rudolf do mnie mówił o szkole — bo, no cóż? — zawahałem się w tej chwili, czy powiedzieć, czy nie powiedzieć, ale i tak by się kiedyś wszyscy o tym dowiedzieli, bo niewątpliwie, o ile tylko jaka-taka sprawiedliwość istnieje, ukażą się za lat... powiedzmy

pięćdziesiąt, opisy życia Rudolfa Istinksa, czyli tak zwane naukowo (o ile się nie mylę) monografie — no więc: Rudolf repetował prawie klasę po klasie, a w piątej to nawet trzy lata siedział, na co trzeba było nawet osobistego zezwolenia najjaśniejszego monarchy, który sobie to prawo specjalnie zastrzegł, mówiąc, że musi dbać o to, aby w jego państwie nie było za dużo idiotów i repetentów, że i tak dzięki protekcjom panów ministrów (mowę tę wygłosił na posiedzeniu rady ministrów) kraj cały zawałony jest idiotami i hochsztaplerami; poczem (jak dodaje odnośny biuletyn) przystąpiono do awansów feldfebli (to co dzisiaj sierżant), co również monarcha zastrzegł sobie jako osobiste interesującą go sprawę, twierdząc (jakże słusznie!), że umiejętny dobór i rozbudowa tej bazy jest decydującą zwłaszcza w czasach pokoju (myśli o wojnie ten dobrotniwy człowiek nawet nie dopuszczał do siebie); — mniejsza z tem zresztą! — dość, że dzięki pokrewieństwu matki Istinksa ze sławną rodziną prymariuszy szpitala, nadwornych lekarzy, uczonych anatomów Nemrodów zu Tibingen Ticklscheków — monarcha zezwolił, aby Rudolf po raz trzeci do piątej klasy uczęszczał! — niby to nie ma protekcji, a jak co do czego przyjdzie... ale przynajmniej tym razem szczęśliwie trafiło, i dobrze zrobiły sławy wiedeńskiego świata lekarskiego, popierając swego krewniaka z Galicji — Rudolf wart był tego; ja, gdybym był cesarzem (marzyć przecież wolno!), to takiemu Rudolfowi pozwoliłbym nie głupie trzy lata, ale cztery, pięć, sześć, siedem lat chodzić do jednej klasy; nie żałowałbym mu; umiałby przynajmniej naprawdę dobrze wszystko; a to też coś warte; — inna rzecz (szybcutko sobie to obliczyłem na pudełku gilz), że, gdyby tak po siedem lat do jednej klasy chodził, to skończyłby gimnazjum —  $7 \times 8 = 56$  — po pięćdziesięciu sześciu latach — czyli, doliczywszy dziesięć lat życia z epoki przedgimnazjalnej, wypadłoby nam, że maturę zdałby w sześćdziesiątym szóstym roku życia; trochę późno; choć cóż to i szkodzi? do posady nie ma się co rwać, najlepiej o tym wiec!

(D. c. n.)



**Emil Zegadłowicz** 47 66)

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Dotknąłem — to wszystko, o czym wyżej powiedziałem — z wielką delikatnością w rozmowie z Rudolfem.

— Haha - haha — ty sobie przypominasz zapewne, jak ci to wtedy przy tym kręceniu sznurów (ale miał pamięć, co? powiedziałem, że będę zawsze celującym i tak dalej; ot, mówiło się po głupiemu i tak na fifa, bo i fifak ze mnie wtedy był, gagatek mamin; — ale też wnet, bracie, zwęszyłem, że szkoła to jest areszt, wiesz, areszt dla wolnego ducha! to wszystko — tu zanucił (trochę, wyznam, fałszywie, słuchu nie miał dobrego): — wolność nie sługa, nie wie, co to pany...

Po chwili kontynuował myśl:

— Tak, tak, więzienie; — a ta cała belferska wiedza, to wiesz, do luftu, für die Katz! — ja rozpocząłem wnet własnym systemem kształcenie, własne studia, własny świat — moje zainteresowania, to życie! — czytałem, owszem, robiłem sobie wypisy, spisywałem też własne myśli, no i życie, życie i jeszcze raz: życie! — no to i na całą zakichaną szkołę wypiąłem, za przeproszeniem, zadek! — wolność, bracie, wolność — tak też i dnia któregoś wzięłem do garści kostur pielgrzymi i — w świat! — drogi — gościeńce — kamienie przydrożne — cienie drzew —

szum lasów — chmury, płynące ponad głową — dni — noce — słońce — gwiazdy.

Poetyzował. Chwila była, co się zowie, piękna; poczułem nawet w nozdrzach jakiś zapach nieokreślony i pomyślałem: oto tak pachną gościńce dalekie i to życie, niemi się toczące.

— Śmierdzi cholernie ten superfosfat u was. — Istotnie! Superfosfat!

— Można się przyzwyczaić — starałem się dobrym słowem złagodzić smród.

Teraz chciałem się zapytać — no bo przecież to się ciągle tłucze po głowie, i tak już w nas niedostatkiem wrosło, że wciąż tylko to, tylko w tym, tylko o tym — jak on sobie na ten przykład wyobraża dalszy swój byt? co zamierza kiedyś robić, na jaką posadę kroi? — bo takie warunki, jakie samochcąc wytwarza, to nie są żadne warunki, i nie ma takiego resortu, w którym by się wraz z ich pasażerem pomieściły; przynajmniej ja sobie nie wyobrażam; to znaczy dziś sobie wyobrażam, tak się wszystko pozmieniało na świecie, że szlachetna, lotna niefachowość Rudolfa mogłaby mieć, owszem, szanse; jedynie na zyski z pamiętników nie mógłby liczyć; jedyne nie wysoko postawione osoby mogą liczyć na zbyt w tej branży; a wtedy znów jest wszystko jedno, co piszą — mógłby to być nawet niezadrukowany papier — niby notatnik, w który ma się wpisać kiedyś historia. — Co innego ja; piszę dla siebie i, że tak powiem z emerytalnych potrzeb; to wolno. Tak więc dzisiaj mogę sobie wyobrazić resort i kategorię — wysoką nawet — dla typu: Rudolf et comp. — ale wtedy? gdy jeszcze obowiązywał rozsądek? — ten niepożądany dziś intruz? — ciężko!

O to i o tym podobne rzeczy pragnąłem zapytać Rudolfa — i nawet bardzo mnie koczyło; lecz po

krótkim namyśle powstrzymałem się; powściągliwość wydała mi się konieczną; byłoby coś niezmiernie niestosownego w mojej niedyskrecji, graniczącej z arogancją. Aż się doprawdy sam zawstydziłem mojej głupiej, choć przelotnej, myśli.

Tym czasem Rudolf, głośno siorpiąc wrzątek herbaciany (bez rumu, niestety, ojciec miał go tylko dla „poważnych“ ludzi na stałych, solidnych posadach; kościelny, organista — o, to tak, ale nie jakiś tam, tfy, pętał, repetent; — jakby mnie ktoś tępym nożem rzezał, gdy mi takie o Rudolffie bujdy prawiono, a najgorsze w tym było to, że pozory były po stronie przeciwników) zaczął opowiadać, jak to przez te piękne tygodnie szedł od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka — „żywiąc się w locie“ — tu ziemniaki, tam kapusta, mleko, chleb — jak trafiło; grosza nie miał przy duszy, bo i dusza jego nie była po stronie groszy — odpychały się wyraźnie te dwa pierwiastki; — sypiał w stodołach, na szopach, w stajniach, na strychach, w stogach, a kilka nocy w pustych, budujących się grobowcach.

— Gdzie?! — krzyknąłem; czułem, że mi się włosy na karku mierzwią.

— W grobowcach, bracie — powtórzył, połykając kęs chleba z marmeladą porzeczkową — fajno jest — wsio ryba.

— I dlaczego, Rudolffie, w takich zakazanych, odлюдnych i niepraktycznych lokalach? — bój się Boga, Rudolffie — dlaczego? — przecież to straszne formalnie.

— Straszne dla łyków, filistrów, mydlarzy i tym podobnych członków burżuazji — lecz nie dla mnie! życie i śmierć! fi! — oto problem, uważasz, i ja ten problem rozwiążę.

(D. c. n.)

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

— Jak to rozwiązesz?

— Co ci będę gadał, to nie na twoją, bracie, głowę — tyś jest prawowity członek drobiu, jednostka ze stada...

Ubodły mnie te słowa, więc zareplikowałem:

— Przecież każdy musi dbać, żeby sobie jakoś ten swój byt zapewnić i starość mieć zabezpieczoną — cóż? zęby w kamień wpijesz, czy co?

— Idź-że, idź, cholero ciężka, Jasiu kołtunie sakramencki, ani słuchać tego nie mogę, co tu pleciesz — przede wszystkim, czy wiesz, że doczekasz starości? Kontrakt masz na to? — zresztą tylko z solidną firmą kontrakt giltuje — — a tu przed nami piękny, szeroki świat, życie wielkie i rozmaite, wolność, niezależność, łazęga, czas bez końca — a ty mi tu z zegareczkiem: godzina ósma — biuro, panie — godzina dwunasta — obiad, panie — ach! jak ja mam, żebyś wiedział, pogardę dla mieszczańskich... ideałów (trzeba było słyszeć „jak on to słowo — nie mam lepszego wyrażenia — wybździł) — posadka, ożenek, trzy pokojuńce i kuchenka — wikcik, opierunek, żoneczka — klepeczka pod pierzynką po omacku cycy-cacy — — szlakby to jasny tralił! — a potem chorobeczka, śmierciuszynka — no i jużś umarł w butach; tyś się też na tych regulkach wykierował na frajera! — we—ge—ta—cja!! — To nie dla mnie...

Zgaszony, jak świeca palcem, zakopciłem drobno i na miejscu:

— No, a co teraz będziesz robił?

— Co? — to obojętne; z budy mnie wyleją za węgry włóczęgowskie, że niby wstyd dla przesławnej budy — wyleją? — no to mnie wyleją — płakać może będą? — Świat cały przedemną otwary...

— Świat otwarty?

I pomyślałem: za łada otwarcie wchodowej bramy do nędznej kamienicy trzeba płacić jak tu mówią „einlas“ — a cóż dopiero kosztować musi takiej bramy otwarcie, które wiedzie „w świat“! Nie powie działałem tego, bo się wstydiłem.

Lecz Rudolf, widać, musiał wyczuć, lub zaobserwować zmieniony wyraz mojej twarzy lub wzroku — bo rzekł:

— Świat to jest wielka przestrzeń, jakby błonia — życie jest gonitwą — wyścigiem.

Smutno mi się zrobiło w tej chwili, gdy to piszę, że Rudolf, właśnie Rudolf użył takiego określenia, które tak zdyskredytowało się ostatnio — wyścig tego, wyścig tamtego — w rezultacie całe społeczeństwo ma zadyszkę z tej opętanej gonitwy i nic więcej. Gdy sobie czasem, założywszy ręce na piersi, siedzę na przyzbie, wpatrzę się i wsłucham, co się to u nas, proszę, wydziwia — migają mi różne obrazy przed oczami — dużo takich obrazów, tak dużo, że ani nie wiem; migają i migają; gdy się czasem ustalą, tak, że mogę rozsądniej na nie spojrzeć, widzę wielką, wielką przestrzeń z masztem na dalekim krańcu — ten maszt ma na szczycie chorągiew o barwach narodowych — tedy część społeczeństwa taka, która z różnych powodów — studja, protekcje i t. d. — ma nadzieję na różne intratne posady — biegnie — całymi gromadami, mniejszymi i większymi — biegną, wyścigają się, podstawiają sobie nogi — padają, dźwigają się — znów biegną — słyszę po prostu ich przyśpieszony oddech, świst wciągane go gwałtownie powietrza — aż mi się samemu słabo robi, choć sobie spokojnie na przyzbie z założonymi na piersiach rękoma siedzę przed małym drewnia-

nym domkiem na Kopyniówce. Rzecz dziwna, jaki ja mam w takich chwilach bystry wzrok, to coś nad zwyczajnego! myślę, że dojrzałym muchę, no, mo że muchę jak muchę, ale na ten przykład chrabą szcza siedzącego na krzyżu wieży kościoła wądłowskiego, który stąd dokładnie widać — po prawdzie szpeci całą okolicę, nie lubię go, jest szkaradny — to znaczy ta wieża przede wszystkim; — taki mam ostry w takich chwilach, gdy mnie te obrazy nachodzą, wzrok; — tedy, zainteresowany, patrzę, patrzę i pytam siebie, gdzie oni też tak pędzą? — i, jakkolwiek ta meta, oznaczona masztem narodowym, jest niby to o jakie kilka kilometrów oddala na od przyzby, na której siedzę z założonymi na piersiach rękoma, widzę jak najdokładniej ogrodzoną drutem kolczastym przestrzeń kolistą wokół masztu, a w pośrodku rodzaj ocembrowania, czy coś w tym rodzaju — widziałem coś podobnego na podwórzach wielkich gospodarstw dworskich dokoła obór, służy to już to do wodopoju już to jako miejsce, w które wrzuca się parzonkę, zieloną paszę, kiszniki, obrok, buraki i t. p. — tej ocembrowiny, zdobnej kunsztownie w przeróżne emblematy władz, odznaczeń, herbów i insygni — trzyma się kurczowo garstka ludzi p zeróżmaicie odzianych, zdarzają się i tak zwane cywilne ubrania, — wszyscy są twarzami zwrócenii ku wnętrzu, więc w stronę masztu — a z pleców na zewnątrz zwróconych tworzy się niejako wał obronny; stoją tak jeden przy drugim, rękami mocno wczepieni w ocembrowanie, nad nimi powiewa na wietrze i w słońcu wesoło chorągiew. Stoją tak ciasno, że, doprawdy, mowy nie ma, żeby się tam ktoś mógł jeszcze wcisnąć, ani gadań! chyba, żeby ktoś sam wyszedł z tego uprzywilejowanego kręgu, no, to wtedy mógłby ktoś inny doskoczyć zgrabnie i zająć jego miejsce. Czy to się zdarza, nie wiem. Natomiast wiem, że wysiłek olbrzymiej gromady biegnących jest próżny i bezna-

**Emil Zegadłowicz** 49. 68)

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Mówię tedy, nie podnosząc głosu ku wargom, w głębi ducha mojego: o, biegnący, jakże bezplodne są wysiłki wasze! — i pocóż wy tak biegniecie, nadwyreżając zdrowie, dla każdego tak cenne i pożądane, na co zda się wasza mordęga i wasz niezaprzeczalny talent, umiejscowiony tak precyzyjnie w odnóżach waszych — oto jesteście szybkobiegaczami — i cóż z tego; tamci was nie dopuszczają do ocembrowania pod furkoczącym sztandarem — które zda się być jedynym celem waszych wyścigów; obyście raczej stanęli do długodystansowych biegów na międzynarodowej arenie olimpijskiej — zyskali byście aplauz, złote medale i bujną sławę na przeciąg długich czterech lat; i również nic byście robić nie potrzebowali! — tak oto przemawiałem w głębi ducha, siedząc na przyźbie domu z złożonymi na piersiach rękoma — do tych biegnących tak przemawiałem. — Tymczasem pierwsze gromady, roniąc gęsto tych, których zmogło zmęczenie, lub wywróciła żartobliwie podstawiona noga jakiegoś żwawego i radosnego osiołka — dobiegła do zasięku z drutów — tutaj zatrzymali się przez chwilę — powitał ich homerycki śmiech tych, którzy trzymali się moc-

no ocembrowania; co się dalej w tym miejscu działo i podziało nie wiem, bowiem moja uwaga skierowała się na inny obiekt. Oto dookoła tego olbrzymiego, można to tak nazwać, stadionu, stała zwartą masą, stała, a również obsiadła, jak okiem sięgnąć okoliczne pagórki i wzgórza — reszta narodu — tak na oko, plus - minus, jakieś dwadzieścia pięć lub sześć milionów; dużo. Stali i siedzieli w pozycji nieco podobnej do mojej to znaczy z założonymi na piersiach rękoma; przypatrywali się tej całej, przepaszam za wyrażenie zeszycik, ale samo mi się to słowo nawinęło, hecy. Patrzą. Chłopi, robotnicy, trochę, jak mogę zaobserwować, zdeklasowanej inteligencji, drobnego mieszczaństwa też odrobina. Dwadzieścia pięć albo sześć milionów ludzi. Patrzą bo patrzeć wolno — ostatecznie z pracy ich rąk ufundowana jest ta cała przestrzeń, ten, że tak powiem, kraj; maszty, chorągiew, ocembrowanie, zasoby w nim ukryte — wszystko! No to wolno im patrzeć; tyle korzyści z ich pracy; całą resztę pochłonęły wydatki na to, co określiłem słowem: wszystko. W pewnej chwili słyszę, gdy tak sobie siedzę na przyźbie z założonymi na piersiach rękoma, jakieś odległe pomruki, jakby głuchy grzmot szedł i toczył się tuż nad ziemią, na wysokości brzucha i piersi ludzkich; znam ten odgłos: to głód w kiszkiach; dwadzieścia pięć lub sześć milionów takich kurczowych przelewać się z pustego w próżne daje wcale niezły efekt, aż się zdziwiłem. Zafalowały masy ludzkie — i natychmiast odgłosy i pogrzmiewania podniosły się o kilka centymetrów wyżej — ku piersiom; a ten głuchy głos był już bardziej zbliżony do gniewu. Oho, myśle sobie, niedobrze! z tego to już coś będzie. I rze-

czywiście — natychmiast po przetoczeniu się tego drugiego głuchego grzmotu — wstały na całej przestrzeni dookolnej i po wszystkich okolicznych wzgórzach, pagórkach i zboczach te olbrzymie miliony — dwadzieścia pięć lub sześć milionów — masy — pochyliły się głowy, zacisnęły pięści, jak to bywa w momentach decyzji zbiorowej — — i cała ta nieprzeliczona falanga ludzi poczęła posuwać się naprzód ku stadionowi — w skupieniu, milczeniu, ciszy — lecz choć posuwali się naprzód po miękkim podłożu, to jednak stąpanie pięćdziesięciu milionów nóg wywoływało głębokie i miarowe dudnienie, jak gdyby cała ziemia nabrzmiewała żalem, gniewem, postanowieniem. Nigdy jak w takiej chwili nie odczuwałem z całą mocą i przekonaniem niezachwianym, że człowiek wyrósł z ziemi i jej jest ożywną grudą. Teraz już sam ja tylko jeden na całej przestrzeni siedziałem na przyźbie z założonymi na piersiach rękoma. Dwudziestopięciomilionowy pochód szedł — pogrzmiewała ziemia —; w kole tych tam przy ocembrowaniu jakoteż wśród biegnących w wielkim wyścigu — zrobiło się nagle zamieszanie — głosy jakieś, hasła, nawoływania; aż zakotłowało się wszystko. Stojący pod masztem i nachyleni nad ocembrowaniem zaczęli pośpiesznie z głębi, jak by ze studni, takie to głębokie było, wyjmować pośpiesznie broń i rzucać ją tym, którzy dobiegli lub dobiegali do drutu kolczastego — tak, że po krótkiej chwili wszyscy i ci wokół masztu i ci na stadionie byli uzbrojeni, jak to się mówi, po zęby. Zaraz też pojawiły się wśród gromad postacie niezauważone przed tym przeze mnie.

[D. c. n.]

nruczę  
Miesiące  
55)

**Emil Zegadłowicz**

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Ja byłem ładajako odziany — po powrocie ze szkoły musiałem się przebrać w stare ubranie — i boso.

Przystanął koło mnie; przywitaliśmy się i zaczęliśmy rozmawiać.

Z długiej tej pierwszej rozmowy — a spacerowaliśmy długo po wydeptanej wzdłuż domów ścieżce (dzisiaj nakrywają ją płyty kamienne, tak zwany trotuar), Rudolf miał — podobnie jak ja — ręce założone na plecach, głowę trzymał nisko opuszczoną — ten charakterystyczny sposób trzymania się zachował i później — zapamiętałem dokładnie jedno jego zdanie: — mnie nauka łatwo idzie, umiem więcej niż profesorzy od nas żądają — właściwie to ja już wszystko umiem — będę celującym przez całe gimnazjum — i przez całych osiem lat muszę być pierwszy — i — zamysłony nad swój wiek, dodał — tak będzie zawsze, tak musi być zawsze, bo zawsze jest tak jak ja chcę. —

Takie miał, już wtedy! zamiary i ambicje ten przecież dzieciak jeszcze; był właśnie po egzaminie do pierwszej klasy gimnazjalnej.

Patrzałem na niego z zachwytem i z upodoba-

niem, trochę się go nawet wstydziłem, tak jak bym z dziewczyną mówił; był zresztą bardzo dziewczęcy.

To, co mówił, zaimponowało mi i zdziwiło zarazem; było to zdanie, na nasz wiek, dumne i heroiczne, śmiałe i zdobywcze.

Sam już szedłem do drugiej klasy; pierwszą przelałem z poprawką; poprawkę zdałem; kulem i niepokoilem się przez całe wakacje; tak więc smutny i zmęczony — po zdaniu poprawki — rozpocząłem drugi rok studiów.

Nauka w ogóle szła mi opornie; zdumiewał mnie i przerażał i zarazem przytłaczał nadmiar przedmiotów, profesorzy mnie trwożyli; bałem się ich jak ognia. Wyrwany drżałem i z trudem powstrzymywałem się, aby się nie posiu....; gdy na ulicy spotkałem któregoś z profesorów — serce zamierało we mnie; radbym się był zapaść w ziemię. A były to czasy, w których profesorzy wprawdzie krzyczeli, klęli i bili — lecz jeszcze nie byli komendantami plutonu klasowego, jak to dzisiaj bywa w wielu krajach. Dalekie i wysokie ministerstwo oświaty nie marzyło w owych zamierzonych czasach o przysposobieniu wojskowym smarkaczy, a już wcale nawet nie marzyło o psychicznym dobrojeniu młodzieży; trudno sobie też wyobrazić, aby ówczesna młodzież miała zbiorowe inklinacje do zarzynania kobiet i dzieci abisyńskich lub należenia do rzeźniczych szturmbaiteilungów, względnie do band, tłukących w kilkoro jednego bezbronnego kolegę laskami, kastetami i żyłkami. Słabe i bezmyślne owoczesne rządy nie umiały organizować należycie; słusznie też posądzano je o sianie tak

63

bardzo dla ludzkości niebezpiecznego pacyfizmu. Równocześnie dawne naczelne władze szkolne poczuwały się do jakiejś nonsensownej konsekwencji w poglądach, wypływających z tego, przykreż zresztą, faktu, że oświata ówczesna była bezpośrednio połączona z wyznaniem, które — każde z osobna i wszystkie razem — głosiły nierealne z punktu tężyzny narodowej hasła tego typu: „nie zabijaj“, „błogosławieni pokój czyniący“ i t. p. Dzisiaj to już na szczęście minęło. Czy bezpowrotnie? — tego powiedzieć nie umiem.

Jak bym się dzisiaj czuł w szkole? — tego nie wiem; wtedy czułem się bardzo źle.

Rok szkolny był dla mnie rokiem więzienia, kaźni i męczarni; nasycony był, jak powietrze szpitalne karbolem, lękiem i strachem nieustannym.

Po nocach zrywałem się spocony i zgorączkowany: co jutro na pierwszej godzinie? — będzie znów zadanie matematyczne, pewnie ani jednego obliczenia nie zdołam zrobić nawet na dostatecznie — a potem łacina — niemiecki — historia — geometria okropność! okropność! — jedynie geografia trwożyła mnie nieco mniej — ale i tu profesor psuł wszystko, bo bił po łapach linijką, gdy się tylko przy mapie pokręciło co z równoleżnikami.

Nic więc dziwnego, że, jakby się to dziś powiedziało, radosna postawa Rudolfa wobec zagadnień szkoły, zaimponowała mi niezmiernie.

Szło od jego płowej głowy jakieś przewyciężenie i wyzwolenie. Płoszył koszmary. Był światelkiem w nocy.

(D. c. n.)

# EGZYSTENCJE

**Powieść współczesna****Część pierwsza:****WIELOBUKI**

Uznałem go za wzór najgodniejszy podziwu i pochwały, a zarazem za cel najgorętszej przyjaźni.

Dopóki mieszkał przy tej ulicy naszej spotykałem się z nim codziennie. Były to radosne godziny dnia, w których serce nazbyt bijące uspokajało się, a posiadanie ciała stawało się miłe i celowe.

Biegaliśmy, bawiliśmy się obręczami, które puszczone w ruch zwinnie trzeba patyczkiem uderzać i w ten sposób utrzymywać ich obrót względnie nawet wzmacniać go; graliśmy również w plika, w guziki i w noże; o ile w tej ostatniej grze posiadałem niejaką umiejętność i wprawę, tak, że umiałem rzucać scyzorykiem i umiejętnie wbijać go w deskę bez skucia do tysiąca nawet — o tyle we wszystkich innych grach Rudolf przewyższał mnie sprawnością, szybką orientacją, jednym słowem inteligencją.

A co w tym wszystkim najdziwniejsze to to, że w tym — krótkim zresztą — okresie mojego stowarzyszenia się z Rudolfem, rozmów i zabaw z nim — nauka szła mi o wiele lepiej, jakoś tak równo, bez ubezwładniającego strachu i z pomiernym wysiłkiem. Tak widać psychicznie lecząca była ta

moja piękna, wzniosła, szlachetna przyjaźń.

Wszystko byłbym dla niego zrobił!

Gdy sobie zadawałem w wyobraźni pytanie, czy zdołałbym dla niego znieść cierpienia — zaraz starałem się na to pytanie odpowiedzieć. Raz więc nie jadłem śniadania, innym razem poszedłem spać bez kolacji — uczucie głodu było przykre, mnie jednak sprawiało ono przyjemność jako próba mojej przyjaźni.

Lecz takie drobne umartwienia wydały mi się błahe i nieprzekonywujące.

Postanowiłem uczynić coś wyrazistszego, coś takiego, co by bardzo i natychmiast bolało — a przewyciężenie tego bólu miało mi dać miarę, do jakiego stopnia zdolny byłem znosić cierpienie dla Rudolfa, gdyby tego okoliczności wymagały. Takie próby wytrzymałości miały mnie zahartować i niejako udoroslić.

Tak więc dnia któregoś postanowiłem położyć płonąca zapalną na dłoni i nie zrzucić jej, póki sama nie spłonie.

Wtedy nie było takich zapalek, jak dzisiaj, to był artykuł pierwszej potrzeby, a nie luksusu — my ludzie biedni mogliśmy sobie kupić za jednego centa papierowe, owalne pudeleczko zapalek, a było ich za tego centa osiemdziesiąt albo sto sztuk; śmierdziały przy zapaleniu to prawda, były bowiem z siarki i fosforu — stąd też nazywały się siarniczkami, mówiono też na nie „patyczki” — ale co tam taki smród znaczy! — zapaliki i już.

Mówię o tym, aby przed samym sobą udowodnić, że w czynie moim nie było marnotrawstwa ani za grosz, a jeśli już tą miarą je odważać, to, owszem było, lecz za setną część grosza; a taką kwo-

64  
tą mogłem ostatecznie rozporządzać co pewien czas bez uszczerbku rodziców.

Matka trzymała siarniczki na przypiecku, łatwo bowiem wilgotniały, a wtedy były do niczego, już chyba tylko zdatne do otrucia się — co też czasem czyniono, rozpuszczając fosforowe główki w letnim mleku; wystarczała ponoć zawartość dwu pudełek, co przemienione na pieniądze oznaczało kwotę dwóch centów; nawet najbiedniejsi mogli sobie na to pozwolić. Dzisiaj ten tani sposób samobójstwa nie istnieje już, minął bezpowrotnie; przyczyny jednak myśli samobójczych pozostały wśród biedoty te same. W tych dwu faktach łatwo dopatrzeć się dysproporcji.

Z pudeleczka blaszanego, stojącego na przypiecku wyjąłem jednego siarniczka i, wyszedłszy na podwórko, za pólką drzewa — zapaliłem go znanym mi sposobem, to znaczy podniosłem prawą nogę i potarłem patyczkiem o napiętą przy tym ruchu na udzie nogawkę. Gdy się tylko zajął i zatlił, gdy siarka zaczęła pryskać i smażyć się — położyłem zapalną na lewej dłoni. W pierwszej chwili prawie nic nie bolało — później jednak, gdy się siarka na dobre rozlatła poczęło piec bardzo. Mężnie znosiłem ból — miał przecież być próbą wytrzymałości i miernikiem przyjaźni. Przejmujące do szpiku kości cierpienie skłaniało mnie do strącenia z dłoni płonącego drewnianka; nie uczyniłem tego jednak. Nieprzyjemne dreszcze suły mi się po grzbiecie, jak drobne opiłki parzącego lodu, ból stawał się nie do wytrzymania, krew pulsowała w skroniach, spościłem się cały, mimo, że dzień był chłodny, zapach siarki pomieszał się z przykrą wonią palącego się ciała.

(D. c. n.)

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Gdy już cały siarniczek spłonął mi na dłoni, zdmuchnąłem nikiły, pokurczony węgielek; pod nim zobaczyłem wydrążenie ciemno-czerwone, obwiezione nieprzyjemną żółcią. Nie mogłem zerwać dłoni bez gwałtownego bólu. Palona rana dokuczwała mi przez kilka tygodni tak, że nic lewą ręką robić nie mogłem. Cała ta ogniowa próba przekonała mnie, że potrafiłbym znieść srogie męki w imię Rudolfa.

Próba jednak pozostała próbą.

Życie nie wymagało ode mnie — jak dotychczas — ofiar w stosunku do Rudolfa.

Największym przewyciężeniem w owych czasach — lecz przecież jeszcze nie ofiarą! — było zużycie przeze mnie dziesięciu centów, które wyprosiłem od matki — po dwa centy miesięcznie, więc pięć miesięcy trwała ta zbiórka na F. P. G. (używam oczywiście skrótu wedle mody dzisiejszej — wtedy nieznane jeszcze były takie sposoby oszczędzania strun głosowych względnie czernidła drukarskiego; jedynie w formie powściągliwych tартów odpowiadało się w Wądołowie na

zaproszenie rodzinom bliskim i zaprzyjaźnionym, które wymagały punktualności, pierwszymi literami zdania: „dziękuję uprzejmie, przyjdę akuratnie”; mniej już stosowany i prawie-że odrażający był używany przez wywrotowców i skrachowane indywidua skrót pięknie wydawanego i bardzo poczytłego „Dziennika Ustaw Państwa austriackiego”;

Jeśli tu o tym wspominam, to tylko dlatego, aby, niejako historycznie, stwierdzić pierwsze skróty jakie pojawiły się w Wądołowie, a w kilka lat później również i na Kopyniówce — owo zaś Éfpege oznaczało fundusz procy gumowej. Proca była na ówczas moim marzeniem i tęsknotą; lecz kawałek skręconej gumy dość silny, aby wyrzucić kamyk na znaczną odległość, kosztował aż dziecięc centów. Reszta części składowych nie kosztowała już nic; widełki drewniane można sobie było wyciąć w jednym z pobliskich zagajników, a małe płatek skóry — ten w pośrodku, pomiędzy gumami, w który wkładało się właśnie kamyk-pocisk — zawsze się w warsztacie szewckim znalazło.

Dziesięć centów więc któregoś wieczora, miałem już. Całą noc śniłem o procy, przy czym umiejętnie i skutecznie trafianie z daleka w okna szkolne nawiedzało mnie uparcie aż do świtu.

Zbudziłem się z przeświadczeniem, że mnie dzisiaj coś dobrego spotka, coś przyjemnego; umyślnie udawałem, że nie pamiętam o procy; lecz pamiętałem! Wskoczyłem szybko z pościeli — spałem na sienniku obok pieca — na dzień siennik kładło się do łóżka rodziców — umyłem i ubrałem się prędko nucąc jakąś wesolą piosenkę — proca!

65  
proca! — gdy wtem, jakby mnie kto obuchem między oczy zdzielił — aż przystanąłem! — jaktol cie szę się, raduję, procę sobie chcę kupić — a Rudolf — ? —

Takie były moje zagnalone myśli, zakończone gwałtownym pytaniem.

Zrozumiałem, że należy majątek mój niepodzielić nie poświęcić sprawie przyjaźni.

Ale co? ale jak?

Namyslałem się kilka dni. Procy nie kupiłem.

Aż trafiłem na to właściwe.

W składzie przyborów piśmiennych Melchiora Załaja zauważyłem przesliczną rączkę czyli obsadkę — była ona metalowa, lśniąca, koloru — jak zorze nad ranem bywają — różowego; z jednej strony było pióro czyli stałówka, z drugiej ołówek; wszystko składane, do wyjmowania i zakładania; przesliczne!

Z biciem serca i z wypiekami na policzkach zapytałem o cenę; kosztowała dziesięć centów; kupiłem.

Pół dnia się nią radowałem; sam; nie pokazałem nikomu, choć mnie kusiło.

Wróciwszy ze szkoły zawiązałem ją w taką ilość papieru, jaką tylko zdobyć mogłem, więc w kartki powyrywane ze starych zeszytów, gazety, w kilka arkuszy papieru do pakowania — tak utworzyła się spora paczka, którą tego dnia w godzinach popołudniowych wręczyłem Rudolfowi.

Natychmiast po wręczeniu — uciekłem.

(D. c. n.)

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Szalenie radowała mnie myśl, że pełen niecierpliwości będzie odwijał papier za papierem, papier za papierem — aż w samym środku odnajdzie podarunek, który go niezawodnie olśni i zachwyci.

Wychodziłem kilka razy — aż do późnego wieczora na ulicę, tak mnie kusiło, żeby spotkać przyjaciela i uradować się jego uciechą.

Rudolf dnia tego nie pokazał się jednak.

Dopiero nazajutrz.

Szliśmy — tak już odmierzyłem czas chytrze — razem do szkoły.

Nie pytałem go o nic — niech sam zacznie.

Już się tylko radowałem, że ma tę śliczną obsadkę w kieszeni, tak sobie wyobrażałem, że ją w kieszeni ma w bluzce po lewej stronie... na sercu. — Nawet mi się zdawało, że dostrzegam lekkie wznieśnienie kieszonki i że to to —

Idziemy tedy jakby nigdy nic; aż rzeczywiście zaczął (— jej, jak mi serce waliło! —):

— aleś mi narobił harmideru, no —

— jakiego zaś harmideru? o czym mówisz?

— no tą paczką —

Uśmiechnąłem się:

— to ty Rudolf harmiderem to nazywasz — ? —

— pewnie —

Zacząłem:

— ale...

I zatrzymałem się, chciałem powiedzieć: ale ład na rączka, nie? —

Po malutkiej chwili znów on:

— beskurcyjo, aleś mi dał luftu —

— ucieszyłeś się? (— nie mogłem już wytrzymać. musiałem to powiedzieć —)

— com się ta miał ucieszyć —

(Pomyślałem: tak tylko mówi; niema na świecie człowieka, któryby się taką śliczną obsadką, śliczną, lśniącą, różową — nie ucieszył; z ołówkiem, piórem — tylko całować i podskakiwać).

Rudolf ciągnął dalej:

— ucieszyć, nie ucieszyć, alem był ciekawy, bo to takie duże — odwijam jeden papier, nic, odwijam drugi, nic —

— no, no —

— trzeci, czwarty, też nic; po tych wielkich papierach zaczęły się zeszytowe — odwijam, odwijam...

Przeszedł akurat profesor matematyki, wzdrygnąłem się i zbladłem; ukłoniliśmy się; przeszedł, nie zwracając na nas uwagi.

— no i co? — podżegnałem Rudolfa;

— nic, taka mówię ci kupa tych papierzysek, a tu jeszcze spory zwitek mam w ręku — aż tu mama krzyknęła na mnie, że jej nieporządek brudnymi papierami robię, rzeczywiście pół izby zawalone było papierami, porwała to wszystko i wrzuciła pod piec—

— a... ten zwitek... coś miał.. w ręku?...

— też; wszystko sakompak —

— i... co...

— co by, fuknął ogień i po wszystkim. —

Dochodziliśmy do gimnazjum.

Zamiast do klasy skręciłem do wychodka i tam rozplakałem się okrutnie. Nie mogłem się uspokoić. Już na pierwszą godzinę nie poszedłem, przepłakałem ją całą. — Tę jedną godzinę miałem nawet na świadectwie nie usprawiedliwioną; nie umiałem się z niej wytłumaczyć.

Tak przepadła proca: ale to nic; procę zawsze można mieć; przepadła radość, która już nigdy nie wraca. To przecież nie była zwyczajna obsadka, to była słońca i w piękną formę zastygła uciecha. Przepadła.

Nigdy nie wspomniałem o tym, co mnie spotkało. Rudolfowi udało się, że to, o taki drogi sztabacki szło żart.

Całe to moje pierwsze spotkanie z Rudolfem nie trwało długo.

Kilka miesięcy.

Jeszcze przed godowymi świętami znalazła jego matka dogodniejsze mieszkanie, większy pokój, jaśniejszy, tańszy — z piecem kuchennym, na czym jej bardzo zależało, raz, że mogła upichcić jadło jak na leży, po drugie, że jednym paleniem opędzała i gospodarze sprawy i nagrzenie mieszkania; to ich nowe lokum znajdowało się, niestety, na drugim końcu miasta.

Ze zaś i gimnazjum nasze, nie obliczone pierwotnie na tak dużą ilość uczniów, jaka się ostatnio zwała z pobliskich miasteczek, wsi i przysiółków — potworzyło kilka po mieście filij — i tak wypadło, że gdzieindziej była moja klasa (w magistracie) i gdzie indziej Rudolfa. (w dawnym seminarium żeńskim) — więc straciłem go z oczu prawie zupełnie.

(D. c. n.)

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

## Część pierwsza: WIELOBOKI

Odtąd widywałem go jedynie na wspólnych egzortach i nabożeństwach.

Brak mi go było bardzo.

Też nienawidziłem.

A później — później tak już byłem przygnębiony i przybity szkołą, że odchodziłem od przytomności; — doprawdy odechciało mi się wszystkiego.

Marzyłem o tym, że się rozchoruję i umrę.

Tak minęło w otępieniu i udręce kilka ciężkich lat.

Jak i co potem? — mniejsza! — dość, że udało się ojcu, dzięki znajomościom i półdarmowemu łataniu obuwia radnym miasta Wądołowa, którzy znów wedle swych możliwości wpływowych u znajomków decydujących sfer pocztowych, kołatał! uparcie i skutecznie — wpakować mnie z szóstej klasy gimnazjum klasycznie - realnego, więc z greką, łaciną, rysunkami i geometrią wykreślną — na praktykę najpierw na małą stację pocztową przy przystanku kolejowym we wsi Zadry Wielkie, skąd po dwuletnim zaznajamianiu się z manipulacją listowo - przesyłkową przeniesiono mnie do miasteczka Marychost (nad Iwnicą).

skąd wreszcie dostałem się na pocztę do Wądołowa, gdzie aż do emerytury przetrwałem.

Emerytury nabawiłem się dzięki mojej nieśmiałości, oraz absolutnego braku węchu; nigdy nie wiedziałem, skąd wiatr wieje i czym pachnie; również i słuch przytępiony nie pozwalał mi dość wyraźnie zasłyszeć, co w trawie piszczy. Z takimi wadami nikt daleko nie ujedzie. Chyba z protekcją, a tej nie miałem.

Zresztą może to i lepiej; mam spokój, nikt mi na głowę nie huczy, nikt nade mną nie zadziera nosa; nie lubię tych czynności u moich bliźnich, zwłaszcza jeśli je wykonywają przełożeni. Pal fuk — jak mawiał wuj Benedykt — dodając zawsze: tere-fere ku ku, strzela baba z łuku. Nie bardzo wiem, co chciał przez to powiedzieć, lecz sądzę, że pogląd jego, wyrażony w tym dwuwierszu, zgodny jest z moim. Pobrzmiwa w nim wyczucie błahości czynów ludzkich, oraz szczęśliwa umiejętność pogodzenia się z przypadłościami życia.

Lecz dość na dzisiaj.

Ponieważ nie ma mi kto powiedzieć dobranoc — sam sobie mówię: dobranoc Jasiu.

Szkoda nafty.

Jutro będzie pewno deszcz — zalatuje silnie superfosfatem, mimo zamkniętego okna; to znaczy, że wiatr jest zachodni. Zachodnie wiatry sprowadzają deszcz; przynajmniej tu, u nas; jak jest gdzieś indziej nie wiem. O tym wiedzą tylko podróżnicy, oraz ludzie często zmieniający miejsce pobytu; nie należę do nich.

Dobranoc Jasiu!

Nie mogąc wyć, jak psy, złowione na łące przez

Tuka — pragnę śnić. Każdy robi, co umie i na co go stać.

Chciałbym, żeby mi się przyśniła...

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

W tym okresie moich pierwszych lat pocziarskich spotykałem się z Rudolfem kilka razy — lecz w jakich okolicznościach!

W okolicznościach wyjątkowych!

Nie dla tego wyjątkowych, że same przez się były osobliwe, odmienne, chciałbym rzec niewądołowskie, lecz dla tego, że przemieniały mnie w myślach i w odczuwaniach, tak, że zmysły moje były wyostrzone i lepiej działające: widziałem i słyszałem lepiej, bystrzej łączyłem z sobą zależności zdarzeń i faktów — jednym słowem chwile czy dni spędzone z Rudolfem, były przygodami. Później wszystko wracało w normalne łożysko pocztowych rygorów i kopyniowskich jednostajności — łożysko, które żywo przypomina mi naszą „ulicę“, płynącą błotem pośród ślepych domów. A tu, cokolwiek by się powiedziało, owe spotkania z Rudolfem były jak odbicia jasnych okien w błocie; a to już coś znaczy!

I zawsze było tak, że gęsta maź mego życia, i stęchlizna mych dni — została poruszona do głębi, starła, zdmuchnięta na kilka godzin bodaj, na kilka dni — starła? zdmuchnięta? poruszona? — mało! — zasiała jakąś niecodzienną barwnością, tęczowością wspaniałą! — Nadymało się moje życie jak lśniaca, stukolorowa bańka — na cichym, wonnym wiewie fruwała sobie w słońcu, odbijała w swej powierzchni łąki, lasy, pola, rzeki, góry i niebo!

Jeśli jest szczęście — to to było szczęście.

(D. c. n.)



## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

WIELOBOKI

Po odpływie szumnym Rudolfa, bańka zatrzymała się w swym napowietrznym locie, kręciła się przez chwilę w kołko, jakby szukała dogodnej pozycji i miejsca najstosowniejszego do ucieczki — szarzała, kurczyła się, marszczyła, wreszcie pękała bez głośnie — kilka nędznych, mętnych kropel padało na ziemię i, pochłonięte błotem, zatracały się w brudnej, lepkiej nicości; żalсны koniec radości.

A mieszkałem już wtedy, po śmierci ojca, wraz z matką we własnym domku, na Kopyniówce mieszkałem.

Życie ułożyło się normalnie i regularnie: od pierwszego do pierwszego — w tym trójkacie, na którego jednym rogu było błoto, na drugim okienko pocztowe, na trzecim obce i niedosiężne miasto z całym spletem siedmiotysięcznej ludności i jej interesów.

O Rudolfie nie wiele wiedziałem; dochodziły mnie tu i ówdzie słuchy dalekie i przytłumione — plotki, roznoszone po sąsiadach; nic jasnego i nic pewnego; jak list błędnie lub wcale nie zaadresowany; spotykałem się z takimi listami, stwierdzić też mogę, że trudno im trafić do adresatów nie wyszczególnionych na kopercie.

Raz doszła mnie wiadomość, która mnie zelektryzowała, a to z tego powodu, że podłoże czynu Rudolfa było bardzo zbliżone do tego, które mną kierowało przy całej tej historii wycierpienia ogniowej próby dla uczucia przyjaźni.

Z tej też przyczyny zaraz tutaj o tym mówię, prawie bezpośrednio po opowiedzeniu, jak to płonący zapałek trzymałem na dłoni aż do jego wygaśnięcia.

Niedaleko naszego domu, na skraju Kopyniówki był zakład krawiecki i konfekcja damska, prowadzona przez panią Helenę Kotwicz.

Jakkolwiek sama pani Helena była osobą stającą, około czterdziestu lat sobie liczącą, cichą, milczącą i nie plotkarską, to jednak dzięki właściwościom takiego zakładu, przez który codziennie znaczna ilość kobiet się przesuwa — kwitły tutaj wymienne kwiaty plotek i obmów. Poza tym i prawdziwym zdarzeniom poświęcano nieco czasu i uwagi, w znacznie jednak szczuplejszym wymiarze i z zapałem pomierniejszym.

Tutaj właśnie opowiedziano mi pewnego popołudnia zimowego o wielkiej, płomiennej miłości Rudolfa do Romki Łazarskiej, znanej piękności i, jak się to mówi, kokietki Wądołowskiej.

Opowiedziała mi to sama pani Helena, której przyjaznymi względami cieszyłem się; i ja również miałem dla niej szczerą i niefałszowaną sympatię.

Jeszcze tam w domu pani Heleny była panna Sandra — ale o tym później.

To, co mi zwierzyła pani Kotwicz, słyszała bezpośrednio z własnych ust żony kupca, u którego kupowała materiały krawieckie, ta zaś dowodziła się tego od subiekta, któremu doniosła o ca-

lej sprawie jego narzeczona, koleżanka pięknej i zalotnej Romki.

Wiadomość więc była pewna.

Sprawa była właściwie bardzo podobna do mojej — różnica była w tym, że rozegrała się nie samowolnie, jak u mnie, lecz została sprowokowana.

Sprowokowana przez Romkę.

Ta to pannica (nigdy jej nie lubiłem; chociaż jej nie znałem osobiście; lecz można tak na niemówionego nie lubić) rzekła z sarkastycznym śmiechem do Rudolfa, zaklinającego się na wszystko w świecie, że ją kocha do zła, na zawsze, na śmierć i życie!

— abo by to pan umiał cierpieć dla mnie? fi! nie wierzę!

— klnę się na życie moje — umiałbym! — odrzekł Rudolf z wielkim zapałem.

— fi — mówi ta pannica wstrętne — palca by Pan dla mnie nie zranił — hahaha —

— tak pani mówi?! — zobaczymy! — żegnam.

I odszedł pełen zranionej dumy.

Odszedł i zaczął przemyślać, jak tej kokietce, mówiąc pospolicie, „utrzeć nosa“, ale tak, by wiedziała, że stać go na cierpienia i ofiary.

Zawział się.

Kilka dni medytował; po nocach nie sypiał; wciąż tylko knuł plany; jedne odrzucał, inne opracowywał w szczegółach.

A oto co wymyślił i wedle ułożonego programu w czyn wprowadził.

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Rzekłś, myśli sobie ponuro i zawzięcie, palcabym nie zranił? — dam ja ci palec, małpo jedna! — I że może bólu się boję? — o ty taka owaka! — albo, że widoku krwi się lękam, krwi, mówię, własnej? — o ty...

Zaznaczyć muszę, że słowa „małpo” i „taka owaka” są określeniami moimi; nie wiem, czy ich Rudolf użył, nawet wątpię, bo jakkolwiek wyrażenia soczyste, klęcia ojczyste, a nawet wyzwiska nie były mu obce, to jednak w stosunku do t. zw. płci pięknej odnosił się zawsze z delikatnością, dobrze świadcząca o jego umyśle rozróżniającym wcale, sędzę, subtelnie, co można, a czego nie można; moje wyrażenia są pospolite, tak, a sprawę pogarsza jeszcze i to, że użyłem ich świadomie i z wielką przyjemnością, bowiem odnoszenie się Romki do Rudolfa oburzyło i oburza mnie wciąż; ta pannica! — Co zaś do tych kropek po „o ty” — to oznaczają one po prostu moje ubóstwo językowe w ogóle, a w zakresie określeń w stosunku do niegrzecznych panien w szczególności. Nie mam żadnej wprawy pod tym względem. Zdarzyło mi się nie jeden raz w życiu i tu na Kopyniówce, a nawet w Wądołowie usłyszeć słowa wyrażające niezadowolenie kawalera z domniema-

nego, czy też istotnego „prowadzenia się” dziewczyni, którą serce jego obrało za cel tęsknot i marzeń; słowa te były zawsze bardzo grube i wielkiego kalibru; były również tak krańcowe, że wyobraźnia ludzka — moja przynajmniej — poza nie sięgnąć już nie zdolala; wyrażały bowiem naganną częstotliwość tych czynności, jakie zachodzić zwykły pomiędzy mężczyną i kobietą w odosobnieniu i przy zamkniętych drzwiach, przy czym nasuwały przypuszczenie, że obiekt męski wciąż się zmienia, że za każdym razem jest to kto inny — lecz już co najgorsze, to to, że znów obiekt niewieści pobierał za wzwyż wzmiankowane czynności pewną, zazwyczaj przed tym ustaloną, kwotę; z tym dosadnym określeniem łączyły się zazwyczaj liczne, a zawsze gniewnie słowa, rozwijające niejako myśl główną przez ujemne osądzanie fizycznych właściwości dziewczyni, zwłaszcza w zakresie domniemanych, zawsze jednak przesadzonych, wielkości, czystości i zdrowotności najczęściej używanych, do już dwukrotnie tu przeze mnie przytoczonych czynności, organów. Mnie takie krańcowości nie dogadzają. Dlatego też dałem, proszę, po „o ty” kropki. Wytłumaczyłem.

Jak tam więc Rudolf pomyślał, to pomyślał, dość, że dnia któregoś otrzymała szanowna panna Romka Łazarska przesyłkę pocztową.

Przerwałem w tym miejscu nieco gwałtownie pani Kotwicz, wbrew przepisom towarzyskim, które zawsze szanować i pielęgnować należy, są bowiem najcelowszą formą współżycia z bliźnimi, pozwalającą na obopólne ukrywanie swych myśli i uczuć (gdyby ludzie w stosunkach z sobą mówili, co myślą i czują, ludzkość przestałaby do roku istnieć na globie — no i co wtedy?) tak więc niebyszajnie przerwałem:

— Rany, Julek! — kiedyż to było?

Ano, wtedy, a wtedy, mówi pani Helena. Upewniam się.

A ona: napewno wtedy właśnie,

— Józefie święty — powiadam — toć-że ja jej tę przesyłkę wręczałem.

— tak?

— no, tak!

— ciekawe...

— może nie?

— istotnie — ciekawe — proszę, proszę; i dodaje:

— jakież zbieg okoliczności!

— prawda?

— rzeczywiście...

— powiedz pani!

— dziwne!

— a!

— a?

— nie to, że „a”, a tylko to, że w tej chwili wyrażnie przypominałem sobie jej, to jest tej Romki, ręce wymanikurowane — nadawały jakiś list poste restante, list był różowy, do Sokala pod „Amor” — jak dziś pamiętam! — potem, gdy prawa zapłaciła za znaczek z dopłatą, lewa pomogła zebrać resztę drobnymi, włożyć do pugilaresiku i zamknąć w torebce — i już obie zamierzały odejść — przypominałem sobie, że jest paczuszka polecona, jakby pudełeczko nieduże w kopercie na nazwisko właścicielki tych rąk — wstrzymuję tedy zamierzające oddalić się ręce i mówię im: jest polecony — tak? — odpowiada głos z góry — tak! — stwierdzam; w tej chwili zauważyłem, że niejako w pośrodku tych rąk znajdował się jeszcze inny fragment ciała, tak zwane piersi, były ciasno opięte czerwonym swetrem, tak siasno, że... — ale to nie należy do rzeczy — oczywiście, że nie. —

(D. c. n.)

## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:  
WIELOBOKI

— Naturalnie; nie wspomniałbym nawet o tym szczególe, ale widzi pani, Rudolf — on się w nich, to jest w ogóle w niej kochał! — a będąc człowiekiem wolnym, nie pocziarzem, miał szerszy wgląd w sprawę, niż na to pozwalał prostokąt okna, proszę ja pani — nie?

— No i ca? i co? — mów pan, proszę, dalej...

— Dalej to już nic, proszę.

— Ale przecież coś, proszę, jeszcze, nic?

— Ręce podpisały receptis pocztowym ołówkiem, umyślnie miałem dla klienteli oówek anilinowy, gładki, żółty, przywiązany szpagatem do gwoźdźcia wbitego w biurko i zagiętego, o tak, żeby, wie pani, sznurek nie spelzł, sama główka nie jest bowiem zbyt pewna, może odpaść, a tak, jak zagięte, to już nie ma obawy — nie muszę dodawać, że i gwóźdź i sznurek był silny, mocny, sam zaś oówek naciąłem tak, jak to u cepów bywa, i w tym rowku zacisnąłem sznurek fest, — a jednak, proszę pani, tak się raz zdarzyło, że...

— No, ale co z tamtym? — o tym później pan mi, proszę, opowie.

— A z tym, to znaczy z tamtym? — No to jak już tę rękę podpisały receptis, zabrały sobie ten liścik z paczuszką wewnątrz — zakręciły się jeszcze raz przy torebce, odwróciły i odpłynęły — więcej sobie nie przypominam — inne ręce, masa innych rąk — a pani, proszę?

Teraz wreszcie doszła pani Kotwicz do finału, tak często przerywanego; wada rozwlekłości i wtrącań pobocznych, drugorzędnych szczegółów jest jej wrodzona; pod tym względem, jakkolwiek nie jest urodzoną Kopyniowianką, przybyła tu przed kilku laty z daleka, bo aż z Dębicy — jednak dostosowała się znakomicie do tej cechy moich współobywateli, o rozwlekłości mówię, która sprawia, że najprostszymi faktami, zdarzeniami codziennymi opowiada się długo i szeroko, wałkuje się, obraca, przyprawia, rozciąga, objaśnia, komentuje, zaopatruje w uwagi i porównania, wyodrębnia się i różniczkuje; a może miała już takie skłonności, zanim tu przybyła? może miała tylko, jak to mówią, dryg do tego, a tutaj, pod wpływem współżycia, rozwinął się tak doskonale? Nie umiem na to odpowiedzieć, musi mi wystarczyć, że o tym wiem i że sam unikam rozwlekłości, jak ognia.

To, co mi teraz opowiedziała (p. Helena), było zdumiewająco fantastyczne (wiadomość, jak zaznaczyłem pewna, bo od przyjaciółki Romki, a nie ma na świecie relacji skrupulatniejszych i prawdziwszych nad te, jakie kobiety, bez względu na wiek i położenie geograficzne dają o swych przyjaciółkach; im większa przyjaciółka, tym relacja pełniejsza; a, że małych przyjaciółek nie ma, więc cała sprawa jest poza wszelką dyskusją); to zdanie, które włożyłem w nawias, pochodzi od pani Kotwicz; przytaczam je tutaj ze względu na jego słuszność, oraz, żeby udowodnić raz jeszcze, jak ta pani umiała rozciągać opowiadanie każde, narażając ciekawość słuchającego na długie i ciężkie cierpienia, w czym niezawodnie podobna była do choroby śmiertelnej wedle określeń klepsydr, które obok afiszów cyrkowych kształtują właściwie styl mieszkańców prowincji.

Żeby nie popaść w wadę rozwlekłości, którą z tąką tu stanowczością piętnuję, a która, wiem o tym, grozi i mnie — bo, doprawdy samo to życie tu nasze uczy nas wypełnienia rozwlekłego czasu, w którym

nic się nie dzieje, nic nie zdarza, życie nasze jest, jak droga płynąca gęstym błotem — wszystkie więc zjawiska upodobniają się do tej zasadniczej cmokliwej mazi — powiem już krótko, niejako własnymi słowami, co owego dnia usłyszałem od pani Heleny Kotwicz, właścicielki damskiego zakładu krawieckiego na Kopyniówce przedmieścia Wądołowa: — gdy tylko Romka, ta pannica nieczuła na zapaly miłosne Rudolfa, przyszła do domu i zrzuciła kapelusz, na tychmiast otworzyła torebkę, wyjęła z niej grzebyk i przyczesła się przed lustrem — przyznać należy, że była to dziewczyna bardzo dbała o porządek, ład i wygląd zewnętrzny — zaraz po tej szlachetnej, choć niewyczerpującej czynności, przybliżyła twarz do lustra, a przyjrawszy się najdokładniej swej pięknej twarzy — a ładną miała buziuchną, to już trzeba powiedzieć — i skonstatowała z przerażeniem, że ma czoło obsypane pryszczkami oraz na lewym policzku poniżej ucha, to znaczy na tej przestrzeni pomiędzy uchem a ustami, różowiejący liszaj — trzeba koniecznie, pomyślała, wazeliną na noc nasmarować, a teraz przypdruję trochę, jakby tak kto przyszedł — przecież wyglądam niemożliwie; takie mniej więcej miała myśli, co własnoustnie stwierdziła potem przed swoją przyjaciółką; obejrzała jeszcze ręce i paznokcie, obróciła się przed lustrem, aby stwierdzić, czy z tyłu wszystko w porządku, obciągnęła sweterek i znów twarzą i biustem zwróciła się w stronę płyty lustrzanej, która obiektywnie, lecz na ogół przychylnie wyrażała się o jej zgrabnej figurce, kształtnej głowie, osadzonej na pięknie tocznej szyi, oraz o wąskich, pięknie spadających ramionach, w sposób naturalny i płci pięknej przyrodzony, dających wymiar węższy od szerszych rozmiarów tego miejsca korpusu ludzkiego, które w anatomii nazywa się pospolicie biodrami.

(D. c. n.)

## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Krytyczny i wymagający wzrok panny Romy nakazał miśłom pomysleć: czy też nie utylam? jakieś takie te biodra mam odstajace, że hej! — muszę schudnąć, koniecznie muszę! — chociaż... i tu w zrenicach jej, jakby w małych soczewkach zarysowała się postać tego porucznika, bruneta, co to w Sokalu pod „Amor” — westchnęła i przybrała wyraz twarzy sentymentalny, tak uroczy i jakiś taki niewinny, że samej jej się spodobał i pomyślała: muszę sobie zapamiętać, bardzo mi do twarzy z takim wyrazem romantycznego skupienia; — Amor, Amor — powtórzyła kilka razy — zawsze mówił mi, że mam taką śliczną figurę — — może się jednak wstrzymać z tym całym zwariowanym chudnięciem? — linia liną, ale biodra to też nie pies; postanowiła decyzję schudnięcia lub nieschudnięcia odłożyć do pory, w której będzie się kładła na spoczynek wieczorny, słusznie orzekła — wtedy bez tych kiecków zobaczą lepiej jak i co; bo to i te kiecki tak szyte na hura, co to można wiedzieć, czy nie szpecą figury. Ta myśl rozwinęła w niej precudny film marzeń (wszystko to opowiedziała swej przyjaciółce, która ze swej strony stwierdziła, że ani słowa nie dodała, ani nie ujęła), że w dużym mieście — może Tarnów? może Rzeszów? — albo jakiś Białystok lub Kościerzyn? — bo to Bóg raczy wiedzieć, gdzie tych biednych

oficerów przerzucają, doprawdy litości nie mają tam w górze! — z porucznikiem Amorkiem, nie, już kapitanem wtedy będzie, z kapitanem Amorkiem idzie de pache piękna, zgrabna, wytworna — ludzie oglądają się za nią — jedni mówią: co za para! co za prezencja! — on jaki reprezentacyjny! ona jaka śliczna! — i tak idą w szmerze i hołdzie, a na każdym rogu ulicy zwiększa się uwielbienie i ranga — już jest majorową — już podpułkownikową — już pułkownikową — a jak już pułkownikową to i ministrową — mąż rządzi krajem, redaguje wszystkie pisma, jest radosny, twórczy, nie obciążony szmatławą fachowością cywilów, zmienia resorty, wszystko umie, załatwia reformę rolną, kategorycznie skreśla gospodarstwa karłowate i małorolne, odtąd będą istnieć tylko wielkie własności, że też nikt na tę myśl nie wpadł dotąd, genialny Amorek! — załatwia opiekę społeczną systemem koncentracyjnym, w ciągu miesiąca nie ma już bezrobotnych i bezrolnych i ubogich, ostatnie ich szeregi żyć jeszcze będą dożywotnio, ale to już i koniec, załatwia oświatę, wykreślając raz na zawsze i definitywnie dogorywające marnie szkolnictwo nikomu na nic nie potrzebne — na niesławnych gruzach głupich gimnazjów wyrosną gmachy podchorążówek jedyne godne człowieka przybytki wiedzy o życiu i śmierci, a cóż istnieje poza życiem i śmiercią? — nic... Amorek! Amorek! — szepcą pulchne i do całowania stworzone usteczka panny Romci... Gdy potem o tym opowiadała swej przyjaciółce, określiła swój stan jako halucynacje:

— pojęcia nie masz ja kto był! to była halucynacja, natchnienie, jakby wielka łaska niebios spłynęła na mnie, a może to święty Antoni wstąpił we mnie,? — chociaż to od czego innego święty, ale przecież mógł, święty wszystko co zechce może,

od tego jest święty! — ale było, mówię ci! — tak, to było natchnienie, bo ja przecież na codzień, to nawet nie myślę o takich głupstwach, jak jakaś tam reforma rolna, durne szkolnictwo, jakaś idiotyczna opieka społeczna, to dobre dla starych przyków, a jednak, pomyśl, tylko pomyśl! — ach! za pomniałam ci dodać, że już jako żona Amorka na tak wysokich stanowiskach, zorganizowałam wystawę międzynarodową sypialni małżeńskich oraz nakryć podwieczorkowych jak one się, wiesz, przejawiają u wszystkich narodów od Negrów noczawszy na Lapończykach skończywszy — jednym słowem było cudnie, cudnie, cudnie! — Nagle z trwogą przypomniała sobie, że ona tu marzy i obrazy cudne roi, a liszaj, a pryszczki na dziewiczym czółku rosną sobie jak te grzybki po deszczu. — Sięgnęła do torebki po puderniczkę, wytworne jej paluszki poczęły szukać znajomego im kształtu pośród chusteczki, portmonetki, klucza, ołówka i tym podobnych drobiazgów — aż natrafiły na coś obcego, coś nieznanego — a cóż to być może? — aha! — przecież mi dziś ten bęcwał na poczcie (— o mnie się tak wyraziła, i ja ją mam lubić? za co?) dał jakiś list polecony od tego durnia, poznaję pismo (— o Rudolfie się tak wyraziła, i ja ją mam lubić? za co?) co też taka idiota może ode mnie chcieć? bardzo ciekawa! — oderwała, wie pan, — tak znów mówiła pani Kotwicz — górny brzeg koperty, jak to się zwykło czynić zazwyczaj, gdy nie ma pod ręką nożyka, przecinacza, nożyczek lub innego zdatnego przedmiotu — wyjęła zawartość, którą było zwyczajne pudełeczko od zapalek; pudełeczko od zapalek?, pudełeczko od zapalek; no nic; a na tym pudełku napis: „otwierać ostrożnie”, czerwona kredką ten napis.

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Otwiera więc panna Romcia to pudełko od za palek — otwiera ostrożnie wedle przestrogi na wieczku. Szufladka wysuwała się opornie — skrzypiało przytem nieprzyjemnie. Już przy tym skrzypieniu tak mnie, wiesz, tknęło, że aż, opowiadała Romka później przyjaciółce. Gdy już całą szufladkę wypchnęła, zobaczyła na wierzchu kartonik z tymi słowami: —

*— miłość i cierpienie razem się splata,  
już bez palca będę chodził przez wszystkie lata,  
ślę ci ten mój palec, Romciu kochana,  
bardziej mi serce krwawi niżli ta rana.*

Panna er przeczytała tę smętną elegię, a jeszcze nic nie wie, nie orientuje się biedactwo; machinalnie wyjmując sztywną karteczkę — i ach! ach! ach! — serce zaczęło bić nieregularnie, zbladła, czoło to z tymi przyszczykami, zrosiło się zimnym potem; panna Romcia zemdląca.

Stuk upadającego krzesła, bo ciało obsunęło się dzięki mądremu instynktowi samozachowawczemu dość delikatnie na podłogę, tak, że ani głowa nie stuknęła o deski, ani noga nie uległa zwichnięciu, ani nic takiego — no i chwalić ten instynkt, szkoda by przecież było tego foremnego ciała, mogę mieć i mam za i do panny Romki, lecz nie chcę tego roz-

ciągać na jej organizm zewnętrzny — więc stuk ten kazał momentalnie wbiec do pokoju niektórym członkom rodziny, jako to matce, siostrze i małemu braciszekowi; lament, rwetes, płacz, wołania — a to wody, a to, że umarła, a to, że nieszczęście, a to, że koniec świata; inteligentne zemdlenie dobrze jednak odmierzyło czas, tak, że do zlania głowy wodą nie doszło; zemdlenie miało względ na fryzurę.

Jeszcze powieki trzepotały się na piwnych źrenicach panińskich, jeszcze oczy nie mogły przyzwyczaić się do jasności dnia — a wargi już wyszeptały:

— weźcie ten palec, weźcie ten palec ode mnie, weźcie ten palec —  
tak w kółko wielekroć razy.

Z początku nie wiedziano o co jej idzie; przypuszczano najgorsze, że postradała zmysły, że jest opętana; siostra, która bywała na seansach spirytystycznych u aptekarza miejscowego, który się takim czymś zajmował, zaczęła krzyczeć, że Romcię ktoś zahipnotyzował, że to jest morderstwo przez sugestię, że słowo palec oznacza rzecz mistyczną, rozkaz, imperatyw, aport, lewitację i tym podobne bardzo już zaawansowane okropności.

Dopiero braciszek mały, siedmioletni Grześ, dojrzał jakiś nieznaną sobie przedmiot leżący w dużej odległości od zemdlonej — wypadł jej widzieć z rąk i poturlał się aż pod łóżko, gdzie oparł się o niesprzątnięty jeszcze nocniczek (— wszystko to ta przyjaciółka mówiła, nawet pozwalała sobie na niestosowne w obliczu nieszczęścia uwagi, że cały dom ten znany jest z tego, że jest niesprzątnany ty! — jak goście mają przyjść, że to brudasy i szlompki aż hej —) — stamtąd podniósł mały Grześ i mówiąc:

ol — pokazał go otoczeniu. Wszyscy spojrzeli ze zdumieniem i aż im dech zaparło.

Na różowej dziecięcej dłoni leżał obcięty palec; był to piąty mały palec — wedle wyrażenia matki Romki, pani Łazarskiej — jak żywy, nawet z paznokciem, za którym był brud; paznokieć ten był po nad zwyczaj duży, co powiększało znacznie grozę sytuacji.

Sądzę, że nie muszę ani słowa do tej związanej relacji dorzucać, stwierdzam: Rudolf, aby udowodnić że umie cierpieć i znosić ból najsroższy dla miłości, obciął sobie palec.

Taki był.

Czym moja nędzna próba ognia? — ograszka.

Czym płonący ogienek siarniczki na dłoni? — zere.

Rudolf stanął, mogę śmiało powiedzieć, na wysokości zadania.

Umiał domysleć do końca — koniec palca przesłany bogdane jest tego chyba najlepszym dowodem.

I znów muszę zacząć od tego, że minęło sporo lat.

Aż tu razu pewnego zjawiał się niespodziewanie u mnie Rudolf, rozczochrany, brudny, obdarty z olbrzymim kosturem w ręce.

Momentalnie mignęło mi pod czaszką: oto prawdziwy pielgrzym ziemi!

Zaraz od progu, po prędkim, pobieżnym przywitaniu się, rzekł:

— jak się masz Jasiu! mogę u ciebie stary okrztu niu pobyć dni kilka? —

A tak to rzekł jakbyśmy się bodaj tydzień temu widzieli; a to już kilka lat minęło od jakiegoś tam spotkania się naszego.

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Spojrzałem — znałem już wtedy całą tę historię miłosną wcale dokładnie — ukradkiem spojrzałem na jego lewą rękę — wiedziałem, że lewa chociaż mi tego nikt nie mówił, boć przecież mankudem nie był, więc prawą musiał zadać jednemu z członków swego ciała ów historyczny, śmiertelny cios -- istotnie był kaleką! mały palec u lewej ręki odrąbany był po kolanko; żałosny, bezużyteczny kikut świadczył oto wymownie o miłosnych przeprawach swego zaciętego i nie liczącego się z niczym właściciela,

Rudolf widać zauważył to moje spojrzenie, choć przecież starałem się tak to zrobić, żeby nie było znać — prędko, błyskawicznie niemal -- a-le! tak by nie zauważył! musiałby nie być Rudolciem! -- podniósł rękę (lewą) na wysokość oczu, tak, że zasłonił prawe oko (więc rękę miał wierzchem do twarzy, a dłońią ku mnie zwróconą), a lewe wypadło akurat ponad tym kikutkiem — w ułamku sekundy zamajaczył mi jakiś nonsensowny wizerunek, czy raczej wyobrażenie krępego drzewka, którego koronę stanowiło oko, rzęsy były jakby gałązkami, wyrosłymi na powierzchni zwartej masy listowia białego i ciemno - brunatnego; wyobrażenie to zniknęło tak prędko, że nie zdołało mnie nawet za niepokoić — zwłaszcza, że ta korona drzewa mru-gnęła do mnie nie bez pewnej, tak mi się przynajmniej zdawało, figlarności; niezawodnie była w tym gęście mrugnięcia utajona wola porozumienia, lecz co do czego mieliśmy się — ja z tym okiem porozumieć, tego nie mogłem dociec; nie było zresztą czasu na to, bo Rudolf opuścił rękę czy raczej machnął nią jakoś tak, jak by przecinał naprężoną nić.

Z wrodzoną sobie lotnością i przytomnością umysłu odwrócił moją uwagę kategorię od problemów romantycznych — mówiąc:

— wracam i już; herbaty — oto czego łaknę — skąd wracam? — z wędrowki niedługiej, dwutygodniowej zaledwie, ale obfitej w piękno przygód — ech! gościńce! — no, wal po herbatę!

Słowem „gościńce” i to tak wypowiedzianym, jak to tylko jeden na świecie Rudolf potrafi — lekko, zwiewnie, a pod tym wrze jakaś niepojęta głębia, gejzer, wulkan; jej-jej jak on to umie powiedzieć taką rzecz! — go-ściń-ce — go-ściń-ce! — no, ja tak nie potrafię, ale ja to czuję -- któż by znów jak nie ja, który przemierzyłem ongiś sześć kilometrów obwodu kuli ziemskiej na tym to ja si ęznam!

Lecz myśli te utaiłem głęboko, jak kryją skarbcie, co go mają, ukryłem jak sztaby złota w podziemiach banku, zamiast niego wypuściłem oto nędzny papierowy banknot:

— jakto? dwa tygodnie? — a szkoła? — i gdzie w ogóle byłeś?

Bo to on wciąż jeszcze chodził do tego gimnazjum — idź ty głupi! szkoła, haha! — kosztuje mnie trochę jaskrawego śmiechu! — szkoła to jest dla mnie mniej, niż nic, ot guano afrykańskie, powiadam ci, guano! — znudzony postanowiłem powąłęsać się trochę — wyszedłem więc z jakiejś lekcji — uciałem sobie w lesie grabową łagę — już więcej nie mam nic do powiedzenia w tej materij — — no, a matka?

— matka, matka — mój kochany — matkę to ja przyzwyczajałem długo no i przyzwyczałem do tego, że jestem człowiekiem wolnym — i to w całym słowa tego szerokim znaczeniu.

Teraz muszę odrobinę rozszerzyć zdanie, doły czące szkoły, a poruszone przeze mnie przed chwilą. Otóż mówiłem do Rudolfa o szkole i Rudolf do mnie mówił o szkole — bo, no cóż? — zahałem się w tej chwili, czy powiedzieć, czy nie powiedzieć, ale i tak by się kiedyś wszyscy o tym dowiedzieli, bo niewątpliwie, o ile tylko jaka-taka sprawiedliwość istnieje, ukażą się za lat... powiedzmy

pięćdziesiąt, opisy życia Rudolfa Istinksa, czyli tak zwane naukowo (o ile się nie mylę) monografie — no więc: Rudolf repetował prawie klasę po klasie, a w piątej to nawet trzy lata siedział, na co trzeba było nawet osobistego zezwolenia najjaśniejszego monarchy, który sobie to prawo specjalnie zastrzegł, mówiąc, że musi dbać o to, aby w jego państwie nie było za dużo idiotów i repetentów, że i tak dzięki protekcjom panów ministrów (mowę tę wygłosił na posiedzeniu rady ministrów) kraj cały zawalony jest idiotami i hochsztaplerami; poczem (jak dodaje odnośny biuletyn) przystąpiono do awansów feldfebli (to co dzisiaj sierżant), co również monarcha zastrzegł sobie „jako osobiste interesującą go sprawę, twierdząc (jakże słusznie!), że umiejętny dobór i rozbudowa tej bazy jest decydującą zwłaszcza w czasach pokoju (myśli o wojnie ten do-brotliwy człowiek nawet nie dopuszczał do siebie); — mniejsza z tem zresztą! — dość, że dzięki pokrewieństwu matki Istinksa ze sławną rodziną prymariuszy szpitala, nadwornych lekarzy, uczonych anatomów-Nemrodów zu Tübingen Ticklscheków — monarcha zezwolił, aby Rudolf po raz trzeci do piątej klasy uczęszczał! — niby to nie ma protekcji, a jak co do czego przyjdzie... ale przynajmniej tym razem szczęśliwie trafiło, i dobrze zrobiły sławy wiedeńskiego świata lekarskiego, popierając swego krewniaka z Galicji — Rudolf wart był tego; ja, gdybym był cesarzem (marzyć przecież wolno!), to takiemu Rudolfowi pozwoliłbym nie głupie trzy lata, ale cztery, pięć, sześć, siedem lat chodzić do jednej klasy; nie żałowałbym mu; umiałby przynajmniej naprawdę dobrze wszystko; a to też coś warte; — inna rzecz (szybcutko sobie to obliczyłem na pudełku gilz), że, gdyby tak po siedem lat do jednej klasy chodził, to skończyłby gimnazjum —  $7 \times 8 = 56$  — po pięćdziesięciu sześciu latach — czyli, doliczywszy dziesięć lat życia z epoki przedgimnazjalnej, wypadłoby nam, że maturę zdałby w sześćdziesiątym szóstym roku życia; trochę późno; choć cóż to i szkodzi? do posady nie, ma się co rwać, najlepiej o tym wiec!

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Dotknąłem — to wszystko, o czym wyżej powiedziałem — z wielką delikatnością w rozmowie z Rudolfem.

— Haha - haha — ty sobie przypominasz zapewne, jak ci to wtedy przy tym kręceniu sznurów (ale miał pamięć, co? powiedziałem, że będę zawsze celującym i tak dalej; ot, mówiło się po głupiemu i tak na fifa, bo i fifak ze mnie wtedy był, gałatek mamin; — ale też wnet, bracie, zwęszyłem, że szkoła to jest areszt, wiesz, areszt dla wolnego ducha! to wszystko — tu zanucił (trochę, wyznam, fałszywie, słuchu nie miał dobrego): — wolność nie służy, nie wie, co to pany...

Po chwili kontynuował myśl:

— Tak, tak, więzienie; — a ta cała belferska wiedza, to wiesz, do luftu, für die Katz! — ja rozpocząłem wnet własnym systemem kształcenie, własne studia, własny świat — moje zainteresowania, to życie! — czytałem, owszem, robiłem sobie wypisy, spisywałem też własne myśli, no i życie, życie i jeszcze raz: życie! — no to i na całą zakichaną szkołę wypiąłem, za przeproszeniem, zadek! — wolność, bracie, wolność — tak też i dnia któregoś wziąłem do garści kostur pielgrzymi i — w świat! — drogi — gościńce — kamienie przydrożne — cienie drzew —

szum lasów — chmury, płynące ponad głową — dni — noce — słońce — gwiazdy.

Poetyzował. Chwila była, co się zowie, piękna; poczułem nawet w nozdrzach jakiś, zapach nieokreślony i pomyślałem: oto tak pachną gościńce dalekie i to życie, niemi się toczące.

— Śmierdzi cholernie ten superfosfat u was. — Istotnie! Superfosfat!

— Można się przyzwyczaić — starałem się do brym słowem złagodzić smród.

Teraz chciałem się zapytać — no bo przecież to się ciągle tłucze po głowie, i tak już w nas niedostatkiem wrosło, że wciąż tylko to, tylko w tym, tylko o tym — jak on sobie na ten przykład wyobraża dalszy swój byt? co zamierza kiedyś robić, na jaką posadę kroi? — bo takie warunki, jakie samochcąc wytwarza, to nie są żadne warunki, i nie ma takiego resortu, w którym by się wraz z ich pasażerem pomieściły; przynajmniej ja sobie nie wyobrażam; to znaczy dziś sobie wyobrażam, tak się wszystko przemieniało na świecie, że szlachetna, lotna niefachowość Rudolfa mogłaby mieć, owszem, szanse; jedynie na zyski z pamiątek nie mógłby liczyć; jedynie wysoko postawione osoby mogą liczyć na zbyt w tej branży; a wtedy znów jest wszystko jedno, co piszą — mógłby to być nawet niezadrukowany papier — niby notatnik, w który ma się wpisać kiedyś historia. — Co innego ja; piszę dla siebie i, że tak powiem z emerytalnych potrzeb; to wolno. Tak więc dzisiaj mogę sobie wyobrazić resort i kategorię — wysoką nawet — dla typu: Rudolf et comp. — ale wtedy? gdy jeszcze obowiązywał rozsądek? — ten niepożądany dziś intruz? — ciężko!

O to i o tym podobne rzeczy pragnąłem zapytać Rudolfa — i nawet bardzo mnie koczyło; lecz po

krótkim namysle powstrzymałem się; powściągliwość wydała mi się konieczną; byłoby coś niezmiernie niestosownego w mojej niedyskrecji, graniczącej z arogancją. Aż się doprawdy sam zawstydziłem mojej głupiej, choć przelotnej, myśli.

Tym czasem Rudolf, głośno siorpiąc wrzątek herbaciany (bez rumu, niestety, ojciec miał go tylko dla „poważnych“ ludzi na stałych, solidnych posadach; kościelny, organista — o, to tak, ale nie jakiś tam, tfy, pętak, repetent; — jakby mnie ktoś tępym nożem rzezał, gdy mi takie o Rudolffie bujdy prawiono, a najgorsze w tym było to, że pozory były po stronie przeciwników) począł opowiadać, jak to przez te piękne tygodnie szedł od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka — „żywiąc się w locie“ — tu ziemniaki, tam kapusta, mleko, chleb — jak trafiło; grosza nie miał przy duszy, bo i dusza jego nie była po stronie groszy — odpychały się wyraźnie te dwa pierwiastki; — sypiał w stodołach, na szopach, w stajniach, na strychach, w stogach, a kilka nocy w pustych, budujących się grobowcach.

— Gdzie?! — krzyknąłem; czułem, że mi się włosy na karku mierzwią.

— W grobowcach, bracie — powtórzył, polykając kęs chleba z marmeladą porzeczkową — fajno jest — wsio ryba.

— I dlaczego, Rudolffie, w takich zakazanych, ośludnych i niepraktycznych lokalach? — bój się Boga, Rudolffie — dlaczego? — przecież to straszne formałnie.

— Straszne dla łyków, filistrów, mydlarzy i tym podobnych członków burżuazji — lecz nie dla mnie! życie i śmierć! fi! — oto problem, uważasz, i ja ten problem rozwiążę.

(D. c. n.)

## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

— Jak to rozwiązesz?

— Co ci będę gadał, to nie na twoją, bracie, głowę — tyś jest prawowity członek drobiu, jednostka ze stada...

Ubodły mnie te słowa, więc zareplikowałem:

— Przecież każdy musi dbać, żeby sobie jakoś ten swój byt zapewnić i starość mieć zabezpieczoną — cóż? zęby w kamień wpijesz, czy co?

— Idź-że, idź, cholero ciężka, Jasiu kołtunie sakramencki, ani słuchać tego nie mogę, co tu pleciesz — przede wszystkim, czy wiesz, że doczekasz starości? Kontrakt masz na to? — zresztą tylko z solidną firmą kontrakt giltuje — a tu przed nami piękny, szeroki świat, życie wielkie i rozmaite, wolność, niezależność, łązega, czas bez końca — a ty mi tu z zegareczkiem: godzina ósma — biuro, panie — godzina dwunasta — obiad, panie — ach! jak ją mam, żebyś wiedział, pogardę dla mieszczan-skich... ideałów (trzeba było słyszeć, jak on to słowo — nie mam lepszego wyrażenia — wybzdził) — posadka, ożenek, trzy pokojućcie i kuchenka — wikcik, opierunek, żoneczka — kłępeczka pod pierzynką po omacku cycy-cacy — szlakby to jasny tralił! — a potem chorobeczka, śmierciuszynka — no i jużes umarł w butach; tyś się też na tych regułkach wykierował na frajera! — we—ge—ta—cja!! — To nie dla mnie...

Zgaszony, jak świeca palcem, zakopciłem drobno i na miejscu:

— No, a co teraz będziesz robił?

— Co? — to obojętne; z budy mnie wyleją za węgry włoczęgowskie, że niby wstyd dla przesławnej budy — wyleją? — no to mnie wyleją — płakać może będą? — Świat cały przedemną otwarty...

— Świat otwarty?

I pomyślałem: za lada otwarcie wchodowej bramy do nędznej kamienicy trzeba płacić jak tu mówią „einlas“ — a cóż dopiero kosztować musi takiej bramy otwarcie, które wiedzie „w świat“! Nie powie działałem tego, bo się wstydyłem.

Lecz Rudolf, widać, musiał wyczuć, lub zaobserwować zmieniony wyraz mojej twarzy lub wzroku — bo rzekł:

— Świat to jest wielka przestrzeń, jakby błonia — życie jest gonitwą — wyścigiem.

Smutno mi się zrobiło w tej chwili, gdy to piszę, że Rudolf, właśnie Rudolf użył takiego określenia, które tak zdyskredytowało się ostatnio — wyścig tego, wyścig tamtego — w rezultacie całe społeczeństwo ma zadyszkę z tej opętanej gonitwy i nic więcej. Gdy sobie czasem, założywszy ręce na piersi, siedzę na przyzbie, wpatrzę się i wsłucham, co się to u nas, proszę, wydziwia — migają mi różne obrazy przed oczami — dużo takich obrazów, tak dużo, że ani nie wiem; migają i migają; gdy się czasem ustalą, tak, że mogę rozsądniej na nie spojrzeć, widzę wielką, wielką przestrzeń z masztem na dalekim krańcu — ten maszt ma na szczycie chorągiew o barwach narodowych — tedy część społeczeństwa taka, która z różnych powodów — studja, protekcje i t. d. — ma nadzieję na różne intratne posady — biegnie — całymi gromadami, mniejszymi i większymi — biegną, wyścigają się, podstawiają sobie nogi — padają, dźwigają się — znów biegną — słyszę po prostu ich przyspieszony oddech, świst wciągane go gwałtownie powietrza — aż mi się samemu słabo robi, choć sobie spokojnie na przyzbie z założonymi na niersiach rękoma siedzę przed małym drewnia-

nym domkiem na Kopyniówce. Rzecz dziwna, jaki ja mam w takich chwilach bystry wzrok, to coś nadzwyczajnego! myślę, że dojrzałbym muchę, no, może muchę jak muchę, ale na ten przykład chrabą szczyra siedzącego na krzyżu wieży kościoła wądłowskiego, który stąd dokładnie widać — po prawdzie szpeci całą okolicę, nie lubię go, jest szkaradny — to znaczy ta wieża przede wszystkim; — taki mam ostry w takich chwilach, gdy mnie te obrazy nachodzą, wzrok; — tedy, zainteresowany, patrzę, patrzę i pytam siebie, gdzie oni też tak pędzą? — i, jakkolwiek ta meta, oznaczona masztem narodowym, jest niby to o jakie kilka kilometrów oddalona od przyzby, na której siedzę z założonymi na niersiach rękoma, widzę jak najdokładniej ogrodzoną drutem kolczastym przestrzeń kolistą wokół masztu, a w pośrodku rodzaj ocembrowania, czy coś w tym rodzaju — widziałem coś podobnego na podwórzach wielkich gospodarstw dworskich dokoła obór, służy to już to do wodopoju już to jako miejsce, w które wrzuca się parzonkę, zieloną paszę, kiszniki, obrok, buraki i t. p. — tej ocembrowiny, zdobnej kunsztownie w przeróżne emblematy władz, odznaczeń, herbów i insygni — trzyma się kurczowo garstka ludzi p zeróżmaicie odzianych, zdarzają się i tak zwane cywilne ubrania, — wszyscy są twarzami zwrócenii ku wnętrzu, więc w stronę masztu — a z pleców na zewnątrz zwróconych tworzy się niejako wał obronny; stoją tak jeden przy drugim, rękami mocno wczepieni w ocembrowanie, nad nimi powiewa na wietrze i w słońcu wesoło chorągiew. Stoją tak ciasno, że, doprawdy, mowy nie ma, żeby się tam ktoś mógł jeszcze wcisnąć, ani gadania! chyba, żeby ktoś sam wyszedł z tego uprzywilejowanego kręgu, no, to wtedy mógłby ktoś inny doskoczyć zgrabnie i zająć jego miejsce. Czy to się zdarza, nie wiem. Natomiast wiem, że wysiłek olbrzymiej gromady biegnących jest próżny i bezna-



# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

### ROZDZIAŁ DRUGI.

Jestem człowiekiem bez jakiegokolwiek znaczenia, takie szare nic; z zawodu, do usług, poczciarz; na emeryturze; poczciarz na emeryturze, to nie jest los, prawda, ale nie narzekam; cóż by mi zresztą pomogło?

Ciekaw jestem wciąż świata, którego, prawdę mówiąc, nie zobaczyłem jeszcze dokładnie, i zapewne wogóle nie zobaczyłem — bo i skądże? — dwadzieścia pięć lat pracy na jednym miejscu, w miasteczku, owszem, ładnym, ale małym — za małym na „świat” — osiem tysięcy mieszkańców — tyle, że powiatowym, ze starostwem, sądem, koszarami, i szpital jest i kościół, gimnazjum, a jakże też jest; i areszty, bo sąd. — I jeszcze by to nic nie było takie skromnociche bytowanie na prowincji — ale, wracam do tego zobaczenia świata, jakże miałem go zobaczyć przez, proszę was, takie okienko niewielkie, przy którym dwadzieścia pięć lat przesiedziałem: znaczki pocztowe, segregowanie listów do skrytek, listy polecane czyli rekomendowane, ekspresowe, poste restante, paczki takie, owakie, i tak dalej: — ludzi widzi się właściwie tylko do połowy i to nawet nie — głowy i kawałek piersi, a głowy znów przeważnie gubią się poza górnym obramowaniem, chyba, że dzieci, wtedy tak; — natomiast ręce! no bo podają, odbierają — to te ręce wciąż widać od ósmej rano do dwunastej w południe, od trzeciej po południu do szóstej wieczorem, dziś się mówi od piętnastej do osiemnastej.

Najlepiej też ze wszystkiego znam ludzkie ręce, ręce przeważnie duże i grube, niepielegnowane ręce — tych jest najwięcej! — trzęsące się, zdenerwowane; czasem zdarzyła się ładna kobieca ręka, wąska, wymanikirowana, pachnąca — przeważnie taka po poste restante pod „słoneczko”, „amor” lub też inaczej; wtedy mi zawsze coś wypadło, ołówek, list, z tych moich rąk, no bo i ja mam ręce!

Jakiś mądry, uczony człowiek, taki, jakich po wielkich miastach nazywają Dr. prof. psycholog — dużo by mógł wyczytać z tych tysięcy, co mówię, dziesiątków, setek tysięcy rąk, wyczytać i wykombinować.

Nie, nie myślę się; zrobiłem sobie taki mały obrachunek, na boku, na osobnym papierze, na podszewce starej koperty: otóż licząc średnio sto rąk dziennie, to rocznie jest z grubsza trzydzieści tysięcy, a przez dwadzieścia pięć lat siedemset pięćdziesiąt tysięcy rąk, no niektóre się powtarzają, ale zawsze jest to liczba pokaźna.

Sam nie potrafiłbym wiele wyczytać z rąk przesuwających się przez prostokąt mojego okienka, aby zniknąć poza jego ramami — chyba to, że brudne i spracowane są ręce ludzkie.

Niby to zajęcie, wypełniające mi ćwierć wieku życia, nie było trudne — a jednak wymęczało bardzo. Człowiek z takiego okienka robi się ogłupiały i apatyczny; nic mu się już nie chce, nic go nie interesuje, nic nie cieszy, pragnienia zagubiły się pod stertami obcych listów.

Ja, który mam ciekawość do różnych rzeczy, jeszcze sobie tam czasem przeczytałem jakąś książeczkę, albo gazetę — ale koledzy moi, to nawet do tego gustu nie mieli; przez długie lata nie mieli; i nie dziwię się; wiem, znam! — jedno słowo: udręka.

Porobiłem w poprzednich zdaniach kilka przekreśleń i poprawek; niestety, musiałem; tak na przykład napisałem tu i ówdzie „nie jest”, musiałem zmienić na „nie było” — boć przecie od kwartału nie jestem już urzędnikiem, lecz emerytem.

Czasu mam dość; aż nadto!

Mogę jeszcze pożyć sporo lat — takie ot życie dogorywające emeryta. Po prawdzie straszne życie! — i to jest ta pierwsza wolna myśl, która mnie dręczy. To życie takie właśnie. No bo tak: urodzisz się w świecie zabiym deskami, nie wiele-większym przez całe twe istnienie od kołyski, ukończysz w posępnej jednostajności szkoły — niższe, wyższe — na jakie stać twych rodziców i twoje uzdolnienia — osiadasz na jakimś urzędzie — ożenisz się lub nie — masz dzieci lub nie — spotykasz tych samych wciąż ludzi, i, co gorsze takich samych jak ty ludzi, zdegenerowanych, skwaszonych, pokrzywionych, otepiałych, ten ma niedokwasotę, tamten nadkwasotę, ów hemoroidy, inny przepuklinę, astmę, anemię, gruźlicę, kamienie żółciowe, kamienie w nerkach, w pęcherzu — spacerki od rynku do mostu — od mostu do rynku — handelki, śniadanka, wiadomości ze świata z wymianek Kurierka — no to ta jedna przezroczyta monopolowa wódka, która chrzci twą pospolitość chwilową wesołością. — Ktoś mi mówił, że ile razy otwiera pełną flaszkę wódki, to się w niej coś zaśmieje; nie doświadczyłem; nie piję. — Oczywiście: „kościół” — msza o dziewiętej, albo suma z kazaniem — kościół rozumie się w Wądołowie, bo u nas... ale o tem jeszcze będzie; po porządku; nie mam wprawdzie ambicji, aby pisać wedle recepty starego łacinnika profesora Koszałka, który nam przez cały rok w drugiej klasie recytował. — Jeszcze go widzę jak zsuwa okulary na sam czubek czerwonego nosa — quis, quid, qui, quilus auxiliis, cur, quomodo, quando — i że według tych zasad należy układać dyspozycje zadań, a nawet, powiada, wszelkie życiowe ważne pociągnięcia, na przykład, i przede wszystkim, mówił, ożenek, ale co wam durniom o tem mówić — tu zawsze siąkał i czerwoną chustką wycierał siwe obwisłe wąsy — szeptał do tej chustki gniewnie: durniel — a my powtarzaliśmy: cur, quomodo, quando; nie, takich ambicji nie mam; spokojnie, pomalutku i porządnie; nic więcej. (D. c. n.).

**Emil Zegadłowicz**

3)

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Nawiązując do poprzedniego muszę jeszcze dodać, że tu wszystko tak, że tuż za miastem na rozległym, siodlastym wzgórzu rozłożony smętarz czeka cierpliwie; na ciebie, na mnie, na wszystkich; i doczeka się zawsze. Żyjemy też tu tak, jak rozbite planety — są takie, wiem — obracające się dookoła smętarza — on ciągnie — my coraz mniejsze, węższe zataczamy koło, coraz bliższe — aż w nagłym obrocie szybkim i raptownym wpadamy w to miejsce, które jest nam przeznaczone od zarania dni.

Takie jest nasze, planet, czarne słońce.

Nie wiem, jak jest gdzieindziej. — Ale tu takie jest życie. Ktośby mógł rzec, że nie wesołe, ale ja tego powiedzieć nie mogę, zamało znam się na tym.

Wzmianka o profesorze Koszałku nastęrcza mi dogodną sposobność powiedzenia, że stosunkowo krótko chodziłem do szkoły. Na ogół okropne to były dla mnie czasy. W szkole powszechnej bito, w gimnazjum bito, krzyczano, lżono; wyniosłem takie przekonanie, i dotychczasowa obserwacja nie zburzyła mi go, że pedagogia polega na nienawiści nauczycieli do uczniów i uczniów do nauczycieli. Nauczyciele odkuwają się na czeredzie jołopów za swe ponure zajęcia, za mizerne wynagrodzenie, za „złamane życie“, za niepowodzenia, niesnaski, złe przekonanie i wkuwali nam w łby zakute, że kogo bogowie chcą ukarać, to go robią pedagogiem.

Wobec takich założeń nienawiść uczniów jest tylko samoobroną i ułamkiem instynktu samozachowawczego. W takich warunkach elementem wychowawczym jest strach: ksiądz nas straszył piekłem, nauczyciel dwóją i karcerem, dyrektor wyrzuceniem z gimnazjum, wizytator straszył nauczycieli i dyrektora przeniesieniem i dyscyplinarką, zawsze nabuduczony, że ciało pedagogiczne za mało zwraca uwagi na prawomyślność i państwowe wychowanie, że za mało radosnej twórczości maluje się na twarzach i grona nauczycielskiego i rzesz młodzieży. Nad tą społecznością gniewną, ześpieszoną, zdeenerwowaną, zaszczutą — daleka, horyzontalna Rada Szkolna (to co dziś kuratoria) — a ponad nią zenitalne ministerstwo; ale to już tak wysoko, że stąd trudno nawet dojrzeć.

Nadmienić tu zaraz na początku muszę, że te moje adnotacje i myśli, które tu — z wpojonym mi i wrodzonym mi strachem — spisuję — w niczym nigdy i nigdzie nie wpływały na moje, jakby to powiedzieć, ustosunkowanie się życiowe; byłem wzorowym urzędnikiem, dobrym członkiem gminy, przykładnym, coniedzielnym synem kościoła, skrupulatnym płatnikiem podatkowym czyli pełnowartościowym obywatelem państwa, które za tak przecież skromną sumę (płacę wszyscyego 41 zł. 82 gr. rocznie) obdarzyło mnie dowodem osobistym oraz książeczką wojskową — bez czego całe istnienie moje byłoby nie tylko utrudnione, ale wprost wątpliwe; czyż można w jakiś inny sposób udowodnić swę istnienie?

Sumując poprzednie wywody, widzę wyraźnie, że myślenie moje idzie swoją drogą, a poczucie obywatelstwa swoją drogą; tak to przynajmniej zaobserwowałem od czasu przejścia ze stanu czynnego w stan emerytalny. Wydaje mi się, że my wszyscy tak żyjemy — inaczej w sobie, a inaczej na zewnątrz.

Również widzę, po przeczytaniu wzwyż napisa-

nych zdań, że znów napisałem tu i ówdzie „byłem“, a powinno być „jestem“; nigdy sobie z czasami nie umiałem radzić — imperfectum, futurum, to mnie wyгнаło ze szkół; i w ogóle; z pisaniem też sobie rady dać nie mogę. Mam jednak nadzieję, że się z czasem poduczę i wprawię.

Lecz dość na dzisiaj.

### ROZDZIAŁ TRZECI.

Rozpocząłem to pisanie raz dlatego, że mam dużo wolnego czasu, z którym nie wiem, co robić, a po drugie — z takiego jakiegoś wewnętrzznego nakazu; trochę to podobne do przecucia, które tak chętnie nawiedza ludzi na prowincji; tu się ciągle czeka, że coś, że skądś, że ktoś — nagle i niespodziewanie! List, telegram — to są zdarzenia niepokojące! — Takie to nakaz gna mnie, każe, zmusza. Nie mogę się w żaden sposób oprzeć. Właściwie to nawet nie dobrze wiem, czego chcę. Tak ot.

Lecz jedno: czasy są ciekawe. Teraz dopiero mam możliwość trochę się im przyjrzeć; tym czasom. Pogadać to nie bardzo mam z kim. Zawsze byłem (jestem) nieśmiały i samotniczy. Z kolegami ograniczałem się w rozmowach do najkonieczniejszej wymiany myśli. Zresztą cała ta nasza rozmowa dotyczyła jedynie awansów, poborów, przesunięć, obniżek pensji; no, bo to jest dla urzędnika najważniejsze; przebudowa budżetu domowego — oto na czym mu życie upływa; w miarę zmniejszania się tej bilansowej budowy, muszą się i potrzeby i zachcianki kurczyć — tak, aby mogły się w tej budowie pomieścić. W wyobraźni, która mi się sama narzuca, widzę cały kraj zasiany malutyńkami jak pudełka gilz „Feliks“ budynczkami, w których mieszkają krasnoludki referendarze, krasnoludki radcowie, krasnoludki sędziowie, krasnoludki nauczyciele, krasnoludki starostowie, krasnoludki prokuratorzy; nedorzeczną miwam, jak widać, grę wyobraźni. (D. c. n.)

**Emil Zegadłowicz**

4)

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Teraz dopiero, ściśle mówiąc, od kwartału zaczynam pojmować, że przecież wokół naszej poczty, i wokół naszego miasteczka z przedmieściami, wsiami i przysiółkami — dzieją się jakieś przemiany, jakieś zmagania, jakieś, jak się to mówi, wielkie rzeczy.

Co?

Nie wiem.

Ale kto wie, czy z tego nie będzie wojny.

Jedną już przeżyłem.

Jaka będzie druga?

Z pozycji zakutej, zagubionej, nikomu niepotrzebnej i nikogo nie interesującej, zabitej potrójnym parkanem, prowincji — a pomiędzy tymi parkanami są głębokie rowy z gnijącą, cuchnącą wodą — z tej pozycji patrząc, z pozycji umierania na dzienne raty — to po tej pierwszej wojnie nic się właściwie nie zmieniło, zwłaszcza w człowieku i wokół niego. No, nic jak nic, ale nie wiele; nie

zmieniły się znaczki pocztowe tak samo ząbkowane i tak samo się je nalepia śliną lub gąbką, obrazki na nich są inne niż przedtem, to prawda; a treść listów, na które się je nalepia? zapewne te same smutki, miłości, wynurzenia i tragedie. Zmieniły się na pieniądzach herby i twarze, lecz przecież ich przyrodzona natura, każąca im się gromadzić w pewnych miejscach, a innych unikać pozostała niezmienną. I na powierzchni banknotów są pewne różnice; to też prawda; lecz są one minimalne. Natomiast geograficznie konfiguracja kraju uległa zmianie, powiedziałbym zasadniczej; ciężenie jest inne, np. stolica przesunęła się bardziej na północ; również i przepisy, dotyczące kroju oficjalnych szat na codzien i od święta są różne w wielu drobnych szczegółach. Cóż jeszcze? — no więc zasadnicza rzecz: emblematy i kolory, którymi wyrażamy naszą radość i nastrój uroczysty, wywieszając je z dymników domów naszych! Tak, to jest całkiem inne! — Poza tym jednak nie zmieniło się poza rzeczonymi parkanami wiele. Mówiąc szczerze: nic się nie zmieniło. Bieda, uganiaczka, otepa jest ta sama. Ludzie się tylko postarzel. Cała moja generacja jest już na tym bliższym kole wokół smętara.

Przyznam się, sobie się przyznam, gdy tak tu wcale zacisznie w tym małym pokoiku przy naftowej lampie piszę (w mieście jest elektryczność, ale tylko od wieczora, zresztą kilowat tak wyśrubowali

w cenie, że mnie to na nic, nikt też tu na przedmieściu biednym nie ma elektryczności, prócz fabryk, ale te mają przeważnie swoje motorki), że kiedyś przed laty przypuszczałem, że ta wielka wojna gruntownie wszystko zmieni, że się coś takiego stanie, że będzie jakaś wolność człowieka, jaka, tego nie umiałem powiedzieć ani nazwać, ale ja to czułem i dotąd czuję i zawsze czuć będę, a może i **wiedzieć** będę? — Medytowałem, że skończy się nie tyle bieda i udręka, ile puszenie się i wywyższanie człowieka nad człowiekiem, nieufność wzajemna ludzi, warstw i klas, że trochę radości w sercu ludzkie wejdzie, że się śruba, korba czy koło przekreśli na stronę tych, którzy wciąż tylko harują i pracują, z pracy ich wszyscy żyją i zyski ciągną, a sami pracownicy w nędzy tylko i poniewierce bytują; i jeszcze do tej odrobiny radości wracam, to mi się wydało ważne i wprost konieczne, przecież nic tak nie demoralizuje, jak brak radości i uśmiechu. My tu o tym wiemy najlepiej.

Tak sobie wtedy, któregoś dnia późnego lata przeskakując z kamienia na kamień, aby się nie uciarać w błocie, myślałem, i, pamiętam, przyjemnie mi było z tymi myślami. Wtedy też takie przymusy w mózgu odczuwałem i też takie przecucia, jak dziś; ale wtedy wydały mi się całkiem uzasadnione.

(D. c. n.).

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Ale gdy zaraz w listopadzie przed osiemnastu laty zobaczyłem (a przyszedłem rano do biura w jak najlepszej myśli, jakby w nowym przyjemnym ubraniu, i wyspany byłem, i z żołądkiem wszystko w porządku, a to w naszym siedzącym zawodzie bardzo jest ważne) w okienku — z jakimże biciem serca podnosiłem je punktualnie o godzinie ósmej—zobaczyłem te same ręce, te same, spracowane, brudne, stwardniałe, okaleczone, trzęsące się, zestrachane ręce — oho! wiedziałem już wszystko; a gdy nazajutrz i za tydzień i za miesiąc — tak samo i to samo — powiedziałem sobie: no to nie na wiele zdała się ta wojna, jeśli tak. Odrazu też wiedziałem, że zaraz zaczną się nowe zbrojenia, które znów pochłoną wszystkie siły i wszystkie pieniądze, że znów się to zacznie, to hasłowanie, że wszystko dla państwa, że nieprzyjaciel, że wróg, że siły rozkładowe, że idą czasy wielkiej — dla pracujących i biednych — surowości i abnegacji, wyścigów wszelakich, że znów myśli uśmiechnięte przewidywaniem zostaną stłamszone i żelazną maską okute jako przynoszące szkodę obronnym postawom narodów; tak to wtedy nagle na mnie i wyraziście przyszło, że ani nie wiem. Zaraz też poniosłem karę za tę moją mimowolną płochość myślenia przy okienku—pomyliłem się w wydawaniu o trzy korony dwadzieścia dwa halerze, oczywiście na moją szkodę. Nie była to wielka strata;

ale dla urzędnika każdy grosz ma znaczenie; tyle jest wydatkowych dziur, że miesiąc podobny jest do saka, rozpiętego na widelkach od pierwszego do pierwszego. Żyje się w ciągłym obliczaniu; w takich warunkach trzy korony dwadzieścia i dwa halerze mają swoje niebylejakie znaczenie; pomściło się! Krasnoludek pocziarz, zamieszkujący pudełeczko gilz „Feniks“ krótkie, drugi numer — dostał po paluszkach.

Nie mam jednak żadnej wprawy w pisaniu (— taki na przykład Kraszewski, jak jemu to sprawnie szło! i co to popisał! — chciałbym tak umieć, choć nigdy nie marzyłem o tym, aby zostać literatem, lecz teraz by mi się przydała jaka - taka umiejętność pisarska), nie mam wprawy, wszystko mi się tłoczy pod pióro, naraz się tłoczy, jak podczas paniki, gdy się np. teatr lub kino pali. Ale bo też jest we mnie coś z takiej paniki: dziś rano, zaraz po obudzeniu się, tak pomyślałem: cała Europa — a może cały świat? — pali się, a dwoma bramami — bo tylko dwie bramy są — tłoczy się przerażona ludzkość. — Tak mnie ta myśl zaskoczyła i przejęła, że machinalnie wstałem i zacząłem się ubierać, a miałem jeszcze zamiar poleżeć trochę. Spostrzegłem się dopiero, gdy zauważyłem, że stoję w oknie ze spodniami w rękę i drzę z zimna.

Czasem mi się zdaje, że ja nie mam dobrze w głowie. Choćby i z tą paniką! Europa! Świat! — Ale to daleko, bardzo daleko! — Tu nic podobnego dzieć by się nie mogło — bo tu się nic nie dzieje, tu wypełnia się zaganiane, obojętne, nic nie znaczące dni pomiędzy urodzeniem a śmiercią: sypie się piasek, dopóki się wór nie wypróżni; a wszyscy w tym piasku grzęźniemy.

Zrobiło mi się bardzo smutno; dość już na dzisiaj tego pisania.

(Tylko to jeszcze (dla pamięci i skrupulatności):

rozpocząłem to pisanie... pamiętnika?, historii zdarzeń? — czy ja wiem! zapewne wysypuje i ja mój wór piasku — w zeszytce o pięknej zielonej okładzinie, odcień tej zieleni jest bardzo przyjemny; papier wewnątrz miły w dotyku, gładki; linijki — liniowany jest papier — blade niebieskie; różowa bibuła wsysa atrament dobrze, co jest pewną rzadkością, te bibuły dodawne do zeszytów są zazwyczaj do niczego. Kupiłem go w rynku, ten brulion, w składzie papieru Melchiora Załaja — to stara firma, to już trzecie pokolenie Załajów, i na jednym miejscu! — za 45 groszy (razem z tą różową, dobrą bibułą; nawet nie drogo!). Kupiłem go więc u starego z dziada pradziada Wądołowiczana z urodzenia i, jeśli tak można powiedzieć, z przyzwyczajenia, zdaje mi się, że to się nazywa: cechy etniczne; lecz nie wiem na pewno.

Bo to przecież i ja jestem Wądołowiczaniem z urodzenia, przekonania, przynależności i, czasem tylko zachwianej, lecz głębokiej wiary w rozwój rodzinnego miasta, które ma wszystkie dane istnienia jeszcze kilka tysięcy lat co najmniej; najgorzej jest ustalić się miastu, potem to już idzie. Wądołów był wiele setek lat wsią zanim wywalczył sobie przywileje miasta, należał raz do Księstwa Mściławskiego, to znów do Przetockiego (też księstwo), aż wreszcie ustalił swoją niezależność; przechodzili przez niego Szwedzi może i Tatarzy; w każdym razie historyczne miasto — to znaczy: ma swoją historię; i w każdym razie teraz może istnieć spokojnie kilka tysięcy lat a może i więcej; ileż w takim razie możliwości, ile czarownych zdarzeń? ile głębokich przemian czeka nas i potomstwo nasze (ja go nie mam, ale inni)? — to piękna myśl; i nie czuć w niej paniki.

(D. c. n.).

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Mówię o tym bezstronnie i bezinteresownie, boć przecież od dzieciństwa mieszkam na przedmieściu, a nie w śródmieściu Wądołowa — miałbym więc uzasadnione powody do niezadowolenia, a nawet rozżalenia, a przecież nie żalę się; wcale się nie żalę; przeciwnie, mam miłość (do mego rodzinnego miasta), wiarę (w jego rozwój cywilizacyjny i kulturalny) nadzieję (że w przemienieniu się kiedyś na Wądołów Wielki — jak to pięknie brzmi: Wądołów Wielki — nawet miło popatrzeć na to szynkowe połączenie: Wądołów Wielki — czuję, jak niejeden, z młodych Wądołowiczów powiedziałby: „fason nie?” — mam więc tę nadzieję, że w przemienieniu się kiedyś na Wądołów Wielki — oderwać się nie mogę od tych słów! — i przedmieście Kopyniówka zostanie wciągnięta w ściślejszy obręb miasta tak, jak swego czasu Podgórze do Krakowa, albo Praga do Warszawy, o czym nas historia poucza); mając — widziałem kiedyś taki brelok weneckiej roboty, to się nazywa mozaika, przedstawiający serce, kotwicę i krzyż, to była bardzo ładna robota — mając więc miłość, wiarę, nadzieję — posiadam to wszystko, czego potrzeba szaremu człowiekowi poza, oczywiście, emeryturą, aby żyć życiem wyższym, idealniejszym, życiem na miarę człowieka, któremu naczelnik poczty lub jego zastępca zaszkodzić nie

może. Emerytury chyba już nie obetną; jest mała, krągła i gładka — żadnych już chropowatości niebezpiecznych nie wykazuje, jest już dokładnie ogolona, jak ów agrest, który udaje winogrono.

O, gdybym umiał pisać (jak np. Kraszewski) powiedziałbym coś teraz, taką aluzję dowcipną bym zrobił o kwaśnych winogronach; tak samo, gdy mówiłem o szarym człowieku, koniecznie chciałem zahaczyć o szarą maść. Nie zrobiłem tego, bo nie potrafię. Musi mi wystarczyć suche zanotowanie.

### ROZDZIAŁ CZWARTY.

Coś tu trzeba, najwyższy czas, o sobie powiedzieć, czyli skreślić tak zwaną genealogię, to jest historię rodu. Nie przypuszczam, aby się ktokolwiek i kiedykolwiek zainteresował tymi gryzmołami — mam na myśli styl nie kaligrafię, pismo bowiem mam równe, nawet ładne, lubuję się w równym stawianiu liter, — ale na wypadek gdyby, nie chce uchodzić za anonima, jak owi przepisywacze rękopisów w średniowieczu.

Nazywam się Zydel, Jan w Oleju Zydel, kawaler; mówią: przystojny; szatyn, twarz proporcjonalna, wzrost 169 (sto sześćdziesiąt dziewięć) centymetrów; waga, (bez ubrania) 71 (siedemdziesiąt jeden) kilogramów; kości jestem grubej, więc, chociaż jestem raczej chudy, wagę stosunkowo dość dużo.

Z rodziny pochodzę długowiecznej; tak na przykład dziadek mój świętej pamięci Antoni Jan w Oleju Zydel, żył 96 (dziewięćdziesiąt sześć) lat, świętej pamięci ojciec Jan (Chrzciel) Kazimierz, który umarł sześć lat temu, przypadkowo zresztą, wpadł do otwartej piwnicy, tego typu, co to zazwyczaj w sieni, otwierane z góry, ciemno było, nie spo-

strzegł się, wpadł i zabił się, niezawodnie byłby jeszcze pożył, miał lat 88 (osiemdziesiąt osiem); babka po stronie matki dożyła 101 (sto jeden) lat, a matka moja już ósmy krzyżyk na karku i wcale krzepko się trzyma; widzi doskonale, nawet przy czytaniu psalmów, co prawda w jej książce do nabożeństwa litery są duże i tłuste, okularów nie używa; umie te psalmy na pamięć, to też prawda, ale zawsze.

Jak z tych kilku powyższych dat widać, rodzice pobrali się w wieku późniejszym, niż to zwykło się dziać; na co tak długo czekali niewiadomym mi jest (to jakiś sztuczny zwrot, lepiejby było napisać: nie wiem; tak mi się zdaje), jak bowiem niejednokrotnie słyszałem, kochali się od młodości prawie. Coś im widać przeszkadzało, albo poprostu, zwyczajem tu byłych czekali na coś (odziedziczenie, dorobek własny, meble i t. d.); matki nie ma się co pytać, gdy tę sprawę, interesującą mnie, kiedyś poruszyłem, powiedziała mi: — idź że idź, cymbale, głupstwa się ciebie tylko trzymają.

Zaprzestałem więc pytać.

Zapomniałem dodać, że jestem jedynakiem; miałem ponoć siostrę, która jednak urodziła się i umarła przed moim przyjściem na świat.

Ojciec mój, zanim się dorobił tego domku, w którym mieszkam, na przedmieściu, które raczej jest wsią, tyle, że ma kilka krzyżujących się dróg, zwanych ulicami, — domku i sadu sporego, bo przeszło półtoramorgowej powierzchni, z którego umiał wcale pokaźne ciągnąć zyski — był przez dziesiątki lat szewcem, takim flikerskim od łąt i przyszczypków, gdy się to, dajmy na to, podeszwa rozkleja, czyli „rozdziawia”, język oberwie, obcasy zetną po jednej stronie, lub dziury pokażą koło kapek, co jest wypadkiem częstym i pospolitym.

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Ojciec mój mieszkał bliżej, o znacznie, znacznie bliżej śródmieścia, niż ja; wtedy gdy oddawał się swej wziętej i peszukiwanej specjalności -- mieszkał przy jednej z głównych ulic, zwanej wtedy (i dziś) Kozią; to znaczy nie całkiem przy niej, lecz w bocznicę, którą tworzyły cztery domki; za czwartym był płot, a za płotem już pola, a że te pola szły pod strome zbocze, więc zaraz, tuż, niejako na wyciągu ręki była ta linia, na której łączy się ziemia z niebem. W takim kącie właśnie, doprawdy na końcu świata mieszkał mój ojciec w małej, odnajętej też od szewskiej rodziny Kozłów, izdebce.

Po wielu latach, z których każdy rok jest jak olbrzymi but czasu wylatany solidnie przyszczypkami, okapowany, z wyrównanym obcasem -- kupił mój ojciec od spadkobierców ostatniego Kozła ten domek, pomieszkawszy w nim jakiś czas, znów go potem sprzedał, a wreszcie przeniósł się na Kopyniówkę -- tak zwie się nasze przedmieście; sądzę, że pociągnął ojca w te strony sad; bo cóżby innego? -- ojciec lubił drzewa owocowe, cieszył się nimi, w ich cieniu, siedząc na trójnożnym, wklęsłym jak niecka szewskim zydlu (tu pewno rodowód na-

szego nazwiska) umacniał kołeczkami podeszwy, białymi, zgrabnymi kołeczkami, które kupował wprost w kołczarni, czyli w fabryce kółków, jednej z czterech fabryk naszego osiedla. Wiosną brzęczały nad jego łysą, dookoła promieniami włosów okoloną, głową, pszczoły, a różowe i białe płatki jabłoni -- pod starą, rozległą papierówką najchętniej siadał -- opadały mu na ciemię, ramiona i ręce poczerwiałe smołą i dratwą zgrubiałe; czasem wpadały do wnętrza trzewików, butów, kamaszy i sandałów, otaczających go jak młode przywarowane pieski. Najładniej jednak było wtedy, gdy wiew nastręcał tych kwiatowych płatków dużo na wieniec rozwianych włosów ojcowych; wydawał się wtedy mój stary, jakiś weselszy, odmieniony. Takim pozostał w przyjemnej pamięci.

Tam w tym zaułku bezimiennym, bocznicę ulicy Koziej mieszkali prócz nas -- w dół licząc -- zaci Dzielikowie, zasobni Sternalowie i gniewni Filowie; a ten właśnie czwarty, ostatni na świecie tym domek, to był ten dawniej Kozła, a później Jana (Chrzyciela) Kazimierza Zydla, świętej pamięci rodziciela mego.

Ojciec mój pochodził z rodziny „łaciarzy”, tak zwie się tu ogólnie stan małomieszczański, bez względu na zajęcie, jakiemu się kto oddaje; niemniej wolno przypuszczać, że nazwa ta łączy się z zajęciem szewskim, które, widać, było tu, jak to się mówi, nagminne. Z takiej to rodziny od wieków w Wądołowie zasiedziały wywodzimy się.

Archiwariusz naszego miasta, dawno już emerytowany sekretarz magistratu, Konstanty Werk, wykazał na podstawie, z trudem odcyfrowanych dokumentów (część ich była uszkodzona dawnymi pożarami

i zaciekami), że już w szesnastym wieku zajmowali się Zydłowie szewstwem. Bardzo się tym odkryciem ucieszyłem. Gdy się o tym dowiedziałem, przyszła mi zaraz taka ogólna myśl do głowy, że przecież wszyscy ludzie na świecie musieli mieć przodków w szesnastym wieku, a nawet dawniej -- choć nie wszyscy musieli mieszkać w Wądołowie; i to na różni. Przy dobrej woli wszyscy ludzie mogliby się z sobą dogadać; tak przynajmniej myślę. I ci z Wądołowa i ci z kądinąd. Bogaczów jedynie należałoby z takiego porozumienia wykluczyć, to są ludzie zli i na nic nie czekający, a nawet lękający się wyczekiwania istniejącego u innych; i tego właśnie nie lubię; ja wciąż na coś czekam.

Ród Zydłów jest, a raczej był, bo prócz mojej matki i mnie nie ma już nikogo tego nazwiska, tylko nagrobki zostały ozdobione tym autorstwem, jak książki, którym zostały tylko okładki, a kartki z wewnątrz wydarto -- otóż ród Zydłów był rodem w całym słowa tego znaczeniu zacnym i pobożnym, wszyscy zawsze należeli do bractwa różańcowego lub bractwa od nagłej i niespodziewanej śmierci. To szło z ojca na syna; i dopiero na mnie utknęło. Mnie się to zawsze wydawało za smutne i za ponure. I tak życie jest ciężkie.

Z również szlachetnego gniazda wywodzi się matka moja Agnieszka z Sternalów Zydłowa. Sternalowie byli naszymi najbliższymi sąsiadami; z dziada pradziada zajmowali się powroźnictwem. Ładny to fach i przyjemny; te szpagaty, sznury, powrozy, liny -- to bardzo wszystkie miłe, pożyteczne i takie jakby długie zajęcia; długowieczne; a ja to lubię; to mam we krwi.

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Sternalowie byli spowinowaceni z Łomzikami — stąd, przez to małżeństwo szczęśliwe moich rodziców spokrewniliśmy się ze sławną zegarmistrzowską rodziną Wądołowa.

Mnie jako byłemu urzędnikowi pocztowemu to pokrewieństwo wyszło tylko na dobre; tak zegarek kieszonkowy jakoteż i budzik szły u mnie na włos, w specjalnie dokładne wyregulowanie moich czasomierzy wkładała firma Łomzik i Syn poprostu duszę całą; mawiali: to dla naszego krewniaka urzędnika pocztowego, to musi być tip-top. Tak też zawsze było. Dzisiaj już nie dbam o to. Spóźnianie zegara mnie irytuje, a jeśli sobie śpieszy, niech się śpieszy. Chętnie też posuwam na moich zegarach — tym kieszonkowym i budziku — wskazówki, w ten sposób mam czas wcześniejszy niż wszyscy.

Pradziadowie moi, bo i to należy wspomnieć, byli ludźmi wcale zamożnymi. W połowie osiemnastego wieku, jak tego dowiódł, wzwyż wzmiankowany nasz archiwariusz Konstanty Werk na podstawie zapisów tabuli i katastrów, Wincenty

Zydel, ożeniony z Zenobią z Kudasów primo voto Grudniewiczową — skupił w swoim zabiegliwym ręku prawie wszystkie parcele, oraz kilka domów i zagród ulicy Koziej; była to wtedy, co prawda to prawda, ulica nie tak rozbudowana jak obecnie; dziś stoi tu dom przy domie, piękne, spore, partorowe domy z cegły, tynkowane gładko rajbetką, względnie szorstko „od kielni”; rzadko już który z drzewa; a wszystko kryte papą, solidnie, elegancko.

Rozbudowało się miasto; z tego też powodu druga fabryka naszego osiedla, fabryka papy — prosperuje dobrze.

Niegdyś, jak wiem z opowiadań mojej babki — stało przy ulicy Koziej jakieś osiem, dziewięć domów, przeważnie drewnianych, gontami krytych; istotnie „przeważnie” — bo tylko jeden był mурwany i to z kamienia; w takich domach jest zimno, kamienie, tego zwłaszcza gatunku, jaki się u nas przydarza, t. j. zlepieniec gruboziarnisty, „pocą się” i przemarzają, jak się to mówi, na durch. Marzył też w nim jego niegdysiejszy właściciel, hycel wądołowski, Kacper Tuk. Po rozbudowie ulicy, musiał się rakarz miejski przenieść gdzie indziej; wycie psów mierzilo ludzi. Syn jego zamieszkał również na Kopyniówce, w zaroślach wiklinowych, tuż nad brzegiem rzeki. Rozpaczliwe wycie nieszczęśliwych psów oto, że tak powiem akompaniament naszych marzeń sennych. W nocy bowiem tego wycia najwięcej. Rzadko się też zdarzy jakiś miły sen na Kopyniówce. Nic w tym dziwnego.

Dzięki babce mojej, wychowałem się, wolno mi

tak to określić, w atmosferze poezji. Umiała i lubiała opowiadać. Zasób jej bajek i gawęd był olbrzymi. Może je kiedyś spiszę, mam je dość świeżo w pamięci. Byłby to więc jakiś np. „Bajarz Wądołowski” lub coś w tym rodzaju; — a że u nas istnieje wcale pokaźna drukarnia tego właśnie, wspomnianego przemennie z okazji kupna zeszytu niniejszego, właściciela księgarni Melchiora Załaja, będąca własnością — możnaby ten zbiór baśni, klechd i opowiadań wydrukować i ładnie i tanio w serii druków straganowych, którymi załajowska drukarnia specjalnie się szczyci, bijąc ilością ich i jakością na lew i szyję Fajcingerów, Mołędów, Himelblauów, Jeleni i Kurdysów, tych parycjuszy wydawnictw i odpustowego kolportażu druków straganowych. Ale załajowe są lepsze i ładniejsze. — Spisawszy baśnie, wyszedłbym na dzielnego literata, a to dzięki babce mojej oraz tej, już polityczno - państwowej okoliczności, że jako emeryt mam masę wolnego czasu, z którym doprawdy nie bardzo wiem co począć, a zachwalane przez jednych, ganione przez drugich zabijanie czasu wydaje mi się nie tylko takim samym zabójstwem, jak każde inne, ale wprost samobójstwem — zabijając czas, zabijamy siebie samych zanurzonych w nim jak węgorze w mulnej wodzie; czas nie wiele sobie robi z zabijania go; sądzę, że z równym skutkiem możnaby orać i bronować jezioro lub morze.

Tutaj tylko wspomnę, i to tak mimochodem, o tych osobliwościach, które dotyczą naszej dawnej ulicy; owych lat, gdy byłem qbywatelem bliskim śródmieścia.

**Emil Zegadłowicz**

9)

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Otóż opowiadała babka, często opowiadała, że w obszernej piwnicy naszego domu mieszkał olbrzymi wąż, który w oznaczonych porach — zjawiał się w izbie warszackiej na ciepłe mleko; miał swoją miseczkę blisko progu, i tam mu to mleko dawano; jak kotowi. Razu pewnego zaszła babka do piwnicy po denko od stągwi i zobaczyła jakąś migotliwą światłość — przeżegnała się nabożnie i bystro w tę stronę, skąd się ta światłość wyjaśniała, spojrzała — a tu na płycie kamiennej — nikt nigdy na tę płytę nie zwracał uwagi — leży zwinięty w kłęb ten wąż, głowę ma wyprostowaną, a na niej śliczną małeńką, świecąca, jak gwiazda, koronę. Gdy się babka do niego zbliżyła — nie odczuła, jak mówiła, strachu zupełnie — rozbłysnął silniej, przygasnął i znikł; nigdy się już więcej nie pokazał u nas. Szukano zaraz pod tą płytą, lecz nie znaleziono spodziewanego skarbu; roje stonóg były pod nią; co też jest dobrze, bo stonogi, jak zwykło się u nas ogólnie wierzyć, sprowadzają dobrobyt; są też niezbitym dowodem, że w domu, w którym chętnie przebywają jest wilgoć; stonogi suchych miejsc unikają.

Innym razem w ogrodzie Sternalów zaczęły się nocami pokazywać ogniki żółte i niebieskawe, raz tylko żółte, innym razem tylko niebieskawe, to wre-

szcie oba razem; z początku rzadko, później coraz częściej; wszystkich to zastanowiło i zaniepokoiło. Stary powroźnik Sternal przekopał całą łączkę pod orzechem włoskim — tam bowiem pojawiały się te płomyki najczęściej w obu kolorach — lecz nic nie znalazł; nazajutrz po tym przekopaniu znaleziono pod orzechem włoskim kilka miedzianych pieniążków z czasów Marii Teresy. Sąsiedzi radzili kopać dalej; istotnie zabrano się do tego z energią; nie odkryto jednak niczego prócz kilku czerepów glinianych naczyń, wśród których babka moja rozpoznała szczątki dzbana z zieloną polewą, który przez długie lata służył w domu jako naczynie, do którego łapano deszczówkę. Odnoszę wrażenie, że w tej całej historii zanosilo się na coś, lecz nic z tego nie wyszło; to pasuje do Wądołowa. Na Kopyniówce nawet się nie zanosilo na nic.

Osobliwsze jednak od tych dwu przytoczonych zdarzeń wydaje mi się następujące:

brat babki Benedykt zwiedzał, jako żołnierz stacjonowany w Fluchtburgu, starożytnym mieście jednej z południowych prowincji Austrii Dolnej podziemia tamtejszego kościoła parafialnego, sławnej gotyckiej katedry.

Nawiasem dodam, że przywiózł z tamtąd sporo obrazków, mówił, że to się nazywa „sztychy” i że to ma dużą wartość, również i fotografie lśniące, różowego koloru, bardzo ostre i nieprzyjemnie lśniące, takich fotografii już się dziś nie spotyka, jedynie stary Dyp, odwieczny fotograf wądołowski robi jeszcze takie, ale nikt się też chętnie u niego nie daje „zdejnować”, chyba z nagłego musu, przy zmianie legitymacji urzędniczej, czasem „młodzi państwo” z odleglejszych wsi; otóż tych „sztychów” i fotografii nie pokazywano mi przez długi czas; na

moje nalegania odpowiadano mi, że mam jeszcze „mleko pod nosem” i t. p. Dopiero, gdy już byłem na posadzie dostały się w moje ręce; istotnie nie dziwię się, że je przede mną ukrywano; były to rysunki („sztychy”) i zdjęcia fragmentów rzeźb, którymi ozdobiony był portal i wieże katedry w Fluchtburgu; były one tak wyuzdane i nieprzyzwoite, że aż dziw bierze, skąd ludziom takie pomysły do głowy przychodzą. Najbardziej jednak zdumiewał mnie taki fakt — o rzetelności „sztychów” można by wątpić, zawsze to „sztuka” i można zostać nabranym, ale fotografia jest fotografią, soczewka oddaje to co widzi, jakże różnie np. od ludzkiego oka!, że te wszystkie bezceństwa zdobiły dom boży! Taka dajmy na to scena szatana z zakonnica, albo wyobrażenia grzechów głównych, płaskorzeźba, wyobrażająca przekroczenia szóstego przykazania — to były tak strasznie podniecające wyobrażenia wizerunki, że... nie! nawet się nie silę na oddanie tych wszystkich myśli, uczuć i podburzeń, jakie one we mnie wzbudziły. To jedno wiem na pewno, że gdyby takie ohydy znajdowały się — co zresztą uznać należy za zupełnie niemożliwe — na kościele parafialnym w Wądołowie — kazałby je nasz proboszcz niewątpliwie zedrzeć ze ścian i potłuc tak, jak się tłucze kamienie na wysypywanie gościńców. U nas nie wolno kobietom, a nawet dziewczynom wchodzić do kościoła bez długich po dłonie rękawów. Ileż to razy widziałem u naszej krawcowej p. Jadzi, jak do bluzek o krótkich rękawach przyszywano zatrzaski, do których przymocowano długie rękawy na czas pójścia do kościoła, potem odpina się je i chowa do torebki, gdy się np. idzie na spacer lub gdzie indziej.

(D. c. n.).



# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Tak, tak — nasz proboszcz, którego ogólnie — folgując wysmiewności ułomnej natury ludzkiej — nazywają tutaj „białym szczurem”, jako że jest nalany i ma mączastą cerę, a z poza złotych okularów patrzy z tej pulchnej twarzy oczka prędkie i chytne — o, tak — onby nie zniósł takich bezceństw rzeźbionych — wierzyć się po prostu nie chce — w epoce najbujniejszego rozkwitu żarliwości religijnej. Jakies inne były czary, inni ludzie, no i nie działało się to w Wądołowie!

brata mojej babki Benedykta. Otów zwiedzając, jak rzekłem, podziemia katedry, dotarł był do jakiejś, na uboczu znajdującej się, rozległej grotty, w której znajdowało się dużo kościotrupów porozsypywanych i zgarniętych na kupę; nie przynależące do siebie piszczele, czaszki, żebra, golenie, wały się pospołu z rumowiskiem i pyłem; bardzo to było nieprzyjemne, mawiał „zimny dziadek” Benedykt; i ja tak sam o myślę; poza tym nie lubię nieporządku. Pośród tych rumowisk, czy jak to nazwać, znajdował się jeden kościotrup — w wąskiej budowie — rzecz by można szczupły; stał oparty o ścianę w tej pozycji, jak to w prowincjonalnych miasteczkach spotkać można w skwarne letnie południe, gdy to różni włóczędzy, rataje, pomocnicy rzeźniccy wspierają plecami mury propinacji, wysunawszy nogi aż na środek trotuaru, tak, że mijając ich, trzeba iść samym krajuśkiem. przy czym często stana ześlizgnię się z krawężnika i wpada do rynsztoku — wtedy brudna woda opryskująca nam skarpetki i nogawice, wywoływać zwykła gniew oraz rozdrażnienie, czasem nawet myśli pesymistyczne. Otóż w takiej to mniej więcej pozycji oparty był ów wąty, samotny kościotrup, gdy gefrejter Benedykt, gefrejterem już wtedy był, przechodzą mimo, sięgnął — jak mówił — mimowoli do szczęki tego kościaka, a przekonawszy się, że zęby — śliczne i równe — tkwią w niejako uśmiechniętej paszczęce luźno — nie wiele myśląc, wyjął jeden i zabrał go z sobą na pamiątkę.

No i nic; nawet zapomniał o tem zdarzeniu; wreszcie przy przenoszeniu się do innej miejscowości, zagubił gdzieś ten ząb, w czym nie ma nic dziwnego, jest to bowiem przedmiot nieduży.

Minęło kilka miesięcy — aż tu zaczynają Bene-

dykta nachodzi i trapić sny osobliwe, uparte i jednostrajne. Oto zjawiała się mu w widzeniu sennym śliczna kobieta — zbliżająca się do niego jakby z błękitnawej mgły — nachylała się nad nim — patrzyła na niego groźnie i żałośnie; z początku nie mówiła nic — później coraz częściej i stanowczo zaczęła przemawiać, i zawsze tylko to jedno krótkie zdanie: oddaj mi ząb! oddaj mi ząb! — przy czym ręką zasłaniała usta.

Benedykta, który już w międzyczasie awansował na zugsfirera, to był jeden ze zdolniejszych ludzi w naszej rodzinie, obrotny, wygadany, obyty, zaczęły te sny niepokoić i denerwować; doszło do tego, że bał się nocy i z trudem zasypiał, on, który zawsze cieszył się dobrym snem, a jego chrapanie było nawet sławne na całej ulicy Koziej i w ogóle w Wądołowie; sławę tę, tak mniemam poniósł z sobą do wielu miast, w których podczas swej szybkiej kariery wojskowej wypadło mu przebywać; dziadek Benedykt nie zwykł światła kryć pod kocem. — Lecz teraz naszły nań ciężkie czasy złych snów, których ani od siebie odgonić nie umiał, ani się do nich przyzwyczaić. — Z pewną łatwością domyślił się, że ta zjawia, to jest właścicielka tego kościotrupa, któremu w podziemiach katedry w Fluchtburgu zabrał nieoględnie ząb. Począł go znów gorączkowo szukać; przetrząsnął cały kuferek, przetrzepywał chusteczki do nosa, onuce, ubrania; wywracał wszystkie kieszenie, lecz prócz „kumetów”, czyli pokurczonych koniuszków kręconych papierosów, przechowywanych, po zagaszeniu poślinionymi palcami, na „czarną godzinę” niczego nie znalazł. Zęba nie było; kamień a woda.

(D. c. n.)

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Tymczasem sny stawały się coraz natarczywsze; aż też dnia któregoś zjawiała się śniona kobieta — mówię dnia, bo zmęczony zugsfirer Benedykt zasnął był w godzinach popołudniowych w ubraniu — zjawiała się groźniejsza i tragiczniejsza, niejako bardziej wymagająca niż zazwyczaj; oddaj mi, żołnierzu, ząb! krzyknęła; przyczem po raz pierwszy odsoniła w ferworze usta — w pięknym użębieniu brak było w górnej szczęce jednego zęba; to był ząb przedni — dodawał zawsze dziadek Benedykt, opowiadając to zdarzenie — i to, mawiał, tłumaczy wiele; może nie byłoby się stało to, co się stało, gdyby to był ząb trzonowy, niewidoczny; kobiety żywe i umarłe są jednakie, dodawał sentencjonalnie; — tak więc zaniepokoiła popołudniowy sen tym krzykiem: oddaj mi, żołnierzu, ząb! — a gdy c. k. zugsfirer właśnie otworzył usta, by wytłumaczyć się, przeprosić za swój nieopatrzny i nieoględny czyn, powiedzieć, że go, niestety, zgubił i że za to też przeprosza — to strzyga weredna sięgnęła gwałtownie drapiezną ręką w jego rozwarte usta i uchwyciwszy jeden z zębów silnie za koronę, szarpnęła nim, aż w szczęce chrupnęło, i wyrwała mu go.

Benedykt zbudził się pełen bólu i przerażenia. Zęba istotnie w szczęce nie było; została po nim szczer-

ba jak w płocie, gdy wyrwiemy zeń jedną sztachetę. Gdy sobie odtwarzał w pamięci wszystkie okoliczności z tym bądź co bądź dziwnym zdarzeniem związane — przekonał się, że akuratnie w rocznicę swego w owych podziemiach czynu lekkomyślnego, w rocznicę i godzinę też samą — to się również popołudniu działo — przyszła ta kobieta z zamiarami rewindykacyjnymi, które też w pełni wprowadziła w życie.

I ząb był ten sam, t. zn. przedni tuż przed siekaczem. „Tylko mi to dziwno — kończył zazwyczaj swe opowiadanie Benedykt — co ona z nim zrobiła, przecież to był znacznie większy ząb” — sentencjonalnie, za co go zawsze podziwiałem, niejako machnął słowem: „już tam ona sobie dała radę, spryt kobiet jest nieograniczony”.

Niestety w całej tej osobliwej sprawie musiałem zdać się w zupełności na wywody dziadka Benedykta; wśród pięknego i równego grenadierskiego rzędu zębów brak było istotnie jednego; lecz przecież przyczyny utraty zęba bywają rozmaite; — z drugiej jednak strony trudno nie wierzyć człowiekowi starszemu, ze wszech miar godnemu i tak wybitnemu członkowi rodziny, jakim był niezawodnie dziad Benedykt c. k. feldfelbel — do takiej bowiem doszedł godności dzięki wiernej służbie dla państwa, które było dla niego zawsze suprema lex, w czym stawiano go nam za wzór, podkreślając sutą emeryturę, jakiej się dosłużył.

Takimi i to i tempodobnymi zdarzeniami karmiła się moja młodość.

Gdyby ktoś powiedział, że te, opowiadania, to znaczą treść ich — a było ich tyle, żeby tego na woltowej skórze nie spisał — są nieprawdą — odrzekłbym mu: — może są nieprawdą, lecz napewno nie

są kłamstwem; są po prostu snami na jawie, czyż nie czymś, za czym tęsknię wciąż.

Życie moje nie obfituje w ciekawe zdarzenia, właściwie to nie ma w nim żadnych zdarzeń; jakież-bowiem można mieć zdarzenia, siedząc przez dwadzieścia pięć lat za okienkiem pocztowym; za okienkiem podnoszonym do góry? za okienkiem przez które widać brudny, ciemny kurytarz rojący się rękami, które swe głowy włączają niecierpliwie w prostokątny otwór w ścianie, żadne wieści, pieniędzy i paczek żywnościowych; czasem potwierdzenia miłości. A czy w tym wszystkim niema kłamstw więcej niż w najbardziej niewiarygodnej baśni?

Tym bardziej też żyłem i żyję wyobrażaniem sobie — jakby to powiedzieć? — drugiej strony najpospolitszej powszedniości; tak samo również patrzę na ludzi; z kimkolwiek się spotykam, z kimkolwiek mówię — zawsze dopatruję się po za jego zwyczajnym obliczem drugiego, odmiennego, wprost kontrastującego, za każdym powiedzeniem węższą inną, odmienną, jakoby dalszą i właściwszą treść. Przez lata mego monotonnego życia nauczyłem się traktować ludzi jako jestestwa niewłaściwe i ich powiedzenia również za niewłaściwe uważam. Sądząc po sobie — dopatruję się w myślach ludzkich zarzewia nurtującej nas bez przerwy buntowniczości; w myślach, oczywiście, utajonych.

Może to wszystko, cały ten galimatias, z którym nie umiem sobie dać rady, skłonił mnie do zapisywania kart tego zeszytu, kupionego u Melchiora Załaja? — możliwe. I to pytanie: czy pióro moje ślizgające się gładko po lśniącej powierzchni papieru — nie ślizga się równocześnie po powierzchni kłamstwa?

(D. c. n.).

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Jedno dla mnie jest jasne. najsilniejszym bodźcem — to nie ulega wątpliwości — właściwą, i jak dotychczas jedyną wartością mego życia, to znacząca dla której warto było żyć i, co ważniejsze, która daje mi poczucie potrzeby życia — to spotkanie na mojej drodze, odśrodkowej w pragnieniu a dośrodkowej w praktyce, człowieka, ziszczającego i skupiającego, w moim przynajmniej przeświadczeniu wszystko: piękno, niefrasobliwość, poezję, czar osobowości i osobliwości, baśniowość realną, nowość wszelką, oraz to czego nie ośmieliłbym się nikomu powiedzieć: radykalizm, prometeizm, kontrowersję, buntowniczość, a przede wszystkim, przede wszystkim: fantazję, fantazję, fantazję!

Gdyby mnie nic w życiu nie spotkało, prócz tego, że danem mi było znać i przyjaźnić się z tym człowiekiem — to już byłoby dosyć; aż nadto!

W tej chwili widzę to jasno i najwyraźniej, że właściwie całe życie moje jest poświęcone admiracji i adoracji mojego przyjaciela (bo jakimże innym

słowem mam określić mój stosunek do tego wspaniałego człowieka). Od lat patrzę jego oczami i dostrzegam nimi więcej niż własnymi; tak też i przez jego w moich uszach słuch przesiewają się dźwięki wzbogacone tym podwójnym odbiorem; kieruje się jego zmysłami, myślę jego myślami, czuję jego uczuciami. A myśli jego są bujne i rozrośnięte, sięgają daleko poza Wądołów, poza powiat, poza województwo; są jak rozłożyste drzewo, którego zasięgu owocujących gałęzi nie krępują płoty. Uczucia jego są gorące, życzliwe wszelkiej odmianie; niezwykajny człowiek. Gdyby chciał mógłby z łatwością zostać naczelnikiem poczty, większej niż wądołowska, mógłby też i dyrektorem gimnazjum zostać czemu nie, albo starostą, czy czymś takim; wszystkim! — Nie chciał! — wolał być bezpiecznym wisuśsem i niepanoszącym się lekkomyślnikiem.

Tak! inny! taki nie z tego wądołowskiego świata! — Ileż razy, gdy mi nazbyt życie dopiekło jak za ciasny trzewik, gdy mnie już tak ścisnęło, że mi łzy z oczu płynęły — ratowałem się myślą: patrz, Jasiu, przecież i on jest wądołowiczanie! — To mnie uspakajało! dodawało otuchy! ośmielało i przekonywało, że przecież nie wszystko stracone! że może i dla mnie....

Równe dziesięć lat mija jak go nie wiazałem. Ścisłe: dziesięć lat i miesiąc; bo to było w kwietniu owego roku tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego, a teraz mamy maj trzydziestego szóstego.

Szmat czasu!

Dochodziły mnie wieści o nim rozmaite, to, że przez jakiś okres prowadził teatr objazdowy — cóż to musiał być za teatr! on — taki artysta, taki we wszystkim artysta! — a jak ja lubię teatr! — u nas nawet amatorskiego niema! — to znów, że jakąś akcję odczytową zorganizował, lecz nie mogłem się dowiedzieć jaką; nigdy nie chciał być na widoku na oczach wszystkich; był dyskretny; lubił żyć w cieniu, w swoim cieniu, bo w czymże by — nie ma cienia na jego miarę. — Umiał też wspaniale dawać nura w przestrzeń i w czas — długo wytrzymał pod wodą i wypływał, gdzie się go najmniej spodziewano.

Pisać nie lubił; nie lubił pisać listów; przeto też cokolwiek wiem, wiem tylko ze słuchu, z plotek i z domniemania.

Ale to może i lepiej.

Przez tych dziesięć lat i jeden miesiąc urósł w mojej świadomości do rozmiarów sędziego i sprawdzianu.

Setki razy w epoce tej rozstania — ba! codziennie — przy każdej wątpliwości, a ileż ich życie nastęcza! masę! — przy każdej śmielszej myśli pytam się: co on by na to powiedział? jakby się zachował? jakby zareagował? — I zaraz znachodzę najtrafniejszą odpowiedź, najlepsze wyjście z sytuacji, najkonkretniejszy sposób postępowania.

Nie ma go — lecz jest!

Po prostu zawdzięczam mu wszystko!

Jemu: Rudolfowi Istinkowski

(D. c. n.).

## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

## ROZDZIAŁ PIĄTY.

Kopyniówka — tak zwie się przedmieście Wądołowa, położone na południe od miasta — jest osadą złożoną z kilkudziesięciu nieregularnie rozrzuconych domów, przeważnie drewnianych, niskich, potulnych, po prostu chłopskich.

Tu mieszkam wraz z matką.

Domek nasz, podobny do innych — jak i system życia tujejszego podobny jest jeden do drugiego, jak nawet i twarze, ruchy, sposoby wyrażania się — jest nieco czystszy i ochędźniejszy dzięki opiece, pamiętliwości i pracowitości matki mojej, która go od wielkanocnych tygodni począwszy co jakiś czas czyści, szoruje, bieli, a od dołu na jakiś metr pociąga wapnem z sadzami, co tworzy ciemno popielaty pas przez co reszta ścian tym bielsza się wydaje.

Struktura domku jest zwyczajna; więc najpierw to, że jest z drzewa na podmurówce, która właśnie jest tym ciemnym pasem od dołu; na niej spoczywają obciosane tramy, nie wiele ich jest i grube też nie są, przez co domek jest niski; ojciec zawsze myślał o tym, żeby go deskami obić — ze sto razy rocznie powta-

rzał: „trzeba by go oszalować”; jakos nie doszło do tego; ja już tych marzeń nie mam; koszt duży i po prawdzie mówiąc, nie mam zainteresowań w tym względzie. Przychodzi mi na myśl, czy też całe moje pokolenie nie jest obojętniejsze na te sprawy, któreby można nazwać dbałością o swój dom, troską o zagospodarowanie się, poczucie trwałości dobytku it.d. — wojna, choćby daleka, bardzo swoiście odnosi się do prawa własności i do pojęcia trwałości dóbr ziemskich; to tak jakby się poddany jakiegokolwiek państwa czołał w bitwie kierować przykazaniem „nie zabijaj”; całe szczęście, że księża są zwolnieni ze służby wojskowej; jakżeby się strasznie męczyli na wojnie w ciągłej będąc sprzeczności ze sumieniem i głoszonymi zasadami; boć przecie zasadą i cnotą i przykazaniem na wojnie jest „zabijaj”; kto pierwaj i więcej zabije tych, których plakaty i obwieszczenia ogłosiły „wrogami”, ten zwycięża. Dekalog i inne dogmaty zostały stworzone na czasy pokojowe, których przecie jest znacznie mniej, niż czasów wojennych; z tego wynikałoby, że... czuję, iż możnaby tu jakąś mądrą myśl wysnuć, ale na to trzebaby mieć większe wykształcenie, niż ja mam.

Wracam więc do domu. Na przestrzał przez całą jego szerokość biegnie sień, w niej znajduje się magiel, stągiew na wodę, beczka z kiszoną kapustą, ława i różne sprzęty domowego użytku; z tej sieni prowadzą strome schody obite deskami pomalowanymi brązową farbą na strych, obok magla są podnoszone drzwi do piwnicy; to miejsce stało się katastrofą dla mojego ojca.

Na prawo od drzwi wchodowych jest duża izba, taka świetlica niby; na lewo dwie pomniejsze stan-

cyjki i kuchenka. W pierwszej z tych stancji mieszkam ja, w drugiej matka. Obie mają wspólny piec kamyczkowy, co jest oszczędne ze względu na opał; wprawdzie węgle kupujemy od tych nędzarzy, którzy z biedaszybów jadą dziesiątkami kilometrów ze swym towarem — ale i tak jest opał bardzo drogi, co mnie nawet dziwi, bo ponoć złóż węglowych mamy dosyć; pisma mocarstwowe pouczają mnie w tym względzie, że musimy się fest trzymać w eksporcie, bo to prestiż; możnaby odpowiedzieć: co mi taki prestiż, gdy ludzie marzną; możnaby tak odpowiedzieć, ale lepiej nie; bowiem lepiej wewnątrz być głodnym i zmarzniętym, a za to na zewnątrz, od święta przynajmniej, wystrojonym wspaniale, przecież nawet przysłowie mówi: jak cię widzą, tak cię piszą. Dlatego też obcokrajowcom pokazuje się, gdy do jakiegoś państwa zajadą, mało, ale zato dużych rzeczy: gmachy państwowe, rewie, opery, poza tym wypełnia się im czas jadłem i napojem. Gdy czasem czytam, że np. Anglicy przyjechali do nas — myślę sobie, żeby tak na Kopyniówce zamieszkali ze trzy dni! — lecz zaraz odpędzam od siebie to niedorzeczne pomyślenie.

Co zaś do tej ciepłoty w naszym domu, to trzeba powiedzieć, że i od paleniska, które matka chętnie utrzymuje cały dzień, tam bowiem najchętniej przebywa — to znaczy w kuchni — rozgrzewa się śród kowa ściana, tak, że na ogół jest u nas w porach chłódów, a te trwają około sześciu miesięcy, wcale ciepło i przyjemnie.

(D. c. n.).

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Izba po prawej stoi pustką. Są tam w niej takie odświętniejsze meble — stół jesionowy nakryty czeratą, krzesła z rzeźbionymi poręczami, dwie szafy politurowane, jedna obok drugiej, i obfite łóżka wysoko ustertowane pierzyną i licznymi poduszkami. Matka tak lubi. Nad łóżkiem jest dywanik — tak go od dzieciństwa pamiętam — jeździec na siwym, jabłkowatym koniu, z pięknie zaplataną wstążkami grzywą, trzyma na wyciągniętej, przybranej długa po łokieć, rozszerzającą się rękawicą, ręce — sokoła; dywanik ten był niegdyś bardzo kolorowy — czerwony, zielony, żółty, niebieski; sokół to wyglądał wprost jak papuga. Zczasem spęzły barwy, papuga (sokół) wypłowiła, mole też się do tkaniny dostały, dobrały się od spodu zwłaszcza; matka go obniżyła, żeby tych miejsc, z których tylko kanwa została, nie było widać; teraz koń dotyka brzuchem pierzyny — tak jakby przepływał bród kanału, w którym płynie leniwie barszcz zabielały.

Tu i tam jeszcze po ścianach obrazeczków kilka: fotografia ślubna rodziców, lśniaca, z atelie Dyp, zaświadczenie moje z pierwszej komunii, drugie mniejsze z odbytego bierzmowania, na dywaniku okrągły wizerunek klasztoru kalwaryjskiego z unoszącą się ponad nim Matką boską, ramki przy tym

obrazku są ułożone bardzo zgrabnie z muszelek małych ślimaków; obok okna wisi lustro tak przez środek na sznurze zawieszzone, że widać w nim całą postać, gdy się w nim przeglądać, w takim jakos skrócie, że zaraz ponad kolanami wyrasta wypukła pierś, na której wspiera się bez szyi głowa; bardzo to jest zabawne, niestety, sama płyta lustrzana odbija postać trochę nieregularnie, tak, że cały opisany tu przezemnie skrót pływa jakby w ruchliwym strumieniu. Mnie, gdy się dłużej wpatruję, robi się nie dobrze i zaczyna mnie mglić w dołku.

Gdy, jeszcze w owych szczęśliwych czasach — gdzież one! — Rudolf przychodził do mnie — nocował w tym pokoju, który przez to wspomnienie nabrał dla mnie pewnej święteczności. Matka bardzo tych nocowań nie lubiła, poprostu nie znosiła. Istinks, to prawda, nie należał do najczystszych ludzi; nie dbał o zewnętrzną; skóra i ubranie były mu równo obojętne; jego lotny umysł nie chętnie zajmował się drobiazgami, myśl jego żywa, ruchliwa, a nawet, powiedziałbym, niespokojna, nie zatrzymywała się w sferze codziennych i powszednich spraw.

W każdym razie nie zatrzymywała się chętnie, a już nigdy, przenigdy dłużej niż tego wymagała absolutna konieczność.

O ile matka żliła się i pomrukiwała pełna niechęci w takich wypadkach nocowania, o tyle ojcu było to mniej więcej wszystko jedno; uważał poprostu Rudolfa za baciara i już. Osądził go prymitywnie i jakże, moim zdaniem, krzywdząco! — Uważał jednak, że należy mu przyładzić, jak tu mówią, „nocnik“, ponieważ każdy człowiek chce spać, potrzebuje snu, i, bez względu na jego zewnętrzne i wewnętrzne właściwości, należy mu w tem dopomóc, gdy się taka okazja zdarza. Prymitywizm ojca. iak

widzimy, miał podkład uczuciowy i bardzo ludzki.

Lecz wogóle ojciec był raczej surowy; nie to, żeby mnie na ten przykład bił więcej niż inni ojcowie; nie; raczej mniej, lecz w całym wzięciu jego, w powadze ruchów, w wyrazie twarzy, a zwłaszcza w spojrzeniu badawczym i jakby na zapas karzącym — miał coś takiego, co wzbudzało szacunek bardzo podobny do strachu. Bardzo się też bałem ojca, chociaż widzę to wyraźnie, że nie było czego. Lecz te rzeczy są od nas niezależne; strach jest nam wrodzony i wszyscy żyjemy w ciągłym strachu; i to jest uzasadnione, przecież w każdej minucie może nas spotkać wszystko najgorsze.

Naogół był mój ojciec bardzo zrównoważony, precyzyjny, skrupulatny jak zegarek z dobrej firmy szwajcarskiej; a są takie precyzyjne zegarki, nazywają się „Omega“ (jest to o ile pamiętam ostatnia litera w alfabecie greckim); alfa, beta, gama, delta... mi, ni, ro, sigma, tau — a na końcu omega — tyle pamiętam, chociaż przesiedziałem masę godzin w kozie za ten alfabet i po karku też zbierałem od profesora tego — w żaden sposób nie chciało mi to wleźć do głowy, kładłem książkę pod poduszkę — nic nie pomagało — wreszcie jakoś to wkulłem do łba; od tego czasu po dziś dzień ani razu mi ten alfabet nie był potrzebny, a dziś znów widzę, że go nie lat temu! — Lecz swoją drogą, słowo daję, że do umiem dokładnie; no ale nie dziwota — trzydzieści dziś czuję rozgoryczenie — tyle mnie tem namordowano — i na co? po co? — co mi z tego przyszło? i komu? — Szkoły to są poprostu uprzywilejowane i usankcjonowane instytucje sadystyczne; nie mówię tego na podstawie tego głupiego alfabetu, lecz mam na to tysiąc innych dowodów.

(D. c. n.).

## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Więc: ojciec mój był jak ten zegarek z dobrej firmy szwajcarskiej; precyzyjny we wszelkich zjawiskach życia: jako głowa rodziny, jako rzemieślnik, jako obywatel. Pozatem bogobożny i religijny; — od rana śpiewał pieśni nabożne; dom nasz rozbrzmiewał jak klatka, zamieszkała przez muzycznego kosa. Życie doczesne było dla ojca gałązką, na której przysiadł, chwając pieśnią stwórcę, wypełniając pieśnią czas między przylotem a odlotem. Codziennie, mimo podeszłego wieku chodził do kościoła, gdzie w jednej i tej samej ławie, na lewo, z kraja, przed ołtarzem św. Józefa z liliami i dzieciątkiem, do którego to świętego osobliwe żywił nabożeństwo, siadał i modlił się żarliwie; specjalnie lubował się w roratach, gdy to cały kościół pełen pełgających stoczków stwarza obraz smętarza w dzień zaduszny. Jako człowiek godny i zacny przyjaźnił się na równych prawach z organistą i kościelnym; często też ci poważni i poważani ludzie przychodzili do nas

wieczorami na herbatę z arakiem; ojciec bardzo lubił ten barwny i wonny napój, mawiał, że go utrzymuje w czerstwości; namawiał też życzliwie lecz stanowczo swoich gości do wypijania kilku szklanek tej miłej mieszaniny gorącej wody, wywaru liści róż herbacianych i alkoholu destylowanego z trzciny cukrowej, oraz właśnie cukru; proporcję lubił ojciec harmonijną i prostą: pół na pół, to znaczy pół szklanki araku a reszta pozostałych ingrediencji. Mnie czasem, w przystępie dobrego humoru, pozwalał siorpnąć ze swej szklanki; czyniłem to chętnie, jakkolwiek sama para, unosząca się nad szklanką nabawiała mnie krztuszenia i kichania. To rozweselało poważnych obywateli, którzy poza tym incydentem prowadzili rozmowy polityczne, dotyczące przeważnie wyższych sfer naszego mięsa. Ojciec słuchał ich rad czerpiąc w ten przyjemny i nieprzymuszony sposób wiedzę o życiu w zakresie szerszym niż go wykreślał sąd półtoramorgowy, szerszym niż cała Kopyniówka; zakres ten przekraczał niejednokrotnie śmiało i bez wahania granice powiatu. — Również i matka otrzymywała z rąk ojca szklankę ciemno-złotego napoju; piła go powolnymi łykami, siedząc blisko pieca i przysłuchiwała się rozmowom. Dla niej przyrządzał ojciec lżejszy „grog“ — (organista nazywał to z uporem „pies morski“, co mnie bardzo śmieszyło) — a podając jej mówił: „kobieta powinna mieć własną gorącość, temu ci lżejsze daję“; — nie wiem co miał na myśli mówiąc tak; — matka parowała ten żart uśmiechem dodając: „widzicie go,

zbereźnika“.

Co do Istinksa miał ojciec swój zdecydowany pogląd na niego, który ujmował w często używanym do mnie zwrocie: „ej Jasiu, ty się jeszcze dowojujesz z tym swoim przyjacielem, ja ci mówię, Rudolf to baciarz, kupa lumpa nic więcej, a tobie się uśmiechają te jego fju-bździu“.

Bardzo mnie ten sąd ojca zawsze bolał, uważałem go za niesłuszny i przesadzony; nie oponowałem, bo ojciec; ale potem, gdy się moje urzędowanie zaczęło, mniej miałem styczności z ojcem, mniej; też byłem narażony na tego rodzaju przykrości; byłem zresztą coraz starszy i poważniejszy i samodzielniejszy. Zresztą Rudolf zeszedł nam z oczu, jak gwiazda za widnokrąg, mniej też było okazji do wypowiadania zdań o nim zarówno uwłaczających jak i napewno niesprawiedliwych.

Z mojego okna — ten pierwszy pokój na lewo — jedyne zresztą w tej ścianie, drugie jest po drugiej stronie drzwi wchodowych — widać sporą część Kopyniówki, że tak powiem plac główny przed mięscia, to jest zbieg trzech dróg błotnistych, krzywych i pełnych wybojów; na końcu tego „rynku“, a naprzeciw mego okna, rosną dwie stare lipy, pośród których bieli się kapliczka murowana, wcale wysoka z świętym Florianem, gaszącym ze skopca pożar kościoła, dorastającego mu wraz z wieżami do kolan, oraz innymi świętymi, mieszkającymi w nyżach dookoła kaplicy.

(D. c. n.).

# EGZYSTENCJE

**Powieść współczesna****Część pierwsza:****WIELOBOKI**

Do tego placyku nie większego zresztą od sporej izby przylega szereg domków już to frontem jak nasz, już to bokiem, a poniektóre tyłem do drogi zwrócone, to jest okienkami stajennymi, przez które wychybuje się nawóz. Niektórzy tu zamożniejsi obywatele posiadają już to krowę już to kozę.—Nadmiar ściekającej gnojówki stale zalewa drogę główną i przelewa się do dwóch bocznych, tak, że przejście przez nie jest nie tak łatwe; wprawdzie celem udogodnienia mieszkańcom, no i przybyszom rzadkim, są porozmieszczane w pewnych odstępach spore kamienie — lecz są one stale śliskie i tak zdeptane, że raczej domyślić się można ich istnienia, niż je widzieć; trzeba mieć trochę wprawy i dużo szczęścia, żeby suchą nogą przejść już to na drugą stronę „ulicy”, już to wogóle dobrnąć do jakiegoś wyznaczonego sobie lub przypadkowego celu. Przeciwności tu dużo; przede wszystkim ulewy, deszcze, kapusniaki, trzydniówki (te są tu bardzo częste), roztopy — wszystko to zwiększa zasoby błota, które z łatwością zalewa takie nic nie znaczące, wystające kamienie — sądzą, że z równą łatwością zdołałoby zalać całą Kopyniówkę, gdyby ta leżała w zamkniętej kotlinie, wtedy utworzyłoby się błotne jezioro,

pewnego więc rodzaju fenomen przyrodniczy, na którego dnie spoczywałoby sobie zakonserwowane w błotnistej bryli osiedle jak ongi sławne miejscowości Pompeja i Herkulanum lub, niedawno odkryte, sławne już wykopalisko prehistoryczne w Biskupinie powiatu żnińskiego, o którym opowiadała mi pewna pani, którą spotkałem u sąsiadki naszej; Mańkowskiej, że to jest wprost coś cudnego, tak cudnego, że sobie nawet trudno wyobrazić, te belki stare, mówiła, te paleniska, no wogóle wszyscy ciutętko i, że tam zorganizowano noclegi i obiady wcale nie drogie, tak, że tanim kosztem można opędzić całą wycieczkę i — dodała na końcu: — błoto, błoto, wszyscy mówią błoto, a tu błoto, proszę państwa, konserwuje i jak jeszcze! — Pomyślałem sobie wtedy, słuchając tej zajmującej relacji, że takby po wielu wiekach mówiono o Kopyniówce; zapragnąłem gorąco aby i ją błoto dobrotliwe zalało i zakonserwowało dla przyszłych pokoleń; moje przywiązanie do mej ojcowizny sprawia, że życzę jej aby trwała wiecznie. Przyszli uczeni na podstawie wykopalisk (— trzebaby Kopyniówkę tak osuszyć, jak to uczynił Mussolini z jeziorem, nie pamiętam jak się nazywa, także przecież błotnym, na którego dnie znajdowały się szkielety sławnych galer jednego z cesarzy rzymskich mianowicie Kaliguli —) zdołaliby odtworzyć życie nasze, więc życie Europejczyków z pierwszej połowy dwudziestego wieku; nie ma bowiem wątpliwości, że jesteśmy geograficznie rzecz biorąc Europejczykami.

Takie to myśli wzbudziło we mnie rodzime błoto.

Jeszcze jedna przeciwność czyha na te kamienie, od których nieco odbiegłem, oto przejeżdżające tędy furmanki, dość liczne z tego powodu, że sporo tu

zagród chłopskich biednych wprawdzie i bezkonnnych lecz wynajmujących sprzężaj w czasie orki, żniw i zwózki ziemniaków, oraz z tego, że ta droga wiodąca przez Kopyniówkę skraca przestrzeń, jest bowiem przekątnią łukiem odgiętego gościńca głównego — otóż furmanki te pracowite i naładowane wgniatają kanienie ustawione w krokowych odległościach w miękkie, względnie rozmokłe podłoże drogi, lub też przesuwają je niebacznie, lecz niechcący tak, że już zgola śladu jakiegoś rozumnego i praktycznego przejazdu nie mogły stanowić — stawały się już tylko kamieniami błędnymi, posiadającymi może jakąś ukrytą celowość, lecz z punktu widzenia przechodnia bezużyteczną.

Nasz domek stoi na maleńkim wzgóreczku, raczej wzniesienie to jest jednak dostateczne, aby mieć sciu śmieci, rumowisko, nieużytków wszelkich — wzniesienie to jest jednak dostateczne aby mieć szerszy widok na świat, w każdym razie szerszy niżby to miało miejsce, gdyby zamiast na wzgórcu dom stał we wklęsnięciu.

Z wąskiego ogródka przed domem zarosłego rundbekiami, ślazem, floksami i jakimiś takimi kwiatami różowymi na olbrzymich łodygach, które matka nazywa „chabaziami”, — zwłaszcza jeśli się stanie na przyźbie (— trzeba uważać, żeby się głową nie huknąć w okap dachu! —) widać ten cały opisany przeze mnie placyk, a za nim jeszcze jedną bardzo starą lipę, spiątą w pośrodku zaśrubowanym obramieniem z drzewa, soi ona już na terytorium dworskim właściciela wielkich kompleksów pól uprawnych oraz okolicznych lasów p. Goślińskiego a raczej — bo on się przyzenił — żony jego Rozalii ze Śmigelskich Goślińskiej.

(D. c. n.).

## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Z tej przyżby widać na lewo główną szosę, łączą-

Z tej przyżby widać na lewo główną szosą łączącą Wądołów ze stolicą; ma ta szosa kilkaset kilometrów długości; nawet kilka i kilkanaście tysięcy; a właściwie to ona nie kończy się nigdzie. Pamiętam, gdy nas na lekcji geografii uczono o kulistości ziemi, mówił nauczyciel, że, gdyby się szło i szło i szło w jednym, proszę, kierunku, ale to wciąż, to by się po latach iluś tam okrążyło glob czyli kulę ziemską i wróciło na to samo miejsce, z którego się wyszło — od czasu tej lekcji — zawsze sobie właśnie ten gościniec wyobrażałem. Raz nawet — ech! dawno to już temu! — próbowałem tak, było nie było, iść przed siebie, lecz nie uszedłem daleko, kilka kilometrów zaledwie, dokładnie przeszedłem sześć kilometrów kuli ziemskiej; to bardzo mało; brakło mi wytrwałości. Nie znaczy to, że bym nigdy w życiu nie uszedł więcej jak sześć kilometrów w jednym kierunku, nie, przecież swego czasu z Rudolfem... chcę tylko powiedzieć, że raz miałem zamiar iść przed siebie. Gdy się dzisiaj nad tym zastanowię, to właściwie nie żałuję, że przerwałem mój zamiar i zawróciłem z drogi — ostatecznie wróciłbym na to samo miejsce; ta myśl moja ma jakiś podkład żałościwości — iść tyle czasu, tyle podeszew zdeptać i nie zająć nigdzie! przecież to bardzo przykre! — Gdy się nad tym zadumam i przerzucę się z tej zadumy ku tłoczącej się na szarego człowie-

ka zewsząd polityce i dyplomacji — zdaje mi się, że jestem na tropie tej zdumiewającej kołowacizny i kręćka; polityka wraz z kulą ziemską goni w piętkę. Jeśli widzę jakieś w tych dwu pędach różnice, to te, że politycy starają się przegonić szybkość ziemi aby sobie zagwarantować miejsce w przyszłości — i tam w tej przyszłości zakładają gniazda kręćków jak mole jajka w tkaninie. Gdyby nami zarządzili ludzie a nie politycy może byłoby lepiej; bo z tych gniazd kręćków wylęgają się tylko gazy trujące, zawsze bowiem zbyt odleżałe jaja muszą się zaśmierdnąć; o tym wie każda gospodyni w Kopyniówce; tylko dyplomaci o tym nie wiedzą; dlaczego? — bo dyplomaci nie myślą tylko knują.

Zdaje mi się, że zaplątałem się tu dość dokumentnie i przestawiłem kulistość naszego globu ziemskiego z jego ruchem obrotowym i okrążającym. Nie szkodzi. Myśl o kręćku jest dobra, to znaczy: podobna mi się (— z tego-by wynikało, że i z błędu może zrodzić się dobre pomyślenie! — nie? —).

Od owego czasu — a to już, jak rzekłem, dawno, dawno temu — gdy zawróciłem z rozpoczętego okrążania kuli ziemskiej, ślad moich, obutych w nieco pokrzywione trzewiki, stóp zakreśla nieregularny trójkąt pomiędzy Kopyniówką, pocztą (znaczy się: gmachem pocztowym), rynkiem Wądołowskim i znów Kopyniówką. Ten kawałek ziemi zamknięty w trójkącie stębnowanym tropem mego chodu znam wcale dobrze. Nie wielka to zresztą przestrzeń.

Napisałem: zakreśla! — powinienem jednak użyć czasu przeszłego — imperfectum — bo od czasu przejścia w stan spoczynku wzmogłem niejako ruchliwość i zmieniłem ów trójkąt na nieregularną wieloboki — i one są dziś wykresem graficznym — przypomina mi się geometria wykreslna, której nigdy zresztą nie umiałem pojąć — mojej, powiedzmy, swobody.

Chodzę gdzie chcę i kiedy chcę; ot i wszystko.

Jak i moje życie, które jest tylko — i niczym więcej! — przedłużeniem stadium mojego przyjscia na świat — tak i ten rozdział jest przedłużeniem poprzedniego; kończę rozdział gdy mnie ręka od pisania zabolę. Słyszałem, owszem, coś nie coś o tak zwanej kompozycji literackiej, słyszałem, lecz nie wiem na czym ona polega; dlaczego jednak nie mogłyby być elementami kompozycyjnymi: napływ sili i ich odpływ? — przecież mogłyby być! — a jeśli nie, to pal diabli, co mnie to obchodzi!

Obok tej szosy głównej niszczącej na swą wstążkę wsie jak zdrowaśki a miasta jak ojczenaszki w różańcu — wobec czego wierzęwbożą byłaby stolica — widać z naszej przyżby rozległy mur smętarny, a za nim na dużej płaszczyźnie falistej, zarosły gąszczem pomników i krzyży oraz grobowców sam smętarz wądołowski; można też stąd zobaczyć wszystkimi drogami zjeżdżające się codziennie kondukty pogrzebowe — wygląda to jakby miasto wraz z przyległościami zwoziło tu odpadki dzienne i śmieci — doprawdy system przymiejskich pól smętarnych wydaje mi się jakąś potworną kloaką, w które życie miast ciepłe swoje wstrętne odchody. To się też chyba musi kiedyś zmienić. Smętarze i dzwony nasycają nas od młodości taką posępną ponurością, że ino się wieszają! — Nie cierpię smętarzy, nie cierpię bicia dzwonów. Może trzeba całe życie mieszkać na Kopyniówce, aby nabrać wstrętu do wrzucania trupów do grząskich, wodnistych dołów, oraz do rozdygotanego ponurymi dźwiękami dzwonów powietrza, które każdą szparą przedostaje się do naszych domów przynajmniej trzy razy dziennie — tak, że ściany i meble trzęsą się w jakimś śmiertelnym charkocie: bom! bom! bom! — Okropne rzeczy!



# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Samo miasto widać stąd jak na dłoni: kilka większych bloków: koszary, sąd z aresztami, szpital, gimnazjum i kościół o bardzo brzydkiej wieży przypominające, brudną rzodkiew — w ogóle forma do niczego i kolor jakiś jakby barszczu nieswieżego zalatującego kisem i pleśnią. Nie znam się na stylach, ale tyle przecież wiem, że takiego stylu nie ma na świecie chyba, że istnieje jakiś specjalny styl wądołowski, całkiem bez sensu.

Poza tym widać kilkadziesiąt większych kamienic dwu, a nawet trzy piętrowych, największa z nich, to izba skarbowa, gdzie się wpłaca podatki; posterunek policji państwowej mieści się w niskim, jedno piętrowym domu, więc go stąd nie widać, tak samo starostwa; kto zna dokładnie tubylczą topografię ten się łatwo domyśla, gdzie jedno i drugie jest; nietubylec może tylko przeczuwać.

Tam, koło tego kościoła, regularnie ustawione domy otaczają przestrzeń pustą: to rynek główny, główny teren spacerów mieszkanki i mieszkańców Wądołowa: chodzi się dookoła, dookoła — po kilku okrążeniach można rozpocząć w odwrotnym kierunku i odrobić poprzednią pętlę; ale w zasadzie to na jedno wychodzi, czy się w tę, czy w tę stronę idzie;; faktem jest, że zawsze wraca się na

to samo miejsce i to prędko! — Na tym rynku odbywają się co wtorek targi: biedne, nędzne stragany żydowskie z perkalikami i znoszonym ubraniem, sprzęty drewniane: putnie, konewki, szafliki, trochę uprząży, sporo szewskich wyrobów, powroźniczych jeszcze więcej. Od jakiegoś czasu włóczą się jacyś bezrobotni agitatorzy i namawiają ludność do demolowania straganów żydowskich — że to powinno być w polskich rękach — te perkaliki i te ubrania znoszone. Na szczęście nikt tych głuptaków tutaj nie słucha, chlōpi się z nich śmieją — no, bo i rzeczywiście co to za takie draństwo, żeby biednemu Żydowi żyć i handlować nie było wolno. Tutaj najbardziej warstwa ludzi, to Żydzi; bieda z nędzą! a gdzie jest bieda tam nie ma rasy, a gdzie jest nędza tam nie ma narodowości. Tego mnie nauczyła Kopyniówka — tu nikt nie myśli o tym, żeby być Polakiem, tylko, żeby mieć na sól do ziemniaków, albo na zapalki, których zresztą używa się tu bardzo mało; wyrobił się taki zwyczaj, że pod polepą utrzymuje się w popiele, w takim wałku z popiołem ogienek, a właściwie żarzenie nikle, od którego się zapala, co potrzeba, większy ogień, lampę, świecę i t. d. Gdy komuś zgaśnie, to biegnie do sąsiada po czerwony ruchelek węgla — w ręce go niesie, przetrzuca z dłoni do dłoni, dmucha — i z niego sobie własny ogień nanowo roznieca. Ja mam zapalniczkę — jeden chłop je tu wyrabia, bardzo prymitywne, ale bardzo trwałe — ale ponieważ jest, oczywiście, niestęplowana, więc się z nią kryję. Dlatego też unikam palenia papierosów poza pokojem. A już co do zapalek, to są one bardzo drogie, gdzieś to czterdzieści sztuk za dziesięć groszy — cztery za grosz — kto to sobie może na to pozwolić.

Dalej już za tymi zabudowaniami, które opisa-

łem kończy się Wądołów. Dalej to już tylko pola, małe pagórki, rzadkie karczmy — i rozległy krajobraz przecięty już to błotnistą, już to pyłem stumanioną drogą. Do niej, jak do rzeki, wpływają inne pomniejsze, powiatowe, gminne, gromadzkie, te znów są zasilane ścieżkami, miedzami i wydepcinami; wszędzie te drogi! Aż się smutno robi!

Po drugiej stronie, z podwórka, tu nie ma przyżby, lecz można stanąć na odwróconym szafliku, wystarczy, — widać pomiędzy starą papiernią, dworem Goślińskich, kołczarnią i krańcami naszego przedmieścia wcale rozległe błonia, które tu także chętnie „ispą“ nazywają; na tej to przestrzeni skąpo porośłą trawą od wieków wojsko odbywa swe ćwiczenia, niegdyś polskie, później austriackie, teraz znów polskie. „Ispa“ oczywiście nie odczuwa tych ważnych, możnaby powiedzieć, zasadniczych, przemian dziejowych, dotyczą one bowiem współżycia człowieka z człowiekiem, dodajmy: złego, wrogiego współżycia. Przyroda jest dla nas obojętna podobnie jak matka w świecie zwierzęcym, które wydałszy swe potomstwo na świat i odchowawszy je do pewnego okresu, porzucają swe dzieci, a nawet odpędzają je szczerząc zęby i pokazując pazury, od siebie; przychodzi mi na myśl, że podanie o raju mogłoby oznaczać ten niemowlęcy okres ludzkości, gdy byliśmy przy cycku matki przyrody; gdy się okres ssania skończył, matka nas przepędziła, i odtąd zaczęła ludzkość tworzyć swą własną historię krwawą i ponurą, której zasadniczym elementem jest ludożerstwo; szczepy t. zw. niecywilizowane zjadają się istotnie, zaś cywilizowane zadowolają się samymi zabijaniem; ta różnica nazywa się postępem.

(D. c. n.).

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBUKI

Te błonia, na które, myśląc sobie przy tym niedorzecznie, patrzałem przed chwilą przez okno kuchenne, podczas gdy matka rozdmuchiwała pod białą ogień z zuchotka zaoszczędzonego przezornie od wczoraj żaru, — przedstawiają się, jak plastyczna mapa pobojuwiska po sprzątnięciu zabitych i rannych. Wzdłuż jednego ich kranca biegnie niespokojna linia rowów strzeleckich, po całej przestrzeni rozsiane jakieś spagórznięcia, doły, wklęsnięcia, leje, wały i t. p., środek wydeptany na żółte klepisko, jedynym słowem wrażenie spłoszenia i niepokoju; gdy od rzeki zaciąga pasmami mgła, cała przestrzeń jest jakby zagazowana; to nie przyjemne; niechętnie też patrzę w tę stronę.

O ile błonia są wytworem, poza zmianami i narastwieniami, zdaje mi się, geologicznymi, w swej zewnętrznej strukturze, instynktu zaczepno-odpornego — o tyle rzeka, za nimi płynąca wśród gęstych wiklin, poza niezdecydowanym łóżyskiem koryta, jest w swej istocie niezmienna: płynie z gór dalekich ku dolinom, od źródeł swych ku ujściu — bez przerwy; natomiast systematycznie i często, bo prawie co roku, mimo, że nie jest cicha, rwie brzegi i niszczy tamy, ładajako zresztą budowane; nawet dość sprytnie budowane jakoby lida kamienna ujęte w sieć drucianą, zaledwie poczują na sobie wodę, ożywiają,

rzucają się, jak ryby czujące swój żywioł, przerywają krępujące je sieci i pozwalają się toczyć wodzie dokąd się jej podoba. Wtedy takie zalewają błonia i pola nadbrzeżne; wylew.

Rzeka nasza wiele szkód wyrządza w czasie powodzi.

W takich wypadkach woda podchodzi aż pod samą Kopyniówkę; wtedy jest źle, ale jeszcze nie najgorzej; szkody w samych obejściach nie bywają katastrofalne; jakoś wychodzimy obronną ręką.

Gdzieindziej ta nasza kochana rzeka zalewa domy z kretezem, domy, stajnie, stodoły; wlewa się do piwnic z rżeniem i cmokaniem nieprzyjemnym, często też ledwo udaje się ludziom uciec z bytłem, dobytkiem i życiem przed przeważającą nawałą rozszalałych żywiołów.

Ot, los!

Takie na przykład Sławiny, — też przedmieście Wądołowa, ale po drugiej, północnej stronie miasta —, które leży nisko, na dnie kilku wyschniętych stawów, więc w tak zwanej, naukowo, depresji — no, to tam już rozpacz prawdziwa; mam tam kilku kolegów i, rzecz dziwna!, wszyscy obdarzeni tymi właściwościami umysłu i charakteru, które zwykliśmy zwać sumarycznie naturą artystyczną, dawno już straciłem z nimi kontakt, gdzież tam pocztowiec ma czas na co! — lecz jeszcze z czasów, gdy ich odwiedzałem, pamiętam, że nawet bez powodzi, w czasie zwyczajnej trzydniówki, nie mówiąc o trwalszych i ostrzej zacinających ulewach — podłogi w sławieńskich domach uginają się, takie tam są podmyte, a za każdym cięższym krokiem chlupie woda ze szpar pomiędzy deskami, oraz z tych miejsc, w które są wbite gwoździe spajające deski z tragarzykami.

Dzieci tamtejszych obywateli, sławinian, osobiwają wymyśliły sobie z tych właściwości terenowych za-

bawę. Podczas ulewnych okresów skaczą po deskach, lub z krzesel na podłogę w takich miejscach, o których wiedzą, że są wodą podszyte — i dopiero komu wyżej fontanna siknie, ten wygrywa. Są takie zwinne i sprawne dryblasy, że aż pod powalę umieją wyrzucić umiejętnym wyskokiem strugę wody. To są łepaki! Starzy nie lubią tej zabawy, słusznie, wtedy bowiem jest woda pod spodem i na wierzchu, więc wilgoć jeszcze większa. Klną więc starzy i żlą się — a przychodzi im to bez trudu, jako że z tego podłoża malarycznego każda Sławinianka i każdy Sławinianin ma od urodzenia powiększoną śledzionę i wątrobę. W szkole tośmy bez pytania się zaraz wiedzieli, który kolega jest ze Sławin — jak tylko przyszło do biegania, czy do wścigów, to taki z tamtąd pochodzący chłopiec chwycił się po kilkudziesięciu krokach za śledzionę i mówił: ni moge dać, bo mie kłuje"; — tośmy już wiedzieli: oho! ten jest ze Sławin; i zgadzało się.

No, tak — Sławinianom gorzej, niż nam tutaj na Kopyniówce.

Co zaś do tych powodzi — to ostatnia wielka powódź była przed dwoma laty. To była powódź! — Woda chlustała bez przerwy dniami i nocami — cała okolica: pola, drogi, wieś, miasteczka — jedno wielkie jezioro wzbierające jakby ogromne płuca rozdymające się ciągłym nabieraniem tchu — a środkiem tego jeziora, rwący, skotłowany, wzburzony gościeńiec głównego nurtu rzeki — jakiś, tak sobie go wyobrażam, strom — którym płynęły sprzęty, wozy, trupy krów i koni, a nawet ludzi, całe chałupy, dachy i strzechy, na których nie rzadko okrzykiem się działy gospodarz, wyciągał ręce i ratunku wołał i zmiłowania boskiego; a tu z nikąd nic.

**Emil Zegadłowicz**

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Oczy całej prasy ojczystej były wtedy skierowane na Wądołów; w pismach ilustrowanych peino było fotografii z naszych okolic! cóż to była za zadyma! Wądołów wyglądał na zdjęciach jak mała Wenecja. Kilka dni trwała ta sława. Fotograf Dyp chodził, a raczej jeździł tratwą i łodzią jak struty, on nie był od widoków, on był tylko od wojskowych poniżej sierżanta i od nowożeńców z dalekich, zapadłych wsi; on nawet gardził widokami, — co to to jest — mawiał — drzewa zdejmować czy coś w tym guście! — głupstwo to jest — upierał się — zabawka dla durnych amatorów, nie fach żaden, człowieka zdjąć, ustawić, albo grupę ludzi, o, to to jest fach! — Teraz omal włosy z głowy darł — bo widział jak mu wielkie pieniądze uciekają z rąk; bo przecież wszyscy chcieli mieć zdjęcia na pamiątkę z tego wydarzenia, o którym gazety pisały — i Dypa się przepytywano gęsto, a on, fajtapa, guzik! Zacoła nie i jednostronność wraz z uporem nikogo nie wzbogacają; taka stąd nauka.

Otóż to był okres, w którym Wądołów był na ustach wszystkich.

Lecz po powodzi nikt się nie interesował więcej naszym miastem, prócz tych, którzy dostawali słomę, ziemniaki, mąkę, kapustę i ubrania dla po-

wodzian, oraz materiał budowlany dla odbudowy wodą zmytych osiedli. — Pomyślałem sobie wtedy, że dni chwwały są niebezpieczne i krótkie, pozostaje po nich muł, szuter, usypiska, pleśń, zaduch i pośrednicy.

Rzeka nasza nazywa się Żnica.

Piękna to jest bezsprzecznie rzeka; szeroka, bystra i melodyjnie szumiąca.

Niedaleko Kopyniówki jest na Żnicy prąd zwa wy — poniżej zwięza się koryto i tam jest wcale głęboko, na jakie dwa metry, albo i więcej.

Od tego prądu ruchliwego jak żywe srebro, gwar nego i bełkotliwego, gdy fale uderzają o wystające głazy — mam w pokoju ciągły, ruchliwy brzęk.

I w tej chwili, gdy przestaję pisać — bo pióro moje skrzypi bardzo na śliskim papierze tego zeszytu kupionego u Załaja za... ale już chyba mowilem ile ten zeszyt kosztował... słyszę ten daleki, a przecież bliski, przyjazny szum — napełnia moją izdebkę i mnie radosnym poczuciem życia, które wprawdzie wartko przepływa koło mnie, lecz słyszę, przynajmniej słyszę jego ruch, jego nieustający gwar, ruch wodnych skrzydeł, gwar jego grającej na przelocie gardzieli — — przepływa koło Kopyniówki, mija Wądołów, mknie dalej —

Ale go słyszę!

Dobre i to.

### ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Piękny dzisiaj wieczór; właściwie noc; tutaj noc zaczyna się wiosenną porą o dziewiątej; wcześniej.

Odsunąłem przed chwilą firanki — kupiłem je kiedyś na takiej wyprzedazy resztek i ausszusów w pewnym bławatnym sklepie w Wądołowie, nawet pamiętam firmę, choć to już kilkanaście lat

temu: Offner Samuel, to był bardzo dobry sklep, taki nobliwy; kupiłem wtedy jedną tylko stronę firanki, jakoś tak została „nie wiadomo nawet jak” — objaśnił mi kupiec; więc tamto mi się przydarzyło. a że okienko u nas małe, no to i matka przecięła tę sztukę na rzy części i sarczyło, proszę, są dwa boki, obejmujące całe okno, dołem kończą się takimi rozetami, które przyczepione do gwóźdźka bardzo elegancko wyglądają, jest i górą lambrekinek sfałdowany, no, komplet; niezwykle to przyjemniło pokoić; zrobił się zaciszny.

Dookoła już wszędzie po domach ciemne są okna; pokładli się ludziska spracowani i cniętnie szukający w śnie zapomnienia.

Ach — tak!

Jedynie we dworze Goślińskich błyszczą światła w dużych oknach; widać pobrzask bardzo wyraźnie przez gałęzie i liście; co też tam robią o tej porze? — pewnie gości mają, Goliński lubi popić i w karty zagrać. Raz się go ktoś zapytał, czy gra na fortepianie — odpowiedział, że unika, bo się karty bardzo ślizgają; znaczy się: zapalony gracz i myśli jego krąży koło kart.

Lecz przecież ja nie to.

Otworzyłem okno. Cicho — żeby matki nie zbudzić. Matka nie lubi, jak się okna otwiera, bo zaraz ten superiosfat czuć w mieszkaniu.

Jest połowa maja.

Bzy kwitną.

Z wiklin zarastających obficie brzegi Żnicy dolatuje tęskny śpiew słowików, śliczny śpiew. Tur-tli-rli-rli — — bardzo pięknie. Trudno naśladować.

Na gościńcu terkotają zapóźnione wozy.

Rok tysiąc dziewięćset trzydziesty szósty.

(D. c. n.)

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza

## WIELOBOKI

Mam już czterdzieści pięć lat!

W takiej chwili jak obecna czuję straszną puszkę i nicość tych lat; tak; poprostu nicość!

Cóż ja zrobiłem w moim głupim życiu? nic! absolutnie nic!

No i to też: tak przecież chciałbym komuś móc coś powiedzieć, tak strasznie chciałbym... co mi serce rozpięra i olśniewa myśli... czasem to tak się dziwnie czuję, jakbym miał księżyc w głowie i dopiero mi się to światło wylewa przez oczy, uszy, nos, usta... ot głupstwa.

Słowiki: tur—rli—rli—rli—

Nie kochałem się nigdy.

Swatano mnie parę razy. Ale nic z tego nie wyszło; raz zdawało się już już — ale też nie.

To i lepiej.

Zamknę okno bo strasznie zalatuje superfosfatem.

I na psychówce rozwyły się szkaradne psy. Ten Tuk to zdolny rakarz, zawsze kupę tych psów ma pochwypanych.

Jak te cholery wyją.

Już nawet słowików nie słyszał.

Sam sobie chyba pojżukam: tur—rli—rli—rli—

E, co tam sam będę!

Ciągle sam.

Superfosfat.

Zamykam okno. Szluz z majową nocą.

Dziesięć lat temu wyjechał z Wądołowa Rudolf; z początkiem kwietnia; nagle wyjechał; bez pożegnania; to był jego zwyczaj; był zawsze jak wiatr; zjawiał się, mierzwił spokój łąk i lasów; znikał — i już tylko po dalekim kołysie drzew na widnokręgu można było przypuszczać, że jest — tam. Lotność!

Tak to było w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym.

Codziennie o godzinie ósmej i trzeciej (piętnastej) podnosiłem okienko w mojej kabinie zawodowej — a o godzinie dwunastej i szóstej (osiemnastej) zapuszczałem je i zamykałem na małą mosiężną kłódeczkę. Ręka moja, wykonująca te jednostajne czynności była smutniejsza niż kiedykolwiek, lecz ręce rojące się w okieniku nie mogły tego zauważyć; miały swoje troski, smutki i zmartwienia.

A potem przyszedł maj i te dni. Dni to nic! ale te dwie noce! — Naczelnik poczty wrzeszczał: rewolucja w Warszawie! Zamykać telefony! Otwierać telefony! Z starostwem nie łączyć. Łączyć z Województwem! Najświeższe wiadomości natychmiast na maszynę i przybić na bramie! Nie wolno na bramie przybijać wiadomości.

Wreszcie ochrypszy od tych sprzeczności zorientował się, że jego misją najświętszą więc i najnarodowszą jest nie dopuścić do tego, aby się rewolucja przerzuciła z Warszawy na Wądołów; określił to nawet bardzo pięknie: wstrzymać żagiew buntu w locie; i dodawał: choćby na własnej piersi! Poczem poszedł zaferowany do wytwornego handlu śniadankowego, który znajdował się na zbiegu ulicy Koziej i Teodora Rosoła (zasłużonego przed laty burmistrza wądołowskiego) pod firmą Kryka Alfons (junior); w knajpie tej schodzili się nasi dygnitarze: adwokaci, lekarze, właściciele dóbr,

oraz rozmaici prezesowie, których w tak liczny ośrodku jak nasze — miasto już wtedy miało ponad siedem tysięcy mieszkańców — było oczywiście kilkudziesięciu. Wróciwszy stamtąd pan naczelnik rumanian, zalatujący śledziem i imbierówką, bardzo energicznie zapowiedział, że wara satrapie rosyjskiemu od Wądołowa. Ja to zdanie usłyszałem z daleka, bo z trzeciego pokoju, więc do dzisiaj nie wiem czy nie przesłyszałem się, zresztą jak wtedy tak i dziś nie bardzo dla mnie jasne kogo miał na myśli, wypowiadając to bezsprzecznie silne przekonanie. Czy on sam wiedział? — nie dowiemy się tego nigdy, bowiem już nie żyje.

Na drugi dzień, gdyśmy się zebrali pełni niepewności i konsternacji, rzekł nam pan naczelnik. „—panowie, będzie lepiej!” — A gdyśmy się zapytali „ale co?” — rozłożył ręce i odpowiedział: „tego nikt nie wie, tylko jeden pan Bóg!” — Wszyscy zadowolili się tą odpowiedzią. Ja prócz zadowolenia solidarnego odczułem jeszcze osobistą radość, że przecież ktoś wie i że to jest niewątpliwe, skoro kontrasygnowała to najwyższa moja władza; tyle taktu posiadałem zawsze; to w naszym rodzie dziedziczne. Matka moja po dziś dzień powtarza: wy sobie ta mówcie, co chcecie, a ja wiem swoje, a-le! — cysarz sie ta ino śmieje i powiada se: dobra, dobra, bawcie sie, ojej, czemu nie! — patrzy na nas jak na dzieci, które krzyczą i hałasują, ale jak mu tego będzie za dużo, powie: dość tego, a pódziecie wy do domu! jak na te, nie przymierzając, konie wrzaśnie: curyk! — i będzie fertik z waszą zabawą, głuptokil! — Nie podzielam oczywiście przewidywań matki, zwłaszcza, że nie wiem, ktoby miał być tym cesarzem, wołającym: curyk! — przecież dziś Austria i Polska kierowane są i rządzone jedną i tą samą myślą moralną, wyznawaną przez międzynarodowy komitet „Przedmurza”. I gdyby nie krnąbrne burzvmurki...

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBUKI

Wreszcie pan naczelnik poczty zdecydował: no, jak tak, powiada, to nie ma co, tylko dalej swoje robić, diabła nam do tego, że się tam na gorze tłuką, ich rzecz, od tego są, a my tylko spokojnie patrzmy co z tego wyniknie, wszystko, panowie, jest walką o posady — i my nie możemy na tym tracić — więc — ostrożnie! panowie, ostrożnie! — Tą przestrogą stanął mój przełożony niezawodnie na wysokości zadania: ratował sytuację, ratując ją, gwarantował nam pobory. Tak też, gdy po tych dniach zmieniali się ludzie na posadach, jak pogoda w kwietniu — naczelnik nasz przetrwał, a my z nim.

Nieprzyjemne to były jednak dni, nieustające dyżury, sprzeczne wiadomości, strzały, krew, to, tamto, owo; niespokojnie.

W mieście naszym ruch się zrobił, jak gdy kto nagle zaświeci światło w kuchni zaludnionej karakouami, znacie, ten szelest, pośpiech, krycie się po kątach, szurgot, nieomal zdyszenie; otóż tak było u nas. I to całe porównanie jest nawet zupełnie trafne poza chyba tym światłem, ktoby tam nagle w Wądołowie zaświecał! też!

Ale ruch był, narobiło wiatru! — Rynek i ulice główne, jako to Kozia, Rosoła, Krakowska, Wyjka — były przeciw, jak to mówiono, puczowi, zaś przed-

mieścia i wsie dookoła przeważnie ze zmianą; bo to tak zawsze, ci, którym się dobrze powodzi, nie lubią zmian, ci zaś, których los gnębi, wyczekują ich, wiedzą bowiem, że nic gorszego ich spotkać nie może, a mogłoby się zdarzyć, że będzie lepiej. Ta nadzieja okazuje się przeważnie złudną, ale na nią już nie ma rady; no i ciężko byłoby żyć bez nadziei i bez tej wiary, że przecież skończy się niesprawiedliwość. Tak myślę; i wolno mi tak myśleć; bo zakazu myślenia nie ma; śnić też wolno; a gwizdać?

Przez całe te dwie pierwsze śródmajowe (przymiotnik ten sam sobie wymyśliłem, jako środkowy człon słowny pomiędzy: przedmajowy a pomajowy) noce świeciło się we wszystkich osiedlach wzdłuż gościńca i po wzgórzach — jak okiem sięgnąć pełno nikłych, lecz gęstych światełek, jakby jakie zaduszki czy co — a to ludzie nie spali, lecz czuwali, a nuż — wzmogło się to wiecznie przyczajone czekanie, — copochwila słychać było to dalsze, to bliższe śpiewy już to pojedyncze, już to chóralne. Czerwony sztandar, o cześć wam, panowie, pierwsza brygada splatały się razem, jak warkocz młodej pani do ślubu.

Ludzie byli nieobjaśnieni, wszystko im się pomięszało i pcorozsypywało, stracili poczucie rzeczywistości, pomylili melodie i całkiem w tej nagłości zapomnieli, że pieśni są też, jak to się mówi, symbolami, i że nie można śpiewać rzeczy sprzecznych ze sobą. Ale cóż dziwnego? — dochodziły przecież wiadomości, że robotnicy popierają ruch, że walczą, bo to ich sprawa, ich i chłopów bez lub małorolnych. Tak się też tam naród durzył i śpiewał, jak w gorączce. A wszystko z tego czekania, z którym jest taka sama sprawa, jak z głodem — głodnyś, dorwiesz się jedzenia, a potem z tego wymioty i s.....a. Trzeba ostrożnie. Chyba, że się coś samemu robi. I tak też

96  
być powinno. Wuj Benedykt wśród licznych wypowiedzianych przez siebie sentencji mawiał: tę: co możesz sam zrobić, rób sam, a nie zdawaj się z tem na innych. Święta racja;

Sam osobiście byłem tym wszystkim bardzo skończony; ostatecznie sprawa nie dotyczyła Kopy niówki ani mnie jako człowieka bez znaczenia, członek dwudziesto kilko milionowej rzeszy szarych egzystencji, złożonej z rekrutów, rezerwistów i podatników, za które to obowiązki, co prawda, to prawda, doczekał się kilku niezłych frontów, jak np. „frontem do wsi” (t. zn. do proboszczo, sołtysa i nauczyciela), „frontem do szarego człowieka” (t. zn. do mnie, do mojej matki, do Zataja, Dypa, Tuka i wielu innych, o których tu jeszcze będzie mowa; frontem do mnie! bagatela!), „frontem do straganów” (to już jest grubszy kusz) i t. d.

Kto ma stać tym frontem, kiedy i jak długo to nie jest jasne; państwo? więc rząd? — ależ rząd najbardziej nawet przyzwyczajony do stania frontem nie wytrzyma w tej nużącej pozycji zbyt długo; jedno-by się zgadzało, mianowicie to, że stojąc frontem, wiadomo, ręką, nogą, głową, wogóle niczym ruszyć nie wolno; to poniekąd tłumaczy bezczynny idealizm „frontem do”. Tak sobie staram wytłumaczyć treść tych niezawodnie szlachejnych haseł — ale moja głowa widać za słaba na te sprawy, poddyktowane tajemniczą „racją stanu”, to nie jest na rozum człowieka dziewiątej ani ósmej kategorii; te rzeczy rozumie się, zapewne, dopiero od czwartej, w dół; im dalej, tym lepiej. Takie sobie wyrobiłem zdanie na podstawie obserwacji i własnych dociekań.

(D. c. n.).

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Ostatecznie byłem tą całą historią z przed dziesięciu laty zaskoczony, bo, jakkolwiek — powtarzam — nie dotyczyła ona ani mnie ani Kopyniówki, posiadam jakieś nieuzasadnione poczucie jakoby wspólności czy, inaczej mówiąc, obywatelskości. Jest to nie tylko nieuzasadnione, lecz i nierozsądne i nierealne; z kimże ja mogę mieć jakąś wspólność? jako z półinteligentem nie chcą ze mną rozmawiać inteligenci, t. j. ludzie z maturą — nie mówiąc o ludziach z uniwersyteckim wykształceniem, jako urzędnika niskiej kategorii nie dopuszczają mnie do towarzystwa swego urzędnicy wyżsi, jako obywatelem Kopyniówki, gardzą mną obywatele Wądołowa, chociaż miałbym niejakię prawo zaliczać się do ich grona, chłopci odnoszą się do mnie meufnie, bo ja już jestem dla nich „pon”, robotnicy nie mogą mnie uznać za swego, w wojsku nie służyłem, bo mam rapturę (jej skuteczność w tym względzie dorównuje moim przekonaniom antymilitarystycznym, lecz to w rachubę nie wchodzi, nigdy bowiem moich przekonań nie wypowiadałem; nie stać mnie na to i nikogo to nie interesuje, co sobie takie indywidualum, jak ja, myśli), żadnych więc korzyści z bo-

haterskości lub ofiarnej służby dla ojczyzny ciągnąć nie mogę — sumując powyższe jasnym się staje, że, należąc do wielomilionowej rzeszy szarych egzystencji ograniczyć muszę z konieczności moje poczucie wspólnoty do ciasnego kręgu obywateli kopyniowskich. Taki jest, proszę, układ społeczny. Równość, owszem, lecz ograniczona. Wszystko zresztą ma swoje granice, skarżyć się więc byłoby dowodem małoduszności. Narody i państwa mają swoje granice, kraje i części świata; wszystko, bo i życie ludzkie; jedynie cierpliwość uciśnionych jest dotychczas bez granic; sądzę jednak, że i to się zmieni i upodobni do reszty zjawisk.

A że wtedy byłem zaskoczony?

Nic w tem dziwnego.

W takim zabitym deskami ośrodku prowincjonalnym jest się zawsze wszystkim zaskoczonym; wszystko bowiem dzieje się poza nami — to tak jak ta szumiąca falami rzeka, które przepływa obok.

Takie jest nasze życie tu nad brzegami pięknej Żnicy. Życie? nie! — bytowanie; tak, chyba tylko bytowanie.

Ach, gdyby był wtedy Rudolf nie wyjechał!

Ten byłby mi to wszystko na swój lotny i doskonały sposób wytłumaczył i oświecił; byłby mnie uspokoił; bowiem niepokój wielki wkraść się do mego serca; w połączeniu z niewyspaniem samopoczucie moje spadło poniżej zera.

Jakżeż inaczej było — a emocjonalne zjawiska były zbliżone, choć przecież de facto inne — lat temu osiemnaście!

Inaczej — bo Rudolf!

Szósty to był albo siódmy -listopada; dnia do-

kładnie nie pamiętam.

Po nabożeństwie wysypał się tłum pobożny z kościoła wądołowskiego. Ale nie odchodził jak zazwyczaj, nie odpływał grupkami w ulice; przeciwnie trwał tak jakoś nieruchomo i wyczekująco, zataraśował ujścia i zawałił sobą cały rynek.

Jakieś wieści dalekie, jakieś pomruki chodziły po ludziach.

Stałem oparty o mosiężną rurę, chroniącą okno wystawowe Melchjora Załaja; przed chwilą przejrzałem sobie wystawę wcale gustownie urządzoną; pośrodku na arkuszu złotego wyciskanego papieru stał globus, zwrócony do widza żółtą Afryką wśród zielonych mórz; wyżej nad nią, tak trochę wskosku północnemu wschodowi wyszczerbione, jakieś takie nieprzyjemnie wygryzione brzegi Europy; miejsca, w którym znajduje się nasza ojczyzna nawet dopatrzyć się nie można było; cóż — na takim małym globusie, który reprezentuje całą ziemię taki nikły skrawek ziemi, łączący się płynnie prawie bez naturalnych granic z resztą czarno-żółtego koloru prawie nic nie waży — zwłaszcza, że w ogóle Polski na tym globusie nie było; rudo zaznaczone granice łączyły Rosję z Niemcami i Austrią bezpośrednio. Ciekaw jestem, pmyślałem, ile też taki globus kosztuje i z czego jest zrobiony? — Ujrzałem go w wyobraźni w mojej izdebce na Kopyniówce — zaraz mi się też wydała jakimś pokojem uczonego — chociaż mnie nie o uczoność-by szło, lecz o podróż palcem po powierzchni lądów i mórz; podróż dookoła świata; bieguny, równik, zwrotniki, szerokości, długości — ładne rzeczy! bardzo ładne.

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Kto wie, czy kolor nie jest zależny od patrzącego; ale co mnie to właściwie obchodzi.

Po tej medytacji obejrzałem jeszcze krążki ołówków, kilka kawałków kredy bardzo równo zaostrojonej i owiniętej w kolorowe papiery. Były i książki, lecz jakies nieinteresujące, takie biednutkie książki o chorobach koni, uprawie buraków pastewnych, kilka druków straganowych z nieśmiertelną Genowefą i Meluzyną na czele. Poza tym zeszyty i kalendarz już przyszłoroczny na rok 1919-ty — postanowiłem go kupić dla matki, która chętnie wyszukuje sobie różnych świętych, jak to który na jaki dzień wypada.

Przejęty tym zamiarem — odwróciłem się, aby spojrzeć na rynek.

Spojrzałem i ja w kierunku, w którym patrzyli wszyscy.

Celem spojrzenia było starostwo.

Gmach starostwa — dwupiętrowa kamienica — znajdował się w rynku, prawie naprzeciwko sklepu Załaja; zwyczajna kamienica, popielato-zielonkowego koloru, nie odznaczała się niczym osobliwym, gdyby nie to, że właśnie była dwupiętrowa, a wszystkie inne domy na tej linii były jednopiętrowe; stąd znaczna; wyższa kategoria; stąd i pobory wyższe; to nakazuje szacunek oraz wzbudza potrzebny lęk.

Starostą był wtedy niejaki Głodowski; nazwisko na czas wojny wcale trafne; dumny to był i szorstki pan; zastępował godnie cesarza w obrębie powiatu. Nie mam zresztą o nim nic do powiedzenia. Może go w ogóle raz albo dwa razy w życiu widziałem. Raz na procesji Bożego Ciała, na której proboszcz zastępował Boga, a starosta Głodowski monarchę. Stałem z daleka pełen skupienia i podziwu; oto pomyślałem, ziemscy ambasadorowie najwznioślejszych idei: państwa niebiańskiego i państwa ziemskiego wspierają i pomagają sobie wzajemnie; oto wzniosły przykład braterstwa i sojuszu; oto owe viribus unitis w swej najszczytniejszej formie; to jest piękne. Potrzałem z zachwytem, nie często bowiem danem nam jest spojrzeć na taką harmonijność współżycia wysokiego, jeśli nie najwyższego gatunku.

Stałem na uboczu; mały pocztowy urzędniczyna, na szarym końcu wszelkiej hierarchii. Gdybym był rumiankiem — rączki dziewczynek niewinnych oskubałyby mnie i rzuciły białe moje płatki pod nogi ambasadora niebieskiego i ziemskiego. Nie byłbym rumiankiem; byłem niczym.

Dzwony na wieży kościelnej biły posepnie, małe dzwoneczki przed baldachimem turlikały i dzin-dzioliły; zrobiło mi się nagle tak smutno i ciężko na sercu, że nie wiem.

W tej chwili mijają mnie serce procesji — szły szpalarem małe, białe odziane dziewczynki, szły do tyłu, twarzą zwróconą do ambasadorów; sypały kwiaty pod ich stopy; różnokolorowe, żółte, czerwone, niebieskie i białe; były wśród nich i piórka rumianków; nie moje, nie.

Orszak posuwał się powoli, od ołtarza do ołtarza; gdy już zrównał się ze mną, usłyszałem z poza lśniącej, drogiej na pewno, monstrancji słowa ambasadora bożego, monitującego dobrotliwie, zbyt

powoli, bo do tyłu, posuwającą się dziatwę: „prę-dziej tam, prędzej gówniarze” — przyczym szkła okularów w złotej oprawie załśniły, jak dwa słoneczka, na licach proboszcza.

Te łagodne, a tak ludzkie słowa rozczuliły mnie głęboko, przypomniały mi matkę, która w latach wczesnej młodości mojej też tym zwrotem posługiwała się chętnie; nie tyle całym zwrotem, ile epitetem, który wedle okoliczności, zaopatrywała w różne słowa.

Tak więc w sposób prosty, niewyszukany i prawie mimowolny, jakby od niechcienia dołączyło się do adoracji przedstawicieli władz państwa niebiańskiego i ziemskiego, jeszcze i uczucie synowskie, komplet.

Z niejaką też przykrością, w tym wzniosłym momencie, skonstatowałem na twarzy, tuż za baldachimem kroczącego, zastępcy najjaśniejszego monarchy, jakby znudzenie i dysgust; szedł z opuszczoną głową, policzki, niby dwa blade kotlety, zwiślały i trzęsły się za każdym krokiem, nawet mi się zdawało, że z trudem powstrzymuje ziewanie; w takiej chwili — oto, pomyślałem, jak spoufalenie ze sferą boskości wywołuje zblazowanie, ludzmu jednak wszyscy jesteśmy, równi sobie w odczuciach, różni w poborach.

W tej chwili usłyszałem po za orszakiem procesyjnym, który, jak pięknej jubilerskiej roboty pierścień, otaczał środek rynku — komendę, mniej więcej tego rodzaju — (nie rękę za dosłowność, nie posiadam pojętności i pamięci dla wyrażenia trudnego rzemiosła żołnierskiego —): feuer — gewer an! — i jeszcze raz, wysoko, piskliwie: — feu-er!

Rrrrym! — Zagruchotał wystrzał, jakby kto garść grochu naraz rzucił na blachę cynkową, tylko głośniej!

# EGZYSTENCJE

**Powieść współczesna****Część pierwsza:****WIELOBOKI**

Wzdrygnąłem się od stóp do głów — i zorientowałem się, że stoję oparty o mosiężną przegrodę przed oknem wystawowym firmy Załaj w zupełnie innych warunkach, że to nie procesja (— drugi raz widziałem stróżę Głodowskiego tak, ot, przelotnie, nie ma nawet o czym mówić —), nie sojusz, a coś, co raczej przypomina, nieznanne mi bliżej, tak zwane, niezadowolone mas, które, jak kiedyś czytałem, może się zmienić w tak zwany gniew ludu. W. Wądołowie! — niesłychane!

A przecież właśnie te masy, które popularny organ i wyraziciel najbardziej ponurych właściwości psychiki zbrodniarzy politycznych (— to wyrażenie jest własnością mojego przyjaciela Sączka, o czym później opowiem —) znany podieszczotliwą nazwą „lkacjusza”, nazywa najchętniej „mętami” (t w środku! nie d) właśnie w tej chwili patrzyły jak jeden mąż na gmach starostwa i to patrzyły nie z uszanowaniem, lecz z ciekawością, do której dołączały się, jak motyle nad kwietną łąką — zdrożne i nieestosowne uśmieški.

Bo też istotnie stało się — w obrębie wzroku — coś dziwnego i niecodziennego.

Niewiadomo jak, skąd i poco znachodziła się wsparta jednym końcem o bruk rynku wądołowskiego, a drugim o balkon starostwa wcale pokaż-

na drabina; nie strażacka, zwyczajna, solidna drabina.

Wygląd tego zdarzenia był wprost nieobyčajny i jakiś taki bez szacunku i bez.., subordynacji, o, to jest dobre, trafne słowo!

Wtedy ujrzałem ten tłum tarasujący całą przestrzeń.

Zdziwiłem się nieco, znam bowiem tutejsze obyczaje, i wiem, że prócz panien i kawalerów, którzy lubią się jakiś czas szwędzać w nowych ubraniach po rynku, wszyscy inni dość śpiesznie udają się do swoich domostw.

A tu tymczasem nikt się do tego domu nie śpieszy. Ani się nikomu nie śni; wszyscy stoją, czasem przewalają się grupkami, mieszają się ze sobą, tają, ale trwają na tym prynsypalnym miejscu.

Stoję sam odwrócony, względnie tyłem zwrócony do kuli ziemskiej, Afryki i Europy — stoję i dziwię się temu co się tu dzieje; wprawdzie domyślałem się przyczyny, owszem, lecz ani na chwilę nie przychodziło mi do głowy, aby Wądołów, aby obywatela Wądołowa..... U nas na Kopyniówce to, co się w tych dniach stać miało — nie interesowało nikogo, nikt na to nie liczył, nikt żadnej istotnej zmiany nie przewidywał, trochę tu i ówdzie zaobserwowałem lęku, czy nie będzie jeszcze gorzej; lecz to „gorzej” nie miało żadnych widoków wzrostu, było dostateczne, na naszą miarę; wnet się też wszyscy uspokoili i robili swoje.

W tym miejscu moich rozważań zauważyłem na rynku jakiś ruch wzmożony — poruszenie raczej — wszystkie głowy zwróciły się, jak na komendę, w jednym kierunku.

Słońce świeciło skośno, lecz ostro — tak, że wszyscy ludzie mieli w tej chwili (po tym odwróceniu) jedną część twarzy żółtą, a drugą ciemną

i jakby fioletową; nawet mnie to zastanowiło skąd takie kolory, kiedy twarz, jak twarz, cielistą i już, a tu nagle inaczej; w tym nagim fackie, było coś istotnie nagiego, gołego, nieprzyzwoitego.

Bo też istotnie! — stawić drabinę pod starostwem! Któż to widział! — o ileby szło o jakąś reperację ścian, balkonu, futryn, czy oszklelenie okien — no rzecz jasna, potrzebna drabina, owszem, nikt nie powie, że nie. Ale to była niedziela, dzień więc wolny od pracy, t. zn. nie-wolno pracować, handlować, zarabiać; jeść wolno, spać wolno, spacerować, kochać wolno, lecz nie robić — żadną więc miałą nie mogła to być naprawa uszkodzeń; zresztą żadnych uszkodzeń nigdzie widać nie było, gmach w porządku otynkowany, tą farbą popielato - zieloną powleczony, nic podejrzanego — jedynie co widać było to to, że drabina była tak pod blaszanym, dwugłowym (— to były czasy dwugłowe) orłem ustawiona, jakby zapraszała: proszę panie orle, zejdź pan; istotnie, zdawało mi się przez sekundę że orzeł nieśmiało próbuje nogą, czyby ewentualnie nie, — nawet miałem wrażenie, że lewą, potężnymi szponami zdobną nogę postawił na najwyższym szczeblu; — lecz to musiała być halucynacja, wywołana uporczywym moim wpatrywaniem się, oraz tym, opisanym przeze mnie poprzednio ostrym, skośnym światłem, listopadowego śródpołudnia; napewno!

Więc co? — pytanie to drżało iskierką lśniącą we wszystkich źrenicach; aż powietrze mżyło i drgało od tych płomiennych iskierek. Mniejsze i słabiej błyszczące ogniki widziałem również na rozchylonych wargach u większości patrzących; te iskierki w źrenicach mieli zaś wszyscy.

(D. c. n.).



# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Zaraz się wyjaśniało! — już szła odpowiedź.

Oto ktos zaczął się zrećnie wspinać po drabinie; ruchy jego były szybkie, zwinne i sprawne.

Grupa wyrostków, takich, proszę, łazików, jakich nigdy nie brak w okazjach niepowседневnich i, jak ta w tej chwili, niestosownych, — zaczęła wołać gromko: hura! brawo! hura! — okrzykami tymi niejako dodając ducha wspinającemu się mężczyźnie.

Hura! — brzmiało coraz silniej i natarczywiej; za wyrostkami i łazikami ten i ów mniej pohamowany i nie wytrzymały na tłumny entuzjazm -- wydzierał się co sił; stąd to wrażenie opanowania rynku przez słowo „hura!” oraz przez „brawo!” — lecz głośniejsze i niejako ważniejsze, bardziej zdobywcze, wyrzające się na front było „hura!”

Spojrzałem na wspinającego się na drabinę mężczyznę, spojrzałem i raz jeszcze spojrzałem i — aż

gębę rozdziawiłem ze zdumienia! — nie! tak! nie! tak! ależ nie! ależ tak! nie! napewno tak! — no tak! tak! ak! — tak! nie! napewno tak! -- no tak! tak! tak! — to Rudolf laził po drabinie!

Był bez czapki; włosy bujne rozwiewał mu wiatr, usta miał zacięte, jak to bywa, gdy zaczynamy działać po długim postanowieniu.

Cały wyraz twarzy wyrażał siłę woli, chęć dokonania zamierzenia, upór i nieustępliwość; nawet i postawa jego, to znaczy postać cała mówiła to samo co i twarz, ruchy korpusu, gest kończyn, czyli nóg i rąk.

Mnie się on wydawał wspaniały, chociaż jeszcze nie wiedziałem, czego się chce imać i co wykonać; odniosłem wrażenie, szybko rzuciwszy okiem dookoła, że wszystkich przejmuje to samo uczucie, że na wszystkich wywarł wrażenie, ukryte w tym słowie: wspaniały!

No — naturalnie! Rudolf!

Jakżeby inaczej!

On — zawsze on — jedyny taki!

Musiałem się chyba uśmiechać w owej chwili; okazało się już teraz z niego nie spuszczałem.

Szczebel po szczeblu wznosił się szybko tak, że to wszystko działo się szybciej niż ja to opowiadam.

W lewej ręce miał jakiś przedmiot żelazny, tak, że obejmując tą ręką grzędę stukał o drzewo — wznosił się więc przy akompaniamencie rytmicznych ude-

rzeń, którym towarzyszył zachwyt tłumów; zebrane u spodu drabiny wisusy podchwyciły ten dźwięk i zaczęły skandować: stuk — stuk — stuk — stuk.

Tak on tam wtedy wznosił się ponad współobywateli obojga płci.

Zaintrygowany tym przedmiotem stukającym w lewej ręce Rudolfa — natężyłem wzrok i z kształtu domyśliłem się łatwo, a nawet rozpoznałem: to były obcęgi!

Zaczęło mi świtać w głowie!

Obcęgi! oczywiście obcęgi! — jak skrupulatnie, jak drobiazgowo, pieron (— muszę sobie ulżyć tym rodzimym przykłębem — ono tyle wyraża!) — wszystko obmyślił! — Kilkakrotnie

# EGZYSTENCJE

Fowiełt współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Uniósł ręce, z których prawa uzbrojona była historycznymi już obcęgami — i stał tak chwilę natchniony i jeszcze przejęty dokonany dziełem. Przypomniał mi się od razu obraz wielkiego mistrza naszego Jana Matejki p. t. „Kazanie Skargi”. Ręce podniesione nad głową, bystry wzrok, rozwiane włosy — oto co mi nasunęło to porównanie. Zaraz jednak dostrzegłem pewne różnice. Skarga był stary, Rudolf młody, Skarga miał brodę, Rudolf nie, Skarga był księdzem, Rudolf człowiekiem świeckim, Skarga był wrogiem heretyków, Rudolf posiadał szlachetną tolerancję, Skarga był reakcjonistą, Rudolf liberałem, Skarga przemawiał do króla i magnatów, Rudolf do łażaków i rodaków-mieszczan. Poza tym jednak obraz w ogólnych zarysach zgadzał się w zupełności. Najlepszy dowód, że mi się samorzutnie i bezpośrednio, jako porównanie, nawinął.

Tłum podniecany ustawicznie uciechą i buńczucznością wyrostków przeszedł z ogólnikowego „hurra” na zupełnie konkretne hasła; lecz tu na terenie konkretności właśnie zarysowały się natychmiast różnice, pierwotna zgoda prysnęła jak bańka mydlana; — część zaczęła wołać: „niech żyje”, „niech żyje” — inna natomiast grupa krzy-

czała: „precz!”, „precz!” — Już niewiadomo było co się do czego odnosi — tyle tylko wyrozumiałem, że entuzjazm jest, zachwyt też jest, nawet egzaltacja, że namiętności zaczynają grać — a to w takich momentach historycznych rzecz zasadnicza. Tak mniemam.

I oto znów Rudolf!

Jak mistrz prawdziwy, jak ksiądz Pobak, który umiał ześrodkować uwagę zaściankowej szlachty na tabakierze z wizerunkiem Bonapartego (o którym już, używając drugiej nazwy tego sławnego człowieka, mianowicie Napoleon, mówiłem), jak nasz dyrygent chóru Towarzystwa Sokół, świetny sam tenor, pan Apolinary Danobis, który umie trzymać w ryzach naszą młodzież rozwałęsaną i nieposłuszną, tych naszych kochanych, lecz rozpuszczonych urwipolciów „szmaciarzy” — tak też właśnie Rudolf, zgrzany jeszcze i spocony, wsparty w tej chwili oburącz na balustradzie — patrzył na masę głów ludzkich, jakby drugi wyższy bruk tego rynku — w mig zorientował się, że takie „niech żyje” i „precz” nie tylko nic nie znaczy, lecz wprost szkodliwe jest dla sprawy i jedności i solidarności — podniesioną ręką nakazał posłuch, wyczekał chwilę, a gdy się wszystko powoli uciszyło, jak wzburzone fale morza on tam z balkonu ze swego bocianiego gniazda — żeglarz nieustraszony — zawołał:

— rodacy —

Powtórzył:

— kochani rodacy —

I dodał:

— co tu dużo gadać —

Retorycznie zapytał:

— nieprawdaż? — poco? —

Stwierdził:

— lepiej zaśpiewajmy —

I natychmiast zaintonował:

— o cześć wam panowie —

Wtedy ktoś z tłumu wrzasnął:

— od początku — co jest do cholery!

Ktoś inny dorzucił:

— bałagan czy co — jakże tak —

Lecz Rudolf już zaczął śpiewać:

— gdy naród do boju wystąpił z orężem —

W tej chwili obejrzałem się z uczuciem jakiegoś nieuzasadnionego lęku, naglej trwogi — już wtedy poczułem skurcz serca, gdy pomyślałem „wzburzone fale morza” i „ze swego bocianiego gniazda — żeglarz nieustraszony” — tak, a teraz obejrzałem się raptownie... czy w oknie firmy Melchior Załaj jest jeszcze ten globus; nierozsądne! — bo gdzieżby się miał podziąć? — oczywiście był; i taki sam: Afryka, wyskubane wybrzeża Europy — te same rude, cienkie jak nitka granice — i słabe jak nitka mignęło mi przez głowę; — nawet mnie nieco rozśmieszyła ta mała kula ziemską, którą od biedy możnaby w futbol zagrać! — planeta — ziemia — glob! — ostatecznie z takiego naprzykład Marsa to ona, ta nasza ziemia, jeszcze jest mniejsza, całkiem mała, iskierka; i wszystko się na niej mieści i części świata i morza rozległe i powiat nasz i Wądołów z tłumem ludzi na rynku, z płaskim, blaszanym orłem na bruku i z Rudolfem tam na balkonie.

— za naszą niewolę kajdany —

(D. c. n.).

**Emil Zegadłowicz**

27)

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Cały mój wywód niedorzeczny trwał okamgnienie; lęk rozwiął się tak szybko jak nagle mnie opadł. Pozostało tylko uczucie niesmaku nieznanego mi treści i niedocieczonego pochodzenia; z powietrza po prostu — tego tu, śpiewem wstrząsane go powierza; chyba.

Bo też drżało powietrze — no! — tłum podchwycił melodię, rzuconą jak piłka z balkonu starostwa i odrzucał ją na mury domów, skąd odbijała się wraz z echem i pogłosem — dudniła i grzmiała, szumiała i gnała wiatrem po skośnej drodze słonecznego światła — odbita od ziemi, uderzała w niebo lazurowe, czyste i zimne.

Drżało powietrze — dzwięczały szyby.

W drzwiach sklepów wszczął się ruch — kupcy wychodzili z długimi żerdziami, zakończonymi żelaznym hakiem i ściągali z rumorem i churkotem żaluzje karbowane, u dołu, tam gdzie się schodzą uszka zakładali kłódki — poczem szybko zamykali drzwi sklepowe, zakładając deski i antaby. Przez czarne sienie zmykali co tchu.

Wszystkie te czynności były wcale hałaśliwe — tak, że niepokój, tumult i wrzawa wzrastały się

z każdą chwilą.

W momencie największego napięcia głosowego rynku, który był jak wnętrze bębna, trzapanego szybko pałką, w momencie więc, gdy ten cały hałas uderzył ludziom na mózg, tak, że dojrzewali do czynów nieopanowanych, odruchowych, nieobliczalnych i groźnych — przemykał się przyczajenie i skurczenie placykiem do zakrystii ku plebanii ksiądz proboszcz Tadeusz Dziecko (już go dawno nie ma w naszej parafii); co dopiero zrzucił był z siebie po nabożeństwie szaty liturgiczne — ktoś mu widać z parafian musiał szepnąć — ludzie tak łatwo szafują słowem „rozruchy”, więc tak mu to ktoś widać, powiedział — bo ksiądz Dziecko był najwidoczniej nastraszony — choć przecież nie miał czego; prawdą jest, że „trzymał” ze starostą, onymże Głodowskim, że w ogóle kumał się z władzą, właścicielami dóbr, fabrykantami, to prawda, lecz to są rzeczy zwyczajne, każdy ciągnie do lepszego, któżby jadł ziemniaki lub kapustę nie omaszczoną, jeśli może zjeść kotlet wieprzowy lub smażoną kiełbasę, takich głupich nie ma, zaś co do władzy, to zważywszy, że wszelka władza od Boga pochodzi — ksiądz obowiązkowo musi trzymać z każdą władzą, jeśli nie chce sprzeciwić się woli bożej i popaść w konflikt z niezbadanymi wyrokami niebios.

Tak te sprawy stały.

Niemniej jednak proboszcz Dziecko bał się w tej chwili — po prostu strach go obleciał — i oto chybkim i chyłkiem skradał się teraz do zacisznej, kadzidłem, kawalerstwem i tłustym jadłem pachnącej plebanii. — Prędko dopadł drzwi, dysząc i fucząc, bo tuszy był niczego sobie, zwyczajnie, proboszcz.

102  
otworzył je raptownie, wtoczył się do sieni i zatrzasnął za sobą bramę.

Najbliżej stojący tego placyku, jak później mówili, słyszeli, jak tam, już za zamkniętymi na klucz i na rygiel drzwiami miał się wyrazić: policji na tych gówniarzy (lubował się widać w tym słowie, bo wtedy co to na tej procesji, to też on był, ksiądz Dziecko, a jakże).

Czy to zdanie wypowiedział — w czym zresztą nie byłoby nic dziwnego, policja ma istotnie bronić mienia ludzkiego i tych, którzy je posiadają, tam gdzie nie ma niczego, niema również czego bronić, stąd by wynikało, że nie posiadający nic, nie wzbudzają ochronnych zainteresowań policji; lecz w tej materii jestem jak tabaka w rogu — tutaj to tylko chcę rzec, że, czy ksiądz proboszcz to zdanie „policji na tych gówniarzy” powiedział — nie wiadomo, czy je kto słyszał? — trudno dociec, czy usłyszawszy podał je dalej? — dowieść nie łatwo — czy jednak zaszło to, tamto, czy owo — dość, że zaraz po zatrzaśnięciu bramy plebanii — tłum śpiewający rozdzielił się na dwie dość równe części — i oto jedni zwrócili się twarzami ku plebanii i darli się w niebogłosość: o cześć wam biskupi, prałaci — drudzy zaś zwróceni ku starostwu ryczeli: o cześć wam panowie magnaci — co jednak, przyznać muszę, w śpiewie nakrywało się tak, że nie było żadnej różnicy w tych dwu zdaniach, były po prostu bliźniacze i dobrze z sobą harmonizowały. Całe szczęście! inaczej byłoby całe to śpiewanie fałszywie wypadło, a to byłoby przykre.

(D. c. n.).

**Emil Zegadłowicz**

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

**WIELOBOKI**

29)

co ustępuje. W tym założeniu biorą swój początek rewolucje.

Wracałem samotny opustoszałym rynkiem.

Serce biło mi w piersiach szybko i głośno; tyle wrażeń! i jakich wrażeń! byłem podniecony i jakby pijany.

Przechodząc obok strąconego ze starostwa orła — zatrzymałem się chwilę przed tą już nic nie znaczącą blachą.

— oto — powiedziałem głośno — na co ci to przyszło — dowojowałaś się braciszku, przyszła kryska na Matyska — a ta zwie się Rudolf! — serwus stary — śpij spokojnie — na nic już nie jesteś zdatny —

Tranzet glorii! Rupieciarnia historii!

Takie było moje ostatnie spotkanie się z dwugłowym orłem.

## ROZDZIAŁ ÓSMY.

Wracałem do domu podniecony i, jeśli to możliwe — rozkochany jeszcze bardziej w Rudolfie.

Oto znów urósł w moich oczach.

Nie zawiodłem się na nim. Byłem świadkiem jego czynu i jego tryumfu — i czegoś jeszcze więcej, o, znacznie więcej: — wzburzenia umysłów i rozplomienienia serc, które on wzburzył i rozplomienił.

Nieraz też sobie od tego czasu myślałem, że gdyby przyszło do... No tak! odpowiadałem mym myślom: on byłby pierwszy, on stanąłby na czele, on poprowadziłby do tego jutra, o którym wszyscy wiemy, że przyjść musi, tylko nie wiemy kiedy; — czy też Rudolf wie? — e, chyba wie; napewno wie.

Bo ja to tylko tak, jakby przez sen, trochę jak

w malignie — używam wprawdzie słów, jak i teraz, takich — o, „jutro“, „że przyjść musi“, „że, gdyby przyszło do“ — ale co one istotnie znaczą nie zdaję sobie jasno sprawy; to, że umiałem tylko napisać „do“, a potem dałem kropki świadczy dostatecznie o tym, że jestem jak tabaka w rogu.

Czasem potrafię całymi godzinami przeleżeć ukryty w wiklinach na łączkach wonnych, jakie się tu i ówdzie w tym gąszczu znajdują — wród ciszy i nagrzanego powietrza — Żnica szumi — czasem przeleci z klekotliwym śmiechem dzieciół — przysiądzie na pniu dębu — jest tutaj kilka dębów — oprze się na krótkim mocnym ogonie — postuka — okrąży w zwinnych rzutach pień — znów postuka — a potem z furkotem leci dalej — i znów cisza; — w takich chwilach myślę, żując źdźbło trawy, o przyszłości! nie mojej, ja przecież nie mogę mieć żadnej przyszłości; lecz o przyszłości w ogóle, że przecież takim trybem jak dotychczas ludzkość rządzić się nie może, że nie może być takiej nierówności jak jest, że ludzkość nie może głodować, żyć gorzej niż zgonione, zestrachane zwierzę, bo wszystko co tylko gdzie się wyprodukuje, to tylko na zbrojenia, na zaborczość, na śmierć wszystkich sromotną, okrutną, niezawistną — — ja wiem, że to śmieszne myśleć o takich rzeczach w Kopyniówce, choć z drugiej strony Kopyniówka jest jednym z tych miejsc, rzucanych poza nawias, po za szlak drogi, rzucona w wilczy dół! — I żeby tak ktoś tutaj... Bo ja nawet tych moich wyleżanych w wiklinowym gnieździe myśli nie potrafię skonkretyzować.

(D. c. n.)

mat państwowy.

I z apteki rządowej.

I z Izby skarbowej.

I z gmachu poczty.

I ze sklepu kolonialnego, którego właściciel pysznił się przywilejem: „c i k. nadworny dostawca“.

Wszędzie.

Został tylko na koszarach; wojsko bowiem z racji swej funkcji zasadniczej musi bronić wszystkiego

emble-

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBUKI

I w ogóle — smutno, — źle; — czekam. Na co?

Wczoraj odtwarzając w dosłownym brzmieniu zdarzeń ów piękny dzień Rudolfa — byłem podniecony i czułem jakby napływ energii; i jeszcze dzisiaj rano, lecz już tylko przez małą chwilę; Króciutko. Zaraz bowiem uderzył mnie obuchem zwykły rachunek, że to już tyle lat temu! że od dziesięciu lat nie widziałem Rudolfa. A potem przyszły zaraz jeszcze gorsze myśli mniej-więcej takie, że Kopyniówka czeka już wiele setek lat na, na czy ja wiem jak to powiedzieć? może na uczłowieczenie? to znaczy, żeby poczuła w sobie ludzką godność, poczuła, że jest potrzebna, że pracuje w jakimś pospólnym dobrze w dobrobycie wszelkim, że więc i jadła dość i opału i książek i czystego powietrza i — radości tyle chociaż ile jej ma wróbel ćwierkający na gałęzi. Żeby nie tak beznadziejnie ponuro, nicość taka! że gdy dziecko tutejsze stopami ziemi tej błotnej dotknie, to z latami rośnie w górę i równocześnie zapada się w ziemię — tak, że nigdy większego widnokręgu nie ogarnie, jak na tę pierwszą wysokość dziecka — a potem to już coraz mniej, bo coraz więcej zapada się w ziemię — po piersi — po ramiona — po szyję — po oczy, które ostatnim spojrzeniem wyrażają trwogę, rozpacz i nienawiść! Takie jest tutaj życie: zapadające się. Tak!

Przeto też, gdy zdarzy mi się czytać w gazetach, broszurach lub książkach, które tu czasem na chwili-

łą cudem jakimś zabłądzą na Kopyniówkę, aby zniknąć szybko i tajemniczo, gdy więc zdarzy mi się czytać o wznoszącym się życiu, o jakiejś radosnej rzekomo twórczości, o jakimś podciąganiu się wyżej — opanowuje mnie żalność wielka, a potem nagły gniew — rzucam tę broszurę czy gazetę o podłogę — chce mi się płakać i krzyżeć: czemu tak mówicie, czemu tak odurzacie siebie, nieprawdą są wasze słowa, nieprawdą i krzywdą — życie na Kopyniówce zapada się tonie w błocie, w bezrobociu, w nędzy. w bezradości, w obojętności ponurej lub w złości bezpłodnej — a z Kopyniówek składa się dziewięć dziesiątych krajul

Cóż w takich warunkach znaczą takie słowa, jak niepodległość? mocarstwowość? rząd? polityka? przemiany i ustalenia? — dla Kopyniówek to zdarzenia takie same jak dla wsi, której Kopyniówka jest nędznym przedłużeniem, podchodzącym pod małomiasteczkowość, my wszyscy mówimy tak samo: to są pańskie sprawy. I obojętniejemy do reszty. Błada mara obojętności ma oczy złe i nieprzyjemne; pobłyskują w niej wrogie ogniki; są to jedyne światełka naszych posępnych nocy. Gdyby się miały stać gwiazdami przewodnimi..

Muszę moje myśli oderwać od tej lepkiej mazi rzeczywistości.

Przywołam Rudolfa na pomoc.

Drugie z tej serii zdarzenie, z tej politycznej serii. A to było innym razem; czternaście lat temu; właściwie niespełna czternaście, bo to się działo w grudniu owego roku, teraz jest maj — więc trzynaście lat temu i siedem miesięcy.

Dnia tego straszliwie mnie głowa bolała, poprosiłem kolegę, żeby mnie na chwilę zastąpił przy okienku; nie dużo zresztą było tego dnia roboty. ranną pocztę już posegregowałem, część poumieszczałem w przegródkach i skrytkach — sąd, izba skarbową, posterunek policji i inne instytucje pu-

104  
bliczne odebrały swe pliki korespondencji — potwierdziłem wydanie w wielkich księgach, przybiłem stemple, podcyfrowałem J. Z. — teraz już była lżejsza robota; zresztą prosiłem o zastąpienie mnie na krótką chwilę, tyle, żeby kupić „kogutka” lub „kowskańską”.

Z tym więc zamiarem wstąpiłem do składu aptecznego, czyli do tak zwanej droguerii. Nie mogąc się po drodze z poczty do tego sklepu zdecydować na wybór takiego czy takiego środka — (— dlaczego lekarstwa nazywają także środkami nie wiem —), który by mi najskuteczniej uśmierzył ból głowy — wszedłem do droguerii i poprosiłem o — wedle uznania sprzedającego — coś pewnego przeciw mojej nieznośnej dolegliwości.

Dodać muszę, że wiadomości ostatnich dni życia politycznego były — dla mnie — deprymujące a całkiem ostatnie katastrofalne.

Nie rozmawiałem o tym z nikim, ponieważ mój naczelny szef pan dyrektor względnie naczelnik poczty oświadczył nam, gdy się tylko te zamieszki rozpoczęły:

— panowie, cicho, sza, mordy na guzik, ani pały z ust, ani mru-mru — niech sobie tam na górze łby pourywają — my tu na dole musimy żyć — jak będzie ukaz urzędowy to my tak — urzędnikowie nie wolno mieć żadnych przekonań, prócz wyluszczonej w obwieszczeniach, to sobie zapamiętajcie, ten kto nam płaci, ma prawo wymagać od nas, co sobie żywnie ubrda — tego by tylko brakowało, żebyśmy szczyli zamęt, mało go to na najwyższych szczeblach — tak, panowie, a teraz do okienek.

Odchodząc do swego pokoju urzędowego, odwrócił się jeszcze w naszą stronę i dodał:

— ja sam, panowie — tu machnął ręką; usłyszeliśmy jeszcze: psiakrew, niech szlak wszystko trafi; — trzaśnięcie drzwiami; i koniec; zostaliśmy sami.

(D. c. n.)

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Potem ten ból głowy; nic tylko migrena, w skroniach łupie, na wymioty zrywa, napewno migrena.

Na ulicy i na rynku wałęsały się i przystawały w żywej rozmowie grupki ludzi — lecz mało mnie to interesowało z powodu tego bólu; byłem otepiaty; wszystko mi się dwoiło w oczach; nie byłem pewny ilu ludzi spotkałem, jakie to były grupki, wszystkie przedmioty, a więc i postacie ludzkie widziałem otoczone mglistą tęczą; cały świat wyglądał jakby uszyty z chmur, zamieszkały przez duchy ubrane w worki z tęczy. Niedobrze mi się robiło.

Tymczasem droguerzysta zachwalał mi jakiś preparat i zapakował go w bibułkę pełną różnych kwadracików, które też pobudzały mdłości.

Oddając mi lekarstwo i inkasując pieniądze — spojrzał na mnie uważnie i rzekł:

— no to już i po balu —

— bardzo mi dolega — pożałowałem się.

— przejdzie — tak jak i to przeszło, aleśmy się pozbyli — co — ? —

Podkręcił sumiastego wąsa i poprawił binokle; nosił takie owalne bez oprawy; o ile je zdjął — miał po obu stronach nasady nosa czerwone wgłębienia.

Nie rozumiałem o co mu chodzi. Zauważył widać

moje zdziwienie, bo zapytał:

— jak to pan jeszcze nie wie — ? —

— nie wiem; — odpowiadam.

— no pozbyliśmy się tego inżyniera wodnego, tego masona — rzekł pogardliwie i jakby z pewnym obrzydzeniem.

— O kim pan mówi — ? —

— no o tym elekcie żydowskim — przecież dziś zastrzelono prezydenta —

— Jezus Maria — jęknąłem — jakto! —

— a no widzi pan, znalazł się taki bohater narodowy, paf! i już! — najwyższy był czas! Tylko wstyd dla narodu — taka zaporą przeciw duchowi narodowemu; naród może mieć tylko rząd narodowy i narodowego prezydenta —

Tak wciąż sadył: naród, narodowy, dla narodu. Był radosny i rozpromieniony.

Oniemiałem i zrobiło mi się nijako; złączałem jakbym był balonem, z którego wypuszczono powietrze.

Musiałem się oprzeć o ladę.

Głowa przestała mnie momentalnie boleć. Byłem oszołomiony.

Morderstwo o którym się dowiedziałem pośród szklanych słoików z tynkturami wydało mi się okropną rzeczą; czymś potwornym!

Ból, gniew, nienawiść, nieokreślona chęć mordy, przesywały się, jak szybko przierzucane klisze, przez moją świadomość; zasnuły ją blade obrazy ulic, pędzących koni, wystawy obrazów, panów w cylindrach, zamieszki, stłoczone place, ponure masy ludzkie, orszak pogrzebowy, okrzyki rewolucyjne. Wszystko to zjawiało się prędko, bezładnie, obraz wrastał w obraz — jak w śnie.

Otarłem drżącą ręką pot z czoła.

A ten tam pomiędzy wagą z mosiężnymi ciężarkami a maszyną do liczenia pieniędzy, miseczkami pełnymi koralików czerwonych do skrupulatniejszego odważania, gumową patarafią najeżoną kolcami — na której wydawał resztę — wsparty prawym ramieniem o lśniąca ladę, a lewą wymachując jakoś tak gimnastycznie — plół wciąż duby smalce o tężyznie narodowej, o duchu rycerskim przodków, którzy pod Wiedniem, Cecorą, Chocimem, Zbarażem, Raclawicami stawiali czoło przeważającym zastępom wroga, że w zdrowym ciele zdrowy duch — sokołem był ten droguerzysta, oczywiście — że nie zaprzepaścimy puścizny, którą nam Bóg dał, że ten co zastrzelił zaporę i zawadę jest bohaterem narodowym i szkoda, że nasz wieszcz Henryk nie dożył tej chwili, bo to jak Skrzetuski albo Podhipięta, który lży ronł nad nieszczęściem ojczyzny aż i zdzierzeć dłużej nie mógł i powiedział, dla ciebie słodka ojczyzno i dla chwały twojej! — Potem już aktualniej wiódł monolog dalej: — że jak robił — niby ś. p. prezydent — regulacje wód w Szwajcarii i ją elektryfikował — to mógł sobie tam zostać w tym kraju chłopów, po co się tu pchał? — my, bogudzięki, mamy ważniejsze rzeczy na głowie jak regulacje strumyków; cóż? Znicę też regulują i co z tego? — jak wylewała tak wylewa; szkoda czasu i atlasu! Co tam regulacje us... się na nie, najważniejsze duch narodu, byle świętości nie szargać! — I raz jeszcze: po co się tu pchał? — mnie go nawet żal, bo to nie on tyle zawinił co ten wschodni satrapa.

(D. c. n.)

## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Wiedziałem już, kogo miał na myśli, przypuszczam, że domyślałem się tego dość dokładnie.

Już chciałem wyjść. Proszek włożyłem machinalnie do kieszeni marynarki; otworzyłem właśnie usta, aby powiedzieć adje — gdy oto drzwi szklane otwały się — tak mocno i gwałtownie pchnięte — że rozwierając się uderzyły o półki ze słoikami — te zatrzęśły się gwałtownie, kilka obróciło się wokół swej osi i ustawiło skosno, kilka nawet spadło na kamienną posadzkę; podziwiać należy trwałość szkła — bo otwały się, szklane korki odskoczyły i potoczyły się daleko, zawartość wysypała się, a same słoje nie rozbiły się.

W tej samej prawie chwili, gdy skrzydło drzwi poczyniło te spustoszenia i nieporządki — wpadł Rudolf — sam — jeden; lecz poza szybą wystawową zobaczyłem sporą gromadę ludzi; to byli ci — czułem to przez skórę — którymi przewodził; posiadał ów tajemniczy zmysł przewodzenia, który mnie zawsze zdumiewał, a który decyduje w ogóle w zetknięciu z większą gromadą ludzi; ja nie posiadałem i nie posiadam go ani za grosz; nigdy. Zresztą na nic mi to nie było potrzebne; na cóż bowiem, proszę, przydałby mi się zmysł przewodzenia w pocztowym okienku; zapewne przeszkadzałby mi tylko; tak przypuszczam, wiedzieć oczywiście

nie mogę. Czy przychodzi się z tym — ciągle o tym zmysle przewodzenia mówię — na świat? czy może on się rozwinąć później pod wpływem dojrzałości, jakichś bodźców zewnętrznych lub wewnętrznych? czy mógłby go np. posiadać teraz, gdy mam tyle wolnego czasu? czy pojęcie emeryta zgadza się z pojęciem przewodzenia? czy nie wyłącza jedno drugiego? — tyle pytań, tyle niepotrzebnych pytań! gdzież tam ja! cóż ja! ot, plotę.

Tym czasem Rudolf wpadł z rozgnachem do wnętrza sklepu i wrzasnął:

— zamykać budę! migiem! żałobą narodową; my wam, dranie, pokażemy, co znaczy mordować prezydentów! — byliście, jesteście i zostaniecie zbrodniarzami!

Tak rzekł wzburzony Rudolf. A rzekł tak przed czterem laty! — jakże go mam nie kochać i nie czcić — tego, nieznanego, lecz wielkiego jasnowidza! — Wczoraj mordowali prezydenta, teraz katuszą Żydów, jutro zechcą wymordować połowę narodu, pojutrze szlakiem Wandalów zechcą ogniem i mieczem wyciąć ludzkość — aby tylko oni, tylko oni — bo oni to bóg, bo oni to naród, bo oni to tradycja — i djabli jeszcze wiedzą co! — A w czym są najgorsi? w czym ich czyny są niewybaczalne, w czym ich hańba jest nie do zmycia i nie do zapomnienia? — Oto w tym potwornym zdeprawowaniu młodzieży, w hodowli zbirów i huliganów, krwiożerczych durniów, bezwstydných rakarzy, którzy z kościoła robią łotrowską politykę, a ze spokojnych uczelni szlachtuz i miejsce kaźni.

O tym wiemy nawet tu na Kopyniówce.

Może dlatego, że w wyobrażeniu moim uniwersytet jest jakimś, o, już nie jest, był, już tylko był! — świętym miejscem szlachetnej wiedzy, dążenia, oświaty, nauki, mądrości — odczuwam to po-

106  
hańbienie budynku, z którego światłość ma na naród spłynąć — za największą zbrodnię. Pierwej czy później krew niewinnych przelana na posadzkach świątyni wiedzy, obróci się przeciw zbrodniarzom; to będzie krwawa rozprawa, bo krew wymaga krwi, a kto wiatr sieje zbiera burzę.

A może niepotrzebnie się wzburzam, może niepotrzebnie wszystko drży we mnie, gdy o tym piszę? — Teraz, pod koniec roku szkolnego wszystko się uspokoiło; lecz co będzie we wrześniu, co będzie w październiku? — a może nic nie będzie? — może przecież opamiętanie jakieś wejdzie w serca i umysły tych opętanych i szalonych ludzi? — Zobaczymy.

Tak tedy rzekł Rudolf.

Właściciel drogerii wyprostował się i zaraz potem skurczył i zmalął — prawie że mu tylko głowę z nadłady widać było.

W tej pozycji będąc nasrożył wasy, wyszczerzył zęby i zaczął zduszenie krzyczyć:

— żydy — pacholki żydowskie i was powystrzelamy — żydy — pacholki żydowskie — I tak w kółko.

Na to Rudolf pochwyił pierwszy z brzegu słoje z jakąś miksturą, ryknął:

— o, ty psiakrew, jedna, hycłu zatracony —

i rzucił zanim drogerzysta się spostrzegł; na szczęście Rudolf nie trafił, słoje roztrzaskał się o kant lady, posypały się szczerby po całym lokalu, a gęsta zawartość, podobna nieco do musztardy kremskiej, zalała włosy i twarz, wystającą z po nad blatu, zmiotła z niej binokle, przez co pograżyła właściciela w mgłę i odległym mroku.

Teraz Rudolf spostrzegłszy mnie, stojącego na uboczu, jak i ta Kopyniówka na uboczu wielkiego szlaku życia stoi — zawołał, muszę to powiedzieć z radością w głosie:

(d. c. n.)

## EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

— Jesteś? — znów cię widzę? Klawno! — Chodź z nama (zawsze chętnie orawił, gdy był czymś do żywego wzruszony), chodź z nama, powtórzył, będzie miy prać tych sk... endeków — morderców i hańbi-ciel, psakrew — tego hauptendeka już my nastraszili — łba z domu przez tydzień nie wychyli.

Zwinny i cały w ognjach, nie czekał na moją odpowiedź, czy przytaknięcie — a może mu się zdało, że już mi narzucił swoją wolę — dość, że wyskoczył ze sklepu, wrzasnął:

— Za mną!

Do tych tam przed oknem wystawowym stłoczonych i rozrastających się nowo przybyłymi w gromadę wcale już sporą.

— Za mną!

Cała kupa ludzi, może stu, może i więcej, pognała za nim.

Podeszwy ciężły mi jakby były z ołowiu. Machinalnie rozwinąłem w kieszeni jakiś paperek — nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, że to ten proszek przeciw bólowi głowy; i tę kopertkę, w którą był zapakowany, rozdarłem również, tak samą cienką bibułkę, pod którą już była sama mączka. Grzebałem dalej. Ponieważ podszewka tej kieszeni — to była lewa kieszeń marynarki — była rozpruta —

proszek, uwolniony z otaczających go powijków, począł się wysypywać. Spostrzegłem to dopiero przed samą bramą gmachu pocztowego, gdy to, zaciekawiony, gdzie też to Rudolf ze swoją watachą poszedł, obejrzałem się na przebytą drogę. Z Rudolfa ani śladu; dalekie odgłosy i gwary zdawały się świadczyć o tym, że skręcali w jakąś boczną ulicę. Natomiast wzdłuż całej tej przestrzeni, którą oto z droguerii szedłem, bieleł się wążutki jak nitka szlak usypany z tego proszku na ból głowy, który mi tak zachwalał sprzedający.

Pamiętam, że nagle posmutniałem jeszcze bardziej i pomyślałem machinalnie — nic, nic nie pomyślałem, tylko jedno słowo powtórzyło mi się kilka razy w mózgu:

— Rozproszkowany — rozproszkowany.

Pokiwałem głową i powtórzyłem:

— Rozproszkowany — rozproszkowany.

Lecz kto? czy ja? czy moje zamysły? czy życie moje? czy ten dzień? czy cały ten świat?

Nie umiałem na to odpowiedzieć; i dziś nie umiem.

Rudolf? — nonsens!!

Rudolf! Rudolf! — on zawsze wiedział! on był jednolity, trwały; zdaje mi się, że się również mówi: monolity.

Rudolf wiedział, gdzie sprawiedliwość.

Rudolf wiedział, co trzeba robić.

No, tak.

Ale wtedy, w maju, przed dziesięciu laty, już go nie było ani na Kopyniówce, ani w Wądołowie, ani w powiecie nawet — kto wie, może był poza granicami województwa? — wszystko możliwe; przestrzeń nie krępowała jego ruchów.

Próbowałem, czemużbym nie miał tego zwierzenia uczynić zeszytowi?, nie raz próbowałem wcielić się,

niejako w niego; upodobnić mój mózg do niego mózgu, do części jego mózgu, ma go zapewne większy i cięższy, niż ja, jego serce włożyć w moją pierś i szlachetny, śpiewny rytm jego pulsującej krwi prze-lać w moje żyły.

Lecz nic z tego nie wyszło!

Przy najbardziej medialnym natężeniu niczego prócz jego sławnego „nasermater“ w głębinach myśli zasłyszeć od niego nie zdołałem, lub nie potrafiłem.

Zapewne, gdybym był człowiekiem wyższej miary, gdyby pierś moja nie na miarę krawca lecz Fidasza — o, to właśnie! — natenczas miałbym i silniejszą wiarę w Rudolfa (tak, jak to mieć powinienem), i wcielenie moje byłoby doskonalsze, a przez to wyrazistsze, przede wszystkim zaś od—po—wie—dział—niej—sze! — Dodajmy do tego szczyptę orientacji osobistej — której mi zawsze brakowało — a byłbym zrozumiał! Byłbym na pewno zrozumiał!

„Nasermater“...

Przecież w tym dosadnym wyrażeniu Rudolfa było wszystko! — I pogląd polityczny, i przewidywanie, określenie sytuacji — jednym słowem pełna i wyczerpująca odpowiedź na dręczące mnie pytania i niepewności.

Naturalnie! Naturalnie!!

Dawno powinienem to był wiedzieć!

Osiół, osiół ze mnie!

Osiół i cztery litery — lepiej jeszcze: osłowe cztery litery.

Tak to sobie snuję wdzięczne marzenia w tę cichą majową noc na Kopyniówce.

(d. c. n.)



# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBOKI

Słowików nie słyszę, okno już dawno zamknąłem; może już śpią; może sobie przez sen marzą, jak ja; chociaż wątpię, czy słowiki interesują się polityką, jak, niestety, ja.

Trli — rli — rli — rli; naprawdę trudno naśladować słowika; trudno bardzo.

A Żnica szumi.

Słychać przez ściany i szyby.

Płynie sobie — mija Kopyniówkę — mnie i myśli moje.

Smutno mi i jakoś tęskno zarazem.

Odsunąłem firanki — spojrzałem na gwiazdy... świecą sobie...

Westchnąłem.

Od gwiazd dalekich odwróciłem powoli głowę ku bliskiemu łóżku; małe jest moje łóżko; wąskie. Wolałbym, żeby było szersze; na dwie osoby; i żeby w nim leżała kobieta, moja kobieta, którą bym kochał i która by mnie kochała. Żona. Żeby słuchała moich myśli; żeby czekała na mnie; prześcierałto i kołdra byłyby już ogrzane jej ciałem, gdybym...

Odwracając się potrąciłem niebacznie (w ogóle jestem niezgrabny) niebieski, wyszczerbiony flakonik, w którym kwiała kitka bzu tureckiego, tego gęstego, o dużych liliowych kwiatach, wśród któ-

rych można znaleźć pięciopłatkowe kwiaty, co oznacza szczęście, podobnie jak czterolistna koniczyna; nigdy nie znalazłem; na Kopyniówce takie coś nie rośnie.

Hałas i stuk spadającego flakona odtworzył mi w pamięci żywo ów moment runięcia dwugłowego orła na bruk, oraz trzask rozbitego słoja w droguerii. Równocześnie wykonał i inną mniej pożądaną czynność — zbudził mianowicie matkę, która spała jak mysz na pudle, żyła bowiem w wieczystej trwodze przed złodziejami.

Zaraz też po gwałtownym zetknięciu flakona z podłogą, co właśnie wzwyż przezemnie wzmiankowany hałas i stuk wywołało — weszła do mojego pokoju opatulona w kołdrę, a widząc mnie jeszcze w ubraniu o tak późnej godzinie, zaczęła z miejsca gderać:

- cóż to jeszcze nie śpisz?
- zaraz się kładę, mamó —
- ale żeby mi zaraz —
- tylko złodziei sprowadzisz tym swoim świeceniem — przecież jak tam ciemno, a tu jasno — to wszystko spenetrować mogą —
- coby też tu kradli —
- wszystko, dla złodzieja nic świętego — a pamiętasz, jak to...

Widząc, że się zanosi na opowiadanie, które już umiałem na pamięć, a którego nie rad byłbym słuchać w tej chwili właśnie, powiedziałem łagodnie:

- niech się mama położy, zmarznie mama —
- idę już idę — odrzekła niekontenta, lubiała bowiem wygadać się — ale, żebyś mi zaraz zgasił — szkoda nafty —
- to prawda. Nafty szkoda, wszystkiego szkoda!

Matka poszła.

Zdmuchnąłem lampkę.

Długo jeszcze patrzałem przez dziurki w firankach na dalekie gwiazdy.. świecą sobie, świecą... gwiazdeczki...

Pomżej stała rudawa łunka nad Wądołowem.

Wądołów — śródmieście — ma swoją elektryczność — wiadomo — stał ta luna...

A te gwiazdy... te gwiazdy... te dalekie gwiazdy... Znow psy na hyclówce wyją.

Dawno już nie słyszałem krzyku wariatki.

Kiedyż znowu...

Żnica szumi... płynie...

Gwiazdy świecą...

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sen jest jak pierzchliwy motyl; zaledwie siądzie i rozłoży barwne skrzydła w przepiękne desenie, w których nie trudno dopatrzeć się ludzkich twarzy, krajobrazów najrozmaitszych często egzotycznych, jakichś scen wielkich, pochodów, to znow zaciszny leśnych, strumyków i źródeł otoczonych paprociami i skrzypem, wśród których wylegają się piękne dziewczęta, bardzo często nieubrane — wpatrujesz się w to wszystko, zaczynasz się rozkoszować zauważeniami i obserwacją, zamierzasz się rzucić w ten sen na łeb, na szyję, pragniesz być już nie tylko widzem, lecz aktorem — aż tu motylek stula nagle skrzydełka i odfruwa w dalekie krainy; czasem wraca jeszcze raz na krótko, aby znow odlecieć i nie zjawiać się do białego rana. Sen pierzchł z oczu i myśli.

(d. c. n.)

# EGZYSTENCJE

Powieść współczesna

Część pierwsza:

## WIELOBUKI

Z takim, chciałoby się rzec, niesfornym motylem częstą mam styczość.

W takie noce, w które specjalnie jest pierzchliwy — napróżno staram się zachować jak najciszej — najspokojniej — aby niczym nie zrazić, aby go niebacznym ruchem nie spłoszyć; na nic moja ostrożność, na nic uważanie moje! — Ni stąd, ni z owąd, bez przyczyny rozumnej zaledwie rozłożył skrzydełka, już je momentalnie składa i odtruwa; i nie zawsze wraca. — To łajdak nie motyl — mówię od siebie zirytowany niewyspaniem i tym szkaradnym droczeniem się ze mną snu.

Czasem staram się go zwabić — zaciskam powiekami oczy i udaję, że śpię — niejako drzwi zostawiam otwarte, i lampkę przykręconą — bo nawet w takich chwilach pamiętam, aby nie szastać naftą — zostawiam w sieni, aby sobie sen każdej minuty, kiedy mu się zechce, mógł wejść — napróżno! — Jak ptak, wabiony ziarnem, przeczuwa, że się go chce złowić — umyka i wierci się na gałązce i wreszcie odlatuje — tak i ten sen.

Cóż więc? — mam może gwizdać, jak na psa? — może mam wołać, jak na kury i kurczęta: tju-tju, tju-tju, tju-tju, lub: cip-cip, cip-cip? — nie, snu nie przywabisz niczym! — Choćbyś wołał, jak na kacz-

ki: taś-taś-taś, lub na gęsi: wul, wul, wul, lub na króliki: truś, truś, truś, lub na kozy: kozis'ia me — sen cię nie usłucha, a ty ośmieszasz się tylko i wychodzisz na dudka.

Tak było, proszę, i tej nocy.

Po dniu wczorajszym żadną miarą usnąć nie mogłem.

Rozwazałem — jeśli tak rzecz wypada — od przodu i od tyłu wszystkie sprawy dręczące mnie, sprawy niejednokrotnie związane z postacią Rudolfa.

Starałem się zrobić sobie z niego drogowskaz — lecz nie zawsze się to udawało.

Nie nadawał się po prostu na to. Drogowskaz to jednak, cokolwiek by się innego pod to pojęcie podsuwało, to jednak drogą z sztywną drewnianą ręką zwiniętą w pięść prócz palca wskazującego, który właśnie kierunek wskazuje; są takie drogowskazy o jednej, dwu i trzech rękach; znam nawet taki o czterech, ale to rzadkość; — przyznam się, że taki ociosany czworogranny korpus, posiadający kilka rąk, a ani jednej głowy — zawsze mnie nieco niepokoił; jakiś strach idzie od takiej anormalności; nie umiem się też powstrzymać od wyobrażenia sobie rozmaitych przewodców i, jak się to mówić zwykło w czasach dzisiejszych „firerów“, jako takie właśnie drągi bez głów, władczym ruchem wyciągających rękę zwiniętą w pięść, prócz tego palca wskazującego: tam! „tam“, to znaczy, że tam jest zbawienie ludzkości; taki drogą, jak rzekłem, może mieć kilka rąk, a na każdej inny napis, np. — na jednej ręce: „pokój“, na drugiej: „armaty“, na trzeciej „wielkość“, na czwartej: „wojna“ i t. d. Taki wyobrazeniowy drogą, to sobie może fundnąć i więcej rąk, ile tylko żywnie chce, tak się przecież z niczym nie liczy, on tworzy historię, to znaczy powiększa dzieje mordów,

grabieży, aneksów; sięga do przykładów najkrwawszych ludzi i najbrutalniejszych myśli.

Ale ja nie o tym.

Z tych drogowskazów zaszedłem w bezdroża; kto wie, czy to nie jest znamienne.

Bezsenna noc nie była jednak całkiem zdana na przepaść. Wypełniłem ją mirażami wspomnień dotyczących Rudolfa.

Scena za sceną, zdarzenie za zdarzeniem przesuwały się obrazy przed moimi otwartymi oczyma.

Jakość ich zwiewnej treści pouczyła mnie właśnie o tym, że od drogowskazu martwego i nieruchomego różni Rudolfa lotność, zmienność i niefrasobliwość, pierwiastek raczej fantastyczny i baśniowy. Ze posiadał również i umiejętność czynów wyrosłych na zapale i entuzjazmie, to tylko dobrze o nim świadczy i podbarwia całe zjawisko silnym kolorem.

Mnie zaś osobiście, człowieka cichego, powoli się orientującego, chwiejnego i nieśmiałego — najsilniej przekonywała pewność, rezolucyjność i kategorię sposobu myślenia i odnoszenia się do ludzi i zdarzeń mojego przyjaciela.

Pierwszy raz spotkałem się z Rudolfem, mając lat jedenaście.

Mieszkał on wtedy przez jakiś czas przy tej samej ulicy, co ja, oczywiście nie w tej bezimiennej bocznicy, lecz przy głównym trakcie ulicy Koziej.

Był ślicznym chłopczykiem o długich, łnianych włosach ściętych w równą grzywkę nad bystrymi, żywymi oczkami.

Matka, wdowa po urzędniku sądowym, kanceliście, miała skromną emeryturkę; przy zabiegliwości i rządności wystarczyło jej jednak w zupełności.

(d. c. n.)

10  
GR

# DZIENNIK

10  
GR

# POPULARNY

## Chiny

zbudziły się pod obuchem przymierza niemiecko-japońskiego

### Sytuacja w prowincji Szansi

SZANGHAJ (PAT). W prowincji Szansi zaczęły się już rzekomo działania wojenne i doszło do starcia pomiędzy wojskami rządowymi a powstańcami, których siły obliczają na 100 tys. Wojska rządowe pospiesznie są wysyłane w celu stłumienia rewolty. Ruch kolejowy pociągów zatrzymano. Znaczną część pociągów zajęta jest przez transporty wojskowe.

Na czele wojsk rządowych stanął minister wojny Hoying-Czin. Wódz powstańców Czang-Sueh-Liang zajął ważną pozycję strategiczną w Tung-Kwan na granicy prowincji Honan i Szansi.

Australijczyk Donald, bliski przyjaciel Czang-Kai-Szeka i Czang-Sueh-Lianga, zamierza udać się samolotem do Sian-Fu, aby doprowadzić do uwolnienia Czang-Kai-Szeka.

Pani Czang-Kai-Szek zamierza wystartować samolotem z

### Warunki Czang-Sue-Lianga

SZANGHAJ (PAT). Donoszą z Nankinu, że Czang-Sue-Liang miał przedstawić rządowi centralnemu 8 warunków:

Zaprzestanie walki przeciwko czerwonym.

Dopuszczenie komunistów do Kuomintangu, jak to było przed rokiem 1927.

Zawarcie przymierza z Sowietami.

Stawienie oporu Japonii.

Utworzenie rządu japońskiego.

Zwołanie konferencji „narodowego zbawienia”.

Wolność prasy.

Amnestia dla wziętych politycznych.

PEKIN (PAT). Czang-Sueh-Liang, żądając reorganizacji rządu nankińskiego, wysunął następujące trzy postulaty:

Wypowiedzenie wojny Japonii.

Współdziałanie z chińskimi wojskami czerwonymi.

Przymierze z Z. S. R. R.

Pekińskie koła polityczne twierdzą, że władze całego szeregu chińskich prowincji byłyby skłonne do poparcia polityki Czang-Sueh-Lianga.

Sung-Szen-Yuan, przewodniczący rady politycznej Hopen i Czaharu, odbył długą konferencję z kilku dostojnikami wojskowymi. celem naradzenia się nad wytworzoną przez zamach stanu sytuacją. Jeden z wybitnych przedstawicieli chińskich kół politycznych oświadczył reprezentantom prasy, że

jakkolwiek Sung-Szen-Yuan przeciwstawia się zasadniczo komunizmowi, to jednak jest on również zwolennikiem reorganizacji rządu nankińskiego.

Tashiro, szef organizacji japońskiej w Chinach północnych zwołał pospiesznie w Tientinie konferencję wyższych oficerów japońskich.

Aresztowanie Czang-Kai-Szeka nastąpiło w chwili, gdy powracał on wraz z Czang-Sueh-Liangiem koleją z kąpielowej miejscowości Huat-Szing-Szin, w oko-

Nankinu do Luoyang, ale przeszkodził jej w tym przyjaciele, którzy obawiali się, że będzie usiłował udać się następnie do Sian-Fu, narażając swe życie na niebezpieczeństwo.

### Stan wojenny w Szanghaju

SZANGHAJ (PAT). Rząd centralny upoważnił komitet wojskowy do ogłaszania stanu wojennego wszędzie, gdzie to będzie uznane za konieczne. Poza Nankinem stan wojenny proklamowano przede wszystkim w Szanghaju.

Pomimo to, że rząd nankiński

### Pierwsze starcia

PEKIN (PAT). Według krążących pogłosek, w okolicy Lin-Toun, gdzie znajduje się kwatera główna Czang-Sue-Lianga, doszło już do starcia pomiędzy wojskami rządowymi, dowodzone-

mi przez gen. Yang-Hu-Czengą a powstańcami.

Wojska prowincji Honan przybyły już na granice prowincji Szansi. Linia kolejowa w Tung-Kuan i Sian-Fu jest rzekomo przerwana.

W kierunku Sian-Fu posuwają się oddziały wojsk komunistycznych, dowodzone przez gen. Pouch-Bua, w zamiarze poparcia rewolty Czang-Sue-Lianga.

### Czy Czang-Kai-Szek żyje?

SZANGHAJ (PAT). Czang-Sueh-Liang wysłał do ministra wojny Hoying-Szing depeszę z zawładowaniem, że Czang-Kai-Szek jest zdrowy i nie zagraża mu żadne niebezpieczeństwo. W de-

### Rząd nankiński przeciwko Czang-Sue-Liangowi

LONDYN (PAT). Rząd nankiński, po posiedzeniu, które zakończyło się w nocy, wydał manifest do narodu chińskiego, wymierzony przeciwko marszałkowi Czang-Sue-Liangowi.

Rząd nankiński postanowił: 1) złożyć z urzędu marszałka Czang-Sue-Lianga, 2) przewodnictwo

### Prasa francuska o wydarzeniach

PARYŻ (PAT). Prasa francuska w pierwszych komentarzach na temat wydarzeń na Dalekim Wschodzie wypowiada przekonanie, że aresztowanie Czang-Kai-Szeka i bunt Czang-Sue-Lianga należy uważać za reakcję na pakt niemiecko-japoński.

### Stanowisko Japonii

TOKIO (PAT). Rząd japoński, jak się dowiaduje Reuter, zamierza narazić, wobec wypadków chiń-

### Tokio woła „trzymaj złodzieja”

TOKIO (PAT). Agencja Havasa charakteryzując sytuację polityczną w Japonii, w związku z ostatnimi wydarzeniami w Chinach, donosi: Obserwatorzy japońscy określający wydarzenia w Sian-Fu jako „zamaskowaną interwen-

### Zaprzeczenie z Moskwy

MOSKWA (PAT). Agencja TASS donosi: W związku z insynuacją japońskiego dziennika „Niszi-Niszi”, rozpowszechnianą przez agencję Domei, że Czang-Sue-Liang utworzył rzekomo rząd,

### Depresje w Szanghaju

SZANGHAJ (PAT). Aresztowanie dwóch emisariuszy generała Litsungena, który w czerwcu był jednym z głównych przewodników rewolty w prowincjach Kwantungu i Kwang-Si przeciwko rządowi nankińskiemu.

dokonał już poważnych przesunięć oddziałów wojskowych, panuje przekonanie, że będzie usiłował on doprowadzić do pokoju przez załatwienie konfliktu przez osiągnięcie porozumienia z powstańcami w Sian-Fu.

### Pierwsze starcia

mi przez gen. Yang-Hu-Czengą a powstańcami.

Wojska prowincji Honan przybyły już na granice prowincji Szansi. Linia kolejowa w Tung-Kuan i Sian-Fu jest rzekomo przerwana. W kierunku Sian-Fu posuwają się oddziały wojsk komunistycznych, dowodzone przez gen. Pouch-Bua, w zamiarze poparcia rewolty Czang-Sue-Lianga.

peszy wyrażona jest również zgoda na wystąpienie, celem wszczęcia rokowań, do Sian-Fu australijczyka Donald, doradcy Czang-Kai-Szeka.

komitetu wykonawczego powierzył prowizorycznie ministrowi finansów Kungowi, 3) na czele komisji wojskowej postawił Feng-Yuh-Sianga, 4) naczelne dowództwo nad armią przekazał ministrowi wojny Hoy-Ing-Siangowi.

W Nankinie panuje spokój.

## Hiszpania stawia opór najmitom niemiecko-włoskim

### Boją się woli ludu hiszpańskiego

RZYM (PAT). W odpowiedzi swej na angielsko-francuskie propozycje w sprawie Hiszpanii rząd włoski podkreśla m. in.: „Rządy brytyjski i francuski wysuwają idee akcji mediacyjnej ze strony państw najbardziej zainteresowanych i proponują położyć kres walce zbrojnej krwawiącej Hiszpanii i spowodować, aby kraj hiszpański mógł wyrazić swą wolę w plebiscycie. Taka idea oczywiście nie może nie być przyjęta z zadowoleniem przez rząd włoski. Rząd włoski stawia sobie jednak pytanie, czy w obecnych warunkach zastosowanie plebiscytu w Hisz-

panii może wchodzić w ramy możliwości praktycznej”.

Odpowiedź włoską, bardzo zbliżoną w swej treści do noty niemieckiej, charakteryzuje zrozumiała nlechę do plebiscytu, w którym lud hiszpański — jeszcze raz — wyraziłby swą wolę przed generałami i ich mocodawcami.

### Minorowy ton komunikatów powstańczych

RABAT (PAT). Komunikat stacji radiowej w Sewilli donosi: Panujący na większości odcinków

frontu spokój pozwala nieprzyjacielowi na umacnianie zajmowanych pozycji. Jedynie na froncie Alawy zaznaczyła się pewna aktywność, gdzie milicjanci baskijscy przypuścili szereg ataków na Villareal. Na odcinku Sigüenza toczyły się walki w okolicy Vegailla. Na podziemnym froncie doszło do drobnych utarczek na prawym skrzydle w odcinku Estepona.

Pierwsze linie pozycji wojsk rządowych w Paseo de Rosales zostały umocnione gęstą siecią drutu kolczastego. W całym szeregu dzielnic miasta zbudowano specjalne schrony betonowe. Wszystko to robi wrażenie niezwykle starannego przygotowania do wkrótce się rozpocząć mającej ofensywy powstańczej.

szymu i skaptowanie mas chłopskich i drobnych mieszczan. Oświadczenie swe zakończył Comorera kategorią „pętle tendencji separatystycznych, podtrzymywanych przez „faszizm międzynarodowy”. Kłamstwo, jakoby Katalonia była tylko kolonią sowiecką, stało się z punktu widzenia dyplomatycznego sprawą bardzo poważną i stanowi poważne niebezpieczeństwo, którego należy uniknąć.

### Katalonia tworzy regularną armię

HENDAYE (PAT). Z Barcelony donoszą: Utworzenie regularnej armii w Katalonii zostało unormowane dekretem, opublikowanym dnia 9 grudnia. Powstaje 12 pułków piechoty i artylerii i 8 oddziałów wojsk pomocniczych. Rzecznicy wojskowi twierdzą, że

armia ta odegra wybitną rolę nie tylko z punktu widzenia obecnych działań wojennych, ale także z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej i przyszłości Katalonii. Utworzenie własnej regularnej siły zbrojnej stanowi jaskrawe zamyślenie o niezawisłości Katalonii.

armia ta odegra wybitną rolę nie tylko z punktu widzenia obecnych działań wojennych, ale także z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej i przyszłości Katalonii. Utworzenie własnej regularnej siły zbrojnej stanowi jaskrawe zamyślenie o niezawisłości Katalonii.

armia ta odegra wybitną rolę nie tylko z punktu widzenia obecnych działań wojennych, ale także z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej i przyszłości Katalonii. Utworzenie własnej regularnej siły zbrojnej stanowi jaskrawe zamyślenie o niezawisłości Katalonii.

armia ta odegra wybitną rolę nie tylko z punktu widzenia obecnych działań wojennych, ale także z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej i przyszłości Katalonii. Utworzenie własnej regularnej siły zbrojnej stanowi jaskrawe zamyślenie o niezawisłości Katalonii.

armia ta odegra wybitną rolę nie tylko z punktu widzenia obecnych działań wojennych, ale także z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej i przyszłości Katalonii. Utworzenie własnej regularnej siły zbrojnej stanowi jaskrawe zamyślenie o niezawisłości Katalonii.

armia ta odegra wybitną rolę nie tylko z punktu widzenia obecnych działań wojennych, ale także z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej i przyszłości Katalonii. Utworzenie własnej regularnej siły zbrojnej stanowi jaskrawe zamyślenie o niezawisłości Katalonii.

armia ta odegra wybitną rolę nie tylko z punktu widzenia obecnych działań wojennych, ale także z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej i przyszłości Katalonii. Utworzenie własnej regularnej siły zbrojnej stanowi jaskrawe zamyślenie o niezawisłości Katalonii.

armia ta odegra wybitną rolę nie tylko z punktu widzenia obecnych działań wojennych, ale także z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej i przyszłości Katalonii. Utworzenie własnej regularnej siły zbrojnej stanowi jaskrawe zamyślenie o niezawisłości Katalonii.

armia ta odegra wybitną rolę nie tylko z punktu widzenia obecnych działań wojennych, ale także z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej i przyszłości Katalonii. Utworzenie własnej regularnej siły zbrojnej stanowi jaskrawe zamyślenie o niezawisłości Katalonii.

armia ta odegra wybitną rolę nie tylko z punktu widzenia obecnych działań wojennych, ale także z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej i przyszłości Katalonii. Utworzenie własnej regularnej siły zbrojnej stanowi jaskrawe zamyślenie o niezawisłości Katalonii.

armia ta odegra wybitną rolę nie tylko z punktu widzenia obecnych działań wojennych, ale także z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej i przyszłości Katalonii. Utworzenie własnej regularnej siły zbrojnej stanowi jaskrawe zamyślenie o niezawisłości Katalonii.

### Ważne jest tylko pokonanie faszyzmu

BARCELONA (PAT). Comorera, były radca rządu katalońskiego, jedna z czołowych osobistości Zjednoczonej Partii Socjalistycznej Katalonii, złożył prasie następujące oświadczenie na temat przesilenia w tonie Rady Generalitad: Zagadnienie polityczne, które dało początek przesileniu, wysunięte zostało przez partię socjalistyczną 24 listopada. W piśmie, wystosowanym do Narodowej Konferencji Pracy, daliśmy wyraz zapatrywaniu, że położenie wymaga zmiany metod kierownictwa i organizacji wojny. Za proponowaliśmy przede wszystkim reorganizację Rady Generalitad i przekształcenie jej w rząd, obdarzony pełnomocnictwami, w którym wzięliby udział najwybitniejsi przedstawiciele Narodowej Konferencji Pracy, Unii Generalnej Pracy, Lewicy Republikańskiej i Unii Dzierżawców, co dałoby pewność, że zadanie rządu nie będzie już więcej paraliżowane przez niekończące się narady. Zmiana ta musiałaby pociągnąć za sobą zniesienie komitetu bezpieczeństwa wewnętrznego i sekretariatu obrony. Miano stworzyć Najwyższą Radę Obrony, która byłaby odpowiedzialna jedynie przed Radą Generalitadu. Ta nowa Rada miałaby się poświęcić wyłącznie zadaniu organizacji wojny z zaniechaniem na razie zagadnienia przyszłej organizacji społeczeństwa.

Ważne jest tylko pokonanie fa-

### Japonia występuje z wyższichtanym hasłem

TOKIO (PAT). Dziennik „Asahi” pisze, że Japonia, nie przejmując się wydarzeniami w Chinach, przedsięwzięciem obecnie energiczną akcją, mającą na celu „usta bilizowanie sytuacji w Chinach Północnych”. Jednocześnie rząd japoński gotów będzie przy pierwszej okazji wznowić rokowania z Chinami, sądzi bowiem, że obecnie rząd nankiński przyjąłby propozycje japońskie, jako że konaszczy Czang-Sue-Lianga z komunizmami wykazywały konieczność obrony przeciwko komunizmowi w drodze połączenia sił chińsko-japońskich.

### Międzynarodówka faszystowska

DUBLIN (PAT). 800 ochotników, którzy zamierzają walczyć po stronie gen. Franco, weszło dziś rano na pokład specjalnie wynajętego statku, który ma udać się do Hiszpanii. Oddział ten, jak się dowiaduje Reuter, stanowił część t. zw. brygady irlandzkiej gen. O'Duffy.

### Minorowy ton komunikatów powstańczych

RABAT (PAT). Komunikat stacji radiowej w Sewilli donosi: Panujący na większości odcinków

frontu spokój pozwala nieprzyjacielowi na umacnianie zajmowanych pozycji. Jedynie na froncie Alawy zaznaczyła się pewna aktywność, gdzie milicjanci baskijscy przypuścili szereg ataków na Villareal. Na odcinku Sigüenza toczyły się walki w okolicy Vegailla. Na podziemnym froncie doszło do drobnych utarczek na prawym skrzydle w odcinku Estepona.

Pierwsze linie pozycji wojsk rządowych w Paseo de Rosales zostały umocnione gęstą siecią drutu kolczastego. W całym szeregu dzielnic miasta zbudowano specjalne schrony betonowe. Wszystko to robi wrażenie niezwykle starannego przygotowania do wkrótce się rozpocząć mającej ofensywy powstańczej.

szymu i skaptowanie mas chłopskich i drobnych mieszczan. Oświadczenie swe zakończył Comorera kategorią „pętle tendencji separatystycznych, podtrzymywanych przez „faszizm międzynarodowy”. Kłamstwo, jakoby Katalonia była tylko kolonią sowiecką, stało się z punktu widzenia dyplomatycznego sprawą bardzo poważną i stanowi poważne niebezpieczeństwo, którego należy uniknąć.

armia ta odegra wybitną rolę nie tylko z punktu widzenia obecnych działań wojennych, ale także z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej i przyszłości Katalonii. Utworzenie własnej regularnej siły zbrojnej stanowi jaskrawe zamyślenie o niezawisłości Katalonii.

armia ta odegra wybitną rolę nie tylko z punktu widzenia obecnych działań wojennych, ale także z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej i przyszłości Katalonii. Utworzenie własnej regularnej siły zbrojnej stanowi jaskrawe zamyślenie o niezawisłości Katalonii.

armia ta odegra wybitną rolę nie tylko z punktu widzenia obecnych działań wojennych, ale także z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej i przyszłości Katalonii. Utworzenie własnej regularnej siły zbrojnej stanowi jaskrawe zamyślenie o niezawisłości Katalonii.

armia ta odegra wybitną rolę nie tylko z punktu widzenia obecnych działań wojennych, ale także z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej i przyszłości Katalonii. Utworzenie własnej regularnej siły zbrojnej stanowi jaskrawe zamyślenie o niezawisłości Katalonii.

armia ta odegra wybitną rolę nie tylko z punktu widzenia obecnych działań wojennych, ale także z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej i przyszłości Katalonii. Utworzenie własnej regularnej siły zbrojnej stanowi jaskrawe zamyślenie o niezawisłości Katalonii.

armia ta odegra wybitną rolę nie tylko z punktu widzenia obecnych działań wojennych, ale także z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej i przyszłości Katalonii. Utworzenie własnej regularnej siły zbrojnej stanowi jaskrawe zamyślenie o niezawisłości Katalonii.

armia ta odegra wybitną rolę nie tylko z punktu widzenia obecnych działań wojennych, ale także z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej i przyszłości Katalonii. Utworzenie własnej regularnej siły zbrojnej stanowi jaskrawe zamyślenie o niezawisłości Katalonii.

armia ta odegra wybitną rolę nie tylko z punktu widzenia obecnych działań wojennych, ale także z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej i przyszłości Katalonii. Utworzenie własnej regularnej siły zbrojnej stanowi jaskrawe zamyślenie o niezawisłości Katalonii.

armia ta odegra wybitną rolę nie tylko z punktu widzenia obecnych działań wojennych, ale także z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej i przyszłości Katalonii. Utworzenie własnej regularnej siły zbrojnej stanowi jaskrawe zamyślenie o niezawisłości Katalonii.

armia ta odegra wybitną rolę nie tylko z punktu widzenia obecnych działań wojennych, ale także z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej i przyszłości Katalonii. Utworzenie własnej regularnej siły zbrojnej stanowi jaskrawe zamyślenie o niezawisłości Katalonii.

armia ta odegra wybitną rolę nie tylko z punktu widzenia obecnych działań wojennych, ale także z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej i przyszłości Katalonii. Utworzenie własnej regularnej siły zbrojnej stanowi jaskrawe zamyślenie o niezawisłości Katalonii.

armia ta odegra wybitną rolę nie tylko z punktu widzenia obecnych działań wojennych, ale także z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej i przyszłości Katalonii. Utworzenie własnej regularnej siły zbrojnej stanowi jaskrawe zamyślenie o niezawisłości Katalonii.

armia ta odegra wybitną rolę nie tylko z punktu widzenia obecnych działań wojennych, ale także z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej i przyszłości Katalonii. Utworzenie własnej regularnej siły zbrojnej stanowi jaskrawe zamyślenie o niezawisłości Katalonii.

### Powieść E. ZEGADŁOWICZA

Od dnia 1 stycznia 1937 r. rozpoczynamy w „Dzienniku Popularnym” druk specjalnie dla „Dziennika Popularnego” napisanej powieści Emila Zegadłowicza

## „EGZYSTENCJE”

## Z Chin

### Bezpośrednie przyczyny wydarzeń chińskich

SZANGHAJ. (PAT.). Całe Chiny śledzą z żywym zaniepokojeniem wydarzenia w prowincji Szeński. Sytuacja jest o tyle groźniejsza, że marsz Czang-Kai-Szeka, którego los nadal nie jest znany, sprawował w praktyce całą pełnię władzy, będąc uosobieniem zjednoczenia narodowego. Bunt wojsk Czang-Sue-Lianga nie był całkowitą niespodzianką dla kół dobrze poinformowanych. Czang-Sue-Liang dowodził armią w sile 200 tys. żołnierzy, pochodzących z Mandżurii, którzy wycofali się do Chin po proklamowaniu państwa Mandżukuo. Armia ta została wysłana przeciwko wojskom komunistycznym, skoncentrowanym w północno-zachodnich prowincjach Chin.

W wojskach Czang-Sue-Lianga od szeregu miesięcy rosło niezadowolone. Żołnierze, wyczerpani na skutek długotrwałego wygnania z rodzinnych okolic, obawiali się, że zostaną rozproszeni i wysłani partiami do prowincji Fokien. Wielu

żołnierzy nie chciało walczyć z komunistami i głośno domagało się wojny z Japonią.

Pobyt m. rz. Czang-Kai-Szeka w październiku pozornie spowodował uspokojenie. Czang-Sue-Liang przyrzekł wierność Czang-Kai-Szekowi. W Szanghaju twierdzą, że obecny bunt został wywołany przez kilku podwładnych Czang-Sue-Lianga. W Chinach zapanowało wielkie podniecenie od chwili zaatakowania prowincji Suijuan przez Mongołów, popieraną przez czynniki zagraniczne.

Odbyły się manifestacje antyjapońskie w Pekinie i Szanghaju, zorganizowane przez studentów i inteligencję, należącą do tak zw. „Stowarzyszenia Zbawienia Narodowego”. Nawet w łonie Kuomintangu istnieje ma odłam, sprzyjający idei przymierza z Sowietami przeciwko Japonii. Ostatnie wydarzenia w Szeński wskazują, że nie które elementy nie cofają się przed niczym celem zmuszenia rządu do zajęcia nieprzejednanego stanowiska wobec Japonii.

## Z Hiszpanii

### Sukcesy rządu w dzielnicy uniwersyteckiej

MADRYT. (PAT.). Rada Obrony Madrytu donosi: Atak czołgów po wstańczej na odcinek dzielnicy uniwersyteckiej został zdecydowanie odparty. Powstańcy pozostawili na przedpolu okopów rządowych około 50 zabitych i dwa czołgi pochodzenia niemieckiego.

Na innych odcinkach frontu madryckiego nie zaszło nic godnego uwagi. W odcinku Huesca posuwają się wojska rządowe zwycięsko naprzód. Zajęto wsie Corozosa, Adenillas, Orbeles i Alavert. W czasie walki powietrznej nad lotniskiem w Vitoria, stracono dwa myśliwskie samoloty powstańcze.

### Słowa del Vayo reprezentowały opinię ludu

WALENCJA. (PAT.). Agencja rządu madryckiego donosi, że na daję: Hiszpania republikańska śledzi z ogromnym zainteresowaniem obrady genewskie. Prasa poświęca długie komentarze przemówieniu ministra del Vayo i jego odzewom, podkreślając, że energiczne słowa ministra, pozbawione

całkowicie momentów egoistycznych, stanowią ściśle odbicie opinii ogółu. Prasa nie wyraża zdziwienia z powodu nieobecności Włoch w Genewie ani z powodu propozycji francusko-brytyjskiej, podkreślając zwycięstwo lewicy w wyborach z dn. 16 lutego.

### Co przechowują „duchowni“

WALENCJA. (PAT.). Agencja rządu madryckiego donosi, że w miejscowości Aravaca na froncie madryckiego rewizji, dokonana w mieszkaniu dwóch duchownych, wykryła wielką ilość dynamitu,

broni i amunicji. Dwaj duchowni zostali zatrzymani. Wczoraj w godzinach popołudniowych lotnicy rządowi stracili samolot powstańczy.

### Franco chce walki bez kompromisów

SALAMANCA. (PAT.). Jak podaje korespondent Havasa, w kołach powstańczych śledzą z wielką uwagą, ale bez zdenerwowania debaty genewskie nad francusko-brytyjskim projektem pośrednictwa w Hiszpanii. Jedną z wybit-

nych osobistości otoczenia gen. Franco oświadczyła korespondentowi w Havasie, że mediacja nie jest możliwa, ponieważ nacjonalistę podjęli walkę, nie dopuszczającą żadnej możliwości kompromisu.

### Mimowolny humor Igarza z Sewilli

SEWILLA. (PAT.). Gen. Queipo de Llano w przemówieniu, wygłoszonym wczoraj przez radio, zaprzeczył, jak zwykle, wszelkim wiadomościom rządu madryckiego. Mówiąc następnie o polityce sędziennej, generał oświadczył, że

pod rządami nacjonalistów strajki znikną w harmonii z kapitałem. Kapitał będzie musiał zdać sobie sprawę z tego, że wchodzący w okres ofiar na rzecz robotnika i że nie będzie można dalej żyć, nie pracując.

## Wykrętna odpowiedź Niemiec

BERLIN. (PAT.). Niemieckie Biuro Informacyjne ogłosiło tekst wręczonego w sobotę po południu ambasadorom Anglii i Francji memorandum.

Rząd niemiecki podziela życzenie obu rządów, aby w Hiszpanii możliwe szybko zostały przywrócone uporządkowane stosunki pokojowe, a przede wszystkim, aby zapobiec przeniesieniu się pożaru na pozostałe części Europy.

Czy jednak ogólny zakaz pośredniej lub bezpośredniej interwencji wiodzie dziś do tego celu —

wydaje się wątpliwym.

Rząd niemiecki gotów jest brać nadal, jak dotychczas, udział we wszystkich obradach londyńskiego komitetu nad zmianą obecnego stanu rzeczy i nad sposobem wprowadzenia skutecznej kontroli istniejących umów.

Rząd niemiecki przez uznanie „rządu narodowego“ (?) w Hiszpanii dał do zrozumienia, że prócz tego rządu nie widzi żadnego innego czynnika, mogącego rościć pretensje do reprezentowania narodu hiszpańskiego. (Pill).

## Niemcy ruszą na Francję

### Sensacyjny artykuł „Marianne“

„Kurier Warszawski“ przyniósł wczoraj następującą korespondencję z Paryża:

„Nadzwyczaj głębokie wrażenie w całym społeczeństwie francuskim, szczególnie zaś w kołach politycznych i dyplomatycznych stolicy, wywołał artykuł słynnego pisarza i członka Akademii Francuskiej, Jerzego Duhamela, zamieszczony w tygodniku „Marianne“.

Duhamel odwiedził ostatnio szereg krajów europejskich i zaoceanicznych, gdzie badał sytuację polityczną głównie w odniesieniu do zagadnienia wojny i pokoju. Odniesione przez niego wrażenia brzmią hiobowo.

Francji grozi niebezpieczeństwo dosłownie śmiertelne — woła p. Duhamel. Cały świat przekonany jest, że grozi nam zguba i zagłada. Jedynie Francuzi nie widzą tego niebezpieczeństwa, ponieważ pograżeni są po uszy w walkach partyzanckich. Wszystko, com usłyszał i widział w toku mej wędrówki po świecie, zgadza się i potwierdza, że niebezpieczeństwo wojny śmiertelnej grozi przede wszystkim Francji. Jest to jedynym przekonanie najwybitniejszych specjalistów wojskowych. Całe wykształcenie armii niemieckiej nastawione jest na ofensywę o piorunu-

jącej skuteczności i w tym tkwi dowód, że Niemcy nie będą traciły czasu na bezpłodne walki na polach terytorium rosyjskiego.

Niemcy ruszą przeciwko Francji, ale bez uprzedniego wypowiedzenia wojny. Metoda ta da armii niemieckiej olbrzymie przewagi. Przede wszystkim pozwoli jej upatrzyć sobie z góry granice do zaatakowania, jak również termin ataku. Zaskoczony w ten sposób przeciwnik straci wiele dni cennych i decydujących na przygotowanie obrony. Jeden z wielkich wodzów wojskowych oświadczył Duhamelowi, że już w ciągu pierwszej nocy działań wojennych Francja stracić może milion ludności i wojska.

Wobec tak straszliwej perspektywy wojennej Duhamel nawołuje społeczeństwo francuskie do zaniechania walk wewnętrznych i do skupienia całego wysiłku narodowego na obronie granic przed wrogiem, jawnie przygotowującym się do zadania Francji ciosu śmiertelnego i który w tym właśnie celu nieustannie mobilizuje wszystkie wysiłki państwa i ludności.

Jak rzekliśmy powyżej, artykuł Duhamela, ze względu na wielki autorytet moralny autora i powagę jego pióra, wywołał w opinii francuskiej wrażenie wstrząsające.

### Jakie będą losy inicjatywy francusko-angielskiej

PARYŻ. (PAT.). W prasie i w kołach politycznych jest żywo omawiana inicjatywa francusko-angielska na rzecz wzmocnienia neutralności i mediacji w wojnie domowej hiszpańskiej. Co się tyczy odpowiedzi głównych państw zainteresowanych, t. j. Portugalii, Niemiec i Włoch, wskazuje tu, iż inicjatywa ta napotka od początku na duże trudności.

Poza odpowiedzią Portugalii, która ma charakter wyraźnie odmowny, odpowiedź Niemiec i Włoch traktowana jest w kołach politycznych bardziej optymistycznie, gdyż pomimo licznych zastrzeżeń zarówno Berlin, jak i Rzym oświadcza, że pozostawiają otwarte drzwi do dalszych rokowań.

### Paul Faure o dalszych etapach programu Rządu Ludowego

PARYŻ. (PAT.). Prasa francuska zwraca uwagę na przemówienie min. bez teki Paul Faure'a, sekretarza generalnego partii socjalistycznej, wygłoszone w sobotę w Lille, w którym minister miał oświadczyć, co następuje: Program Frontu Ludowego zostanie wkrótce wyczerpany. Cóż nastąpi dalej?

Wystąpimy z nowym programem, żądamy nowych środków dla odnowienia państwa, żądamy upaństwowienia źródeł energii elektrycznej, towarzystw asekuracyjnych, rozszerzenia akcji upaństwowienia przemysłu wojennego.

### De la Rocque wznowia aktywność

PARYŻ. (PAT.). W kołach parlamentarnych zapowiadają, że w przyszłym tygodniu należy oczekiwać ukonstytuowania się w Izbie Deputowanych klubu, reprezentującego Francuską Partię Społeczną dawne „Croix de Feu”. Na czele klubu tego, który przyjąłby nazwę „Francuska Grupa Społeczna”, staną ma osobisty przyjaciel p. de la Rocque dep. Ybernegaray, uważany już od dawna za rzecznika p. de la Rocque w Izbie Deputowanych.

Do grupy tej zgłosiła przystąpienie niewielka na razie liczba deputowanych prawicowych, przeważnie odgrywających rolę drugo-

planową, jak Pebelier, de Polignac, Tourceau de Pavant, Robbe i Craysell. Poza tym z inicjatywy Francuskiej Partii Społecznej w Izbie Deputowanych powstaje ma szersze ugrupowanie.

Posunięcia te oznaczają, iż p. de la Rocque, który dotychczas trzymał swoją organizację zgodnie z zapowiedziami, zdaleka od walk parlamentarnych, zmienia obecnie taktykę, wchodząc na teren parlamentarny, co należy traktować przede wszystkim jako wstęp do zapowiedzianego udziału Francuskiej Partii Społecznej w przyszłych wyborach.

### W Abisynii „spokój“

RZYM. (PAT.). Według informacji Havasa, Dedjaz Oundo Kassa, syn Rasa Kassy, który swego czasu uczynił akt poddania się

władzom włoskim, zaatakował na czele oddziału posterunek włoski, został jednak pokonany i następnie rozstrzelany.

### Otwarcie zapory wodnej na Sole

W dniu wczorajszym odbyła się uroczystość oddania do użytku publicznego wielkiego zbiornika i zapory wodnej w Porąbce, na rzece Sole, co ma wielkie znaczenie dla gospodarczego życia całego kraju.

Zbiornik pozwala przez odpowiednie gospodarowanie wodą zredukować w razie powodzi, niebezpieczne przypiętywo Soły do granic nieszkodliwych, a zarazem zmniejszy niebezpieczeństwo powodziowe dla Krakowa.

Poza tym podczas niskiego stanu wody na Wiśle, zbiornik w Porąbce będzie mógł zasilać Wisłami Soły.

Zbiornik wody na Sole powstał przez spiętrzenie jej wód zapo-

## CO PISZĄ INNI

### REAKCJA TWORZY WSPÓLNY FRONT.

Rewolwerowy „IKC“ prowadził nadal wściekłą nagonkę przeciw Związkowi Nauczycielstwa Polskiego. Ponieważ „Kurier Poranny“ wziął w obronę ZNP, nagonka podwawelskiego „Tajnego Detektywa“ przerzuciła się i na „Kurier Poranny“. W tej kanonadzie oszczerstw, potwarzy i insynuacji dzielnie sekunduje „Słowo“ Mackiewicza (winszujemy towarzystwa p. Catowi). Ostatnio z flanki z pomocą Marianne'owi spieszy dychwawczy staruszek „Czas“.

Razem — ręka w rękę — z „IKC“. Wiemy w każdym bądź razie, kto i z kim.

### MASONI, MASONI.

Niedzielne „ABC“ w naczelnym artykule podaje rewelacje o naszych „krajowych“ panie dzieju —

masonach. Mamy ich więc pono 700—800.

Ufi! Odetchnęliśmy. Nie jest jeszcze tak źle! Nie zginiemy. NAPÓR KONSERWATYZMU.

W sobotę odbył się w Krakowie obiad przyjaciół „Czasu“. Przyjaciele ci, to oczywiście znani obywatel, hrabiowie i przedstawiciele ciężkiego przemysłu. Na tym to obiedzie książę J. Radziwiłł wygłosił b. ciekawe przemówienie. Między innymi powiedział on, że w Polsce nie jest tak źle, jak się to nieraz styszy.

Rzeczywiście, p. Radziwiłłom nie jest wcale, wcale w Polsce źle. O dzisiejszej polityce zagranicznej p. Radziwiłł oświadczył, że „każdy Polak winien być z niej dumny“.

Tak, p. Radziwiłłowie i Mackiewiczowie mogą być i są dumni z dzisiejszej naszej polityki zagranicznej. Sekora.

## Wybory władz Naczelnej Rady Adwokackiej

W lokalu Warszawskiej Rady Adwokackiej odbyło się posiedzenie Naczelnej Rady Adwokackiej, na którym dokonano wyboru nowych władz.

Prezensem został mec. L. Domański z Warszawy; wice-prezesami: adw. adw.: Chomiczewski (z Warszawy) i Salkowski (z Lublina). Rzecznikami dyscyplinarnymi przy N. R. A. zostali — adw.: Dzieżdż z Torunia, Jasiński z Wilna, J. Nowodworski i W. Szumański, obaj z Warszawy.

Do komisji wolności słowa adwokackiego wybrani zostali adw.: Chomiczewski, Margolis, Szumański, Szurlej (z poza N. R. A.) — z Warszawy i adw. L. Landau z Lwowa.

Po dłuższej dyskusji Rada Naczelna postanowiła wysłać do Krakowa i Lwowa komisję w składzie pp. Jana Nowodworskiego, Morawskiego i A. Margolisa w celu doprowadzenia do porozumienia członków Rad Adwokackich.

## Ciężki przemysł przeciwko zatrudnianiu bezrobotnych

Jak się dowiadujemy, Inspektorat Pracy przy współudziale reprezentantów Izby Rzemieślniczej i związków zawodowych przystąpił do inspekcji na terenie fabryk, oraz warsztatów. Akcją tą zmierzano do zlikwidowania wykroczeń przeciwko 8-godzinnemu dniu pracy. Dotychczas w wyniku inspekcji spisano protokoły tam, gdzie robotnicy pracowali nadliczbowo i nie zatrudniono bezrobotnych.

Przedstawiciele przemysłu nie przystąpili do tej akcji Inspektoratu Pracy i ustosunkowali się do niej negatywnie. Pewno, — wołają — zatrudnić pracownika w godzinach nadliczbowych bez wynagrodzenia. Widzimy z tego jasno,

że przemysł walczy wszelkimi środkami przeciwko umniejszaniu ich przywilejów, zdobytych na gnębieniu i wyzysku mas pracujących. Prępsja potentatów unicestwia walkę górników o 6-godzinny dzień pracy. Akcją Inspektoratu Pracy kwestii bezrobocia nie rozwiąże. Dorywcze inspekcje na terenie fabryk mogą jedynie załagodzić w nieznacznym stopniu nasilenie wyzysku klasy robotniczej. Natomiast nikt nie wierzy w to, że interesy robotników znajdują prawdziwego obrońcę i sojusznika w ludziach, którzy dość często ulegają wpływowi ciężkiego przemysłu.

## Jakie uposażenia urzędnicze podlegają podatkowi

Ministerstwo Skarbu wydało wyjaśnienie o pobieraniu specjalnego podatku od uposażeń urzędniczych, który, jak wiadomo, sprofilowany zostaje na przyszły rok budżetowy. Opodatkowaniu temu podlegają również wynagrodzenia otrzymywane przez u-

rzędników za pracę w godzinach nadliczbowych, jak i za inne prace specjalne. Zwalnianie można od należności tylko zapomogi wypłacane urzędnikom w celu przyjęcia im z pomocą w wypadkach choroby, śmierci w rodzinie, kradzieży itp.

## List do Redakcji

Wielmożny Panie Redaktorze! Uprzejmie proszę Pana Redaktora o łaskawe zamieszczenie poniższych słów w odpowiedzi na podane w „Kurierze Porannym“ niezgodnie z prawdą okoliczności, związane z upadłością mego wydawnictwa.

Dotychczas uważałem, że sprawa ta, ze względów zasadniczych powinna toczyć się wyłącznie w ramach Sądu i unikałem udzielania o niej informacji.

Ostatnie wystąpienie „Kuriera Porannego“, zmusza mnie do publicznego stwierdzenia, że droga, jaką obecnie wydawcy doszli do mego wydawnictwa, została dokładnie przedstawiona w szeregu skarg, jakie składałem do Sądu Handlowego (akty sądowe 144/32).

Niestety, żadna z tych skarg nie doczekała się merytorycznego rozpatrzenia, gdyż zanim nadszedł termin sądenia — syndycy ustępowali, a Sąd uznawał wówczas sprawę za nieaktualną. Skargi te zawierały dostateczny materiał, ażeby złożyć je do Prokuratora, co uczyniłem 17 lutego 1936 r., oraz 15 września 1936 roku.

W skargach tych prosiłem o poję-

gnięcie do odpowiedzialności winnych uprzywilejowania Stołecznej Spółki Wydawniczej, oraz o zbadanie, czy w działalności tej nie zachodzą znamiona znowy.

Na skutek powyższych skarg, Prokurator powierzył Sędziemu śledczemu dochodzenie karne przeciwko dwóm byłym syndykom pp. J. Borek - Boreckiemu i J. Wasserbergrowi.

Nadto od dwóch lat toczy się śledztwo przeciwko trzem funkcjonariuszom Spółki, którzy sprzedali miemie Masy Upadłości na dochód Stołecznej Spółki Wydawniczej. Wartość zabranych przedmiotów wynosi około 20.000 zł. Firmowymi założycielami Spółki są pp. Janina Hołwowska i Wincenty Rzymowski.

Wystąpienie „Kuriera Porannego“ ma jedną dobrą stronę: ujawnia argumenty i pozory prawne, jakimi posługują się, tych, którzy, usiłując wyuznać mnie z „Kuriera Porannego“, starają się ukryć właściwe oblicze swych czynów i zjednać życzliwość osób, na których im zależy.

Z wysokim poważaniem

(—) J. L. Fryma

# Baronowie węglowi rujną i niszcza bogactwa Polski

(Z cyklu: „Polskie dwieście rodzin”)

## O deficytach kopalń i zyskach baronów węglowych

**KOPALNIE BANKRUTUJĄ, BO ICH WŁASCICIELE ROBIĄ ŚWIĘTNE INTERESY.**

Na wszelkie żądania górników podniesienia zarobków, skrócenia czasu pracy i t. d. — dyrektorzy baronów węglowych mają jedną stałą odpowiedź: nie możemy, bo nas na to nie stać. Przemysł węglowy jest deficytowy (naukowe sformułowanie „strzępów i łachmanów”, „Depeszy”, które cytowałem w poprzednim artykule). Nie wierzycie, panowie, to zajrzcie do naszych bilansów. Wszystkie, jeden w jeden, wykazują coraz to rosnące deficyty.

Czy to prawda? O ile idzie o stronę formalną, niewątpliwą prawdą. Bilanse spółek akcyjnych górnictwa węglowego, z nielicznymi wyjątkami, wykazują poważne straty. Tylko — panowie dyrektorzy milczą dyskretnie o tym, skąd się biorą te deficyty, co je powoduje. Oczywiście, nie podejrzewamy tych panów o nieznaną im elementarną zasadę buchalterii — wprost przeciwnie, zdaje się, że władze skarbowe przy wszelkich kontrolach podatkowych mogły podziwiać niesłychaną wprost ich pomysłowość we wszelkich buchalteryjnych operacjach... Panowie dyrektorowie milczą o przyczynach deficytów, bo im tak każą ich „niebudować” — 40 rodów władcy polskiego węgla.

Milczą, bo musieliby powiedzieć, że co prawda kopalnie wykazują deficyty, ale równocześnie władające nimi rody wielokapitałistyczne wypompowują z naszego górnictwa coraz to nowe miliony. Milczą, bo musieliby powiedzieć, że deficyty kopalń są spowodowane rabunkową gospodarką ich właścicieli. Milczą, bo tego wymaga interes baronów węglowych i zresztą — interes ich własny.

Spróbujmy ich wyręczyć w wyświetleniu rzeczywistych przyczyn deficytowości polskiego górnictwa. **ILE WYNOŚI BILANSOWY DEFICYT GÓRNICZWA WĘGLOWEGO?**

Przed wszystkim jedno stwierdzenie: kapitał węglowy nie przestaje się skarżyć na kolosalne deficyty, które ponosi. Woli jednak milczeć o konkretnych cyfrach. A szkoda. Bo oto, co mówią nam urzędowe obliczenia statystyczne, oparte na własnych, własniutkich bilansach pp. Schneiderów i Plesków:

W roku 1934 spółki akcyjne pracujące w górnictwie węglowym wykazały:

zysków	2.300.000 zł.
strat	7.300.000 zł.

Odejmując zyski od strat, otrzymujemy ogólną sumę deficytu dla górnictwa węglowego 5 milionów złotych. To było — podług urzędowych obliczeń i własnych bilansów baronów węglowych — w r. 1934. Rok 1935 był prawdopodobnie gorszy. Dokładnych obliczeń jeszcze nie ma — nie wszystkie spółki ogłosiły już swe bilanse. Przyjmujemy najdalej idące pogorszenie. Przyjmujemy, że deficyt się podwoił. Będzie to oznaczało, że deficyt górnictwa węglowego w r. 1935 (podkreślamy deficyt bilansowy, podług wykazów właścicieli kopalń — o jego rzeczywistym znaczeniu będziemy dopiero mówili) wyniósł dziesięć milionów. Powiemy odrzucając: w rzeczywistości panowie z Konwencji Węglowej nie dopłacają wcale tych 10 milionów zł. Przeciwnie, wyciągają z naszego węgla trochę więcej niż 10 milionów zł. Ale o tym zaraz będziemy mówili. Powtarzamy narazie — oficjalny deficyt baronów węglowych wynosi 10 milionów. Zapamiętajmy tę liczbę. Przyda się nam do porównań.

**ILE SIĘ ZARABIA, GDY SIĘ SPRZEDAJE SOBIE SAMEMU?**

Mieliśmy, parę dni temu, małą kłótnię w sanacyjnej rodzinie. Złośliwi twierdzą, że p. senator Algajer dostał od „przemysłu” za mało na sanacyjną robotę w Łodzi. Jak to tam było, trudno powie dzieć, dość, że pan senator rozgniewał się i „wygarnął”. Opowiedział przy sposobności — coś nie coś i o tajemnicach przemysłu węglowego. Posłuchajmy p. senatora:

„...węgiel sprzedaje się po 11 zł. za tonę koncernom, które należą do właścicieli kopalń. Owe koncerny odstępują węgiel własnym hurtownikom (regionalnym biurom sprzedaży). W ten sposób węgiel jest już pozornie w trzecich rękach, aczkolwiek ciągle jeszcze jest własnością właściciela kopalni, a tymczasem cena węgla wzrasta w szybkim tempie. Koncern sprzedaje odstępował hurtownikom własnym węgiel za cenę o 100% wyższą od ceny kopalni (około 23 zł. za tonę), zaś własne hurtownie odają węgiel po cenie od 30 — 35 zł. Kiedy więc kopalnie oddają na prawę węgiel do rąk sprzedawców prywatnych, cena jego jest już o 200% wyższa. Rzecz jasna, że i kopalnia i koncern sprzedają i regionalne biuro sprzedaży stanowią odzielne spółki akcyjne; nie przeszkadza to jednak władzom koncernu, wśród których spotykamy znanych właścicieli kopalń, osła-

gać zyski od 60 do 100 tys. zł. nies, chociaż przemysł węglowy pracuje stale z deficytem”.

Co oznacza ta, szczegółowo tu opisana, transakcja? Mówiąc po prostu, panowie magnaci węglowi trzy razy sobie samym sprzedają swój własny węgiel. Po co przeprowadza się taką operację? Po to, by podwyższyć jego cenę w trójnasób, a zysk tak ukryć, by nie był widoczny ani dla robotników ani dla władz skarbowych. Po to, aby móc krzyknąć o „deficytowości przemysłu węglowego”, móc odmawiać spełnienia żądań robotniczych, móc domagać się ulg podatkowych, móc prowadzić wojnę z ubezpieczeniami społecznymi.

Ale może p. senator Algajer kłamie. Może to tylko wymysł z jego strony. Sięgnijmy do „Lewiatanów” statystyki Lewiatanów „spec” do przemysłu węglowego określa przeciętny „utarg” (t. zn. realnie uzyskiwaną cenę) na rynku krajowym dla decydującego u nas Zagłębia Śląskiego na 13.80 zł. za tonę. Jest to 3 zł. więcej od cyfr p. Algajera, ale niech będzie i tak. Fracht do Warszawy wynosi ok. 11 zł., cena kosztu w Warszawie razem — około 25 zł. A cena rzeczywista węgla w Warszawie? Waha się ok. 40 zł. dla hurtu, ok. 45—48 zł. w detalu. Wzrost ceny węgla po drodze do kopalni do konsumenta wynosi, po odrzuceniu frachtu, około 20 zł. na tonie t. zn. około 180% pierwotnej ceny! Oczywiście, że nie chodzi tu o żadne „koszty handlowe”. W naście rozpiętość cen między rafinerią a detalem wynosi 50%, chociaż handel naftą wymaga o wiele większych nakładów na urządzenia, cysterne, opakowania i t. d. od handlu węglem. Wiemy też, że w Warszawie zarabek węgla po drodze do konsumenta wynosi 1 zł. na tonie. Trzeba pamiętać, że hurt węgiel nie wymaga żadnych praw urzędowych, że z reguły kursuje transporty wagonowe wprost do odbiorcy. Wzrost ceny węgla w handlu hurtowym ma jedną jedyną przyczynę: lichwę koncernów, które należą do właścicieli kopalń!

O co tu chodzi, wskazuje zresztą najlepiej klauzula zawarta w niektórych umowach koncernowych, według której koncerny otrzymują prowizję także od węgla, zużytego przez kopalnie we własnych zakładach przetwórczych lub sprzedanego wprost przez kopalnie w drobnej sprzedaży. W ten sposób koncern otrzymuje zapłatę za sprzedaż węgla, którego wcale sam nie sprzedał. Ten pozornie niezrozu-

# O szkołę białoruską

(Od własnego korespondenta)

Wilno, w grudniu.

Podstawowym zagadnieniem narodowego ruchu białoruskiego jest obecnie zagadnienie szkoły białoruskiej. Kiecy indziej omówimy stan szkolnictwa narodowościowego pod względem prawnym i cyfrowo-faktycznym.

Już od kilku miesięcy białoruskie organizacje kulturalno-polityczne prowadzą wyjątkową akcję, mającą na celu uspokojenie potrzeb oświatowych wsi białoruskiej w granicach istniejącego porządku prawnego.

Żądania są, zdawałoby się, dość skromne. Chodzi o to, aby rodzice i opiekuni dzieci białoruskich nie byli przez władze administracyjne kępowani w swobodnym składaniu deklaracji, domagających się szkoły białoruskiej. Chodzi więc tylko o wykonanie obowiązującego prawa. Chodzi dalej o to, aby deklaracje nie były wkładane pod suknio, lecz aby na ich podstawie otworzono odpowiednią liczbę szkół białoruskich. Jest to również sprawa wykonywania obowiązującego prawa. Trzecie żądanie dotyczy otwarcia odpowiedniej ilości szkół średnich z białoruskim językiem wykładowym. Jest jasne, że skoro prawo przyznaje Białorusinom możliwość pobierania elementarnej wykształcenia w języku ojczystym, musi być im także zapewniona możliwość dalszego kształcenia się w tym języku, inaczej prawo stanie się

niemoralne. W naście rozpiętość cen między rafinerią a detalem wynosi 50%, chociaż handel naftą wymaga o wiele większych nakładów na urządzenia, cysterne, opakowania i t. d. od handlu węglem. Wiemy też, że w Warszawie zarabek węgla po drodze do konsumenta wynosi 1 zł. na tonie. Trzeba pamiętać, że hurt węgiel nie wymaga żadnych praw urzędowych, że z reguły kursuje transporty wagonowe wprost do odbiorcy. Wzrost ceny węgla w handlu hurtowym ma jedną jedyną przyczynę: lichwę koncernów, które należą do właścicieli kopalń!

Jeśli pieniądze wyciąga w ten sposób przemysł węglowy z kieszeni kraju? Przyjmując normalną rozpiętość cen kopalnianej i detalicznej na 50%, uwzględniając fracht, otrzymamy dodatkowy hańracz w r. 1935 — od 200 do 150 milionów zł. Ta ostatnia, najniższa liczba obliczona jest na podstawie danych „Lewiatanów” — specja p. Olszewskiego. Ale i ona, umniejszona w bilansach kopalń węgla, wystarczałaby w zupełności, by przynajmniej piętnastokrotnie pokryć wszelkie deficyty i wysunąć górnictwo węglowe na czoło najbardziej rentownych gałęzi produkcji w Polsce!

Ed. Roman.

Wreszcie organizacje białoruskie domagają się nie kępowania administracyjnego zgodnej z prawem działalności stowarzyszeń kulturalno-oświatowych. Znów chodzi tylko o możliwość wykonywania przysługujących uprawnień. To ostatnie żądanie jest tym ważniejsze, że wszelkie kępowanie działalności stowarzyszeń prowadzi do ich „bezczywności”, a bezczynność powoduje ich rozwiązanie. Tak np. w ostatnich dniach władze administracyjne rozwiązały za „bezczywności” Koło Białoruskiego Instytutu Gospodarki i Kultury we wsi Szutowice gm. smogoniński (pow. oszmiański), oraz Koło Towarzystwa Szkoły Białoruskiej w zaśc. Miel gm. zoddzińskiej (pow. wilejski). Powstaje po prostu błędne koło. Organizacje białoruskie muszą kluczyć ciągle pomiędzy Scyllą działalności, która się miarodajnym czynnikiem nie podoba, a Charubdą „bezczywności”, za które się je rozwiązuje.

Postulaty białoruskie zostały zredagowane w formie memoriału, podpisanego przez dwie największe organizacje kulturalne „Białoruski Instytut Gospodarki i Kultury” oraz „Towarzystwo Szkoły Białoruskiej”. Memoriał ten został wysłany 27 października do p. premiera i do p. ministra W. R. i O. P. Jednocześnie z memoriałem złożona została prośba o przyjęcie przez p. premiera delegacji wspomnianych organizacji.

Na tę prośbę autorzy memoriału dotychczas nie otrzymali odpowiedzi od władz centralnych. Natomiast wileńskie władze lokalne przeprowadziły 28 listopada szereg rewizji w lokalnych organizacjach i pismach białoruskich, oraz w mieszkaniach prywatnych działaczy kulturalnych.

Rewizji dokonano m. in. w redakcji „Biel. Krynicy”, centralnego organu białoruskiego, w „Białoruskim Wydawnictwie Katolickim”, w „Białoruskim Instytucie Gospodarki i Kultury” i „Towarzystwie Szkoły Białoruskiej”, oraz w „Związku Akademików Białorusinów”.

Z pośród działaczy białoruskich rewizja dotknęła prezesa B. N. A. „Białoruskiego Zjednoczenia Ludowego” — Późniaka, znanego działacza kulturalnego i pisarza białoruskiego ks. Stan-

Komitetu B. N. A. inż. Klimowicza, redaktora „Biał. Krynicy” A. Dasikiewicza, Grzegorza Szymurę i S. Pawłowicza — członków zarządu „Towarzystwa Instytutu Gospodarki i Kultury”, oraz redaktora pisma literackiego „Kałosie”, J. Najdziuka, redaktora pisma młodzieżowego „Szlachy Młodzieży”, dr. Maleckiego, członka Centralnego Komitetu B. N. A., W. Skłubowskiego b. redaktora „Lewiatanów” i wielu innych.

Wszędzie poszukiwano broni, amunicji i materiałów wybuchowych. W braku tych zabierano jednak archiwa, korespondencje, rękopisy i t. p. Dopiero dojrzałe później postanowienie sędziego śledczego mówi ogólnikowo o „materiałach kompromitujących”.

Pozwolimy sobie powątpiewać, czy na audyencji u p. premiera ktokolwiek może przygotować się przez gromadzenie broni, amunicji i materiałów wybuchowych. To chyba zbyt ostrożności takie „rozbrajanie” literatów i dziennikarzy przed uopuszczeniem ich przed oczyma p. premiera. A do „materiałów kompromitujących” trudno chyba zaliczyć opisy memoriałów przesyłanych władzom centralnym. Chyba, że sam fakt występowania do władz z memorialami będzie się uważało za kompromitację.

Należy nadmienić, że rewizje dotknęły organizacje i osoby zgrupowane dokoła B. N. A. („Białoruskiego Zjednoczenia Ludowego”), jedynej posiadającej wpływy masowe legalnej organizacji białoruskiej o programie zbliżonym do polskiego „Stronnictwa Ludowego”. Represje nie objęły obu pozbawionych szerszych wpływów grup białoruskich działaczy politycznych, a mianowicie tak zw. „białoruskiej sanacji” i faszystów białoruskich z pod znaku ks. Godlewskiego.

Polski świat demokratyczny musi całkowicie poprzeć żądania Białorusinów w zakresie szkolnictwa zgodnie z obowiązującym prawem i akcją plebiscytu ludowego o szkołę w języku białoruskim. Jest to dług wdzięczności wobec historii ze względu na walkę o szkołę polską pod zaborem rosyjskim, jest to najlepszy zadatek na przyszłość polsko-białoruskiej przyjaźni i solidarności w walce ze wspólnym wrogiem — reakcją.

## Cafarino Gonzales

# Prawda o Hiszpanii

„Zwyciężyć albo umrzeć”

Pewnego razu kazał przyprowadzić pewną liczbę więźniów na chybły ttrafil i pokazując im 10 czy 15 kapeluszy gwardii cywilnej, oświadczył: „Są to kapelusze gwardzistów, których wściepomordowali. Za każdego z nich rozstrzelam 10 waszych albo więcej”. Następnie kazał im wykopać wielki dół i dokładnie badać, czy jest on dość duży dla wszystkich. Po czym dodał: „Malo tego, kopcie dalej, bo muszę jeszcze tu pomieścić członków waszych rodzin, po których postalem”. I wykonał to zapowiedź.

Kiedyndziej, otrzymawszy wiadomość, że uczestnicy powstania górników powracali strzelby do rzeki Nalon, kazał spędzić kilka tuznów ludzi z sąsiedniej wsi, przeważnie młodzieży, nie wchodząc w to, czy brali oni udział w ruchu czy nie. W grudniu, w Austrii, przy silnym zimnie, zapędził tych nieszczęśliwych do rzeki. Żadnego z nich nie wypuszczono z wody, dopóki nie odnajdzie na dnie rzeki strzelby. Poszukiwania były daremne, ale większość tych ludzi przypłaciła tę wymyślną torturę zapaleniem płuc i wielu z nich zmarło.

Pospolitą praktyką dowodzonych przez ekspedycję karnych w Austrii, było wycinanie jeńcom brzytwą na

skórce różnych gości i liter, po czym zalewano rany płynami grzającymi, uryną i t. p.

Po charakterystyce wódzów, wypada dać charakterystykę ich podkomendnych. Powołamy się na zdanie najbardziej kompetentne. Twórcą i organizatorem hiszpańskiej legii cudzoziemskiej jest, jak wiadomo, gen. Millan Astray, dziś podkomendny gen. Franco. Dziennik chilijski „Iberia” przedrukował dnia 29 września b. r. wywiad, udzielony przez tego generała w czasie jego dawniejszego pobytu w Buenos Aires. General scharakteryzował wówczas w następujących słowach materiał ludzki, z którego rekrutował legię cudzoziemską, pragnąc tym podnieść swoje zasługi, jako wychowawcy i organizatora:

„Legia została utworzona z wyrzutków, z wszelkiego rodzaju bezdomnych mętów. Bandyci wszelkiej maści. Włóczęgi, przywykłe spać zawsze z oczyma otwartymi. Złodzieje, zmęczeni swoim zawodem. Jest także nieco młodzieży, która padła ofiarą gry, miłości i występku. Wielu zbiegło do koszar, opuszczając ognisko domowe, aby nie być wystawionym na pokusę morderstwa własnych żon. Są tak-

że młodzieńcy, którym zbrakło charakteru, by znaleźć drogę w życiu. Ludzie złańdżaczeni i ludzie słabi. Szaleńcy, oszuści, złodzieje i pijacy. Naogół masa szukających polowa w mętnej wodzie, gruboskórna i pozbawiona skrupułów. Wreszcie różne odmiany desperatów, szukających przedostatniej deski ratunku”.

Należy jeszcze wspomnieć o murrach. Lecz o tym, do czego są oni zdolni, lepiej od nas powiedzą sami zwolennicy faszystów hiszpańskich, którzy znaleźli się na terytoriach, okupowanych przez powstańców i do oczekali się tego, że domy ich zostały spalane, a żony i córki zgwałcone przez ich afrykańskich sojuszników.

Ludziom, chcącym uchodzić za uczciwych i kulturalnych, a solidaryzującym się w jakimkolwiek stopniu z tą kampanią, można jedynie złożyć wyrazy ubolewania.

## KU REPUBLICIE FEDERACYJNEJ

Opowieści o groźnej jakoby Hiszpanii anarchii, są straszakiem, który ma odstręczyć umiarkowane koła demokracji europejskiej i amerykańskiej.

ryjskiego wybitni politycy, jak Pivy Margall, Benot, Allés y Ribot, Prat de la Riba, Macia i inni. Jedyne bobydem taki ustrój polityczny odpowiada warunkom etnicznym, rasowym i geograficznym Hiszpanii. Już w r. 1931 w korcezach konstytucyjnych, wielu posłów żądało ustroju federalnego i jedynie wykrętny opór kilku starych polityków, którym powiodło się przedstawić federalizm, jako tendencję wstępną, przeszkodził jego urzeczywistnieniu.

Błąd ten mści się obecnie, kiedy stało się widocznym, że republika federacyjna byłaby bardziej odporna wobec zamachów reakcji, niż system centralistyczny.

Katalończycy czują się dziś bardziej niż kiedykolwiek solidarni z resztą Hiszpanii właśnie dlatego, że widzą przyszłość naszego kraju w systemie demokratycznego federalizmu.

A w walce, jaka się toczy, udział Katalonii ma znaczenie wyjątkowo doniosłe. Katalonia, od wieków uciśkana przez centralistyczną monarchię hiszpańską, wysuwa się dziś na czoło, jako twierdza wolności narodowej iberyjskiej.

Zamach faszystowski został na terytorium Katalonii zgnieciony w zwycięż, siłami samego ludu katalońskiego. Zamachowcy zostali wyparci z terytorium katalońskiego do Aragonii. Wład za nimi postępowały odziały antyfaszystowskiej armii katalońskiej, wyzwalał ją po drodze masy chłopów i robotnicze.

W miastach i wsiach, uwolnionych

od band faszystowskich przez bohaterką milicję ludową, samorzutnie zostały wcielone w życie, nowe zasady sprawiedliwości społecznej. I z chwilą, gdy bieg wypadków postawił na porządku dziennym sprawę obrony Kastylii i Madrytu, ochotnicy katalońscy zgłaszali się masowo do obrony tych terytoriów przed hordami faszystowskimi. Wyzwolona Katalonia spieszy na pomoc ludowi hiszpańskiemu.

W komunikacie Komisarjatu Propagandy przy rządzie katalońskim (Generalidad) czytamy, co następuje:

„Nasze współdziałanie w obronie stolicy Hiszpanii jest niespodzianką dla tych wszystkich, którzy nas nazywali separatystami.

Zdradziecy generalowie nie przewidzieli tego wspaniałego odruchu ludu katalońskiego. Ich ciasne lby nie mogły zrozumieć, że my byliśmy, jesteśmy i będziemy separatystami w stosunku do tej oligarchii katowej, jaką oni reprezentują. Lecz czujemy się związani głębokim braterskim uczuciem z demokratami, z robotnikami i chłopami Kastylii, Andaluzji, Estramadury, Galicji i Asturii. Te wzyły braterstwa zostały nawiązane w toku naszych wspólnych walk, wspólnych cierpień i zmiennych kolei naszego losu. Współ z nimi byliśmy ciemiężeni i współ z nimi chcemy się wyzwolić.

Z tej wspólnej walki z faszystwem, z krwi wspólnie przelanej dla tej samej sprawy, musi powstać nowa forma stosunków wzajemnych pomiędzy

narodami iberyjskimi. Wyzwalając ludzi, nie zapomniemy o wyzwoleniu narodów.

Znieśmy na zawsze przywileje, przysługujące jednostkom, lecz znieśmy także ucisk imperialistyczny i u pokarżającą centralizację!

Na ruinach faszystów i na gruzach Hiszpanii reakcyjnej i zmurszałej, zbudujemy Związek Republik Iberyjskich, oparty na podstawach ludzkości i sprawiedliwości społecznej”.

Podobnie myślą walencjanie, narodowy baskijski i galicjanie”.

Kraj Basków wyłonił swój rząd autonomiczny, który działa ręką w rękę z centralnym rządem Republik. Skład tego rządu jest znamienny: gabinet ministrów liczy 4 katolików (w tej liczbie prezes gabinetu, p. Agurre), 3 socjalistów, 1 członka lewicy republikańskiej, 1 z Unii Republikańskiej, 1 z lewicy nacionalistycznej, 1 syndykalista.

Socjaliści, syndykaliści i komuniści są zgodni na punkcie programu republiki federacyjno-demokratycznej. Przedstawiciele tych partii oświadczyli to niejednokrotnie.

Walencjanie — mieszkający za studującej z Katalonią prowincji Walencji, gdzie również żywe jest poczucie odrębności narodowej.

Galicjanie — odrębna narodowość, zamieszkaująca prowincję zw. Galicją, położoną na północno-zachodnim cyplu półwyspu Iberyjskiego. Obecnie pod okupacją powstańców, Przep. Red.

## Z ra'u hitlerowskiego

## Cyniczny reportaż z obozu koncentracyjnego

Cynizm prasy hitlerowskiej nie zna żadnych granic. W monachijskiej ilustracji „I. B.”, którą wydaje znany, faworyzowany przez Hitlera konserw Ehera, a starannie rozprowadzanej u nas, ukazał się w ostatnim numerze wielki reportaż fotograficzny (ponad 20 zdjęć) na temat „Obóz koncentracyjny w Dahau”. O ile u nas temat „Bereza” jest jeszcze wstydlivy, o tyle w Niemczech temat podobny stanowi materiał do swoistej propagandy, uwydatniającej dodatnie znaczenie socjalno - wychowawcze obozów terroru. Różnica w podejściu ma charakter niemal symboliczny.

Przyjrzyjmy się niektórym z zdjęć, których ukrytego żądla propagandowego hitlerowskiej autorzy reportażu wcale może się nie spodziewają.

Duży fotos. Fragment marszu więźniów. Widać ich na zdjęciu w liczbie około 50. Co się przede wszystkim rzuca w oczy, to fakt, że zdjęci są w ten sposób, że nie widać twarzy, aczkolwiek fotografia jest ostro i bardzo wyraźna. Głowy ogolone, prawie wszystkie pochylone, zgity jest także kręgosłup. Biały, odciemni, dla wszystkich jednakowy mundur arez-tancki. Na kapturkach pleców duża kłecna pionowa: ma ona przypuszczać swoje znaczenie na wypadku ucieczki. Na pierwszym planie dwaj SS - Mani, pilnie obserwujący „kompanię”. Obaj uzbrojeni: w karabin i rewolwer. Na zu pełnie przednim planie, ale w małym, ukrytym wycinku: druty kolczaste.

Srodki ostrożności są w tym reportażu fotograficznym dokładnie zobrazowane. Oto jedna z licznych wież wartowniczych. Widać z nich doskonale cały obóz. Wieża jest zaopatrzona w broń maszynową („mit mehreren Maschinengewehren versehen”). Widać nawet na innym zdjęciu posterunek na wieży z wysuniętym na zewnątrz karabinem maszynowym. Należona taśma naboju czyni sprzęt gotowym każdej chwili do użycia. A w głębi — już w niewyraźnych zarysach — widzi się więźniów przy pracy. Bliższych fotografii, oświetlających ten odcinek tematu: praca więźniów — brak (wyjąwszy trzy zdjęcia z warsztatów krawiecko - bieliżnarskich). A oto wysoki mur betonowy, sfotografowany z jednej z wież, a okrążający pierścieniem cały teren obozu. Mur jest wysoki i pełen kombinacji drutowych. A oto — spory oddział SS-Manów. Ich postawa, energiczny krok, wyposażenie w broń i dowództwo licznych feldfeblów i kapralów po-

zwala wierzyć, że ze swych obowiązków, których krwawy zakres jest niewątpliwie duży, wywiązują się ku pełnemu zadowoleniu swych przełożonych.

Najbardziej wstrząsające wrażenie czynią portrety. Pod twarzami, zmordowanymi terrorem, masakra i głodem, czyta się napisy najbardziej obelżne. I tutaj najbardziej pociski plaskiej, nikczemnej propagandy rzucone w stronę normalnie uczciwego czytelnika, wracają jak bumerang do morderców. Pod trzema tragicznymi twarzami czytamy podpis: „Trzej typowi przedstawiciele podziemia - czeststwa” („des Untermenschentums”): komunista, wrog pracy (Arbeitsscheuer), zawodowy przestępca.

Gdzie indziej czytamy pod dwiema głowami wspólny napis: „Zydowski przestępca. Jeden z nich jest hańbicielem rasowym”. Trzeba widzieć te twarze pełne zmarszczek, z zapadłą skórą, z wystającymi kośćmi, z oczami, w których kryje się łgk śmiertelny, groza rozpaczy. Cierpiąca twarz jednego z tych przestępców nacięwaną jest niewątpliwą inteligencją.

Dwie głowy, zarządzające produkcją robotniczą, należą do „zbrodnarzy polityczno - ludowych”. W komentarzach do ich wyglądu podane są sugestie pseudo-anthropologiczne, stwierdzające niższość „gatunku”, który „powinien być oddzielony od reszty społeczeństwa”. Drukuje się to na tych samych szpaltach, na których pokazuje się fotografie Goeringa!

Nieznany „zbrodniarzu polityczny”, nieznan „podziemiecki”. Przyjmij pozdrowienia i słowa otuchy w twej twardej walce z garstką „nadludzi”!

Obiektywizm fotografii — to popularny frazes. Jest w nim dużo fałszu. Wstrząsający jest brutalny relizm fotografii, które przynosił nam poczta z Madrytu: doku-

menty zbrodni czarno - białych wojsk powstańczych, popełnianych na bezbronnej ludności cywilnej, wydłubane oczy dzieci, polamane kości, dowody nieludzkiego znęcania się.

Ale bywa i inaczej. W czasie wojny włosko - abisyńskiej rzymskie ministerstwo propagandy publikowało fotografie, ilustrujące barbarzyństwo napadniętego narodu. Fałsz tkwił i w samym cynicznym mordercy, wskazującym mordy cudze i w selekcji materiału, a nawet w „inscenizacji”. Wiadomo bowiem, że technika fotograficzna pozwala na wszelkie „retusze”. Tak, że nic prostszego nad „reżyserowanie” autentyków, wykonywanych przez „aktorów”. Nie dawno „Wiadomości Literackie” wskazywały w notatce p. t. „Jak powstają zdjęcia z Hiszpanii”, na następujący casus. Prasa niemiecka, a za Niemcami i innych krajów, obiegła nie dawno fotografia, przedstawiająca powstańczych żołnierzy hiszpańskich, rozdających z auta ciężarowego żywność kobietom i dzieciom miejscowości tylko co zdobytej na wojskach rządowych. Fotografia miała, miesiąc, jeden brak: była zbyt ostro, dzięki czemu można było na niej odczytać numer auta — II A 4023. Tego typu numerację mają auta — niemieckie. Co więcej, korespondentowi londyńskiego „The Week” udało się stwierdzić, iż auto Nr. II A 4523 należy do... towarzysza filmowego w Geiselsenstein „Bawaria”.

Podobnie jest i z reportażem tygodnika „I. B.”. Duża część materiału propagandowego może przejść żywcem do ilustrowanego tygodnika antyfaszystowskiego. Ale pewna ich część przepojona jest słońcem i pogodą. „C'est le ton, qui fait la chanson” w fotografii. To słońce, nawet oddzielone od propagandowej ścieżki na piśw, ma nastrajać optymistycznie.

(vin).

## Brak chleba na Wileńszczyźnie

Z wielu miejscowości pow. powstałości nadchodzą niepokojące wiadomości o zupełnym braku żyta i chleba u właścicieli mniejszych gospodarstw rolnych. Równocześnie dała się zauważyć znacznie mniejsza podaż zboża na rynku, co

spowodowało podniesienie cen żyta do 13 zł. za kwintal.

30 proc. ludności rolniczej w powiecie pozbawione jest całkowicie chleba i odżywia się prawie wyłącznie ziemniakami.

## Zakończenie śledztwa w sprawie zająć w Mińsku Mazowieckim

Zakończono zostało śledztwo w sprawie zająć antyżydowskich w Mińsku Mazowieckim. Akta sprawy zostały skierowane do prokuratora.

Trzej główni organizatorzy zająć, członkowie Stronnictwa Narodowego: K. Budek, B. Pustola i J. Kinicz przebywają w więzieniu na Pawiaku.

## „W lombardzie — ożywienie”

„W lombardzie zaobserwowano ożywienie” — tej treści komunikat rozszalała jedna z agencji prasowych. Smutne jest tego rodzaju „ożywienie”. W każdej innej dziedzinie przyjąłoby je z radością, jako zwiastuna lepszych czasów, oczekiwanej z utęsknieniem poprawy koniunktury gospodarczej, zarobków, — w lombardzie zaś jest dowodem pogłębiającego się kryzysu, niezbyt pomyślnej sytuacji.

Lombard rozpoczyna swe urzędowanie o godz. 9-ej rano. Na wąskich, wijących się stromo w górę schodach, na pierwszym piętrze, już o godz. 8-ej rano gromadzą się interesanci. Toczno tu i rojno. Niewiasty w chustach na głowie, obok strojnych wylegantowanych panienek, kryjących się wstydliwie i odwracających co chwilę głowę. — Mężczyźni w czapkach roboczych razem z wytwornym młodzieńcem, panowie w melonikach z poważnymi minami i tekami pod pachą, w których zapewne za miast własnych dokumentów, znajdują się rzeczy do zastawu.

## PRZY OKIENKU

— Paniusiu proszę do kolejk — ja tu czekam od ósmej — woła kobieta na palcie na ręku.

— Ja na chwilę tylko po informację — mówi zatrzymana. Widać chce, by szybciej swoje załatwić. Ale groźny pomruk obecnych rozlega się z tyłu i zmusza do zajęcia kolejnego miejsca.

Z chwilą otwarcia drzwi lombardu, zebrani tłumnie rzucają się do wejścia. Zapomina się o przestrzeganej kolejce. Każdy toruje sobie drogę łokciami.

Większość przybyłych skupia się przy okienku: „Nowe zastawy — taksator”. Taksator bez zbytecznego pospiechu, z flegmą, jakiej niewątpliwie zazdrościłby mu niejeden Anglik — bierze podawane mu przedmioty.

## „CIE, CZY NIE?”

Młoda, tegaw i kobiecina wręca kilka tyłek i walców. Widać z drżenia serca wywołuje...

— 20 złotych, odpowiada taksator. — Chciał 25, muszę zapłacić podatek — prosi kobieta.

— Nie mogę, chce czy nie? — pada gwałtowne zapytanie i już taksator się po liny zastaw.

Spojrzałem na kobietę. Czy istotnie pieniądze nie pójdą na podatek? Wygląda tak, jakby nie jadła w ciągu wczorajszego dnia.

Ale przy okienku jest już ktoś inny. Wyciągnął z kieszeni pierścienie z brylantem. Długo i badawczo spogląda taksator, bada uważnie.

— 250 złotych — mówi.

Wśród obecnych poruszenie. Wszyscy odwrócili oczy w stronę „magnata”, ten jednak stara się ukryć oblicze. Wstydzi się, chociaż nie ma obcię. Cóż go mogło tu sprowadzić?

## ZŁUDNE NADZIEJE

Już przy okienku są inni. Mija młodzieniec w czapce studenckiej, urzędniczka, która zastawiła maszynę, — kto wie, może narzędzie pracy — przechodzi fotograf, który zastawił „Leicę”, gdyż nie ma sezonu, jak twierdzi, przesuwają się ludzie różnych zawodów, szczęśliwi, że mają jeszcze coś do ulokowania w lombardzie, pełni wiary, że niebawem zostawione rzeczy wykupią. Może za miesiąc, może za dwa...

Jakże dla wielu złudne nadzieje! Biada tym, którzy nie zapłacą procentów. Zastaw sprzedany zostaje „z młotką”.

## „WEZCIE 4 ZŁOTE”

Ale oto przy okienku staje pochylona wielkim staruszka. Położyła na ladzie parę kolczyków. Widać rzeczy prawie bez wartości. Może ostatnie z darów otrzymanych przed kilkunastu laty od męża.

— Nic nie możemy dać — padają słowa taksatora.

— Chociaż 5 złotych — prosi staruszka — to na lekarstwo, wnuczek chory. Widać staruszka mówi prawdę.

Daremnie jednak prosi, że łzami w oczach odchodzi, wywołując wokół szczery żal, współczucie.

Mam już dość wrażeń na reportaż i chcę szybko ułotnić się, gdy oto jestem świadkiem rzadkiego, jak na obecne czasy wypadku i dlatego tym bardziej godnego podkreślenia.

Do staruszki zbliża się młody robotnik, w cyklistówce. Przed chwilą otrzymał pieniądze na zastaw.

— Babuniu — mówi półszepem — otrzymałem 20 złotych, proszę wezcie 4-y, na razie więcej nie potrzebuje.

Zanim staruszka zorientowała się, wcisnął jej do ręki dwie dwuzłotówki i szybko zbiegł ze schodów.

Wybiegłem za nim. Ale już znikł na zakręcie ulicy...

(1)

## Z „Operetki na Karowej” „Zakochana królowa”

Zakochana królowa... Czyżby powrót do dawnych świątecznych tradycji — nie tyle „królewskich”, ile operetkowych, gdy o operetce warszawskiej za dyrekcji Ludwika Słwńskiego z Kawecką, Messal, Cwiklińską i Redo mówiło się dużo, wszędzie — i do brzo.

W wytwornych ramach dekoracyjno - kostiumowych prof. Jarockiego, Teatr na Karowej wystawił komedię muzyczną Földesa i Grünwalda w polskiej wersji Jerzego Waldena.

W trzynastu szybko po sobie następujących obrazach obserwujemy misterną intrygę niekochanej przez męża królowej (Wermińska), odgrywanej dla zdobycia miłości królewskiej rolę ludzającą do niej podobnej egzotycznej tancerki - śpiewaczki, a która szalał niewierny małżonek (Conti).

Autorem muzyki jest popularny ostatnio kompozytor piosenek z filmów z Fr. Gaal, Mikołaj Brodzki,

## Pogróżki p. sołtysa

Donoszą nam z Waręża, że sołtys M. Zacharzewski spotkawszy naszego kolportera zaczął mu grozić, że dostanie się „za kratki” za kolportaż naszego pisma, przy czym proponował mu kolportaż takiego pisma „w którym nigdy nie ma nagłówka „drugi nakład po konfiskacie”.

Pana sołtysa, któremu władza uderzyła do głowy, należy pouczyć, że osądzanie pism nie należy do jego kompetencji.

MICHAŁ ZOSZCZENKO

57

## NIEBIESKA KSIĘGA

Przełożyła Halina PILICHOWSKA

Wówczas inspekcja wzywa tę ładniutką kasjerkę. Powiadają do niej tak:

— Dlaczego pani struga wariata? Przecież chłop jest taki i taki!

Kasjerka powiada:

— A skąd mogłam wiedzieć? Myślałam, że zwolnię mię z innego powodu. A tak, toby mi to bynajmniej nie przeszkadzało. Myślałby kto, że to Teatr Artystyczny! Za co innego — owszem, ale akurat za to nie należało mnie usuwać. Komiczne.

Kierownik powiada:

— Tak, z tą kasjerką mógłbym chyba pracować. Szkoda, że ją przepędził przed poznaniem jej charakterystyki.

Krótko mówiąc kasjerka ta znów pracuje w tym sklepie.

Ale kierownik, niestety, już tam nie pracuje. Udzielono mu surowej nagany z ostrzeżeniem i zapowiedziano, aby sobie innym razem nie pozwalał na takie kręćactwa dla dogodzenia swym niskim upodobaniom.

I przeniesiono go do pracy w składach. Może tam sobie ulży.

Ale korney mi, aby myśleć, że się opamiętał i ze-

rwiał z swym nałogiem, wskutek którego zepsuł humor dwudziestu trzem kobietom, z których jedna była nawet wcale nieszpeta.

Interesujący wybieg zastosowano również w pewnej bursie.

Polecamy uwadze czytelników opowieść o tym nieznanym zdarzeniu.

## WYBIEG, ZASTOSOWANY W PEWNEJ BURSIE.

W pewnej bursie mieszkała niejaka Marusia Korabiewa. Bardzo kokieterjna osobka. Młodziutka. Osiemnastoletnia. Wcale żwawa i w ogóle mająca zamiłowanie do mieszczkańskich wygód.

Uczyła się, oczywiście, kiepskawo. Ale niezwykłą przyjemność sprawiało jej podobać się mężczyznom. I w tym celu podkreślała sobie oczęta i pudrowała skórę. A oprócz tego okropnie się perfumowała. Perfumami lub wodą kolońską.

I mimo swych skromnych kapitałów zawsze się rujnowała na te ciecze.

Koło jej łóżeczka stał nocny stolik, a na tym stoliku zawsze widniał flakonik z perfumami. I leżały rozmaite smarowidła, lustereczko i tak dalej.

Nagle pewnego razu Marusia zauważyła, że ktoś jej ściąga te perfumy. Ktoś ich używa.

Zaczęła wówczas chować flakonik w stoliku. I tak mimo to ktoś uporczywie odlewa. Może któraś z jej przyjaciółek nie mając własnej perfumacji korzysta z cudzej.

Marusia i do stolika chowała swe perfumy, i pod poduszkę je wtykała, — nie pomaga. Jakaś niewidzialna ręka raz po raz kradnie trochę.

Zaczęła Marusia kreski robić na etykietce — niby

ile tego było. Też nie pomaga. Złodzieje się z tym nie liczą i przy każdej sposobności odlewają.

Jednym słowem, Marusia obmyśliła taki kawał. Wzięła i na stoiczku przykleiła nalepkę „trucizna”, a nad nalepką narysowała czaszkę z dwiema kośćmi. I flakonik ten postawiła na stole. I odtąd nikt już nie tykał owej cieczi.

Z wyjątkiem zresztą jednego wypadku. Pewna histeryczka wzięła i od razu wypila całą zawartość.

Pokłóciła się, uważając, z pewnym znajomym. I z głupoty połknęła całą ciecz, bez szczególnego wprawdzie szwanku dla siebie.

A gdyby nie ten wypadek, to wynalazek jej byłby poniekąd na poziomie. Można by nawet było wystarzać się o patent za, że tak powiem, dowcip i spryt. Ale, niewątpliwie, wynalazek nieco błędnie, albowiem nastawiony jest na potrzeby mieszczkańskie — ochronę własności prywatnej.

Krótko mówiąc po tym wypadku Marusia Korabiewa zmieniła taktykę. Trzyma teraz flakonik w torebce. Jest to poniekąd niewygodne i ciężkie, ale za to bezpieczne.

Zabawne to opowiadanko polecamy uwadze „kokietów”. Nie chcemy jednak bynajmniej narażać ich na przykre chwile.

A następne opowiadanie, wręcz przeciwnie, — zezwala na to, aby się „kokieci” nie niepokoił. I niechaj je czytają ojcowie, jak również matki. Dzieciom zaś nie zaleca się ich czytania, aby zawarta w tym utworze myśl filozoficzna nie naprowadziła ich na coś podobnego.

(D. c. n.).

z. b.

## Proces o zamach bombowy

W dniu dzisiejszym rozpoczął się w Grodnie proces przeciw trzem sprawcom zamachu bombowego na dom - sanatorium „TOZ-u“.

Na ławie oskarżonych zasiadają trzech terrorystów endeckich: Jaroszewicz, Bogusz - Greccki i Panasiuk.

Pierwszych dwóch bronią adwokaci członkowie Stronnictwa Narodowego. Obrony Panasiuka, podejrzanego o pełnienie funkcji konfidenta, podjął się adwokat-sanator.

Sądowi przewodniczy wiceprezes Merle; oskarża prok. Krzysztor.

## ŻYCIE STOLICY

### O KOMUNIKACJĘ WEWNĘTRZNĄ DLA PRAGI.

Mieszkańcy Pragi oraz szczególnie oddalonych dzielnic Pelcowizny, Kamionka i Grochowa, posiadając ośrodki swych zajęć i obowiązków codziennych w obrębie tych dzielnic, wskazują na konieczność uruchomienia wewnętrznej linii tramwajowej, kursującej w obrębie Pragi, Pelcowizny i Grochowa.

Pasazerowie jadący z Pragi do Grochowa, nie mogą b. często się dostać do ul. Rudzkiej wozów linii 23 i 24. Komunikacja wewnętrzna miałaby duże powodzenie i oddziaływałaby wspomniane tramwaje, powodując wielkie udogodnienie dla mieszkańców omawianych dzielnic.

### GAZOWNIA OSTRZEGA PRZED WYPADKAMI ZATRUC.

Wkrótce pojawią się plakaty Gazoni Miejskiej, które będą porożepiane na wszystkich prawie stołecznych kamienicach. Plakaty te ostrzegają przed nieszczęśliwymi wypadkami, powstałymi wskutek niedostatecznego zaopatrzenia rur gazowych w porze zimowej. Poza tym podane są adresy i telefony pogotowia Gazoni Miejskiej w poszczególnych punktach stolicy.

### MARYMONT DOMAGA SIĘ ELEKTRYCZNEJ SYGNALIZACJI.

Na ul. Mickiewicza od pl. Wilsona do ul. Rudzkiej komunikacja tramwajowa (linia Nr. 14) odbywa się na pojedynczym torze. Wprowadzenie prowizorycznej sygnalizacji naftowej nie zapobiegło spotykaniu się tramwajów, które powodują konieczność cofania się do mijanek i dużą stratę czasu dla pasażerów. Konieczne jest albo ułożenie drugiego toru na ul. Mickiewicza do ul. Rudzkiej, albo też zaprowadzenie sygnalizacji elektrycznej.

### LUSTRACJE SANITARNO — PORZĄDKOWE.

Starosta grodzki śródmiejsko-warszawski przeprowadził lustrację posesji przy ul. Hożej, Wspólnej, Kruczej, Mokotowskiej i Wilczej oraz terenu bazaru przy ul. Hożej Nr. 2.4, w wyniku której za brudne utrzymywanie posesji ukarano trzydziestym bezwzględny aresztem dozorców domowych posesji przy ul. Hożej 6 i Mokotowskiej 69/71.

Podczas lustracji zwrócono też uwagę na ujawnianie cen, oraz na pobieranie cen za artykuły pierwszej potrzeby zgodnie z cennikiem.

## DOLE I NIDOLE

### WYPADEK PRZY PRACY

W fabryce wentylatorów, przy ul. Markowskiej 6, w czasie pracy doznał poszarpania lewej ręki w walcach maszyn do prostowania blachy, 18-letni Henryk Bełd (Ząbkowska 36), pomocnik ślusarski. Lekarz Pogotowia, po nałożeniu opatrunków, przewiózł nieszczęśliwego do szpitala Przemienienia Pańskiego.

### ZDEMOLOWAŁ CUKIERNIE

Do cukierni „Pomorskiej“, na rogu ul. Zielnej i Złotej, przyszedł podchmielony Jan Kurek (Jagiellońska 19/21), i napastował gości, aby zagrali z nim w bilard. Gdy nikt się nie chciał na tą propozycję zgodzić, Kurek wszczął awanturę usiłując pobić obecnych. Właściciel chciał zlikwidować zajście, lecz Kurek uderzył cukiernika pięścią w twarz i pochwycał krzesło, rozbił gablotki z ciastkami na bufecie, oraz połamał blat stołu bilardowego. Na alarm nadbiegło 6-ciu policjantów, którzy awanturnika obezwładnili, zakładając kajdanki. W czasie wyprowadzania z cukierni, Kurek rozbił szybę w drzwiach. Po nałożeniu kajdanek na nogi zatrzymanego przewieziono do rozkazu do VIII komisariatu.

### PLUTONOWY OKRADEŁ PASAŻERA W POCIĄGU

Na dworcu Głównym, do pociągu osobowego jadącego do Wilna wsiadł plutonowy W. P. do przedziału III kl. gdzie znajdował się strażnik kolejowy (oddziału lotnego), Feliks Mirosz, w ubraniu cywilnym. Gdy pociąg zbliżył się do Białegostoku, Mirosz próbował zasnąć. Plutonowy sądził, że strażnik już śpi zrewidował mu kieszenie zabierając portmonetkę z pieniędzmi i zegarek. W chwili gdy zdziwiał się usiłował się oddalić Mirosz schwył go za rękę odbierając wszystkie tupy. W Grodnie plutonowego zdołała policja przekazać żandarmowi. Jak się okazało, był to Stanisław Czarnota (Wilno), plutonowy W. P. w stanie spoczynku, odznaczony kilkoma krzyżami walecznych.

### ZEMŚCIŁ SIĘ ZA PRZEKLEŃSTWA RZUCANE NA JEJ DZIECKO

Praktykantka akuszerzyna Olimpia Nasiadło (Wilcza 59), będąc u swej koleżanki, Zofii Królakowej (Hoża 35) w czasie kłótni, jaka wywiązała się między kobietami krzyknęła do Królakowej pod adresem jej 4-ro miesięcznego dziecka: A bodaj dziecko ci zmarło. Słyszając to dotknięta do żywego matka, oblała Nasiadło wrzącą wodą. Do nieprzytomnej z bólu N., lekarzy wezwali lekarza, który opatrzył ofiarę stwierdzając, poparzenie twarzy 1-go i II-go stopnia. Nasiadło złożyła o wypadku zameldowanie w policji.

### Młodzi, dla was!

W ciągu najbliższych dni zostanie skompletowana przy I Robotniczym Ośrodku Wychowania Fizycznego (Warszawa, ul. Czerwonego Krzyża 20) wzorowa męska grupa gimnastyczna. Do grupy tej już teraz się przyjmowane zgłoszenia w sekretariacie Ośrodka (codziennie w godzinach od 17—21).

Warunki przyjęcia:

- 1) Wiek od 17—24 lat.
- 2) Uprawianie przed tem przynajmniej w ciągu jednego roku gimnastyki (w szkole lub w stowarzyszeniu).
- 3) Dobra postawa.
- 4) Dobry stan zdrowia.

Grupa wzorowa będzie ćwiczyła pod kierunkiem fachowego instruktora, przygotowując się do konkursów gimnastycznych, na których Sport Robotniczy wyłoni swą reprezentację na Olimpiadę w Antwerpii. Oplata 50 groszy miesięcznie. Zapisy i informacje w sekretariacie Ośrodka.

### OGŁOSZENIA LEKARSKIE

**Dr. E. Cybulski**  
Med. CHOROBY DZIECI  
przeprowadziła się  
na ul. 9-to KRZYŻYK 28  
tel. 267-43 (niezmieniony)

**LECZNICA** wyłącznie dla  
**REUMATYKÓW**  
i **ARTRETYKÓW** 221  
czynna od 10-1 i 4-7 WIERZBOWA 11

## ELEKTROWNIA MIEJSKA wyjaśnia, że

dostarczone P.P. Abonentom formularze zgłoszeń na taryfę blokową mogą być, po uprzednim wypełnieniu i podpisaniu, składane w biurach właściwych Filii Elektrowni również i po 15 grudnia r. b.

W tych wypadkach jednak, po zbadaniu i zaakceptowaniu zgłoszenia, Elektrownia rozliczać się będzie w/g zasady taryfy blokowej dopiero od II-go okresu obrachunkowego 1937 roku.

Dnia 15 b. m. wznowienie wykładów

na konc. przez Min. W.R. i O.P.

**KURSACH** buchalterii organizacji biur księgowości przebiekowej „APEL“  
Teoria — Technika — Praktyka — Samodzielność  
Sekretariat: Sienna 72, telefon 5.99-48, godz. 17—21

## Żerował na nieszczęściu bezrobotnych

W dniu wczorajszym aresztowany został poszukiwany od dłuższego czasu oszust, Henryk Maksymilian Makowski (Marywilska 72). Makowski żerował wśród bezrobotnych, pobierając od nich

nie raz ostatnie grosze, przyrzekając w zamian posady. Ofiarami oszusta padło kilkanaście osób. m. in. Janina Cieszkowska, Ludomir Bereziński, Leon Degman.

## Jak przyjmuje interesantów „Warszawski Dziennik Narodowy“

W wydziale odwoławczym Sądu Okręgowego była rozpatrywana sprawa apl. Stanisława Włodka, oskarżonego o pobicie dr. Alchaufera.

W swoim czasie szofer poszkodowanego, wiedząc, że „Dziennik Narodowy“ wykorzystuje doniesienia, oczerniające Żydów — podał redakcji wiadomość o przewiezieniu przez swojego chlebobdawcę trupa w karetce Pogotowia Ratunkowego.

Gdy dr. Alchauffer przybył do redakcji, został przyjęty przez apl. Włodka.

W czasie rozmowy doszło do ostrej wymiany słów. W pewnej chwili apl. Włodek oraz współpracownicy redakcji rzucili się na dr. Alchaufera i dotkliwie go pobili.

W wyniku przeprowadzonego dochodzenia apl. Włodek zasiadł na ławie oskarżonych. Po przeprowadzeniu 1 mies. aresztu z zawieszeniem na

1 mies. aresztu z zamianieniem na dwa lata.

Sąd Okręgowy wyrok zatwierdził.

Niedosięgnięta w jakości



ZAPRAWA do PODŁÓG  
„Dobrolin“

## RECENZJE FILMOWE

### „FURIA“ („JESTEM NIEWIENNY“). Reż. Fritz Lang. — KINO ŚWIATOWID.

Film ten jest protestem przeciwko osławionym lynchom, które są największą bodaj plagą na niebardzo jasnym niebie amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości. Procedura sądów Lyncha ustaliła się w Stanach w okresie, kiedy państwo w wymiar sprawiedliwości nie był jeszcze w stanie zagwarantować nawpół dzięki mu krajowi bezpieczeństwa publicznego. Sady Lyncha, pomyslane w zasadzie, jako sprawowanie sądownictwa przez samo społeczeństwo, przeobraziły się rychło w akty samosądu. To też zostały uchylone, skoro tylko pozwolił na to rozwój administracyjny państwa.

Mim to wiek XX przyniósł rzekomo renesans samosądów, który stał się dziełem osławionego Ku-KluxKlanu.

Żeby zrozumieć, jakim cudem sady Lyncha przetrwały w Stanach Zjednoczonych po dzień dzisiejszy, trzeba wiedzieć, że są one tam przede wszystkim swoistą formą pogromów antymurzyńskich i najjaskrawszym wyrazem rozbestwionej nienawiści rasowej. Murzynów linczą się za rzekome i istotne kradzieże, za imputowane im na każdym kroku gwałty na białych kobietach, za „bezczelne zachowanie“. Z filmu Langa dowiadujemy się, że wypadek samosądu zdarza się przeciętnie co trzy dni! Trzy czwarte ofiar lynchów to z pewnością murzyni. Oczywiście istnienie lynchów byłoby w ogóle niemożliwe, gdyby nie nienawiść rasowa, kultywowana starannie przez reakcję amerykańską i stanowiąca „ideową“ podstawę samosądów nad murzynami.

Dowiadujemy się z tego filmu, że zaledwie nikły procent zbrodniarzy, biorących udział w lynchach dostaje się na ławę oskarżonych. A nawet ci nieliczni unikają kary, dzięki odciążającym zeznaniom wszystkich bez wyjątku świadków. Jest to fakt straszny, ale niestety, nie pozbawiony pewnych analogii w naszych warunkach: społeczeństwo kryje solidarnie zbrodniarzy. Nawet przeciwnicy lynchów nie znajdują dość odwagi, by stanąć przed sądem i wskazać winnych.

Mogłoby się wydawać, że film skierowany przeciwko lynchom sięgnie do źródeł zła i powiąże temat z problemami nienawiści rasowej. Ale kinematografia amerykańska, nawet wówczas, kiedy w dobrze zrozumianym interesie własnym podejmuje na śluby obozu postępowego, nie staje bynajmniej na czele tego postępu, lecz ostrośnie wlecie w jego ogonie. Wyczuwając przelom w nastawieniu psychicznym społeczeństwa amerykańskiego, wypowiada się stanowczo

przeciwko barbarzyństwu lynchu, ale dyskontując zresztą atrakcyjność samego zagadnienia, unika jego socjalnej analizy.

Kidnapperzy znów wymusili okup za porwane dziecko. W areszcie osadzono niewinnego człowieka, przypadkiem podejrzanego o to przestępstwo. Tymczasem do miasta przenika wieść o schwytności okrutnego porwawca dzieci. W przejmujących skrotach ujawnia reżyser źródła powstawania masowej psychozy, która doprowadziła do nieuchronnie do katastrofy. Zbiórowy szal narasta w plotkach podawanych od ucha do ucha. W błyskawicznym czasie w nerwowych ruchach ludzi gromadzących się grupkami na ulicach i w szynkach. W zielonych kieliszkach whisky. I wreszcie, kiedy grupki zlewają się w tłum, płyną ku więzieniu, w którym znajduje się rzekomy kidnapper, oblewają je benzyną i podpalają. epilog ten wydaje się straszny, ale nieunikniony.

Film apeluje do patriotyzmu jankesów, tłumaczy im, że samosady są źródłem anarchii. Używa półgargamuzów. Kiedy się czyta pewne notatki w prasie amerykańskiej, kiedy się widzi na fotografiach historycznie za chwycione twarze kobiet, przypatrujących się agonii przemienionego w benzynową pochodnię negra, traci się wiarę w wpływ półgargamuzów i w skuteczność półśrodków.

Lang był luminarzem filmu niemieckiego w okresie przedhitlerowskim. Po tym znalazł schronienie w Ameryce. W jego filmie amerykańskim znać pewną ostrożność, wynika jąca zapewne z nieznajomości terenu. Mimo to film jest zrobiony kulturalnie i reprezentuje wysoką klasę. Wykonawcy ról głównych: Sylwia Sidney i Spencer Tracy, bardzo dobrze.

### OGŁOSZENIA DROBNE

**FIRANKI** — najmłodniejsze, serwety, plety, koldry watawce, bielizna, reczniki, stolowiznę w dużym wyborze poleca Fabryka Firanek, Przejazd 9, tel. 11-38-96. Dogodne warunki płatności. 201

**UWAGA!** Przyjmujemy firanki do prania, rozpinań i reperacji Fabryka Firanek, Przejazd 9, tel. 11-38-96. 202

**Radio od zł. 75.** Rewelacje sezonu. Trzy ampowe od 140. Zamiany. „Radio - Eterna“. Złota 48, tel. 243-27. 204

Zamieniamy zużytą męską garderobę na najmłodniejsze, najlepsze materiały Bielskie „ALBEWA“ Niecała 6 (podwórze). Telefon 509-42.

## Ostatnie wiadomości ze świata

### Rozdźwięki w bloku państw faszystowskich

BUDAPESZT. (PAT.). Prasa węgierska, szczególnie opozycyjna, poświęciła w ostatnich dniach wiele uwagi kilku artykułom pism niemieckich, utrzymanym w tonie nieprzychylnym dla Węgier, jak znany artykuł Rosenberga w „Völkischer Beobachter“, określający stanowisko Niemiec wobec dążeń rewizjonistycznych. Dzienniki węgierskie zajęły się szczególnie artykułem tego samego pisma na temat polityki przedwojennej Węgier wobec Chorwatów. Prasa węgierska stwierdza bezpodstawną zarzutów dziennika niemieckiego, pomawiając autora o brak znajomości historii stosunków węgiersko - chorwackich.

W artykule wstępnym, poświęconym tej kwestii, „Magyarsag“ podkreśla, że antywęgierskie wystąpienia prasy niemieckiej przybrały już charakter planowej kampanii. Opinia publiczna Węgier z rozczarowaniem i bolesnym zdziwieniem śledzi tę akcję, rozwijaną przez dawnego sprzymierzeńca wojennego. Ukazanie się w urzędowym piśmie niemieckim artykułu, występującego w obronie Chorwatów, którzy rzekomo i pod obecny rządami doznają ucisku, wskazuje — zdaniem dziennika — na niezadowolone Niemiec w związku z próbami porozumienia włosko - jugosłowiańskiego.

### Blum o warunkach współpracy Francji z Niemcami

LONDYN. (PAT.). W wywiadzie, udzielonym specjalnemu wysłannikowi „News Chronicle“, premier Blum oświadczył m. in.: „Francja gotowa jest i pragnie pomóc Niemcom, aby powrócili do normalnego życia gospodarczego, o ile Niemcy

przez wyrażenie zgody na ogólny poziom rozbrojenia pomogą Europie powrócić do normalnego życia politycznego. Dla osiągnięcia tych dwóch stadiów, tak ściśle ze sobą związanych, żaden wysiłek nie jest zbyt wielki“.

### Próba pobicia rekordu przelotu nad Atlantykiem

PARYŻ. (PAT.). Havas donosi, że wystartowała z Marignano pod Mediolanem lotniczka Maryse Bastie, usiłując pobić rekord prze-

lotu nad południowym Atlantykiem. Pierwszym etapem lotu jest Dakar.

## W Kielcach hula endecja

Ostatnio Kielce stały się terenem aktywności endecji. Tutejszy „obóz narodowy“ dał znak życia i przeprowadził kolportaż i rozlepanie ulotek propagandowych.

Jedną z nich, podpisaną przez jakiegoś tajemniczy „Związek Górników Narodowych“, w brudny i ohydny sposób napada na Centr. Zw. Górników oraz ZZZ, nazywając je „agentami żydo - komuny i masonów“ oraz denuncjując je jako „agentów Kominternu“ — za to tylko, że związki te śmiały wystąpić z żądaniem 6-cio godzinnego dnia pracy.

Druga z ulotek, poświęcona wypadkom we Lwowie, Krakowie, Krzeszowicach, Hrubieszowie i in., w ten sam brudny sposób denuncjuje, prowokuje i nazywa zdarzenia te „robotą komunistyczno-masonską“.

Właściciel jednej z księgarni w Kielcach podjął się kolportażu tygodnika satyrycznego „Szpilki“. Po uływie godziny od ukazania się pisma z reguły brakło, gdyż wykupywano je.

Nie spodobało się to tutejszym działaczom endeckim i reakcyjnym i postanowili „złui“ zaradzić. Wydelegowali do księgarni bojówkę, złożoną z znanych awanturników kieleckich, którzy najwzajemniej zagrozili księgarzowi „blokada“ i bojkotem jego przedsiębiorstwa, o ile ten nie przerwie natychmiast kolportaż „Szpilek“, gdyż jest to pono wydawnictwo „żydo - komuny“, „masonów“ i „Kominternu“.

Począty księgarz przeląkł się groźby i kolportaż przerwał. Znalazł się jednak inny, odważniejszy.

## Program radiowy

### WTOREK, 15 grudnia.

6.30 „Kiedy ranne wstają zorze“. 6.35 Gimnastyka. 6.50 Muzyka z płyt. 7.15 Dziennik poranny. 7.25 Parę informacji. 7.30 Muzyka z płyt. 8.00 Audycja dla szkół. 11.30 Audycja dla szkół. 11.57 Sygnał czasu. 12.03 Płyty. 12.40 Dziennik Południowy. 12.50 Skrzynka rolnicza. 15.00 Wiadomości gospodarcze. 15.15 Koncert w wykonaniu Ork. P. R. pod dyr. Mieczysława Mierzejewskiego z udziałem Eugenjusza Mossakowskiego. 16.00 Stolica i jej sprawy. 16.10 Życie kulturalne stolicy. 16.15 Skrzynka P.K.O. 16.30 Koncert ze Lwowa. 17.00 Dni powszednie państwa Kowalskich — powieść mówiona w oprac. Marj Kuniewiczowej. 17.15 Recital śpiewaczy Valborgi Landberg. 17.50 „W wypowiedziach ksiązek“ — monolog Teodora Bujnickiego (z Wilna). 18.00 Pogadanka aktualna. 18.10 „Sport w

Chorzowie“ — pogadanka — wygl. Edward Ludwicki (z Katowic). 18.20 Koncert reklamowy. 18.45 Program na jutro. 18.50 Pogadanka aktualna. 19.00 Czy roboty publiczne odciążają się gospodarce i społeczeństwu? — dialog przeprowadza: Władysław Bagiński i Jerzy Michałowski. 19.20 Koncert. 20.00 Rozmowa muzyczna ze słuchaczami radia. 20.15 Koncert symfoniczny z Poznania i Lwowa. W przerwie Dziennik wieczorny i Pogadanka aktualna. 22.30 Szkic literacki. 22.45 Muzyka taneczna.



## WIADOMOŚCI RADIOWE

### KONCERT UTWORÓW SZOPENOWSKICH

W środę o godz. 21 grać będzie przed mikrofonem pianista Alfred Hoehn, zaproszony przez Polskie Radio na podstawie międzynarodowej umowy o wymianie artystycznej. Wyступи on w koncercie chopinowskim, złożonym z scherza cis-moll, nokturnu Des-Dur, etudy c-moll i poloneza As-Dur.

### OPOWIEŚCI HOFFMANNA AUDYCJE RADIOWE Z POZNAŃA.

Któż nie zna ponurych, a pełnych uroku opowieści E. T. A. Hoffmanna. Poeta i muzyk, jednocześnie prawnik, był asesorem w roku 1800 w Poznaniu, później krótki czas radcą prawnikiem w Plocku i Warszawie. Na okres jego pobytu w Polsce przypada jego rozkwit kompozytorski. W Plocku komponuje dwie opery, w Poznaniu ilustruje tekst Goethego. Na te pobyty Hoffmanna w kraju osnutych

będzie audycja literacko - muzyczna Kazimierza Plucińskiego, którą Rozgłośnia Poznańska nada na fali ogólnopolskiej dn. 16.12 o godz. 21.80. „WYWIAD ZE ST. BRZOZOWSKIM“ CIEKAWY POMYSŁ RADIOWY.

W sezonie bieżącym Polskie Radio zorganizowało w dziale słowa mówio jego oryginalny cykl audycji. Są to wywiady fikcyjne z postaciami, które reprezentowały godnie polską historię i literaturę. Wiadomość czerpane są na podstawie wydanych pism, pamiętników, wspomnień i t. d. Wywiad z Adamem Mickiewiczem za inaugurował te ciekawe prelekcje. Obecnie dn. 16.12 o godz. 17.50 Roman Zrębowski przeprowadzi „rozmowę z Stanisławem Brzozowskim“, znakomitym polskim krytykiem literackim i filozoficznym, który wywarł bardzo poważny wpływ, zwłaszcza na młode pokolenie, aż do czasów ostatnich.

# Błonica czyli dyfteryt

Jedną z najpotężniejszych broni w walce z chorobami zakaźnymi jest dziś słowo drukowane. St. Thugutt.

Błonica, czyli dyfteryt, to jedna z najczęstszych i najcięższych chorób zakaźnych wieku dziecięcego, choć zdarza się może i u dorosłych. W ciągu ostatnich dziesięciu lat zarejestrowano w Polsce około 150.000 wypadków błonicy, w tym samym okresie zmarło z tegoż powodu około 9.000 osób. Niektóre epidemie błonicy odznaczają się wysoką śmiertelnością, w ciągu ostatnich kilkunastu lat najcięższą pod tym względem była u nas epidemia z roku 1927, która dała 14,3% śmiertelności, w roku 1935 śmiertelność z błonicy wynosiła w Polsce 5%, w Warszawie w 1935 zanotowano 1.285 wypadków błonicy i 54 zgony z tego powodu. Występuje błonica o każdej porze roku, ale najczęściej jesienią i na początku zimy. Zarazkiem wywołującym błonicę jest drobnoustroj zwany od nazwiska swego odkrywcy prątkiem (czyli pałeczką) Löfflera. Pałeczki te, dostając się do ustroju ludzkiego i rozmnażając się tam, mogą wytworzać toksyny (tak nazywamy trucizny, czyli jady wydzielane przez bakterie), które roznoszone wraz z prądem krwi, wywołują ciężkie objawy chorobowe.

Błonica, jak i każda choroba zakaźna, ma swój okres wylęgania (to znaczy okres czasu, upływający od chwili zarażenia do chwili wystąpienia objawów chorobowych), wynoszący 2-7 dni, po czym występuje gorączka, dręszce, bóle głowy, bóle gardła, utrudnione polykanie i t. d. Jeżeli zajrzymy takiemu choremu do gardła, to zobaczymy tam (zwłaszcza po bokach języka, w okolicy migdałków) małe białe naloty - błonki (stąd nazwa błonica), błonki te wkrótce poczynają rosnąć, jest ich coraz więcej, zlewają się ze sobą; w dalszym ciągu mogą szerzyć się ku górze, przechodząc na nos (czasami odwrótnie choroba zaczyna się w nosie i przechodzi na gardło), kiedy indziej w dół na krtani i tchawicę, co jest o wiele niebezpieczniejsze, zwłaszcza u małych dzieci, bo może grozić zatkanie dróg oddechowych i śmiercią z uduszenia lub udławienia (stąd nazwa dławiec czyli krup). W rzadkich wypadkach błonica może szerzyć się na oczy i narządy płciowe.

W pomysłnych wypadkach po pewnym czasie gorączka spada, błony się oddzielają i następuje wzdrowienie. Niestety sprawa nie zawsze się kończy tak dobrze, czasami błonica ma bardzo ciężki przebieg, kończący się śmiercią, kiedy indziej zdaje się, że chorego poprawił, a nagle występują czasami przykre, czasami niebezpieczne dla życia powikłania ze strony serca, nerek, uszu, niekiedy porażenia (zwłaszcza podniebienia i strun głosowych) i t. d.

Jakie są źródła zakażenia błonicą? Źródłem zakażenia przede wszystkim może być człowiek chory. W jamie ustnej, nosie, gardle chorego znajduje się masa zarazków przy mówieniu, kaszlu, kichaniu, spluwaniu, zarazki te mogą trafiać do ust ludzi zdrowych i w ten sposób zarażać ich. Dlatego chorego, jako niebezpiecznego dla otoczenia należy odosobnić, a gdzie to niemożliwe lub gdzie trudno o szybką pomoc lekarską, umieścić bezwzględnie w szpitalu.

W każdym razie takich chorych

nie należy całować, gdy kaszlą i kichają odwracać się, dużą ostrożność należy zachowywać zwłaszcza przy zagłębieniu do ust (bywa to czasami źródłem zarażenia u lekarzy). Zarażenie nie musi jednak odbywać się bezpośrednio od osoby chorej, może się odbywać pośrednio przez rzeczy, które chodzą w otoczeniu chorego zanieczyszczone jego płwociną. Dlatego przedmiotów tych nie należy dawać do użycia osobom innym przed wymyciem i odkażeniem. Drugim źródłem zakażenia mogą być ozdrowieńcy po błonicy, u których w jamie ustnej lub w nosie mogą znajdować się jeszcze zarazki choroby. Tacy ozdrowieńcy często są źródłem zarażenia w szkole. Zdarza się to zwłaszcza, gdy rodzice, wbrew radom lekarza przedwcześnie posyłają dziecko do szkoły. Jest to nawet czasem wyraźny egoizm i czyn niepożądany ze strony rodziców, którzy uważają, że skoro ich dziecko nie już nie grozi, to po co trzymać je w domu, niech idzie do szkoły, a że to może zagrażać innym, cudzym dzieciom, to mięta, bo którzy tam chcą myśleć o innych. (Również i zdrowych dzieci z najbliższego otoczenia chorego, jeżeli nie były odosobnione przez tydzień i nie pozostawały pod baczną opieką, nie puszczając do szkoły).

Trzecim wreszcie źródłem zakażenia mogą być ludzie zdrowi. Zdarzają się ludzie zdrowi i to nawet wcale nie rzadko, u których w śluzie jamy nosogardłowej znajdują się zarazki błonicy, ludzie ci zresztą mogą o tym nie wiedzieć, bo nie dają to żadnych objawów, wzgl. nie przyczynia im żadnej szkody, ale ten sam zarazek dostając się do organizmu innego człowieka, może wywołać u niego błonicę i to nawet ciężką.

Takich ludzi zdrowych lub ozdrowieńców, który noszą w sobie zarazki nazywamy nosicielami. Około 90% przypadków błonicy jest spowodowanych przez zakażenie od nosicieli, żadnych zaś środków leczenia nosicielstwa, które może niekiedy trwać i latami, nie posiadamy. I to jest największą groźną szerzenia się błonicy. Dawniej śmiertelność z błonicy była ogromna, od czasu jednak wynalezienia w 1894 surowicy przeciwbłoniczej spada ona mniej więcej dziesięciokrotnie. Surowicę otrzymuje się ze zwierząt, najczęściej koni, którym zastrzykuje się w pewnych odstępach czasu zarazki błonicy początkowo w bardzo małych dawkach, stopniowo zwiększanych, w ten sposób zwierzę nabiera odporności na błonicę, a surowica jego krwi - własności leczniczych zubożeni - jada błoniczych. Działanie surowicy w bardzo dużym stopniu zależy od tego, kiedy się ją stosuje. Im wcześniej jest ona zastosowana, tym wyniki są lepsze, a najlepsze są, jeżeli stosować ją pierwszego dnia. Czasami, gdy dziecku grozi uduszenie, może je jeszcze uratować mały zabieg operacyjny, polegający na rozcięciu szyi i tchawicy i założeniu w nią rurki, przez którą chorey oddycha. Również i w tych wypadkach należy szybko decydować się na zabieg, wahanie rodziców lub brak pomocy lekarskiej może dziecku przypłacić życiem.

Jak z tego widać, błonica jest chorobą groźną, i nawet zachowanie najściślejszych zasad higieny choć zmniejsza niebezpieczeństwo błonicy, to jednak nie usuwa go. W walce z błonicą jesteśmy jednak w tym szczęśliwym położeniu, że posiadamy przeciwko niej potężną broń zapobiegawczą. Tą bronią, zresztą jedynie zupełnie pewną w walce z tą cho-

robą, są szczepienia przeciwbłoniczne. Szczepimy obecnie zwykle kilkakrotnie (najczęściej trzykrotnie) w pewnych odstępach czasu za pomocą t. zw. anatoksyny, t. j. toksyny czyli jadu błoniczego, który pod działaniem formaliny i wysokiej temperatury stracił swe własności chorobotwórcze dla ludzi, ale zachował zdolność uodporniania przeciw błonicy. Ta odporność nie występuje jednak natychmiast po szczepieniu, lecz wymaga pewnego czasu. Szczepienie to jest nie tylko skuteczne, ale i zupełnie nieszkodliwe, to też znalazło ono szerokie zastosowanie w całym świecie i wszędzie tam, gdzie je zastosowano na wielką skalę, zapadalność na błonicę wybitnie się zmniejszyła. Również i w Polsce stosuje się szczepienia przeciwbłonicze, lecz choć liczba osób szczepionych wzrasta z roku na rok (w 1930 - 109.000 osób, w 1934 - 242.000, w 1935 - 329.000), to jednak wciąż jeszcze jest za mało, o czym świadczy ok. 18.000 wypadków błonicy i około 900 zgonów w r. 1935. Przed kilku laty francuskie ministerstwo higieny powołało komisję, złożoną z wybitnych uczonych do zbadania sprawy szczepień przeciwbłoniczych. Komisja ta jednogłośnie uznała celowość i skuteczność tych szczepień, mimo to jednak była przeciwna wprowadzeniu przymusu ich, „bo bardziej jest pożądana gorąca i nieprzerwana propaganda, niżeli przymus prawny; niechaj szczepienie przeciwbłoniczne nie wyjdzie się rodzicom jeszcze jednym nowym obowiązkiem, lecz dobrodziejstwem nauki, które zastosowane powszechnie, przyczyni się do zaniku tej strasznej klęski”. DR. H. RYK.

## Nieco w współczesnym p.śmiennictwie

Nie trzeba nikomu tłumaczyć wielkiego znaczenia piśmiennictwa dla postępu kultury. Miałoby się jednak zdaje sobie sprawę, że staje się ono obecnie w pewnym sensie obciążeniem kultury, a to przez swój rozrost. Drukuje się obecnie tak dużo, że zorientowanie się w tym potopie bibuły jest coraz trudniejsze. Doszło już do tego, że spis bieżących bibliografii, wydany w r. 1931 przez Międzynarodowy Instytut Współpracy Intelktualnej przy Lidze Narodów, zajął 424 strony druku.

W szczególności rozrost literatury utrudnia do pewnego stopnia pracę naukową. Na przykład w dziedzinie botaniki według danych referowanych na ostatnim międzynarodowym kongresie, któ-

# SPORT

## Niedziela na boiskach i ringach

### LEGIA ZWYCIĘŻA MAKABI W BOKSIE 10:6.

W warszawskim cyrku odbył się w niedzielę towarzyski mecz bokserski pomiędzy mistrzem klasy b, Legią, a wicemistrzem klasy a, Makabi. Zwyciężyła niespodziewanie Legia w stosunku 10:6. Techniczne wyniki zawodów przedstawiają się następująco:

W wadze muszej Rundstein pokonał Bańkiewicza.

W koguciej Teddy w najpiękniejszej walce dnia zwyciężył Jakubowicza.

W piórkowej Komar zremisował ze Spiegelmanem.

W lekkiej Rosenblum odniósł zwycięstwo nad Bareją.

W półśredniej Wasiak wygrał wal kowerem.

W średniej Doroba II wypunktował Pilnika.

W półciężkiej Neuding nie rozstrzygnął walki z Mizerskim.

W ciężkiej Doroba I pokonał Bluma.

### REPREZENTACJA BOKSERSKA BIALEGOSTOKU REMISUJE Z CWS.

W niedzielę odbył się w Białymstoku mecz bokserski pomiędzy reprezentacją miasta a warszawskim CWS. Zawody zakończyły się wynikiem nierozstrzygniętym 8:8.

### WISŁA WYELIMINOWANA Z DALSZYCH WALK O BOKSERSKIE MISTRZ. POLSKI.

W Ostrowcu w meczu bokserskim o drużynowe mistrzostwo Polski

mistrz Lublina K. S. Z. O. pokonał mistrza Krakowa Wisłę 9:7.

### REWANŻ KRAKOWSKICH BOKSERÓW.

Rewanżowy mecz bokserski między Wawelem i Łódzką Hakoah wygrali wojskowi w stosunku 10:4.

Najciekawsze spotkanie w wadze lekkiej między mistrzem Polski Chrostkiem a Wdowińskim (Hakoah) zakończyło się zwycięstwem Chrostka na punkty.

### PIERWSZY MECZ O DRUŻYNOWE MISTRZOSTWO POLSKI W BOKSIE.

W niedzielę rozegrany został w Równem mecz bokserski o drużynowe mistrzostwo Polski pomiędzy mistrzem Lwowa, Lechią, a mistrzem Wołynia, Strzelcem z Janowej Doliny. Mecz wygrała Lechia 10:6, kwalifikując się do dalszych rozgrywek, w których spotka się z mistrzem Warszawy, Okęciem.

Zwycięstwo lwowian było w pełni zasłużone. Lechia dysponowała drużyną bardzo zaawansowaną technicznie.

### KŁĘSKA BOKSERÓW I. K. P. NA ŚLĄSKU.

W Nowym Bytomiu Łódzki IKP rozegrał mecz bokserski z miejscowym BKS, przegrywając 5:11. Boksery Łódzcy wygrali zaledwie jedno spotkanie, a pozostałe trzy punkty wywalczyli w meczach remisowych.

IKP wystąpił bez Chmielewskiego, który, jak już podaliśmy, opuścił szpital dopiero 17 grudnia, a na ring wystąpił najwcześniej w styczniu.

### Piłka nożna

#### OSTATNI MECZ CRACOVII PRZED WYJAZDEM DO BERLINA.

Piłkarze Cracovii rozegrali w niedzielę spotkania z A klasową Tarnovią, jako mecz treningowy przed wyjazdem do Berlina, zwyciężając 4:0 (2:0).

Drużyna Tarnovi okazała się dobrym i ambitnie walczącym przeciwnikiem dla ligowców. Wyróżniali się zwłaszcza w ataku Baj i Krawczyk, którzy ostatnio z powodzeniem bronili barw Krakowa w reprezentacji miasta. Bramki strzelili: dwie Kosok, oraz Szeliga i Korbas po jednej.

#### RUCH RATUJE HONOR LIGOWYCH DRUŻYN ŚLĄSKICH

W meczu towarzyskim w Katowicach Śląski Ruch pokonał miejscową Pogon 7:1 (2:0).

#### BENIAMINEK LIGI PRZEGRYWA Z NAPRZODEM.

Beniaminek Ligi AKS Chorzów rozegrał w niedzielę towarzyski mecz z Naprzodem z Lipin, przegrywając 2:4 (1:0).

### Szermierka

Zawody szermiercze o puchar P. Z. S. dla pań, rozegrane w Warszawie, zakończyły się zwycięstwem Luchońwy - Markowskiej z Poloni, przed Drochocką ze Lwowa i Stanszkówną z Katowic.

### Zapaśnictwo

#### O DRUŻYNOWE MISTRZOSTWO WARSZAWY W ZAPASACH.

W niedzielę, w lokalu Legii stołecznej, rozegrane zostały dalsze dwa mecze z cyklu rozgrywek o drużynowe mistrzostwo Warszawy w klasie B.

W pierwszym meczu Fort Bema pokonał Pastę 12:9. W drugim spotkaniu Rywał zremisował z Elektrycznością.

### Łyżwiarstwo

#### WIELKIE ZAWODY ŁYŻWIARSKIE W SUWAŁKACH.

W niedzielę odbyły się w Suwałkach wielkie propagandowe zawody łyżwiarskie z udziałem 76 zawodników, reprezentujących 8 klubów. O olbrzymim zainteresowaniu zawodami świadczy fakt, że wymieniona im preza zgromadziła przeszło 3 tys. widzów, co jest nieładą rekordem.

Wyniki zawodów 7 bym następujące: 500 m. — 1) Kalbarczyk 51,8, 2) Lisiecki 56,4, 3) Uliasz 63,6, 4) Leskiewicz 66,4.

500 m. młodzieży — 1) Leszczyński 63,4, 2) Paczykanis 70, 3) Bogdanowicz 72.

8000 m. — 1) Kalbarczyk 5:31,5, 2) Lisiecki 6:00, 3) Uliasz 6:44,2, 4) Leskiewicz 7:04.

3000 młodzieży — 1) Lesiewicz 6:59, 2) Grajewski 7:07,6, 3) Raczkowski 7:22,4.

1000 m. młodzieży — 1) Tarnicki 2:22,3, 2) Klibanow 2:23,2, 3) Oldyński 2:24.

Łódź bardzo dobry, temperatura minus 1.

### Narciarstwo

#### PIERWSZY W SEZONIE BIEG NARCIARSKI W ZAKOPANEM.

Oddział narciarski „Sokoła” w Zakopanem zorganizował w niedzielę pierwszy w tym sezonie treningowy bieg narciarski dla swoich członków. Trasa 14 km. długości prowadziła z pod Lipiek popod regami i do wylotu Doliny Kościeliskiej i z powrotem. Warunki atmosferyczne i śniegowe b. dobre. Wyniki:

- 1) Wawrzyko Stanisław w czasie 1 godzina 5 minut 50 sek.
- 2) Bursa Józef — 1:07,25.
- 3) Madruła Franciszek — 1:08,88.
- 4) Stopka Józef — 1:09,19.

Zawodnicy „Sokoła” wykazali jak na początek sezonu dobrą formę i wyrównaną klasę.

### Hockey

#### OTWARCIE SEZONU HOKEJOWEGO W KRAKOWIE.

W niedzielę odbył się w Krakowie pierwszy w bieżącym sezonie mecz hokejowy między Sokolem i Śląską drużyną „09” Mysłowice, zakończony zwycięstwem Sokola w stosunku 3:1 (1:0, 0:0, 2:1).

Krakowianie przeważali przez cały czas zawodów i zwyciężyli zasłużenie, aczkolwiek w stosunku za niskim cyfrowo. Bramki strzelili Parkas, Kopta i Bocheński. Punkt honorowy dla Ślązaków zdobył Killan.

### Lekkoatletyka

#### ZIMOWE MISTRZOSTWA LEKKOATLETYCZNE LWOWA.

W niedzielę w meczu lekkoatletycznym o zimowe mistrzostwo Lwowa, AZS pokonał Lechię w stosunku 53:44. Najlepszy wynik na zawodach tych osiągnął zawodnik AZS, Jasiewicz, uzyskując w skoku w zwyr sokołość 1,75. W pozostałych konkurencjach wyniki słabe.

Do finału mistrzostw zakwalifikowały się drużyny Pogoni i AZS.

#### REKORD POLSKI W TRÓJSKOKU POBITY W POZNANIU.

W ramach zawodów lekkoatletycznych, urządzonych przez międzyszkolny klub sportowy w hali sportowej Sokola startowało około 80 zawodników, wśród nich wielu członków AZS.

W 8 skoku zawodnik AZS Schmidt uzyskał wynik 8,81 m., poprawiając tym samym rekord polski w hali o 20 cm.

### Opowiedzi Redacji

Est. (lat 15). — Artykuł wydrukowany nie będzie. Przecież my sami dużo miejsca poświęcamy tym sprawom.

R. Pom. Łódź. — Rezolucji umieścić nie możemy, bo jak mamy dowód jej autentyczności?

P. z Sosnowca. — Artykuł nie nadaje się. Nie podejmujemy się uczenia dziennikarstwa.

„13”. — Nie nadaje się.

J. Karczewski. — Adres gen. Rofi: Żoliborz, Karpińskiego 2 m. 5.

### Ofiary

Zamiast kwiatów na grób matki kolegi naszego W. — grupa uczniów gimnazjalnych składa zł. 22 — w myśl uchw. Kom. Centr. z 14.VIII.

## Czytajcie DZIENNIK POPULARNY

\*) Cyfry, podane w niniejszym artykule, pochodzą z Matego Rocznika Statystycznego, wzgl. z Kroniki Epidemiologicznej, zamieszczonej w Nr. 10 z roku bieżącego miesięcznika „Zdrowie Publiczne”.

Redakcja i Administracja Nowy-Swiat 62 m. 1, i piętro, tel. Red. 306.99, tel. Adm. 307-00 P.K.O. 23.031. „Dziennik Popularny”. Pocztowa przesyłka czasopiśmiennictwa kartonem Nr 105 „Dziennik Popularny” Redaktor przyjmuje od 12.30 do 13.30. Administracja czynna od 9-12 i 14.30-19.

Warunki prenumeraty: w Warszawie z odnośnieniem do domu 2.20; na prowincji zł. 2.10. Za zmianę adresu 50 gr. Ceny ogłoszeń: za wiersz wysokości 1 mm. przez szerokość szpalty: w tekście gr. 60; zwyczajne (w reklamach) gr. 40; ostatnia strona gr. 60; nakładki do 60 n.n. gr. 20, powyżej 60 n.n. gr. 30; notatki reklamowe gr. 60; drobne za wyraz gr. 15, najmniej 10 wyrazów; poszukiwanie pracy gr. 10 za wyraz. Ogłoszenia tabelaryczne o 50 proc. drożej. Układ ogłoszeń tekstowych i zwyczajnych 6-szpaltowy. Za treść ogłoszeń Redakcja nie odpowiada.

Redaktor odpowiedzialny: Władysław Pietrzykowski. Wydawca: Spoleczna Spółka Wydawnicza Sp. z ogr. odp.

Ofseto w drukarni Sp. Nakładowo-Wydawniczej „Robotnik”, Warszawa, Warecka 7.



10

DZIENNIK

10

GR

POPULARNY

GR

# W Chinach W Hiszpanii

## zanosi się na interwencję faszystów japońskich

### Sytuacja strategiczna

PEKIN. (PAT). Dywizja wojsk Czang-Tsue-Lianga zatrzymała się w pobliżu Funkan na granicy prowincji Szen-Si i Ho-Nan, gdzie znajdują się strażnice przednie wojsk centralnego. Dywizja ta zajęła pozycje obronne wzdłuż linii kolei Tunkan-Sian-Fu. Gubernator Kan-Su główny adiutant Czang-Tsue-Lianga przybył do Sian-Fu ze znacznymi posiłkami. Wojska nankińskie koncentrują się w północnym Ho-Nan, ale nie przechodzą do ataku w obawie o życie Czang-Kai-Szeka. Samoloty nankińskie odbyły lot nad Sian-Fu i stwierdziły, że obrona przeciwnicza jest tam przygotowana. Zandarmeria nankińska stacjonowana w Sian-Fu nie jest dotychczas rozbrojona.

### Czang-Kai-Szek cały i zdrow

NANKIN. (PAT). Małżonka Czang-Kai-Szeka otrzymała od męża depeszę, w której powiedziano, że marszałek jest cały i zdrow i że może się o nikogo nie niepokoić.

### Czang-Sue-Liang żąda stanowczości

NANKIN. (PAT). Odpowiadając na depeszę min. wojny, gen. Hoying-Czinga, domagającego się uwolnienia Czang-Kai-Szeka jako wstępnego warunku wszczęcia rokowań, Czang - Tsue-Liang oświadczył, że dalsze postępowanie jego będzie zależało od decyzji Nankinu w sprawie wprowadzenia energiczniejszej polityki w stosunku do Japonii.

### Bombardowanie Sian-Fu

PEKIN. (PAT). Według otrzymanych wiadomości, samoloty rządu nankińskiego rozpoczęły bombardowanie Sian-Fu. Podobno dworzec kolejowy stoi w płomieniach.

### Czang-Sue-Liang proponuje Front Ludowy

PEKIN. (PAT). Ze źródeł chińskich donoszą: Marszałek Czang-Sue-Liang ogłosił odezwę do ludności prowincji Szen-Si, w której poddaje krytyce politykę Czang-Kai-Szeka i wysuwa propozycję utworzenia rządu centralnego, opartego na zasadach frontu ludowego. Przewodniczącą rady politycznej prowincji Ho-Pei-Czaha Sung-Czen-Juan depeszkował do Czang-Sue-Lianga, odradzając mu sojusz z armią czerwoną. Dowódcy wojsk chińskich w Chinach Północnych zachowują stanowisko wycofujące, a prasa wywołuje wojny domowe. Koła polityczne w Pekinie są zdania, że

marsz. Czang-Kai-Szek może zlikwidować zatarg w drodze rokowań.

### Japonia zapowiada interwencję

TOKIO. (PAT). „Niszi-Niszi” w depeszy z Hsingking donosi, że armia kwantunska zapowiedziała wydanie zarządzeń „pozytywnych” w Chinach Północnych, gdyby marszałek Czang-Sue-Liang rzeczywiście zrealizował swe zamiary współpracy z komunistami chińskimi. „Niszi-Niszi” uważa, iż Japonia powinna zająć stanowisko wycofujące.

### Rewolucja chińska jest dziełem Chińczyków

SZANGHAJ. (PAT). Koła chińskie, według Havasa, uważają, iż komentarze prasy europejskiej przedstawiające ostatnie wydarzenia w Chinach jako bezpośrednio inspirowane przez takie, czy inne mocarstwa cudzoziemskie, nie odpowiadają rzeczywistości.

Rewolta, która wybuchła w Sian-Fu, jak się zdaje, została głównie wywołana przez czynniki lokalne, chociaż oczywistym jest, iż wojna domowa wyszłaby na korzyść przede wszystkim Japonii. Bezpośredni jej udział w buncie wydaje się mało prawdopodobnym.

### Kontrewolucja

NANKIN. (PAT). Na czele kontrewolucji przeciwko Czang-Sue-Liangowi stoi generał Yang-Czeu, który rzekomo przekonał Czang-Sue-Lianga, aby wydał mu Czang-Kai-Szeka, a następnie oznajmił,

iż jest lojalny w stosunku do rządu nankińskiego.

Dziewięć samolotów rządowych udało się do Sian-Fu na pomoc gen Yanghuczenowi.

### Japonia zaczyna od „opieki”

TOKIO. (PAT). Minister marynarki Nagano wydał telegraficzne instrukcje eskadrze japońskiej, znajdującej się na wodach chińskich, aby rozciągnęła opiekę nad życiem i mieniem obywateli japońskich wobec możliwości dalszych komplikacji z powodu buntu Czang-Sue-Lianga.

gdyby Czang - Sue - Liang nadal określoną formę swemu wrogiemu stosunkowi do Japonii, lub gdyby stworzył wspólny antyjapoński front ze Związkiem Sowieckim.

### Japończycy „obserwują”

TIEN-TSIN. (PAT). Przedstawiciel wojsk japońskich w Chinach Północnych oświadczył przedstawicielom prasy, że armia japońska pilnie obserwuje położenie w prowincji Szen-Si. Czang - Tsue-Liang, zdaniem kół japońskich, dysponuje 50.000 wojska, które jednak, zarówno jak oddziały czerwonej armii, nie jest należyście uzbrojone.

Według agencji Domei, oficjalne koła japońskie w buncie Czang-Sue-Lianga dopatrują się rezultatów działalności Kominternu, co zdaniem ich dowodzi konieczności układu antykomunistycznego.

„Hoszi - Szimbun” pisze, iż rząd japoński zajmie stanowisko wycofujące.

Stanowisko to uległoby zmianie,

## Faszyści włosko-niemieccy ponoszą dalsze klęski

### Dalsze sukcesy w Carabanchel

MADRYT. (PAT). Komitet obrońcy Madrytu ogłosił komunikat, donoszący o zajęciu przez kolumnę płk. Rovila dawnych koszar policji na odcinku Carabanchel. Na innych odcinkach frontu madryckiego panuje spokój. Stracono samolot powstańcy.

### Pod Guadarrama sukcesy

MADRYT. (PAT). Ministerstwo wojny ogłosiło komunikat, w którym donosi o odparciu ataków powstańców na odcinku Guadarrama. Straty nieprzyjaciela są znaczne.

### Pod Madrytem padło już 5000 ludzi

MADRYT. (PAT). W ciągu trzech ostatnich tygodni w walkach, toczących się dokoła Madrytu, padło przeszło 5000 zabitych. Wczoraj około godz. 10-ej powstańcy zaatakowali pozycje rządowe w pobliżu Valdemorilla w odległości 20 km. od Madrytu. Za jada walka, jak zaznacza Havas, trwała około 3 godzin. Atak powstańców został odparty.

### Storpedowanie rządowej łodzi podwodnej

WALENCJA. (PAT). Donoszą z Malagi o zatonięciu rządowej łodzi podwodnej „Strois” pod dowództwem kpt. Antonio Arbona patrolowała okoliczne wody. Nie spodzianie została uderzona pociskiem torpedowym i zatonała na głębokości 30 mtr. Uratował się jeden oficer i 2 marynarzy. Ciało reszty załogi i zatopionej łodzi nie odnaleziono.

### Czego boi się Watykan

BERLIN. (PAT). Jak twierdzi hitlerowski „Angriff”, stolica święta zapatruje się pesymistycznie na widok akcji pojedynczej, o-

### Dalsza ewakuacja Madrytu

MADRYT. (PAT). W dalszym ciągu akcji opieki nad ludnością cywilną komitet ewakuacyjny pod przewodnictwem Jimeneza ewakuował w ciągu ubiegłego tygodnia 60.000 osób, w tej liczbie 30 tys. dzieci.

### Ulgi dla więźniów w Madrycie

MADRYT. (PAT). Z dniem dzisiejszym wszystkim, znajdującym się w więzieniach madryckich aresztowanym, udzielono prawa wstępu do rodzin i komunikowania się z nimi listownie.

### Przed utworzeniem nowego rządu w Katalonii

BARCELONA. (PAT). Po zakończeniu posiedzenia rady Generalitadu, prezydent Companys oświadczył dziennikarzom, iż kryzys rządowy został oficjalnie otwarty. Companys dodał, iż nawiąże niezwłocznie kontakt z przedstawicielami stronnictw i organizacji syndykalistycznych w celu stworzenia nowego rządu bardziej odpowiadającego potrzebom chwili. Specjalny nacisk będzie położony na zagadnienia dyscypliny społecznej. Konieczny jest rząd — powiedział Companys — który będzie rządził, rząd, który potrafi zmusić do poszanowania swoich decyzji.

### Wyrok na zabójcę Gustoffa

CHUR. (PAT). Trybunał kantonalny Grosins (Graubünden) skazał Dawida Frankfurtera, uznawszy go winnym zabójstwa Gustoffa, na karę 18-tu lat więzienia, utratę praw cywilnych na ten sam okres czasu, dożywotni zakaz pobytu w Szwajcarii i odszkodowanie za wyrządzone szkody.

# W Senacie

## Skrzyżowanie myśli i poglądów — „Kochajmy się”!

### SEN. ROSTWOROWSKI O KONSTYTUCJI.

Ze wszystkimi zastrzeżeniami co do partyjności, sejmowiadał. t. d. p. sen. Rostworowski uważał za stosowne jednak podkreślić, że stosunki między Rządem a Izłą nie układają się tak, jakby należało. W szczególności podkreślił zbytni rozmiar dekretowania. Zaznacza, że rząd w działalności dekretowej poszedł dalej, niż pozwalała pełnomocnictwa i zalecenia Izby. P. Rostworowski mówi następnie, że szereg dekretów, jak o służbie pracy, jak o prawie karnym - skarbowym, mógł być z powodzeniem załatwiony przez Izby w drodze sesji nadzwyczajnej. Szczególny jednak nacisk kładzie mówca na dekret wrześniowy, wyłączający lasy państwowe spod kontroli Izby. W tym miejscu p. sen. Rostworowski stawia zarzut bardzo mocny: „Czy to jest lojalne wobec Izby — mówi p. Rostworowski — kiedy się używa pełnomocnictw bez koniecznej potrzeby, wbrew wyraźnej woli mocodawców? To już nie lekceważenie Izby ustawodawczych, ale samej Konstytucji”. I przypomina wreszcie, że Senat ma stać na straży Konstytucji, która jest testamentem marszałka Piłsudskiego.

### CO MYŚLĄ O OBECNYM PARLAMENCIE.

Sen. Śliwiński zajął się niepopularnością obecnych Izby ustawodawczych i zarzutami, które są przez opinię publiczną stawiane. Trafnie przy tym scharakteryzował nastroje kraju w stosunku do obecnego parlamentu: „Cała dyskusja w sprawie parlamentu obecnego spowita w gryzące dymy jadowitych plotek, kończy się jedną i tą samą konkluzją, że: nie odpowiadamy swemu przeznaczeniu, że powinniśmy złożyć mandaty i zakończyć nikomu nie potrzebny żywot”.

P. sen. Śliwiński jest odmiennego zdania i przypuszcza, że nowi posłowie i senatorowie nie pracowali by gorzej, że wróciłoby sejmowładztwo, że nie zmniejszyłoby się bezrobocie i t. d.

Stanowisko p. senatora jest dość subiektywne. Wystarczy, by p. sen. Śliwiński wziął do ręki „Mały

Rocznik Statystyczny”, porównał odpowiednie dane za okres ostatniego 10-letnia i znalazłby tam odpowiedź na swoje wątpliwości, co do bezrobocia, sytuacji gospodarczej, nie mówiąc już co do prawnego i materialnego położenia szerokich mas.

### GDANSK.

W przemówieniu sen. Śliwińskiego na uwagę zasługuje szczególnie poruszenie sprawy gdańskiej. Przypuszczam, mówi on, że wyrażam pogląd Wysokiej Izby, jeżeli powiem, że oczekujemy stanowczego oświadczenia ze strony rządu w sprawie gdańskiej. Ten apel sen. Śliwińskiego nie pozostał bez echa. W piątek bowiem ma zabrać głos na komisji spraw zagranicznych płk. Beck.

### CZY PIĘĆ ZDOLNA JEST POKONAĆ DUCHA?

Charakterystyczną jest rzeczą, że paląca sprawa bezrobocia, stosunkowo słabe znalazła echo w dyskusji senackiej. Mówiono dużo o radykalizowaniu się ludności, o rzekomych wpływach z zewnątrz, mimochodem tylko podkreślono znaczenie sytuacji materialnej ludności i wpływ jego na nastroje.

Sen. Evert zwrócił uwagę, że „głódna dusza polska staje się coraz mniej odporna na agitację wyrotową”. Czy jednak na to wystarczy środki policyjne? Czy pięć zdolna jest pokonać ducha? Pan sen. Evert odpowiada, że nie i podkreśla, iż rząd powinien przede wszystkim czerpać z bogatych zasobów polskich dla nasycenia głodnych, a dopiero na tym tle może się rozwinąć skuteczna akcja wychowania narodu od najmłodszego pokolenia.

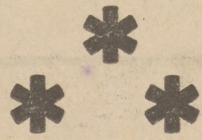
### P. ZBIERSKI MA KONCEPCJĘ.

W całej dyskusji senackiej zagadnienia budżetowe zepchnięte zostały na drugi plan przez pewne momenty ideologiczno - polityczne, tworzących się nowych koncepcji, czy też formacji partyjnych.

P. sen. Makowski uważa, że nie możemy być ani państwem totalnym, ani państwem liberalnym, a podjęliśmy drogą konstytucji kwietyzmu, o której poprzednio sen. Rostworowski wspominał, że nie

**Od Redakcji**  
Jutrzejczy, środowy numer „Dziennika Popularnego” będzie liczył 8 stron druku.

**Od Administracji**  
Ogłoszenia przyjmujemy do godz. 6-ej wieczorem. Ogłoszenia na niedziele przyjmujemy do godz. 2-8-ej w soboty.



# Z Senatu

## Ofensywa obskurantyzmu i „żydo-komuny“

Podajemy poniżej według stenogramu ciekawe przemówienie senatorki Fleszerowej. Red.

P. senator Makowski nazwał dzisiejsze nasze zebranie rachunkiem sumienia, to też właśnie chcę mówić o pewnym kompleksie spraw, jako świadomy swych praw i obojętności obywateli, licząc się z tym, że może wiele z tych rzeczy, o których wspomnę za chwilę, nie dochodzi w całości do wiadomości Rządu, jak również, że rząd może za mało zdaje sobie sprawę z tego, że jednak na pewne zjawiska reagowanie w społeczeństwie jest bardzo różnorodne. Są to sprawy z dziedziny zagadnień moralnych — decydujących o atmosferze życia społeczeństwa. Chcę mówić tu o wolności sumienia, o wolności myśli, o wolności wypowiedzania się.

Wolność tę gwarantuje obywateli Rzeszy Rzeszpospolitej Konstytucja — ale wolności tej niema. — Niema, bo i przedstawiciele władz państwowych i społeczeństwo ulegają hipnozom pewnych hasel, wysuwanych nieraz bądź może zupełnie spontanicznie, wielokrotnie jednak umyślnie przez czynniki świadome swego celu. Przytoczę szereg konkretnych przykładów — bo chcę być wyraźnie zrozumiana.

Wolność sumienia dla obywateli Rzeszy Rzeszpospolitej, który w metryce ma zaznaczone, że jest wyznania rzymsko-katolickiego, polega w chwili obecnej na bezwzględnej posłuszeństwie władzy kościelnej, nie tylko w sprawach religijnych — co było by zupełnie zrozumiałe, ale i w sprawach gospodarczych, społecznych, politycznych a, nawet, zupełnie prywatnych.

„Dziwka“ — przepraszam za to słowo, ale je tylko cytuję — woła ksiądz proboszcz o nauczycielce, która po wzięciu ślubu w młodości wojewódzkim powróciła do szkoły do swej wsi, ale nie pospieszyła do plebanii, aby pokazać metrykę ślubu. „Wyrzucić ją z kościoła“ — dysponuje inny duszpasterz, w odniesieniu do osoby religijnej, praktykującej, ale która nie chciała oddać na użytek prywatny księdza mebli, będących własnością organizacji społecznej. Czy kościół jest prywatną własnością proboszcza?

„Bolszewicy, komuniści“ — rozlega się z ambon pod adresem nauczycieli, którzy ośmielili się zaśpiewać Czerwony Sztandar, czy posłuchać przez radio audycji z ZSRR.

I co dzień, ze wszystkich stron kraju napływają wieści o takim bezapelacyjnym ferowaniu wyroków, odsądzających obywateli Rzeszy Rzeszpospolitej od czci i wiary, przez czynniki wcale do tego nie upoważnione. Ba — nawet przez Polskie Radio słyszymy kazania, głoszące o bezbożności dzisiejszej polskiej szkoły i wołające o przeciwdziałanie się temu. Czyż nie jest to podkopaniem autorytetu państwowej organizacji, jaką bezwzględnie jest szkolnictwo? Czyż nie jest to sianie zamętu w duszach maluczkich i, co za tym idzie, anarchizowanie społeczeństwa, i to właśnie przez czynniki, który z racji swego powołania jest raczej powołany do wytworzenia harmonii?

Takie usurpowanie sobie prawa osądu i prawa autorytatywnego wypowiedzania się w sprawach społecznych, a nawet politycznych, widzimy i w innych wypadkach. Oto jeden z wielu przykładów. Na skutek krwawych zajęć w S. G. H. do gmachu uczelni wkroczyła policja — otóż wkrótce po usunięciu przez policję całego personelu administracyjnego szkoły oraz grona profesorskiego, zjawili się w szkole ksiądz dr. św. teologii, profesor uniwersytetu — „na czyje wezwanie? — nie wiem. Przybył prawdopodobnie dla uspokojenia wzbudzonych umysłów młodzieży, i oto ten ksiądz nie znalazł innych słów jak tylko podzielenie młodzieży na narodową i żydo-komunę — w rezultacie został wygwizdany i korzyści z tego dla nikogo żadnej, a straty moralne jeszcze większe.

Przykład drugi. W ostatnich dniach podały pisma wiadomość o wywiadzie, udzielonym przez najwyższego dostojnika kościoła w Polsce, na temat naszej państwowej polityki zagranicznej. Na podstawie jakich pełnomocnictw wywiad ten był udzielony? M. S. Z. o tym milczy, wolno więc nam przypuszczać, że upoważnienia żadnego nie było.

Przenoszenie autorytetu, jaki duchowieństwu słusznie należy się w obrębie kościoła, na teren życia społecznego i prywatnego obywateli staje się coraz częstsze. Ofensywa kleru na wolność obywatelską idzie na całej linii, sekundując jej dzielnie czynniki tak zw. narodowe i konserwatywne. Zdarza się to nie po raz pierwszy i prawdopodobnie nie po raz ostatni. Dla ułatwienia sobie walki rzuca się pierwsze lepsze hasło i powtarza się je z uporem stale i wszędzie, aż się nim zahypnotyzuje — takim hasłem na dziś jest walka z żydo-komuną. Prstrzą się tymi wyrazami szpalty pism, ściany domów, deski parkanów, ba nawet gładkie jezdnie naszych nowych autostrad. Każdy, kto ośmieli się wypowiedzieć sąd niezależny, ba — przeczytać książkę, nieaprobowaną przez kościół, czy przez tak zw. warstwy narodowe — to Żyd, albo komunist, a co za tym idzie — człowiek postawiony poza nawias społeczeństwa i moralnie pozbawiony wszelkich praw.

W takiej atmosferze staje się zrozumiałe, ale nie wybaczone odezwa młodzieży z obozu wielkiej Polski, gdzie jest powiedziane: „Bij, bij — kto sam nie bije, ten jest bity; nie przyjmuj się widokiem krwi — żołnierzowi w pierwszej potyczce też jakoś niewyraźnie, ale potem... Bij, bij, zawsze i wszędzie, bij tym co ci pod rękę wpadnie, bij czym najlepiej się bije“.

Czyż nie z tego samego ducha wyrosła tęsknota dwutygodnika — „Mysł Polska“ do powrotu Torquemady. „Czas najwyższy... by stanął pośród nas wielki i straszny Torquemada — inkwizytor“. Czyż nie jest potworne takie życie? Czyż nie mówi ono o niesłychanym obniżeniu ideałów? A przede wszystkim i jedno i drugie wypowiedzenie się jest niezgodne z odwiecznym duchem Polski. Polska miała Orzechowskich, miała Skargów, ale nie miała Torquemadów. Polskiej naturze obcy był system inkwizycji, system znęcania się, naigrania z cudzego poniżenia i bólu. Jeżeli w przeszłości były takie wypadki, to sporadycznie, a jeżeli dzisiaj się dzisiaj, to są dowodem, jak głęboko obita się na nas niewola i jak daleko sięgają dzisiejsze idee zachodu i wschodu. Takim tworem również przeciwnym najgłębszej istocie ducha polskiego, jest obóz odosobnienia w Berezie. Rząd, który stworzył, twierdził, że musi taki obóz istnieć i że muszą być ludzie odosobnieni bez ingerencji sądu — miało to być jakby odosobnienie wychowawcze, na trzy miesiące najdłużej. A tymczasem siedzą tam ludzie po dwadzieścia kilka miesięcy, tygodniami całymi trzymani w mokrym karcerze, bici, poniżani, ludzie ci tracą zmysły, zdrowie, życie. A personel, który dopuszcza się tych znęcań — deprawuje się równocześnie i wykołaja.

Ból, straszny ból chwytą za serce na takie załamanie całej ideologii ducha polskiego — równi z równymi, wolni z wolnymi. Trzeba z tym skończyć, trzeba to odmienić, trzeba wpuścić prąd świeżego powietrza i dać możliwość odprężenia się moralnym siłom naszego narodu. Bo oto ze wszystkich stron wysuwają się straszne macki obskurantyzmu.

Po prostu zaczyna pachnieć średniowieczem. Bo czyż nie do rzędu średniowiecznych idei należy fakt utworzenia stanowiej jednostki wojskowej. Jeżeli to ma przypominać Złoty Wiek Polski, to w nie mniejszym stopniu przypomina też i Czasy Saskie. Nie mniej średniowieczem pachnie powoływanie się w wyroku sądowym na przynależność stron do różnych warstw społecznych i obstrzanie wyroku, gdyż dotkniętym został członek warstwy wyższej przez członka warstwy niższej, Na

jakiej podstawie sędzia mógł prze prowadzić taki podział, gdzie w naszym ustawodawstwie jest wprowadzone pojęcie warstwy i są określone ich przywileje? Czyż nie jest to złamanie podstawowej zasady wymiaru sprawiedliwości!

Otumanione, ogłoszone krzykiem i w bierności utrwalane społeczeństwo, w znacznej swej części milczy, ale to nie znaczy, że godzi się ze wszystkim, co się dzieje. Tylko prawie nie posiada możliwości wypowiedzenia swych myśli. Konfiskaty słowa drukowanego, oraz częste zakazy odbycia zapowiedzianych zebrań stają temu na przeszkodzie.

Nie, nie widzę stwierdzonego przez Pana Premiera ani uspokojenia nerwów, ani większego spokoju. Przeciwnie, widzę próby terroru moralnego pewnej grupy ludności w stosunku do innych, widzę dławienie wszelkich objawów niezależnej myśli, wreszcie strach przed komuną, szerszy tak namiętnie, że aż budzi się podejrzenie, że jest to robione celowo przez czynniki, które chcą odwrócić uwagę naszą od zarządy i ku nam od zachodu, a która wysoce przemysłnie i sprawnie kieruje swoją propagandą, zarazy, która nie mniej od komuny jest obca duchowi polskiemu, a wreszcie widzę również na każdym kroku podejrzliwość i brak zaufania, o tyle usprawiedliwioną, że wiele obywateli nie zostało wypełnionych.

Pan Premier powołał się na fakt, że „Polska istnieje po wskrzeszeniu jej dopiero 18 lat“. Jest to rzeczywistość czas krótki w dziejach narodu, ale jednak okres ten

## Z Chin

### Pod Sian-Fu

NANKIN. (PAT). Wojska rządu centralnego posuwają się naprzód wzdłuż kolei do Lung-Hai i są obecnie w odległości 65 km. od Sian-Fu. Według wiadomości, pochodzących od tych wojsk w Sian-Fu panuje zupełny spokój, wobec tego należy przypuszczać, że wieści o kontrrewolucji w Sian-Fu były nieprawdziwe. Samoloty nankińskie bombardowały fortyfikacje,

wznoszone przez wojska Czang-Sue-Liang, ale nie atakowały miasta w obawie o los zakładników.

SZANGHAI (PAT). Zaciekle walczy toczy się obecnie pod Sienyang w odległości 15 mil na północny zachód od Sian-Fu. Dywizja wojsk nankińskich broni uparcie Sienyang przeciw przeważającym siłom powstańców.

## Opinia Niemiec

BERLIN. (PAT). Wybuch zatargu w Chinach odbił się w Berlinie głośnie echem. Przyczyny zatargu koła tutejsze dopatrują się głównie we wpływach Moskwy, chociaż niektórzy obserwatorzy niemieccy dopuszczają możliwość, że konflikt powstał na podłożu ambicji osobistych marszałka Czang-Sue-Liang.

Zdaniem niemieckich kół politycznych, następstwa zatargu mogą być groźne. Prócz szybkiej kontratakty zwolenników uwiecznionego marszałka Czang-Kai-Szeka, liczyć się należy z burzeniem Japonii, a jednocześnie z aktywnością Sowietów.

Według depesz niemieckich z Dalekiego Wschodu, rząd nankiński wy-

stał już na pomoc uwiecznionemu wodzowi doborową armię w składzie 25 dywizyj. Japonia zdaje się być zdecydowana w razie potrzeby interweniować czynnie w Chinach Północno-Wschodnich. Również Moskwa jest poruszona. Marszałek Bluecher po odbyciu dłuższej narady ze Stalinem i Woroszyłowem udał się natychmiast samolotem do Chabarowska. Zwraca uwagę fakt, że w Moskwie bawi obecnie premier sowieckofilskiej Mongolii Zeważtrze.

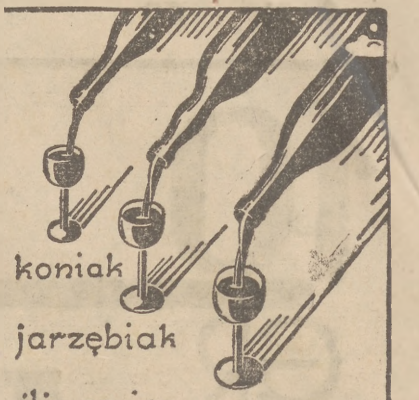
Wypadki chińskie wywołały w Berlinie tym większe wrażenie, że marszałek Czang-Kai-Szek cieszył się w Niemczech opinią przyjaciela Niemiec.

## Faszyści nie chcą rzetelnej nieinterwencji

LONDYN. (PAT.). Podkomisja Komitetu Nadzoru nad nieinterwencją omawiała projekt kontroli lotniczej, opracowany przez ekspertów W. Brytanii, Francji, Zw. Sowieckiego, Szwecji, Czechosłowacji i Belgii, oraz przy raczej biernym udziale ekspertów Niemiec i Włoch. Projekt ten, jak wiadomo, dotyczy ustanowienia w promieniu 1500 mil angielskich od Madrytu agentów międzynarodowej kontroli lotniczej, którzy działaliby na obszarach 27 państw współpracujących w Komitecie Nadzoru nad nieinterwencją. Przedstawiciele W. Brytanii, Francji, Związku Sowieckiego, Szwecji, Czechosłowacji i Belgii oświadczyli, że rządy ich akceptują projekt, zaś przedstawiciel Włoch oświadczył, że nie posiada jeszcze instrukcji.

Przedstawiciele Niemiec i Portugalii natomiast wyraźnie oświadczyli, że rządy ich odrzucają projekt kontroli lotniczej i nie mogą się zgodzić na wykonywanie na ich terytoriach kontroli przez obcych agentów.

Wywołało to atak sowieckiego ambasadora Majskiego na Niemcy i Portugalie. Majski zwraca ostro napad na Portugalie, zapytując, jakim prawem przedstawiciel Portugalii w ogóle zasiada w pracach podkomitetu nad tą sprawą, kiedy delegat Portugalii z góry w swoim czasie uchylł się od współpracy w akcji kontroli lotniczej. Po ostrej wymianie zdań między Majskim i delegatem Portugalii Colheirosem, podkomitet postanowił projekt kontroli odstąpić z powrotem ekspertom do ponownego rozpatrzenia.



### Wszystkie wódki i likiery ZAMKOWE

(Kilkadziesiąt rodzajów i gatunków) produkowane są z najlepszych surowców, wedle recept będących w posiadaniu od 120 lat istniejących ZAKŁADÓW ZAMKOWYCH.

### wódki zamkowe dobre i zdrowe

Przedstawiciele PAŃSTWOWYCH ZAKŁADÓW PRZEMYSŁOWYCH w Cieszylinie: K. Lenartowicz i M. Mitraszewski Warszawa, Nowy Świat 46.

Jeżeli mamy ocenić polską politykę zagraniczną na zasadzie jej ostatnich posunięć, to wniosek może być tylko ten: pomimo zapewnień, że Polska jest przeciwna blokom, nasza polityka zagraniczna w praktyce w dalszym ciągu po maga — i to bardzo energicznie — temu blokowi, na którego czele stoją hitlerowskie Niemcy.

Istotnie. Niemcy wypowiedziały międzynarodowemu rzesz. Agencja, wyrażająca opinię naszego M. S. Z. usprawiedliwia posunięcie Niemiec do jego treści, dodając łagodne, nie zasadnicze zastrzeżenia co do jego formy.

W sprawie Ligi Narodów p. min. Beck zażądał jak największego ograniczenia jej uprawnień. Podług planu p. min. Becka „żadna decyzja nie mogłaby być powzięta w stosunku do jakiegokolwiek państwa bez jego zgody i współpracy“. A więc np. nie można by było uchwalić sankcji przeciwko Włochom za ich napad na Abisynię bez zgody samych Włoch! Krócej: Liga musiałaby się raz na zawsze wyrzec wszelkiej akcji przeciw o napaszcim, zaborem, pogwałceniu traktatów i granic państw, bo przecież napastnik, winowajca, nigdy się nie zgodzi na żadne potępienie i żadne przeciwko sobie sankcje albo kary. „Kurier Poranny“ b. szczerze tłumaczy propozycję rządu polskiego, pisząc, że:

„Liga Narodów musi mieć zupełnie jasno wytyczone kompetencje (uprawnienia), zaakceptowane zgodnie przez wszystkich, gdyż tylko wówczas będzie mogła spełnić swoje zadanie „klubu dyskusyjnego“... Ale i Hitler niezgodnie więcej sobie nie życzy, jak zamiany jej na „klub dyskusyjny“, gdzie się będzie wypowiadało długie, wzniosłe i nieszkodliwe — dla napastnika — przemówienia. Do takiej „Ligi“ będzie mógł należeć również Hitler.

Wreszcie sprawa hiszpańska. Delegat Polski przy Lidze Narodów, p. Komarnicki, wypowiedział się przeciwko rozpatrywaniu skarg legalnego rządu Hiszpanii na napad Niemiec i Włoch i na rozpalenie światowej wojny. Nazwał żądania Hiszpanii naciskiem z zewnątrz (?), tak, jakby Hiszpania była już wykreślona z listy pełnoprawnych państw i postawiona na stopie kolonii włosko-niemieckiej.

Niestety, nic tu nie zmienia rozporządzenia rządowe, zakazujące wywozu broni do Hiszpanii, odmiawiające ochrony dla polskich statków, czy aeroplanów, któreby tę broni wiozły i pozbawiające obywatelstwa polskiego ochotników wstępujących do armii, które walczą w Hiszpanii. Polscy sympatycy gen. Franco znajdują sposoby posyłania pomocy na parowcach i Junkersach niemieckich — do Niemiec broń wywozić wolno!

Natomiast pozbawienie obywatelstwa godzi przede wszystkim w tych licznych ochotników — robotników polskich we Francji, którzy pośpieszyli na pomoc ludowemu rządowi. Jest ich bez porównania więcej, niż niesławnej pamięci Czarkowskich, Lasockich, czy tych ludzi bez sumienia, co to się potem przechwalały w polskiej prasie i że rzucali bomby, mordujące kobiety i dzieci hiszpańskiego ludu.

Takie są fakty. W tej sytuacji słabą pociechą są wiadomości o poprawie stosunków polsko-francuskich. Wobec takich posunięć, jak omówione wyżej, nie można wierzyć ani w jakiegokolwiek poważniejsze zbliżenie, ani w jego trwałość. Co ważniejsze: celem zbliżenia polsko-francuskiego musi być przeciwnie wzrost potęgi i zaborczości hitlerowskich Niemiec. Ażeby dopiąć tego celu, Polska powinna uprawiać zgoła inną politykę zagraniczną.

## CO PISZĄ INNI

### BURZE NA WSCHODZIE.

Cała prasa szeroko komentuje ostatnie wydarzenia w Chinach. „Warszawski Dziennik Narodowy“ daje następujący swój komentarz:

Uwięzienie marszałka Czang-Kai-Szeka, dyktatora Chin, uważać można w pewnym sensie za odpowiedź polityki rosyjskiej na pakiet niemiecko-japoński.

Możemy dodać, że naród chiński tyle lat ciemiężony, ma już tego dość. I z każdym dniem wyzwała się z pod wszelkiej opieki.

### SLEPA ULICZKA A. B. C.

ABC pieni się, wymyślając na całe społeczeństwo, że zaczyna rozumieć, po jakiej linii ma iść. ABC próbuje wniwieć bajeczkę o tworzącym te głębokie przemiany.

Dlatego też niektóre części społeczeństwa polskiego, zniecierpliwione przeciąganiem się stanu dzisiejszego, rzucają się w objęcia

Frontu Ludowego, uważając, że lepiej pójść z samym diabłem, niż tolerować stan dzisiejszy. Droga ta przypomina przysłowie: „Tonący brzytwy się chwytą“.

### BEZ KOMENTARZY.

Za „ABC“ podajemy: Świadomość niebezpieczeństwa komunistycznego zdaje się przenikać nawet do sfer miarodajnych. Wyrazem tego wydaje się być zarządzenie Ministerstwa W. R. i O. P., nakazujące przedstawiać do cenzury numery „Plomyka“. Jak zwykle jednak, sięgnięto do środków połowicznych. Zamiast w ogóle wytepić mafię w Związku Nauczycielstwa Polskiego, chce się ją poddać kontroli nowostworzonej cenzury.

Sekora.

## W sprawie skreślenia adwokata z listy palestry

Przy podawaniu spraw dyscyplinarnych adwokatów, w notatce, zamieszczonej w numerze z dn. 1-go grudnia r. b. „Dziennika Popularnego“ p. t. „Malwersacje adwokata“ na str. 4-iej wkradła się, pożałowania godna, pomyłka. Zamiast nazwiska adwokata lwowskiego, dr. Józefa Raucha wymieniono omyłkowo nazwisko znanego adwokata lwowskiego, dr. Joachima Haussmana, którego Sąd Dyscyplinarny uchwałą z dnia 5 września r. b. ustanowił substytutem zawieszzonego adwokata, powiadając o tym fakcie Ministerstwo Sprawiedliwości.

## Samobójstwo komisarza

W nocy o godz. 2.30 w mieszkaniu własnym przy ul. Grochowskiej 96 pozbawił się życia, strzelając w skroń, Rudolf Makowski, podkomisarz Komendy Głównej P. P.

Pana mecenasa, dr. Haussmana, za wyrządzoną mu mimo woli przez pomyłkę, powstałą przy telefonicznym przekazywaniu wiadomości, przykreść gorąco przepraszamy.

## Nowe propozycje w świetle nie nowych doświadczeń

W przeddzień posiedzenia Rady Ligi Narodów, zwołanego z inicjatywy rządu hiszpańskiego, dyplomacja angielska i francuska wystąpiły z nowymi propozycjami w kwestii hiszpańskiej. Propozycjom tym nie można od mówić rozmachu. Streszczają się one w trzech punktach: 1) zaprzestanie wszelkiej interwencji bezpośredniej i pośredniej w Hiszpanii; 2) zaproponowanie rozejmu w hiszpańskiej wojnie domowej; 3) rozwiązanie konfliktu wewnętrznego w Hiszpanii drogą zasięgnięcia opinii ludu hiszpańskiego, czyli przez jakąś formę plebiscytu.

Losy tych propozycji, podobnie jak sierpniowego „paktu nie interwencji”, zależą przede wszystkim od stanowiska Berlina i Rzymu. Niemcy i Włochy nie dały jeszcze w chwili, gdy to piszemy, wyraźnej odpowiedzi. Lecz dały odpowiedź pośrednią: pospieszny desant 20.000 Niemców w Kadyksie i formowanie we Włoszech 60.000-nego korpusu ekspedycyjnego.

Co do ZSKR — oświadczył on niezwłocznie gotowość poparcia wszelkich praktycznych kroków ku przerwaniu lub złagodzeniu wojny domowej w Hiszpanii, z tym jednakże zastrzeżeniem, że pierwszy punkt nowego propozycji — zaprzestanie interwencji — zostanie niezwłocznie wprowadzony w życie pod skuteczną kontrolą i sankcją. W razie uskutenienia tego, ZSKR proponuje uzupełnienie zakazu nieinterwencji przez zakaz werbowania ochotników poza granicami Hiszpanii.

Otóż wiadomo, że wszystkie propozycje ustanowienia skutecznej kontroli na granicach morskich i lądowych półwyspu Pirenejskiego utknęły w nieskończonej gadaninie Komitetu Londyńskiego. Państwa śródziemnomorskie wysłuchują z całym spokojem protestów i dowodów łamania przez nich umowy, robiąc dalej swoje, jak owi kot z bajki Kryłowa, co słuchał morałów, nie przesłając zajadać. Co więcej, w trakcie nieskończonych posiedzeń Komitetu Londyńskiego państwa te uzyskały w kilku wypadkach od p. Edena sformułowania, wielce podobne do uznania gen. Franco za stronę wojującą i same uznały go ostantacyjnie za prawowity rząd hiszpański. I gdyby nie uchylene się ZSKR od zobowiązań paktu, który wyrodził się w jednostronną blokadę republikańskiej Hiszpanii, wolno przypuszczać, że Franco byłby dziś jeśli nie panem sytuacji, to w każdym razie panem Madrytu.

Niepodobna podawać w wątpliwość lojalności i dobrych chęci rządu francuskiego, nawet jeśli się uważa jego posunięcia w sprawie hiszpańskiej za wysoczniefortunne. Lecz niema podobnych podstaw do zaufania, o ile chodzi o p. Edena. Nie wolno zapominać, że jest to minister konserwatywnego rządu, reprezentującego angielskie klasy posiadające, m. in. także potężne interesy kapitału angielskiego, zaangażowanego w hiszpańskim górnictwie i przemyśle. Dla tych sfer Franco, nawet jako agent niemiecki, jest przede wszystkim psem łańcuchowym na straż ich kapitałów i dywidend. I mimo woli powstaje myśl, czy projekt rozejmu i plebiscytu, który dziś zaskoczył opinię świata, powstałby, gdyby Franco był w Madrycie, a nie łańcuchowy na straż pod murami stolicy, zepchnięty przez szereg paratek na obronne i niezbyt pewne pozycje.

Metody dyplomatyczne ministra Edena są niezbyt chlubnie znane jeszcze ze sprawy abizyńskiej. Nic więc dziwnego, że niekto przypisuje ministrowi angielskiemu chęć ułatwienia Niemcom i Włochom — wobec porażki gen. Franco — wybrnięcia z honorem z sytuacji, w jakiej się znalazły przez uznanie jego „rządu”; inni dopatrują się w inicjatywie angloskofrancuskiej poprostu chęci podsunienia Lidze Narodów jakiegoś godziwego pozor do zepchnięcia sprawy hiszpańskiej

z porządku dziennego w Genewie. Takie wytłumaczenie odejmuje wprawdzie tej inicjatywie powagę, jakiej wymaga gróżna sytuacja międzynarodowa, ale niepodobna zaprzeczyć, że pałuje ono niezłe do metod dyplomatycznych p. Edena, polegających na wymijaniu zagadnień i odkładaniu ich stale na następne „jutro”.

A groza sytuacji polega na tym, że w tragedii hiszpańskiej otwiera się nowy rozdział: Niemcy i Włochy przechodzą do bezpośredniej interwencji zbrojnej. Dyplomacja papierowych zobowiązań bez kontroli, bez rękoma stosowania ich przez wszystkich, może znów jak w sierpniu zwrócić się całym ostrzem przeciw ludowi hiszpańskiemu. Otwarcie nowych nieskończonych debat i korespondencji dyplomatycznej dookoła propozycji nowych umów, podczas gdy formalnie obowiązuje dawna umowa jest bezczelnie i bezkarnie tamana przez śaszystowskich protektorów gen. Franco, musi budzić uzasadnioną nieufność. Trzeba się obawiać, że rządy francuski i angielski znajdują w tych nowych pertraktacjach pretekst do dalszego trwania na stanowisku jednobokiej nieinterwencji — blokady. I kiedy się wreszcie z tego wykluje nowy papierowy „wyczyn”, pozbawiony jak poprzedni wszelkiej skutecznej egzekutywy i sankcji — stutyścienna zmotoryzowana armia interwencyjna złuzuje już dziesiątkowanych i zdemoralizowanych najemników gen. Franco. Dlatego opinia robotnicza i

demokratyczna musi wobec nowych propozycji i dotychczasowych doświadczeń stać mocno i niewzruszenie na stanowisku: żadnych złudzeń, żadnych papierowych fetyszów bez realnych rękojmi! Albo inicjatorzy nowych propozycji przerwać nie zwłocznie grą w ciuciubabkę i złożyć realne dowody, że potrafią zmusić także państwa śaszystowskie przez skuteczną kontrolę do zaprzestania interwencji, albo ich nowe szumne propozycje nie są warte łuntów kłaków. Włosi są na wyspach Balearskich, Niemcy są w Ceucie i w Sewilli, ich flota faktycznie blokuje wybrzeże hiszpańskie, ich eskadry lotnicze burzą Madryt i mordują jego bezbronną ludność. Któż w tych warunkach uwierzy, że dyplomaci, którzy nie potrafili temu zapobiec, potrafią zapewnić kontrolę warunków ewentualnego rozejmu! Co do „zasięgnięcia woli ludności” — ludność ta wypowiedziała się w sposób jak najbardziej przekonujący w lutym r. b., dając zwycięstwo lewicy w wyborach, organizowanych przez rząd reakcyjny. Nie potrafiono zapobiec temu, że wola ludu hiszpańskiego została brutalnie pogwałcona przez zbrojny najazd najemnych nordktóż uwierzy, że środki dyplomatyczne, która temu nie zdołała przeszkodzić, zdołają zapewnić wolny, prawdziwie bezstronny plebiscyt w dzisiejszej Hiszpanii, krwawiącej od szeregu miesięcy w straszliwej wojnie domowej?

K. Jankowski.

## Izby Pracy

Po raz drugi w ciągu roku staje na porządku dziennym sprawa wprowadzenia Izby Pracy. Przed rokiem, na pierwszej wieści o rządowym projekcie, opinia robotnicza odnosiła się do zamiaru wprowadzenia Izby oraz do samego projektu, określającego ich skład i uprawnienia, decydowanie negatywnie.

Czy jesteśmy zasadniczo przeciwni tworzeniu Izby Pracy? Nie. W różnych krajach o ustroju demokratycznym Izby okazały się dobrym środkiem dla porozumienia się całego ruchu zawodowego robotniczego i pracowniczego oraz robotników niezorganizowanych, środkiem, zwiększającym wpływ proletariatu na ustawodawstwo socjalne i t. d.

A jak jest u nas? Przypomnijmy sobie treść zeszłorocznego projektu rządowego. Znaczna część składu Izby miała być mianowana, reszta delegowana przez centrale zawodowe (a nie wybierana przez członków) na podstawie klucza, ustalonego przez Ministerstwo. Niezorganizowani i bezrobotni byli w ogóle odsunięci. Taka Izba miała posiadać wielki wpływ na pracę związków i b. poważnie ograniczać ich prawa. W skutkach musiałoby to zupełnie zburzyć strajki i uniemożliwić strajki Również składki miały być b. duże, co do 5 zł. miesięcznie.

Po ostatniej naradzie w Ministerstwie przedstawiciele wszystkich central związkowych: robotniczych i pracowniczych złożyli oświadczenie, w którym stanowczo zastrzegają się przeciwko jakiemukolwiek skrópowaniu lub ograniczaniu ruchu zawodowego, wyłuszczają zasady demokratycznej organizacji Izby, a w końcu stwierdzają, że nie mogą mieć zaufania do zamiarów powołania Izby Pracy, póki stara nadzwyczaj ważna instytucja — Ubezpieczalnia — pozbawiona jest samorządu, jaki jej zapewnia ustawa, i rządzona jest komisarycznie.

To ostatnie zastrzeżenie jest najważniejsze. Rzeczywiście, przypuścmy nawet, że świat pracy zapewni demokratyczny sposób wyboru Izby. Któż

zareczy, że w krótko po wyborach nie nastąpi rozwiązanie wybranego zarządu i mianowanie innego, komisarzyckiego? Tak, jak to się stało w Kasach Chorych, nie tylko w Kasach Chorych, ale i w Kadach Miejskich (do dziś dnia w Warszawie). Tak, jak to się dzieje w całym naszym życiu politycznym, gdzie demokratyczne urzędy dnia zostały zniszczone już to ustawowo, już to faktycznie.

I gdyby ewentualna ustawa zawierała choć jakakolwiek turlkę dla wpływu Izby na związki, to w ręku komisarzyckiego zarządu odpowiednio paragrafy staną się środkiem hamowania wszelkiej niemłej dla systemu działalności związków.

Chyba mało kto wierzy, żeby system, tak starannie usuwający ze wszystkich dziedzin naszego życia urządzenia demokratyczne, zgodził się — akurat tu — na stworzenie jakiejś oazy demokracji, jakiegoś parlamentu robotniczo - pracowniczego.

Stąd widać, jak ściśle się wiąże możliwość wprowadzenia takich Izby Pracy, któreby przyniosły robotnikom i pracownikom pożytek, z ogólną walką o demokratyzację stosunków w Polsce.

Niewątpliwie, świat pracy — jak to logicznie wynika z oświadczenia central przeciwstawia się z całą stanowczością każdej próbie wprowadzenia Izby Pracy, w czymkolwiek ograniczających swobodę akcji klasy robotniczej. Za to świat pracy podwoi wysiłki nad uzyskaniem całkowitej, rzeczywistej swobody działalności związkowej (zaprzestanie repressji, zamykania związków, zakazów zgromadzeń i wieców), nad odzyskaniem samorządu w ubezpieczalniach i przywróceniu swobodnych demokratycznych wyborów do Sejmiku, Senatu, rad miejskich i gminnych.

J. KŁOS.

Czytajcie  
**DZIENNIK  
POPULARNY**

## Baronowie węglowi rujnują i niszczą bogactwa Polski

(Z cyklu: „Polskich dwieście rodzin”)

### O deficytach kopalń i zyskach baronów węglowych

KRÓLESTWO P. FALTERA.

By zmystłowić czytelnikowi działalność koncernów, opiszemy jeden najbardziej typowy. W poprzednim artykule mówiliśmy o grupie Donnersmarcków. Jak podaliśmy, grupa ta obejmuje 7 towarzystw węglowych plus jedno zbliżone do niej towarzystwo Ballestremowskie. Razem wydobyte węgla w kopalniach Donnersmarcków i Ballestremów wynosi ponad 8,800,000 ton, około 31% ogólnej polskiej produkcji węgla. Wszystkie te towarzystwa sprzedają swój węgiel wyłącznie za pośrednictwem koncernu węglowego „Robur” (prezes zarządu p. A. Falter, dyrektor naczelny p. Wachowiak). Koncern „Robur” jest z kolei właścicielem lub udziałowcem takich (między innymi) hurtowni miejscowych:

Esteha, Bielsko.  
Karbon, Tomaszów Mazowiecki.  
Konsorcjum, Łódź.  
Konsorcjum, Białystok.  
Kopalniana Spółka Opatowa, Warszawa.

Polskie Tow. Handlowe, Kraków.

A. Zakowski, Leszno.  
Zach. Polski Syndykat Węglowy, Poznań.

Jak widzimy śleć „Robura” obejmuje wszystkie niemal dzielnice Polski.

P. Falter, „Robura”, A. Falter, zajmują się, poza swymi trudami handlowymi, także i działalnością dziennikarską. Często pisuje w „Czasie” długie artykuły o nędzy biednych naszych przemysłowców węglowych. Niedawno przeszła przez prasę pogłoska, że p. Falter nabył większość udziałów warszawskiego dziennika „ABC”. Wkrótce potem „ABC” dostało nową, ONR-owską redakcję. Nie czytaliśmy nigdzie sprostowania wiadomości o nowym rozszerzeniu „sfery wpływów” p. Faltera.

	wartość ruchomości i nieruchomości	suma kapitału akcyjnego włożonego przez właścicieli
Polska	377.4 milj. zł.	313.3 milj. zł.
Niemcy	503.7 milj. marek	552.7 milj. marek

Co mówi nam ta tabela? W Niemczech właściciele tyle włożyli w kopalnie, że pokryli nie tylko koszty ich urzędzenia, ale także pozostała jeszcze spora sumka (około 10%) na robociznę, koszt

W sp. akc. „Wirek”, „Godulla”, „Grodzieckie” (Donnersmarcki) Zakł. Hohenlohe

Zakłady Hohenlohe mają mocne oparcie o grupę francuską Peyerrimhoffa, grupa Donnersmarcków też nie cierpi na brak pieniędzy. I mimo to: kapitał akcyjny wynosi u jednych 30%, u drugich 10% mniej, niż sama wartość urządzeń. Znaczna część takich kapitałów, które powinny być wejść jako normalny kapitał udziałowy, narazony na ryzyko strat i biorący udział w zyskach, została pożyczona.

U kogo pożyczono? Tu tkwi cały problem. Popatrzmy na najbardziej zadłużone towarzystwa. Kto to? To bynajmniej nie małe firmy krajowe, które mogą rzeczywiście cierpieć na brak gotówki. To właśnie największe towarzystwa niemieckie i amerykańskie, których prawdziwi właściciele mają pieniądze w bród. U kogo pożyczone są te towarzystwa? U swych własnych właścicieli. Niekiedy wprost, bezpośrednio („Giesche” — Harriman), niekiedy za pośrednictwem zaprzyjaźnionych z nimi banków (Donnersmarcki w bankach niemieckich). Mówiący innymi słowy, właściciele kopalń zamierzają włożyć w te kopalnie potrzebne im kapitały jako swój własny udział, weteli je im pożyczyc. Dlaczego?

Zabardzo prostej przyczyny: po większe procenty od pożyczonych pieniędzy nie liczą się jako zysk.

	odsetki	deficyty
„Wirek” (1934)	878 tys. zł.	480 tys. zł.
„Godulla” (1935)	2225 tys. zł.	1198 tys. zł.
„Grodzieckie” (1935)	489 tys. zł.	127 tys. zł.

Za to czytaliśmy w „ABC” długie rozważania o tym, że górnicy nie powinni walczyć o 6-godzinny dzień pracy i że każdy Polak powinien pracować za dwóch Niemców. Niewątpliwie i sympatycy hitlerizmu, niemieccy książęta Donnersmarck, i ich niezbyt aryjski pełnomocnik, p. Falter, zgodzą się na to twierdzenie arcyantysemickiego i antyniemieckiego redaktora „ABC”, p. Wojciecha Zaleskiego...

INNY DOBRY INTERES: POZYCZĄC SOBIE SAMEMU.

Kiedy, powiedzmy, p. Kielbasiński na Woli zakłada nowy sklep masarski, wie doskonale, że musi kupić sobie za własne pieniądze wagę i ludy sklepowe, musi kupić noże, stoliki i inne urządzenia, musi mieć trochę na kupno towaru i wtedy dopiero może myśleć o pożyczaniu sobie dodatkowo. powiedzmy na kupno większego zapasu szmalcu. Na wagę czy inne urządzenia, nikt p. Kielbasińskiemu nie pożyczyc. Powiedzą, jak nie masz pieniędzy, to idź pracować do kogoś, albo weź sobie współnika. A już za ostatniego dnia miałby p. Kielbasiński kądś, żeby mu poradził zanieść pieniądze potrzebne na urządzenie sklepu, do Kasy Oszczędności a potem pożyczyc w tej kasie (oczywiście na większy procent) te same pieniądze.

To, co obowiązuje p. Kielbasińskiego, obowiązuje i każdego przemysłowca. Wszędzie na świecie właściciel fabryki z własnych pieniędzy pokrywa koszt jej urzędzenia, koszt budynków i maszyn. Pożyczyc na pokrycie kosztów części surowców, części robocizny. Wszędzie, tylko nie u nas. Między innymi, też nie w górnictwie węglowym.

Popatrzmy na liczby: wynosiła w górnictwie węglowym podług bilansów w r. 1934

W Polsce właściciele włożyli o 20% mniej, niż kosztują same urządzenia.

Ważmy konkretne przykłady: Wynosiła

wartość ruchomości i nieruchomości	kapitał akcyjny	zadłużenie
99 milj. zł.	64 milj. zł.	60 milj. zł.
27 milj. zł.	24 milj. zł.	15 milj. zł.

To znaczy: można ściągać z kopalni setki tysięcy w procentach i równocześnie nie płacić żadnego podatku dochodowego. To znaczy dalej: można ściągać z kopalni setki tysięcy w procentach i równocześnie wykazywać w tej kopalni „deficyty”, równocześnie z powołaniem się na te „deficyty” odrzucać wszelkie żądania robotnicze, żądać wszelkich subwencji, ulg i przywilejów. Po drugie, grzeba noga się powinie i zajdzie potrzeba zrobienia bankrutstwa, to pieniądze pożyczone ściągają się z powrotem. Tak p. Fliczek ze „Wspólnoty Interesów” ścignął grube miliony, które figurowały jako pożyczki banków berlińskich, jak najściślej z nim związanych. Tyle korzyści zasługują na to, by z nich skorzystać. To też nie dziw, że obciążenie produkcji węgla odsetkami rośnie z roku na rok. Komisja Ankietowa spotykała najwyższe obciążenie odsetkami około 1 zł. na tonę. W roku 1935 w takiej „Godulli” obciążenie to wynosi już 2 złote!

Skutkiem takiej „odsetkowej” operacji jest oczywiście pozorna „deficytowość” spółki. Oświetla to nam najlepiej znowu bilanse trzech wspomnianych już towarzystw Donnersmarckowskich: wynosiły

Liczy te mówią nam jasno: wszędzie odsetki wynoszą więcej, niż deficyty, wszędzie deficyty spowodowane są lichwiarskim zadłużeniem. Gdyby kapitały, figurujące jako „zadłużenie”, weszły do spółki jako normalny kapitał udziałowy, wszystkie trzy towarzystwa wykazywałyby nie deficyty a dochody, wykazywałyby pewną, choć skromną rentowność. Ale właśnie do tego nie chcą dopuścić ich panowie!

Baronowie węglowi próbują tłumaczyć się brakiem gotówki. A czym wytłumaczą wysokie sumy zadłużenia u „Gieschego”, należącego do nie cierpiącego chyba na „brak gotówki” Harrimana? Nie, wysokie zadłużenie kopalń i wysokie obciążenie produkcji kosztami odsetek nie jest wyrazem „nędzy przemysłu”, a wręcz przeciwnie skutkiem dobrze obliczonej kombinacji „królów węgla”, zmierzających do pozornego deficytu w górnictwie węglowym, dla zabezpieczenia i ukrycia swych zysków.

Ile wynoszą wypompowane przy tej sposobności z polskiego górnictwa sumy? Zadłużenie polskiego górnictwa dochodzi do 200 milionów zł. Licząc ostrożnie stopę procentową 10%, otrzymujemy sumę 20 milionów zł. wydobywaną przez polskich królów węglowych z górnictwa polskiego pod rubryką „odsetek”. Suma ta pokrywa w dwójnasób deficyt polskiego górnictwa!

Ed. Roman.

## O zbadanie gospodarki kopalń

W Katowicach odbyła się okręgowa konferencja Centr. Związku Górników, poświęcona sprawom skrócenia czasu pracy oraz sytuacji w górnictwie. Konferencja postanowiła domagać się obniżenia wygórowanych norm wydajności pracy.

Jedną z najważniejszych uchwał tej konferencji jest żądanie powołania przez rząd komisji, złożonej z przedstawicieli robotników, pracowników umysłowych, rządu i konsumentów, która zbadałaby całokształt gospodarki kopalń i koncernów sprzedających węgla.

## Socjalizm grupcowy, czy socjalizm kapitałistów

„Polityka Gospodarcza” przytacza przykłady obchodzenia obowiązków ustawodawstwa o urlopach robotniczych przez państwowe kopalnie soli. Na marginesie tej sprawy — pisze: „Napisałismy kiedyś: etatyzm to socjalizm grupcowy. Etatyzm wyobraża sobie, że jest w stanie przyczynić się do jakiegos pchnięcia naprzód sprawy społecznej na tory postępu. Tymczasem jest to nonsens w swym założeniu. Poczyna robotnika w fabryce etatystycznym nie różni się bowiem — w każdym razie nieczym zasadniczym — od pozycji robotnika w fabryce prywatnej”.

„Polityka Gospodarcza” ma rację. Etatyzm, t. j. działalność państwa jako przedsiębiorcy w ustroju kapitalistycznym jest przejawem t. zw. kapitalizmu państwowego, czyli takiego stanu rzeczy, w którym część gospodarki jest upaństwowiona, większa część jednak pozostaje domeną prywatnego kapitału. Kapitalizm państwowy nie ma nic wspólnego z socjalizmem.

Największy błąd socjal - demokracji niemieckiej w polityce gospodarczej polegał na tym, że widziała ona w kapitalizmie państwowym jedyną drogę do socjalizmu, gdy w rzeczywistości oznaczało to tylko większe podporządkowanie państwa dążeniom monopolistycznego kapitału. Kapitalizm państwowy może być tylko w jeany wypadku formą przejściową pomiędzy kapitalizmem a socjalizmem, mianowicie wtedy, gdy władza państwowa znajdzie się w rękach proletariatu i chłoptwa. W tym wypadku mamy do czynienia z inną strukturą socjalną państwa i z innym stosunkiem sił pomiędzy państwem a prywatnym kapitałem.

FRANC.

## Pan Grabiec ogląda walczący Madryt

Gdy we wrześniu roku bieżącego Jerzy Boreisza napisał w „Wiadomościach Literackich” o znanej całemu światu zdradzie narodowej, jaką popełnili generałowie hiszpańscy, „sprzedający ziemię ojczystą za savoie i junkersy” (słowa pana Boreiszy), oburzył się na łamach „Czasu” p. Grabiec. Krew szlachcka w nim zawrzała. Zaatakowano przecież to, co dla p. Grabca było w Hiszpanii najbliższe — obronców starego, spróchniałego porządku, arystokrację, wyzyskiwaczy i ciemiężycieli pańszczyźnianego chłopca hiszpańskiego. Ze zaatakowani byli tymi, którzy zdradziecko, zbrodniczo napadli spokojny lud — to mniej ważne dla p. Grabca. Napisał wtedy w „Czasie” (15 września):

„Leciutka, niewinna insynuacja. Komu to sprzedano Hiszpanię? Cóż to sprzedano? Czy generał Mola odstąpił Galicję Portugalii? Czy Franco oddał Bateary Włochom? Bardzo sensacyjna wiadomość... Nie liczenie się z prawdą. Dziś p. Grabiec wie o walczącej Hiszpanii znacznie więcej, niż wiedział wtedy. Dziś o Balcach wszyscy dobrze wiedzą.

„Wiadomości Literackie”, które o Hiszpanii informują według recepty — trochę Boreiszy, kawałek Grabca - Pruszyńskiego, wysłały do Madrytu właśnie tego, który powątpiewał o ścisłości zarzutów zdrady i sprzedawczyctwa pod adresem Franco i Moli czynionych. W numerze 52 „W. L.” ukazał się reportaż Ksawerego Pruszyńskiego z Madrytu, doprawdy godny przeczytania.

Od pierwszych do ostatnich słów tego reportażu myśli się o jednym: oto bohaterska walka ludu hiszpańskiego, jego tytaniczne zmagania z lepiej uzbrojonym najeźdźcą są tak porównawcze w swym prostym bohaterstwie, że nawet człowiek zdecydowanie drogi, Pruszyński, który niejednokrotnie dawał wyraz sympatii dla strony przeciwnej, musiał im — przynajmniej uczuciowo — ulec. Nawet on nie potrafił pozostać obojętnym wobec kobiet, starców i dzieci na każdym kroku wystawiających bezbronną pierś na kulomioty.

Pan Pruszyński tak dalece uległ patosowi walki ludu z tyranami, że... zapomniał na chwilę, co wypisywał jako Grabiec. Na pierwszej stronie jego reportażu widzimy go nawet na zdjęciu, pod którym czytamy: „Ksawery Pruszyński ogląda szczątki włoskiego aparatu myśliwskiego, straconego przez artylerię rządową”. Doprawdy, warto by zapytać, czy to aby nie był sa-

molot marki Savoia... Panu Grabcowi trzeba było aż wyjazdu na pole walki, aby uwierzyć w savoie i junkersy. Ale, trzeba mu to przyznać, będąc na miejscu, uwierzył jeszcze w szereg innych szczegółów, które cała demokratyczna prasa świata i Polski podnosiła od pierwszej chwili łajdackiej awantury generałów hiszpańskich, inspirowanych przez t. zw. „czynniki zewnętrzne”.

„Mola, Cabanellas, Queipo de Llano. Wszyscy trzej wielcy intryganci, czczeni jak fetysze, członkowie łóż (masońskich, przyp. mój). (Z chwilą wybuchu powstania) wszystkie atuty znalazły się w rękach ich przeciwników (t. zn. demokracji): hasła liberalizmu, postępu. Wielką siłą moralną powstania jest religia. Generalowie poczęli zatem grać komedie; Mola przywraca w szkołach krucyfiksy, stary wolverianin Cabanellas chodzi na mszę, Queipo de Llano uderza w tony religijne w radio sewilskim. Lecz w tych burzliwych czasach komedie nie na wiele się zdadzą...”

Trzeba stwierdzić, że jak na zwolennika, ocena dość trafna. Pięknie są napisane króciutkie biografie bohaterów ludu, poległych w czasie walk ostatnich. Podamy tylko obrazek przygotowań do tych walk, w których Lina Odena, robotnica z fabryki pończoch, Duruti, robotnik kataloński, Asensio, syn prostego ludu, Col, marynarz, który z ręcznymi granatami runął na czołgi nieprzyjacielskie i tyłu, tyłu innych znalazło śmierć bojowników. Pisz p. Pruszyński:

„Pomyślmy, gdyby u nas opuścili stolicę wszystkie władze... Jakby wyglądała, bądź o bądź, obrona? Tymczasem obrona Madrytu powstała niemal sama, zupełnie samorzutnie i zupełnie rewolucyjnie. Komitet obrońcy zastąpił całe linie okopów podmadryskich rozbrojone, całymi partiami zajęte przez nieprzyjaciela. Cofnął się wtedy na ulice przedmieść i ufortyfikował je wszystkie, aż do śródmieścia. Powstały barykady już nie improwizowane w ogniu walki, ale murowane, obetawione worami z piaskiem, okryte dachami... Madryt miał swoją rewolucję lipcową, nie inną od nocy listopadowej, wiek XIX przekazał wreszcie Madrytowi nie tylko tradycje walki ulicznej, ale całe rzdiny, gdzie trzecie już pokolenie należy do dynamitarłów i pistolerów... Całe partie przedmieść zostały już ewakuowane, mieszkania stoją puste... Na bocznej ulicy huć sprężarki, Człowiek w czapce anarchyści wsuwa młot pneumatyczny między spójnię kostki brukowej, rozwała je metodycznie, aż kamień zostanie wylupany z bruku. Człowiek wylupujący zaczyna

śsiedni, a tymczasem tamten biegnie ktoś inny i podaje stojącemu o kilka kroków, ten następnemu. Jest tu cała kolejka, jak po mleko dla dzieci, jak po kartofle. Dalszy ciąg rąk pada kamień powstającej na bruku barykadzie... Madryckie Stare Miasto i madrycka Wola rozryły tak cały swój bruk, przegradzały ulice. W tych dniach, gdy setki samochodów waliły ostatnią szosą do Walencji, z trwogą, czy aby zdążyć, kule zblakone wisiały nad podającymi kamienie... Samochody mknęły do Walencji, a sprężarki rozwały spójnię bruku i ręce układały go w mur, przegradzając ulicę zasiękiem... Tam luksusowy samochód nieraz dawniej dostawał kamieniem w szybę i tam właśnie ludność pozrywała swe bruki na barykady...”

Jednakże poza tym, co reprezentują powyższe urywki — poza bystrością spostrzeżeń i wycuciem patosu chwili obecnej w Madrycie, nie nam nie do wodzi, że p. Grabiec głębiej zrozumiał odbywający się przed jego oczyma proces. Strony walczące uważa za dwóch przeciwników, prowadzących normalną, zwykłą wojnę. Chociaż stwierdza niebezpieczną zdradę kliki faszystowskiej, nie ma dla niej ani słowa potępienia (poza charakterystyką wodzów), nigdzie nie podkreśla samej istoty sprawy, o którą toczy się śmiertelny bój. Wolno zatem sądzić, że sympatiami pozostał po tamtej stronie Manzanares. Wól no tym bardziej, że wracając do hotelu ciemną nocą, podczas nagłego wybuchu kanonady, zadaje sobie pytanie: „Może to już? Może to już padł Madryt? Wyraźnie: nie „czy”, tylko „może”...”

„Nie wszyscy jednak Polacy czują tak samo, jak pan Grabiec - Pruszyński:

„Szofer poselstwa Rzeczypospolitej jest od dwóch miesięcy militantem ludowym, ochotnikiem w kolumnie Mangady, a Aniela, dawnego polejownika pana poła, przyjeżdża z gwiazdą czerwoną, szablą i sierp i młot... Tych dwoje łatwiej znalazło wspólny język (z Hiszpanami), niż świetli szwoleżerowie z Samosierry...”

I łatwiej — dodamy od siebie, niż pan Grabiec.

Wiktor Grosz

## Ku Polsce szklanych domów

Ukazała się jednodniówka wileńskiej młodzieży postępowej pod nazwą „Ku Polsce szklanych domów”. Jednodniówka zawiera b. obfity materiał informacyjny i polityczny — społeczny i pomyślana jest, jako wyraz dążeń i żądań całej młodzieży demokratycznej Polski. W deklaracji komitetu redakcyjnego czytamy między innymi:

Szerzy się nędza w kraju. Setki, tysiące robotników daremnie poszukują pracy, 8 milionów chłopów dusi się z braku ziemi i możliwości zarobkowania. Młodzież robotnicza i chłopska, pozbawiona właściwej opieki, rzucona jest w sidła powracającej fali analfabetyzmu. A lud cały bez skutku dopomina się swego prawa decydowania o losach Polski.

Przed nami młodymi stają ważne zadania do spełnienia. Wychowani w najszlachetniejszych tradycjach Narodu, przypisujemy Polsce znaczenie niepowściągliwe. Polska nie jest dla nas hurrapatriotycznym frazesem, za którym kryje się pustka ideowa. Ona posiada dla nas swoją tętniącą życiem treść.

Zgodnie z testamentem pokoleń wielką Polską nie jest dla nas Polska, w której panuje wyzysk i nędza mas.

Wielką Polską w naszym rozumieniu jest Polska, w której każdy obywatel będzie miał zapewnioną pracę, każdy młodzieniec opiekę i naukę, a wszyscy prawo decydowania o swoich losach w powszechnych wyborach.

O taką Polskę będziemy walczyć, my młodzi, złączeni we wspólnych braterskich szeregach z ludem pracującym wsi i miast.

Z artykułów w numerze zwraca uwagę art. p. t. „Do czego dąży młodzież?”, który zawiera program minimalny całej młodzieży, zarówno robotniczej i chłopskiej, jak i akademickiej, szkolnej, rzemieślniczej i pracowniczej.

W artykule „Polityka Hitlera a niepodległa Polska” autor przestrzega przed polityką filohitlerowską, albowiem:

„Chwila jest poważna. Hitlerizm przypuszcza obecnie atak na Gdańsk, w niedalekiej przyszłości uderzy na Pomorze i Śląsk”.

Poza tym znajdujemy artykuły o walczącej Hiszpanii, odezwę akademików hiszpańskich, artykuł o szkolnictwie powszechnym w Polsce. Żądanie prawa głosu dla młodzieży od lat 21 oraz apel do

młodzieży całego świata w sprawie obrony pokoju.

Jednodniówka estetycznie wydana, b. ciekawa, wypełniła dotkliwą lukę w prasie polskiej.

Jofer

## Wybór delegatów na kongres Stronnictwa Ludowego

We wszystkich powiatach, w których istnieją organizacje Stronnictwa Ludowego, odbywają się obecnie wybory delegatów na kongres. Na 500 członków zarejestrowanych wybiera się jednego delegata. Z wielu stron nadchodzi wia-

domości, że zebrania wykazują dużą niezależność, wybierając takich delegatów, którzy na kongresie zdają będą wyrażnych drog Stronnictwa we wszystkich zasadniczych sprawach.

**U źródeł spekulacji**

## Co na to Ministerstwo Spraw Wewnętrznych?!

Ze sfer przemysłowych donoszą, że w dniu wczorajszym podniesiona została krajowa cena ołowiu o 50 złotych na tonnie. Wiadomość ta powinna wywołać poruszenie opinii publicznej. Jest to w ostatnich tygodniach już druga podwyżka. Hurtowa cena ołowiu na hucie wynosi obecnie 750 złotych za tonnę a w weszłym roku wynosiła około 550 złotych. W międzyczasie nie zaszły w krajowym hutnictwie ołowiu żadne zmiany, któreby u-

zasadniały podwyżki cen.

Podwyżka ceny ołowiu godzi przedewszystkim w Ministerstwo Poczt i Telegrafów, gdyż spowoduje to zwiększenie cen kabli, oraz w przedsięwzięcia wojskowe, a tym samym w siłę obronną Państwa.

Jesteśmy obecnie w okresie wzmożonych wydatków na środki zbrojeniowe. Koncern śląski postanowił tę sytuację z miejsca wykorzystywać i suto się obłowić.

Młk.

## Kontrola nad ZNP?

Jak donosi „Goniec Warszawski”, ministerstwo wyznań religijnych i oświecenia publicznego zażądało przedkładania sobie każdego numeru „Piomyka” po wydrukowaniu, ale przed puszczeniem w obieg.

Rozporządzenie ministerstwa, noszące numer II W. 8867/36 i datę

28 listopada 1936 r., zostało już za stosowane do ostatnich zeszytów pism Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Oczywiście jest, że żadna organizacja, chcąc uchodzić za niezależną, nie mogłaby dobrowolnie zgodzić się na tego rodzaju kuratelę.

Pracownik.

## Robotnicy śląscy stają do walki Radykalizacja ZZZ

Kongres radców załogowych ZZZ, śląskiego przemysłu metalowego - przetwórczego, elektrotechnicznego, chemicznego i papirniczego, obradujący w ub. niedzielę, 13 b. m. w Katowicach, postanowił wezwać do strajku z dniem 11-go stycznia 1937

robotników wyżej wymienionych gałęzi przemysłu, o ile do tego czasu nie zostaną w tych przemysłach uregulowane umowa taryfowa warunki pracy.

Wystąpienia na kongresie odznaczyły się niezwykłą gwałtownością, podnieceniemi i gotowością do akcji strajkowej.

## Odwołany pogrzeb

Pod takim tytułem generalny sekretarz francuskiej partii socjalistycznej, J. B. Sévèrac, zamieszcza w organie partyjnym „Populaire”, artykuł, w którym czytamy:

„Głosowanie grupy komunistycznej w czasie dyskusji nad polityką zagraniczną wzbudziła wśród wrogów rządu nadzieję, że Front Ludowy otrzymał śmiertelną ranę. Prasa konserwatywna i reakcyjna nie ukrywała

swego zadowolenia. Te piękne dusze zaczęły już rozważać nowe kombinacje ministerialne. I oto muszą teraz spuścić z tonu.

Komunikat pierwszego posiedzenia Komitetu Porozumiewawczego partii socjalistycznej i komunistycznej na prawdę podciął skrzydła tym nadziejom.

Ludzie ci wiedzą nie od wczoraj, że partia komunistyczna ma „zaufanie do rządu tow. Leona Bluma, w imię dalszej, ścisłej i braterskiej współpracy w dziele realizacji programu Frontu Ludowego”.

Zdaniem Sévèraca — powstrzymanie się komunistów od głosu w dniu 8 grudnia posiada „zupełnie inne znaczenie, niż to, któreśmy pierwotnie upatrywali”.

„W tych warunkach nie stoi już na przeszkodzie przywróceniu stosunków, które wytworzyły się i utrwały między obiema partiami od chwili podpisania Paktu Jedności”.

W dalszym ciągu artykułu autor stwierdza, że choć partia socjalistyczna i komunistyczna nie są jedynymi organizacjami we Froncie Ludowym, to jednak „nie włącza nikomu, jeżeli napiszemy, że w chwili obecnej w walce politycznej partie socjalistycznej i komunistycznej zajmują doniosłe miejsce, podobnie jak w samym Froncie Ludowym, i że na skutek tego, ich porozumienie jest jednym z podstawowych warunków pomyślności i aktywności tego Frontu.”

I dlatego wrogowie rządu Frontu Ludowego z żalem czytali, że socjaliści i komuniści na swym przedwczorajszym posiedzeniu stwierdzili rozproszenie się chmur, które przez jakiś czas zaciemniały im drogę i nieco popsuły ich wzajemne stosunki.

Front Ludowy jest tedy mocniejszy i żywotniejszy, niż kiedykolwiek.

Tym, którzy wierzyli w jego śmierć, nie pozostaje nic innego, jak odwołać pogrzeb, przelknąć żalobne mowy i oszczędzić sobie wydatków na wieńce i kwiaty”.

(D. c. n.)

MICHAŁ ZOSZCZENKO

58)

## NIEBIESKA KSIĘGA

Przełożyła Halina PILICHOWSKA

OPOWIADANIE O TYM, JAK DZIEWCZYNCE KUPOWANO TRZEWICZKI.

Trofimycz z naszych pokojów umeblowanych wbrał się, aby swej córeczce kupić półbuciczki.

Córeczkę miał, Niuszkę. Taki nieduży telerowaty podłotek. Siedmioletni.

A więc udał się Trofimycz z tą swoją Niuszką, aby nabyć buty. Bo ma się już ku jesieni, a buciczków, rozumie się, nie ma.

Zgrzytnął Trofimycz zębami — taki to, uważacie, wydatek, — wziął, na ten przykład, swoją Niuszkę za łapkę i poszedł dokonać dla niej kupna.

Wstąpił z dzieckiem do pewnego handlowego sklepu. Kazał pokazać towar. Przysmyrzyć kazał. Wszystko w porządku; i towar dobry, i miarka w sam raz, akuratna. Jedno tylko, uważacie, nie nadaje się — cena nie nadaje się. Cena, powiemy po prostu, wcale niepowabna.

A Trofimycz, wiadomo, chciałby nabyć te dziecięce cianki jak najtaniej. Ale cena go wystraszyła.

Idzie tedy Trofimycz nie bacząc na rozpaczliwy

wrzask Niuszki do innego sklepu. W innym sklepie znów ta sama cena. W trzecim sklepie — to samo widowisko. Krótko mówiąc dokądkolwiek przychodzą — ta sama historia: i noga pasuje do buta, i towar dobry, lecz co do ceny formalne rozejście się nożyc i w ogóle wrzask Niuszki.

W piątym sklepie przymierza Niuszka buciki. Dobrze. Pytają o cenę. I słyszą:

— Daremne wasze chodzenie, cena, — powiadają, — wszędzie urzędowa i żadnego rabatu.

Zaczął Trofimycz molestować, aby mu opuścili kilka rubli, dla równowagi moralnej, a tym czasem Niuszka w nowych buciczkach podchodzi do drzwi i, nie w ciemni bita, wylazi na ulicę.

Rzuca się Trofimycz w pogoń za tym swoim dzieckiem, ale go subiekt zatrzymuje:

— Przed tym, — powiada, — zapłacić trzeba, towarzyszu, a potem dopiero pędzić w swoich sprawach.

Zaczął Trofimycz prosić, aby trochę zaczekali.

— Może, — powiada, — zaraz dzieciak wróci. Może się dzieciak przejdzie tylko troszkę w tych nowych buciczkach.

Subiekt powiada:

— Nic mnie to nie obchodzi. Nie widzę swego towaru. Wygarnij pan pieniądze za towar. Albo nie wychodź ze sklepu.

Trofimycz odpowiada:

— Nie wyjdę z klepu. Zaczekam, aż się dzieciak zjawi.

Ale Niuszka do sklepu nie wraca.

Przed sądem nieostatecznym

Za przykładem szefów czyli ostatni pierwszy

Pan Antoni G. woźny jednego z banków był tego pierwszego głęboko smutny. Cóż, haruje się cały miesiąc za trzech i figę się ma z tego. A tu ludziska żyją sobie jak w raju. Sam przecież o tym doskonale wie, bo to i przy zabawach swoich dyrektorów pomaga służyć i bardzo często rozmaitym bogin kom dyrektorskim kwiaty rozwozi, tudzież w garsonierach tychże od czasu do czasu reonant przeprowadza. Bawią się ludzie, forsę idzie jak lodu, nikt jej tawet nie liczy. A on? Jeśli się czasem do szynku zajdzie nawet, to z czym? Najwyżej w kręcić się ze dwa marne złociśze. A za to wódki akurat na spróchniały zęb.

Wziął oj pan Antoni swoje osiemdziesiąt złotych i poszedł do domu. Ale po drodze, trudno, trzeba chociaż gdzieś język zamoczyć. Wstąpił do szynku przy bufecie, wziął w duszę 3 czyste, zapłacił i wyszedł. Gdy jednak przechodził obok następnego szynku, doszły go tony harmonii i wtedy to stracił w jednej chwili harmonię swojego ducha. Wstąpił do restauracji, zastał tam znajomych, już mocno pod dobrą datą i zaczęła się zabawa na całego.

Pękała flaszka za flaszka, szły gąski na zakąski, sery na desery. Słowem hulanki i swawole, jak się patrzy. Ale pan Antoni już nie patrzył, słuchał tylko, i pił. Pił i słuchał. A z harmonii lały się strugami uczucia. I śpiewano „Wołga, Wołga” i pan Antoni coraz nową forsę walił muzyce. Potem całe towarzystwo wespół z dwunożną orkiestrą poszybowało do trzeciego salonu wódczanego. Stamtąd już na amen zażądawani rozeszli się do domów.

Na podwórzu swojego domu pan Antoni nagle wytrzeźwiał. Szara, koszmarna rzeczywistość uderzyła go obuchem po łbie.

Cóż powie żonie? Co jej da? Na tę forsę czekało się cały miesiąc. W sklepiku już dług na rósł, i za węgiel trzeba już zapłacić. Czarna rozpacz waliła na mózg.

I wleciał z wielkim płaczem na łono małżonki, że mu cała pensję ukradli, że na kieliszek wstąpił, że ostatecznie dziesiątkę to wydał, ale siedemdziesiąt to mu ten Kowalski, a ten od tej blondynki, że mu ten Kowalski ukradł.

Awantura była straszliwa. Za meldowano policji o kradzieży. Wczoraj odpowiadał Kowalski, ten od owej blondynki, za kradzież 70 złotych.

Oczywiście dowiódł obrońca oskarżonego rachunkami, że prostopu było matematyczną niemożliwością okradzenie pana Antoniego. Bo akuratnie siedemdziesiąt złotych zapłacił po wszystkich knajpach razem.

Kowalskiego uniewinniono. I wrócił woźny Antoni G. ze zwykłego sądu pod sąd wojenny, domowy. A o tym, co się działo, dowiemy się najprawdopodobniej jutro już z kroniki policyjnej. Jeśli mu się jednak nie stało, będzie dalej kwiaty odnosić do bogin dyrektorskich, sprzątać będzie ich gniazdzka miłosne, wszystko, za te jedne, biedne osiemdziesiąt złotych pensji.

STACH.

DLA WYBRANEGO PANA ISTNIEJE TYLKO MAMA NANA GUM.?

„Narodowcy” między sobą

Przytaczamy następujący wyjątek z „ABC”:

„Orędownik”, który zamieścił list niejakiego Zygmunaa Nowickiego, stawiający nam wyszane z palca zarzuty, jakobyśmy oddawali nasze pismo do kolportażu jakiegoś żydowki, zamieszcza drugi list wspomnianego Nowickiego, przeciw któremu skierowaliśmy skargę do sądu o oszczerstwo. W tej sprawie czekamy ze spokojem na prze-wód sądowy.

„Orędownik” nie ogranicza się teraz do przedrukowania listu p. Nowickiego, lecz zarzuca nam, że reklamujemy kina żydowskie, co jest całkowicie niezgodne z prawdą, gdyż my jedynie wyróżniamy nawet w repertuarze kin kina pol-

skie, a ponadto obrzuca nas stekiem ordynarnych obelg. Wobec tego musimy także i przeciw „Orędownikowi” skierować sprawę do sądu.

Wzorem tego pisma nie będziemy się bawić w gołosłowne wyzwiska, lecz prosimy publicznie o danie nam jasnej odpowiedzi na pytanie, czy „Orędownik” i jego bratni organ „Kurier Poznański” zerwały już stosunki z żydowskimi biurami ogłoszeń, czy jeszcze nie? Prosimy o jasną odpowiedź: tak, czy nie. Pytanie to stawiamy po raz drugi, nie mogąc się doczekać na nie odpowiedzi.

Czytelnicy piszą

Niżej podajemy wyjątek z listu jednego z naszych czytelników.

„Niech każdy z czytelników „Dziennika Popularnego”, pomaga w tym dziale. Niechaj będzie stworzony „fundusz miesięcznej prenumeraty”. Ludziom uczciwym wszystkich sfer, wskazanym przez czytelników będzie się bezpłatnie i bez wezwania przesyłało przez miesiąc „Dziennik Popularny”.

Kto ma pieniądze — niech na ten cel daje. Kto nie ma pieniędzy — niech podaje adresy ludzi, którym trzeba „Dziennik Popularny” przesyłać.

Dla zapoczątkowania „funduszu miesięcznej prenumeraty” przekazajcie Redakcji koszt dziesięciu prenumerat w wysokości zł. 30.

Henryk Matecki.

Bezrobotny z 5-giem dziećmi na bruku

Do redakcji naszego pisma zgłosił się bezrobotny tapicer, ob. Aleksander Michalski (Ulrychów, Gór-czewska 110, dom Eug. Frączka) i zakomunikował co następuje: co następuje:

W czasie nieobecności ob. Michalskiego zgłosił się do jego mieszkania komornik, celem przeprowadzenia eksmisji. Komornikowi towarzyszył asystent, który

ŻYCIE STOLICY

ROBOTY BUDOWLANE WZNOWIONO

Dzięki podniesieniu się temperatury, wznowiono w Warszawie cały szereg robót budowlanych: mu-rarskich, betonowych i t. p. W razie ukończenia tych robót, będą mogły być wykonane dalsze prace budowlane, związane z pokryciem dachów, wewnętrznymi instalacjami, co znakomicie może przyspieszyć oddanie domów do użytku w przyszłym roku.

DEZYDERATY MIESZKANCÓW KASKADY

Zarząd Tow. Przyjaciół Marymontu, Bielan i okolic zwołał wczoraj informacyjne zebranie mieszkańców Kaskady. Po wysłuchaniu sprawozdania zarządu obecni zgłosili następujące dezyderaty: 1) przebudowa ul. Słowiańskiej od ul. Marymonckiej do Kamedułów, co znacznie skróciłoby drogę mieszkańcom Siodowca i okolic do dolnego Potoku, a mieszkańcom Kaskady otworzyłoby najkrótsze przejście do miasta przez Zolibórz, 2) przebudowa ul. Kolektor-skiej do pl. Stołecznego przez teren miejskiej doświadczałnej stacji oczyszczania ścieków. Obecnie mieszkańcy tej ulicy mogą dostawać się do śródmieścia tylko drogą okrężną przez b. pochylą ul. Kaskadową. W porze zimowej, ze względu na pokrycie nawierzchni lodem, jest to prawie niemożliwe, 3) usunięcia dołu 7-metrowej głębokości na ul. Kondutorskiej, położonej w odległości 200 metrów od nowowbudowanej szkoły. Ostatnio bowiem zdarzył się wypadek. Pewnej nocy wpadł do dołu wóz, powodując okaleczenie woźnicy i konia, 4) oświetlenia ulic na Kaskadzie, które obecnie toną w całkowitych ciemnościach, 5) czasowe otwarcie przejścia na ul. Kolektor-ską przez teren wspom-

nianej stacji oczyszczalni ścieków, co skróciłoby znacznie drogę do przystanku tramwajowego przy ul. Marymonckiej.

IŁOŚĆ BEZROBOTNYCH W WARSZAWIE

Podług danych statystycznych Zarządu Miejskiego, we wrześniu r. b. zanotowano na 1 października i zarejestrowano w Warszawie 29.453 poszukujących pracy, w tej liczbie 8.229 kobiet. W ciągu września dostarczono pracy 1.967 bezrobotnym, w tej liczbie 855 kobietom.

ROZKŁAD JAZDY DLA POCIĄGÓW ELEKTRYCZNYCH

Warszawska Dyrekcja Kolejowa opracowała już pierwszy rozkład jazdy na zelektryfikowanej linii kolejowej, której otwarcie nastąpi w b. tygodniu. Począwszy od środy dn. 16 b. m. uruchomione będą pasażerskie pociągi elektryczne na linii wahałdowej Prusków — Warszawa Główna — Warszawa Wschodnia — Otwock. Do Otwocka kursować będą 4 pary pociągów dziennie, do Pruskowa 3 pary pociągów dziennie w odstępach kilkogodzinnych, a porze zastępującej dotychczasowe pociągi podmiejskie o trakcji parowej. Każdy pociąg elektryczny składać się będzie z 3-ch wagonów. Cena biletów przejazdowych na zelektryzowanych liniach podmiejskich pozostaje bez zmiany.



DOLE I NIEDOLE

WYBUCH GAZU W SPÓŁDZIELNI MIESZKANIOWEJ NA FILTRACH

Wczoraj o 8-ej rano, nastąpił silny wybuch w domu Spółdzielni Stow. Mieszk. Profesorów i Docentów Politechniki Warszawskiej (Filtra 71a). Zaalarmowana policja przybyła na miejsce wypadku. W ślad za nią przyjechali przedstawiciele urzędu Inspekcyjno-Budowlanego, oraz monter gazowni miejskiej. Ustalono, że wybuch nastąpił w przewodach gazowych od prowadzących spaliny z piecyka gazowego, umieszczonego w łazience. Siłą eksplozji wyrwane zostały wszystkie rury ujściowe w łazienkach w 4-ch lokalach, od parteru, aż do IV-go piętra, oraz cegły, które częściowo zdemolowały urządzenie łazienek. Odlamkami muru został uderzony w głowę lokator prof. Kirkor. Najwięcej strat materialnych poniósł właściciel parterowego mieszkania, dr. filozofii, Marceł Różański, gdzie cegły rozbiły porcelanową miskę umywalni, oraz inne urządzenia. Asystentka doktora, Maria Koziańska, która w czasie wybuchu znajdowała się w łazience, została zasypana odpadającymi tynkiem i cegłami, lecz na szczęście nie odniosła żadnych obrażeń.

ZAMACH SAMOBÓJCZY BEZROBOTNEGO

Przy ul. Krakowskiej Przedmieście 25 popełnił samobójstwo mężczyzna lat około 25-ciu. Wezwany lekarz Pogotowia stwierdził za trujące kwasem siarczanym. W stanie ciężkim przewieziono desperata do szpitala św. Rocha. Przyczyną zamachu samobójczego jest brak pracy.

ZDERZENIE TAKSÓWEK

Na zbiegu ul. Żelaznej i al. Jerolimskiej zderzyły się dwie tak-

sówki, kierowane przez Leona Lewandowskiego (Mińska 18) i Józefa Grinberga (Mirowska 10). W obu autach wybite zostały szyby. Jadący w obu — Maria Ratyńska (Tarczyńska 12) odniosła liczne obrażenia. Ranną przewieziono do szpitala, skąd po opatrunku udatła się do domu.

TRUP UDUSZONEGO DZIECKA

Na kolonii Stefczyka (pod Pelcowizną), policjant znalazł zwłoki 2-miesięcznego dziecka płci żeńskiej w poduszce. Ślady sine na szyi wskazują, iż dziecko zostało uduszone. Zwłoki przewieziono do prosektorium. Policja 18-go komisariatu zajęła się odszukaniem sprawcy zbrodnicy mordy.

OGŁOSZENIA DROBNE

PODĄDY ZALFIAROWANE

A kwizytorzy radiowi otrzymają na lepsze warunki: pensja, prowizja, wyjazdy etc. Zorel, Królewska 23.

KUPNO-SPRZEDAŻ

A. Tapczany 70. Fotele - łózka 80. Otomy 100. Kozetki 35. Raty. Wytwórnia, Chłodna 19. 361

A) Z licytą 35 złotych, garnitury, cji od 100. — Nowy Świat 59 — 51 164

FUTRZane paletka dziecinne KURTKI skórzane oraz ubiory narciarskie — Topiel, telefon 39 11.72.69. Nalewki

Kursy buchalterii, księgowości przedsiębiorstw, organizacji biurowości, konces. przez Ministerstwo Oświaty. Teoria — Technika — Praktyka — Świadectwa. „APEL”, W-wa, Sten-na 72. Sekretariat czynny 17 — 21, tel. 5-99-48. 362

Otomany, tapczany higieniczne, kozetki, materace. Chłodna 23 Żelazna 70. 323

RADioparaty „Radopren”. Ceny fabryczne. Najdogodniejsze warunki. Przyjmujemy pożyczki państwowe. Żelazna Brama 2. 199

Radiodbiorniki „Telefunken”, „Kosmos”, „ECHO”. Gramofony. Raty najniższe. Herenfon, Zabia 4. 366

RADioparaty „rdzodujące” marki na najdogodniejszych warunkach, dostosowanych do możliwości płatniczych nabywców. Demonstrujemy w domu. Informacja. Telef. 241-63 338

Zamierny użyty męską gauderobę najmodniejsze, najlepsze materiały. Bielskie „ALBEWA”. Nie cała 6 — (dwórce). Telefon 509-42.

Sprawa Prytyckiego przekazana do ponownego rozpatrzenia

W dniu wczorajszym Sąd Najwyższy rozpatrzył skargę kasacyjną Sergiusza Prytyckiego, skazanego w dwu instancjach na 15 lat więzienia za działalność antypaństwową i karę śmierci za usiłowanie zabójstwa prowokatora Strzelczuka i ścigającego Dainowskiego.

Po referowaniu sprawy obrońcy Duracz i Berenson, popierali skargę kasacyjną w części, dotyczącej skazania za usiłowanie zabójstwa. W przemówieniach swych stwierdzili, że u Prytyckiego czyniki emocjonalne przewyższyły intelekt. Oskarżony działał pod wpływem zbrodniczej akcji Strzelczuka, który wędruje od wsi do wsi, nakłaniał chłopów do wstąpienia do komunistycznej partii, a później oddawał ich w ręce policji. Dlatego też mylnie było za-

kwalifikowanie czynu pod art. 225 § 1, przewidujący karę śmierci.

W kwestii usiłowania zabójstwa ścigającego Dainowskiego, obrońcy wskazali na sprzeczność zeznań świadków, z których część stwierdziła, że nie widziała, aby Prytycki strzelał w kierunku ścigającego. Również w obrębie klątki schodowej, gdzie oskarżony miał strzelać, nie znaleziono śladów kul.

Po przemówieniu prok. Kuczyńskiego, który domagał się oddalenia kasacji, sąd ogłosił decyzję, na mocy której uchylił wyrok dwóch instancji, skazujący Prytyckiego na karę śmierci i przekazał sprawę do ponownego rozpatrzenia.

Kompletowi przewodniczył prezes Suptński; wotowali S. S. N. Sągajło i Fleszyński.

Nowym wice-marsz. Sejmu został pos. Kielak

Wczoraj o godz. 16.45 rozpoczął się posiedzenie Sejmu. Po zakończeniu spraw formalnych marszałek Car przystąpił do punktu porządku o wyborze wicemarszałka Sejmu.

Postawiono kandydaturę posła gen. Żeligowskiego. Gen. Żeligowski zrzekł się i zaproponował kandydaturę prezesa Koła rolników po sła Kielaka. Jednocześnie grupa t. zw. „naprawczych” postawiła kandydaturę posła dr. Surzyńskiego z Poznania. Trzecią kandydaturą była osoba posła Świdzińskiego, przewodniczącego komisji budżetowej, który jednakże o-

świadczył, że kandydatury nie przyjmuje.

Przystąpiono do głosowania. Głosów oddano 150 z czego poseł Kielak otrzymał 120 głosów, poseł Kurzyński 53 zaś 5 głosów oddano nieważnych. Wicemarszałkiem zatem został poseł Kielak, przewodniczącym Koła rolników. Przypominamy tutaj, że poseł Kielak był ofiarodawcą imienia grupy posłów „wsi” w poprzednim Sejmie, zagrody w Raclawicach dla W. Sławka. Wybór ten więc świadczy o wzmocnieniu się wpływu Sławka na terenie Sejmu.

„Times” o wydarzeniach chińskich

LONDYN. (PAT.). Omawiając ostatnie wypadki w Chinach, „Times” zamieszcza następujące uwagi: Młody marszałek Czan-Sue-Liang nie odziedziczył surowego oblicza swego ojca Czang-Tso-Lina i nie uchodził za postać wybitną. Opinia, iż jest on w kontakcie z komunistami, nie jest bezpodstawa. Przywódcy armii czerwonej od pewnego bowiem czasu pracują na rzecz stworzenia zjednoczonego frontu w Chinach, który wrócił by się przeciw Japonii. Młody marszałek jest co prawda w zasadzie zwolennikiem

tradycji feudalnych, niemniej jednak jest w wystarczającym stopniu oportunistą, by zawrzeć przymierze z komunistami, mimo, iż przez długi czas zadaniem jego było właśnie tępienie komunizmu. Wojska pozostające pod jego dowództwem nie mają charakteru wyraźnie antykomunistycznego, ale natomiast ożywione są duchem wyraźnie antyjapońskim.

Żołnierze armii marszałka Czang-Tsue-Lianga utracili ojczyznę wskutek aneksji Mandżurji przez Japonię.

Program radiowy

ŚRODA, 16 grudnia  
6.33 Gimnastyka. 6.50 Muzyka. 7.15 Dziennik poranny. 7.30 Muzyka. 8.00 Audycja dla szkół. 8.10 Przerwa. 11.30 Audycja dla dzieci młodszych. 11.57 Sygnał czasu. 12.08 Koncert ork. wojskowej. 12.40 Dziennik południowy. 12.50 Przesyłki świąteczne — pogadanka. 13.00 Przerwa. 15.00 Wiad. gospodarcze. 15.15 Aniela Sze mińska. Michał Zabejda - Sumicki i Jerzy Czapliski (płyty). 15.55 Skrzyżka techniczna. 16.10 Kukielki śląskie: Wielki sekret — audycja dla dzieci z ilustr. muz. 16.30 Koncert w wyk Łódzkiej Ork. Salonowej. 17.00 W walce ze szpiegostwem. 17.15 Koncert. 17.50 Wywiad fikcyjny: Rozmo-

wa ze Stanisławem Brzozowskim — przeprowadzi Roman Zrębowicz. 18.00 Pogadanka. 18.10 Turysta — pogadanka. 18.20 Koncert reklamowy. 18.45 Program na jutro. 18.50 Nawozy organiczne — pogadanka. 19.00 Cud włóczęgi — fragment powieści Zofii Kossak p. t. „Kryżowcy”. 19.20 Muzyka angielska. 20.20 Muzyka lekka. 20.35 Chwila Biura Studiów. 20.45 Dziennik wieczorny. 20.55 Pogadanka. 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Alfreda Hoehna. 21.30 Polska opowieść o E. T. Hoffmannie — audycja literacko - muzyczna. 22.15 Koncert wieczorny w wyk. Ork. Symf. P. R. 23.00 Muzyka taneczna.

radio ELEKTRIT potęguje wroble zapobiega chorowemu!

WIADOMOSCI RADIOWE

ADAM WIENIAWSKI W AUDYJCJI „SYLWETKI KOMPOZYTORÓW”

Dnia 17.XII o godz. 21.30 Polskie Radio nada audycję, poświęconą twórczości Adama Wieniawskiego. Znany ten muzyk jest bratankiem Józefa Wieniawskiego, jednego z najwybitniejszych kompozytorów polskich. Został on odznaczony tegoroczną nagrodą m. Warszawy. Obecnie jest dyrektorem Szkoły Muzycznej im. Szopena, Adam Wieniawski odznacza się świetnym zmysłem organizacyjnym i jemu to zawdzięczamy szereg międzynarodowych konkursów muzycznych, które odbywały się w Warszawie.

W audycji czwartkowej p. n. „Sylwetki kompozytorów” radiosłuchacz zapozna się z utworami Adama Wieniawskiego. Jako solistka wystą-

pi znana śpiewaczka Stanisława Argasińska.

KONCERT, POSWIECONY UTWOROM J. CH. BACHA I MOZARTA.

Czwartkowy koncert muzyki kameralnej dn. 17.XII o godz. 17.15 przyniesie dwa utwory, które poza bardzo wysokimi walorami artystycznymi, wykazują również wiele wspólnych cech, wypływających z podobieństwa stylu J. Bacha i Mozarta. W programie: kwartet Jana Chrystiana Bacha (syna Jana Sebastiana), na flet, skrzypce, altówkę i wiolonczelę, oraz przy udziale tego samego zespołu skomponowany kwartet A-Dur K. V. 298 Mozarta. Obie kompozycje wykonają: S. Wochniak, J. Sobierajski, T. Lifan i L. Goldberg.

OGŁOSZENIA LEKARSKIE

D-r BRAMS weneryczne, skórne. Lecznica. Przyjmuje w swojej lecznicy Nowy Świat 46 m. 22. 8 r. — 8 w. 171

Lekarz Dentysta A. LURIE Świętokrzyska 15, tel. 6.91.03 179

WENERYCZNE p. skórne. Lecznica. Plac 3 Krzyży 9. róg Wspólnej, od 9 r. do 8 w 172

Elektoralna 32 WENER. Lecznica 6 r. — 9 w. 184

LECZNICA wyłącznie dla REUMATYKÓW i ARTRETYKÓW 221 czynna od 10-1 i 4-7 WIERZBOWA 11

ZĘBY SZTUCZNE bez podniebienia leczenie Cenw niskie. Specjalna Lecznica Zębów, Nowy świat 67 wada drugie piętro front. 287

Przychodnia s e-PLUCA I SERCE dla chorych Senatorska 28-30. Rentgen. Odma sztu-czna. Przepalanie wzrostów opłucnowych. Porada wraz z prześwietlaniem. Wezwanie na miasto. Telefon 5-93-33. 121

Dr. med. J. GELBFISZ WENERYCZNE, PĘCIOWE. Złota 27. 3-9 w. Ordynacka 9. Lecznica, 12-6 i 8-9 w. 307

# Witamina E,

## czyli witamina płodności

Odkryte stosunkowo niedawno związki organiczne, zwane witaminami, wytworzone są przez rośliny. W organizmach zwierzęcych (a więc i ludzkich) witaminy nie wytwarzają się, choć są niezbędne dla ich życia. To też każde zwierzę musi je pobierać wraz z pokarmem roślinnym, gdyż w przeciwnym razie następują poważne zaburzenia w stanie zdrowia. Jednym z najdawniej i najlepiej znanych takich objawów jest choroba zwana szkorbutem.

Witamin jest kilka. Najbardziej wszechstronnie poznano dotychczas witaminę A, która powstaje z czerwonego barwnika, zwanego Karotenem, występującego szczególnie obficie w marchwi, oraz witaminę D, występującą w jajach i przetworach mleczarskich, a przede wszystkim w tranie dorszy i tun czyków. Do ciała tych ryb dostaje się z drobnych roślin morskich, zjadanych przez narybek.

Ostatnio szczegółowo zbadano nową witaminę, którą nazwano witaminą E. Badania dały wyniki rewelacyjne, okazało się bowiem, że witamina E decyduje o płodności organizmów zwierzęcych, konieczna jest dla normalnego rozwoju zarodka, wpływa na wzrost po dojrzewaniu płciowym oraz jest niezbędna dla żywotności mięśni szkieletowych, w tym poprzecznie prążkowanych.

Brak witaminy E powoduje bezpłodność, przy czym u samców bezpłodność ta jest nieuleczalna. Samice zwierząt, nad którymi przeprowadzono doświadczenia, porzucały swe potomstwo, przyczyn instynktu macierzyńskiego zanikał u nich do tego stopnia, że odmawiały im dym ssania. Właściwie znamienna jest rzecza, że witamina E potrzebna jest samicom tylko podczas pełnienia funkcji rozrodczych, poza tym nie ma zupełnie złych skutków, u samców natomiast powoduje w organizmie zmiany, podobne jak kastracja, a więc nie tylko zaburzenia fizyczne, ale i psychiczne.

Królowa pszczoł, która wytwarza rocznie około 1.715.000 jaj, żywiona jest pokarmem, zawierającym nadzwyczaj dużą ilość witaminy E.

Zdobycie odpowiedniej ilości witaminy E przez zwierzęta jest łatwe, gdyż jest ona w przyrodzie bardzo rozpowszechniona. Występuje przede wszystkim w ziarnach zbóż, zwłaszcza w ziarnach pszenicy — przy czym największą ilość tej witaminy zawierają ziarna kielkujące oraz przetwory z nich. Występuje też w jarzynach, zwłaszcza w sałacie, szpinaku, fasoli i bobie, w rzęszusze, lucernie i innych; w owocach — przede wszystkim w bananach; ponadto w nabiale — w mleku i

jajach kurzych. Najbogatszą w witaminę E substancją jest olej wyciśnięty z ziarn kielkującej pszenicy i z liści sałaty.

Witamina E jest niezwykle odporna na działanie czynników zewnętrznych — nie ni-

szczy jej światło, ciepło ani działania kwasów, rozkłada się dopiero pod działaniem nadmanganianu potasu i innych środków bardzo utleniających. Skład chemiczny tej witaminy nie jest jeszcze znany.

# Nowe odkrycia astronomiczne

Niebo, zda się tak odległe tak niezmiernie i tajemnicze znajduje się pod ścisłą obserwacją astronomów. Są oni bodaj tak nieustraszeni i spostrzegawczy, jak reporterzy dzieńnikarscy. Nic się przed nimi nie ukryje. Najmniejsza bodaj zmiana barwy czy blasku drobnej bodaj gwiazdy, zniknięcie lub pojawienie się nowej zostaje natychmiast zanotowane.

W roku bieżącym odkryto już 3 nowe komety. Ostatnia została zanotowana 20 września przez C. Jacksona w Kapstadzie w gwiazdozbiornie Wodnika. Blask tej komety jest bardzo słaby, przedstawia się ona jako gwiazda 12 wielkości.

Równie obfite odkrycia dostarczyły obserwacje gwiazd, w czasie od czerwca r. b. Odkryto bowiem cztery gwiazdy typu Nova. Nazwą tą oznaczane są gwiazdy, odznaczające się zmienną jasnością; w przeciągu kilkunastu lub kilku miesięcy, czasem nawet w ciągu kilku dni, bądź też paru godzin blask ich wzmagają się, aby wkrótce osłabnąć, a nawet na długie miesiące zniknąć z oczu obserwatorów. W badaniach budowy wszechświata oraz w zagadnieniu ewolucji gwiazd odgrywają one wybitną rolę, to też w ostatnich czasach astronomowie poświęcają im coraz większą uwagę.

Pierwsza Nova gwiazda została zauważona w gwiazdozbiornie Jaszczurki dn. 1-go czerwca r. b. przez astronoma Nielsena, który wyjechał na m. Śródziemne w celu obserwowania zaćmienia słońca. Następnego dnia o godz. 11 m. 40 przez astronoma Gomi w obserwatorium Honorobe. Tegoż dnia do biura Międzynarodowego telegramów astronomicznych w Kopenhadze nadeszły depesze z różnych obserwatoriów kuli ziemskiej. Niebo jest pod pilnym nadzorem. Oto o godz. 16 min. 13 nową gwiazdę, którą nazwano Nova Lacertae, „odkrył” Guriew w Stalınabadzie, o godz. 19 min. 30 — Zonn w Kerateae, o godz. 20 min. 25 — Loretta w Bolonii, a w pięć minut później — Wendl w Felixdorfie po 15 minutach Krebs w Sonneberg; o 21 min. 55 Norman w miejscowości Bolszewo; o 22 min. 4 Hoffmeister w Sonneberg, o 22 min. 10 Himpel w Heidelbergu; o 22 min. 30 Rich-

ter w Neubabelsbergu. Niezależnie od astronomów europejskich Nova Lacertae została „odkryta” przez astronomów amerykańskich: Pettiera w Delphos (Ohio), i Upjohna w Kalamazos w stanie Michigan. Podziw bierze przeglądając tę listę, jak wielu astronomów ma w pamięci mapę nieba tak dokładnie, że mogą bez pomyłki powiedzieć — ukazała się nowa gwiazda.

Drugą gwiazdą, nazwaną Nova Aquilae odkrył 18 września

## Ze Stow. Lokatorów i Sublokatorów

Na wokandy Sądów Grodzkich figuruje ostatnio wiele spraw eksmisyj z lokali handlowych. Jak wiadomo dekretem Pana Prezydenta z 14 listopada 1935 r. wyjęte zostały z pod ustawowej ochrony lokale przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych z wyjątkiem lokali zajmowanych przez przedsiębiorstwa IV kategorii handlowej oraz VII i VIII kategorii przemysłowej. Na tym tle powstał szereg wątpliwości, które powodują niejednoznaczność praktyki sądowej na terenie Państwa. Chodzi bowiem o to, że na zasadzie przepisów skarbowych o ulgach w nabywaniu świadectw przemysłowych, przedsiębiorstwa, które wykazują mały obrót, uprawnione są do nabywania ulgowych świadectw t. j. kategorii piątej.

W konkretnych wypadkach przedsiębiorstwa handlowe III kategorii, lub przemysłowe VI kategorii przy pewnym ustalonym obrocie rocznym mogą zakupować świadectwa IV kategorii handlowej, lub VII przemysłowej.

## Protest radioabonentów

Grono radioabonentów nadesłało nam, z prośbą o umieszczenie, pismo następującej treści:

Polskie Radio jest instytucją monopolową, korzystającą z prerogatyw zakładów państwowych. To je obowiązuje do służenia wszystkim obywatelom bez różnicy przekonań. Jeżeli więc podaje informacje dziennikarskie powinny być one wolne od wszelkiego zabarwienia partyjnego. Dlatego też uznajemy się w prawie za protestowania przeciw tendencyjnemu naświetlaniu komunikatów, dotyczących wojny domowej w Hiszpanii.

## Ofiary

W myśl uchw. Kom. Centr. z dn. 14.8.1936 r.  
S. 1 zł.  
Robotnicy Dzielnicy Powązki 50 zł.  
Grono Metalowców 10.50 zł. Razem 61.50.

## Odpowiedzi Redakcji

P. Mieczysław Pias. — O sprawie tej już pisaliśmy.  
P. Stanisław Bibers. — Rzecz potraktowana została w zbyt osobistej płaszczyźnie. Na zagadnienie to patrzmy szerzej i bodaj nieco inaczej.  
„Lodzianin”. — Nie cenzuralne.  
Maria Klinowska. — Nie nadaje się.  
S. L. F. — Dobrze, zamieścimy. Narazie nie płacimy.  
R. S. Chrzanów. — Na ten temat piujemy stale.  
B. K. Hrubieszów. — Nie wiemy o co Panu chodzi.  
J. B. Warszawa. — Artykuł nieaktualny. Styl również nam nie odpowiada.

## Gry sportowe

### ZNOWU PORAZKA I ZWYCIĘSTWO LOTYSZÓW W ŁODZI.

W drugim dniu zawodów w grach sportowych z udziałem akademickiego mistrza świata w koszykówce drużyny „Universitatis Sports” z Ry-

gi, Lotysze odnieśli znowu jedno zwycięstwo i ponieśli jedną porażkę. W siatkówce reprezentacja Łodzi ponownie pokonała Lotyszów 2:0 (15:7, 15:8).

Mecz koszykówki pomiędzy drużyną ni Uniwersitatis Sports (Ryga) a mistrzem Polski KPW (Poznań) zakończył się zwycięstwem Lotyszów w stosunku 32:26 (26:13). W pierwszej połowie przewaga drużyny łódzkiej jest bezapelacyjna. Po zmianie stron w pierwszej fazie tej części gry różnica punktów dochodzi nawet do 18 na korzyść Lotyszów. Dopiero wówczas KPW-iacy zabierają się do roboty, nie zdołali jednak, mimo rozpaczliwej walki, uzyskać wyrównania i przegrali różnicą 6 pkt. W drużynie łódzkiej fenomenalnie grali Anderson i Jurcins, a w zespoleniu KPW — Łój, Patrzykont i Grehowiak. Zainteresowanie zawodami olbrzymie.

## Boks

### STAN ZAWODÓW O MISTRZOSTWO KLASY B OKRĘGU WARSZAWSKIEGO.

W przedostatnim meczu o mistrzostwo klasy B okręgu warszawskiego „Gwiazda” zremisowała z Fortem Bema II 8:8.

gier	pkt.	zwyc.	
1) Legia	7	13:1	54:26
2) Czechowice	7	11:3	84:28
3) Skra	7	7:7	59:51
4) Warszawianka	7	6:8	57:55
5) Fort Bema II	7	6:8	53:61
6) Broń Radom	7	5:9	37:75
7) Gwiazda	6	4:8	32:66
8) Orkan	6	2:10	26:70

Do rozegrania pozostał jeszcze mecz Gwiazda - Orkan.

### PIERWSZE ZWYCIĘSTWO CHOMY W BARWACH STRZELCA

Mecz bokserski pomiędzy KS Strzelec (Gdynia) a Gopłanią (Inowrocław) zakończył się wynikiem remisowym 8:8.

W wadze ciężkiej Choma pokonał zdecydowanie Leśniaka.

## Hockey

### OTWARCIE SEZONU HOKEJOWEGO W ŁODZI.

W Łodzi odbyły się pierwsze zawody hokejowe pomiędzy drużynami ŁKS a Zjednoczonymi. Zwyciężył ŁKS w stosunku 10:1 (2:1, 4:0, 4:0). W ŁKS grał jeszcze Król.

### PIŁKA NOŻNA DRUŻYNA KRAKOWSKA NA MIĘDZYNARODOWYM TURNIEJU W ANTWERPII.

W Antwerpii w czasie świąt Wielkanocnych odbędzie się międzynarodowy turniej piłki nożnej, w którym weźmie udział jedna z drużyn krakowskich, Ferencvaros z Budapesztu, niemiecka „Wormatia” i reprezentacja miasta Antwerpii. Turniej ten odbędzie się pod protektoratem miasta.

## UŁAŁ NIE DOSZŁO DO ROZWODU.....

W sferach towarzyskich poruszenie. Rozeszła się wersja, iż Państwo X. (nazwiska nie podamy), który pobrali się przed rokiem, mają się rozjść z winy Pani domu. Pozornie, powody nie są dość ważne. Chodzi o to, iż Pani domu nie umie się zająć gospodarstwem domowym. Wszystko jest nie po myśli męża, począwszy od kuchni, a skończywszy na podłogach. A więc, według oświadczenia męża, podłogi są zaniedbane, po całym mieszkaniu fruwają mole, a niekiedy można złapać pluskwę, obuwie nie ma połysku, a naczyńna kuchenna są gotnie pożałowania.

W sukurs przyszła przyjaciółka Pani. Poradziła jej kupić w najbliższym sklepie wyroby fabryki „Dobrolin”: do podłogi zaprawę „Dobrolin”, do naczyń kuchennych „Mylol”, który wszystko myje i pierze, do obuwia pastę „Dobrolin”, do wyłuskania moli i robactwa „Sam”. Skończyło się szczęśliwie: „Dobrolin”, pogodził małżonków. Od tej chwili, kiedy Pani domu kupuje wyroby „Dobrolin”, w domu panuje istna harmonia. (w.)

Antwerpii i zorganizowany mecz w ramach specjalnych „Dni Antwerpii”. Nazwa drużyny krakowskiej nie jest jeszcze znana. W roku ubiegłym na podobnym turnieju grała Wisła, która weszła do finału, gdzie uległa drużynie Ferencvaros 0:8. Klub węgierski zdobył wówczas puchar przechodni, który teraz będzie się starał obronić.

## Różne

### TRENEREM ZJAZDOWYM BĘDZIE AUSTRIAK REHL.

Potraktacje Polskiego Związku Narciarskiego w sprawie zaangażowania trenera zjazdowego dla polskich narciarzy zostały zakończone. Trenerem będzie Austriak Sepp Rehl, a nie Attwenger, który stawiał zbyt wygórowane warunki finansowe.

P. Z. N. zatwierdził warunki proponowane przez Rehla i wysłał już dla niego wezwania telegraficzne z pieniędzmi na kosztą podróży.

### NORWESKIE SANDVICK NIE PRZYJEDZIE DO POLSKI.

Norweski Związek Narciarski zawiodł P. Z. N., że zaangażowany trener Harald Sandvick nie przyjedzie do Polski z powodu przeszkód rodzinnych i zaproponował wybór innego trenera.

P. Z. N. w odpowiedzi wyraził zgodę na wybór zastępcy Sandvicka według uznania Związku Norweskiego.

### NOWA SKOCNICA NARCIARSKA.

Sekcja narciarska Strzeleckiego Klubu Sportowego na terenie gminy nowosądeckiej wybudowała skocznice narciarską o zasięgu skoku do 50 m. Otwarcie skoczni nastąpi w najbliższym czasie przy udziale zawodników zakopiańskich i krynickich.

### LOTWA ZAPRASZA WILEŃSKICH HOKEISTÓW.

Hokeiści Ogniska wileńskiego otrzymali szereg propozycji na rozegranie zawodów towarzyskich. Między innymi hokeiści Łotwy chcą rozegrać w Wilnie dwa mecze w dniach 19 i 20 grudnia, a następnie gościć u siebie Wilnian w meczach rewanżowych. Wilnianie prawdopodobnie skorysują się z propozycji.

### WARSZAWCY LEKKOATLECI W OBRONIE CEJZKA.

W niedzielę odbyło się walne zebranie WOZLA. Przewodniczył naczelnik Forsy. Prezeseem nowego zarządu wybrano konsula Sołnickiego, wiceprezesami: kpt. Theuera, inż. Rózewicza i inż. Oldaka. Członkami zarządu zostali pp. Kamiński, Burzyński, Michałowski, Krzyżanowski, Chlebowski, Goldman, Maciejowska, Żółkowska i Trzaskowski.

Uchwalono zwrócić się do PZLA o rewizję uchwały w sprawie Cejzka.

### Teściowa skarży Znanego podróżnika

Do władz prokuratorskich wpłynęła skarga przeciwko podróżnikowi-harcerzowi, który odbył podróż samochodem naokoło świata, Jerzemu Jelińskiemu.

W skardze tej teściowa p. Jelińskiego, p. Wanda Pawłusiewicz, oskarża go, że sprzedał bezprawnie mydlarnię przy ul. Włocławskiej, którą otrzymał w posagu. Władze prowadzą dochodzenie.

## PORADNIA

### Świadomego Macierzyństwa

Imienia dr. med. J. Budzińskiego - Tylickiej Leszno 23 m. 3

Zapobieganie ciąży, leczenie chorób kobiecych i bezpłodności. Porady przedślubne. Wtorek, czwartek, sobota — 9—12. Poniedziałek, środa, piątek — 5 — 7

## Dochodzenie dyscyplinarne w sprawie zajęć uniwersyteckich

Przeprowadzenie dochodzeń dyscyplinarnych w sprawie ostatnich wydarzeń na terenie Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego i blokady zabudowań uniwersyteckich, która pociągnęła za sobą zamknięcie Uniwersytetu na 3 tygodnie, powierzona będzie specjalnej komisji profesorskiej. W skład tej komisji wejść ma 3-ch profesorów.

Prace komisji poprzedzi ma dochodzenie audytora uniwersyteckiego mgr. Zbigniewa Niwińskiego,

który będzie przesłuchiwał studentów podejrzanych o udział w zajęciach. Podstawą dochodzeń będą raporty policyjne przesłane już do wiadomości senatu uniwersyteckiego. Przesłuchanie podejrzanych o udział w zajęciach, jak i naocznych świadków incydentów, które rozegrały się w okresie blokady objął ma blisko 300-tu osób w tym 170-ciu studentek. Dochodzenie dyscyplinarne rozpocznie się już w najbliższych dniach mimo ferii.

Redakcja: i Administracja Nowy-Swiat 62 m. 1, i piętro, tel. Red. 306.99, tel. Adm. 307-00. P.K.O. 23.631. „Dziennik Popularny”. Poczto-we przekazyrozrachunkowe kartoteka Nr 105 „Dziennik Popularny”  
Redaktor przyjmuje od 12.30 do 13.30 Administracja czynna od 9—12 i 14.30—19.

Warunki prenumeraty: w Warszawie z odnośnikiem do domu 2.20; na prowincji zł. 2.10. Za zmianę adresu 50 gr.  
Ceny ogłoszeń: za wiersz wysokości 1 mm. przez szerokość szpalty: w tekście gr. 60; zwykłe (w reklamach) gr. 40; ostatnia strona gr. 60; nekrologi do 60 m.n. gr. 20, powyżej 60 m.n. gr. 30; notatki reklamowe gr. 60; drobne za wyraz gr. 15, najmniej 10 wyrazów; poszukiwanie pracy gr. 10 za wyraz. Ogłoszenia tabelaryczne o 50 proc. drożej. Układ ogłoszeń tekstowych i zwykłych 6-szpaltowy. Treść ogłoszeń Redakcja nie odpowiada.

Redaktor odpowiedzialny: Władysław Pietrzykowski. Wydawca: Społeczna Spółka Wydawnicza Sp. z ogr. odp.  
Obito w drukarni Sp. Nakładem Wydawniczej „Robotnik”, Warszawa, Warecka 7.

10 GR

# DZIENNIK

10 GR

# POPULARNY

## Na froncie hiszpańskim bez zasadniczych zmian

### Sukcesy w okolicach Toledo

WALENCJA. (PAT.). Agencja telegraficzna rządu madryckiego podaje, że wojska rządowe przeprowadziły doniosłą operację na południo-zachód od Toledo. Pomimo oporu oddziałów atak zakończył się posunięciem linii oddziałów republikańskich o 4 km. Zajęte pozycje mają duże znaczenie strategiczne, panują bowiem nad drogami, z których korzystają powstańcy dla nawiązania łączności pomiędzy poszczególnymi oddziałami, operującymi na froncie madryckim.

### Z różnych frontów

MADRYT. PAT. Zróżniczone donoszą z Gijon, że powstanie parokrotnie podejmowali natarcie na różnych odcinkach frontu asturyjskiego. Artyleria powstańców intensywnie bombardowała pozycje wojsk rządowych pod Olivares i Cristo de Las Cadens. Wojska rządowe dopuściły powstańców na bliską odległość od swych linii, po czym ostrzeliwały ich z karabinów maszynowych. Powstańcy szybko się wycofali, porzucając zabitych i rannych. Wczoraj artyleria powstańcza bombardowała pozycje wojsk rządowych na odcinku Posada de la Llanura. Baterie rządowe odpowiadają ogniem, smuszając artylerię przeciwnika do milczenia.

Z Alicante donoszą, że wczoraj po południu dwa samoloty powstańcze bombardowały i ostrzeliwały z karabinów maszynowych dwa statki na wysokości Santa Vola. Akcja lotnicza nie pociągnęła za sobą żadnych ofiar ani szkód materialnych.

Z Gijon donoszą, że powstańcy krążownik „España” ostrzeliwał okolicę Gijon. Trzy pociski padły w odległości 300 m. od krążownika amerykańskiego „Erie”, który właśnie przybijał do portu. Po wystrzeleniu przez krążownik flagi amerykańskiej, krążownik powstańczy wycofał się.

### Strzelanina we mgłę

MADRYT. (PAT.). W piątek wieczorem od godz. 21-ej rozpoczęła się niezwykle gwałtowna kanonada, co pozwalało przypuszczać, że planowane jest jakieś natarcie. Gęsta mgła uniemożliwiła stwierdzenie dokładnej przyczyny tej kanonady, której siła nie ma sobie równej w ciągu ostatnich 10-ciu dni. Nie sadzą jednak by mogła się rozpocząć bitwa w takich warunkach, gdy widzialność nie przekracza 10-ciu metrów.

### Dokumenty szpiegostwa i zdrady

MOSKWA. (PAT.). W korespondencji z Londynu „Prawda” donosi, że pewne wydawnictwo londyńskie opublikuje wkrótce duży tom dokumentów, znaleziony przez władze hiszpańskie w Barcelonie w mieszkaniu naczelnej niemieckiej tajnej organizacji szpiegowskiej, działającej na terenie Hiszpanii.

## Sytuacja chińska wciąż jeszcze niewyraźna

### Szczegóły uwiezienia Czang-Kai-Szeek

SZANGHAJ. (PAT.). Gen. Czang-Ting - Uen, uwięziony przez powstańców równocześnie z marszałkiem Czang - Kai - Szekiem, przybył w piątek do Nankinu, gdzie udzielił wywiadu przedstawicielowi agencji chińskiej Central News. Oświadczył on, że na-

czelny wódz armii chińskiej i jego towarzysze aresztowani zostali w ubiegłą sobotę i umieszczeni w odosobnieniu. Czterokrotnie Czang - Kai - Szeek odrzucał warunki, postawione przez Czang - Sue-Lianga.

### Arita uspakaja opinie japońską

TOKIO. (PAT.). Minister spraw zagranicznych Arita, zapoznając członków gabinetu z sytuacją w Chinach, oświadczył, że wszystkie prowincje chińskie, z wyjątkiem Szensi i Kansu, opowiedziały się na stronie rządu nankińskiego. Arita stwierdził również, że reprezentanci rządu w Nankinie zapewnili ambasadora Kawagoe,

iz polityka chińska w stosunku do Japonii nie dozna żadnych zmian pod wpływem zajść w Sian - Fu. Koła polityczne Japonii, pominiwszy pewne poruszenie w korpusie oficerskim, zajęły w stosunku do spraw chińskich stanowisko, nacechowane spokojem. Jakkolwiek dobrze poinformowane koła japońskie uważają, że gabinet Hiroty jest mocno zachwiany, to jednak nie należy oczekiwać jakichkolwiek zmian przed rozpoczęciem sesji parlamentu, która nastąpi w dn. 24 b. m.

### Kongres na płytach

MOSKWA. PAT. Sprawozdanie z 8-go nadzwyczajnego zjazdowego Kongresu Socjalistycznego, które odbyło się w 27 płytach gra-

### Czang-Kai-Szeek liczy na uwolnienie

NANKIN. PAT. Podjęte przez rząd nankiński działania wojenne przeciwko buntownikom, którzy uwięzili marszałka Czang-Kai-Szeeka, zostały przerwane do godz. 18-ej w sobotę z polecenia samego Czang-Kai-Szeeka, który napisał do ministra wojny Hoying-Czin: „Wiem, że wrócę do Nankinu w sobotę”.

### Nacjonalisci wszędzie jednakowi

NANKIN. PAT. Przewódca mongolskiego ruchu nacjonalistycznego i jeden z wodzów najazdu mongolskiego na prowincję Suiyuan zapowiedział przerwanie działań wojennych, aby umożliwić centralnemu rządowi chińskiemu zwrocić nie swych sił przeciwko rewolucji w Szensi.

### Pod dyskusją w Senacie

### i w Izbie Deputowanych we Francji

PARYŻ. (PAT.). Końcowe obrady nad budżetem w Izbie Deputowanych oraz równoległa debata w Senacie nad ustawą o arbitrażu przyniosła kilka trudnych dla Rządu momentów.

W Senacie, jak to zresztą można było przewidywać, nie tylko grupy opozycyjne, ale nawet sena torowie radykalni bardzo kategorycznie wysunęli sprawę strajków okupacyjnych i t. zw. neutralizacji fabryk. Dzienniki prawnicze atakują Rząd, wskazując tu na pewną rozbieżność w oświadczeniach rządowych i tłumacząc to tym, że Rząd nie zajął w tej sprawie jeszcze ostatecznego stanowiska, wahał się z jednej strony pomiędzy względami na radykałów, ostro występujących przeciwko neutralizacji, a z drugiej strony na lewicę socjalistyczną i komunistów, którzy tylko przy zastosowaniu neutralizacji gotowi byłiby zaniechać obrony strajków okupacyjnych.

W Izbie Deputowanych natomiast sprawą zasadniczą polityki finansowej Rządu zaatakowana była w bardzo ostry sposób przez b. ministra finansów dep. Reynauda.

Po przemówieniu Reynauda, min. Auriol z oburzeniem wystąpił przeciwko wszelkim czynnikom, szerzącym pogłoski o grożącej wej dewaluacji i wyraził nadzieję, że w odpowiedzi na jego apel do posiadaczy wkładkę oszczędnościowych, kraj umożliwi Rządowi wykonanie budżetu.

Minister oświadczył, że gdyby miało się okazać, iż interesy posiadaczy kapitałów są niemożliwe do pogodzenia ze swobodami demokratycznymi, doprowadziło by to do sytuacji, w której praworządność republiki mogłaby być naruszona na szwank. Prasa prawnicza, cytując dzisiaj obszernie ten ustęp, traktuje go jako groźbę pod adresem posiadaczy kapitałów.

### Trzy wyroki śmierci

W dniu wczorajszym Sąd Okręgowy w Białymstoku wydał wyrok na członków szajki bandyckiej, która dokonała szeregu krwawych napadów.

Hramenko, Opacki i Chlamicz zostali skazani na karę śmierci.

przez powieszenie, Romańczuk na bezterminowe ciężkie więzienie. Dwóch oskarżonych zostało uniewinnionych.

Wszyscy skazani z wyjątkiem Hramenki zapowiedzieli apelację.

### Skazanie terrorystów endeckich

W Tarnowskich Górach zapadł wyrok w sprawie 8 członków Str. Narodowego, którzy dokonali szeregu zamachów bombowych na różne obiekty na Górnym Śląsku. Głównego oskarżonego sąd skazał na 1 rok więzienia, dwóch — z tego po 8 miesięcy, dwóch — ka-

z tego po 6 miesięcy, jednego — na 5 miesięcy, oraz dwóch — ka- z tego po 2 miesiące aresztu. Wszystkim, z wyjątkiem głównego oskarżonego, zaliczono areszt prewencyjny. Wykonanie kary nikomu nie zostało zawieszane.

### Skazanie red. Cat-Mackiewiczza

W dniu wczorajszym odbyła się w Sądzie Okręgowym w Katowicach rozprawa przeciwko redaktorowi wileńskiego „Słowa” Cat-Mackiewiczowi, oskarżonemu o zniewy-

stawienie wojewody Grażyńskiego.

Po rozprawie sąd ogłosił wyrok skazujący red. Mackiewiczza na 3 miesiące aresztu i 300 zł. grzywny.

## „Izwiestia” o nowym rządzie katalońskim

MOSKWA. (PAT.). Specjalny korespondent „Izwestii” w depeszy z Barcelony o utworzeniu nowego rządu katalońskiego podkreśla, że w rządzie tym nie ma przed stawiciela trockistów, którzy w poprzednim rządzie mieli tękę sprawiedliwości. Nowy rząd utworzony został nie na podstawie partyjnej, lecz na płaszczyźnie proletariackich związków zawodowych przy poparci drobnego mieszczaństwa. W skład rządu wchodzi przedstawiciele zrzeszenia związków zawodowych, anarchistyczno-syndykalistycznej narodowej konfederacji pracy i katalońskiego związku dzierżawców, oraz lewicy katalońskiej.

Korespondent pisze, iż wyeliminowanie ze składu rządu takiego dezorganizacyjnego i prowokatorskiego elementu, jakim jest organizacja trockistów, przyczynił się do wzmocnienia rządu, wskazując jednocześnie na anarchistów syndykalistów, jako na czynnik, utrudniający konsolidację silnej władzy.

Poza tym korespondent podaje treść odezwy Zjednoczonej Partii Socjalistycznej, skierowanej przeciwko trockistom. Odezwa ta zredagowana jest w stylu sowieckich artykułów antytrockistowskich. Na zrywa ona trockistów zdrajcami i agentami faszystów, piętnując ich za wystąpienia przeciw Związkowi Sowieckiemu, który jak podkreśla odezwa — jest jedynym państwem, stojącym po stronie rządu madryckiego. Polityka trockistów — głosi dalej odezwa — jest na rękę zbuntowanym generałom, oraz ich niemieckim i włoskim opiekunom.

### Utworzenie armii południowej

WALENCJA. (PAT.). Dziennik urzędowy ogłosił dekret o utworzeniu południowej armii hiszpańskiej pod dowództwem gen. bryg. Monje. Armia ta obejmuje okręgi Kordoby, Grenady i Malagi.

## Kongres francuskich faszystów

PARYŻ. (PAT.). W piątek rozpoczęły się trzynastodniowe obrady pierwszego kongresu Francuskiej Partii Społecznej, która powstała z dawnej organizacji „Croix de Feu”. Organizacja ta, której przewodniczy płk. de la Rocque, zorganizowała ostatnio na terenie

parlamentu swoją grupę, złożoną na razie tylko z 5-ciu deputowanych i to nie odgrzywiających większej roli w parlamencie. Obrady pierwszego kongresu mają na celu ostateczne ukonstytuowanie się Partii Społecznej w wielką organizację polityczną, podobną do innych stronnictw.

Momentem charakterystycznym było niezwykle ostre stanowisko antykomunistyczne, które znalazło wyraz w szeregu wystąpień delegatów i w dyskusji.

Niezależna prasa polska winna stworzyć wspólny front do walki o wolność słowa. Lewicowe dzienniki powinny się wzajemnie broń przed nieuzasadnionymi konfiskatami. Uzasadnioną przeto rzeczą będzie, gdy zajmujemy się nie własnymi konfiskatami, o których słusznie dalo by się wiele powiedzieć, ale ostatnią konfiskatą „Robotnika”.

Oczywiście o treści skonfiskowanego artykułu pisać nie wolno. Musimy przeto ograniczyć się do tego, co o własnej konfiskacie napisał „Robotnik”.

Konfiskata nastąpiła z powodu zamieszczenia listu, który nam nadesłali żołnierze-Polacy jednego z oddziałów hiszpańskiej armii ludowej.

Ministerium Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej stanęło na stanowisku, że listy i artykuły tego rodzaju — niezależnie od tego, o którą stronę walczącą chodzi — przeczają zasadzie nieinterwencji w wojnie domowej Hiszpanii.

Nie śmiemy polemizować ze słusznością oryginalnego stanowiska naszego M.S.Z. My, ludzie polityczni i ciści, gotowi byliśmy przyjąć je bez protestu, gdyby istotnie traktowano jednakowo „listy i artykuły tego rodzaju niezależnie od tego, o którą stronę walczącą chodzi”.

Tymczasem? Tymczasem jest zgola inaczej. W tym samym dniu w którym skonfiskowano „Robotnika” za ów list żołnierzy-Polaków z oddziałów madryckich — nie skonfiskowano listu wodza rebeliantów, gen. Franco który nie

mał widać już wysłać do kogoś listu, jak tylko do ucznia 5-ej klasy gimnazjum sióstr Urszulanek w Lublinie. Pomijamy już fakt wychowania nauczycielek i sióstr Urszulanek owego gimnazjum, które niewątpliwie podjudzały swe wychowanki do okazania czułości w odzwoi faszystwu hiszpańskiemu i zdradcy własnej ojczyzny — interesuje nas natomiast, co list ów zawiera i co o nim pisze „Express”.

„Express” oczywiście entuzjastycznie się listem.

Treść pozabawiona jest charakteru zdawkowego i stanowi pewnego rodzaju enuncjacje ideowo-polityczne, co wywołało w Lublinie dużą sensację.

A sam list? Gen. Franco dziękuje pensjonariuszom za ich serdeczności i ze swej strony śle pozdrowienia, po czym zapewnia, że bohaterstwo walczą „z komunizmem w Hiszpanii o cywilizację chrześcijańską”.

I w końcu taki oto kwiatuśzek taka oto nikczemna, kłamliwa bezczelność:

Tak samo, jak żołnierze Waszej Polskiej Ojczyzny zwyciężali komunistów, Hiszpanie idąc za ich przykładem, zniszczą doszczętnie swych wrogów, choćby kosztem największych ofiar.

Nie macie pojęcia, Drogie Pani, jak straszne zbrodnie dokonane zostały przez czerwonych w Hiszpanii. Wymordowali w klasztorach wszystkich zakonników i zakonnic, tak samo, jak wielu świeckich katolików. Największe zbrodnie, jakie można sobie wyobrazić błędna wobec zbrodni popełnianych codziennie przez tych bandytów. I to wszystko — ani list p. gen. Franco, ani pochwalny komentarz „Expressu” nie uległy konfiskacie. Tok więc wygląda w praktyce przestrzeganie nieinterwencji. Są więc jednak dwie miary. S-ek.

OD 1 STYCZNIA NOWA POWIEŚĆ ZEGADŁOWICZA

# Z exposé ministra Becka

„Wszystkim niespokojnym o losy dnia jutrzejszego warto np. przypomnieć, że były okresy pokoju i współpracy bez Ligi Narodów i były wojny w epoce Ligi Narodów. Przystając ten przykład, nie miałem zresztą wcale zamiaru powiedzieć, że nasze zainteresowanie tą instytucją się zmniejszyło, ani że trudności obecnej epoki nie decydują. Po prostu miałem zamiar, przystępując do omawiania konkretnych interesujących nas faktów i zdarzeń, przypominając te drogi naszej polityce zasadę, że „il n'y a que la réalité des choses qui compte”.

W tych realiach liczą się oczywiście przede wszystkim sprawy, dotykające materialnie państwa państwa a zatem sprawy sąsiedztwa.

Praca dokonana przez nas wspólnie z naszym wschodnim sąsiadem, Związkiem Socjalist. Republik Rad, daje nadal swoje pozytywne owoce. Załatwiamy nasze wspólne sąsiedzkie sprawy w sposób normalny, nie dający powodów do żadnych wstrząsów, ani głębszych nieporozumień.

Opinia publiczna była ostatnio zaskoczona wystąpieniem jednego z mówców na VIII Zjeździe Sowietów, którego słowa miały rzekomo zawierać groźbę w stosunku do zachodnich sąsiadów Związku. Mimo, że słowa te nie odnosiły się do Polski, a raczej do naszych przyjaciół, z nad Bałtyku, poruszenie naszej opinii publicznej, było dla mnie zrozumiałe. Dla dwóch powodów: po pierwsze, że statut nieagresji, istniejący między Związkiem Socjalistycznym a jego zachodnimi sąsiadami od 1932 r., opiera się na tych samych zasadach w stosunku do nas, co i do tych krajów. A po drugie, że nie, co się dzieje nad tym jedynym morzem, do którego mamy dostęp, nie może być dla nas obojętne.

Chciałbym też z prawdziwym zadowoleniem stwierdzić, że wyjaśnienia, któreśmy otrzymali, nie dają powodu do zaniepokojenia. Miałem sposobność usłyszeć, że rząd sowiecki, podobnie, jak i my, przywiązuje nadal równą wagę do dobrego i normalnego sąsiedztwa z państwami, położonymi u jego zachodnich granic.

Pewna nerwowość, właściwa naszym trudnym czasom, udziela się również niektórym głosom prasy i opinii w dziedzinie naszych stosunków z sąsiadami zachodnimi, i to po obu stronach granicy. Nie zmienia to jednak mego głębokiego przekonania, że wielka i odważna decyzja ułożenia przyjaźni stosunków między nami a Rzeczą Niemiecką zachowuje nadal swoją wartość zarówno w bezpośrednich interesach naszego kraju, jak i w całością stosunków kontynentu europejskiego.

Nawet są nerwami a decyzyjnie.

W ciągu ubiegłego roku nastąpiła wymiana wizyt między najważniejszymi czynnami wojskowymi Francji i Polski. Chciałbym tu podkreślić, że obok najdalej idącej uprzejmości, z jaką spotkał się Marszałek Smigły-Rydz w czasie swej wizyty we Francji ze strony czynników kierowniczych, politycznych i wojskowych, mieliśmy sposobność stwierdzić także żywą i serdeczną reakcję francuskiej opinii publicznej, objawiającą się spontanicznie w poszczególnych fazach podróży, tak, że obraz naszych stosunków z Francją nie byłby kompletny, gdyby tego faktu nie podkreślić.

Wizyta ta dała poza tym w rezultacie pewne układy, związane z zagadnieniem obrony państwa, o których będzie miał możność poinformować pan Minister Skarbu.

Nie dziwno, że w atmosferze, o której wspominałem, kontakt między Rządem naszym a Rządem zaprzyjaźnionej i sprzymierzonej Francji, rozwija się w sposób najbardziej zadawalający także w obliczu wielu innych zagadnień europejskich. Mam nadzieję, że znajdzie to swój pełny wyraz przy wszelkich przyszłych układach, jakie w Europie będą negocjowane.

Zasady współpracy z bliższą nam terytorialnie Rumunią znalazły również swój pełny wyraz w obecnym trudnym okresie. Pozwolił sobie wyrazić przekonanie, że Minister Antonescu i generał Samsonowicz odzyskali wyraźnie w czasie swych wizyt w Warszawie, ile prawdziwej i trwałej sympatii mamy dla ich ojczyzny. Z tej strony chciałbym podkreślić, że prosty i przyjazny język, jakim posługiwaliśmy się od pierwszego spotkania z tym rumuńskim kolegą, pozwolił nam w drodze najbardziej bezpośredniej stwierdzić trwałą solidarność interesów naszych krajów.

Zanim wymienię wizytę ścisłe oficjalną, chciałbym przypomnieć pobyt w Polsce premiera Goeringa w lutym b. r., który mimo, że nie nosił charakteru urzędowego, stanowił wyraz stałej tendencji, istniejącej między naszymi sąsiedzkimi państwami, ażeby drogą wzajemnej znajomości i bezpośrednich spotkań dążyć do utrwalenia jak najlepszych stosunków.

W ogóle, jeśli mówi się szczerze o trosce dotyczącej przyszłości samej instytucji genewskiej, to wydaje mi się, że obecnie bardziej niż kiedykolwiek uważać należy, aby dać jej możność spokojnego możliwie przejścia przez dzisiejszą pełną dużych niepokojów epokę i nie stawiać przed nią zbyt wielu i zbyt skomplikowanych zadań.

Poważnym zagadnieniem, które ostatnio w Genewie poruszono, była sprawa wojny domowej w Hiszpanii. Wspólnie z szeregiem innych państw, w Radzie Ligi Narodów reprezentowanych, byliśmy zdania, że nie ma praktycznych podstaw do angażowania Ligi w ten trudny i bolesny problem, zwłaszcza wobec

innej akcji międzynarodowej, podjętej dla zmniejszenia niebezpieczeństw międzynarodowych, jakiego mogłyby wynikać w skutkach tej wojny.

Mam tu na myśli umowę o nieinterwencji w wewnętrzne sprawy Hiszpanii, do której przystąpiliśmy równie. Jeśli umowa ta może budzić pewne zastrzeżenia z czysto prawnego punktu widzenia, to niewątpliwie szersze pokojowe metody, jakie skłoniły państwa, podejmujące te inicjatywę, spowodowały, że potwierdzone w drodze oświadczenia między państwowe stanowisko, które zajęliśmy spontanicznie od początku tego konfliktu, było dla tej akcji pozytywne i przychylnie.

Sprawy Gdańska są dla nas czymś znacznie ważniejszym, niż dodatkicie do kłopotów ligowych, polewających obciążenie szeregów codziennych i żywotnych interesów. Dla wyjaśnienia jednak ich dzisiejszej fazy i dla dania jej właściwego obrazu, muszę i te rzeczy od strony Ligi Narodów naświetlić. Przede wszystkim dlatego, że odnośnie wrażenie pewnego pomieszania pojęć w ocenie ostatnich zjawisk przez opinię publiczną.

Polska ma w Gdańsku swoje prawa i interesy, które są Panom naszym, i które sięgają znacznie poza dyplomatyczne zagadnienia.

Jeśli chodzi o zapewnienie respektu tych naszych interesów żywotnych, to nie się w tej sprawie zmienić nie może i stanowisko naszego rządu jest proste i niezmienne. Muszę stwierdzić, że we wszystkich swych oświadczeniach Senat Wolnego Miasta Gdańska istnienie naszych

praw w sposób jasny i kategoryczny potwierdza podobnie jak my nie mamy zamiaru praw Wolnego Miasta w niczym naruszać. Broniąc twarde swych praw, trzeba umieć szanować cudze.

Komplikacje ostatniego okresu miały swe źródło w konflikcie między Senat Wolnego Miasta a organami Ligi Narodów, a w tej dziedzinie musimy stwierdzić duże różnice poglądów między tymi czynnikami i różnic interpretacji istniejących postanowień umownych. Na życzenie Rady Ligi podaliśmy się w ostatnich miesiącach dwukrotnie roli dodatkowej, której celem było znalezienie praktycznego wyjścia z wytworzonej sytuacji.

Jedną akcją, t. j. likwidacją incydentu, jaki miał miejsce z okazji wizyty niemieckiego krawczyka w porcie Wolnego Miasta, zakończona została wymiana not, których wartość i znaczenie zostały uznane przez Radę Ligi.

W obecnym stanie rzeczy toczymy intensywne negocjacje w dwóch kierunkach: 1) dla zapewnienia skutecznego i praktycznego wykonywania naszych praw i interesów w Wolnym Mieście w obliczu szeregu nowych zarządzeń, wydanych przez Senat gdański i 2) w celu usunięcia trudności, jakie powstały między przedstawicielem Ligi a Senatem. Od tygodnia negocjacje te rozwijały się pomyślnie i mam nadzieję, że i tym razem będziemy mogli naszą misję wypełnić.

Do exposé min. Becka będziemy jeszcze wielokrotnie powracali.

# CO PISZĄ INNI

## PAZUR... ENDECKIEJ KONSEKWENCJI.

Dzisiejszy „Dziennik Narodowy” w artykule wstępnym p. t. „Pazur maoński” stwierdza, że udział kleru i angażowanie religii w walkach politycznych uważa za rzecz nie tylko szkodną, ale samo przez się zrozumiałą. Nic dziwnego. Dotychczasowe doświadczenie wykazało, że endecja i sanacja dzielą między siebie bez reszty domenaty wpływów wśród kleru, albo służnicy, że kler angażuje się prawie wyłącznie w służbę sanacji i endecji, stanowiąc łączące ogniwo obu odłamów reakcji polskiej.

Jest rzeczą znaną — pisze „Narodowy Dziennik” — że stanowisko i rozwój Kościoła zależne są w dużym stopniu od stosunków politycznych, że w ustrojach politycznych, z którymi masoneria sympatyzuje, sytuacja Kościoła katolickiego niejednokrotnie staje się nad wyraz ciężka, jeśli nie wręcz tragiczna.

Dlatego też obowiązkiem każdego kleru jest walka z tymi prądami politycznymi, które, na wypadek zwycięstwa, grożą Kościołowi niebezpieczeństwem i nie zapewniają mu należytego stanowiska w kraju.

Z powyższej cytaty niebicie wynika, że kler (i to każdy) ma „zapewnione należyte stanowisko w kraju”, w obronie którego toczy walkę z tymi prądami, które i t. d. Na tej samej stronie „Dziennika Narodowego” w Przeglądzie Pławy czytamy:

Nie jest ścisłą prawdą, że u nas krzyż się zaczyna antyklerykalizm wśród ludu. Na antyklerykalizm jest dzisiaj u nas mniej miejsca, niż kiedy indziej, gdyż *leżąc nie wywierają na rządy ani bezpośrednio, ani pośrednio, żadnego wpływu, wiadomo przecież, że obóz przodkowy składa się w większości z ludzi, których zapal katolicki jest bardzo umiarkowany. Nie wywierają żadnego wpływu na rządy, a... konsekwencji.*

## „KURIER PORANNY” PRZEMYCA.

W odpowiedzi na artykuł „Człowiek — „Mamy tego dość” — „Robotnik” oświadczył:

A gdyby tak pewnego dnia przyszedli ludzie spokojni i naprawdę twardzi, gdyby powiedzieli jasno, dobitnie, po męsku:

A my mamy wogóle dość, żeby politycy i klasy społeczne, ponoszący odpowiedzialność za politykę ugody w latach niewoli—wtręcali się do polityki polskiej okresu Niepodległości.

To się może łatwo zdarzyć w przyszłości niedalekiej.

„Kurier Poranny” skwapliwie nawijuje:

Nie możemy się zgodzić z „Robotnikiem” tylko w jednym szczególe: To się nie „może łatwo zdarzyć”, ale musi się stać w niedalekiej przyszłości.

Jedno tylko w zabawnym wystąpieniu „Czasu” jest pocieszające: o ile dawniej dyskutując z „Kurierem Porannym”, zawsze występował jako, oczywiście niepowołany, komentator posunięć rządowych i skwapliwie protestował, jakoby nasze pismo miało coś wspólnego z rządem, o tyle obecnie przez swój ton, przez wystąpienia swych wodzów wyraźnie odciął się od gabinetu premiera Składkowskiego, stanął w stosunku do rządu na pozycji. Rozumiecie zaś dobrze, że sam reprezentuje polityczną nękość, musiał natychmiast pozostawić jakiegoś oparcia i znalazł w swoim mniemaniu. Podstawia się pod cały świat katolicki.

Jeżeli się tak dobrze wcztać, to z powyższego wynika, że „Kurier Poranny” wraz z „Robotnikiem” stają w obronie rządu p. Składkowskiego, zagrożonego w ciężkich zmaganiach z opozycją konserwatywną.

Jeszcze trochę, a gotowiśmy uwiaryczyć, że żyjemy pod rządami Frontu Ludowego.

Przemytownie radykałów polskich dokazuje cudów: p. premiera Składkowskiego przemycili do obozu demokracji.

## O EXPOSE P. MIN. BECKA.

Dotychczas zabrakł głos jedynie Regnisa w „Naszym Przeglądzie”.

Podajemy najistotniejsze uwagi: Wymieniając kolejno sąsiadów, pan minister zgubił Czechosłowację, lecz znalazł Węgry, co oczywiście musi wywołać popłoch u geografów. Zapomniana Czechosłowacja i obdarzone specjalnymi łaskami Węgry dowodzą najlepiej, że kalendarzowe zestawienie pana ministra zawiera między wierszami nieco rewelacyjnego materiału i że po wszystkich wizytach paryskich niezależnie od wizyty w Bukareszcie i rewizyt w Warszawie, na



„Togal” — „Narodowy Dziennik” — że stanowisko i rozwój Kościoła zależne są w dużym stopniu od stosunków politycznych, że w ustrojach politycznych, z którymi masoneria sympatyzuje, sytuacja Kościoła katolickiego niejednokrotnie staje się nad wyraz ciężka, jeśli nie wręcz tragiczna.

froncie polsko - czeskim jest bez zmian.

Wszystkich tych, którzy interesują się rozwojem stosunków polsko - niemieckich, którzy odnoszą się krytycznie do paktu polsko - niemieckiego i jego trwałości, pan minister nazwał nerwowcami. Z dzwinnym spokojem bowiem wymienił pan Beck specjalnie przed wszystkimi wizytami nieoficjalną wizytę Goeringa w Polsce, podkreślając znaczenie pobytu wielkiego łowczego.

Im więcej oddalał się pan minister Beck od Polski, tym konkretniej i wyraźniej precyzował swoje stanowisko, gdy zbliżał się z powrotem do Gdańska, styl stawał się coraz więcej dyplomatyczny, mniej konkretny i tylko między wierszami stwierdzić można było, że dojdzie do porozumienia w sprawie Gdańska kosztem konstytucji Wolnego Miasta, że formuła o uszanowaniu praw mniejszości polskiej będzie dana jako okup za zgwałcenie i likwidację wolności na terenie już dawno niewolnego miasta Gdańska.

ESEN.

# Koncert leśny na komisji budżetowej

Zapowiadana próba sił pomiędzy ministrem Poniatowskim oraz grupą pułkownikowską - konserwatywną nie wypadła dla tej grupy pomyślnie. Koncert leśny reklamowany bardzo głośno zakończył się cichym, skromnym pianissimo.

Reprezentant grupy konserwatywnej - pułkownikowskiej, p. Dudziński na komisji budżetowej domagał się znowelizowania dekretu Prezydenta Rzplitej o lasach państwowych w tym kierunku, aby całą gospodarkę leśną, stosownie do rezolucji uchwalonych przez obie Izby na poprzedniej sesji, poddać kontroli parlamentu. Była to, oczywiście, formalna sprawa, na którą nie było czasu.

W polityce pomiędzy zwalczającymi się grupami sanacji.

Groźne zapowiedzi obrony uprawnień Izby Sejmowej w praktyce okazały się bardzo słabe z tą chwilą, kiedy minister Poniatowski w imieniu całego rządu wypowiedział się przeciwko wnioskowi pos. Dudzińskiego.

Zaznaczyć należy, że już wczoraj w kuluarach sejmowych wypowiedziano przekonanie, iż o ile rząd sprawę postawi mocno, to wniosek p. Dudzińskiego nie przejdzie. Motywowano to przy tym bardzo oryginalnie. Przypomniano mianowicie słowa pos. Mackiewiczca, który stwierdził w jednym ze swoich nieskonfiskowanych artykułów, że Sejm liczy w swoim składzie ponad 80 urzędników oraz emerytów państwowych, którzy na żaden radykalny krok absolutnie nie pójdą.

Przewidywania okazały się trafne. Zamiast głosowania w sprawie wniosku p. Dudzińskiego, ko-

misja budżetowa musiała głosować nad wnioskiem pos. Wagnera, który domagał się odroczenia całej sprawy do czasu, gdy wpłynie ustawa o prawie budżetowym. Wniosek p. Wagnera odrzucono 12 głosami przeciwko 10, przy czym niektórzy posłowie „świecili nieobecnością” w czasie głosowania. Głosy ich pojawiły się dopiero przy wniosku kompromisowym pos. Pacholczyka o wybór podkomisji, która zajmie się dokładnym rozpatrzeniem wniosku pos. Dudzińskiego i rozłoży się w materiale, którego dostarczyła dyskusja.

Liczba głosujących była już o dwóch większa. Wniosek przyjęty 13-ma głosami przeciwko 11-tu.

Podkomisja ma prace ukończyć do 30 stycznia, jednakże już po 11 stycznia ma się starać o to, by była gotowa, gdyby komisja budżetowa znalazła jakiś winny dzień dla obrad nad tą sprawą — jak to pięknie ujęte zostało w dzienniku z poprzedzającym.

Trudno przewidywać dalsze losy wniosków podkomisji. Mimo woli jednak przypominają się słowa p. Becka, wypowiedziane w exposé wczorajszym o genewskim sposobie dyskusowania, a mianowicie: jeżeli jest komitet, to będzie i podkomitet, czyli nic się nie będzie działo bardzo prędko. W każdym razie w pierwszej próbie sił rząd odniósł niewątpliwie i łatwe zwycięstwo.

W myśl znanego dwuwiersza, powtarzanego często w dawnym parlamencie austriackim, oponeci przybyli na komisję „gross and wild” (wielki i dziki), ale wyszli „klein und mild” (mały i oblaskawieni).

# Zwycięstwo robotników tytoniowych i spirytusowych

Po miesięcznej akcji strajkowej zostały przyznane robotnikom wszystkich wytwórni monopolowych 12-dniowe (2 tygodniowe) pożyczki, które będą zwracane od 1-go czerwca r. przyszłego.

Do dnia 1 czerwca roku przyszłego na rachunek tej pożyczki płynąć będą kwoty z różnicy pomiędzy dawniej przyznanymi ulgami w spłacie nadzwyczajnego podatku, a ulgami przyznanymi przez Ministerium Skarbu robotnikom monopolowym, od dnia 1 listopada b. r.

Nowe ulgi w spłacie podatku nadzwyczajnego załatwione są w ten sposób, że zarabiający do zł. 165 na miesiąc będą otrzymywać całkowity (100 proc.) zwrot tego podatku. Zarabiający od zł. 165 do zł. 220 na miesiąc, kawalerowie lub osoby, posiadające jednego członka rodziny — 75 proc. kwoty przypadającej im z tytułu podatku nadzwyczajnego, a rodziny większe ponad dwie osoby — zno-

wu pełny 100 proc. zwrot tego podatku. Osoby zarabiające powyżej 220 zł. — będą otrzymywać: pojedynczo osoby 50 proc. zwrotu podatku, rodzina z dwóch osób — 75 proc. zwrotu — i rodzina od trzech osób w wyżej znowu całą 100 proc. kwotę podatku nadzwyczajnego.

Wszystkie osoby, które dotychczas nie otrzymały tej pożyczki — lub też otrzymały ją częściowo w kwocie mniejszej niż 12-tu dniowy zarobek — otrzymają tę pożyczkę 2 tyg. jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia.

Nadmienić należy, że ulgi w spłacie podatku nadzwyczajnego obowiązujące będą od 1 listopada b. r. i różnica pomiędzy wysokością ulg dawnych i ulg nowych — będzie również wypłacona w najbliższym czasie przed świętami.

Długotrwała walka o słuszne postulaty monopolowców, dzięki solidarności i wytrwałości robotników, zakończyła się zasłużonym zwycięstwem strajkujących.



# O czym p. Beck nie mówił

Exposé ministra Becka, zwłaszcza w tych sprawach, które szczególnie emocjonują społeczeństwo polskie, jest mgliste. Pod tym względem p. Beck wierny jest ustalonej przez siebie tradycji: mówić jak najrzadziej i powiedzieć jak najmniej.

Zestawienie jednak exposé wczorajszego z przemówieniami p. Becka, wygłoszonymi poprzednio, bądź co bądź daje pewien materiał orientacyjny. Stosunkowo dużo miejsca w przemówieniu p. Becka tym razem znalazła Hiszpania, zagadnienie jednak bez wieści Czechosłowacja. Obszernie były potraktowane stosunki z naszym sąsiadem zachodnim, Niemcami. Minister Beck mówił o tym sporo, a jednak są tam bardzo poważne niedociągnięcia lub przemilczenia. Żywo występują, gdy porównać je z ustępami, dotyczącymi sąsiada ze Wschodu.

I tak MSZ. natychmiast zareagowało na „wystąpienie jednego z mówców na 8-mym zjeździe Sowietów, którego słowa miały rzekomo zawierać groźbę w stosunku do zachodnich sąsiadów Związku”. Zaniepokojenie nie niewątpliwie słuszne — mimo, że te słowa nie odnosiły się bezpośrednio do Polski. Załować jedynie możemy, że nie wiemy, jak MSZ. zareagowało na słowa p. Schachta, które mówiły o ekspansji Niemiec na Wschód i dotyczyły Polski bezpośrednio.

Nie wiemy również z przemówienia p. Becka, czy i co zrobiono w

sprawie ludności polskiej w Niemczech. Stosunki polsko-niemieckie układają się, według słów p. Becka, przyjaźnie. Być może. Tylko nam jednak zrozumieć, czemu należy przypisać fakt, że właśnie na dwa dni przed exposé p. Becka jeden z Polaków na Śląsku polskim skazany został wyrokiem sądownym za działalność społeczną polską, przy czym w motywacji roku skazującego wyraźnie określono, że oskarżony „nie tylko syna, ale i dla syna” — „niezależnie od stosunków państwowych”. Jak może wyglądać negocjacje prowadzone są w zgodną i rozwijają się pomyślnie. To prawda, a jednak stanowią one niebezpieczeństwo dla ludności polskiej w Gdańsku i w innych miejscach. Czy niedociągnięcia w mowie p. ministra Becka, których nasuwa się znacznie więcej, będą podjęte przez członków komisji spraw zagranicznych, o tym przekonana nas dzisiejsza dyskusja nad jego exposé.

# Przeciwko kłamstwu i znowie milczenia faszystowskiej prasy

Słusznie pisze o tym dwutygodnik „Epoka”:

„Kłamstwo i ukrywanie prawdy — oto środki w walce o bezprawie. Dla tego to w Polsce nie wiele wiemy o tym, co dzieje się w Rumunii, bo przemilcza się walkę, którą toczy w kraju o prawo — partia narodowoczechosłowacka. Nie wiemy o tym, że jeden z najwybitniejszych polityków rumuńskich Maniu, b. premier nie brat u dziadła w obchodzie rocznicy zjednoczenia Rumunii. Nie wiemy o tym, że w obu izbach rumuńskich rozległy się groźne ostrzeżenia pod adresem rządu uprawiającego wewnątrz flirt z antysemityzmem, a na zewnątrz z amory z hitlerowskimi Niemcami.

Nie wiemy, pomimo zdawkowych frazesów o sympatii i przyjaźni, o tym, jak naród węgierski likwiduje dziedzictwo swojego zmarłego dyktatora Gömbbs'a, używając przy tym wszystkich możliwych wyborów, do źródeł prawa i wolności. Decyzja taka zapadła już na naradzie przedstawicieli stronniczo z udziałem premiera Daranyi innych członków rządu. Ta-

kie wiadomości są skrajnie ukrywane przez t. zw. prasę informacyjną zarówno jak to wszystko, co świadczy o wyraźnym udziale rządu niemieckiego w wojnie w Hiszpanii.

Pisma angielskie jak „Daily Telegraph”, „Daily Herald” podają do wiadomości i szczegółowe relacje o tym skąd, kiedy i ilu żołnierzy niemieckich wysłano do Hiszpanii.

Np. w Essen dn. 21 listopada wzywano kawalerzystów, oddział karabinów maszynowych i czołgów, aby zgłaszali się na ochotnika do Hiszpanii. Gdy z 1700 zgłosiło się zaledwie 14, władze wyższe same wyznaczyły „ochotników”, 85 z obsługi czołgów, 70 jeźdźców i 40 z obsługi karabinów maszynowych.

Takie same zaciągi „ochotników” odbyły się w Kassel, w Getyndze i w całym szeregu miast i miasteczek niemieckich. Nie ukrywają już przecież nawet korespondenci „narodowych” pism, że swastyka hitlerowska aż kłuje w oczy na całym terytorium ogarniętym przez armię gen. Franco’.



# Przed Kongresem Stronnictwa Ludowego

Jeden z czołowych przywódców Stronnictwa Ludowego nadesłał nam artykuł, napisany w formie pytań i odpowiedzi. Artykuł ten wzbudził niewątpliwie wielkie zainteresowanie, ze względu na zbliżający się Kongres Stronnictwa.

Redakcja.

Jakie są najbliższe zamierzenia ruchu ludowego; które z zadań chłopskich wysuwa się teraz na czoło przy mobilizacji mas chłopskich?

Nadzwyczajny Kongres Str. Ludowego, który zbierze się w styczniu, powinien dać zasadnicze wytyczne dla ruchu ludowego. Nie przesądzać wyników obrad, stwierdzić trzeba, że zwolniony on został w okresie skoncentrowanego ataku na ruch ludowy, w okresie przesładowań, nieznanymi szkodliwymi opiniami publicznej z powodów od nas niezależnych... Nie zachwiał się jednak szeregi chłopskie (Str. Lud. i młodzież „Wiciowa”).

Jeżeli chodzi o hasła, wieś żyje uchwałami wyjątkowo politycznymi powziętymi przez kilka milionów chłopów w Nowosielcach, na święcie ludowym, w dn. 15 sierpnia.

Jako pierwszy punkt wysunęto tam zadanie:

„KONSTYTUCJI OPARTEJ NA PODSTAWACH DEMOKRATYCZNYCH”,

a następnie: „USUNIĘCIE SYSTEMU SANACYJNEGO, A UJĘCIE STERU SPRAW PAŃSTWA PRZEZ RZĄD ZAUFANIA MAS LUDOWYCH”.

Nie znaczy to, aby ruch ludowy odsuwał sprawy gospodarcze. Katastrofalny jest stan wsi: wartość pożywienia dziennego chłopca według obliczeń inż. Czuyłka wynosi tylko 22 grosze (bodaj poniżej norm więziennych), około 6 milionów chłopów nie ma właściwie co robić na wsi, głód ziemi i straszliwe jej rozdrobnienie gwałtownie postępuje. Postawiono jednak sprawę zasadniczo, uważając, że dopiero zmiany polityczne mogą dać przebudowę i odrodzenie gospodarce.

Czy możliwe jest przejście do demokratycznych rządów, na które będą mieli rzeczywisty wpływ chłopcy, jeżeli utrzymana zostanie obowiązująca konstytucja?

Jak się ustosunkowuje ruch ludowy do ewentualnych ponownych wyborów do Sejmu, jeżeli odbyć by się miały nie na podstawie pięcioprzymiotnikowej ordynacji wyborczej?

Tak, jak do obecnego Sejmu. Boj kot. Uważam zresztą, że sama sprawa ordynacji wyborczej jest drugorzędna.

Przecież przy tej konstytucji i systemie rządzenia znaczenie Sejmu jest tak minimalne... Str. Ludowe wysyłając doń nawet najlepszych swych ludzi musiłoby narazić ich wysiłki na bezpodobieństwo, z góry zrezygnować nie tylko z realizacji swych zamierzeń, ale nawet ze skutecznej obrony chłopów przed wszechwładną biurokracją.

Czy prawdą jest, że istnieje jakieś porozumienie Str. Lud. w ramach t. zw. Frontu Morges?

Porozumienie takie nie istnieje. Oświadczyło to publicznie Str. Ludowe. Także wyjaśnienia dała naszym władzom partyjnym osoba, której przypisywano zawarcie tego porozumienia.

Przy tej sposobności zaznaczyć, że ludzie skupiający się przy piśmie „Odnowa”, organie tak zw. Frontu Morges, są zdecydowanie antysanacyjni. Mimo, że jest to grupa umiarkowana społecznie i wysuwa najczęściej hasło powołania rządu zaufania ogólnonarodowego, co nie jest zgodne z interesami wsi, — w dzisiejszych czasach dekadencji inteligencji, obniżenia poziomu moralnego, wysuwania się regimów owi lub też budowania faszyzmowi — ten rodzaj inteligencji wzbudza szacunek.

Jaką politykę zagraniczną uprawiałoby Str. Ludowe?

Zdecydowanie pokojową. Taką, jakiej wymaga interes Państwa i mas chłopskich, które największe ponoszą w wojnie ofiary krwi i mienia. Rzeczywisty pokój zapewnić może tylko silny związek tych, którzy wojny nie chcą i przeciwstawiają się faszystowskim magicielem. Zalecamy dziś neutral-

ności rozzuchwala tylko napastnika, nawet wprost zachęca do ataku na upatrzone ofiary, aby z kolei „neutralny” i osamotniony łatwiej został zgnieciony. Polska z racji swego położenia może siebie i świat ustrzec od wojny, musi jednak ZDECYDOWANIE I SZCZĘKŁE stanąć w szeregach państw pokojowych, w pierwszym rzędzie z Francją i Czechosłowacją.

Jakie powinny być wzajemne stosunki ludności wsi i miast?

Mówiąc o miastach, mam na myśli świat robotniczy. Między wsią i miastem nagromadziło się sporo niechęci i nieporozumień. Sprawili to częściowo doktryny ruchu robotniczego, system kapitalistyczny, odmienność bytowania, no i wysiłki wrogów Polski Ludowej, którzy w porozumieniu chłopów i robotników widzieli koniec swego panowania.

Świat robotniczy uważał np. chłopca za „młodszego brata”, któremu winien przewodzić (dyktatura proletariatu).

Ostatnie lata wiele zmieniły na lepsze. Chłop umiał wzbudzić u robotnika szacunek i uznanie za leżny moralną i walkę o Polskę Ludową. Zacierają się również zadrażnienia gospodarcze. Jest w świecie dużo zrozumienia dla krzywdy, jaka wsi się dzieje w ramach kapitalistycznego ustroju. Na wsi natomiast rośnie pęd do przebudowy gospodarczej, oparcia się na spółdzielczości, wyrugowania pośrednictwa, które, jak nigdzie bodaj na świecie, podraża produkty rolne, za które rolnik nie raz dostaje niższe własnych kosztów. Wreszcie ostatnio chłopcy i robotnicy nie tylko wspólnie występowali, ale wzajemnie nieśli sobie pomoc w chwilach ciężkich (Lwów, Kraków — Łapanów).

To może najmocniej spaja. Dziś przez wieś idzie hasło: chłopcy i robotnicy muszą zgodnie podjąć wielki wysiłek.

Polskę przebudować do gruntu, uczynić ją szczerze ludową.

K. B.



## Baronowie węglowi rujną i niszczą bogactwa Polski (Z cyklu: „Polskich dwieście rodzin”) Baronowie węglowi rujną uzbrojenie techniczne górnictwa

STAN TECHNICZNY GÓRNIC-TWA — SPRAWĄ CAŁEGO SPOŁECZEŃSTWA!

Pod jednym względem mówią prawdę prasowi najemnicy baronów węglowych: w wysokim stanie technicznym, w doskonałości urządzeń technicznych górnictwa (jak i w ogóle przemysłu) jest zainteresowane całe społeczeństwo. Wielcy twórcy ideologii świata pracy nauczyli nas śledzić jak najpilniej rozwój techniki, rozwój sił produkcyjnych kraju. Wyższa, doskonalsza technika oznacza możliwość lepszego zaspokojenia potrzeb całego społeczeństwa (choć zbrodnicza polityka magnatów przemysłu często uniemożliwia a zawsze utrudnia i pomniejsza wykorzystanie tych potrzeb). Po drugiej: technika, urządzenia produkcyjne pozostają, trwają bez względu na właścicieli. Dawno nie będzie już w Polsce Schneiderów, Donnersmarcków, Biedermanów i Holyńskich, a jeszcze na „Juliuszu” czy „Ferdynandzie” pracować będą polscy górnicy, wydobywając węgiel dla Warszawy i Łodzi.

Świat pracy wie, że do niego należy przyszłość i jest zainteresowany w tym, by w tę przyszłość pójść możliwie najlepiej uzbrojonym technicznie. Świat pracy musi się więc interesować stanem technicznym kopalń, w jakich pracuje tak wielki jego odłam, kopalń, które stanowią będąc jedną z najcenniejszych skarbów przyszłej Polski Pracujących.

Może pod tym względem przynajmniej baronowie węglowi odgrywają rolę postępową? Mamy o tym doskonałe świadectwo: wyniki ankiety technicznej organizacji polskiego ciężkiego przemysłu, zebrane i wydrukowane we własnym organie baronów węglowych „Prze-gładzie Górnico - Hutniczym” przez inż. Blitkę. I co mówią nam te wyniki?

GDY CAŁY ŚWIAT IDZIE NA-PRZÓD, GÓRNICZTWO POLSKIE COFA SIĘ.

Jak we wszystkich gałęziach przemysłu, tak i w górnictwie węglowym, odbywa się na całym świecie proces szybkiej racjonalizacji technicznej. Nawet znane ze swego „konserwatyzmu” górnictwo angielskie w ostatnich dziesięciu latach zmieniło do niepoznania swe uzbrojenie techniczne. Stary obraz górnika, młotkiem i kilofem wyrębiającego bryły węgla, w większości kopalń europejskich należy już do przeszłości, podobnie jak małownice, górnicze wózki do przewozu węgla i ty-

le innych urządzeń z dawnych czasów eksploacyjnej (badawczej), które nie przetrwały lat.

A u nas? Trzeba stwierdzić, że górnictwo nasze za ostatnich dwadzieścia nie tylko nie postąpiło, ale wręcz odwróciło się technicznie. Za chodnio - europejskiej górnictwa z drobnymi wiatkami — przetrzymujemy tylko jedną jedyną — stare, brudne naganianie robotników, wyzyskiwanie zeń wszelkich sił. Polscy rekordy wydobywania — 1000 ton wyl. — nie rekordy żywej siły ludzkiej, wynik wytężonej pracy górnika. Pod względem technicznym górnictwo nie można stwierdzić szybkiego postępu mechanizacji, raczej pewne cofanie się... To stwierdzenie nie pochodzi z ust jednego „agitatora wyrotowca”, znajdujemy je za podpisem urzędnika naszych „królów” węgla, inż. Blitki, w ich własnym „Prze-gładzie Górnico - Hutniczym”.

I cofanie to dotyczy nie tylko takich dziedzin, gdzie (jak np. przy ciężkich węgłarkach) zastosowanie mechanizacji jest w warunkach polskiego górnictwa sprzeczne wśród samych fachowców. Dotyczy to dziedzin takich, jak gospodarka energetyczna, transport czy sortowanie, gdzie zastosowanie mechanizacji może w wysokim stopniu użyć pracy górnika, obniżyć koszty produkcji, podnieść zdolność wydobywczą górnictwa. Dotyczy to takich dziedzin, jak roboty przygotowawcze i badania

Było w kopalniach w roku: 1931 1936  
odstaw linowych (w metrach) 203,360 36,753  
rynien (w metrach) 145,112 67,311  
haspłi (sztuk) 3,711 2,388

Te liczby mówią o zupełnym upadku mechanizacji transportu w kopalniach, o dochodzącym do

50% wyniszczeniu uzbrojenia technicznego transportu kopalnianego! Ed. Roman.

Wyciągi z czasów Mierosławskiego. Weźmy gospodarkę transportową. Wiadomo: górnicy do pracy musi iść, z pracy musi wychodzić, w miastach musi być wydzielony na powierzchni. Wszystkie to — prace wyciągów. Jak wydają one w naszych kopalniach? Na 152 maszyn wyciągowych o znanym nam wieku, miało więcej niż 50 lat — 11 wyciągów, od 40 — 50 lat — 11 wyciągów.

W kopalniach naszych pracują jeszcze wyciągi z czasów powstania styczniowego! Wieszono je do Polski, być może, wraz z karabinami dla żołnierzy Mierosławskiego i Langiewicza. Czy nie czas by je, tak jak tamte karabiny, umieścić w muzeum?

Inny dział transportu: odwózka węgla. „Dziedzina odwozu, która jest szalenie uważana za właściwą domenę mechanizacji, nie wykazuje w ostatnich latach żadnego postępu pod względem mechanizacyjnym”.

Inż. Blitek na łamach przemysłowego organu wyraża się ostrożnie. Gdyby chciał powiedzieć prawdę, musiałby powiedzieć wykazuje katastrofalny upadek.

Bo oto jego własne liczby:

Wyciągi z czasów Mierosławskiego. Wyciągi z czasów Mierosławskiego. Wyciągi z czasów Mierosławskiego.

Ed. Roman.

## Duża rozpiętość cen artykułów spożywczych w kraju

Najdroższym miastem w Polsce pod względem aprowizacji są Katowice. W pierwszych dniach grudnia ceny kształtowały się następująco: chleb żytni w Kałowicach kosztował 33 gr., mleko 26 gr., mięso wołowe 1.45 zł. Najniższe ceny tych samych produktów były: w Częstochowie chleb żytni 28 gr., w Lublinie mleko 15 gr., w Wilnie mięso wołowe 1.45 zł.

## Głód w Niemczech

Jak podaje „Kurier Warszawski”, w ostatnich dniach w Niemczech zaczęły się ujawniać trudności w dziedzinie aprowizacji zbożem i mąką. Istnieją poważne obawy, że zapas nie starczy na pokrycie potrzeb do końca roku gospodarczego, to jest do nowych zbiorów, tak, iż wyłania się po-

trzeba zwiększenia importu zboża z zagranicy. Wskutek tego Niemcy zwiększyły już podobno swe zamówienia pszenicy w Nowym Jorku z czterech milionów buszli na 36 i pół miliona buszli. W ostatnich dniach odczuwać się daje dotkliwy brak masy i jej w handlu.

„Cz, co przywykli w swoich rachubach politycznych uwzględniać jedynie dyktatorów, marszałków, generałów oraz ich siły policyjne i wojskowe, skłonni są i obecnie wypadki w Chinach ujmować jedynie pod tym kątem: jeden marszałek Czang - Sue - Liang powstał przeciw drugiemu marszałkowi Czang - Kai - Szekowi i wziął go pod klucz, żeby zas objaśnić skąd się wzięła na ich szachownicy ta nowa figura — marszałek Czang - Sue - Liang — czynią zeń pionka „w ręku Moskwy”. Dojrzejający z dnia na dzień w Chinach olbrzymi wstrząs polityczny i społeczny przypisują działalność „agentów Kominternu”. Nie rozumieją, że to największy z narodów świata dźwiga się nareszcie z hańbiącego upadku.

A przecież nawet wśród burżuazyjnych dziennikarzy — zwłaszcza wśród korespondentów gazet angielskich i amerykańskich — są tacy, co od dawna odkryli prawdziwe Chiny. Jeden z nich pisał niedawno, że „w Chinach wszystko co nie jest rządowe — jest „czerwone”. „Czerwone” to wcale nie znaczy komunistyczne. „Czer-

wone” to znaczy tam antyimperialistyczne, antyjapońskie, wrogi polityce kapitulacji wobec Japonii i systemowi krwawego terroru wobec mas ludowych, czyli polityce Czang - Kai - Szeka. „Czerwone” to znaczy przeciwne uznawaniu coraz nowych, coraz dalszych rozbiorów Chin. „Czerwone” to znaczy tam niepodległościowe. „Czerwone” to znaczy tam, podobnie jak w Hiszpanii i nie tylko w Hiszpanii, prawdziwe, a nie obłudnie narodowe.

Dlaczego dążenia do niepodległości i zjednoczenia Chin w ich granicach narodowych ukazują się tam, jako „czerwone”? Aby to zrozumieć, trzeba sobie uprzytomnić, że w szeregu bogatych prowincji, obsadzonych przez chińską „armię czerwoną” utrzymują się rządy t. zw. rad chińskich. Hasłem tych rad jest od dawna walka z wszelkim imperializmem i w szczególności „wojna narodowa” z najazdem japońskim. I do niedawna jedynie w tych prowincjach, nie podlegających dyktaturze Czang-Kai-Szeka, wolno było głosić o twarcie hasła antyjapońskie, antyimperialistyczne, niepodległościowe. W Chinach zaś Czang-Kai-Szeka propagowanie tych hasel było przesładowane, jako komunizm, lub „komunizowanie” i niepodległościowcy szli pod miecz katowski. Pomimo krwawych przesładowań, ruch niepodległościowy, antyjapoński oddawna rósł i potęgował także w Chinach Czang-Kai-Szeka. Od czasu zajęcia przez Japonię czterech północnych prowincji przybrał rozmiary żywiołowego poruszenia mas, łamiącego wszystkie zapory. Podstawa społeczna dyktatury Czang-Kai-Szeka zgwałtała się nieustannie. Prócz niezbyt sprawnego aparatu biurokratycznego i wojskowego mógł on już liczyć tylko na poparcie ginącej kasty chińskich obywateli — półfeudatów, półchłwiarzy — i t. zw. „kompradorskiej” burżuazji miast portowych, zainteresowanej w zyskach imperialistycznych rabusiów, bankierów i koncesjonariuszy.

Zadanie zjednoczenia Chin i zaobronienia ich niepodległości — sprawa gorząca od czasu najazdu japońskiego nad wszystkimi innymi — wymaga rozwiązania dwóch zagadnień: przywrócenia jednoci państwowej z całym Chinami i odzyskania terytoriów, okupowanych przez Japonię. Jako dalsze, kolejne, dziś jeszcze nieaktualne zagadnienie stoi sprawa likwidacji imperialistycznych koncesyj terytorialnych w miastach chińskich i związanych z nimi przywilejów.

Program „narodowy” Czang-Kai-Szeka sprowadzał się do odzyskania „czerwonych” Chin siłą zbrojną. Odwrotną stroną tego programu była polityka kapitulacji wobec Japonii. Czang - Kai-Szek obiecywał przeciwstawić się Japonii po dokonaniu podboju czerwonych prowincji. Lecz ta część jego programu nie doczekała się urzeczywistnienia. Siedem „wypraw krzyżowych” przeciw niezależnym od Czang-Kai-Szeka prowincjom spełniło na niczym. Z programu Czang-Kai-Szeka pozostała jedynie bierność wobec coraz głębszych zaborów japońskich.

Po niepowodzeniach wojskowych Czang-Kai-Szek został także politycznie pobity przez przeciwników. Mianowicie rząd niezależnych od dyktatora prowincji wysunął już blisko rok temu swój program zjednoczenia Chin, przeciwstawny programowi Czang-Kai-Szeka. Komuniści chińscy oświadczyli, że gotowi są sami likwidować odrębność czerwonych prowincji i połączyć swoją armię czerwoną z pozostałymi siłami zbrojnymi Chin pod warunkiem likwidowania dyktatury Czang-Kai-Szeka, przywrócenia pierwotnego demokratycznego programu Kuomintangu (chińskiej partii ludowej), wyłonienia demokratycznego rządu „obrony narodowej” i podjęcia wojny na śmierć i życie przeciw najazdowi japońskiemu.

Ten właśnie program zespole-

nie narodowego zaczął potężnie oddziaływać poprzez wszystkie kordony i zapory. W końcu maja r. b. powstał ogólnochiński Związek Obrony Ojczyzny na konferencji w Szanghaju, obestanej przez największe ośrodki i najbardziej masowe organizacje całych Chin (por. art. p. t. „Chiny mobilizują się do obrony” „Dz. Pop.” nr. 54). Sam fakt, że podobna konferencja mogła się odbyć w Szanghaju pod dyktaturą Czang-Kai-Szeka, świadczy jak dalece żywiołowe poruszenie mas rozsadziło już spoidła tej dyktatury. Hasła niepodległościowe i antyjapońskie, wysunięte przez tę konferencję, zostały już w połowie czerwca r. b. podchwyczone przez część armii w prowincji Fu-Kien. Czerwocwo powstałe wojskowe w Fu-Kien, którego jądrem była 19-ta armia, wstawiona w swoim czasie walką z desantem japońskim w Czepei — chińskiej dzielnicy Szanghaju — wystał pod hasłem „armii dla obrony przed Japonią i ocalenia ojczyzny”.

Wówczas jeszcze Czang-Kai-Szek opowiadał sytuację. Lecz było to już zwycięstwo bez jutra. Obecnie, wojska posłane przez Czang - Kai - Szeka do prowincji Sze - Si (sąsiadującej z prowincjami okupowanymi przez Japonię) zamiast zwrócić się, stosownie do rozkazu frontem przeciw „czerwonym”, a tyłem do Japończyków — aresztują Czang-Kai-Szeka i przedstawiają rządowi nankińskiemu znane już nam z depeesz żądania.

Możliwość porozumienia się żywiołów demokratycznych Kuomintangu z komunistami na platformie niepodległościowej i demokratycznej, a nawet możliwości przyłączenia komunistów z powrotem do Kuomintangu wynika stąd, że komuniści chińscy bynajmniej nie wprowadzają w opianowanych przez siebie prowincjach ustroju komunistycznego, czy socjalistycznego.

Uważają oni, że warunki społeczno-gospodarcze Chin nie dojrzały jeszcze do takiej przebudowy społecznej. Poprzestają więc na gruntownej rewolucji demokratyczno-agrarnej, zniesieniu specyficznie chińskiego feudalizmu i przekazaniu ziemi chłopom. Chodzi więc o zrealizowanie pierwotnego programu Kuomintangu, nakreślonego przez jego założyciela Sun-Jai-Sena, a zdradzonego przez Czang-Kai-Szeka.

Osobistość marszałka Czang-Sue-Liang (jak wszystkich innych marszałków i generałów) nie wzbudza zbyt wielkiego zaufania. Lecz nie ulega wątpliwości, że żądania powstańców w Sze-Si odpowiadają dziś nastrojom olbrzymiej masy ludności i armii. Marszałkowie i generałowie mogą się dostosowywać do sytuacji, lecz nie oni już o niej decydują. Wystąpienie Czang-Sue-Liang może się okazać tylko incydentem. Lecz platforma zjednoczenia narodowego Chin, wyrażająca wolę rozbudzonych mas obywateli narodu, już istnieje i pozostanie faktem historycznym pierwszorzędного znaczenia.

Trzy tygodnie upłynęły zaledwie od ogłoszenia układu niemiecko - japońskiego w celu „walki z komunizmem”. Narod chiński zrozumiał układ ten jako zapowiedź dalszych zamachów na jego całość i niepodległość. Japońskie armie ekspedycyjne nauczyły się tak właśnie, a nie inaczej rozumieć istotny sens „walki z komunizmem”. Wiadomość o układzie niemlecko-japońskim wywołała wzburzenie w Chinach i przyspieszyła dojrzejający od dawna kryzys polityczny.

Wbrew gadkom o wszechpotężnej rękono roli „agentów Kominternu”, najsukuteczniej na walki o wyzwolenie Chin pracował właśnie imperializm japoński. Siła wiatr — będzie zbierał burzę.

K. JANKOWSKI

**Bronimy pokoju**



T. ELFTERWALDE

Tłumaczone z niemieckiego

## GŁODÓWKI

Obóz koncentracyjny w Moringen. Za odmowę tłuczenia kamieni, a praca ta była wykonywana w najcięższych warunkach, ukarano pięciu towarzyszy ciemnicą. Dręczyło nas pytanie: jak pomóc tym pięciu towarzyszom? Gdy ciemnica znaczyła: chleb z wodą i zupełna ciemność; spanie na gołej podłodze w kajdanach, a więc bezsenność — tortura.

„Głodówka“! powiedział nam jeden towarzysz podczas pracy przy tłuczeniu kamieni. Gdyśmy powrócili z pracy, oboczyli nas pozostali towarzysze. „Głodówka“! W baraku Nr. 11 przewidywano ostatnie wątpliwości. W barakach Nr. 12 i Nr. 16 również postanowiono rozpocząć głodówkę, a wtedy i nasz barak uchwalili przyłączyć się do tej akcji.

Stary nadzorca dawno oszpecił kolację, a że nikt z nas nie zjawiał się w kuchni, aby zabrać jedzenie, kucharki same przynieśli kocioł do baraku. Po pół godzinie zabrali nierużone jedzenie z powrotem. Na ich twarzach widać było zdziwienie i niepokój.

Dziś rano szurmowice widzieliśmy w sali, gdy się świąt, gdyż powiedział: „Kto teraz nie je kolację, ten później nie dostanie! W tym trzech z nas ruszyło do kuchni, za nimi poszli jeszcze trzej za chwilę jeszcze pięciu i w końcu znowu czterech. Mar twa cisza zapanaowała na sali; ci pierwsi salami się nim jeszcze walczyć rozpoczęła. Z pół godziny 550 więźniów odpadło 48. Gdy o 15 powrócili do naszej sali, nikt na nich nie spojrział, nikt do nich słowa nie przemówił, nie istnieć więcej dla nas. Jeden z nich płakał, inni przyklękali na swoich siennikach.

Zawołano na apel. Szurmowice, którzy nas brzyli, trzymali rewolwery w rękach.

Do późnej nocy szeptem dyskutowano w baraku. Wydawano wskazówki, rozporządzenia.

Rano podczas apelu starszy szurmowice zapowiedział, że najmniejsza nieposłuszeństwo karane będzie śmiercią. Jednakże wyruszyliśmy do pracy. Szurmowice zawołał: „Kto chce jeść — wystąpi!“

Wystąpiło 13-tu, a więc dwóch z wczorajszych 15-tu pozostało z nami. Nigdy nie widziałem tak szczęśliwych twarzy, jak u tych dwóch ludzi, którzy pozostali z nami.

Punkt o 12-iej otworzyli się drzwi i ukazał się w nich dowódca obozu, komendant, lekarz, szurmowice i kucharz. W wypadku ukazania się dowódcy obozu na sali, pierwszy więzień, któryby go zobaczył, obowiązany był zakomenderować „Baczność!“ Tym razem nikt nie wykonał regulaminu. Komendant krzyknął „Baczność!“, ale nikt nie powstał. „Wróć!“ zawołał po chwili komendant i dalej ciągnął: „Co was skłoniło do tego, ażeby rozpocząć tak nierozważną akcję?“ Otoczyliśmy ich kółem i starosta baraku przedstawił nasze żądania: natychmiastowe uwolnienie pięciu towarzyszy z ciemnicy; lepsze jedzenie i dodatki tłuszczowe dla ciężko pracujących; kontrola więźniów nad kuchnią; zakaz tortur; przynajmniej raz na tydzień zmiana bielizny; zapłata za pracę; natychmiastowe rozpatrzenie żądań i skarg.

Komendant na to odpowiedział: „Czas pertraktacji minął. Wstrzymujcie pomoc lekarską. Za wasze życie nikt nie ponosi odpowiedzialności.

Rozkazując wam przerwać głodówkę“.

Pozostało nam wytrwać.

Nazajutrz padły pierwsze ofiary. Trzej towarzysze nie powstałi rano z sienników, nie mieli dość sił do utrzymania się na nogach. Koło południa runęło na podłogę jeszcze pięciu. Obok mnie siedział towarzysz, który powoli przechylił się i upadł na podłogę. Ułożyliśmy ich wszystkich na brudnej, zdeptanej podłodze. Ponieważ pomoc lekarska została wstrzymana, nie zanosiliśmy ich do izby chorych. Samiśmy się nimi opiekowaliśmy. Mogliśmy im tylko podawać wodę do picia i dodawać otuchy.

Po południu wroczyli na salę szurmowice. Podeszli do dwóch towarzyszy. Po czterech przytrzymał każdego z nich, a jeden się otwierał im usta i wprowadzał gumową rurkę do żołądka w celu sztucznego karmienia. Obydwaj towarzysze zwinęli się do przodu, a jeden z nich przegryzł rurkę zębami.

Trzeci dzień był najgorszy. Uczucie głodu stało się bolesne i męczące. Żołądek stał się piekącym raną. Przy najmniejszym wysiłku całe ciało pokrywało się zimnym potem. Nikt nie miał już sił przejść przez salę. Głośnie rozmowy ustaly. Wargi poruszały się szeptem. W szafie, na lewo od drzwi przechowywaliśmy własną żywność, przysyłałą nam z domu. Obecnie zamknięta była na klucz. Klucz był w kieszeni starosty baraku i nikt z nas nie zażądał od starosty, aby wydał mu coś do jedzenia. Jednakże kilku najsłabszych towarzyszy zaraz na samym początku zwolniliśmy od głodówki. Przyjmując pożywienie, mogli swobodnie poruszać się po obozie. Zależało nam na tym, aby wiedzieć, co się dzieje w innych barakach, i ewentualnie który z towarzyszy się zalał.

Na czwarty dzień dowództwo obozu zmieniło swą taktykę. Ustaliśmy krzyki bitych towarzyszy. W południe kucharki przynieśli na salę dwa kubki cudownie pachnącej gro-

chówki. Takiego jedzenia jeszcze tu nie widzieliśmy. Wszyscy czolgają się do tych kubków. Żołądek spazmatycznie woła: jeść! jeść! Niektórzy towarzysze płaczą. Resztkami sił odciągamy ich od tych kubków z jedzeniem i układamy na siennikach. Również do baraków Nr. 12 i Nr. 16 zamiesiono kubki z grochówką. Czy wytrzymają tamci towarzysze?

W tym — cóż to — czy halucynacje? Nie, to rzeczywistość! Z baraku Nr. 12 rozlega się śpiew. Podchwytujemy śpiew. Omdlał towarzysz dźwigający się z sienników. Stu dziesięciu ludzi stoją z rękoma w kieszeniach i śpiewają, śpiewają, śpiewają pieśń wyzwolenia. Oczy błyszcą, czoła moją od potu, pieśń się rozlega.

Drzwi otwierają się jakby je chciało wywołać. Ukazują się lufy rewolwerów. Koło dwudziestu szurmowców wpada na salę z rewolwerami w rękach. „Milczeć! Zaprzestać!“ Wiedzieliśmy, że tym razem gotowi są nas zabić.

Powoli wraca spokój. Pod wieczór

zajężdżają ciężarówkami. Przywieźli nowe więźniów. Umieścili ich w baraku Nr. 10 razem z tymi, którzy do akcji nie przystąpili. Tego samego wieczoru dowiedzieliśmy się, że nowi towarzysze przyłączyli się do naszej akcji. To nam dodało nowych sił. Solidarność!

Nazajutrz rano dowództwo obozu zawiadomiło nas, że zostaliśmy pozabawieni wody. A więc i pragnienia nie będziemy mogli ugasić. To nie dobrze, gdyż tyk wody przytępiła poniekąd uczucie głodu.

„Ale apatia jest tak wielka, że nikt się tym nie przejmuję.

„Będzie co oświeca“

Otrzymujemy radosną wiadomość.

Mianowicie, że dowództwo obozu odstąpiło grochówkę, której myśmy nie tknęli, do kuchni dla bezrobotnych w Moringen. Ale bezrobotni dowiedzieli się, skąd ta grochówka została dostarczona i odmówili przyjęcia jej. Dowiedzieliśmy się również od towarzysza, który był zwolniony od głodówki, a który podsłuchiwał w kuchni

że w Hannoverze i Braunschweigu zostały rozrzucone ulotki o naszej głodówce. Towarzysz ten wrzucił nam so swój gryps, w którym pisał, że towarzysze w pojedynczych celach również głodują, że w mieście kobiety napastują policję, że wieść o naszej głodówce została przesłana do Holandii. Zdziwiająco było, ile sił dodała nam ta wiadomość. Wytrwać, wytrwać do końca.

Piąty dzień. Wszyscy są u kresu sił. Nikt z nas nie jest w stanie utrzymać się na nogach. Szurmowicy i gestapowcy przechodzą do ataku. Gumowymi pałkami tłuką nas leżących na podłodze. Nikt nie krzyczy, znośmy uderzenia pałkami i kopanie bez słowa. Jeden tylko z nas na wpół głośno wymawia: świąt!

Po południu przyszedł szurmowice i wywołał starostę. Po godzinie starosta wraca, podtrzymuje go szurmowice. Szurmowice woła: „Dowództwo proponuje pertraktację ze starostą, czy zgadzacie się na to?“ Zgadamy się.

Główne żądania zostały wygrane. Zwolnienie z ciemnicy. Dodatki tłuszczowe. Raz na tydzień zmiana bielizny.

A więc znowu będziemy jeść! Ale powiadamy: jeżeli mamy zacząć jeść, to tylko razem z towarzyszami, którzy siedzą w ciemnicy!

Po upływie pół godziny tych pięciu towarzyszy przywołano na salę. Blade zapadłe twarze, chwiejcie się na nogach.

Cale nasze osłabienie, zmęczenie, apatia — wszystko, jakby ręką odjął. Rzucamy się na tych pięciu towarzyszy, ściskamy ich, całujemy z radością. Jednakże za chwilę wraca słabość i musimy przynajmniej usiąść.

Wnoszą grypsik na mleku, cięższego jedzenia nie znieśliśmy.

Od 18 — 23-go lipca trwała głodówka przeszło 500 więźniów w obozie koncentracyjnym w Moringen. Była to pierwsza większa akcja protestacyjna przeciwko nazistycznemu terrorowi.

## Gdyby Don Kichot zmartwychwstał

w 1936 roku

Czym jest książka, o której tak czule pamięta lud hiszpański, że w momencie największej i najkrwawszej swej walki, gdy brak chleba i kul, — wywołał jej oryginał z pietyzmem z Madrytu, aby nie zniszczała od bomb, miotanych przez faszystów?

Jakie więzy duchowego pokrewieństwa łączą dzisiejszych obrońców Madrytu i młodej Republiki hiszpańskiej — z błędnym rycerzem z la Manczy?

Niezapomniany twór szesnastego stulecia, — nie tknięty rdzą wieków — dla myśli mieszczańskiej, dla jej egocentrycznego indywidualizmu — był tylko oderwanym symbolem gnębięonego ducha ludzkiego, który rozpaczał i samotnie walczył przeciw otaczającej go, koszarnej rzeczywistości i marzeniami bezradnie ulatuje w lepszy, nieziszczalny świat.

Dla nas, myślących kategoriami materializmu szeregowego, ma on inne znaczenie.

Czemu ten rycerz ascetyczny i wzniosły, o szaleńczej odwadze i bezgranicznej ofiarności, którego boli każda krzywda i oburza każda — nawet urojona niesprawiedliwość, — budzi w nas śmiech — gorzki i niewesoły?

Sprawia to jaskrawa dysproporcja pomiędzy jego zamierzeniami, możliwościami — a światem rzeczywistym. Oto człowiek, czczący najwymyślniejszym narkotykiem — zakłamaną literaturą rycerskich romansów, nieaktualną już za czasów Cervantesa, odpowiadającą przebrzmiałym stosunkom społecznym, ale nadal trzymającą duszę na uwierzy.

Literatura taka, jak i u nas służka klasy panującej, stworzona jest poto, aby usypiać ludzi marzeniami, odrywać ich wzrok od ziemi; wznosić ku niebu w oczekiwaniu cudu.

„Zakłamanymi dziejopisowicami“, którzy Cervantes radzi „palić na sto sie“, razem z fałszerzami monci“ sprawili, że rewolucyjny temperament Don Kichota, „odpływa ściekami błędnego rycerstwa“. I oto ten przedstawiciel szaraczkowej, ubogiej szlachty, należący społecznie „do niezdolowanych“ — zamiast walczyć przeciw prawdziwej krzywdzie — stacza boje z symbolicznymi wiatrakami, albn na drewnianym koniu ulatuje w przestworza.

Cervantes, pisarz z plebsu, który całe życie spędził bądź w nędzy, bądź w więzieniach, w konfliktach z władzą, — Cervantes, który wie, że „wolność jest skarbem większym nad bogactwa i zaszczyty“ — staje przy uźdźcie wychudłego rumaka — Rosynanta — i z przenikliwym uśmiechem gorzkości mówi do nas: „Siądź, czytelniku, po-

prowadzę cię po drogach i ścieżkach pięknej, bogatej Hiszpanii, pokażę ci, jak pod pałacym słoncem lud krwawo się poci, trzymający w ryzach pańskiego, księstwa, wyzysku chłosta, ka-

wieźniów królewskich zapytuje ze zdumieniem: „Czyżby król mógł zadawać komuś gwałt?“

I szuka Cervantes po wszystkich drogach — jednej drogi wy-

motny indywidualizm, — lecz mąsowość, nie anarchiczne porwy — lecz dyscyplina, nie marzenia, lecz czyn solidarny.

Gdyby po wiekach wstał Don Kichot z zapadłej swej mogiły na cmentarzu wiejskiej prowincji Manczy — czyż można wątpić, przeciw komu i w czyjej obronie skierowałaby się jego wódcznia.

Symboliczny płomień, wzniecony

przez faszystów — padalaczy świata, w którym zniszczono na rynku berlińskim największe dzieła literatury — i czuła opieka walczącego ludu hiszpańskiego nad zabytkami kultury — wskazują nam raz jeszcze dobitnie i jasno, że lud pracujący świata jest jedynym spadkobiercą i obrońcą kultury ludzkości.

Mar Br.



MILICJANCI RATUJĄ DZIEŁA SZTUKI

torzniczymi kajdanami, czarcią ciemnotą. — Pokażę ci hulanki, to wy i krotocwile feudalnych pańków, pokażę księży gnuśnych i rozpusztych, sędziów stronniczych, wladców przedajnych, puszczających się przed wielmożą, okrutnych dla niższego“.

A potem osadza autor prostaczka Sancho-Pansę na namiestnikowskim tronie i wskazuje, że tylko ten, co o swym chłopskim pochodzeniu pamięta, potrafi sądzić i rządzić sprawiedliwie.

Lecz jak przebudować ten gmach ponury od podstaw aż do szczytu? Cervantes wie, — nie operetkową wódcznią indywidualnego porywu rozwalić można grubo, mroczny cień rzucające mury. I dlatego tak gorzko sztydzi z zamroczonego swego marzyciela, który widząc zakutych w kajdany

widzi w ludzie co prawda zdrowe jądro, ale „w czerepie rubasznym“, nie widzi w nim samodzielnej siły, zdolnej zbudować przyszłość, co zresztą można całkowicie wytlomaczyć stosunkami, panującymi w tej epoce.

I dlatego Don Kichot tak przykro i beznadziejnie trzeźwieje, godząc się z rzeczywistością pod koniec książki — i umiera w tym właśnie momencie, kiedy mógłby rozpocząć nowe, twórcze, pozytywne życie. Albowiem autor nie potrafił popchnąć go na tę drogę, której sam nie znał.

Trzeba było całych czterech wieków i morza przelanej krwi, — aby lud hiszpański, w bohaterskiej walce przeciwko staremu feudalizmowi i nowemu faszyzmowi — dał odpowiedź na pytanie, dręczące Cervantesa. Ze — nie sa-

## Nowe książki

Helena Boguszewska i Jerzy Kornacki: „POLONEZ“, tom I. „NOUS, PARISIENS“. Powieść. Nakładem Naszej Księgarni, 1936. Str. 244.

Polonez, jest to narodowy taniec polski, którego nie tańczył nigdy żaden chłop, ani robotnik, ani przeciętny inteligent polski. Więc chyba trzeba przypomnieć czytelnikowi, na czym ten narodowy taniec polega. Oto, na poważnym pochodzie fabule, par, wykonywujących różne zwroty — raz w lewo, raz w prawo, — raz w prawo, raz w lewo — pod przewodnictwem jednej pary. Prawda, że to bardzo znajome? Narodowe, nie narodowe, ale jest w tym coś swojskiego.

Istotnie, z pierwszym już stronic powieści wieje zapachem. Jesteśmy w poradni „Tebedesu“, Towarzystwa Badania Działań Społecznych, którego prezesem jest pułkownik. Jesteśmy w atmosferze wojsko - filantropijnego - statystycznego działania; w siedzibie komitetów rządowo - społecznych, w ideowej wylęgarni sanacji; w latach „terenowej“. I powoli, ostrożnie, wprowadza ją nas autorzy za kulis. Cieszymy się na widowisko. Będzie to przedstawię „rzeczywistej rzeczywistości“ społecznej. Nareszcie!

Obraz nie jest jeszcze odsłonięty. Pierwszy tom jest tylko wstępem. Drugi tom zapowiadane cyklu ma tytuł niemiecki „Deutsches Heim“, (Niemiecki dom, niemieckie gniazdo, ognisko, — widocznie w przeciwstawieniu do tomu pierwszego, którego tytuł znaczy „My, Paryżanie“). Trzeci tom będzie się nazywał „Święcona Kreda“, czwarty — „Dziki Książ“.

## Nieudana dywersja

Literatura jest siostrą polityki. Nie ma więc w tym żadnego przypadku, że większość młodych pisarzy chłopskich grupuje się tam, gdzie większość świadomej chłopskiej młodzieży — przy „Wiciach“, na demokratycznej jedności, organizatorzy „Siewu Młodej Wsi“ powiadają sobie: dlaczego pisarze nie mają przestąpić naszych niewprawiających progów? I zwołali konferencję pisarzy chłopskich w lokalu Stowarzyszenia Kółek Rolniczych.

Ale i sama część pierwsza tego cyklu jest całym obrazem, skończonym. Jest jak tunel, z którego wyjrzymy na świat, który nas zbliża do tego świata. I uchyla rąbka podszewki o tyle, o ile pozwala poznać nam wierzch. Robota zaś kompozycyjna jest tak misterna, że — czekając na ciąg dalszy — z prawdziwą przyjemnością czytamy książkę dwa razy. Pierwsze czytanie odkrywało fabułę, drugie dopiero odkrywa treść. Dużo bowiem jest wątków, jest kilka supełków; dobrze jest, że możemy spokojnie pomyśleć o szczegółach.

Pomysłowość psychologiczna Boguszewskiej i plastyczność Kornackiego uzupełniają się wzajemnie, zaciebiają się, walczą o lepsze. Boguszewska jest specjalistką od montowania postaci; stopniowo, subtelnie wnika w człowieka, odsłania go, rozkłada mechanizm przeżyć, nigdy nie tracąc z oczu, że przeżycia a uczucia, to dwie różne płaszczyzny. Zastęga zaś Kornackiego, zdaje się, jest wypukłość, dotykalskość postaci, nieomylnie ich umiejscowienie w przestrzeni. Autorzy przy tym całkowicie panują nad materiałem.

Cygnalizujemy pierwszy tom „Poloneza“ jako doskonałą lekturę, pełną niespodzianek. Z sympatią i zainteresowaniem śledzić będziemy rozwój cyklu. I wrodymy mu powodzenie.

ADAM TARN

Do poprzedniej recenzji o książce Iwaszkiewicza wkładam się pomyłka, wypaczająca sens zdania: zamiast Iwaszkiewicz jest pisarzem społecznym — powinno być *aspolecznym*.

# literatura ■ plastyka ■ teatr ■ muzyka ■ film

## Wasył Stefanyk 14.V.1871 — 7.XII.1936

Odszedł na zawsze jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy ukraińskich, którego nazwisko nie jest obce polskiemu społeczeństwu. Zmarł pisarz wielkiej miary, po śmierci Iwana Franki jedyny z galicyjskich, którego imię weszło do najpiękniejszych kart kultury czterdzieści milionów narodu.

Pochodził z rodziny chłopskiej na Pokuciu. Już w gimnazjum bierze czynny udział w walce o narodowe i społeczne prawa swego ludu, za co też zostaje wydalony ze szkoły. Swe polityczne oblicze kształtuje pod wpływem postępowych i demokratycznych idei, jakie nurtowały podówczas najlepszą część inteligencji ukraińskiej, pozostającej pod urokiem potężnej indywidualności pisarza, naukowca i społecznika — Iwana Franki.

Idee wolności i demokracji, których rzecznikiem w społeczeństwie ukraińskim Galicji był przez pewien czas wschodnio-ukraiński uczyony i publicysta M. Drahomanow, znalazły żywy oddźwięk w masach ukraińskich, poniewieranych i wyzyskiwanych przez rząd, szlachtę i szybko rozwijającą się burżuazję. W miarę wzrostu proletariatu przemysłowego docierają tu i nabierają rozpędu hasła socjalizmu naukowego, powstaje partia socjal-demokratyczna.

Podczas gdy Franko był piewcą niedoli i walki proletariatu ukraińskiego, Stefanyk pisał o chłopach.

W 1899 roku ukazał się pierwszy tomik jego nowel „Niebieska książeczka”, dzieło pisarza dojrzałego. W rok później wychodzi z druku następny tomik „Kryż kamienny”, w 1901 roku „Droga”, a w 1905 „Moje słowo”. Potem zamilkł i dopiero wojna światowa, z jej barbarzyństwem, pobudza pisarza do zabrania głosu, dając początek drugiemu i ostatniemu okresowi jego twórczości.

Ostatnie lata W. Stefanyk, nekany choroba spędził w swej rodzinnej wiosce Rusowie pod Sniatynem.

Potworne warunki bytowania chłopów ukraińskiego, upakowanego na każdym kroku, duszącego się w kleszczach nędzy — jego wzloty i upad-

ki — oto ogólne tło dzieł Stefanyka. Chłop jego, pozbawiony kłamliwych akcesoriów, nadawanych mu przed tym przez obłudnych idealizatorów, żyje, cierpi i walczy, pełen żywiołowej siły i poczucia ludzkiej godności.

Ostatnia pieśń Stefanyka „Synowie”, to szczyt artyzmu i płomienny protest przeciwko szaleństwu światowej imperialistycznej rzezi. W żadnym innym swoim utworze nie przejawiał się z taką siłą i namietnością — jak tu — wielki artysta i Człowiek.

W. Stefanyk lwiał część swego życia spędził w oderwaniu od burzliwego strumienia życia społecznego na wsi i to prawdopodobnie nie pozwoliło mu uniknąć pewnego mistycyzmu, występującego szczególnie jaszkrawo w stosunku pisarza do ziemi.

Studiując medycynę na uniwersytecie krakowskim, Stefanyk zetknął się z Wyspiańskim, Rydlem i Przybyszewskim, a pierwsze jego nowele ukazały się na łamach krakowskiego „Życia”. Nie ulega wątpliwości, iż „Młoda Polska” miała znaczny wpływ na rozwój twórczości Stefanyka.

Dzieła jego dotarły do najdalszych zakątków ziemi ukraińskiej, osiągając szczególnie wysoki nakład na Ukrainie Sowieckiej. Siłą swego talentu stał się Stefanyk pisarzem wszechukraińskim.

Ze śmiercią jego poniósł naród ukraiński ciężką stratę. Swoim życiem zamknął całą epokę rozwoju swego narodu. Dziś, kiedy nad jego bliższą przyszłością zawiał mrok obecny i rodzący wstępnictwa, strata ta jest podwójnie bolesna; dla ukraińców i dla ludu polskiego, gdyż wspólna niedola rodzi wspólne interesy i cele. Zgasł artysta, którego twórczość zasięgiem swoim przekroczyła granice jego narodu.

Płomienny trybun ludowy porwał masy chłopskie do walki o prawo do życia; dziś masy te i ukraińskie i polskie, walczą o nie z podwójną siłą i stanowczością.

Dlatego demokracja polska pochyla swe sztandary nad mogiłą Wasyła Stefanyka.

M. Z.

## Jan Śpiewak Powrót na Powiśle

STANISŁAW R. DOBROWOLSKI: *Powrót na Powiśle*. Poemat. Bibl. „Okolice Postów”. Warszawa, 1935. Księgarnia Hoesicka.

Po paruletnich poszukiwaniach, po chwilowym uleganiu wpływowi Norwida, St. R. Dobrowolski odnalazł swój własny wyraz w poemacie p. t. „Powrót na Powiśle”. Na tle anemicznej poezji proletariackiej, na tle wyraźnie zaznaczającej się ostatnio w poezji dążności do epiki, jest to bezsprzecznie pozycja wybitna. Zamierzając stworzyć poemat, w którym by osobiste przeżycia w miarę dojrzwania ideologii społecznej, urastały do skali zagadnienia zbiorowego, poeta spróbował je zobiektywizować. Stąd też i kompozycja utworu. Od lirycznego punktu wyjścia ku epickim perspektywom. Wychodząc ze zwłownych wspomnień dzieciństwa, poeta urealnia coraz bardziej opis Powiśla, ażeby w końcowych rozdziałach wprowadzić świadomie i konsekwentnie motyw społeczny: tłum i rewolucję 1905 roku. Poemat ten, pomimo pozorów, jest dość jednolity. Tworząc, musiał autor stale widzieć przed sobą swój temat i dlatego tak konsekwentnie rozwijają się metafory. Nie spotkałem ani jednej metafory, która by organicznie nie wpływała z tematu.

Dwa pierwiastki, liryczny i epicki, rozwijając się od początku, wskazują na stały rozwój ideologiczny pisarza, zaszczepiając się, tworząc jednolitość wizji poetyckiej. Formalnie zaznacza się to odmienną budową, a więc — zmodernizowaną tercyną i trzynastozgłoskowicą o jednolitym toku.

Już epicki prolog wskazuje na walkę z marzeniami młodości, „Siedlerki” — to jeszcze młodość, „przez kraje Reida, Maya, Coopera i Verne’go”, dlatego też Wisła to „puszcza mohikańska”. Fragment II epicki, to Wisła andrusów, bezstronnych obszarpańców i tylko w pójncie dys-

kretnie zaznacza się smutek i zapowiedź burzy. „Mroki” — to stylizacja banalnych pojęć o przedmieściu, które tonie „w mroku alkoholu”, gdzie „czerniakowski anielec luteiczne sny”. W trzecim fragmencie poetyckim potęguje się tendencja, poeta wyzbywa się lumpenproletariackiego nastroju i marzeń wyidealizowanego dzieciństwa. Podąża więc tam, gdzie nędza, gdzie „gra Powiśle hukłiem prac szczura - człowieka”, a więc jeszcze człowieka nieokreślonego bliżej, którego jednakże chce po znać. Następuje piękna „Ballada kowal” tym ciekawsza, że załamują się w niej dwa światy: marzeń i rzeczywistości. Dlatego kowal jest niesamowity, jakiś murzyn w „papierach iskieł”. IV-ty fragment epicki utrzymany jest w tonie spokojnym, zmienia się tylko pointa „z dała jak żóraw wbiły w bruk drzemie stojkowy”, jest to dalsze urealnienie tematu, staje się on jak gdyby zapowiedzią przyszłych wypadków. „Wisła — stał” to burza w przyrodzie, a gdy w V-tych fragmentach epickim nastąpi opis nocy, nie będzie to koszmarny, tylko konspiracyjny. W „stopie” opisać autor wiec fabryczny o wyraźnie zaznaczonej się ideologii „Gdy chudy w sztylpach pod wiatr licytował... poprzez krew... Polska... w wolnej Warszawie... (wtedy) ...Nagle z ciżby wychynał ktoś na wieżach i na odlew: Dokąd — Po fantom! Bo gdy świt się nad Wisłą zabieli, to sprzedacie nas znów fabrykantom. Dlatego zrozumiałym staje się pod względem kompozycyjnym fragment IV-ty epicki. Opis demonstracji, to jak gdyby opis nowodół, to dalszy ciąg burzy na Powiśle. Powolny i epicki tok wiersza, konkretizacja obrazów w opisie poszczególnych ludzi i ich zawodów, umiejętność operowanie barwą i kolorem sprawia, że wrażenie, jakie odnosi czytelnik jest niezwykle sugestywne. Urwana w połowie pieśń Warszawy jest zręcznym nawiązaniem do poprzedniego fragmentu i do następ-

Władysław Broniewski

## Do przyjaciół poetów

*Mato nas,  
a odnajdujemy się w tłumie,  
złączeni krokiem żelaznym,  
złączeni pieśnią żelazną, —  
my,  
podpalacze serc,  
dynamitardzi sumień,  
recydywiści marzeń,  
gniewu i entuzjazmu.*

*Słowem nagiem i skutem  
jak Prometeusz na skale,  
świecimy nieustraszeni  
otchłaniami czasów pogardy.  
Przyjdzie dzień,  
przyjdzie dzień,  
i radośnie będziemy podpalać  
Cóż że knebel zatyka usta  
i kolano dławi na gardle?*

*W blasku dni które idą  
nasze słowa staną jak wojsko.  
Trzeba dziś je uzbroid,  
jutro — dać im wielkość i stawę  
by się prawem stały i siłą,  
ponad ziemię, Europą, Polską,  
trwalsze od tablic Rzymu,  
wyższe niż Wawel.*

Franciszek Parecki

## Z poematu „Floryan Geyer” Kotłyszanka

*Uśnij maty niemiecki chłopcze,  
wieczór schodzi z błękitnych wzgórz.  
Silny z ciebie wyrośnię chłop, czy  
robotnik. Otwórz piąstki. Spij już.*

*W mgłę majaczy frankońska jura,  
w wodospady opada stok,  
drzewa proste, jak krucze pióra,  
mroku borów nie zgłębi wzrok.*

*Dudnią młyny na skalnym żlebie,  
wartki potok przyska o głaz,  
skryje, synku, i mnie i ciebie  
od złych ludzi staruszek las.*

*U stóp góry w tęgu doliny  
opatrzone wachtami wież  
żyje obóz koncentracyjny,  
zły, ciernisty, kolczasty zwierz*

*Uśnij maty, nie przyjdzie zwierzę.  
Najpiękniejsze imię masz — Karl,  
tak, jak Marks, jak Liebknecht i wierzę,  
że ich pamięć zachowasz, jak skarb.*

*Ciężka droga zawsze ku górze;  
ojciec w walce ulicznej padł,  
zawisł dziać na katowskim sznurze,  
pod Madrytem walczył twój brat.*

*Ciężkie niebo nad twą ojczyzną:  
gwiazd gwóźdźmi podkuty buć.  
Aż kul echa po górach bryzną,  
ruszy z wiosną lawinę lud.*

*Uśnij maty, zrozumiesz prędko  
gestwę groźnych, niezwykłych spraw.  
Lesie — dziadku, sękatą ręką  
kotłysz dziecie, by rośło, sprawi!*

*Nad górami księżyc polyska  
(światłem w grudy po bródził gruni,  
jak ogromna srebrna kotłyszka  
w ciszy kosmiczny kotłysz bunt.*

*Przyjdzie jeszcze nie raz umierać  
i powstawać i wstać w mił,  
aż znów zastęp Floriana Geyera  
wstanie walczyć z nocą o świt.*

## NA GWIAZDKĘ

tylko praktyczne podarki

- PANTOFLE ciepłe damskie . . . . . zł. 3<sup>.-</sup>
- KALOSZE męskie . . . . . 3<sup>.-</sup>
- DESZCZOWCE . . . . . 4<sup>.-</sup>
- ŚNIEGOWCE . . . . . 5<sup>.-</sup>

Nadto olbrzymi wybór, aż do ...

### GWIAZDKOWE PODARKI

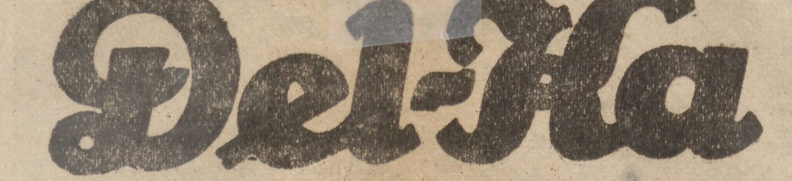
- reklamowy komplet damskich ... specjalnym opakowaniu
- 1 para jedwab. północzek ... 1-a gat. ... zł. 4<sup>90</sup>
  - 1 ... północzek marcco ... zł. 4<sup>90</sup>

### GWIAZDKOWE PODARKI

- reklamowy komplet męskich skarpetek w specjalnym opakowaniu
- 2 pary skarpetek florumy ... 1-a gat. ... zł. 4<sup>50</sup>
  - 1 para ... czarnych ... zł. 4<sup>50</sup>
  - 1 ... ciepłych marengo ... zł. 4<sup>50</sup>

### DZIECIĘCE PÓNCZOSZKI MACCO

miękkie i miłe w noszeniu . . . . . zł. 1<sup>20</sup>, 1- i 80 gr.



Warszawa, Marszałkowska 142.

## Odpowiedzi Działu Literackiego

J. Kir., Droid, „Bunny”, „Łodzianin”, N. N., A. Weredyk, „Szydło”, Stan. Sz., Stan. Li., O. Nir., Ikswalim Gam., Br. Kam. — Kraków, J. War. K. Lew., Z. L. J., Miecz. Ow., Marian Sm., Br. Koło, Edw. L. Warszawa, Ryś — Warszawa, H. K., Fr. Bert., J. H. G., Ad. D. Czortków, M. B. — Warszawa, J. B. — Sosnowiec — nie wydrukujemy.

SOS, Al. Sien., M. Sch., Artur W., Fr. Bert., — wierszy nie wydrukujemy.

Z. F. Warszawa — Banalne słowo.

tego, który maluje szarzę kozaków na tłum, a co więcej tłumaczy ironiczno pesymistyczny epilog. Tak więc pomimo pozorów poemat skomponowany jest dobrze. Kompozycja jego przypomina poniekąd „Testament Villona”, gdzie również występuje pozor na fragmentaryczność, przeplatane osobistych i opisowych elementów, ballady i pieśni, zwłaszcza, że wpływ tegoż autora w poprzednim tomie Dobrowolskiego dawał się wyraźnie odczuć.

Radość w domu...  
**RADIO NATAWIS**  
ZŁOTY MEDAL NA W.M.E.L.1936  
Sprzedaż w sklepie fabrycznym Marszałkowska 141 oraz w firmach: „Res” Mazowiecka 1, Polskie Elektro-Radio Targowa 69

## RECENZJE FILMOWE

### „Papa się żeni”, Reż. M. Waszyński — Kino Pan

Sztuczka „Papa się żeni” była niewątpliwie ozdobą repertuaru teatru Letniego, co można łatwo sprawdzić wedle raportów kasowych. Oczywiście, ten właśnie wzgląd zdecydował o sfilmowaniu uciechnej krotkoczwili („krotoczwila” — co za niezrównoważony termin!) notabene jednej z najbardziej płaskich w niebardzo imponującym dorobku mistrza Rapackiego. Realizacji filmowej dokonano z godnym podziwu pietyzmem. Po prostu przeniesiono żywcem na ekran wszystkie sytuacje sceniczne, nie bardzo nawet odstępując od klasycznej klanonu jedności miejsca. Sędziwe dowcipuski i emerytowane sytuacje farsowe uzupełniono kilkoma kinowymi gagami w tymże wieku. Do prawdy, należałoby sobie życzyć, żeby z dziełami Stefana Żeromskiego obchodzono się przy filmowej przeróbce równie starannie!

Wykonawcy dostosowali się oczywiście do poziomu sztuki i wymagań realizacji. Fertner raz jeszcze dał niezrównany koncert swoich gierek i kawałków, które przez długie lata ścigały publiczność do budy w ogrodzie Saskim. Grabowski również zaprodukował się w powszechnie znanym repertuarze. Sielański ditto. Jedną Mira Zimińska zdołała stworzyć typ prawdziwie komediowy, co jest zasługą nie tyle Rapackiego i reżysera, ile jej wspaniałego talentu. Filmowa kariera pani Lidii Wysokiej jest nieporozumieniem, które trzeba jak najprędzej zlikwidować. Każdy, kto widział tę obiecującą aktorkę w teatrze, zrozumie z pewnością, że obiektyw wyrządza jej niezastępowalną krzywdę. Jadzia Andrzejewska nie nadaje się do ról groteskowych.

Ten film jest z wielu względów dla produkcji polskiej typowy. Obrzydliwa rutyna reżyserska, humor wulgarny i płytki, śmiech wymuszony na widzu terrorem.

(Joss).

**FIRANKI** siatki, tiule w wielkim wyborze. Ceny niskie  
poleca firma **SZ. CH. RYGIER** 5-to Jerska 21  
II-i dom od Nalewek

Przed sądem nieostatecznym

Bładoniebieski ptaszek czyli tajemnica umeblowanych pokoi

Pan Jakób W. wychowywał się na filmach kryminalnych i na „Tajnym Detektywie”. Prześniął więc ich idealami. Po nocach śnił mu się, że jest niebieskim ptakiem w jakimś Londynie lub w Monte Carlo. Naciąga milionerki i hrabiny na miliony. Wykrada się nocą z wylotnych hoteli na Riwiere i pędzi skradzionym autem do Hiszpanii. Oczywiście przed wojną domową. Ale cóż? To były tylko dobre chęci. Bo cóż tu robić w rodzinnym Białymstoku. Naciągnie się paru kupców i kilka dziewcz. I na tym koniec. Bo ilu kupców i dziewcząt w Białymstoku? Na robili więc pan Jakób długów ile się dało i wiele na uczciwe pożegnanie przystało i przyjechał do Warszawy. Do „Bristolu” nie zjechał, bo się na dworcach rozmyślił i postanowił zacząć od detalu. Zjechał więc do pokoiw umeblowanych na Leszno.

Mieszkał tam przez pewien czas, i znów jak w tym Białymstoku naciągał okolicznych kupców i współlokatorów, ale to wszystko to była robota detaliczna. Nie posiadał widocznie w sobie błękitnej krwi niebieskich ptaków. Był hochsztaplerem na miarę serc służebnych. Na miarę Jadwigi Smosarskiej. Dlatego też wy dostał on od służącej, zajętej w tych pokojach umeblowanych, że uskładała ona sobie w przeciągu długiej harówki lat, sumę sześciuset złotych. To był jej majątek, to jej cała nadzieja, to plan dotychczasowego życia

Ujął się więc pan Jakób jej krzywdy, że to niby dewaluacja grozi (a było to jeszcze przed wprowadzeniem ograniczeń dewizowych), że jak to można krew swoją w niepewnych banknotach, że... i oto wyjechałszy do worka, kupi jej złote dolary.

Właż, dorę, ale dolarów nie kupował, bo to dziś nie chciał jej narazić na niekorzystne kupno, jutro znów widziało mu się, że pojutrze... jej okazynie i tak co dzień inaczej. Pięknego dnia znikł zupełnie, oczywiście nawalając komorne. Dzięki przypadkowi udało się pannie Rajzli, służącej, odnaleźć dzentelmeńskiego pana Jakóba. Pieniądzy jednak już nie było, wpadły dosłownie w studnię Jakóba. I oto toczy się proces. Pan Jakób, który już w międzyczasie nabrał wielkiej skich manier, powoływał coraz nowych odległych świadków, żeby tylko proces przeciągnąć.

Bowiem pannę R. zabierają krewni do Palestyny. A że też i dwaj świadkowie oskarżenia są w trakcie wyjazdu do Australii, groziło panu Kubusiowi uniewinnienie. Przeworny adwokat poszkodowanej wniósł jednak o przesłuchanie świadków w trybie zabezpieczającym. Zachodzi więc nadzieja, że danem będzie panu Jakóbowi W. z Białegostoku edukować się w swoim kunszcie w cisy więziennej celi. A może wyrosnie z niego jeszcze jakiś rodzimy Stawiski.

STACH.

Nagwiazdkę

TELEFUNKEN KOSMOS PHILIPS THOMSON ECHO Poleca na najdogodniejszych warunkach... FACHOWA OBSŁUGA Naprawy Zamiana

WIADOMOŚCI RADIOWE

SONATA H-moll LISZTA W WYK. WOYTOWICZA. Wybitny kompozytor i pianista, Bolesław Woytowicz, wystąpi w Polskim Radio jutro o godz. 21.30. Tym razem artysta wykona w recitalu jeden tylko utwór — Sonatę h-moll Liszta. O niej to pisze Wagner w liście do kompozytora: „Sonata jest piękna ponad wszelkie wyobrażenie; potężna, pełna wdzięku, głęboka i szlachetna — podniosła”.

KRUKOWSKI i SZCZEPAŃSKA W KONCERCIE ROZRYWKOWYM P. R. Dn. 21 b. m. o godz. 17 organizuje Polskie Radio rozrywkowy koncert, który urozmaici tym razem występ Lucyny Szczepańskiej, Wawy, Kazimierza Krukowskiego, Aleksandra Wasieła, oraz chóru Wiehlera. Mała orkiestra Polskiego Radia pod dyrekcją Zdzisława Górzyńskiego przygotowała szereg melodii przebojowych. W przerwie około godz. 17.55 nastąpi ogłoszenie wyniku konkursu orkiestr mandolinistów oraz przyznanie upominków radiosłuchaczom.

OGŁOSZENIA DROBNE

KUPNO-SPRZEDAŻ

FUTRA NAJNOWSZE damskie, męskie, długoterminowe spłaty. „Neo-Hermine”, Aleje Jerozolimskie 41, pierwsze piętro, wprost Dworca. Telefon 8-92-87. 331

Księgi buchalteryjne, dzienniki amerykańskie, segregatory, skoroszyty, kalendarze poleca najtaniej „Mercury”, Sienkiewicza 4. 415

Tomany, tapczany higieniczne, kozetki, materace. Chłodna 23 Żelazna 70. 328

Philipsa radioaparaty do 15 miesięcy. „Echo” bez zaliczek, sieciowe, baterijne. Gramofony, płyty. Elektryczna. Nowy - Świat 28. 9:3

Radio-Salon Młodowolski Leszno 12 Philips Kosmos i inne demonstracje. Raty od zł 11.— dzwonić 11-85-26

RADIO odborniki „Telefunken”, „Kosmos”, „Echo”. Gramofony, płyty. 48 rat, najtaniej, Herenton, Zabia 4.

WYKAZ

Spodnie specjalista. Gotowe, zamówienia. Kostiumy narciarskie, wiatrówki w różnych gatunkach — szorach. Robota gwarantowana. Najtaniej. Kachen, Karmelicka 5; Tel. 11-85-61. 312

Stara garderobę zamieniamy na pierwszorzędne materiały bielskie „POLTEX” Nowy Świat 37-46. Tel. 632-13. 370.

Zamieniamy użytą męską garderobę na najmodniejsze, najlepsze materiały Bielskie „ALBEWA”. Nie cała 6 (podwórce). Telefon 509-42.

Czytajcie DZIENNIK POPULARNY

OGŁOSZENIA LEKARSKIE

Zakład Lekarsko-Dentystyczny FREJDKINA SZPITALNA 5, tel. 534-62

z dnem 15 grudnia czynny od 8-iej do 20-tej. Dział chirurgiczno-dentystyczny pod kierunkiem lekarza specjalisty. Ceramika nowoczesna. Pracownikom umysłowym — ustępstwa.

D-r BRAMS weneryzuje skórę piciową. Przyjmuje w swojej lecznicy Nowy Świat 46 m. 22. 8 r.—8 w. 171

LECZNICA wyłącznie dla REUMATYKÓW i ARTRETYKÓW 221 czynna od 10-1 i 4-7 WIERZBOWA 11

Przychodnia specjalna dla chorych PŁUCA I SERCE Senatorska 28/30. Kąpiel. Odma sztuczna. Przepalanie zrostów opłucnowych. Porada wraz z prześwietlaniem. Wznowienie na miasto. Telefon 5-93-33. 121

Dr. med. J. GELBISZ WENERYZUJE, PŁCIOWE. Żłota 27. 3-9 w. Ordynacka 9. Lecznica, 12-6 i 8-9 w. 370

ŻYCIE STOLICY

WARSZAWA W ŚWIĘTA Ponieważ w r. b. przypadają trzy kolejne dni świąt, poczta dołoży starań, aby przesyłki doręczały w miarę możliwości regularnie. W czwartek, dn. 24 b. m., to znaczy w Wigilię świąt Bożego Narodzenia, korespondencja będzie doręczana dwukrotnie. Wszystkie urzędy pocztowe czynne będą do godz. 17-ej. W piątek, dn. 25 i w sobotę dn. 26-go, urzędy pocztowe będą nieczynne. Korespondencja pośpieszana i przesyłki żywnościowe doręczane będą bez przerwy. W niedzielę dn. 27-go korespondencja dostarczona będzie raz tylko, a urzędy główne czynne będą od 9 — 11-ej.

NOWY PODZIAŁ SĄDÓW GRODZKICH

Od Nowego Roku nastąpi nowy podział oddziałów sądu grodzkiego w Warszawie, co stanowić ma etap przygotowawczy do przyszłej przeprowadzki i zainstalowania tych sądów w gmachu przy ul. Leszno.

Zarządzona ostatnio zmiana polegać będzie na połączeniu oddziałów cywilnych, które mieścić się będą odąd przy ul. Długiej 50, 3 i 4-te piętro, oraz na nowej numeracji. Sąd kryminalny pozostaje w swych siedzibach. Sąd grodzki będzie miał 15 oddziałów, w tym 10 karnych o numeracji: 2, 3, 6, 9, 10 (dawny 18-ty przy ul. Przechodniej 8), 11 (dawny 10-ty przy ul. Żłotej 30), 12, 13, 14 i 15 (dawny 22 przy ul. Brukowej 2); dalej dwa oddziały cywilne spraw spornych, o numeracji 1 (dawne 5 i 8) oraz 5 (dawne 4, 24 i 25), oddział cywilny do spraw niespornych o numeracji 4 (ul. Długa 25), oddział do załatwiania spraw pomocy prawnej, o numeracji 7 (dawny 20 przy ul. Miodowej 21) i oddział egzekucyjny o numeracji 8.

Jednocześnie określono kompetencje przedmiotowe i terenowe sądu grodzkiego według nowego podziału. Prezydium tego sądu mieści się nadal przy ul. Długiej 50.

50. Sprawy karne nieletnich przekazano oddziałowi 9, przy ul. Nowy Świat 16.

Jednocześnie nastąpi zasadnicza zmiana w podziale rewirów egzekucyjnych komorników stołecznych, których liczba ulegnie zmniejszeniu z 38 do 35. Do kompetencji komorników warszawskich przyłączone będą także sprawy dłużników, mieszkających w podwarszawskich gminach Skorosze i w Wilanowie.

O WYGODĘ W BIBLIOTECE PUBLICZNEJ

Lokal Biblioteki Publicznej na Koszykowej jest już za ciasny. W godzinach popołudniowych sale są przepelnione. Z biblioteki korzysta przeważnie młodzież akademicka. Niezbędne jest rozszerzenie biblioteki. Sprawa ta zajmie się zarząd miasta, który jest administratorem fundacji Kierbedziów. Zarząd zajmie się sprawą powiększenia sali i organizacją wydawania książek. Obecnie bowiem książki wydawane są na ogólnej sali, co wytwarza hałas, przeszkadzający w nauce.

ŚWIATŁO NA SASKIEJ KĘPIE

Dotychczas Saska Kępa nie była dostatecznie oświetlona. Dzięki staraniom Tow. Przyjaciół Saskiej Kępy, Gocławia i Kamionka, rozpoczęto w tych dniach ustawianie lamp elektrycznych na ul. Paryskiej i Wersalskiej. Najważniejszą arterią komunikacyjną na Saskiej Kępie będzie więc w najbliższym czasie oświetlona.

ZAWIADOMIENIE

Meble pochodzące z zamiany starych na nowe firmy: Radelicki N. Świat 30 wyprzedają za bezcen. Kredensy od 40 zł, stoły od 25 zł, krzesła od 4 zł, materace od 40 zł, szafy, biura, biblioteki, saloniki. Koszykowa 67. RADELICKI Kolorowa 67. Nowych: N. Świat 30

DOLE I DOLE

ZAGINĘŁY TRZY OSOBY

Dnia 11 b. m. wyszła z domu 15-letnia Maria Cudkówna, (Świeża 4) i zaginęła. Rysopis: wzrost średni, włosy ciemno-blond, oczy szare, ubrana w palto czarne.

Dnia 15 b. m. wyszedł z domu i zaginął 15-letni Ryszard Krauze, (Pańska 100a). Rysopis: szczupły, twarz okrągła, szatyn, w czarnym garniturze, płaszczu granatowym i czapce czarnej.

Stanisław Kowalczyk, zdun, dn. 15 b. m. wyszedł z domu (Puławska 122) i nie wrócił. Rysopis: wzrost średni, blondyn, dobrej tuższy.

UJĘCIE ZŁODZIEJA KOLEJOWEGO

Na stacji towarowej Warszawa Wschodnia strażnik kolejowy Stanisław Brzozowski przychwycił złodzieja, Franciszka Butowskiego. Brzozowski stwierdził, że złodziej zamierzał wyrzucić z wagonu dwie skrzynki z artykułami chemicznymi. Butowskiego oddano w ręce policji. (k).

Młode mężatki pamiętajcie!!! aby mieć czysto i spokój w domu. Używajcie nowości w kraju Płyn C. K. (Cztery Korony) Do bielenia bielizny, do mycia podłóg, waniek, ubikacji, dezynfekowania i t. p. Koszt groszowy. Do nabycia we wszystkich składach aptecznych, drogeriach, perfumeriach i mydlarniach.

Zbliża się Gwiazdka!

Pamiętaj, że dając swej żonie na Gwiazdkę żelazko elektryczne dajesz Jej wymarzony prezent.

HELWECJA Królewska 18 CZEKOLADA BISZKOPTY Na święta specjalność MARMELADA czysto-owocowa

Z Hiszpanii

Nowy korpus morderców

KAIR (PAT). W Maroku hiszpańskim organizuje się nowy korpus z tubylców i ochotników zarówno cudzoziemców, jak i Hiszpanów. Jako nową zasadę, przyjęto, że Berberowie będą służyli w jednych oddziałach z europejczykami. Instruktorami są prawie wyłącznie cudzoziemcy, bowiem

wszyscy zdolni do walki oficerowie i podoficerowie Hiszpanie, znajdujący się na froncie. Korpus liczy ok. 16.000 żołnierzy i będzie całkowicie zmotoryzowany. Pierwsze jego transporty mają odejść do Hiszpanii w końcu grudnia lub w początku stycznia.

Postówie Izby Gmin na froncie madryckim

TALAVERA. PAT. Niezależni postówie angielskiej Izby Gmin, bawiący obecnie na froncie madryckim, zwiedzili w piątek Naval Carnero, wieczorem zaś odjechali do Toledo, skąd dziś udadzą się

do Seville. Byli oni już w Burgos i Salamance. W czasie swej podróży podejmowali oni byli przez wyższych funkcjonariuszy rządu powstanczego.

Ścisła współpraca i wzajemne zrozumienie

KAIR. PAT. Z Tangeru donoszą: Pomiędzy rządem włoskim a rządem gen. Franco toczy się wymiana zdań w sprawie uzgodnienia reform politycznych w północno-afrykańskich prowincjach. Pierwotny projekt nowego statutu dla Marokka hiszpańskiego był w głównych zarysach omówiony przez rząd gen. Franco z przedstawicielami Marokańczyków, ale zupełnie niezależnie od wszelkich względów na okoliczności między narodowe. Uznanie przez Włochy rządu gen. Franco opiera się na zasadzie ścisłej współpracy w base-

nie śródziemnomorskim i stąd wynika dla rządu gen. Franco konieczność zrewidowania niektórych dawniejszych poczynań i zamiarów. Nic istotnego z przewidzianą dla Marokka autonomii nie stanie cofnięte, ale przy ustalaniu zewnętrznych form prawodawcy będą mieli na względzie ogólne pragnienie utrzymania spokoju w całej północnej Afryce. Rokowania ze zwierzchnictwem religijnym marokańskim prowadzone są nadal w warunkach pełnego wzajemnego zrozumienia.

W Chinach jeszcze trzy dni spokoju

SZANGHAJ. (PAT). Z dobrego źródła donoszą, że komisja wojskowa postanowiła przedłużyć o 3 dni zawieszenie działań wojen-

nych przeciwko Czang-Sue-Liangowi. Mają się podobno toczyć na dal rokowania polityczne.

Anglia szykuje się do obrony przeciwlotniczej

LONDYN. PAT. W dn. 12 stycznia odbędzie się uroczyste otwarcie fabryki masek gazowych. Fabryka ta, położona w Black-

burn, produkować będzie 500 tys. masek tygodniowo. Maski przeznaczone będą do wyłącznego użytku ludności cywilnej.

Surowe kary dla przemytników narkotyków

NOWY YORK. (PAT). Sąd federalny wydał wyrok w głosnej aferze międzynarodowej kontrabandy narkotyków. Oskarżeni przywołali do Stanów Zjednoczonych ogromne ilości heroiny, o-

pium i kokainy. Proces ujawnił, że banda współpracowała ze stewardami niektórych parowców. 10-ciu oskarżonych skazano na karę więzienia, przekraczającą ogółem 100 lat.

ŚWIATOWID P. 4, 6, 8, 10 PREMIERA! RADIO dało zaledwie przedsmak tego, co pokazuje FILM z bohaterami „WESOŁEJ FALI” SZCZEPKO I TONKO w kapitalnej komedii muzycznej „BĘDZIE LEPIEJ” reż. MICHAŁ WASZYŃSKIEGO HUMOR! DO WCIP! PIOSENKII

CASINO p. 4, 6, 8, 10 Pierwszy monumentalny film polski BARBARA RADZIWIŁŁOWNA W rol. gł. Jadwiga Smosarska Witold Zaczarawicz

ATLANTIC p. 4, 6, 8, 10 SHIRLEY TEMPLE w najlepszym swoim filmie MOJA GWIAZDECKA JUTRO P. RANKI 12 I 2. Ceny popu!

STUDIO N.Świat 23/25 p. 3.30, 5, 7, 9 DZIS o godz. 11-ej dodatek seans wszystkie telete po zł. 1.09

Syvia Sydney w filmie realizacji FRITZA LANGA p. t. Jestem niewinny „FURIA” 150 wszystkie telete

Program radiowy

NIEDZIELA, 20 grudnia. 8.00 Sygnał czasu. 8.03 Audycja dla wsi. 8.50 Dziennik poranny. 9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła OO. Dominikanów we Lwowie. Po nabożeństwie koncert rozrywkowy. 11.57 Sygnał czasu. 12.03 Poranek muzyczny z Filharmonii Krakowskiej. W przerwie Przegląd teatralny. 14.00 Reportaż z życia. 14.15 Koncert reklamowy. 14.45 „Audycja dla wsi”. 15.15 Koncert w wykonaniu zespołu Pawła Rynasa. 16.00 Klasyczny Teatr „Wyobraźni”. 17.00 Podwieczorek przy mikrofonie — kon-

cert. W przerwie ogłoszenie wyników konkursu orkiestr mandolinistów oraz przyznanie upominków radiosłuchaczom. 19.00 Sezon i epoka — szkic literacki Andrzeja Rybickiego (ze Lwowa). 10.15 Program na jutro. 19.20 Muzyka lekka z płyt. 20.20 Wiadomości sportowe. 20.40 Przegląd polityczny. 20.50 Dziennik wieczorny. 21.00 Na weselę lwowskiej fali. 21.20 Franciszek Liszt: Sonata h-moll w wykonaniu Bolesława Woytowicza. 22.00 Koncert w wykonaniu orkiestry Tadeusza Sereńskiego (ze Lwowa). 23.00 Muzyka taneczna





# Strajki

Prezydium Zarządu Głównego Zw. Prac. bankowych i kas oszczędności R. P. złożyło w Ministerstwie Skarbu, w Min. Opieki Społecznej oraz w Związku Banków w Polsce projekt umowy zbiorowej. Projekt ten został opracowany i zatwierdzony przez walny zjazd delegatów pracowników bankowych.

Pozostaje on w związku z zafargiem, jaki wynikł na tle niskich płac, jako ostateczny termin odpowiedzi wyznaczono Związkowi Banków dzień 27 lutego r. b. W razie odrzucenia przedłożonego projektu umowy zbiorowej w dniu 27 b. m., ma wybuchnąć powszechny strajk okupacyjny we wszystkich instytucjach bankowych i kasach oszczędności.

W miejscowości Roszniów wybuchł na podłożu ekonomicznym strajk w tamtejszym tartaku. — Strajkuje 1.500 robotników, którzy domagają się podwyżki płac od 20 do 25 proc. Zarząd tartaku zgadza się jedynie na 10 proc podwyżkę.

Endecja na terenie robotniczym ma bardzo mało do powiedzenia. W celu łatwiejszego przyciągnięcia

pracujących utworzono specjalną organizację „Polska Praca”. Jednak i to nie pomogło. Bó-wiem zwerbowano tylko wyrzutków z związków klasowych i wyrostków, którzy mogą się zdobyć na wybruki, o których piszemy poniżej.

Onegdaj o godzinie 13-tej stanęły wszystkie fabryki na terenie Bielska — Biała, gdyż zapowiedziany był 2-godzinny strajk. W domu robotniczym przy ul. Republikańskiej odbyło się zgrupowanie robotników, zrzeszonych w Związku Robotników Włóknarzy. Naprzeciwko domu robotniczego przy ul. Grażyńskiego znajduje się organizacja robotników endeckich „Polska Praca”. Gdy robotnicy socjaliści wyszli z zebrania około godziny 3-iej, rzuciła się na nich grupa kilkudziesięciu robotników endeckich, zarzucając ich kamieniami i fiaskami. Użyto też pałek. Ruch tramwajowy został wstrzymany. Na miejscu zjawili się natychmiast policja w hełmach i szybko zlikwidowała zajście. W rezultacie jest kilkunastu rannych.

Tak wygląda w pojęciu endecji praca na terenie robotniczym.

# Z ulcy Wiejskiej

## INWIGILACJA NAUCZYCIELSTWA W SÓLACH.

Na poniedziałkowym posiedzeniu Sejmu dokonano zmiany nad budżetem Min. Oświaty. Sensacyjną mowę o stosunkach szkolnictwa i ataku na Zw. N. wygłosił pos. Wojtowicz.

Tak zwanym atak kleru — powiada mowa — nęNP dotknięte jest przeszło 50.000 nauczycieli i nikomu nie wolno patrzeć na to obojętnie. Jest to wynik ulania czynników zewnętrznych stosunku do szkół, które zakłócają i mają co innego na oku, nbychowanie religijne młodzieży. Dla straszenia, jak i czyja obserwacja ujmuje się nauczyciel w szkole, pracę tu pewien dokument. Jest anonimowy kwestionariusz, rozsyła do księży katechetów, z którego ści jednak każdy się domyśla, od go on pochodzi. Otóż są tam między innymi takie pytania: O ile szkła przyczynia się sama do demoralizacji młodzieży. (Programy, nierobocizna dzieci, nauczyciele). Jak jest praktycznie nastawienie nauczyciela religii, czy i jak nauczyciele podważają zaufanie do zasad religijnych? Jak jest ideologia nauczyciela. I to wszystko — ciągnie dalej mowa — kładą się na katechete, aby był on serwatorem w szkole. Ze tej roli wu katechetów nie pochwała, nieświadomy fakt, że egzemplarz owego kwestionariusza, który mam przed sobą, został dwukrotnie przedruty przez jednego z takich katechetów w rozdzielni i oburzeniu. My chcemy (Głc Kto?) żeby nie było inwigilacji nauczycieli. (Głos: Słusznie), bo z tego tem równie taka atmosfera, która potępia nawet wielu wierzących katechów.

## BURDY NA UCZELNIACH.

Z kolei p. Wojtowicz omawia stosunki na wyższych uczelniach, stwierdzając, że burdy w przybitych nauki, to gwałcenie prawa, to obniżanie naszej reputacji w oczach zagranicy, to szerzenie anarchii i psychizacji rozbrojenie narodu. Wszystko b się dzieje przy zbyt wielkiej bliskości władz i karygodnej zżyłości ze strony pewnych sfer społeczeństwa.

## PRZEMYSŁ I HANDEL.

Po zakończeniu dyskusji nad budżetem Min. Oświaty, przystąpiono

do budżetu Min. Przemysłu i Handlu. Z obszernych wywodów referenta, p. Sowińskiego, na podkreślenie zasługuje fakt

zdecydowanego jego wystąpienia przeciw skróceniu czasu pracy w górnictwie.

## JEDZĄ ZA JEDNEGO, A PRACUJĄ ZA TRZECH.

W związku z referatem pos. Sowińskiego odnośnie skrócenia czasu pracy, zabrali głos poszczególni mówcy. Stwierdza on przede wszystkim, jak poseł i Petrzak, na wielkie zaniechania w przemyśle węglowym, datujące się od lat 10. Wina leży po stronie przemysłowców. Natomiast co się tyczy wydajności pracy, to pracownicy fizyczni i umysłowi jedzą za jednego, a pracują za trzech.

## REKA W REKE Z NIEMIECKIM KAPITAŁEM.

O skutkach i tendencjach polityki kartelowej mówił pos. Dąbrowski. Oświadcza on: poprawę gospodarczą odczuwamy nie przez wzrost cen, do czego dążą kartele, ale przez wzrost produkcji. Stwierdza nast., że po zniesieniu kartelu cementowego, ceny cementu spadły, a produkcja zwiększyła się dwukrotnie. Nast. mówi, że z Polski eksportujemy do Niemiec cynk surowy, a nie walcowany. bowiem niemiecki kapitał potrafił wyeliminować konkurencję polskich fabryk i zawarł umowę z polskim kartelem o ekspansję cynku surowego.

## ZAROBKI WE „WSPÓLNOCIE INTERESÓW”.

Posel Jedynek poruszył sprawę „Wspólnoty Interesów”. Mówiono, że zagadnienie to zostanie narzecz rozwiązane, ale jak zostanie rozwiązane, o tym opinia publiczna się nie dowiedziała. Wiadomości, które nadchodzą o „Wspólnotę Interesów”, są niepokojące. Wspólnota ma obecnie np. o 6 prokurentów więcej, niż przed tym, z pensjami od 3 tys. wywyż.

## DZIAŁALNOŚĆ ZW. BEKONOWEGO.

Tenże poseł porusza również działalność skartelizowanego Zw. Bekonowego. Stwierdza on, że za jego interpelacją odnośnie Zw. Bekonowego, przez tego związku grozi mu sąd i domaga się, aby wydano pos. Jedynekowi sądowi.

# CO PISZĄ INNI

## P. KOC I BRUENING.

„Goniec Warszawski” porównywa program p. Koca z programem rządu Brueninga i Trevinarusa, na rok przed dojściem Hitlera do władzy i zastanawia się nad powodzeniem Hitlera przy wprowadzeniu w życie zasad Brueningowych.

Wyjaśnienie tej zagadki jest proste. Bruening apelował do rozumu Niemców za pomocą inteligentnego przykrywania idei. Po szeregu mozolnych przygotowań stworzył receptę, w której było wiele słusznych tez, ale której brakiem jednej rzeczy: organicznego kształtu życia, żaru, wewnętrznej prawdy, wiary i entuzjazmu.

Hitler znalazł drogę do serc niemieckich, wyzwolił w masach potężną dynamikę, mimo że jego rytm sztunek intelektualny nie dorównywał poziomowi Brueninga. Hitler nie ważył laboratoryjnie swych mów i wystąpień, nie przykrywał miesiącami idei i recept programowych. — Zdobył Niemcy bezpośrednio, szczerością i całkowitością swych dążeń, często nieforemnych, naiwnych i nieoszlifowanych, często brutalnych, ale owocnych, bo żywych i zgodnych z treścią duchową Niemiec.

Pułkownik Koc—to „słuszne tezy”. „Żar wewnętrznej prawdy, wiary, entuzjazm, bezpośredniość, szczerość, całkowitość — „drogę do serc” — posiada... kryptoendosanaacja z „Gońców” i „ABC”.

## A więc...

## „ROBOTNIK” O DEKLARACJI.

Red. M Niedziałkowski omawia dziś na łamach „Robotnika” deklarację p. A. Koca i dochodzi do następujących wniosków:

W ramach gospodarki kapitalistycznej, w ramach dzisiejszego „ustroju” wsi, w ramach dzisiejszego ustroju politycznego — nie wytrzymamy.

To jest teza naszego ruchu. Kto pomija te problemy najistotniejsze, ten pomija rzeczywistość i polską, i światową. Deklaracja p. pułk. Koca to właśnie ustawa pominięta.

Wywody swe kończy red. Niedziałkowski wezwaniem do wypowiedzenia się kraju w sprawie wszystkich istotnych problemów.

„Odpowiedzialność za losy Państwa muszą wziąć na siebie masy. Droga ku temu: powszechne i swobodne wybory”.

## „CZAS” ZADOWOLONY.

„Czas” nazywa deklarację „programem zdrowego rozsądku”. Oczywiście najbardziej dla „Czasu” interesującą jest kwestia własności prywatnej.

Zasada ewolucji i zdrowego umiaru cechuje nie tylko sposób ujęcia w deklaracji zagadnień politycznych, ale przyświeca tak samo teom społeczno-gospodarczym. Płk. Koc stwierdza, że rozwój gospodarczy Polski winien się opierać o „zasady własności prywatnej jednostek”, a państwo, co jest w dzisiejszych warunkach nieuniknione, musi mieć jedynie „prawo wpływu na harmonijny rozwój całokształtu produkcji”.

Z uznania zasady prywatnej własności i przedsiębiorczości, jako podstawy rozwoju gospodarczego Polski, wynika konieczność ostatecznej opieki inicjatyw prywatnej, usunięcia przeszkód, które ją hamują.

Obawia się trochę „Czas”, jak będą zasady te realizowane, ale pisze w zakończeniu artykułu:

„Ufamy, że indywidualność płk. Koca nie ograniczy się do ustalenia programowych tez, ale że czuwać będzie również nad ich zastosowaniem.

## LEWIATAN TEŻ.

„Kurier Polski” pisze, że „nie może być dla nikogo niespodzianką pozytywny nasz stosunek do deklaracji”, oczywiście — skoro chroni ona własność prywatną, propaguje solidaryzm...

## ENDECCJA MILCZY.

„Warszawski Dziennik Narodowy” zamieszcza wzmianki o zgłoszeniu akcesów do obozu p. Koca, poprzestaje jednak na wczorajszym, mętym zresztą, artykule. Oenerowskie „ABC” cytuję tylko głosy prasy p. t. „Piszą a my czytamy”.

## Zwycięstwo strajkujących w kamieniołomach

Onegdaj zakończył się strajk robotników, zatrudnionych w kamieniołomach dolomitu w Tarnowskich Górach. Robotnicy przystąpili do strajku, żądając podwyż-

szenia zarobków o 20 proc. Ponieważ obecnie kierownictwo kamieniołomów obiecało robotnikom poprawę, ci przerwali strajk i przystąpili do pracy.

## Ludowcy stoją na gruncie uchwał nowosieleckich

Dnia 22 b. m. urządziło Stronnictwo Ludowe kurs dla działaczy powiatów: warszawskiego, białostockiego i grójeckiego w Tarcynie. Przybyło 147 słuchaczy. Referowali mec. Ujazdowski, oraz ob. ob. Gójski, Kasperlik i Latek z Warszawy. M. in. zreferowano tekst przemówienia pułkownika

Koca, po wysłuchaniu go przez radio. Obecni na kursie jednomyślnie uchwalili, że stoją na gruncie uchwał, wręczonych w Nowosieleckich Marszałkowi Śmigłemu-Rydzowi, oraz powziętych na ostatnim Kongresie Stronnictwa w Warszawie.

## Endeckie umizgi do wsi

Na terenie powiatu radomskiego dochodzi ostatnio do starć między członkami Stronnictwa Narodowego i Stronnictwa Ludowego. Na zebraniu, zwoływane przez

działaczy Stronnictwa Ludowego, przychodzą członkowie Stronnictwa Narodowego, co zmusza chłopów do ostrej reakcji.

## Sprawy podatkowe urzędników państwowych

W związku z oświadczeniem wicepremiera Kwiatkowskiego, który zapowiedział, iż nawet po skasowaniu podatku specjalnego Rząd nie będzie mógł zrezygnować z tego wpływu i przywrócić podatek dochodowy od uposażenia pracowników państwowych, Zarząd Główny Stowarzyszenia Urzędników Państwowych stwierdza, że pracownicy państwowi niezależnie od podatku specjalnego ponoszą również ciężar podatku dochodowe-

go w postaci odpowiednio zredukowanych norm uposażenia i odliczenia stawek podatku dochodowego przy przeszerogowaniu pracowników w dniu 1 lutego 1934 roku i wobec tego, domagając się nadal uchylenia podatku specjalnego, kategorycznie sprzeciwia się zamiarom nakładania w przyszłości na zarobki pracowników państwowych podwójnego opodatkowania.

## Epidemia paraliżu dziecięcego wygasa

Przed kilkoma miesiącami Państwowa Służba Zdrowia zanotowała w Małopolsce Wschodniej, jak i w województwach centralnych, liczne wypadki groźnej choroby paraliżu dziecięcego, t. zw. Heine - Medine. Przedsięwzięto akcję zapobiegawczą, by uniemo-

żliwić zawleczenie epidemii tej choroby z Rumunii, gdzie zachorowania na Heine - Medine przyjęły rozmiary masowe. Obecnie wykazy wojewódzkich urzędów zdrowia nie notują już ani jednego wypadku choroby paraliżu dziecięcego.

## O książki dla wsi

Zarząd pow. S. L. w Kaluszu postanowił zorganizować na kresach wschodnich Małopolski bibliotekę ludową (wędrówną) dla polskiej ludności.

Brak książki polskiej na kresach daje się dotkliwie odczuwać. Ludność polska, zmieszana z obcym żywiołem a pozbawiona pokarmu umysłowego ulega wynarodowieniu, szczególnie dziś, gdy chłop na wsi nie stać na kupno książki. Chcąc temu zapobiec, tworzymy bibliotekę pod hasłem „oświata ludu dołona cudu”.

Prosimy wszystkich, dla których idea wyzwolenia mas chłopskich leży na sercu, o pomoc — tak finansową, jako też w formie nadsyłania przeczytanych książek i czasopism.

Wszystkich ofiarodawców będziemy (wedle życzenia) ogłaszać w prasie; serdecznie prosimy: nie zapomnijcie o naszej prośbie i w szczytnym miarę możności, pośpieszcie nam z pomocą.

Wszystkie przesyłki prosimy kierować na adres — Józef Moskał, Dubowca p. Wojniów, pow. Kalusz.

CASINO poc. 4,5,8,10  
WIELKA PREMIERA!  
Największa aktorka europejska  
PAULA WESSELY  
w pełni blasku swego wspaniałego talentu, zaprezentuje się od dziś w wiedeńskim arcydziele filmowym  
SAM SAM



## Dziś proklamacja strajku szewców

W dniu wczorajszym w Inspektoracie Pracy odbył się konferencja pomiędzy kupcami - nakładcami a szewcami - chałupnikami. Pracodawcy ostatecznie odrzucili postulat pracowników, żądających wprowadzenia umowy zbiorowej.

Dziś odbędzie się w kinie „Fama” wiec, w którym zostanie proklamowany strajk szewców okręgu warszawskiego. Dotychczas strajk trwa w Łodzi, Piotrkowie, Częstochowie, Skierniewicach i Białymstoku. Ogółem strajkuje około 20.000 szewców.

## Zajścia krzeczowickie przed Sądem Najw.

Sąd Okręgowy w Rzeszowie, wyrokiem z dnia 10.II. b. r. zatwierdził wyrok Sądu Grodzkiego w Przeworsku z dnia 10 listopada 1936 roku w sprawie przeciwko 30-tu oskarżonym z Krzeczowic

okolicy. W sprawie tej w terminie ustawowym obrońca oskarżonych, adw. dr. Jedliński z Jarosława zapowiedział kasację. W ten sposób sprawa ta znajdzie swój epilog przed Sądem Najwyższym.

## Z walk pod Madrytem



Natarcie żołnów

## Związek Nauczycielstwa Polskiego a demokracja (Nadesłane)

Wszystkim czytelnikom wiadomo o atakach prasy reakcyjnej i klerikalnej na Związek Nauczycielstwa Polskiego w ostatnim czasie, to też ze zdziwieniem i zdumieniem przeczytali liczni nauczyciele - związkowcy komunikat Zarządu Głównego Związku, ogłoszony w ostatnim Nr. 21 „Głosu Nauczycielstwa Polskiego” dnia 21 b. m. o zwołaniu Nadzwyczajnego Zjazdu Delegatów bez równoczesnego przeprowadzenia wyborów.

Nie mamy zamiaru interpretować statutu Z. N. P. pod tym względem wybitnie niejasnego, ale nie ulega najmniejszej bodaj wątpliwości, że w organizacji demokratycznej (a taką przecież, według oświadczeń władz Z. N. P., składanych kilkakrotnie publicznie jest Związek Nauczycielstwa Polskiego) nie mogą i nie powinni decydować delegaci wybrani na poprzedni Zjazd w miesiącach jesiennych 1935 roku, a zatem blisko dwa lata temu. Każda organizacja masowa i demokratyczna musi utrzymywać ścisły kontakt ze swymi licznymi członkami, musi znać nastroje i prawdziwe żądania, które mogą być ujawnione tylko wyłącznie w drodze demokratycznych, proporcjonalnych wyborów. Zważa w chwili dzisiejszej ogromnych przeobrażeń i katastrofalnego stanu szkolnictwa oraz krytycznego położenia nauczycielstwa za chodzi niewątpliwa konieczność przeprowadzenia demokratycznych

wyborów delegatów na Nadzwyczajny Zjazd Delegatów.

Chyba nie ulega najmniejszej wątpliwości, że delegaci wybrani przed niespełna dwu lata nie mogą dziś odzwierciedlać prawdziwych nastrojów członków, a następnie przecież — według oficjalnych oświadczeń władz — Związek Nauczycielstwa Polskiego pomimo ataków powiększył w ostatnim okresie rocznym bardzo znacznie ilość swych członków, którzy nie mogą wybrać swych delegatów na Nadzwyczajny Zjazd Delegatów. Czyż można to nazwać demokracją?

To też chyba nieporozumieniem jest oświadczenie Zarządu Głównego umieszczone w ostatnim numerze „Głosu Nauczycielskiego”, gdzie grubym drukiem zaznaczono: „Nie należy więc przeprowadzać obecnie ponownych wyborów”. Szerokie rzece członków Z. N. P. żądają przeprowadzenia demokratycznych wyborów delegatów na Zjazd i zmiany nie demokratycznego statutu Związku.

Jest jeszcze czas na zmianę błędnej decyzji, która może okazać się zgubną w dalszej działalności organizacji, która wespół z innymi organizacjami pracowniczymi, pod pisała przecież znaną deklarację z dnia 10 września 1936 r., wysuwając m. in. żądania demokratycznych wyborów do parlamentu.

Nauczyciele PPS. i demokraci.

## Wyrok Sądu Okręgowego w Grodnie

W dniu 19 b. m. Sąd Okręgowy w Grodnie skazał przewodniczącego Rady Klasowych Związków Zawodowych w Grodnie, ob. Stanisława Roszkowskiego, na grzywnę 100 złotych i koszty sądowe z zamianą w razie nieściągalności

na 20 dni aresztu. Kara ta została wymierzona za zbieranie dobrowolnych składek od członków związków zawodowych na rzecz rodzin poległych robotników w walce z faszyzmem w Hiszpanii?





# Dwie drogi

## W sprawie rozwiązania zagadnienia „przeludnienia” wsi

Zagadnienie przeludnienia wsi nie schodzi z porządku dziennego życia polskiego. Nie schodzi ze szpalt prasy, nie przestaje być przedmiotem zainteresowania polityków, jest tematem rozważań ekonomistów. Niebawem nędza, będąca udziałem wsi polskiej, postawiła tę sprawę w rządzie najbardziej bodaj palących zagadnień życia polskiego, domagając się radykalnego rozwiązania.

Stronictwo Ludowe, a razem z nim i zorganizowany ruch robotniczy widzą rozwiązanie tego nad wyraz ważnego zagadnienia przede wszystkim w radykalnej reformie rolnej, przez wywłaszczenie majątków ziemskich, przez rozbudowę przemysłu, przez odpowiednią politykę gospodarczą i finansową, prowadzoną pod kątem wzięcia ludności chłopskiej. Wreszcie — przez rozbudowę rynku wewnętrznego, przez podniesienie stopy życiowej ludności pracującej, a tym samym i wzrost spożycia, stojącego u nas na niezwykle niskim poziomie — drogą odpowiedniej polityki społecznej. W przeciwieństwie do tego, tak zw. oboz narodowy celem rozwiązania zagadnienia wysuwa hasło wyrugowania Żydów z handlu i umieszczenia „zbędnego”, jak oni to nazywają, elementu wiejskiego w handlu na miejsce Żydów. Są to dwie drogi w rozwiązaniu rozważanego zagadnienia.

Nie wchodzimy obecnie w polityczną ocenę tego problemu, nie poruszamy przy tej sposobności kwestii żydowskiej. Chcemy jeno rozpatrzyć, czy hasła obozu narodowego, którym holdują ostatnio i niektóre grupy sanacyjne, posiadają elementy realności, czy, urzeczywistniane w najradykałniejszy nawet sposób, potrafiłyby sprawę przeludnienia wsi rozwiązać lub chociażby częściowo zapobiec nędzy ludności chłopskiej. Temu kategorię zaprzeczają rzeczywistość.

### DLACZEGO AKURAT STRAGANIARZY?

Akcję antyżydowską na wsi obok narodowy prowadzi pod hasłem opanowania straganiarstwa. Rzecz zresztą zrozumiała, gdyż z tą formą handlu najbardziej się styka chłop, jest mu ona dziedziną handlu najbardziej znaną. Stragan stanowi najprymitywniejszą formę handlu, nie wymagającą wielkich zasobów. Sprawa przełancowania chłopu do handlu w mieście zupełnie odpada, gdyż i teren jest mu zupełnie nieznanym i potrzeba na to tak znacznych kapitałów, że chłop nigdy nie zdoła ich zmobilizować. Zresztą tezę niniejszą potwierdzają badania, dokonane przez Stowarzyszenie Kupców Polskich. Prace te wykazały, że na 298 kupców, zbadanych w Warszawie, tylko 6 osób podało rolnictwo jako swój poprzedni zawód. Na prowincji, jakkolwiek kontakt z wsią jest tam bliższy, badania te wykazały, że na 1085 zbadanych tylko 94 pochodzi z rolnictwa. Trzeba przy tym zaznaczyć, że do kategorii rolników zaliczono nie tylko chłopów, ale i ziemian, tych zaś była wśród osób, objętych ankietą, przeważająca ilość. Udział chłopów równał się prawie zeru.

Dlatego też akcja endecko-oenrowska koncentruje się przede wszystkim na straganach. Mają one zatrudnić nadmiar ludności, a w pewnym tylko nieznacznym stopniu nadmiar ten znajdzie pracę w drobnym małomiasteczkowym handlu.

Jakież są realne możliwości w tej oto dziedzinie? Jakże są warunki egzystencji w handlu straganiarsko - przenośnym, mającym, której rzemieślnicy chrześcijaństwo według endeków i O. N. R-u służyć jako skuteczne lekarstwo na przeludnienie wsi, lekarstwo, mogące zapobiec nędzy chłopskiej?

### TYSIĄCE I MILIONY, CZYLI JAK JEDNYM BOCHENKIEM NAKARMIC GŁODNE RZESZE?

Badania wykazały, że mamy w Polsce około 70.000 przedsiębiorstw targowo - straganiar-

skich. Z liczby tej przypada na woj. centralne 23.000, wschodnie 17.500, zachodnie 15.000, południowe 14.500. Stragany, znajdujące się w województwach zachodnich, nie są brane przez naszych „narodowców” pod uwagę ze względu na skład narodowościowy ich właścicieli — nie są to przecież Żydzi. Do tej liczby należy też dodać i przeważną część straganów, znajdujących się na terenach Małopolski Wschodniej, o ludności przeważnie ukraińskiej, gdzie w każdej prawie wsi istnieje dobrze zorganizowana spółdzielnia ukraińska. Przeniesienie na te tereny polskiej ludności chłopskiej z woj. centralnych lub krakowskiego, celem umieszczenia ich w handlu — jest projektem najzupełniej pomyślnym. Również i w województwach wschodnich możliwości te, ze względu narodowościowych, są mocno ograniczone. Właściwym terenem tej penetracji pozostają bodaj wyłącznie województwa centralne, posiadające raptem 23.000 przedsiębiorstw straganiarskich.

Z tej liczby 60%, t. j. około 14 tys. przypada na przedsiębiorstwa żydowskie. A więc opanowanie 14.000 straganów żydowskich, ewentualnie jeszcze kilku tysięcy sklepików w miasteczkach ma rozstrzygnąć zagadnienie 8 milionów „zbędnej” ludności wiejskiej? A więc pozbawienie egzystencji kilkunastu tysięcy rodzin żydowskich ma zapobiec nędzy milionowej rzeszy chłopskiej? Niewspółmierność zamierzeń i realnych możliwości rzuca się tu w oczy.

Przytoczone liczby wystarczyły by w zupełności do zdyskredytowania akcji straganiarskiej. Nie zawadzi jednak wskazać na atrakcyjność i dochodowość zawodu straganiarskiego. Wspomniane wyżej badania wykazały, że wartość straganu rzadko kiedy przekracza 500 zł., z reguły zaś waha się między 50 a 100 zł. Zarobki straganiarzy wynoszą przeciętnie 30—50 zł. miesięcznie netto. Wśród nich jest wielu nędzarzy, zmuszonych do korzystania z pomocy społecznej, aby nie umrzeć z głodu. Zawód doprawdy wymarzony i godny zazdrości.

### POŚREDNICZY CZY RZEMIEŚLNICZY?

Całkowite nawet usunięcie Żydów ze straganiarstwa w najmniejszym nawet stopniu nie rozstrzygnie zagadnienia bezrobocia chłopskiego w Polsce. A trzeba jeszcze wziąć pod uwagę, że ze względu na strukturę handlu targowego całkowite usunięcie Żydów z tej dziedziny jest czymś złudnym. Przeważnie stragany sprzedają wyroby rzemiosła i drobnego przemysłu, właściciel straganu bardzo często jest jednocześnie i wytwórcą, stragan zaś służy mu do sprzedaży wyrobów własnych. W tych gałęziach, w których Żydzi stanowią większość w rzemiosle, tworzą ją również i w handlu straganiarskim.

Dla zilustrowania tego twierdzenia przytoczymy kilka liczb, dotyczących wykupionych w roku 1933 świadectw przemysłowych. W branży gotowych ubrań na 192 żydowskich przedsiębiorstw handlu straganiarskiego i przenośnego są tylko 4 chrześcijańskie. Natomiast w branży szewskiej, wśród są licznie reprezentowani, mamy na 146 straganów żydowskich 167 chrześcijańskich. Podobnie w branży drzewnej mamy zaledwie 13 żydowskich straganów na 41 chrześcijańskich, w branży mięsa i przetworów mięsnych przy 29 żydowskich straganach 102 chrześcijańskich. Liczby te wymownie świadczą o tym, jaka droga prowadzi do straganu. Przytoczone wyżej dane obejmują województwo warszawskie, nie mniej jednak są charakterystyczne dla całego handlu straganiarskiego w Polsce.

Handel targowy jest więc przede wszystkim domeną pracy samodzielnego rzemieślnika, zbywających naogół swe wyroby bez pośrednictwa kupców, co oczywiście, nie rozciąga się na artykuły większego przemysłu. Sprawa władnictwa handlem straganiarskim łączy się więc ściśle ze spr-

wą opanowania rzemiosła. Te względy, a zarazem trudności, wynikające z nieznaności techniki zawodu, z obcej chłopi psychiki handlowej, z trudności uzyskania przez nowicjuszy kredytów towarowych — wszystko to sprawdza możliwości umieszczenia ludności wiejskiej w handlu do rozmiarów niemal mikroskopijnych.

### ZACOFANA FORMA GOSPODARCZA.

Nie tylko na wsi panuje przeludnienie, ale i w handlu, zwłaszcza drobnym, gdzie przeważają Żydzi, istnieje zjawisko elementów „zbędnych”. A jednocześnie handel drobny, najbardziej prymitywny na i zacofana forma podziału towarów przeważa niestety w handlu polskim. Ta forma handlu nie ma też żadnych widoków dalszego rozwoju, raczej przeciwnie. Nie może być z tym mowy o rozszerzeniu zasięgu tej dziedziny gospodarczej, o umieszczeniu na tym terenie nowych zastępów ludzi, poszukujących pracy. Przede wszystkim zaś chłop — wieś nie chce pośredników, bez względu na to, kim są oni — gdyż organizują spółdzielnie.

Kto się zagadnieniem przeludnienia wsi szczerze zainteresuje, kto tego palącego i arcyważnego zagadnienia rzeczywistości polskiej nie zechce wyzyskać jako żeru dla demagogii, lecz przystąpi do tego zagadnienia z czystymi zamiarami rozwiązania go w myśl interesów milionowej rzeszy chłopskiej — ten musi od razu przyznać, że jest fałszem i obłudą szukać owego rozwiązania na drodze zdobycia iluzorycznych płacówek w postaci straganów lub kramików małomiasteczkowych. Dysproporcja między wielkością „nadmiaru” ludności wiejskiej, oszacowanego na 8 milionów, a możliwościami, jakie dostarczyć może drobny handel w Polsce, jest tak ogromna, że szukanie na tej drodze rozwiązania sprawy chłopskiej w Polsce — musi być uważane za jeden z przykładów świadomie uprawianej fałszywej gry politycznej.

Jedynie na drodze, wskazanej przez ruch chłopski i robotniczy, na drodze radykalnej przemiany naszego ustroju rolnego przez zniesienie własności wiejskiej, odpowiedzialności polityki społecznej, prowadzonej pod kątem widzenia interesów ludności pracującej wsi i miast — leży możliwość rozwiązania zagadnienia przeludnienia wsi.

Polityka obozu narodowego w tej dziedzinie, to polityka oszukiwania mas chłopskich, to dywersja polityczna w interesie obszarników. N. M.

### CIĄG DALSZY ZE STR. 5-ej.

Powszechny” zamocza z satysfakcją, że „autorytet władzy państwowej znalazły oparcie materialne w sile zbrojnej, a napotykać wielkie trudności w nawiązaniu kontaktu psychicznego z rządzącymi, uznał za właściwe zbliżyć się z równoległym i równorzędnym autorytetem moralnym Kościoła” (ob. Nr. 1 z r. b.). Ten zwrot „dotąd tylko dyskretny i nieformalny, nie mniej jednak uchwytny”, ujawnił się dotąd w udziale władz państwowych w Synodzie Jasnogórskim oraz w uroczystościach Skargówek, w uczestnictwie najwyższych władz duchownych w nadaniu buławy marszałkowskiej gen. Rydzowi - Śmigłemu oraz w energicznym i czynnym ich współdziałaniu w organizacji „Pomocy Żimowej”, w pewnych wrótach przemówień ministrów („apele do miłości” akcentowanie sprawiedliwości społecznej) i t. d.

„Przegląd powszechny” dopatruje się nawet „pewnego pokrewieństwa form oraz zasady organizacyjnej projektowanego Obozu Czynu Państwowego z zasadą organizacyjną Akcji Katolickiej”, uznając w konkluzji, „za objaw wysoce dodatni, że ponad szatastwowanym i walką wszystkich przeciwko wszystkim, ogarniętym społeczeństwem związało się w Polsce pewne współdziałanie dwu naczelnych władz publicznych, moralnej i materialnej, nadprzyrodzonej i przyrodzonej,

(jul. k.) W ubiegłym tygodniu było Walne Zebranie akcjonariuszy Banku Polskiego. W związku z tym poświęcić chcemy krótko artykułom zagadnieniu centralnej instytucji emisyjnej. W artykule niniejszym ograniczymy się do zestawienia kilku charakterystycznych liczb.

Zapas złota i dewiz ulegał w ostatnich latach następującym wahaniom (w milionach złotych, stan na koniec roku):

	złoto	dewizy
1932	502,2	136,7
1933	475,6	88,3
1934	503,3	28,3
1935	444,4	26,9
1936	392,9	29,7

W okresie „triumfalnego” pochodu polityki deflacyjnej nie było żadnych ograniczeń w obrocie złotem i dewizami. Oslawiony „dżonek alarmowy” p. Matuzszeskiego działał bez przerwy, zaps złota i dewiz kurczył się z roku na rok. Ale jakoś nikt nie odpowiadał na alarm. Dopiero rok 1936 przyniósł ograniczenia wteń, gdy sytuacja groziła generarnym defektem całego urzędzenia. Do lipca jednak zapas złota spadał dalej, by w drugiej połowie roku wzrosł b. lekko. Okazało się, że ograniczenia dewizowe nie si lekarstwem na wszystko.

Akcia kredytowa krótkoterminowa (lyskonto weksli, biletów skarbowych i kredyt lombardowy) rozwijała się w sposób następujący (w milionach złotych, stan na koniec roku):

	weksle bil. skabr. kr. zast.	weksle bil. skarb. kr. zast.
1932	585,5	114,2
1933	688,1	48,2
1934	600,0	48,0
1935	689,1	67,6
1936	681,3	66,9

### PRZYMUSOWY WYKUP NIEMUCHOMOŚCI ROLNYCH 1937 R.

Rozporządzenie Rady Ministrów z dn. 12 lutego r. o ustaleniu na r. 1937 wykazu imiennego nieruchomości, podlegających przymusowemu wykupowi, została, że plan parcelacyjny dla gruntów prywatnych, obejmujących następujące obszary w poszczególnych województwach (w tys. ha): w woj. warszawskim — 11, łódzkim — 9, kieleckim — 6, lubelskim — 11,5, białostockim — 5, wileńskim — 7, nowogródzkim — 7, wołyńskim — 8, tarnopolskim — 8, lwowskim — 7, krakowskim — 2,5, poznańskim — 20 i pomorskim — 12, wykonany został tylko częściowo przez rozparcelowanie, wobec czego niezbędna dla pokrycia planu ilości gruntów prywatnych, wobec czego nie ma podstawy do poddania przymusowemu wykupowi nieruchomości ziemskich, położonych na terenie wymienionych województw.

Ustalony plan parcelacyjny na r.

Obieg biletów bankowych i stan natychmiast płatnych zobowiązań przedstawiał się następująco (w milionach złotych, na koniec roku):

	bilety bankowe	nat. płatne zobowiązania
1932	1002,8	220,5
1933	1004,0	261,9
1934	981,1	240,5
1935	1007,2	209,7
1936	1033,8	291,6

Charakterystyczną niewątpliwie pozycję w r-ku strat i zysków za rok 1936 stanowią odpisy i rezerwy w sumie ponad 10 milionów zł. wobec 5 milionów zł. w 1935 roku.

Czysty zysk w kwocie 9259 tys. zł. został podzielony w sposób następujący:

na dywidendę 8% od 50 mln. zł. akcji I em. 8000 tys. zł.

na dywidendę 8% od 50 mln. zł. akcji II em. (umorzone z dniem 24/IV 1936) 1222 tys. zł.

dla Skarbu Państwa 17 tys. zł. w przeliczeniu na rok 1937 17 tys. zł.

pozostałość z roku 1935 3 tys. zł.

Dnia 31/XII 1936 było zapisanych w księdze akcjonariuszów 432 akc. po 25 akcji (10800 sztuk), 232 akc. od 50 — 100 akcji (16900 sztuk), 154 akc. od 125 do 500 akcji (43625 sztuk), 38 akc. od 525 do 1000 akcji (29950 sztuk), 64 akc. powyżej 1000 akcji (368875 sztuk). Reszta akcji, to akcje w obiegu na okaziciela lub akcje dawnego typu, pozostałe do wymiany.

Losy Banku Polskiego i zyski Banku Polskiego koncentrują się w rękach kilkudziesięciu posiadaczy olbrzymiej większości akcji...

1937 dla gruntów prywatnych, obejmujących następujące obszary w poszczególnych województwach (w tys. ha): w woj. warszawskim — 11, łódzkim — 9, kieleckim — 6, lubelskim — 11,5, białostockim — 5, wileńskim — 7, nowogródzkim — 7, wołyńskim — 8, tarnopolskim — 8, lwowskim — 7, krakowskim — 2,5, poznańskim — 20 i pomorskim — 12, wykonany został tylko częściowo przez rozparcelowanie, wobec czego niezbędna dla pokrycia planu ilości gruntów prywatnych, wobec czego nie ma podstawy do poddania przymusowemu wykupowi nieruchomości ziemskich, położonych na terenie wymienionych województw.

Ustalony plan parcelacyjny na r.

nowopolskim 4.923, lwowskim 3.322, krakowskim 776, poznańskim 16.951, pomorskim 11.270 ha.

### PLAN PARCELACYJNY NA ROK 1938.

W myśl rozporządzenia Rady Ministrów z dn. 12 lutego 1937 r. plan parcelacyjny na r. 1938 obejmuje następujące obszary w poszczególnych województwach:

1) grunty państwowe i Państwowego Banku Rolnego: w woj. warszawskim 1.200 ha, łódzkim 900, kieleckim 1.800, lubelskim 4.000, białostockim 1.100, nowogródzkim 50, poleskim 1.300, śląskim 150, poznańskim 5000, pomorskim 1500.

2) grunty prywatne (w tys. ha): w woj. warszawskim 6, łódzkim 5, kieleckim 2, wileńskim 2, nowogródzkim 2, poleskim 3, wołyńskim 2, tarnopolskim 5, stanisławowskim 2, lwowskim 3, krakowskim 2, poznańskim 25, pomorskim 14.

### DRÓBNE ROLNICTWO ZNOWU PRZEGRĄŁO

Została podpisana umowa zbiorowa między Związkiem Stowarzyszeń Plantatorów Buraka Cukrowego i Związkiem Zawodowym Cukrowni, dotycząca kampanii roku 1937. Związek Drobnych Plantatorów Buraka Cukrowego nie brał udziału w podpisaniu tej umowy. Poszło się po linii — próba. Związek Drobnych Plantatorów Buraka Cukrowego przez Prezydium Centr. Tow. Organizacji i Kolek Rolniczych, zwrócił się do Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych, o prośbę o umożliwienie wzięcia udziału przedstawicieli drobnego rolnictwa przy podpisywaniu umowy zbiorowej. Ministerstwo zakomunikowało C. T. O. i K. R., że zwrócić się do Zw. Stow. Plant. Buraka Cukrowego z prośbą o umożliwienie wzięcia udziału delegatów Zw. Drobn. Plant. w tej konferencji. Gdy następnie zwrócono się do Zw. Stow. Plant. Buraka Cukrowego bezpośrednio, Związek ten zakomunikował, że umowa została już podpisana. Postulaty zatem drobnych plantatorów, według komunikatu ich związku, w umowie zbiorowej na rok bieżący nie zostały uwzględnione.

### OGRANICZENIA NA RYNKU PRACY W NIEMCZECH

Robotnicy, zatrudnieni w przemyśle metalowym, nie posiadają, w myśl zarządzeń, dotyczących planu 4-letniego, prawa zmiany posady nawet w tych wypadkach, gdyby nowa posada była lepiej płatna. Przepis ten dotyczy obecnie również i inżynierów, jeżeli otrzymują pobory poniżej 1 tys. RM.

Kto zaś zarabia powyżej 1 tys. RM — ten może zmienić posadę na lepiej płatną... Logika hitlerowska jest jasna.

Kościola i Państwa, lub jak to pięknie określił podczas uroczystości z buławą marszałkowską J. Em. Ks. Kard. Hlond — krzyża i miecza”. („Przegl. Powsz.”, str. 118).

Ta sama „kuźnia ideologiczna”, która podnosi z uznaniem wymienione określenie ks. prymasa, opowiada się również bez zastrzeżeń za wytycznymi polityki zagranicznej, sformułowanymi w znanym wywiadzie kard. Hlonda na łamach austriackiego dziennika katolickiego „Reichspost”. Za kierunkiem „odprezowania polsko - niemieckiego w ramach solidaryzacji Europy przeciwko bolszewizmowi”, oświadcza się tedy szereg czasopism katolickich, wyprowadzając z „geopolitycznego położenia Polski” — na międzyzwozu bałtycko - czarnomorskim — konieczność „współrozstrzygnięcia o losach świata”.

W jakim sensie powinniśmy „współrozstrzygnąć”, wyjaśnia wileński „Pax” szczerze i otwarcie. Tłomaczy się w Nr. 1 przed czytelnikami z tego, że celowo nie drukuje nadesłanego przez jedną z czytelniczek artykułu pacyfistycznego: „zamiast tego zamieszczamy artykuł p. prof. Świątniewicza, który nasuwa raczej konsekwencje militarne” (tytuł tego art. brzmi: „Socjologia gospodarki wojennej”). Nic dziwnego, ponieważ warunkiem zachowania indywidualności Polski jest, według prof. Świątniewicza, „wykrzesanie w sobie woli do potęg”, aby jako obóz warowny „skupił dokoła siebie narody, żyjące na międzyzwozu bałtycko-

czarnomorskim” pod hasłem, jak pisze inny publicysta „Pax-u”, „wolni z wolnymi” dla wyzwolenia m. in. „wielkiego narodu ukraińskiego za Zbruczem, jęczącego w niewoli najstraszliwszej, jaką znała dzieje” — wyzwolenia w imię „poczucia solidarności ruchów nacjonalistycznych wszystkich narodów”.

Nie ma zatem u nas miejsca na pacyfizm. „Z pewnością nasze pokolenie będzie musiało wy dobyć miecz z pochwy. Winniśmy być gotowi wy dobyć miecz nie tylko w obronie naszej niepodległości, ale także w obronie pokoju i wolności innych narodów. Gdybyśmy o tym zapomnieli, sprzeniewierzylibyśmy się naszej misji dziejowej, zdradzilibyśmy naszą ideę narodową, której hasłem — „za naszą wolność i waszą”.

„Pacyfizm ze strony katolików polskich byłby zdradą najbardziej eksponowanej reduty chrześcijaństwa — tak oto konkluduje „Pax” w artykule wstępnym. Cóż wówczas się stanie z „pokojem bożym” jako urzędowym celem Kościoła, z owym „Pax Christi in Regno Christi”? Wystarczy uprzytomnić sobie, że „Pax Christi” — to „pokój aktywny”, to walka nieustająca z „ofensywą sił wrogości, dążących świadomie do zniszczenia w ludziach i w społeczeństwach pokoju chrześcijańskiego” — aby ewangeliczny pacyfizm przeobrazić w jego odwrotność...

Jak wyjdzie czystość ideologii katolickiej na takiej swoistej interpretacji „Pax Christi”, jak proces

zrastania się Kościoła na różnych od cinkach z nacjonalizmem odbije się na roli Kościoła w życiu społecznym, czy „czynnik nadrzędny” nie stanie się w praktyce conajwyżej „czynnikiem współrzednym” i jak dalece zbiegną się wytyczne i drogi działania „dwa naczelnych władz publicznych” — oto pytania, niepokojące tych, którzy — jak powiada redaktor „Przegl. Powsz.”, ks. Edward Kosibowicz — „zobawienie Kościoła i państwa widzą w rewolucyjnym radykalizmie i hasel i czynów”.

Ci „młodzi, często szlachetni i pełni idealizmu fanatycy, których, jak zapewnia ks. Kosibowicz, „nie brak i u nas” pragnęliby, wzorem francuskich „rewolucjonistów chrześcijańskich” „zakończyć rewolucję Ludraina, nie reformując nauki kościelnej, wyzwoić Kościół z zabójczego uścisku kapitalizmu”, usunąć od steru nowo kościelne ludzi, którzy chcieliby służyć nie tylko Chrystusowi, ale i mamonie”. A chociaż „młodzi zapaleńcy” nie wypowiadają się publicznie na łamach prasy katolickiej, zdolali pono przeniknąć nawet do szeregów „Akcji Katolickiej”. Wszystkie nurtujące ich wątpliwości streścić się dadzą w jednym pytaniu: *Dokąd zmierza dziś Kościół*: czy w kierunku, w którym steruje dziś skrzydło nacjonalistyczne organizacji kościelnej, czy też w stronę szczerze antykapitalistycznej skrajnej lewicy chrześcijańskiej?

Bronisław Szandlerowski

Czyszczy gruntownie i nie narusza emalii



**Odol**  
PASTA DO ZĘBÓW

## „Radykalizm” w świetle polityki zbożowej

Chleb zastraszająco drożeje. Cena żyta na giełdzie warszawskiej w pierwszym tygodniu lutego b. r. wynosiła 23 zł. 50 gr. za kwintal wobec 12 zł. w tym samym tygodniu roku ubiegłego czyli zwykłała nieomal dwukrotnie. Taka zwykła cen żyta pociągnęła za sobą zwykłą cenę chleba w tym samym okresie czasu dla Warszawy o 33,3%, dla Sosnowca o 45,5%, dla Gdyni o 42,3% i dla Łodzi o 36%. W ten sposób zwykła cen zboża odbiła się wysoce ujemnie na budżecie ludzi pracy, zwłaszcza na budżecie robotniczym. Jednocześnie zwykła cen zboża — przy znacznie niższej w tym samym czasie zwykłej cenach produktów hodowlanych — odbiła się równie ujemnie na opłacalności hodowli, przede wszystkim hodowli trzody chlewnej, stanowiącej — jak wiadomo — główne źródło dochodu pieniędzy małych chłopskich gospodarstw. Według cen na giełdzie warszawskiej w pierwszym tygodniu lutego ubiegłego roku 1 kg. wieprza żywej wagi był równy co do wartości 6 i pół kg. żyta, w obecnym roku w tymże tygodniu 1 kg. żywa kosztuje już tylko tyle co 4 i 1/3 kg. żyta, osiągając w stosunku do żyta najniższy stosunek za ostatnie lata.

W interesie mas robotniczych i szerokiej mas chłopskich należałoby w tej sytuacji zahamować co prędzej dalszy wzrost cen zboża przede wszystkim żyta. A tym-

czasem dotychczas obowiązuje wysoka premia wywozowa w wysokości 5 zł. za kwintal wywiezionego żyta, w rezultacie czego od nowych zbiorów do końca stycznia wywieziono w tym roku przy sprzyjających cenach światowych 177 tysięcy ton wobec 96 tysięcy w tym samym okresie czasu w roku poprzednim i wywóz ten wzma- gałby się jeszcze dalej, gdyby na kilka tygodni rząd nie wymógł na Związku Eksporterów Zboża zahamowania zupełnego wywozu zbóż. Zdawałoby się, że logicznym następstwem takiego zahamowania będzie przede wszystkim zniesienie co prędzej wszelkich premii wywozowych na zboże i obrócenie tych pieniędzy na bardziej produktyjne i celowe wydatki. Tymczasem — jak się dowiadujemy — zahamowanie wywozu ma być w najbliższym czasie odwołane, a premia wywozowa na zboże obniżona z dn. 15 marca wszystkiego o 2 zł. — na 3 zł. od kwintala. Interesy pracownicze interesy chłopskie idą w kąt, chodzi o napchanie pieniędzy w kieszenie zubożałych obszarników zaangażowanych w interesy wielkich kupców zbożowych.

Niech sobie „Czas” uważa pana ministra Poniatowskiego za nieświadomego pomocnika Kominternu. Prawda o „radykalnym” Ministrze Rolnictwa i Reform Rolnych wygląda nieco inaczej.

Henryk Witkowski.

## Niemcy nie wypełniają swych zobowiązań

W związku z ustaleniem kontraktów towarowych pomiędzy Polską a Rzeszą Niemiecką i zawartym w swoim czasie porozumieniem filmowym z Niemcami, wysunęły obecnie organizacje polskich producentów liczne zastrzeżenia co do sposobu wypełniania tych zobowiązań przez stronę niemiecką. Okazuje się, iż w ciągu r. ub. w stolicy Rzeszy w Berlinie, wyświetlano tylko jeden obraz produkcji polskiej, podczas gdy

w Warszawie demonstrowano kilkadziesiąt obrazów niemieckich.

## Do Berezy

Donoszą nam z Krzeszowa Górnego o wystaniu do obozu izolacyjnego w Berezie Kartuskiej 30-l. rolnika Józefa Brzyskiego.

Poza tym osadzeni zostali w Berezie: Konstanty Porębski (Strzemieszyce), Walenty Osuch (Kazimierz), Marian Leśniak (Dąbrowa G.), M. Szycer i J. Nunberger (obydwaj z Będzina).

## Chłopi piszą

### WYCIECZKA UKRAJNCÓW Z UNIwersYTETU LUDOWEGO W MICHAŁÓWCE WOŁYŃSKIEJ W GACI.

Swego czasu przyszła do nas wiadomość z Uniwersytetu Ludowego w Michałówce na Wołyniu, że oni przyjadą wycieczką do nas w dniu 31 stycznia. Ano dobrze, pogadamy sobie, podyskutujemy, przecież oni ze wsi i my także. Przyjazd ich przypadał prawie w niedzielę w tę też niedzielę akurat urządzaliśmy przedstawienie i zabawę w Markowej — sztuka Żeromskiego p. t. „Przeziębca”. Ze względu na to, że już wszystko było przygotowane, więc postanowiliśmy sztukę odegrać, a tu w domu pozostało kilku kolegów i chrzestny na przyjęcie gości. Dziwno im się zdawało, gdyż byli wielki mróz, w dodatku trochę się rozsypani i nie razem przyszli, niektórzy z nich błędzili po polach, lecz widząc światło na naszej górze, poszli wprost i trafili. Tu zjedli kolację i poszli spać, mieszcząc się jak miejsca starczyło. My po zabawie też poszliśmy spać. Na drugi dzień zapoznaliśmy się wzajemnie i po śniadaniu na świetlicy zrobiliśmy wspólną dyskusję, chcąc w ten sposób poznać się wzajemnie. Było ich 25 w czem 3-ech tylko Polaków, a 22 Ukraińców i pani Jurszowa i pan Suski wykładowca tamtejszy. Wobec tego, że byli to sami prawie Ukraińcy ciekawość nas ich poglądy. Jeden z kolegów naszych opowiedział o powstaniu naszego Uniwersytetu, pracy i nauczaniu w nim i przedstawił naszą ideę wiciową. Z ich strony znów jeden opowiedział o ich uniwersytecie w Michałówce i ich pracy

i idei. Wywiązała się wtedy gorąca dyskusja. Myśmy mówili o nasze bóle, niedomagania, prześladowania z różnych stron, oni znów swoje bóle i niedomagania. Sens dyskusji był zwięzły i logiczny. I co się okazało? Oni, Ukraińcy, i my, Polacy, lecz chłopcy doszliśmy do porozumienia. Dlaczego? Bo łączy nas wspólna praca na roli, wspólna dola i niedola.

My młodzieży z młodymi Ukraincami porozumieliśmy się całkowicie, uznając jednego wroga, nacjonalizm, kapitalizm, faszyzm. Lecz między naszym uniwersytem a ich, między naszą ideą a ich zauważyliśmy i czuć było różnice. W ich pracy odgórnej zakrada się w dużej mierze nacjonalizm. W ich związku i na uniwersytecie w dużej mierze idzie praca odgórna. Dziwno im się zdawało, gdyż żaden im mówił na kolego a naszemu dyrektorowi nie dyrektor a chrzestny, chrzestna, tak, jak w rodzinie. U nich zato tak szablono- nowo, pan, pani dyrektorowa. Gdy chrzestna z nami śpiewała i inscenizowała, to oni się dziwili, że tu tak równo jest, swobodnie, jak naprawdę w domu, w rodzinie. Pomiędzy nami wyczuć można było, że oni nie swobodnie się wypowiadają, coś ich krępuje, jak się później okazało, to oni boją się nawet sami pomiędzy sobą mówić otwarcie, lewicowo z obawy ażeby ich nie posądzono jako antypaństwówców, bo i między nimi znajdują się szpicle.

Po dyskusji my zaśpiewaliśmy różne piosenki wiciowe a oni znów ukraińskie. W dniu tym przypadły akurat imieniny chrzestnego, na co czas poświęciliśmy z rana i popołudniu. Tutaj nasi koledzy urozmaicili resztę dnia przez prze-

mówienie jednego z kolegów, oni znów wierszowali od siebie, dalej różne gry, zabawy, śpiewy, inscenizacje. Oni pokazywali różne tańce, jak kozaka i t. p., śpiewali ukraińskie piosenki, my znów wiciowe. Zupełnie poculiśmy się tak jakbyśmy od początku razem byli i nie było mowy, że to inni Ukraińcy. Tak wspólnie dyskutując i śpiewając przeciągnęliśmy do późna w noc, nie mogąc zakończyć.

Nazajutrz zaraz z rana powsta- waliśmy, ażeby coś jeszcze pogadać nim odjadą. Po śniadaniu około godz. 10-ej zbieżeli się do odjazdu. Długo trwało to żegnanie. Zegnaliśmy się w bratnim uścisku, jako synowie chłopscy, klasa pracująca, nie jednemu by może iza w oku stanęła, lecz tu nie było mowy ni miejsca na łzę. W oczach wszystkich było widać radość, że my, synowie chłopscy, dogadaliśmy się wspólnie. Odjeżdżając, przyrzekali nie zapominać o sobie i do wspólnych celów dążyć. Celem naszym jest demokracja. Odjeżdżając z naszej górki sami stworzyli piękny widok; dopóki było ich widać, powiewały chusteczki, czapki i ręce na dowiedzenia. Tak żegnaliśmy się z chłopskimi synami z Ukrainy.

Z wiciowym pozdrowieniem

Banasiak Aleksander,  
słuchacz W. U. O.

Czytajcie  
**DZIENNIK  
POPULARNY**

# Tabela wygranych

## 5-ty dzień ciągnięcia I klasy 38 Loterii Państw.

**I i II ciągnięcie**  
**Główna wygrana**  
 120 29246 73 29192 271 374 571 938  
 40238 743 41252 300 417 99 961  
 42495 886 43046 296 44007 658 46105  
 802 47045 650 821 48098 258 452 828  
 49581 789 986

50380 540 51257 45952 235 392 928  
 38 53207 398 408 793 841 54001 294  
 453 59 723 55378 622 56009 649  
 57016 98 468 686 7948 87 58234 324  
 658 59743 60146 50 61433 538 668  
 62120 63183 981 63291 746 65052 464  
 68963 7120 815 447 508 801 957  
 68377 413 620 776 958 69190 609  
 71 204 752 69 913 72191 240 694 990  
 78462 838 79

75722 76931 77062 202 419 791  
 78182 703 70 818 80281 641 81494  
 632 55 814 82187 677 83133 72 396  
 725 84577 83788 285 246 896 86322  
 523 745 75 87706 88132 290 459 550

384 448 659 1496 514 82248 396 748 189321 767 943 190222 391  
 89 327 33158 34865 493 673 906 57 86 191043 52 136 192582 765  
 715 957 35434 6073 452 669 193193 226 578 194522.

**III ciągnięcie**  
**Wygrane po 100 zł.**  
 322 1238 53 3093 753 924 4429  
 6464 9458 822 10649 11327 12069

417 97224 497 727 71 98224 345 873 474 90 117498 534 118155 589 989  
 99088 100180 101667 102095 256 63 120361 141 709 89 122405 735 858  
 734 103818 104650 808 105305 904 120619 127724 98 129040 397 130125  
 106289 659 882 107856 60 900 108493 798 899 914 134589 135278 136761  
 110538 111066 243 112777 820 918 137075 495 139288 140069 134 141100  
 118021 442 824 114730 951 115206 491 517 752 142551 143807 144509  
 704 847 116481 852 117742 86 939 663 145896 146024 149070 151325  
 120134 51 305 121378 122524 124743 155138 563 893 156559 159250 160344  
 125745 126509 905 127274 786 802 161292 592 162486 163613 738 164648  
 129595 896 130288 870 132837 133322 165298 983 166245 167264 735 169051  
 635 134511 684 135445 604 136077 171 109 594 172151 173092 176459  
 137573 610 736 884 139987 140180 177748 945 178701 180927 181706  
 591 705 142537 144145 374 755 844 185804 5 186956 188552 924 191344  
 146041 147274 148059 68 268 94 326 461 725 803 921 192248 404 700  
 940 149084 297 360 626 925 194913.

**4-a siwygrana dzienna w kwocie**  
**zł. 2.000** na Nr. 191072  
 padła wzmiennie szczęśliwej kolekturze  
**„NADIEJA” w Warszawie,** Marszałkowska 117  
 która nigdy nie zawodzi!

50022 80 51132 36 651 52294 145 852 13279 15867 16023 429 932  
 55054 172 237 56 52 54006 200 17780 18564 20200 532 782 21620  
 55943 87 836 56140 810 57 903 23515 24130.  
 57015 278 440 544 610 43 58230 25567 687 26634 27637 28110 348  
 55 478 500 955 59768 2 738 61120 715 29657 30347 31015 273 388 32389  
 523 721 73 95 62031 403 69 63177 33287 35493 37080 389 38289 843  
 263 465 670 789 6458 279 325 40292 81 738 42525 39 863 87 44354  
 389 65204 815 919 60 4 458 67391 863 45193 476 46599 602 47436 716  
 492 744 63 923 6936 611 973 49739 51 921.  
 70142 223 316 662 73744 352 568  
 72082 98 200 757 73254 861 74214  
 73 329 61 624 734966 :

75391 650 652 966 7 510 640  
 51 954 77120 642 78290 666 879  
 79231 675 779 906 801275 633 832  
 81144 201 27 435 903 82216 89  
 83728 889 84058 494 85893 86395  
 822 87302 938 88092 2797 89937  
 90089 132 200 687 911 286 399  
 92986 9332 506 757 96 44 543 76  
 685 95102 26 734 961330 93 811  
 955 97203 257 675 982693 432 57  
 993 99289 982

100739 813 56 101471 2694 905  
 103797 104106 798 905 ; 105922  
 106003 55 265 459 824 9234 107521  
 32 44 789 108179 205 5767 888  
 109279 360 505 965 1102 474 506  
 91 767 873 11139 555 1 84 811  
 112272 532 695 776 969 3080 106  
 238 42 792 863 926 114040 36 67 432  
 115030 250 568 116323 516 990  
 117001 380 467 762 841 8036 126  
 645 119519 53 958 36 12004 625 844  
 989 121144 453 649 12763 952  
 124006 171 397 427 70 86 63

125566 95 614 126063 11 242 41  
 127014 880 128556 87 805 13972 618  
 855 82 130139 384 131015 58 719 238  
 834 967 133192 334 493 14096 173  
 969 135095 213 634 163338 76 13742  
 162 24) 316 464 567 138554 48 20  
 139212 339 796 838 140932 14216  
 521 650 143070 620 144566 99 973  
 145117 239 42 48 845 146054 89 15  
 496 634 52 963 147023 111 21 81

150004 437 586 631 705 801 17  
 151331 732 152049 7 242 616 94  
 153414 546 867 951 877 620 8  
 746 894 155070 229 158046 211  
 432 772 817 158062 305 841 781  
 159005 104 538 647 978 180127 882  
 541 48 161105 609 84 760 738 91  
 162589 163063 123 299 347 73 394  
 164038 109 92 291 520 633 882 165235  
 36 500 89 576 915 166044 572 731  
 516 167813 994 168135 657 1693  
 514 625 880 907 170153 321 617 769  
 863 831 94 171129 538 58 724 50 879  
 934 173036 46 625 767 847 174168  
 606 894 932 81.  
 175535 743 176018 81 116 66 258  
 368 500 177033 34 81 159 85 294  
 305 992 178170 479 81 709 179139  
 866 985 180185 470 74 181327 33 660  
 182446 533 719 184419 608 87 833  
 185049 573 186027 92 169 217 808  
 974 187216 319 79 481 569 98 188127

**Po 50 zł.**  
 71 528 663 770 1292 3565 889 4025  
 618 64 5256 7132 245 488 541 821  
 9157 868 10709 868 11462 874 939  
 12709 986 13965 14013 326 16210 761  
 93 17034 510 987 18605 19268 861 985  
 20923 22072 94 232 497 758 23607 808  
 24304 887 930 71 72 86 26615 27765  
 28079 209 453 29760 30875 31861 32  
 199 39705 34377 659 916 36 35631  
 36483 711 37427 38330 782 857 84  
 39275 4010 41663 43264 45930 47183  
 443 575 48 615 26 49104 56 22 981  
 443 575 48 615 26 49104 56 22 981

50579 800 48 913 51240 410 682  
 52314 766 54319 55 548 56205 686  
 872 988 989 57195 233 59531 672  
 60044 155 256 614 61499 787 62315  
 83 88 64613 65322 66026 67250 68095  
 171 586 815 6799 70143 423 738 881  
 71214 353 56 644 704 889 72193 673  
 89 759 988 74320 535 41

75461 665 76130 681 78507 15 753  
 79352 80409 645 81175 743 82531 754  
 88419 545 825 86382 96 839 886 933  
 87112 327 65 444 741 89747 90895  
 91048 751 870 9271 476 93549 94381  
 718 95673 96181 98427 99566 979

101121 102223 103010 804 104841  
 83 105051 337 107499 965 108449 873  
 109148 629 111711 112302 523 114532  
 700 895 115327 622 785 116559 714  
 117817 118142 793 119777 120556 773  
 21259 73 122923 83 123022 465  
 124609

125616 127205 81 776 97 129044  
 564 943 130059 262 921 132465 546  
 133391 512 137012 19 311 537 980  
 138537 139338 250 140250 697 141086  
 822 817 982 142768 143209 144174  
 271 907 145521 717 146663 147225  
 654 148503 38 150691 151014 77  
 141769 154005 155062 181664 733 896  
 157073 159 158133 330 717 927  
 159576 160319 583 982 161096 600 62  
 163136 405 164034 246 680 165392  
 231 55 310 50 166429 167955 168347  
 169326 872 172294 173005 174053 351  
 1605 74 698 794 176077 848 176011  
 158665 844 178700 180220 604 19  
 909 182404 183180 185361 89 186746  
 188358 189471 190221 638 77 191595  
 193410 998 194173 .

**IV ciągnięcie**  
**Główna wygrana**  
 Po 20.000 zł. 186528.  
 Po 10.000 zł. Nr. 160631  
 Po 1.000 zł. Nr.: 2306 15245 32489  
 42818 46111 69477 162085  
 Po 500 zł. Nr.: 3312 50003 79702  
 109751

Po 400 zł. Nr.: 48424 56210 61741  
 73222 130033 133609 137261 141150  
 146134 176573 182450 193765  
 Po 200 zł. Nr.: 6326 14953 17200  
 25506 30233 95611 140633 166195  
 Po 150 zł. Nr.: 2190 3099 5160  
 19658 24696 24697 28715 30450 30739  
 32979 37808 50547 63061 74333 77433  
 82641 87576 91509 94320 109188  
 114229 118615 128409 132420 138779  
 146588 149889 150030 151819 153499  
 154209 154221 162231 162974 165057  
 169678 171512 177448 184963 185324  
 193112

**Wygrane po 100 zł.**  
 50 749 1955 88 2632 717 3889 4307  
 8066 619 993 9117 401 11261 56 336  
 12056 476 509 634 16374 718 20521 672  
 24035 288 358 26345 778 26314 574  
 27257 319 29306 32 200 981 33166  
 966 67 34733 85 948 35014 376 39287  
 40424 95 41975 42963 44884 45765  
 47552 877 901 43989  
 50306 616 770 51542 58875 54652  
 777 55240 600 66821 652 57463 739  
 907 43 58072 60127 62545 64031 172  
 65984 66296 67070 638 68051 70796  
 71246 899 78278 74392  
 76027 76450 77405 78083 786 81221  
 84522 85216 472 736 87372 88231  
 90647 85 960 89 95055 276 96475 571  
 715 97140 857 98281 488 99567  
 102155 535 103428 557 759 104424  
 109787 112570 860 114667 115116 812

## Główna wygrana I klasy 38 Loterii

# zł. 100.000

padła dziś na los Nr. 96806,  
 sprzedany przez znaną i popularną kolekturę  
**„UŚMIECH FORTUNY”**  
**MICHAŁA MORAJNEGO**  
 Lublin, Kapucyńska 3  
 Bydgoszcz, Pomorska 1. Toruń, Żeglarska 31

**Po 100 zł.**  
 63 1422 2746 880 3430 639 58 4205  
 54 929 5041 66 308 687 717 6508 726  
 73 7710 8484 370 877 9273 424 93  
 10437 555 11136 815 12292 905 13131  
 361 75 79 502 14209 15 308 401 15424  
 531 643 16080 689 961 17673 891  
 18098 178 593 19452 693 714 990  
 20869 21548 650 954 62 22677 28917  
 44 24332

26264 488 711 93 27242 480 28061  
 327 529 29001 123 47 890 580 669  
 807 11 30272 509 31624 38277 80  
 84599 746 35149 821 912 36031 37041  
 767 869 89213 629 24 827 48 980  
 90513 661 890 91928 828 84 000  
 93382 727 94118 336 481 794 997  
 95143 253 349 586 96523 97043 98021  
 106 825 85 92 99061 702 855  
 100341 574 894 101313 563 102221  
 103133 104760 105093 919 76 106715  
 997 107529 108765 985 109029 477  
 110387 737 69 112238 341 424 37 576  
 113928 114449 718 941 115637 116408  
 91 555 790 117226 603 118001 143 62  
 331 119675 120062 848 972 121973  
 124554

125219 45 126030 264 711 127454  
 128546 909 130142 214 346 498 706  
 806 131006 985 132095 924 133716  
 802 134798 844 979 135155 136053 604  
 973 137312 62 929 138127 405 525  
 713 872 139967 140821 141246 833  
 143157 144603 38 928 145449 146942

**Po 50 zł.**  
 53 640 988 1114 672 720 35 2106  
 61 262 3120 244 726 50 864 4215 385  
 425 915 5145 50 6047 94 106 381 649  
 785 841 7890 918 8298 9003 39 105  
 438 741 10183 353 79 570 11035 139  
 410 69 828 12106 14 776 869 13175  
 383 691 14414 802 15122 208 57 850  
 559 640 876 16246 347 496 529 63  
 17663 813 18187 55 78 225 355 707  
 15510 472 547 907 20036 291 969  
 21908 22035 265 72 532 23196 345  
 24012 75 105 472 672 810 988 93  
 25071 114 96 412 803 13 36 26144  
 365 902 27180 286 450 783 28011 73  
 387 846 29055 153 520 929 68 30136

## TORTY wymiennie HAMANKI tradycyjne, makowce ADAM BOJMOWICZ Uwaga adresy: Pl. Żel. Bramy 3 i Długa 50

**Emil Zegadłowicz (68)**  
**EGZYSTENCJE**  
 Powieść współczesna  
 Część pierwsza!  
**WIELOBOKI**

Mówię tedy, nie podnosząc głosu ku wargom, w głębi ducha mojego: o, biegnący, jakże bezpłodnie są wysiłki wasze! — i pocóż wy tak biegniecie, nadwyręcając zdrowie, dla każdego tak cenne i pożądane, na co zda się wasza mordęga i wasz niezaprzeczalny talent, umiejscowiony tak precyzyjnie w odnóżach waszych — oto jesteście szybkobiegaczami — i cóż z tego; tamci was nie dopuszczają do ocebrowania pod furkotącym sztandarem — którzy zda się być jedynym celem waszych wyścigów; obyście raczej stanęli do długodystansowych biegów na międzynarodowej arenie olimpijskiej — zyskali byście aplauz, złote medale i bujną sławę na przeciąg długich czterech lat; i również nie byscie robicie potrzebowali! — tak oto przemawiałem w głębi ducha, siedząc na przyźbie domu z złożonymi na piersiach rękoma — do tych biegnących tak przemawiałem. — Tymczasem pierwsze gromady, roniąc gęsto tych, których zmógł zmęczenie, lub wywróciła żartobliwie podstawiła nogą jakiegoś żwawego i radosnego osiołka — dobiegła do zasięku z drutów — tutaj zatrzymali się przez chwilę — powiatał ich homerycki śmiech tych, którzy trzymali się moc-

no ocebrowania; co się dalej w tym miejscu działo i podziato nie wiem, bowiem moja uwaga skierowała się na inny obiekt. Oto dookoła tego olbrzymiego, można to tak nazwać, stadionu, stała zwartą masą, stała, a również obsadła, jak okiem sięgnąć okoliczne pagórki i wzgórza — reszta narodu — tak na oko, plus - minus, jakies dwadzieścia pięć lub sześć milionów; dużo. Stali i siedzieli w pozycji nieco podobnej do mojej to znaczy z założonymi na piersiach rękoma; przypatrywali się tej całej, przepaszam za wyrażenie zeszycik, ale samo mi się to słowo nawinęło, hecy. Patrzą. Chłopi, robotnicy, trochę, jak mogę zaobserwować, zdeklasowanej inteligencji, drobnego mieszczaństwa też odrobina. Dwadzieścia pięć albo sześć milionów ludzi. Patrzą bo patrzeć wolno — ostatecznie z pracy ich rąk ufundowana jest ta cała przestrzeń, ten, że tak powiem, ksaj, maszt, chorągiew, ocebrowanie, zasoby w nim ukryte — wszystko! No to wolno im patrzeć; tyle korzyści z ich pracy; całą resztę pochłonęły wydatki na to, co określiłem słowem: wszystko. W pewnej chwili słyszę, gdy tak siedzę na przyźbie z założonymi na piersiach rękoma, jakies odległe pomruki, jakby głuchy grzmot szedł i toczył się tuż nad ziemią, na wysokości brzucha i piersi ludzkich; znam ten odgłos: to głód w kiszczkach; dwadzieścia pięć lub sześć milionów takich kurczowych przelewających się z pustego w próżne daje wcale niezły efekt, aż się zdziwiłem. Zafałowały masy ludzkie — i natychmiast odgłosy i pogrzmiwania podniosły się o kilka centymetrów wyżej — ku piersiom; a ten głuchy głos był już bardziej zbliżony do gniewu. Oho, myśle sobie, niedobrze! z tego to już coś będzie. I zez-

czywiście — natychmiast po przetoczeniu się tego drugiego głuchego grzmotu — wstały na całą przestrzeń dookoła i po wszystkich okolicznych wzgórzach, pagórkach i zboczach te olbrzymie miliony — dwadzieścia pięć lub sześć milionów — ma sy — pochylili się głowy, zacisnęli pięści, jak to bywa w momentach decyzji zbiorowej — i cała ta nieprzeliczona falanga ludzi poczęła posuwać się naprzód ku stadionowi — w skupieniu, milczeniu, ciszy — lecz choć posuwali się naprzód po miękkim podłożu, to jednak stapanie pięćdziesięciu milionów nóg wywoływało głębokie i miarowe dudnienie, jak gdyby cała ziemia nabrzmiewała żalem, gniewem, postanowieniem. Nigdy jak w takiej chwili nie odczuwałem z całą mocą i przekonaniem niezachwianym, że człowiek wyrósł z ziemi i jej jest ożywiającą grądą. Teraz już sam ja tylko jeden na całą przestrzeń siedziałem na przyźbie z założonymi na piersiach rękoma. Dwudziestopięćmilionowy pochód szedł — pogrzmiwała ziemia — w kole tych tam przy ocebrowaniu jakoteż wśród biegnących w wielkim wyścigu — zrobiło się nagle zamieszanie — głosy jakies, hasła, nawoływania; aż zakotłowało się wszystko. Stojący pod masztem i nachyleni nad ocebrowaniem zaczęli pospiesznie z głębi, jak by ze studni, takie to głębokie było, wyjmować lub spieszenie broń i rzucać ją tym, którzy dobiegli lub dobiegali do drutu koczastego — tak, że po krótkiej chwili wszyscy i ci wokół masztu i ci na stadionie byli uzbrojeni, jak to się mówi, po zęby. Zaraz też pojawiły się wśród gromad postacie niezauważone przed tym przeze mnie.

Przed sądem nieostatecznym

Sherlok Holmes w spódnii  
czyli Scotland Yard po domowemu

U pani Wandy miał miejsce gwałt boki przełom duchowy. Przeniosła się bowiem w tym czasie do innej czytelni. Postanowienie zapadło wtedy błyskawicznie, gdy bibliotekarka podała jej, starej i wiernej czytelniczce tej czytelni od lat sześciu książkę „poważną”. Dla bezstronności przynajmniej trzeba, że dotychczas spisywała się ta wypożyczalnia książek niczego sobie. Pani Wanda poknęła przez ten szmat czasu około dwóch tysięcy książek. Miłość, miłość, nie tylko miłość. Dwa tysiące odmian miłości. Prof. Van de Velde jest wobec niej chyba początkującym laikiem. Dość, że pani Wanda, wzięła książkę w czytelni, wyszła na ulicę, ale uszedłszy zaledwie kilkanaście kroków, zwąchała książkę nosem. Wróciła, oddała i z miejsca wypisała się. Żeby po sześciu latach dać klientowi stałemu i porządnemu książkę „poważną”. To już co najmniej lekceważenie.

I zapisała się do innej czytelni. Nastąpił w niej kompletny przełom kulturalny. Tu ją przyzwyczajili do lektury książek kryminalnych.

I zaczęło się nowe życie. Każdy włos na ubraniu męża stawał się załącznikiem wielkich wyczynów detektywistycznych. Takie same skutki miał każdy zapach męzkich chusteczek lub krawatów.

Wieczorem siódmego sierpnia czytała pani Wanda pełną napięcia powieść Wallace'a. W przed-

poкою coś zakaszła. Pani Wanda uważnie przysłuchiwała się. Starła się analizować każdy szmer dobywający się z przedpoкою. Po chwili odróżniła już kroki. Starła się odgarnąć rodzaj obuwia. Była już prawie pewna, że jest to człowiek wysoki o silnych kościach.

Tak słuchała i analizowała coś z piętnastu minut. Wtedy uznała że jest czas. Wyszła do przedpoкою i zobaczyła, zgodnie ze swymi przewidywaniami, że wszyscy imi płaszcz i jesionki zabrano. Wybiegła na ulicę, zawołała policjanta i zaprowadziła go do jej suteru, sąsiedniej posesji. Tu znajduje się złocznica! — rzekła.

Rzeczywiście znajdował się tam w większym gronie kobiecym, męczyzna. Jednakowoż skradzionych rzeczy tam nie znalaziono.

Wczoraj stanął przed sądem grodzkim p. B. B. ów znaleziony w suterze mężczyzna.

Na rozprawie nie dowiedziano mu jednak nic poza tym, że jest mężczyzną, przebywającym od czasu do czasu w towarzystwie kobiet.

Uniewinniono go.

Pani Wanda nie zniechęciła się do nowego zawodu detektywa. A nawet zaczyna coraz bardziej się czytywać w komunikatach Katołickiej Agencji Prasowej, chcąc się wyspecjalizować również w śledztwie politycznym.

Stach.

ŻYCIE STOLICY

PRZEDŁUŻYC TRASĘ  
TRAMWAJU Nr. 2

Zarząd Stow. Przyjaciół Powązek przedłożył delegatowi prezydenta miasta na dzielnicę północną wniosek w sprawie usprawnienia komunikacji tramwajowej na Powązkach. Dotychczas linia Nr. 2 dochodziła do IV bramki przy ul. Powązkowskiej i krzyżowała się z 10-minutowego pociągu.

Zarząd Stow. Przyjaciół Powązek proponuje, aby od IV bramki tramwajowej przebiegała linia przedłużona do końcowej stacji linii I, t. j. do ul. Elbląskiej, przy pomocy dodatkowej obsługi (morniczego i konduktora), analogicznie do linii tramwajowej „olnej”, na której wozy krążą z przerwy, zmiana zaś personelu następuje bez szkody dla ciągłości ruchu.

LODY RUSZYŁY NA WISŁĘ

Wczoraj Wisła pod Warszawą przy poziomie 2,15 mtr. zaczęła stopniowo ruszać. Po częściowym pęknięciu pokrywy lodowej, olbrzymie kry, szczególnie od rony Warszawy, gdzie woda rdy nie zamarza, zaczęły stopniowo spływać. W godzinach popołudniowych nastąpiła lokalna podwyżka poziomu lodowej. (Ile w ciągu nadchodzącej doby odpłyną z góry Wisły większe masy lodu, całkowicie ruszenie wód Wisły w Warszawie może nastąpić w dniu dzisiejszym. Znaczący należy, że Wisła była pod lodem 33 dni.

UWAGA! PRĄD WYSOKIEGO  
NAPIĘCIA

Do wiadomości pracowników P. K. P. podano ostrzeżenie o szczególnie niebezpiecznych wypadkach porażenia prądem elektrycznym, co jest obecnie szczególnie aktualnym wobec wprowadzenia trakcji elektrycznej na linii Pruszków — Warszawa — Otwock. Przy udziale pierwszej pomocy porażonym zwracać należy uwagę, by osoby porażone prądem trzymały przedmioty izolowane. Ostrzeżenie podkreśla, iż wypadki porażenia prądem, mogą mieć miejsce już przy dotknięciu przewodów o napięciu 42 wolt.

KIEDY ZOSTANIE WYBUDOWANE OSIEDLE DLA KOLEJARZY?

Znaczna liczba kolejarzy, zamieszkała w Warszawie, zatrudniona jest w warszawskich warsztatach kolejowych, które ostatnio poważnie rozszerzyły się w związku z przebudową warszawskiego węzła kolejowego. W związku z tym w Pruszkowie daje się dotkliwie odczuwać brak odpowiednich mieszkań: małych i niedrogich. Organizacje zawodowe kolejarzy podjęły jeszcze w r. z. starania o budowę w Pruszkowie osiedla małych mieszkań z kredytów T. O. R., aby umożliwić kolejarzom zatrudnionym w Pruszkowie przeniesienie się z Warszawy, gdyż tracą oni obecnie wiele czasu na przejazd.

REJESTRACJA POSŁAŃCÓW

W środę, 24 b. m., winni zgłosić się w dziale ruchu kolejowego wydziału przemysłowego Zarządu Miejskiego przy ul. Ogrodowej 3/41 w godz. od 9 do 13 wszyscy posłańcy w celu uzyskania pozwolenia na uprawianie tego zawodu w 1937 r.

Przy zgłoszeniu się należy złożyć pozwolenie z r. z. i przedstawienie potwierdzenie zameldowania z obecnego miejsca zamieszkania.

Z ostatniej chwili

Krwawa pacyfikacja  
w Abisynii

PARYŻ. (PAT). Z Rzymu donoszą: depesze z Addis - Abeby potwierdzają wiadomość, że powstańcy oddział abisyński, dowodzony przez rasę Gabre Mariam został otoczony w obszarze jezior i po walce, która trwała przez całą

noc z soboty na niedzielę, poniósł klęskę. Ras Gabre Mariam został zabity. Włosi wzięli do niewoli 4 przewódców zbuntowanych szczerców, m. in. znanego agitatora Merida. Wszyscy czterej zostali w niedzielę o świcie rozstrzelani.

Masowe aresztowania  
w Niemczech

W Berlinie oraz okolicach policja niemiecka aresztowała 51 wybitniejszych członków b. niemiecko - narodowej partii ludowej, oskarżając ich o prowadzenie agitacji przeciwko reżimowi narodowo-socjalistycznemu.

karząc ich o prowadzenie agitacji przeciwko reżimowi narodowo-socjalistycznemu.

Nie wolno...

Sąd w Sztuttgarcie ukarał trzech młodych Niemców za prowadzenie werbunku ochotników do armii

rządu madryckiego na karę więzienia.

Surowców nie mają - więc pocór

PARYŻ. (PAT). Agencja Hava - sa donosi z Genewy: sekretariat Ligi Narodów zwrócił się do rządu Rzeszy zapytaniem, czy zgodnie z decyzją Rady Ligi z dn. 28 stycznia, rząd niemiecki na równi

z innymi państwami weźmie udział w pracach komisji dla zbadania sprawy surowców. Rząd Rzeszy nadesłał obecnie odpowiedź, w której oświadcza, iż nie zamierza brać udziału w pracach misji.

Przyjaźń sowiecko-estońska

TALLIN. (PAT). Marsz. Jegorow przybył do Tallina z rewizytą

do szefa sztabu armii estońskiej, gen. Reeka.

Na Zamku

Prezydent Rz. P. przyjął w dniu dzisiejszym w obecności Marszałka Śmigłego - Rydza, Prezesa

Rady Ministrów gen. Sławoj-Składkowskiego, który referował o bieżących pracach Rządu.

Do Berezy

W poniedziałek z terenu województwa stanisławowskiego zostali wysłani do obozu odosobnienia w Berezie Kartuskiej Józef Fikier, Jarosław Kusznik i mgr. Salomon Eisenstein z Kulusza, Szymon Frost-Schlegel z Kołomyi, Iwan

Fleszuk i Mikołaj Semenczuk z Do mowic, Stanisław Kolomyja, Ignacy Sokotek i Simon Eckstein ze Starych, Salomon Zuckerberg, Izidor Branner i Chaskel Laufer ze Stryja oraz Franciszek Limberger z Demni Wyżnej pow. Stryj.

Program radiowy

ŚRODA, 24 lutego.

6.30 Pieśń. 6.33 Gimnastyka. 6.50 Muzyka (płyty). 7.15 Dzień. por. 7.25 Parę informacji. 7.30 Konc. muz. lekcyj w wyk. Ork. P. R. pod dyr. M. Mierzejewskiego. 8.00 Aud. dla szkół. 11.30 Audycja dla dzieci młodszych. 12.00 Hejnał. 12.03 Miśka lman (skrzypce) i Walter Gieseking (fort.). 12.40 Dzień. połud. 12.50 Jak można zżytkować soję w gosp. miejskim? 15.00 Wiad. gospod. 15.15 Konc. w wyk. zespołu H. Adamskiej-Grossmanowej. 15.15 Skrzynka techniczna. 16.10 Kozucha — kłamał — bajka dla dzieci młodszych. 16.25 Rozwiąz. zagadki histor. dla dzieci z dnia 27.1.1937 r. 16.30 Najnowsze piosenki rewersów (płyty). 17.00 Nocleg wojsko żąda od społec. cyw. — odczyt. 17.15 Konc. solistów. I. Gadejska — śpiew. M. Szaleski — altówka. Akomp. prof. Urstein. 17.50 Oszustwo — pog. akt. 18.10 Mój trening lekkoatletyczny — pog. 18.20 Kon. reklam. 18.45 Program na jutro. 18.50 Jak zwiększyć wydajność sadów. 19.20 Konc. Oktetu Squire'a (płyty). 20.00 Aud. poświęcona Estonii. 20.35 Chwila Biura Studiów. 20.45 Dzień. wiecz. 20.55 Pog. akt. 21.00 Konc. chopinowski w wyk. Emila Freya. 21.30 Premiera słuchow. „Legenda” Wystąpienia. 22.25 Konc. w wyk. Małej Ork. P. R. pod dyr. Z. Górzynskiego z udz. Anatola Wrońskiego (śpiew).

Ork. salonowa pod dyr. T. Rydera (z Łodzi). 12.40 Dzień. połud. 12.50 Przegląd wydawn. roln. 15.00 Wiad. gospod. 15.15 Konc. rozrywkowy (płyty). 16.00 Skrzynka gołina. 16.15 Życie kult. stolicy. 16.20 Nad albumem znaczków pocztowych. (Audycja dla dzieci starszych). 16.35 Konc. ork. P. P. pod dyr. A. Dębickiego. 17.00 „Źródło przestępczości dzieci”. 17.15 Konc. kameralny: Wyk.: Kwartet smyczkowy P. R. 17.50 O książce Anny Oederfeldówny: „Młodzież przedmieścia” — dr. A. Hertz. 18.00 Pog. akt. 18.10 Kom. śmiegowy. 18.13 Wiad. sport. 18.20 Orbis mowi. 18.23 Konc. reklam. 18.45 Program. 18.50 Pog. akt. 19.00 Konc. solistów: J. Czapliski (śpiew), Zdz. Roesner (skrz.). 19.45 Nocleg w Apeninach — operetka M. Swierzyńskiego — tekst Al. Fredry. 20.30 „Przeszłość i piękno Przemętu” — pog. 20.45 Dzień. wiecz. 20.55 Pog. akt. 21.00 Kompoz. St. Nawrockiego. 21.45 Wileńska ork. pod dyr. W. Szczepańskiego i chór „Hasi” pod dyr. J. Żebrowskiego. 23.00 Melodie tan. (płyty).

Czytaj,  
Prenumeruj,  
Rozpowszechniaj  
„DZIENNIK  
POPULARNY”

WIADOMOŚĆ RADIOWE

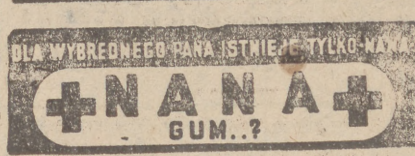
NOWA STACJA RADIOWA W WARSZAWIE.

Nowa stacja radiowa w stolicy — Warszawa II — jest już zmontowana i znajduje się obecnie w okresie badań i pomiarów technicznych.

Sprawa rozpoczęcia stałych nadań przez stację Warszawa II będzie przedmiotem studiów praktycznych z punktu widzenia technicznego i programowego.

Badania te przeprowadzone będą w ciągu marca.

Stacja ta, zbudowana na forcie Mokotowskim, pracować będzie na falii 216,8 m. mocą od 5 do 8 kw.



Z SALI SĄDOWEJ

NACZELNIK  
URZĘDU ŚLEDZCZEGO  
NA ŁAWIE OSKARŻONYCH.

Przez długie lata Zygmunt Nosek był naczelnikiem urzędu w Łodzi, potem we Lwowie. Zwykli śmiertelnicy drżeli przed panem naczelnikiem. Starczyło jednego słowa, jednej decyzji, lekkiego skinięcia ręki pana Noska, aby zwykły, szary człowiek znalazł się w areszcie. Stowem: pan naczelnik miał władzę.

Nagle wszystko się odwróciło. Nosek stracił na tupecie i pewności siebie. Nie stał już więcej na czele urzędu łódzkiego. Natomiast usiadł na ławie oskarżonych.

Akt oskarżenia jest długi. Zarzuty wytaczone panu naczelnikowi, są liczne i poważne.

Od dawna już w Łodzi grasował i budził lęk i postrach mieszkańców Maks Borsztejn, słynny pod nazwą „ślepy Maks”. Urząd śledczy miał do kładne wiadomości o przestępnej działalności Borsztejna, ale mimo to, bezkarnie grasował on dalej na terenie łódzkim. Nie tylko że nie zamknięto go pod klucz w areszcie, ale wręcz przeciwnie: widywano go w najelegantszych lokalach wraz z Noskiem.

Pan naczelnik Nosek i „ślepy Maks”. Stróż ładu i bezpieczeństwa wraz zawodowym przestępcą.

W końcu przebrała się miarka. Naczelnik Nosek został oskarżony o to, że posiadając oficjalną wiadomość o popełnianym przez Borsztejna na wymuszaniu, nie wszczął postępowania karnego, czerpiąc z tego zysk materialny.

Sąd Okręgowy w Łodzi uznał winę oskarżonego za udowodnioną i skazał Noska na 1 rok i 6 miesięcy więzienia, zmniejszając karę o połowę z mocy ustawy amnestyjnej. Na rozprawie okazało się, że „ślepy Maks” był hersztem przestępców łódzkich, a jednocześnie konfidentem policji.

W dniu wczorajszym, na skutek skargi apelacyjnej oskarżonego i urzędu prokuratorskiego, sprawa ta była przedmiotem rozpoznania Sądu Apelacyjnego.

Oskarżonego bronił adw. Wielikowski.

Sąd Apelacyjny zatwierdził wyrok Sądu Okręgowego w całej rozciągłości.

Pan naczelnik pozna drugą stronę życia więziennego.

PROCES ADW. SZWAJDLERA  
O OSZCZERSTWO.

W dn. 26 lutego w Sądzie Grodzkim w Łodzi odbędzie się rozprawa przeciw radnemu miejskiemu Janowi Szwajdlerowi z oskarżenia radnego adw. Wajcmana.

Proces w pierwszym terminie, w dn. 27 stycznia, został odroczony, celem przesłuchania świadków.

Przedstawiciel oskarżyciela, adw. Wachtel, powołał w charakterze świadków radnych: adw. Hartmana, adw. Sztraucha, Chodyńskiego i Potkańskiego, którzy zeznać mają, że w czasie pamiętnego incydentu w Radzie Miejskiej oskarżony Jan Szwajdler istotnie dopuścił się obrazy, nazwijając radnego Wajcmana, „dezertorem”.

DZIAŁ LEKARSKI

Przychodnia specjalna dla chorych PŁUCA I SERCE  
Senatorska 28/30. Rentgen. Odma sztuczna. Przepalanie zrostów opłucnowych. Porada wraz z prześwietlaniem. Wezwanie na miasto. Telefon 5-93-33. 121

WENER. LECZNICA „Dworcowa” prywatna i pociowa CHMIELNA 49 Mężczyzn przyjm. lekarz 8 r.—9 w. KOBIECY przyjmuje LEKARKA 9 r.—9 w.

Dr. GISER WENERYCZNE, PŁCIOWE 9 r.—9 w. LECZNICA prywatna, Chmielna 47 988

Dr. BRAMS weneryczne, skórne pociowe. Przyjmuje w swojej Lecznicy Nowy Świat 46 m. 22. 8 r.—5 w.

Dr. Ginzburgowa WILCZA 42, tel. 889-91 od 3—8 w. WENERYCZNE, skórne u KOBIEC

Lecznica ORDYNACKA 9 Weneryczne i pociowe Od 12 p. do 9 w. Niedz. do 2 pp.

WENERYCZNE skórne pociowe Kosmetyka Lekarska Dr. med. S. WAJNTRAUB Leszno 66—od 9—3 i 6—9 w. Niedziele i święta do 1 pp.

ZIĘBY SZTUCZNE bez podniebienia, usuwanie bezbolesne. Ceny niskie. Specjalna Lecznica Żebów, Nowy Świat 62. Uwaga! drugie piętro, front. 1264

LECZNICA 26 CHMIELNA 26 Weneryczne, skórne, pociowe 3—6 w. 1111

Dr. STILLER weneryczne, skórne, pociowe Hoża 27. Do 10 r. i 4—9 w.

Dr. M. MOSENKIS Akuszerka i choroby kobiece Przeprowadził się: Jerozolimska 77 tel. 9-94-03; 9-94-30.

pasta „miki” odnawia buciki

DOŁĘ I NIEDOLE

WYPADK ZE ŚRODÓW  
SPOWODOWAŁ ŚMIERĆ

Dn. 16 b. m. 80-letnia Wanda Wiśniewska, wyrobnica (Solec 115), spadła ze schodów kościoła św. Krzyża. Przechodnie przeprowadził Wiśniewską do pobliskiego szpitala św. Rodzicy. Tam starszka oświadczyła, że czując się nieźle, przeto została odwieziona do domu. Nazajutrz Wiśniewska zaczęła narzekać na silny ból głowy. Domownicy przewieźli ofiarę wypadku do szpitala Dz. Jezusa, gdzie lekarz stwierdził złamanie podstawy czaszki. Mimo usilnych zabiegów lekarzy, wczoraj Wiśniewska zmarła.

15-LETNI CHŁOPIEC  
POD KOŁAMI POCIĄGU.

Na stacji Warszawa — Praga, dostał się pod pociąg 15-letni Karol Korsi, uczeń (Nadwiślańska 30). Chłopca ze zmiążdżoną lewą nogą, Pogotowie przewiozło do szpitala Przemienienia Pańskiego.

2 OFIARY WYPADKU  
PRZY PRACY

W fabryce przy ul. Leszno 128, robotnik, 27-letni Wojciech Szustakiewicz (Opaczewska 8), doznał zmiążdżenia w walcach maszyny — palców lewej ręki.

W zakładzie stolarskim przy ul. Nowolipie 54, spadła deska na ucznia stolarskiego 19-letniego Mendla Ochberla (Franciszkańska 5). Chłopiec doznał potłuczenia lewej ręki i krwotoku z nosa. Obydwie ofiary wypadków opatrzone w ambulatorium Pogotowia.

SPADAJĄCY LUFKID ROZBIŁ  
GŁOWĘ PRZECHODNIOWI

Z okna domu Rynek Starego Miasta 5, spadł lufcik i ugodził przechodzącego poczyliana, 51 letniego Jakuba Dałkowskiego (Zawiszy 4). Wezwany lekarz Pogotowia stwierdził ranę ciętą głowy i, po opatrunku, pozostawił D. na miejscu.

WYPRAWA WŁAMYWACZY  
DO BIURA P. BIAŁEGO  
KRZYŻA

Nocy wczorajszej, do lokalu Polskiego Białego Krzyża (Al. Jerozolimskie 24), dostali się włamywacze. Znalazszy się w biurze, powyłamywali zamki przy-

czym, poszukując gotówki. Do

mocnik dozorca domu, Stanisław Belina, stwierdziwszy obecność włamywaczy, puścił go do bramy zamierzając ją zamknąć. Sposznie złodzieje wybiegli z lokalu i widząc Belinę rzucili się na niego, przy czym jeden z napastników uderzył go łokciem. Wywiązała się walka, w czasie której pomocnik dozorca zdołał zatrzymać jednego z opryszków. Na wściepły alarm — będący w obchodzie policjant ujął drugiego złodzieja i przeprowadził go do komisariatu. Okazało się, że ujętymi są: Stanisław Jędrzejewski (Krochmalna 15) i Stanisław Kajak (Wileńska 27). Obu osadzono w areszcie.

OGŁOSZENIA DROBNE

KUPNO—SPRZEDAŻ

FUTRA Sprzedaż posezonowa po cenach zniżonych. B-cia Rapoport Focha 5/7. Sklep, telefon 643-01. 958

Mebel nowoczesne lakierowane, kuchenne, przedpokojowe, pokoje pańskie. Ceny Fabryczne „Mehlowanko” Zamenhofska 16 (filia Senatorska 6). 1071

Radioaparaty po cenach fabrycznych. Przyjmujemy pożyczki państwowe długoterminowe raty. „Radiopren”, Żelazna Brama 2. 828

POSZUKIWANIE  
P R A C Y

Zdolny kawaler, uczciwy, inteligentny, poszukuje jakiegokolwiek pracy. Kaucja, referencje. „Uczciwy”. 1336

NAUKA

Samodzielność buchalteryjną, biuro. Wą zapewnią kursy „APEL”, Sienna 72, tel. 5-99-48, 17—21, 1323

RÓŻNE

ładnie uprana, rozpięta firanka jest o zdobą pokoiu. Pamiętajcie! Tylko najstarsza pralnia firanek „Leonia”, Zamenhofska 24/80, tel. 11-33-33, potrafi ze starych firanek uczynić prawie nowe. Farbujemy firanki na różne oddanie. Ceny konkurencyjne. 1191

**PONIEKAD**

NEMO PROPHEA...

Śląsk ma sensację, powód do dumy: „prorocтва” dziecka ściągają tłumy.

Lecz baczna WŁADZA „wkracza” swym wzrokiem! ...Trudno być w Polsce nawet prorokiem...

WAR-WICZ

O NARODOWYM TYGODNIKU „SZARZA”

O wesolkowie czcigodni, kiepsko wam idzie tygodnik. By nakład otrzymać większy potrzebna mała reforma: papier stanowczo miększy i wygodniejszy format...

ED-SZ

ROZWAŻANIA JEZYKOWE.

Dlaczego deszcz nazywa się drobniakami? Przecież powinno się mówić nieboszczyk. A tymczasem właśnie nieboszczyk powinien nazywać się deszczem. Dlaczego? — Bo leży na desce.

ED. SZ.

**NA UCHO**

ZAMROZONE SUMY.

Rzesza Niemców winna jest Polsce za tranzyt przez kurytarz pomorski około 94 milionów złotych. Dług ten „wisi” już przeszło rok. Dotychczas spłacono 8 milionów zł. gotówką, 8 milionów w towarach i część należności obligacjami. Obawiamy się, że resztę spłacać nam będą Niemcy nie walorami materialnymi, a o i e o 7

**GIEŁDA**

Na wczorajszych giełdach walutowych nie zanotowano — w porównaniu z kursami sobotnimi — żadnych poważniejszych zmian. Dewizy na Zurych i Amsterdam miały w dalszym ciągu tendencję zwykłą, przy czym Zurych wciąż notowany jest stosunkowo nisko, natomiast Amsterdam doszedł do jednego z najwyższych z ostatnio notowanych poziomów.

W terminowych notowaniach franka francuskiego w Londynie depozyt 1-miesięczny wynosił 0,96, 3-miesięczny zaś — 2,58.

**Polska przegrywa z Anglią 0:11**

W poniedziałek późnym wieczorem rozegrany został w Londynie, w ramach półfinałowych rozgrywek hokejowych o mistrzostwo świata, mecz pomiędzy mistrzem świata i olimpiadą Anglią a Polską.

Zgodnie z przewidywaniami, zwyciężyła Anglia w stosunku 11 : 0 (5:4 4:0 2:0), mając przez cały czas

oczywistą przewagę nad drużyną polską.

Mimo porażki z Anglią, Polska ma jeszcze szansę wejścia do finału rozgrywek, jeżeli jej się uda wygrać wtorkowy mecz z Szwajcarią.

W drugim meczu, rozegranym w poniedziałek wieczorem, Kanada wygrała z Niemcami 5:0 (0:0 3:0 2:0).

**RECENZJE FILMOWE**

„ALLTORIA”. Reż. W. FORST KINO „STUDIO”.

Willy Forst, twórca „Mazura” i „Niedokończonych symfoni”, uchodzi za najzdolniejszego filmowca III Rzeszy. Filmy jego istotnie cechuje specyficzny wdzięk i płynność, których naprzęd szukałbyśmy u innych realizatorów niemieckich. Forst nie jest z pewnością indywidualnością artystyczną, ale jako rzemieślnik obdarzony dobrym smakiem i prawdziwie dziennikarskim wchem, jest w swojej kategorii bezkonkurencyjny.

„Alltoria” (tytuł teno znać w języku greckim nieporozumienie, kołmię pomyłek) stanowi typową dla produkcji Forsta komplikację wszytkiego, co wymyślono i wypróbowano dotychczas w zakresie komedii satelowej. Wyeksploatowany w tysiącach okazjach kłopotliwych par, typy znane nam z wielokrotnych wariacji tego samego motywu, oklepane sytuacje i powiederzonka — wszystko to nabiera u Forsta pewnych pozorów świeżości, a nawet oryginalności. Najlepsze są — nie w pomysł, bo pomysł jest stary — ale w zastosowaniu sceny imaginacyjnej, których specyficznie groteskowy charakter podkreślił reżyser foto-karykaturalnym nastawieniem kamery, nerealnością rekwizytów i rozmyślną szarżą aktorów.

O charakterze filmu decyduje podejście do tematu. Forst traktuje swoich stereotypowych bohaterów z ironią, którą zdołał zaakcentować w sposób zręczny i dyskretny. To też ogląda się tę ultra-banálną komedię bez przykrości.

(JOSS).

**ODPOWIEDZI REDAKCJI**

Franciszek B. Warszawa. Poza cytataimi tylko wiecowa ogólniki. Nie zamieszczamy.

Prinusz Kraków. Za informacje dziękujemy. Waszych późniejszych uwag nie możemy z wielu względów drukować. Co do proponowanej przez Was ankiety — zastanowimy się.

Technik. Nie ze wszystkim się zgadzamy. Szczególnie błędna jest analiza odpowiedzialności. W tym ujęciu nie możemy drukować.

Czytelniczka — Kobieta. Dziękujemy za słowa uznania i za rady. Wykorzystamy je — w miarę dalszego rozwoju pisma.

Straż więzienna. Anonimowych listów z zasady nie zamieszczamy. Na życzenie nazwisk nie publikujemy, ale muszą się one przynajmniej znajdować w posiadaniu Redakcji. List za chowamy, jeśli życzy sobie, by go opublikować, prosimy albo o nadesłanie nazwisk, albo o skomunikowanie się bezpośrednio z nami.

**Ofiary**

Dla uczczenia pamięci Łobzowskiej (Marty) towarzysze z 1905 r. do dyspozycji ob. Sempolowskiej zł. 87.

**Komunikaty**

Baczność Cukiernicy!

Walne Zebranie Pracowników Piekarni Cukierniczych odbędzie się w dniu 24.2.1937 r. (środa godz. 7 w.) w lokalu przy ul. Leszno Nr. 115.

Na porządku dziennym: sprawozdanie, sprawa umowy zbiorowej, sprawa kontroli pracy. Stawcie się licnie!

Związek Pracowników Kom. i Użytecz. Publ. Oddział Tramwajarzy, Warecka 7, fr. II p. prosi ogół robotników warszawskich o obejrzenie gazetki ściennej we własnym lokalu. Wstęp bezpłatny.

**RZECIA ZIMOWA OLIMPIADA ROBOTNICZA**

Jak już podaliśmy w Czechosłowacji otwarta została trzecia robotnicza olimpiada zimowa.

Pierwszego dnia odbyły się biegi pań i panów.

W biegu pań na 6 km. zdecydowane zwycięstwo odniosły zawodniczki fińskie. Mistrzynią olimpiady została Ruokoski w czasie 2: 52.

W biegu panów na 15 km. pierwsze miejsca zajęte zostały również przez zawodników państw skandynawskich. Zwycięcą został Fin Partan w czasie 47 : 58 sek.

W biegu narciarskim junierek na 4 km. wygrała Richter (Czechosłowacja).

W konkursie skoków, które odbyły się na malej skoczni, najlepszy wynik uzyskał norweg Jensen ze skokami długości 43 i 45 mtr. Drugie miejsce zajął norweg Hilman.

W kombinacji pierwsze trzy miejsca zajęli zawodnicy norwescy. Pierwszym był Jensen przed Hilmanem i Voldenem.

W biegu patrolowym na 10 km. pierwsze miejsce zajął Norwegia w czasie 39 : 14 sek. przed drugą drużyną norweską — 40 : 43, Finlandia 41 : 44, Czechosłowacja — 43 : 18, i Szwajcarią — 45 : 10.

W kobiecym biegu patrolowym na 4 km. zwyciężyła Finlandia przed Czechosłowacją.

Tuż obok hokejowy i zawody łyżwiarstwa dotychczas się nie rozpoczęły ze względu na odwilż.

**Lekkoatletyka**

ZAWODY LEKKOATLETYCZNE W WARSZAWIE

W niedzielę w centralnym instytucie W. F. a Bielanych odbyły się lekkoatletyczne zawody W. O. Z L. a. Ciekawsze wyniki notujemy:

- 100 m. Trójkowski 2 (A. Z. S.) 11,1 s., 2) Kopuszkiński (Pol.)
- 1000 m. — Kępiński (1) 2 : 51,3 2) Libera (2) 56,9 sek.
- 3000 m. Maliszewski (Pol.) 11 : 42 2) Bajer (Pol.) 11 : 32 sek. 3) Gubalski (Węz.)
- Skok w dal — Hanke (W. K. A.) 683 cm., 2) Stefanowicz 641 cm.
- Wzwyż — Kujawski (K. P. W. Orzeł) 172 cm., 2) Hanke 167 cm.

Kula — Fiedoruk (W. K. A.) 12,79 m., 2) Słowik (W. K. A.) 11:97 m.

4 x 60 m. — Warszawianka 30,4 sek., 2) A. Z. S. 31,3 s., ) P. K. S. 32,8 sek.

Konkurencje pań: 60 m. Kałużyna (pol.) 8,9 sek. Wdal — Kałużyna 456 cm., 2) Chelmiczka 432 cm.

Kula — Cejzikowa (A. Z. S.) 11,88 m., 2) Ańska (MAK.) 9,29 m.

**Gry sportowe**

FINAŁ TURNIEJU OSRODKA W SIATKÓWCE

W niedzielę zakończony został turniej Okr. Ośrodka W. F. w stolicy w siatkówce pań i panów.

W konkurencji pierwsze miejsce zajęła Warszawianka przed Legią. W siatkówce panów zwyciężyła drużyna Fundacji Domów Akademickich przed Legią. O trzecie miejsce walczyć będą w przyszłą niedzielę drużyny: Makabi — P. P. W. Okręg.

**Różne**

OSTATNIE DNI ZAPISÓW NA GIMNASTYKĘ

W ciągu najbliższych dni zostanie skompletowana przy I Robotniczym Ośrodku wychowania Fizycznego Warszawa, Czerwonego Krzyża 20) wzorowa męska grupa gimnastyczna. Do grupy tej już teraz są przyjmowane zgłoszenia w sekretariacie Ośrodka.

**Wiadomości zagraniczne**

SOBKIL NA CZWARTYM MIEJSCU W WALCE O ZŁOTĄ SZABLĘ SAN REMO

W San Remo rozegrane zostały wielkie międzynarodowe zawody szermierze o „Złotą Szablę” San Remo. Udział w tych zawodach wzięli najwybitniejsi szermierze Włoch, Niemiec i Austrii. Z Polski startował jedynie Sobkil, klasyfikując się na szóstym miejscu czwartym miejscu. Polak przegrał z Włochem Pintorem 2 : 5, z Niemcem Helmem 1 : 5 i Węgrem Rastovich'em 0 : 5, a pokonał Austriacką Loisel 5 : 3

Ostateczna klasyfikacja turnieju przedstawia się następująco: 1) Rastovich (Węgry), 2) Ponton (Włochy), 3) Helm (Niemcy), 4) Sobkil (Polska), 5) Loisel (Austria).

wane zgłoszenia w sekretariacie Ośrodka.

- Warunki przyjęcia: 1. Wiek od 12 — 24 lat.
- 2. Uprawianie przed tym przynajmniej w ciągu jednego roku gimnastyki (w szkole lub w stowarzyszeniu).
- 3. Dobra postawa. 4. Dobry stan zdrowia.

Grupa wzorowa będzie ćwiczyła pod kierunkiem fachowego instruktora, przygotowując się do konkursów, na których Sport Robotniczy wyłoni swą reprezentację na Olimpiadę w Antwerpii.

Oplata 50 gr. miesięcznie. Zapisy i informacje w sekretariacie Ośrodka, w godz. od 17 — 19.

**MIEDZYMIASTOWY TURNIEJ PING PONGOWY**

Sekcja Sportowa Zw. Młodzieży Żydowskiej w Bydgoszczy organizuje w dniach 27 i 28 b. m. wielki turniej międzymiastowy w ping pongu o puchar p. A. Schmidta w singlu i o puchar Z. M. Ż. w grach drużynowych. Zgłoszenia należy nadsyłać na adres: Zw. Młodzieży Żydowskiej w Bydgoszczy, Marsz. Focha 16.

**Tenis**

PIERWSZE ZWYCIĘSTWO HEBBY NA RIWIERZE.

W poniedziałek w turnieju tenisowym na Riwierze Hebda rozegrał mecz z van Lottem, bijąc go 7:5 6:2.

**Ludwik Guilloux**

23)

**CZARNA KREW**

Przekład autoryzowany Marty Higer Łobzowskiej

— Muszą się tam dziać cuda, zauważył mrugając okiem.  
— Och! nie chodziłem sprawdzać, odparł Nabucet głosem, którego intonacja zwróciła uwagę kapitana. No, no, no! Zdało się, że ten rodzaj tematów działał na niego.  
— Duży to klasztor?  
— Prawdziwy pałac. Ale są jeszcze inne. Mamy tu kilka klasztorów. Któregoś dnia oprowadzę cię dokładnie po naszym mieście: będziesz zdumiony, mój drogi. Kler jest tu bardzo bogaty. Abyś mógł nabrać pojęcia o tym bogactwie, drogi Pawle, wyobraź sobie, że, według moich obliczeń, własność kleru, wliczając w to pałac biskupi z parkiem, który jest wspaniały, zajmuje około jednej czwartej powierzchni całego miasta. I nie liczę już tu nawet seminarium, większego od koszar i, oczywiście, naszych trzydziestu kościołów.  
— Trzydziestu?  
— Jest jeszcze i kilka kaplic.  
— Bagatel!  
Kataża rozdzieliła ich na chwilę. Nabucet zwinnie ją przekroczył. Kapitan przebył ją niezdarnie i brudna woda opryskała mu buty. Wydał pomruk niezadowolenia.  
Nabucet ciągnął dalej:  
— Nie mówię o religii nic złego, mój drogi. Nie będąc wierzącym, nie jestem również i ateuszem. Cóż chcesz? ma my przynajmniej do szczęścia, że możemy wyrobić sobie światopogląd filozoficzny, w potrzebie — stoicki. Świat idei jest nam dostępny. Ale — lud! Jedyny ideał widzi on w mo-

dlitwie. Któregoś dnia, widziałem, mój drogi, jakąś biedną matkę, zupełnie zdruzgotaną przez śmierć swego syna. Sama jedna, modliła się w małej kapliczce, dokąd zaszedłem, aby pokazać jednemu z bawiących tu chwilowo przyjaciół przepiękny zabytek z trzynastego wieku, ksiądz grobowiec. Nie wstydzi się przyznać: wobec tej kobiety, jakiejś podobno praczki, lzy napływały mi do oczu. Chciałoby się móc coś uczynić dla wydziedziczonych przez los.

— To nie jest łatwe.  
— Niestety! Jednakże istnieją fundacje dobroczynne i to własnie dobroczynności chrześcijańskiej.  
— To prawda.  
— Jego Eminencja mówił mi któregoś dnia, że w administracji fundacji i dobr, znalazłoby się dość pracy dla personełu godnego jakiegoś ministerstwa.  
— Znasz biskupa?  
— Jest to człowiek nieprzeciętny.  
— A dyrektor Wydziału Opieki Społecznej?  
— Nie chcę twierdzić, że ludzie świeccy nic nie robią. My, jesteśmy ludźmi świeckimi i uczyniliśmy wszystko, co tylko było możliwe. Czujemy to i nadal z całą wytrwałością. Ale jest rzeczą pewną, że wojna wykazała zadziwiające możliwości charytatywne kościoła. Tak, mój drogi, ludzie ci robią rzeczy zasługujące na podziw. Ja zaś, w poczuciu świętej jedności i sprawiedliwości twierdzę, że jałmużnik i robotnik socjalistyczny są braćmi absolutnie godnymi siebie i że powinni zapomnieć o swoich dawnych, błahych sporach.

Kapitan był tego samego zdania. Odrzekł bezbarwnie, że Nabucet ma rację, przyszło mu jednak na myśl, że można by pomówić o czym innym. Uważał, że Nabucet jest nudny i posiada niebezpieczną skłonność do przybierania uroczystego tonu. Do diabła między dwoma starymi przyjaciółmi z lat dziecińczych, ton taki nie był na miejscu.

W drugim końcu ulicy niebo zasnuło chmurami, zdawało się przesuwać w całości, łagodnie gnane niedostrzegalnym wietrzykiem ku zachodowi. Posuwali się wciąż naprzód, podskakując, przesadzając kałużę i doły, aż nareszcie mur się skończył. Szli teraz wzdłuż domów o odrapanych ścianach i oknach, zaopatrzonych w odstrasające kraty. Uszu ich doszedł szep, jakies brzęczenie skandowane i rozwle-

kie, bolesna skarga. Zakonnice modliły się tu zapewne.

— Czy to kaplica?  
— Nie. To nie była kaplica. Kaplicy nie można było dojrzeć, znajdowała się wewnątrz klasztoru.  
— Jest to przynależność klasztoru, schronisko, dom poprawy. Kraty znajdowały tu podwójne wytłumaczenie.  
— Nigdy nie słyszałem o Saint-Bleme'ie?  
— Nie.

A przecież istniały potrochu wszędzie filie takiego Saint-Bleme.

— Ale tutaj, powiedział Nabucet, jest Dom Macierzysty. Saint-Bleme jest domem poprawczym, do którego oddaje się... rozumiesz, co chcę powiedzieć... występne dziewczęta, kończył pośpiesznie.

— No! No! No!  
— To one odmawiają modlitwy, które słyszysz, mój drogi. Modlą się w pracowni podczas zajęć. Biedactwa.

Szmar modlitwy wzmógł się. Cała pracownia podejmowała chórem słowa: „Ave Maria gratia plena...”  
— Robi wrażenie brzęczenia pszczoł, powiedział Nabucet. Na tępy, zasnutym niebie nie było żadnego ptaka. Pasmem dymu wznosiły się powoli, rozchylały się i ginęły, zmieszane z mgłą, wiszącą w powietrzu. Pomruk modlitwy, przycichał, słabnąc coraz bardziej w miarę, jak się oddalał. Wkrótce przestal go słyszeć.

— W jakim one są wieku?  
— Rozmaicie. Niektóre poniżej lat trzynastu.  
— A jaką mają pracę?  
— Szycie. Robią też i ozdoby kościelne. Mam nawet wrażenie, że szyją dla pewnych wielkich pracowni paryskich.

Cisza.

— Są to bardzo ciekawe istoty, ciągnął Nabucet głosem nieco drżącym. Bardzo, bardzo ciekawe istoty...

— Ach? Więc to tak? Ach!  
Kapitan poszukał oczu Nabucet'a, ale ten szedł, patrząc prosto przed siebie. Niepodobniestwem było z twarzy jego dojrzeć cokolwiek prócz brodatego policzka, końca ucha i czerwonej szyi, uwiecznionej w kołnierzyku zbyt ciasnym i zbyt białym.

— Pod jakim względem?

(d. c. n.)

Redakcja: i Administracja Nowy-Swiat 62 m. 1, i piętro, tel. Red. 306.99, tel. Adm. 307-00. P.K.O. 23.631, „Dziennik Popularny”. Pocztove przekazyroczunkowe kartoteka Nr. 106 „Dziennik Popularny”  
Redaktor przyjmuje od 12.30 do 13.30. Administracja czynna od 9—12 i 14.30—19.

Warunki prenumeraty: w Warszawie z odnośnieniem do domu 2.20; na prowincji zł. 2.10. Za zmianę adresu 50 gr.

Ceny ogłoszeń: za wiersz wysokości 1 mm. przez szerokość szpalty: w tekście gr. 60; zwyčajne (w reklamacji) gr. 40; ostatnia strona gr. 60; nekrologi do 60 m. n. gr. 20, powyżej 60 m. n. gr. 30; notatki reklamowe gr. 60; drobne za wyraz gr. 15, najmniej 10 wyrazów; poszukiwanie pracy gr. 10 za wyraz. Ogłoszenia tabelaryczne o 50 proc. drożej. Układ ogłoszeń tekstowych i zwyčajnych 6-szpaltowy. Za treść ogłoszeń Redakcja nie odpowiada.

Redaktor odpowiedzialny: Władysław Pietrzykowski.

Wydawca: Społeczna Spółka Wydawnicza Sp. z ogr. odp.

Udbito w drukarni Sp. Nakładowo-Wydawniczej „Robotnik”, Warszawa, Warecka 7.